

Victor Rezo



Biaka  
Mgka

copyright © 2022 D.W.S. - Victor Rezo

Wydanie I

ISBN 978-83-966072-0-1

projekt okadki

Longos

wydawnictwo

Longos

**Victor Rezo**

**Biała Mgła**

# I

Usłyszała turkot kół, i nim zdążyła zorientować się w sytuacji, poczuła wbijające się w jej ramię palce. W jednej chwili ktoś mocno szarpnął ją za płaszcz, i nie zważając na okrzyk bólu, jaki z siebie wydała, odciągnął bezceremonialnie na bok. Powóz minął ją zaledwie o kilka cali, rozpędzając na boki poranną mgłę, skrywającą pokrytą błotem ulicę. Stangret spojrzął do tyłu przez ramię. Rzucił coś pod wążem i głośno strzelił z bata.

– Uważaj dziewczyno, ledwie zaczęłaś pracę, a już chcesz, żeby cię koń stratował? Najpierw zarób parę szylingów na pochówek, w przeciwnym razie twoje truchło wyląduje w rzece.

– Dobrze pani Moore.

– Już ci mówiłam Mildreth, że mam na imię Hortense i nie jestem żadną damą.

– Przepraszam pan... – w ostatniej chwili się zmitygowała, przełknęła ślinę, i zebrawszy się na odwagę, dokończyła. – Hortense.

– No – tęga kobieta pogroziła palcem, unosząc delikatnie kącik ust w nikłym uśmiechu. – Tędy będzie szybciej – powiedziała, skręcając w prześwit pomiędzy kamienicami, tak wąski i zawalony śmieciami, iż musiały posuwać się gęsiego. – Normalnie tędy nie chodzę, ale jest już późno i musimy się spieszyć, żeby jeszcze dostać, coś w miarę świeżego – rzuciła za siebie, przyspieszając.

Wyszły na znacznie szerszą brukowaną ulicę. Wydłużając krok, przebyły kolejne kilkadziesiąt jardów, aby znaleźć się na targowisku utworzonym przez kilka tuzinów ustawionych w rzędach straganów.

– Ryby, świeże ryby, tanie i smaczne! – wydarł się ponad panujący harmider niski, chudy mężczyzna, machając zachęcająco trzymanym w rękę dorszem w stronę Mildreth. – Dla ślicznej panienki te cudeńka.

Hortense pochyliła się nad stoiskiem, rzucając krytyczne spojrzenie na piętrzący się na nim połów.

– Przecież te ryby są stare.

– Nic podobnego – obruszył się do żywego. – Jeszcze rano pływały.

– Chyby w jakiejś kałuży do góry brzuchem.

– Jak śmiesz! W całym mieście nie znajdziesz świeższego towaru – uniósł trzymanego w rękę dorsza, imitując pokonywanie przez niego morskich odmętów.

– Przecież ona ma mgliste oczy, i jeszcze ten zapach, jeśli ona ostatnio pływała, to tylko w jakimś rynsztoku – Hortense obróciła się na pięcie, chwyciła Mildreth za rękę ciągnąc za sobą w głąb targowiska. Przepychała się do przodu, torując drogę ogromnym biustem, niemal tak potężnym jak wyrastający poniżej brzuch. Zatrzymała się przy usytuowanym pośrodku alejki kramie.

– Szanowna Lady Moore – rzekł wąsaty sprzedawca, robiąc przy tym przesadny ukłon. – Czym mogę pani służyć?

– Nie podlizuj się Goodel, i tak muszę coś u ciebie kupić. Dobrze wiesz, że o tej porze nie mam już zbyt dużego wyboru – machnęła ręką w geście rozpaczy, rozglądając się po wilgotnym asortymencie.

– Myślę, że nie tylko późna pora przygnała cię do mnie – odparł zalotnie, nie odrywając od niej wzroku.

Udała, że tego nie usłyszała, ale lekki rumieniec, który wykwitł na jej twarzy, wskazywał na coś zgoła innego.

– Daj mi dwa dorsze. Tylko żeby mi były świeże – ostrzegła.

– Dla ciebie miła, tylko to, co najlepsze – wygrzebał spod rozpadającego się stolika parę okazałych ryb.

Wystarczyło krótkie spojrzenie na towar, aby stwierdzić, że jego słowa były jak najbardziej uzasadnione. Z aprobatą kiwnęła głową.

– Millie, weź je.

Dziewczyna posłusznie umieściła towar w wiklinowym koszyku.

– Ooo, a co to za dzierlatka? – zainteresował się Goodel obrzucając nastolatkę baczny spojrzeniem.

Dziewczyna zerknęła na kucharkę i widząc lekkie skinienie głowy, delikatnie dygnęła.

– Nazywam się Mildreth – powiedziała.

– Śliczne imię, moja babcia tak się nazywała.

– Ciekawe. Jak ostatnio flirtowałeś ze służącą Priców, mówiłeś, że twoja babcia to Kate – Hortense spojrzała na kramarza spode łba.

– Bo miała – oburzył się. – Mildreth, to moja druga babka.

– Pewnie... – fuknęła, płacąc za rybę. Obróciła się ostentacyjnie, zarzucając biodrami. Jednocześnie patrząc kątem oka, czy nie uszło to uwadze Goodela. Ku jej zadowoleniu reakcja była taka, jakiej się spodziewała. Usatysfakcjonowana wmieszała się w ciżbę.

Po dwóch kwadransach były już w drodze powrotnej. Ponownie pokonały wąską zdającą się jeszcze bardziej zawaloną śmieciami uliczkę. Wyszły na drogę, na której Mildreth co dopiero uniknęła śmierci pod kołami dorożki i szybkim krokiem skierowały się do domu przy Chapel Street. Kamienica

była dwupiętrowa. Stała w szeregu sobie podobnych budynków. Nad wejściem usytuowano mały balkon wsparty na kolumnach w stylu jońskim. Stanowiący jednocześnie osłonę przed deszczem dla osób wchodzących do środka. Front budynku oddzielono od trotuaru metalowym kutym ogrodzeniem, odgradzając się w ten sposób od ulicznego ruchu. Obeszły ciąg kamienic, aby skorzystać z tylnego wejścia dla służby.

– Długo kazałyście na siebie czekać – powiedziała ostrym tonem chuda, niemal koścista kobieta, gdy tylko przekroczyły próg domu.

Bez słowa zdjęły wierzchnie okrycie, wieszając je, na zamocowanym na ścianie za drzwiami drewnianym wieszaku. Hortense chwyciła zakupy bezceremonialnie mijając rzucającą gromy z oczu Brittanice. Mildreth natychmiast podążyła za kucharką.

– A ty gdzie? – spytała Brittanica wyciągając przed siebie żyłastą szyję, szczelnie otoczoną przez sztywną stójkę, będąca zwięzieniem czarnej sukni.

– Ja chciałam pomóc w kuchni – wyjąkała Mildreth.

– Da sobie radę bez ciebie, a podłoga sama się nie umyje.

– Tak panno Bennett – spuściła nisko głowę, splatając dłonie przed sobą.

– To, co tak stoisz? Mam to zrobić za ciebie?

– Tak panno Bennett, yyy...– szybko się zreflektowała i dodała. – To znaczy, nie panno Bennett – lekko się skuliła, czekając na policzek. – Przepraszam – bąknęła, unosząc nieśmiało wzrok.

– Jazda do roboty.

Dziewczynka zgarbiła się, i pobiegła po wiadro. Brittanica wyszła na korytarz, stanęła przed zawieszonym na ścianie lustrem. Poprawiła okulary, przyglądała kosmyk włosów, który uciekł na wolność z mocno ściśniętego koka. Obejrzała lewy, a następnie prawy profil, po czym dystyngowanym krokiem weszła na prowadzące na górę schody. Korytarz na piętrach, jak i na parterze pokryty był bordową tapetą, zdobioną przez wijące się delikatne złote kwiaty. Położyła na ustawionym pod ścianą stoliku palec wskazujący, następnie przeciągając nim po blacie. Zerknęła na niego, strząsając kciukiem ledwie widoczne drobinki kurzu. Zatrzymała się przed masywnymi drewnianymi drzwiami, zrobiła wdech i dwukrotnie w nie zapukała. Po chwili dobył się zza nich niewyraźny głos.

– Kto tam?

Lekko chrząknęła, przesuwając usta do krawędzi drzwi.

– To ja, Brittanica. Madame.

– Czego chcesz?

– Chciałabym zamienić słowo – powiedziała głośniej, starając się nadać swojemu głosowi jak najdelikatniejszy ton. – Czy mogę wejść?

Zza drzwi dobiegło głośne jęknięcie.

– Jeśli musisz.

Brittanica jeszcze raz chrząknęła. Powoli otworzyła drzwi. W pokoju panował mroczny zaduch. Weszła do środka, kierując się od razu w stronę okna. Zręcznie minęła stolik oraz krzesła ustawione na grubym perskim dywanie. Chwyciła ciężkie ałtasowe story, pewnym ruchem rozchylając je na boki. Do pokoju wpadło szerokie pasmo światła, odsłaniając wysokie łóżce z baldachimem. Leżca w nim potargana kobieta, przesłoniła jedną ręką oczy, a drugą machnęła zirytowana na bok, jakby opędzała się od natrętnej muchy.

– Co ty wyprawiasz? Zastłoń je – rozkazała.

– Madame wybaczy, ale już dawno minęło południe i ...

– A co mnie to obchodzi – przerwała wściekła.

– Niedługo mają się zjawić państwo Ward i Green. Kazała pani...

– A po co oni tu przychodzą?

– Madame zaprosiła ich w ramach rewizyty za...

– Tak... już sobie przypominam – burknęła pod nosem. – Te wszystkie głupie konwenanse... – westchnęła. Uniosła się na łokciu, wspierając na poduszce. – Co tak stoisz?

– Przepraszam madame – odparła Brittanica, i skierowała się w stronę drzwi.

– Gdzie idziesz? Podaj mi peniuar.

Bennett rozejrzała się i chwyciła leżącą na dywanie narzutkę. Delikatnie ją otrzepała, i trzymając rozchyloną przed sobą, stanęła przy łóżku. Clementine wygramoliła się spod pierzyny. Wstając, zawadziła stopą o mały przenośny barek, sprawiając, iż stojące na nim kieliszki przewróciły się z głośnym brzękiem.

– Czemu nikt tego nie sprzątnął? – rzuciła gniewnie, zakładając peniuar.

Brittanica szybko wyszła na korytarz.

– Daphne! Gdzie jesteś?! – krzyknęła.

– Nie krzycz tak. Głowa mi pęka – jęknęła Clementine.

– Najmocniej przepraszam – uśmiechnęła się służalczo.

Po chwili rozległy się drobne kroczyki i w drzwiach pojawiła się ruda, piegowata dziewczyna. Zatrzymała się w progu, pochylając się w delikatnym ukłonie.

– Sprzątnij to szybko – wydała polecenie Brittanica, wskazując, stojący obok łóżka barek.

– Dobrze panno Bennett – służąca weszła do pokoju i lekko dygnęła. – Dzień dobry madame – chwyciła stojącą obok tacę, układając na niej

kieliszki.

– Jeden zostaw – zaordynowała Clementine.

Dziewczyna skinęła głową, wykonując polecenie, po czym z tacą w ręku, przy wtórze delikatnego brzęku szkła opuściła pokój.

Clementine nalała czerwony płyn z karafki do kryształowego kieliszka i go opróżniła jednym haustem.

– Jeszcze tu jesteś? – rzuciła oschle, nalewając drugi kieliszek.

Brittanica delikatnie skinęła głową nie wiedzieć czemu, gdyż pani Griffith wciąż stała tyłem do niej, koncentrując swoją uwagę na barku. Wycofała się z pokoju, ostrożnie zamykając za sobą drzwi. Oparła się o nie, wypuszczając głośno powietrze z płuc. Odczekała chwilę, poprawiła kołnierzyk i ruszyła w głąb korytarza.

\*\*\*

– Nie mogę w to uwierzyć – pokiwała Caddy z niedowierzaniem głową, a jej pulchna sylwetka zakołysała się wraz ze zwisającymi z uszu wielkimi perłami.

– To najświętsza prawda – odparła Eusebia Green, koścista rozmówczyni siedząca po drugiej stronie stołu. – Po prostu wyszła.

– Niewiarygodne – rzuciła właścicielka kolczyków, nie przestając kręcić głową.

– Cóż... – odezwał się niskim głosem siedzący obok mężczyzna. Twarze zebranych natychmiast zwróciły się w jego stronę. Wąsacz odkroił kawałek mięsa i włożył go do ust. Spokojnie przeżuł i przełknął. – Nie wiem co, cię tak zaskoczyło moja droga. W końcu to było do przewidzenia. To małżeństwo, to typowy mezalians. Czegóż można było się spodziewać po takiej prostaczce, jeśli nie takiego właśnie zachowania – ukroił kolejny kawałek. – Gdy ktoś całe życie spędza w chlewie pośród świń, wcześniej, czy później zacznie robić to co one.

Po pokoju rozległ się cichy pomruk uznania.

– Całe szczęście, że chociaż z twarzy nie jest podobna do swojej kwiczącej rodziny – dodał Ward, a ostatnia uwaga została nagrodzona salwą śmiechu.

– Majorze, jak pan coś powie – westchnęła z zachwytem Eusebia.

– Po prostu, każdy ma swoje miejsce, a gdy wpuszcza się maciorę na salony. Wiadomo, że naniesie błota i gnoju.

– Ha, ha, wyborne, doprawdy wyborne – zapięła radośnie.



Usatysfakcjonowany reakcją towarzystwa uniósł kryształowy kieliszek i wypił łyk wina.

– Doskonale – zwrócił się do Clementine.

– Dziękuję, kuzyn przywiózł kilka skrzynek z podróży po Toskanii.

– Cóż, to kolejny powód, aby raz na jakiś czas opuścić tę wiecznie mokrą wyspę. Odkąd wróciłem z Indii, lewe kolano nie przestaje mi doskwierać – odparł major.

Boże znowu te Indie – pomyślała Clementine, posyłając uśmiech w kierunku rozmówcy, zerkając jednocześnie na męża, który przewracając oczami, głośno westchnął.

– Masz rację, w tym roku Bristolska zima jest nad wyraz mroźna, no i jeszcze ten przejmujący wiatr – dodała Caddy Ward, wzdrygając się na pokaz.

– Dokładnie tak – potwierdził major, kiwając głową. – Nie to, co w Indiach. Od rana do wieczora pot kapał po plecach. Ba, kapał po każdym skrawku ciała. Pył unosił się w powietrzu, wdzierając się w każdy zakamarek ubrania. Czuło się piach trzeszczący między zębami. Pamiętam jak pewnego razu z szesnastą kompanią, maszerowaliśmy do Kalkuty, powietrze było tak gęste, że można je było kroić talwarem. Słonie ledwie szły...

– A Rishit mały poganiacz słoni, zaginał dzień wcześniej – przerwał mu Walter. – Spencer nie obraź się, ale mówiłeś nam tę historię wielokrotnie, a skromna ilość wina, którą dziś wypilem, nie pozwala mi wysłuchać jej po raz kolejny.

– Hmm... – obruszył się major. – O ile sobie dobrze przypominam, sami mnie prosiliście, abym opowiedział o szczegółach mojego pobytu w Indiach. Czyżbym był w błędzie, a może moja pamięć zaczyna szwankować?

– Nic z tych rzeczy Spencer – Walter uniósł dłoń w uspakajającym geście.

– Na pewno poprosimy cię jeszcze wielokrotnie, o którąś z twoich opowieści, są fascynujące i do głębi przejmujące, ale może dasz nam czas, aby pewne szczegóły tych historii zatarły się w naszej pamięci. Wtedy będziemy mogli ich wysłuchać ponownie, z takim samym przejęciem, jak wtedy, gdy mówiłeś o nich pierwszy raz.

Major zmierzył pochmurnym wzrokiem gospodarza i osuszył kieliszek wina. Przez chwilę panowała cisza, którą miłośniczynie przerwała Eusebia Green.

– Czy słyszeliście o tej biednej dziewczynie zamordowanej na Fleet Street?

– Nie wiem, czy znowu takiej biednej? Pracując na Fleet Street, mogła zarobić w jedną noc nawet kilkanaście szylingów – rzucił Spencer, szczerząc zęby, błyskawicznie zapominając o uszczypliwej uwadze Waltera.

W pokoju rozległ się gromki śmiech.

– Och majorze, jak pan coś powie – zaszcebiotała Eusebia.

– Spencer potrafi odnaleźć się w każdej sytuacji – wtrąciła Caddy. – Gdy był w Indiach... – nagle zreflektowała się, lekki rumieniec wykwitł na jej twarzy i przerwała.

– Tak więc, podobno została zaszytletowana – kontynuowała Eusebia, rozglądając się po obecnych. – Mówią, że niedawno przyjechała do miasta i mało kto ją znał.

– To typowe dla prostaczków – włączył się Walter. – Zobaczą na ulicy złamanego pensa i gotowi są za niego zadźgać porządnego człowieka.

– Skoro pracowała na Fleet Street, to raczej nie należała do przykładnych panienek – wtrącił Spencer.

– Jakbyś ty tam nie bywał? – rzucił zjadliwie Walter.

Caddy błyskawicznie odwróciła się w stronę męża.

– Spencerze Wardzie, czy to prawda? – powiedziała.

– Przecież, to kompletna bzdura – odparł szybko.

Caddy wysłała pytające spojrzenie w stronę Waltera, który wytrzymując je, odparł:

– Nie patrz się tak na mnie, to ty obcujesz na co dzień z żołnierzami, a jacy oni są, każdy wie. Ja tylko chciałem przez to powiedzieć, że po Fleet Street mógł iść każdy z nas – mówiąc to, spojrzął na zebranych. – Ta ulica nie jest jedynie miejscem pracy dla kobiet lekkich obyczajów.

– Całkowicie się z tobą zgadzam – powiedziała Clementine. – Hordy żebraków okupują każdy zaułek. Przejście ulicą nie będąc zaczepianą przez jakiegoś obdartusa, graniczy z cudem. Wy panowie dacie sobie radę z taką zaczepką, ale co mamy począć my, biedne niewiasty – westchnęła melodramatycznie.

– W rzeczy samej. Ktoś powinien w końcu zrobić z tym porządek. Tu potrzebna jest twarda ręka, jak w wojsku... i dyscyplina – rzucił major.

– A kogo chciałbyś dyscyplinować Spencerze? – wtrącił Walter. – Chyba nie to stado żebraków? Jak to sobie wyobrażasz?

– Nie mówię o nich. Dla nich jest już za późno. Dyscyplinę trzeba wprowadzać od najmłodszych lat dla wszystkich dzieci, niezależnie gdzie się urodziły, gdzie mieszkają i skąd pochodzą. Dyscyplina i karność, to są podstawy, które stanowią o sile przyszłego społeczeństwa.

– A gdzie musztra? – spytał Walter z przekąsem. – Mielibyśmy wtedy idealny materiał na żołnierza.

– Słusznie, musztra jeszcze nikomu nie zaszkodziła – odparł z pełną powagą.

– Czyli sądzicie, że nam też mogłoby to się przydarzyć? – spytała Caddy.

– Musztra? – zdziwił się mąż.

– O czym ty mówisz? Mam na myśli morderstwo – odwróciła się do Waltera. – Uważasz, że ktoś mógłby zabić nas ot, tak na ulicy? Dla paru szylingów?

– Myślę, że w dzisiejszych czasach nie trzeba nosić przy sobie takiej fortuny. Pens jest wystarczającą zachętą, wabiącą, każdego zapyziałego nożownika.

– To dość przerażające przypuszczenie – wtrąciła Eusebia.

– Przerażające, ale w pełni uzasadnione – odparł Walter.

– Miejmy nadzieję, że policja już szuka tego oprawcy – dodała Clementine.

– Z pewnością, lecz czy go znajdzie, to już zupełnie inna sprawa. Poza tym, problemem nie jest tylko to zabójstwo, lecz to, co skłania ludzi do podejmowania takich brutalnych czynów.

– A cóż to według ciebie jest, jeśli nie chęć zysku drogi Walterze – powiedział Spencer.

– Problemem jest narastająca bieda. Jeśli ci ludzie chowający się po zaułkach, nie będą mieli gdzie spać i co jeść, posuną się do wszystkiego, by przeżyć, łącznie z morderstwem.

– Tak, pamiętam jak w Indiach... – Spencer spojrzął przed siebie, starając się sobie coś przypomnieć. – To było chyba w Bombaju, jakiś obdartus podszedł do małego niewidomego chłopca, który zbierał jałmużnę do drewnianej miski. Wyrwał mu naczynie z ręki i przewracając dzieciaka na ziemię, zniknął w tłumie.

– Więc myślicie, że tę dziewczynę zabił jakiś biedak? – powróciła do swojego tematu Eusebia.

– Tak lub nie. Jedyna osoba, która to wie, nie żyje, więc nie możemy jej o to spytać – oznajmił Walter.

– Tego bym nie powiedział – odezwał się siedzący obok Eusebii łysiejący mężczyzna. Do tej pory jedynie przysłuchujący się dyskusji.

– Jak to? – spytała Caddy.

– Można się jej spytać – dodał, bawiąc się kieliszkiem wina.

– W jaki sposób Gideonie? – zdziwiła się Caddy. – Przecież ona umarła.

– Moja droga, są na to sposoby – odparł spokojnie, przelewając wino po szklanych ściankach.

– Niby jakie?

– Hmm..., słyszeliście może o Madame de Conteville?

– To nazwisko nic mi nie mówi – powiedział Walter.

– Conteville? Czy oni nie mieszkają czasem przy St. George Street? – wtrąciła Caddy.

– Tego nie wiem, ale nie sądzę byśmy, mówili o tej samej osobie – odparł Gideon.

– A czemuż to? – zdziwiła się Caddy.

– Madame de Conteville, o ile mi wiadomo jest panną i zajmuje się raczej dość niszową działalnością.

– Mianowicie? – drążyła Caddy.

– Przeprowadza seanse spirytystyczne.

– Masz na myśli duchy? – odezwała się Clementine.

– W rzeczy samej. Kontaktuje się ze zmarłymi.

– To absurd. Duchy nie istnieją – fuknął major.

– Znam osoby, które by się nie zgodziły z twoją opinią – rzekł Gideon.

– A ty się zgadzasz?

– Cóż..., jeszcze niedawno miałem dużo wątpliwości, ale w ostatnim czasie zacząłem zmieniać swoje podejście do tego tematu i w tej chwili mogę powiedzieć śmiało. Tak. Duchy istnieją.

– Skąd ta zmiana? – spytał Walter.

– Byliśmy na jednym z seansów madame de Conteville – mówiąc to, spojrzał na żonę.

– Widzieliście duchy? – Caddy wybałuszyła oczy.

– Tak – odezwała się Eusebia.

– Boże, ale to ekscytujące! – wykrzyczała Caddy Ward i nie mogąc usiedzieć na krześle, pochyliła się nad stołem, ściskając w dłoni srebrny widelec. – Opowiadajcie.

– Po raz pierwszy usłyszeliśmy o madame de Conteville jakieś dwa miesiące temu od Woodrow'ów. Gdy byliśmy u nich z wizytą. Zapewne słyszeliście o ich synu Jeremim, który zmarł na suchoty, kiedy jeszcze był mały.

– Tak, to straszne, był takim miłym chłopcem – powiedziała ze szczerym smutkiem w głosie Clementine.

– Deborah wciąż nie może pogodzić się z jego śmiercią. Zwłaszcza, iż nie była przy nim, kiedy oddał ostatnie tchnienie. Lekarze poradzili jej, by wysłała chłopca do rodziny na wieś, miało mu to pomóc wyzdrowieć. Jak

rada ta była pomocna, wszyscy wiemy – w pokoju rozległ się cichy pomruk aprobaty. – Tak więc udała się na jeden z tych seansów, aby móc dowiedzieć się od syna, czy nie żywi do niej urazy, o to, iż nie była przy nim w jego ostatnich chwilach życia.

– I... – wypłynęło z ust Caddy.

– Rozmawiała z nim. Powiedział, że teraz jest mu znacznie lepiej, że nic go już nie boli.

– Niby w jaki sposób? Wszedł do pokoju i przysiadł się do stolika? – rzucił sarkastycznie Spencer.

Caddy spojrzała karcąco na męża.

– Nic z tych rzeczy. Chłopiec przemówił ustami madame de Conteville – dopowiedział Gideon.

– No i proszę, wszystko jasne – rzucił triumfalnie Walter. – Jakaś kobieta wymamrotała „abrakadabra”, trzymając ręce na kryształowej kuli. Następnie powiedział dwa zdania dziecięcym głosem i już wszyscy myślą, że rozmawiali z duchem, zostawiając na stole parę szylingów. Kolejny hochsztapler zasznurowany w gorset.

– Śmiem się z tobą nie zgodzić drogi Walterze.

– Takie twoje prawo Gideonie, ale czy ta historyjka nie wydaje ci się dość naiwna?

– Z początku miałem podobne odczucia co ty, ale pewne rzeczy skłoniły mnie do zmiany zdania.

– A cóż mianowicie zachwiało twym zdrowym rozsądkiem?

– Słowa wypowiedziane przez madame de Conteville, a w zasadzie małego Woodrowa.

– Proszę, nie trzymaj nas dłużej w tej niepewności – powiedziała rozentuzjasmowana Caddy, ściskając jeszcze mocniej widelec.

– Powiedział, że nie chciał zabić Perełki. Śmierć kota to był wypadek.

– I to ją przekonało? – zdziwił się Spencer. – Doprawdy – dodał, ostentacyjnie wzdychając.

– Nie zupełnie. Deborah do tego czasu myślała, że kot zdechł ze starości. Jednak duch syna przyznał się, że zrzucił Perełkę z dachu, aby sprawdzić, czy wyląduje na czterech łapach. Niestety, niefortunnie zwierzak spadł na kant taczki, łamiąc sobie w ten sposób kark. Całe zdarzenie widział Edward Woodrow. Wziął nieszczęsne stworzenie i położył na fotelu przy kominku, tak aby wyglądało, iż kot dokonał swego żywota w sposób naturalny. Nie chciał, aby matka myślała o synu, jak o małym potworze.

– Może widział to ktoś jeszcze i opowiedział to madame de Conteville? – wysunął wątpliwość Walter.

– Edward jest pewien, że tylko on i syn byli świadkami całego zajścia. Poza tym ta historia wydarzyła się przeszło dziesięć lat temu i w domu nie pracuje już nikt, kto służył w rezydencji w tamtym czasie.

– Hmm..., to ciekawe, ale jeśli de Conteville odnalazła kogoś ze starej służby Woodrow'ów, mogła się tego dowiedzieć od niego – wtrącił Spencer.

– W końcu, mimo słów Edwarda istnieje możliwość, iż ktoś mimowolnie widział to zajście.

– Masz rację, też się nad tym zastanawiałem, ale jest coś, co burzy tę teorię.

– A mianowicie?

– Madame de Conteville nie wiedziała, że tego dnia pojawią się u niej Woodrow'owie. Mało tego, do tego czasu nawet ich nie знаła. Deborah będąc na spacerze z Edwardem, zupełnie przypadkowo wpadła na swoją przyjaciółkę, która właśnie szła na seans spirytystyczny i z ciekawości postanowili do niej dołączyć.

– Niesamowite – pokiwała głową Caddy. – A wy? Mówiliście, że też widzieliście duchy.

Gideon wymienił spojrzenie z żoną i widząc jej aprobujący wzrok, odparł:

– Tak, konkretnie ducha matki Eusebii. W lustrze na seansie spirytystycznym.

– W lustrze? – powtórzyła Clementine.

– Tak.

– Jesteście pewni, że to była ona? – spytał Spencer.

– Tak, była ubrana identycznie, jak w dniu śmierci i ten jej uśmiech. Zawsze, gdy się uśmiechała, lewy kącik ust pozostawał nieruchomy. To na pewno była ona – powiedziała Eusebia.

– Nie bałaś się? – zapytała Caddy.

– Nie bałam? Przez dwa dni trzęsłam się jak osika. Nawet oka nie zmrużyłam, widziałam ją w każdym ciemnym kącie domu. Gideon widział ją w nocy, jak szła ze świecznikiem po korytarzu – zadrżała, jakby poczuła nagły powiew zimnego powietrza. Szybko się odwróciła, obrzucając wzrokiem zamknięte okno.

– Naprawdę ją widziałeś? Może to był ktoś ze służby? – zdziwił się Walter.

– Na początku też tak myślałem. Zawołałem, ale nie zareagowała. Poszedłem za nią, czy może za nim? W końcu to duch... – przez chwilę się zastanawiał. – Zresztą, nieważne. To coś skręciło w lewo i zniknęło.

– Pewnie wszedł do któregoś pokoju – rzucił Spencer.

– To niemożliwe, w tym miejscu korytarz jest ślepy, a na jego końcu znajduje się okno.

– To przez nie wyszedł. Pewnie to był złodziej.

– Nic z tych rzeczy. Po pierwsze poszedłem za nim, na pewno nie zdążyłby wyjść przez okno, po drugie było ono zamknięte, po trzecie, duch miał na sobie koszulę nocną i najważniejsze..., widziałem jego twarz, tak wyraźnie, jak was teraz – rozejrzał się po obecnych. – To była świętej pamięci Mary Conway, matka mojej Eusebii – mówiąc to, złapał żonę za rękę.

## II

Obudził go solidny kopniak. Cicho pojękując, złapał się za zębra.

– Wstawaj! Nie potrzeba mi obiboków.

Otworzył oczy i zobaczył postrzępioną nogawkę, luźno opadającą na brudne oddalające się od niego buty. Usiadł na resztkach pokrytego licznymi plamami moczu siennika, rozłożonego na jeszcze brudniejszych deskach i podciągnął nogi pod siebie. W izbie panował przejmujący ziąb. Poprawił onuce i mocniej zasznurował buty. Powoli wstał, mrużąc oczy, aby móc lepiej zorientować się w sytuacji.

– Ile mam na ciebie czekać?! – dobiegł go ostry, dochodzący z zewnątrz głos.

Skierował się w stronę podłużnego niewyraźnego snopa światła, przedzierającego się poprzez uchylone drzwi. Przeszedł przez próg i stanął na pełnym śmieci podwórku.

– Łap – zaordynował mężczyzna i rzucił w Magnusa pękiem czarnego sznura, który opadł na ziemię. – Chyba nie myślisz, że będę to za ciebie taskał.

– Nie psze pana – bąknął posłusznie chłopiec, podniósł ciemny zwój i przełożył go przez ramię.

Zanurzyli się w mlecznej wilgotnej mgle. Chłopiec szedł niemal po omacku, widząc jedynie przed sobą wyświechtany czarny płaszcz Knighta. Zatrzymał się na chwilę, aby szczelniej okryć się dziurawą kapotą i poprawić zsuwający się z ramienia sznur. To wystarczyło, żeby pozostał sam w porannych oparach. Nerwowo rozejrzał się na boki, próbując zlokalizować swojego chlebobawcę. Zrobił parę niepewnych kroków do przodu, nie wiedząc, w którą stronę ma podążać.

– Panie Knight – wydukał pod nosem. Cisza panująca wokół sprawiła, iż zadygotał. Wykonał kolejnych kilka kroków w białą pustkę. – Panie Knight! – ponowił wołanie, głośniej niż zamierzał. Czekał. Nagle do jego uszu dobiegł ciężki i głuchy dźwięk. Zbliżał się. – Panie Knight! – krzyknął w panice i w tym momencie otrzymał potężne uderzenie w plecy. Omal nie upadł, próbując utrzymać równowagę.

– Ruszaj się – usłyszał znajomy oschły głos. – Nie jestem twoim zachlanym ojcem, żeby cię niańczyć.

– Tak psze pana.



– Jak takie ścierwo jak ty, w ogóle przyszło na świat? – pociągnął nosem, głośno kaszlnął i posłał flegmę na bruk. Kopnął dzieciaka w tyłek i machnął ręką przed siebie. – Tędy – zaordynował.

Powoli z mgły zaczęły wyłaniać się posępne kamienice, a ruch stał się na tyle duży, iż musieli zejść z ulicy, aby nie zostać stratowanymi przez konie.

– Już niedaleko, to ten budynek po drugiej stronie. Tylko się zachowuj, to ważny klient, nie chcę świecić za ciebie oczami.

– Tak psze pana – odparł Magnus, nie mogąc oderwać wzroku od kamiennych mężczyzn podtrzymujących balkon.

Obeszli kamienicę, po czym stanęli przed dębowymi drzwiami. Knight zdjął z głowy umorusany kapelusz i przyciskając go do piersi, głośno zapukał. Spojrzał w bok na sięgającego mu do pasa pomocnika, grymas złości wykwitł mu na twarzy i mocno uderzył chłopaka w potylicę.

– Jak się zachowujesz? Zdejmij czapkę – warknął.

Chłopak błyskawicznie wykonał polecenie, przyciskając ją do piersi jak pracodawca. Rozległ się odgłos odsuwanej zasuwki i drzwi otworzyły się z przejmującym skrzypnięciem.

– No, nareszcie. Wytrzyjcie buty – rzuciła zażywna kobieta. Nie mówiąc nic więcej, ruszyła w głąb domu.

Knight zamknął drzwi i podążył jej śladem, popychając przed sobą chłopaka.

– Tutaj – pokazała ceglany kominek w salonie. – Dym się cofa.

John chwycił za wystającą cegłę, aby móc zajrzeć do wnętrza kominka. Przekręcił głowę w górę i obwieścił:

– Pewnie coś wpadło do komina.

– Pff... – fuknęła. – Tyle to i ja wiem. Dlatego po was posłałam – rzuciła oschle. – Ile to wam zajmie?

– To zależy, czy będziemy musieli...

– Nieważne co będziecie musieli zrobić – przerwała mu. – Abyście skończyli do obiadu – odwróciła się i już miała opuścić pokój, ale zatrzymała się w progu i dodała. – Tylko nie uświęćcie wszystkiego sadzą, to jest porządny dom, a nie jakiś chlew. Pani nie byłaby z tego zadowolona.

– Oczywiście – odparł John i skłonił się usłużnie. Poczekał, aż służąca zniknie za rogiem i odwrócił się do chłopaka. – No, na co czekasz? Włóż do środka.

Magnus przełożył przez głowę zwój liny i rzucił go na podłogę.

– Co robisz idioto? – warknął John, uderzając chłopaka w tył głowy. – Nie słyszałeś, że ma być czysto?

– Przepraszam panie Knight – wydukał Magnus i schylił się po potwornie czarny sznur.

– Zostaw to – zagrzmiął John. – Włóż do komina. Nie mamy całego dnia – poparł swoje słowa potężnym kopniakiem wymierzonym w tyłek pomocnika.

Kominek był na tyle duży, iż Magnus wszedł do środka w pełni wyprostowany. Uniósł ręce, chwycił się za metalowy szczebel wbity w ścianę, podciągnął się, złapał kolejny i po paru ruchach mógł oprzeć stopę na pierwszym pręcie. Odczekał kilka sekund, aż wzrok przywyknął do ciemności i powędrował w mroczną czeluść. Po chwili bardziej wyczuł, niż zobaczył, że ściana z jednej strony zaczyna się coraz bardziej zwężać. Wystawił nogę i stanął na ceglanej półce. Przeszedł po niej na czworaka i spojrzał w dół z drugiej strony. Zobaczył to, czego się spodziewał, czyli wylot drugiego kominka.

– No i co? – dobiegł go spotęgowany przez ceglany tunel głos.

Odwrócił się i ostrożnie po gramolił z powrotem, wystawiając głowę poza półkę, aby ujrzeć w dole rozdziawioną gębę szefa.

– Jestem na półce między kominkami psze pana – obwieścił Magnus

– I co tam robisz? Śpisz? – padło pytanie z dołu.

– Nie ja tylko...

– Ruszaj się. Co z kominem?

– Zaraz zobaczę – chłopiec ostrożnie obrócił się, aby spojrzeć w górę, poruszając tym samym stertę sadzy, która opadła na palenisko.

– Eh..., ee... – zakrtusił się John, cofając szybko głowę. – Uważaj, co robisz..., eeh... , idioto! – przetarł rękawem wysłużonego płaszcza twarz i plunął czarną śliną na cegły.

– Przepraszam psze pana – rozległ się głos z góry. – Coś jest w kominie, ale nie wiem co. Z dołu nie sięgnę. Nie ma szczebli.

– To wyłaź, pójdziemy na dach.

Po chwili z kominka wyleciała czarna smuga pyłu, z której wyłonił się Magnus.

– Rany jak ty wyglądasz – powiedział Knight i szybko dodał. – Tylko się broń boże, nie otrzepuj. Masz iść powoli, tak aby nawet pyłek nie spadł na podłogę.

Chłopiec ostrożnie uniósł nogę, aby wykonać pierwszy krok.

\*\*\*

Mildreth otworzyła szeroko drzwi dla służby, pozwalając by pojedyncze płatki śniegu, wślizgnęły się do środka. Chwyciła stojący na ziemi wiklinowy kosz wypełniony mokrym praniem, a następnie taszcząc go przed sobą, nie bez trudu dotarła do długich sznurów, rozwieszonych między okalającymi podwórze murami. Z wyraźną ulgą postawiła go na ziemi i wyprostowała się, trzymając dłonie na lędźwiach.

Kiedy ciężko, gdy jest źle  
Wkraczaj śmiało w gęstą mgłę  
Tam nie zaznasz nigdy głodu  
Koniec strachu, koniec chłodu

Rozejrzała się, próbując wychwycić kierunek, z którego dochodziły słowa dziecięcej wyliczanki. Podeszła do muru i wspięła się na drewnianą skrzynkę, aby móc zobaczyć co znajduje się po drugiej stronie. Podwórko było bliźniaczo podobne do tego, na którym się znajdowała. Pośrodku niego dwie dziewczynki skakały przez zwykły sznurek, zastępując nim skakankę, najwyraźniej dobrze się przy tym bawiąc.

– Co ty tam wyprawiasz?!

Usłyszała krzyk. Podskoczyła wystraszona, niemal spadając z prowizorycznego podestu. Jednak w ostatniej chwili złapała się krawędzi muru, odzyskując równowagę.

– Ja, ja... – zaczęła się jąkać. – Rozwieszam pranie.

– Jakoś to mi na to nie wygląda – rzuciła ostro Brittanica.

Mildreth zeskoczyła na ziemię, podbiegła do kosza chwytając pierwszą z brzegu rzecz. Wyciągnęła przed siebie trzymaną w ręku poszewkę na poduszkę, jednocześnie mocno nią trzających.

– Jak skończysz, zmień pościel u madame Griffith i na litość boską zamykaj wejście! Nie po to ogrzewamy dom, żeby było w nim zimno jak w psiarni – mówiąc to, zatrzaskała za sobą drzwi.

Dziewczyna mimo panującego na dworze zimna przetarła ręką spoczone czoło, poprawiając przy tym czepek na głowie. Westchnęła i zarzuciła na sznur kolejne parujące prześcieradło.

\*\*\*

Magnus zdjął z siebie podartą kapotę, układając ją starannie na pokrytym lodem dachu i wsunął w spodnie wystający z tyłu rąbek koszuli, zaciskając

mocniej kawałek sznurka służący mu za pasek. Następnie podniósł linę, przewijając się nią w tali.

– Długo jeszcze będziesz się pindrzył? – rzucił zniecierpliwiony Knight.

– Już kończę psze pana – odparł, wiążąc trzęsącymi się od zimna rękami supeł, na okalającym pas sznurze.

John chwycił linę, mocno nią szarpiąc, przyciągając w ten sposób chłopaka do siebie.

– Wystarczy – zaordynował. – W końcu nie będziesz się wspinał, bóg wie gdzie – popuścił chwyt. – Włóż do środka.

Magnus podniósł ręce, chwycił się szczytu komina, z wysiłkiem podciągając się do góry. Jednak po chwili niezdarnej szamotaniny opadł na dach. John zaklął pod nosem, złapał dzieciaka w pasie i posadził na kominie.

– Czy ja muszę wszystko robić za ciebie?! Na co mi taki pomocnik? Może powinienem poszukać kogoś bardziej rozgarniętego?

– Nie trzeba psze pana – odparł szybko. – Ja zaraz wszystko wyczyszczę. Będzie pan zadowolony.

– No, mam nadzieję – uniósł palec w ostrzegawczym geście. – Żeby nie to, że mam takie dobre serce, już dawno zamarzyłbyś w jakimś zaszczanym zaułku.

– Wiem, bardzo panu dziękuje za opiekę – pokornie skłonił głowę.

Knight zmierzył dzieciaka groźnym spojrzeniem.

– Więc okaż, choć krztę wdzięczności i włóż wreszcie do tego cholernego komina! – złapał linę i pchnął Magnusa w czarną dziurę.

Chłopak przez moment zsuwał się głową w dół. Nagłe szarpnięcie zacisnęło pętlę wokół pasa. Na chwilę zabrakło mu tchu. Szybko dotknął rękami ceglanych ścian, aby uspokoić rozdygotane ciało. Średnica komina nie była dużo większa od jego ramion.

– I co?! – krzyknął John do wnętrza komina, popuszczając powoli linę.

– Na razie wszystko w porządku – wystawił ręce przed siebie, zsuwając się w dół.

Knight wypuścił kolejnych kilka jardów, zanim usłyszał dobiegający z ceglanych tunelu krzyk.

– Jest coś!

Zablokował linę, czekając. Rozległ się jakiś przypominający szamotaninę hałas. Sznur zatańczył na krawędzi komina, strzępiąc się o cegły. Kolejny głuchy dźwięk czegoś spadającego wydobył się z mroku, a tuż po nim dał się słyszeć głos Magnusa:

– Już odetkałem.

John rozpoczął mozolne zwijanie liny. Po minucie zobaczył dziurawą podeszwę buta. Złapał chłopca za nogi i wyciągnął z komina.

– No i co to było? – spytał.

– Jakiś ptak zrobił sobie gniazdo – odparł Magnus, otrzepując się z sadzy.

– Cholerne ptaszyska, wciskają te badyle, gdzie tylko mogą. Po co robić gniazdo w cholernym kominie?

– Może było mu zimno – bąknął chłopak i od razu tego pożałował.

– A tobie jak jest zimno, to też wchodzisz do komina? – zaatakował Knight.

– Nie, ale...

– Co ale? – warknął wściekły. – Myślisz, że jesteś mądrzejszy ode mnie?

– Nie psze pana – spuścił głowę.

– Pieprzony filio..., ff..., filozof się znalazł – zdzielił chłopca w głowę i w tym momencie rozległ się cichy pisk. – A to co? – przyciągnął Magnusa do siebie, wsadzając mu rękę pod koszulę. Po chwili wyjął zza brudnego materiału małego pisklaka. – Co my tu mamy?

– Był w gnieździe. Wziąłem go, żeby mu się nic nie stało.

– I po co? Będziesz go karmił, a może ja mam to zrobić? Sam nie mam co do gęby włożyć, a jeszcze muszę utrzymywać takiego darmożjada jak ty – obejrzał szarą puchową kulkę. – Nawet nie ma jak go zjeść. Same pióra i kości.

– Może mama będzie go szukać. Jak go tam położymy, to na pewno go znajdzie – powiedział Magnus z nadzieją w głosie, wskazując kawałek dachu obok komina.

– Lepiej niech sam jej poszuka. Tak będzie szybciej – burknął John, zrzucając pisklaka z dachu.

Ptaszek zamachał instynktownie skrzydełkami. Jednak bez żadnego rezultatu i spadł na ziemię jak kamień. Magnus niewiele myśląc, zerwał się do biegu, ale potężne szarpnięcie liny posadziło go gwałtownie na tyłku.

– Ty filozof, nie mamy czasu na głupie zabawy. Trzeba uprzątnąć badyle, które zrzuciłeś na dół. Nie mam zamiaru sprzątać po tobie – zatkał palcem dziurkę od nosa i drugą obficie smarknął. Następnie pociągnął sznur do góry, stawiając w ten sposób chłopca na nogi. – Ruszaj się – wymierzył mu siarczystego kopniaka.

Chłopak poczuł napływające do oczu łzy, ale wyczuwając wzrok Knighta na swoim karku, przygryzł wargę, aby powstrzymać pierwsze słone krople.

\*\*\*

Ścisnęła kilkakrotnie poduszkę, aby nadać jej puszystości, ułożyła ją staranie u wezglowia, dotykając atłasowej narzuty. Jakże ona była miękka. Jak cudownie musi się spać na takim pościu – przeszło jej przez myśl. Spojrzała na otwarte drzwi, bacząc czy nikt jej nie widzi i ostrożnie przysiadła na skraju łóżka. Opuściła ręce po bokach i delikatnie palcami musnęła króciutkie włosie. Po chwili rozwarła dłonie, kreśląc coraz większe kręgi na szkarłatnym materiale. Jakież on cudowny w dotyku – pomyślała, Mildreth kładąc się na plecach. Przymknęła oczy i cicho westchnęła. Nagle usłyszała jakiś hałas dochodzący z korytarza. Błyskawicznie poderwała się z łóżka. Wyglądziła w pośpiechu narzutę, chwyciła brudną pościel z ziemi i z wypiekami na twarzy wybiegła z pokoju. Szła w stronę schodów, gdy na końcu korytarza ujrzała znikającą za rogiem dziewczynkę, była od niej niższa o pół głowy, a zwiewna sukienka w drobne kwiaty sięgała jej do kostek. Dziwne, czyżby na piętrze mieszkał ktoś jeszcze? – pomyślała, przyciskając do siebie poszwę. Zeszła na dół do pralni, wrzuciła pościel do kosza z brudnymi rzeczami, chwyciła wiadro z wodą i udała się do kuchni.

Hortense stała nad garnkiem wrzucając do niego jakieś zioła. Zamieszała łyżką, podniosła ją do ust i dmuchnęła, aby ostudzić parujący wywar. Spróbowała trochę, po czym zmarszczyła lekko brew nie do końca zadowolona z efektu swojej pracy. Dosypała jakiejś przyprawy z wiszącej na ścianie półki i spróbowała ponownie. Kątem oka zobaczyła stojącą w progu Mildreth.

– Chcesz trochę zupy? – uśmiechnęła się zapraszająco.

– Nie, dziękuję. Muszę najpierw umyć podłogę.

– Jeszcze zdążysz.

– Panna Bennett będzie niezadowolona, jeśli tego nie zrobię.

– Panna Bennett jest wiecznie niezadowolona, nie ma znaczenia, czy podłoga jest brudna, czy czysta – posłała kolejny uśmiech w stronę dziewczyny. – Poza tym wyszła i nie będzie jej przez jakiś czas – podeszła do szafki, wyjęła z niej talerz i nie czekając na reakcję dziewczyny, nałożyła potężną porcję zupy. – Siadaj i zjedz coś – postawiła talerz na stole, kładąc obok grubą pajdę chleba.

Mildreth chwilę się wahała, walcząc z poczuciem obowiązku. Strach przed Brittanicą kazał jej wziąć się do roboty, lecz rozkoszny zapach rozchodzący się w powietrzu drażnił jej zmysł powonienia, w końcu głód zwyciężył. Odstawiła wiadro i wrzuciwszy do niego szmatę, usiadła przed parującą zupą. Chwyciła łyżkę, jak kij skupiając się na wiosłowaniu.

– Bardzo dobra – powiedziała z pełnymi ustami, podnosząc głowę znad talerza.

– Ma się rozumieć – odparła Hortense z satysfakcją. Chwyciła nóż i zabrała się do krojenia mięsa.

– Nie wiedziałam, że mieszka tu dziewczynka – zagaiła Mildreth między siorbnięciami, pochłaniając zupę w błyskawicznym tempie.

– O czym ty mówisz? – rzuciła kucharka, nie przerywając krojenia.

– Widziałam na piętrze małą blondynkę – rzekła, biorąc potężny kęs chleba.

– Musiało ci się wydawać. Tu nie mieszka, żadna dziewczynka. Oczywiście poza tobą i Daphne.

– Hmm..., dziwne mogę przysiąc, że ją widziałam, była niższa ode mnie, miała długą jasną sukienkę i złote włosy.

Nóż Hortense na chwilę zawisł nad kawałkiem wieprzowiny. Kobieta nieświadomie przygryzła dolną wargę, zawieszając spojrzenie na desce do krojenia.

– Lepiej Millie wracaj już do pracy, pani Bennett może niedługo wrócić – powiedziała, nie odwracając się.

Dziewczyna połknęła dwie łyżki zupy, jedną po drugiej, wepchnęła resztę chleba do ust i chwyciwszy wiadro, wyszła z kuchni. Hortense nasłuchiwała kroków służącej, niknących w oddali, a gdy ustały na dobre, odwróciła się, oparła ciężko o blat i zrobiła parę głębokich wdechów, aby uspokoić skołatane nerwy.

\*\*\*

Walter otworzył pudełko z cygarami, wyjął jedno z nich, zapalił. Rozparł się wygodnie w fotelu, wypuszczając z ust wielką chmurę dymu i powiódł leniwym wzrokiem po swoim gabinecie, głośno wzdychając. Wczorajsze rewanzowe przyjęcie dało mu się mocno we znaki, od rana czuł lekkie ómienie w głowie. Sięgnął po stojącą na stoliku obok buteleczkę, odkorkował ją i wypił mały łyk. Już miał ją odstawić, ale w ostatniej chwili się rozmyślił. Ponownie wyjął korek, aby przyjąć kolejną dawkę swojego panaceum. Jeśli laudanum nie pomoże, to już nic nie pomoże – pomyślał. Nagle drzwi do pokoju otworzyły się i pojawiła się w nich służąca.

– Bardzo pana przepraszam. Myślałam, że gabinet jest pusty – powiedziała Daphne zawstydzona, wycofując się na korytarz.

– A gdyby tak było? To, co miałaś zamiar uczynić? – rzucił Walter.

– Chciałam tylko odkurzyć – odparła z delikatnym uśmiechem, unosząc do góry pierzastą miotełkę.

– Zatem przymknij drzwi i nie przeszkadzaj sobie. Zachowuj się tak, jakbym był powietrzem – odrzekł z równie delikatnym uśmiechem, zakładając nogę na nogę.

Dziewczyna podeszła do regału z książkami, uniosła miotełkę i lekkim ruchem, znamionującym wprawę w tym, co robi, przesunęła pióra po grzbietach opasłych woluminów. Walter wypuścił kolejną smugę dymu przed siebie, odchylił głowę do tyłu i powiódł wzrokiem za smukłą sylwetką Daphne, która całą swoją uwagę skupiła na oczyszczeniu dwóch obrazów przedstawiających wiejski krajobraz. Griffith uwolnił z ust następną chmurę dymu, czując jak laudanum, zaczęło powoli objawiać swą moc. Pokojówka minęła masywne biurko. Walter, przewidując trasę, którą dziewczyna przemierzy pokój, przechylił się na oparciu fotela i wystawił rękę tak, aby zahaczyć nią o sukienkę.

– Och najmocniej pana przepraszam – odparła zmieszana.

– Oj..., nic się nie stało – rzucił niedbale, trzymając fałdę materiału między palcami, jednocześnie się nią bawiąc.

Daphne próbowała wrócić do swoich obowiązków, ale poczuła, że materiał sukienki się napina, a Walter ciągnie ją ku sobie.

– Proszę pana, ja muszę odkurzyć... – wydukała szybko, pąsowiejąc na twarzy.

– Oczywiście, ale nie przejmuj się tym. Jeśli chcesz, mogę dać ci wolne – posłał dwuznaczny uśmiech i mocniej pociągnął za swoją zdobycz.

Dziewczyna niemal usiadła na kolanach Waltera, jednak w ostatnie chwili chwyciła się poręczy fotela, ustając na nogach.

– Biedactwo, ależ jesteś zmęczona – w głosie dało się słyszeć autentyczną troskę. – Spocznij na chwilę – mówiąc to, klepnął kilkukrotnie w swoje udo.

W tym momencie drzwi do pokoju stanęły otworem.

– Co ty tak długo dziewczyno robisz? – rzuciła ostro Brittanica.

Daphne odwróciła się błyskawicznie, odsłaniając jednocześnie skrytego jeszcze przed chwilą w fotelu mężczyznę.

– Ja... – bąknęła.

– Sprząta – dokończył Walter za nią. Pyknął cygaro i stuknął palcem w podłokietnik. – Jeszcze tutaj Daphne. Nie znoszę tych pyłków.

Dziewczyna stała jak oniemiała. Brittanica omiotła wzrokiem obecnych.

– Nie słyszysz? Zajmij, że się sprzątaniami – zaordynowała, po czym posłała delikatny uśmiech pracodawcy, lekko się skłoniła i wyszła.

Griffith spojrział na krzątającą się wokół fotela służącą i napotykając jej wzrok, uśmiechnął się zalotnie. Dziewczyna szybko odwróciła głowę, a Walter sięgnął po butelkę z laudanum i wypił kolejny łyk.



\*\*\*

– Masz – burknął John, rzucając na brudny stół ustawiony pośrodku jego kwatery kawałek czerstwego chleba. – Właściwie nie powinieneś dzisiaj nic jeść – podnosząc wzrok znad miski. – Wiesz dlaczego? – widząc pytające spojrzenie chłopca, kontynuował. – Bo na jedzenie, trzeba zapracować, a ty, najwyraźniej tego nie potrafisz.

– Ale przecież ja... – Magnus nie dokończył, gdyż John pochylił się nad stołem i zdzielił go w głowę.

– I jeszcze pyskujesz – zmierzył chłopca wściekłym spojrzeniem, wyczekując jakichkolwiek oznak buntu. Nie doczekawszy się ich, dodał. – Przez ciebie mogłem stracić jednego z najlepszych klientów. Jeszcze jeden taki numer, a wylądujesz na bruku – głośno siorbnął zupę. – Kręci się tu mnóstwo dzieciaków mniejszych od ciebie, którzy będą się bardziej nadawać do tej roboty – przez cały czas obserwował Magnusa i teraz wreszcie uśmiechnął się z satysfakcją, widząc jak drobna sylwetka chłopca, kuli się pod realną groźbą.

– Przepraszam psze pana – wybąkał mały.

– No... – John rzucił chłopcu przez stół kolejny kawałek chleba. – Masz szczęście, że mam dobre serce – głośno beknął, odsuwając pustą miskę i wstał od stołu, przewracając na podłogę rozklekotany taboret. Otworzył drzwi wyjściowe i do izby wtargnęło mroźne powietrze. – Przydaj się do czegoś i sprzątnij ten chlew – wyszedł, trzaskając drzwiami.

Magnus rzucił się na pustą miskę, wylizując do cna resztki zupy. Podniósł stołek, rękawem przetarł stół i chwiejnym krokiem doszedł do starego siennika. Położył się na nim, okrył starym kocem i zasnął.

\*\*\*

Uwiesiła się na ramieniu swojego adoratora, nie odrywając wzroku od jego twarzy zdobionej przez przyprószone siwizną krzaczaste bokobrody.

– ... a potem przyprowadził konia.

– Doprawdy to niewiarygodne – zaszcebiotała, wachlując rzęsami.

– A ja mu powiedziałem, że mając takiego konia i taką żonę, nie powinien w ogóle opuszczać stajni, a jemu w jednej chwili spadł melonik z głowy – dokończył dykteryjkę mężczyzna.

– Ha, ha, ha, Jude proszę już przestać. Nie wytrzymam – kokietyrnie klepnęła go w ramię, odzianą w rękawiczkę dłonią.

Tej nocy ruch nie był zbyt duży, a późna pora i panujący sążnisty mróz nie sprzyjał romantycznym przechadzkom. Przecieli snop światła rzucający przez uliczną latarnię i skryli się w mroku, aby po chwili wynurzyć się z niego w blasku kolejnej latarni.

– Okolica nie wygląda na zbyt przyjazną – powiedział mężczyzna, rozglądając się niepewnie po obskurnych kamienicach. – Czy na pewno idziemy w dobrym kierunku?

– Tak – posłała mu słodki uśmiech. – To już niedaleko, zaraz za tym rogiem. Zazwyczaj nie wracam o tak późnej porze, ale przy tobie czuję się bezpieczna – zatrzepotała rękami.

– Cóż – uśmiechnął się szarmancko, odzyskując nieco rezonu i ponownie wszedł w ciemność – Tak więc, gdy byłem w Cork... – rozpoczął kolejną anegdotę.

Nagle na drodze przed nimi wyrosła jakaś postać. Próbowali ją wyminąć, jednak obcy zrobił krok w bok, blokując im przejście.

– Nie boją się tak państwo sami chodzić po zmroku? – rzucił nieznajomy.

– Proszę zejść z drogi. Nie widzi pan, że odprowadzam damę.

– Ha, ha, a to dobre. Jakoś nie widzę tu żadnej damy – rzucił obcy ze złośliwym uśmiechem.

– Jak pan śmie brukać dobre imię tej kobiety. Lorabelle, niczego się nie obawiaj – objął ją ramieniem, starając się ominąć napastnika.

Jednak mężczyzna wystawił, rękę blokując drogę.

– Zaraz, nie tak szybko ślicznotko. Kto zapłaci za przejście?

– Jak pan śmie? – oburzyła się.

– Żeby nie fakt, iż jestem gentelmanem – wtrącił Jude. – I że jest tu kobieta, dałbym panu porządną nauczkę, na którą z pewnością pan zasługuje.

– Ależ proszę się nie bastować – powiedział nieznajomy, wyjmując zza pazuchy solidnych rozmiarów nóż.

– Jak pan sobie życzy – odparł wściekły Jude. Zagarnął dziewczynę za siebie, chwycił oburącz trzymaną w ręku laskę i mocno szarpnął, wyciągając z niej długie niemal na trzy stopy ostrze. Zamachnął się, tnąc jak szpadą. Napastnik wytrzeszczył oczy ze zdziwienia i odskoczył do tyłu, próbując parować cios nożem. Jednak na niewiele się to zdało. Jude rozciął rękaw płaszcza, raniąc przeciwnika w przedramię. Odwiódł szpadę do tyłu, gotując się do pchnięcia, gdy nagle jego głowę przeszył straszliwy ból i jak raniony piorunem, padł twarzą na bruk.

– No, wreszcie – wysapał mężczyzna z nożem. – Jeszcze trochę, a by mnie posiekał.

– Sam sobie jesteś winien – odparła Lorabelle. Odrzuciła na bok kostkę brukową, zdjęła rękawiczkę, pochyliła się nad swoim adoratorem i przyłożyła dłoń do jego ust. – Oddycha – oznajmiła. – Pomóż mi Orris – rzuciła rozkazującym tonem. Przekręcili nieprzytomnego Juda na plecy, a ona zręcznym ruchem rozpięła mu płaszcz, wyjmując portfel z wewnętrznej kieszeni. Pogmerała chwilę przy kamizelce, czego skutkiem był zdobyty zegarek. – Dobra idziemy – chwyciła współnika za rękaw i pociągnęła za sobą. Odeszli kilka jardów, kiedy Orris zatrzymał się gwałtownie.

– Zaczekaj – rzekł i pobiegł z powrotem.

– Ani myślę, zaraz ktoś tu może przyjść – syknęła, nie zatrzymując się, minęła kolejną kamienicę i skręciła za róg. Po chwili rozległ się przeciągły gwizd i zobaczyła zbliżającego się z naprzeciwka policjanta. Stała jak sparaliżowana, szykując się na najgorsze. Jednak on ją minął i pobiegł w kierunku, z którego przyszła. Wypuściła głośno powietrze i oparła się o mur. Nagle podskoczyła ze strachu, czując jak ktoś, chwytając ją mocno pod ramię.

– Co tak stoisz, musimy uciekać – powiedział Orris, popychając ją do przodu.

– Gdzieś ty polazł?

– Zapomnieliśmy tego – obwieścił, podnosząc z dumą, zakończoną srebrną główką lwa laskę. – Szkoda by było coś takiego stracić.

– Przez ciebie idioto mogliśmy stracić znacznie więcej – syknęła wściekła.

\*\*\*

Po dwóch godzinach walki z ciemnym Ale, Knight wciąż odczuwał pragnienie. Zamoczył wąsy w kolejnym piwie, a następnie oblizał usta, odstawiając z hukiem kufel na drewnianą ławę.

– Choć tu malutka – chwycił za rękę przechodzącą obok puszystą kelnerkę, przyciągnął brankę do siebie, jednocześnie sadowiąc ją na swych kolanach. – Pewnie bolą cię nóżki od tego ciągłego chodzenia kluseczko – rzucił, obleśnie się śmiejąc.

– Hi, hi, John, ale filut z ciebie – zaszczebiotała dziewczyna, posyłając mu ukazujący braki w uzębieniu uśmiech.

– A masz! – ścisnął ją za pierś i mocno klepnął w wystający pośladek. – Myślałaś, że tego nie widzę? Cały czas się tu kręcisz, ty mała ladacznico.

Drzwi do karczmy otworzyły się, pozwalając zimnemu powietrzu otrzeźwić co bardziej spitych bywalców. Lorabelle weszła pierwsza, torując drogę Orrisowi.

– Z drogi – rzuciła, odpychając na bok pijanego brodacza. Czerwoną twarz mężczyzny wykrzywił grymas zaskoczenia, który po chwili zamienił się we wściekłość. Zamachnął się ręką, aby ostudzić prowokatorkę, lecz nagle między nimi wyrosła wysoka postać, chwytając go za nadgarstek.

– Nie słyszałeś, co pani powiedziała? – spytał zaczepnie Orris, wykręcając przy tym rękę brodacza.

– Zostaw, to boli – syknął pijak.

– I bardzo dobrze – odparł, popychając mężczyznę na stół.

Lorabelle przedarła się do kontuaru, wsparła się o Orrisa i zawołała:

– Dick dwa ciemne – pokazała na palcach.

Kędzierzawy rudzielec zerknął spode łba, wycierając brudny kufel jeszcze brudniejszą ścierką.

– A kto za to zapłaci? – powiedział.

– Nie gadaj tyle, tylko polej – odparła Lorabelle, rzucając na bar monetę.

Barman szybko ją podniósł, uważnie oglądając z każdej strony.

– Wezmę to jako część zapłaty za pokój, wisicie mi za trzy tygodnie – włożył ją do kieszeni, a następnie wrócił do zabawy ze ścierką.

– Nie narzekaj, lepszych klientów niż my możesz ze świecą szukać – odparła.

Rudzielec głośno prychnął, wyciągając spod lady pęczek związanych sznurkiem świeczek.

– Mogę spróbować – zamachał nimi przed nosem i odrzucił z powrotem.

– Co się gorączkujesz? Przecież zawsze płacimy.

– Do czasu, aż kiedyś nie wrócicie, a wtedy kto mi wyrówna? Interes to interes. Pokój musi zarabiać, a teraz tego nie robi.

– Rany, ale jesteś upierdliwy – jęknęła. – Orris dorzuć coś.

Wspólnik rzucił na blat kilka kolejnych monet. Barman błyskawicznie zlustrował zdobycz, która podążyła śladem poprzedniczki. Potężny uśmiech wykwitł na jego twarzy.

– Dwa ciemne dla moich ulubionych klientów – oznajmił, nalewając piwo. – Widzę, że fortuna sprzyja najlepszym – nie przestawał się szczerzyć.

– Może coś do jedzenia?

– No, dawaj kurczaka – odparł szybko Orris, oblizując się nieświadomie.

– Rachel, jeden kurak! – wydarł się za siebie. – Ino migiem!

Lorabelle rozejrzała się w poszukiwaniu wolnego miejsca. Widząc mężczyznę, machającego w jej kierunku z końca sali, podążyła w jego stronę.

– Zmykaj – powiedział Knight, zrzucając kelnerkę z kolan, klepnął ją w tyłek na odchodne. – Lorabelle siadaj – zaprosił, uderzając w siedzisko obok

siebie.

Dziewczyna uśmiechnęła się i usiadła po drugiej stronie ławy.

– Jak leci? – zagadnęła.

– Nie narzekam, mam nowego dzieciaka – wypił potężny łyk piwa. – Szczeniak jest mały, chudy, wejdzie w każdy komin. A co u was?

– Sam wiesz, raz lepiej, raz gorzej.

Orris dosiadł się, stawiając na stole parującego kurczaka. Przytrzymał go brudną ręką, odrywając udko.

– Tego mi było trzeba – obwieścił, ciągnąc zębami skórę.

Dziewczyna rozerwała rękami pierś i wydzieliwszy kawałek soczystego mięsa, wepchnęła je sobie do ust. Spojrzała w wygłodniałe oczy Knighta i skinęła przyzwalająco głową. John tylko na to czekał, rzucił się na kurczaka jak wygłodniały pies.

– Hej nie zeżryj wszystkiego – ostrzegł z pełną gębą Orris. Odpowiedzią było głośnie mruknięcie.

Przez pewien czas panowała cisza przerywana mlaskaniem i głośnym bekaniem. W końcu kurczak zniknął tak szybko, jakby był przepiórką. John wytarł rękawem usta i pierwszy przerwał milczenie.

– Widzę, że jednak się powodzi – machnął palcem w stronę zdobnej laski.

– A, to – odparł od niechcienia Orris, gładząc dłonią srebrną główkę. – Dostałem od kolegi.

– Nie wiedziałem, że masz takich znajomych. Winszować.

– Dał mi ją w dowód wdzięczności.

– Doprawdy? A za cóż był ci tak wdzięczny?

– Za to, że nie podciąłem mu gardła – zaśmiał się rubasznie, popychając ramieniem Lorabelle, która posłała do niego uśmiech ustami wypełnionymi mięsem z kurczaka. Zadowolony z siebie rozejrzał się po sali, napotykając wzrok kelnerki, zawołał. – Jeszcze dwa – zerknął na kompana. – Albo niech będą trzy – wystawił trzy umorusane paluchy. – Raz się żyje.

Knight widząc dobry humor towarzyszy, od razu zwietrył swoją szansę.

– Widzę, że dzisiejszy wieczór możecie uznać za udany – oblizał usta, ni to z tłuszczu, ni to z zachłanności. – Skoro tak dobrze się wam powodzi, może dalibyście staremu druhowi ze dwa suwereny, w imię dawnych dobrych czasów?

– Dobrych czasów powiadasz? – odparła Bella, odgryzając skórę od skrzydełka.

– A jakże, przeżyliśmy razem niezłe przygody, a teraz nie wiedzie mi się najlepiej, więc moglibyście wesprzeć kompana.

Kelnerka postawiła zamasyście piwo, rozlewając je na stół.

– Dzięki, skarbie – rzucił Orris, klepiąc dziewczynę w tyłek, szczerząc przy tym żółte zęby. Następnie odwrócił się w stronę kolegi. – Mówisz, że dwa?

– No – odparł szybko Knight.

– W sumie, czemu nie? – wyciągnął spod pazuchy monety, rzucając je na stół.

Ręka Johna błyskawicznie przykryła jeszcze kręcące się krążki metalu. Przesuwał je w swoją stronę, gdy Lorabelle przycisnęła jego dłoń do blatu.

– Nie tak szybko – wygięła drugą ręką palce Knighta, wyciągając spod nich złotą monetę. – Jedna w zupełności ci wystarczy.

– Ale Orris dał mi dwie.

– Ale ja mówię, że jedna, to i tak nadto – rzuciła ostrym tonem, przesuwając monetę palcem wskazującym w swoją stronę. – I jeszcze jedno, on ci jej nie dał, tylko pożyczył.

– Ale przecież...

– Jak nie chcesz, to chętnie ją zabiorę.

– Nie, nie – pociągnął rękę, wyrywając ją jednocześnie z uścisku Lorabelle. – Jeden suweren będzie w sam raz – uśmiechnął się pojednawczo i chwycił kufel ze świeżym piwem.

Orris uniósł swój, oznajmiając:

– Zdrowie bogatych jeleni, co wchodzą do ciemnej sieni – uderzył kuflem w kufle kompanów, głośno się przy tym śmiejąc.

### III

Garnet odchylił odgradzającą go od świata zewnętrznego zasłonkę. Spojrzał zblazowanym wzrokiem na przelewający się po trotuarze tłum przechodniów. Wystawił głowę przez okno dorożki i krzyknął do woźnicy:

– Jeszcze jedna przecznica – opadł ciężko na kanapę, podniósł leżący obok szapoklak, dmuchnął na niego, usuwając jakiś pyłek, a następnie uderzył nim w kolano, aby się rozłożył. Ponownie zerknął na zewnątrz i widząc znajomy budynek, uderzył laską w bok dorożki. Stangret krzyknął coś do koni, zatrzymał pojazd nieopodal kamiennych kolumn znaczących wejście do kamienicy, zeskoczył z kozła i otworzył drzwi.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił.

– Nie da się ukryć – odparł Garnet, ostrożnie wysiadł, założył cylinder i uderzył dwukrotnie laską w bruk. Widząc, że przykuł uwagę, powiedział. – Proszę wszystko wnieść do środka – machnął laską, pokazując drogę, jaką powinny przebyć jego bagaże. Wszedł na schody i uderzył trzykrotnie mosiężną kołatką. Po chwili drzwi się otworzyły.

– Och! Panicz Garnet! – zawołała z emfazą Brittanica. – Jak miło pana widzieć – omal nie rozpląnęła się ze szczęścia.

– Wzajemnie – odparł, wkraczając do środka.

– Jak minęła paniczowi podróż?

– Cóż, nie można powiedzieć, żeby było to coś, co z chęcią bym powtórzył – mówiąc to, podał Brittanice cylinder i wszedł do salonu. Przez chwilę wahał się gdzie usiąść, w końcu rozłożył się na kanapie, wyciągając nogi na misternie rzeźbionym podłokietniku. – Niech tylko sobie pani wyobrazi te wszystkie godziny spędzone w tej nędznej furmance. Jak można w czymś takim podróżować, a do tego te drogi. Jedyne zbawieniem wydaje się kolej, jednak ten hałas jest nie do zniesienia – położył dłoń na czole, demonstrując w ten sposób potworny ból głowy.

Panna Bennett stała przez całą tyradę uważnie wysłuchując narzekań, co pewien czas zerkając w stronę woźnicy, upewniając się tym samym, że wszystkie bagaże trafią tam, gdzie powinny.

– Czy pani matka jest w domu?

– Tak, zaraz ją powiadomię, że panicz przybył – wycofała się na korytarz i widząc woźnicę stawiającego kolejne walizki, powiedziała ostro. – Gdzie pan to, kładzie? Myśli pan, że będziemy nad tym fruwać?

– Ale... – wydukał.  
– Niech pan natychmiast zanieś bagaże do pokoju panicza.  
– Tylko że ja nie wiem, gdzie on jest – rozejrzał się bezradnie.  
– To, czemu od razu pan nie mówi – zachnęła się. – Daphne! – zawołała, odczekała chwile i ponowiła okrzyk. Po paru sekundach rudowłosa pokojówka zbiegła po schodach. – Gdzieżeś się podziewała nieużyta dziewczyno?

– Przepraszam, pani Bennett ja tylko...  
– Nie chcę słuchać głupich wymówek – machnęła lekceważąco ręką. – Przydaj się do czegoś i pokaż temu panu, gdzie znajduje się pokój panicza Garneta, ale to migiem. Nie mamy czasu na spacerki.

Daphne natychmiast pobiegła na górę.

– Gdzie tak pędzisz, głupia dziewucho? – rzuciła Brittanica. – Łap się za walizkę, dla odmiany możesz czasem popracować – przewróciła oczami, szukając wsparcia u stangreta, lecz nie widząc zrozumienia, tylko głośno westchnęła. Podążyła ich śladem.

Pokój młodego Griffith'sa znajdował się na piętrze na końcu korytarza, tak więc naturalnym przystankiem w drodze do niego okazała się sypialnia Clementine. Panna Bennett stanęła przed dębowymi drzwiami i ostrożnie w nie zapukała. Sekundę później dał się słyszeć zachrypnięty kobiecy głos:

– Czego?

Ostrożnie nacisnęła klamkę i nieśmiało zajrzała do środka. Okna były zasłonięte przez ciężkie kotary, tworzące półmrok w całym pomieszczeniu.

– Chciałam tylko zakomunikować, że przyjechał panicz.

– Co powiedziałaś?

– Przyjechał panicz.

– Garnet tu jest?

– Tak madame.

– I dopiero teraz mi o tym mówisz?

– Przepraszam, ale powóz przyjechał...

– Nie chcę tego słuchać. Nie stój w tych drzwiach jak kij. Odsłoń rzesz w końcu te cholerne zasłony i podaj mi jakąś suknię – wygrzebała się spod grubej pierzyny, usiadła na łóżku i sięgnęła do stojącego obok barku. Złapała kryształową szklankę, wypijając jej zawartość.

Brittanica odsunęła story, światło słoneczne zalało pokój. Następnie otworzyła szafę, wydając ciemnoszarą suknię.

– A co to za kolor? Wyjmij mi coś żywszego, może tę zieloną.

– Jak sobie madame życzy – wyciągnęła suknię w kolorze brukselki, kładąc ją na łóżku.



– Czy pokój Garneta jest już gotowy? – spytała Clementine, nalewając whisky do szklanki.

– Powinien być przygotowany – odparła szybko i od razu pożałowała tego, co powiedziała.

– Jak to powinien? To ty tego nie wiesz? – wściekłość odmalowała się na jej twarzy. – Myślisz, że za co ci płacę? Za zgadywanie? Masz prostą pracę. Jedyne czego od ciebie się wymaga, to to, żebyś wiedziała, a nie snuła przypuszczenia.

– Ma pani całkowitą rację, więcej się to nie powtórzy – pochyliła pokornie głowę.

– Oczywiście, że się nie powtórzy, bo w przeciwnym razie twoje obowiązki może równie dobrze wykonywać ta gruba kucharka Cor..., Hor...

– Hortense – dokończyła Brittanica.

– Co to miało znaczyć? Myślisz, że nie wiem jakie imiona nosi moja służba?

– Nie madame, ja tylko myślałam, że...

– O widzę, że myślisz, to już jakiś postęp, a teraz z łaski swojej może sprawdzisz, czy wszystko zostało zrobione, abys nie musiała więcej snuć swoich przypuszczeń – zakończyła wywód haustem whisky.

Gdy tylko Brittanica uwolniła się od swojej prześladowczyni, natychmiast ruszyła na górę. Z rozwianą suknią wbiegła do pokoju, w którym piętrzył się stos walizek. Widząc pochylającą się nad łóżkiem Daphne, od razu przystąpiła do rozładowania swojej frustracji.

– Pościel zmieniona? – rzuciła ostro bez zbędnego wstępu.

– Tak – odparła szybko służąca, stając na baczność. – Pokój jest już gotowy, tak jak pani sobie życzyła.

Panna Bennett rozejrzała się baczny wzrokiem, podeszła do komody przecierając dłonią blat, szukając chociaż odrobiny kurzu. Jak na złość nie znalazła ani drobin. Niezadowolona z efektu poszukiwań zatrzymała wzrok na walizkach.

– Mówisz, że jest gotowy? Tak?

Dziewczyna skinęła potakująco głową.

– To w takim razie wyjaśnij mi, co to jest? – machnęła ręką na górę bagaży. – Mam rozumieć, że sterta rzeczy piętrzących się na dywanie, to coś normalnego w przygotowanym pokoju?

– Nie ja... – wybąkała wystraszona.

– Myślisz, że panicz po ciężkiej podróży, będzie teraz babrał się w tych szmatach? Bagaż powinien być już dawno rozpakowany, a tymczasem

widzę tu jeden wielki śmietnik.

– Przepraszam, jeszcze nie zdążyłam...

– Czego nie zdążyłaś?! Nie zdążyłaś przygotować pokoju? – spiorunowała spojrzeniem pokojówkę. – Od razu widać, że nie jest gotowy. Nie musisz mi o tym mówić. Nie wiem, co mają na celu te twoje kłamstwa. Uważasz, że jestem głupia, a może ślepa?

Dziewczyna już miała odpowiedzieć, ale w ostatniej chwili stwierdziła, że lepiej będzie trzymać usta na kłódkę.

– Weź się do pracy i przestań myśleć o niebieskich migdałach. Pamiętaj, nie ma ludzi niezastąpionych, a ciebie zastąpić jest bardzo łatwo – wychodząc, posłała kolejne wściekłe spojrzenie. Schodząc na dół, uśmiechnęła się pod nosem. Rozmowa z Clementine na chwilę wyprowadziła ją z równowagi, ale teraz wszystko znowu wróciło na odpowiednie tory.

\*\*\*

Lokal był ciemny i zadymiony. Składał się z kilku pokojów, w których niewielkie okna zostały szczelnie zasłonięte ciężkimi storami. Umeblowanie stanowiło kilka szeszlągów i mnóstwo posłań rozmieszczonych między nimi.

Walter przystawił usta do bambusowej rurki i mocno się zaciągnął, przytrzymał dym w płucach, wypuszczając po kilku sekundach. Spojrzał w nikłe światło małej olejowej lampki, ledwie rozjaśniającej nieprzenikniętą ciemność. Leżał tak przez kilka minut, delektując się stanem upojenia. Ponownie podniósł długą na ponad dwie stopy fajkę i się zaciągnął. Czując, że opiumowy wsad się wypala, kiwnął ręką na majaczącą w drugim kącie pokoju sylwetkę. Mężczyzna wstał i po chwili pochylił się nad szeszlągiem Waltera.

– Jeszcze jedną kulkę – zaordynował Walter.

Chińczyk nabił porcelanową główkę fajki świeżą porcją opium i ustawił nad płomieniem olejowej lampki, tak aby nadać jej odpowiednią temperaturę, a jednocześnie nie spalić cennego specyfiku. Rozkoszny zapach zaczął drażnić nos Griffith'sa. Odczekał chwilę i zaciągnął się świeżą dawką. Pod ścianą jakiś mężczyzna kręcił się delikatnie, mamrocząc coś do siebie, kolejny jegomość leżał na podłodze w podartej kapocie zupełnie bez ruchu, wyglądał na martwego. Walter przysunął fajkę do ust, miał wrażenie, że czynność ta trwa całe godziny. Zrobił głęboki wdech, wciągając porcję dymu. Przytrzymał w płucach, tak jak czynił to wiele razy wcześniej.

Wypuścił go powoli, delektując się każdą sekundą. Czuł jak jego powieki, stają się potwornie ciężkie. Uśmiechnął się do siebie, gdy delikatne mrowienie rozeszło się po całym ciele. Wreszcie zaczął powoli odpływać.

\*\*\*

– Więc to jest panicz Garnet? – spytała Mildreth, zerkając co jakiś czas na korytarz.

– We własnej osobie – odparła Hortense, krojąc marchew.

– Na portrecie wygląda jakoś inaczej.

– Na portretach każdy wygląda inaczej. Ty też wyglądałabyś jak księżniczka – zatrzymała nóż w powietrzu, odwracając się. – Nie mówię, że jesteś brzydka. Nic z tych rzeczy, jesteś naprawdę ładną panią – szybko zastrzegła. – Chodzi mi o to, że jak ktoś płaci malarzowi za portret, a nie są to małe pieniądze, to będzie wymagał, żeby wyglądał na nim jak młody bóg. Choćby był zezowaty i miał kartofel zamiast nosa. Przecież nie powiesz jakiejś szkarady na ścianie, żeby się nią chełpić wśród krewnych i znajomych, a gdy za naście lat ktoś spyta: jak kiedyś wyglądałaś lub jak wyglądał twój krewny? Wystarczy, że pokażesz mu obraz, na którym widnieje upięszona wersja. Kto będzie pamiętał, jak wyglądała ta osoba wcześniej, że była kulawa, a lewą ręką mogła podnosić monety z ziemi, nie zginając przy tym krzyża. Czy widziałaś kiedyś portret, na którym namalowano wyjątkowego maszkarona?

– Hmm..., chyba nie, ale widziałam bardzo mało obrazów. Głównie wisiły w kościele, więc hmm..., sama nie wiem. Chociaż – nagle wyraźnie się ożywiła. – W pokoju na górze wisi portret ojca pana Waltera i wygląda na nim strasznie.

– Ha, ha, masz rację. Znałam go i musisz mi wierzyć na słowo, że malarz wzbił się na wyżyny swoich umiejętności, żeby zatuszować liczne niedociągnięcia natury. Gdyby nie on, na ścianie wisiłby portret szympansa.

Mildreth wytrzeszczyła oczy, nie wierząc w to, co usłyszała i parsknęła śmiechem. Zadowolona z siebie kucharka wróciła do krojenia marchwi.

– A co panicz Garnet robił, gdy go tu niebyło? – indagowała służąca.

Odgłos uderzenia noża o deskę ustał i Hortense ponownie się odwróciła, wycierając jednocześnie ręce o fartuch.

– A cóż mógł robić taki dandys jak on? – spytała sama siebie. – To samo co tutaj.

– Czyli co?

– Jak to co? Nic. Odkąd pamiętam, nie robił nic. Zresztą nie ma co się dziwić, w końcu fachu wyuczył się od ojca, a kto jak kto, ale on osiągnął w tej profesji poziom iście mistrzowski. Gdyby chciał, mógłby nawet założyć cech, którego byłby wielkim mistrzem, ale wtedy musiałby coś zrobić, a to byłoby już sprzeczne z zawodem, który wykonuje – podeszła do kredensu, wyjęła z niego srebrną paterę i nałożyła na nią ciasto. – Lepiej idź, zanieś im to ciasto, bo w przeciwnym razie, zaraz pojawi się tutaj to wredne, suche babsko.

Mildreth ostrożnie wślizgnęła się do salonu. Widząc, iż nie umknęła uwadze Garneta, delikatnie dygnęła, balansując z trzymaną w rękach paterą. Był to jej debiut, jeśli chodzi o taką figurę i dlatego niezmiernie ucieszyła się, widząc, iż nie spowodowała ona żadnych ubytków względem niesionego ciasta. Odstawiła deser na stół, starając się przy tym nie gapić zbyt na panicza i aby tego dokonać, postanowiła skupić całą swą uwagę na dębowym parkiecie.

– A gdzie podział się ojciec? – spytał Garnet.

– No cóż, pielęgnuje swoje nowe hobby, jakim stały się palarnie opium. Można wręcz powiedzieć, że poświęca się mu bez reszty – odparła Clementine.

– Nowa służąca? – machnął głową za wychodzącą Mildreth.

– Tak, przygarnęliśmy ją w miejsce Marty.

– Marty, a co się z nią stało?

– Wyobraź sobie, że ta niewdzięczna dziewczucha odeszła – przez chwilę wpatrywała się w oczy syna, aby sprawdzić, jak mocną reakcję wywołała na nim ta potworna wiadomość. – Po tylu latach i po tym wszystkim, co dla niej zrobiliśmy. Po prostu zrezygnowała z pracy. Nigdy nie przypuszczałam, że wykaże się tak wielkim egoizmem.

– Ale czemu to zrobiła?

– Wyszła za mąż i to za jakiegoś węglarza. Pff...– fuknęła oburzona. – Oczywiście zaproponowałam, że możemy przyjąć go na służbę. Wtedy mogłaby mieszkać wspólnie z nim w służbówce, ale ona stwierdziła, że wolałaby mieszkać razem w jakieś suterenie. Rozumiesz coś z tego?

Garnet tylko kiwnął przecząco głową, sięgając po filiżankę herbaty.

– No właśnie, ja też nie, a przecież musiała dobrze wiedzieć, jak teraz trudno o porządną służbę. Czasami myślę, że zrobiła to po złości. Naprawdę jestem mocno zawiedziona jej zachowaniem, jak tylko o tym pomyślę, zaraz mam atak migreny – dotknęła ostentacyjnie czoła, biorąc przy tym kilka głębokich wdechów.

Młody Griffith szybko wyciągnął białą chusteczkę, machając nią intensywnie przed twarzą matki.

– Dziękuję ci skarbie – głośno wypuściła powietrze. – Tylko na tobie naprawdę mogę polegać.

– Zawsze – odparł skwapliwie, wachlując skrawkiem materiału. – Więc powiada mama, że ta nowa służąca nazywa się... – zawiesił głos, czekając na pomoc rodzicielki.

– Nie pamiętam, chyba Klara lub Betty. Panna Bennett skądś ją wzięła. Nie mam głowy do takich błahostek. Sam wiesz, jak wiele obowiązków spoczywa na moich barkach, żebym nie ja, ten dom dawno popadłby w ruinę.

– Oczywiście, może mama powinna trochę odpocząć?

– W rzeczy samej, czuję się potwornie zmęczona.

\*\*\*

– Przecież to jakaś kompletna bzdura – powiedział Walter do Clementine.  
– Jak dałem się na to wszystko namówić – wyjął z kieszeni butelkę z laudanum i wypił okazały łyk.

– Mówię ci, że to jest prawda, zresztą zaraz sam się o tym przekonasz – popchnęła go na schodki, prowadzące do zdobnego w akanty wejścia.

– A ja ci mówię, że to jest zwykłe naciągactwo. Znam wiele lepszych sposobów na wydanie tych pieniędzy.

– O tak, w to akurat nie wątpię – prychnęła. – No, na co czekasz? Myślisz, że same się otworzą?

– A czemu nie? Skoro z niej taki jasnowidz, to powinna wiedzieć, że tu stoimy – wysłał kpiący uśmiech w stronę żony. Niestety nie podchwyciła żartu, więc uniósł laskę i uderzył trzykrotnie srebrną rączką o drzwi.

Czekali na tyle długo, iż Walter postanowił zrezygnować. Odwrócił się gotów do ewakuacji, gdy drzwi otworzyły się z cichym skrzypnięciem.

– Państwo Griffith, jak mierniam – powiedział szczupły mężczyzna w czarnym fraku. – Czekaliśmy na państwa – odsunął się na bok, przytrzymując otwarte drzwi.

– Nie da się ukryć, że my również – rzucił pod nosem Walter. Na tyle jednak głośno, aby słowa doszły do uszu odźwiernego.

– Najmocniej proszę o wybaczenie, ale byłem w drugim końcu domu, a zdrowie już nie to, co kiedyś – odparł. Poczekał, aż wejdą do środka i zamkną drzwi. – Proszę za mną – ruszył przodem, wyraźnie kulejąc.

Korytarz był wąski i ciemny, na jego końcu majaczyło niewyraźne światło. Weszli do dużego pokoju przeładowanego licznymi trofeami myśliwskimi.

– Proszę o państwa okrycia – odwiesił ubrania na wieszak i podszedł do dwuskrzydłowych drzwi. – Seans odbędzie się w drugim pokoju – otworzył drzwi i oczom przybyłych ukazał się salon, niedużo większy od pokoju, w którym właśnie stali. W blasku ustawionej na stole świecy można było dojrzeć jedynie blade twarze ludzi, siedzących wokół dużego, owalnego stołu. Jedyнным widocznym meblem poza stołem i krzesłami było stojące obok bogato zdobione tremo.

– Witam – odezwała się madame de Conteville. Wstała, wskazując dwa puste krzesła. – Proszę spocząć. Pragnę państwu przedstawić, państwo Griffith – obwieściła obecnym. Walter i Clementine skłonili się delikatnie. – To państwo Turner – wskazała ręką na szepczącą parę, mającą nie więcej niż trzydzieści lat. – Pani Roberts – tęga kobieta w krzykliwym amarantowym stroju spojrzała ponuro na nowo przybyłych. – Oraz panna Wright – starsza kobieta w czerni posłała dobroduszny uśmiech.

Madame de Conteville poczekała, aż nowo przybyli zajmą wyznaczone przez nią miejsca i kontynuowała.

– Cieszę się, że jesteśmy w komplecie – powiodła wzrokiem po obecnych. – Zatem możemy zaczynać. Zachariah, czy mógłbyś? – kiwnęła głową na stojącego w kącie mężczyznę, który podszedł do otwartych drzwi i wyszedł, zamykając je za sobą. Chrzęknęła. – Kontakt ze zmarłymi nie jest prosty i aby do niego doszło, proszę o przestrzeganie pewnych zasad. Po pierwsze, proszę nie rozmawiać podczas seansu – spojrzała znacząco w kierunku wciąż szepczących do siebie Turnerów. – Pomoże mi to odpowiednio się skoncentrować. Po drugie, podczas seansu będziemy trzymać się za ręce. Niech każdy z przybyłych, chwyci dłoń osoby siedzącej obok niej.

Walter złapał rękę Clementine, a drugą ujął dłoń pani Turner, posyłając jej delikatny uśmiezek. Jednak nie widząc zainteresowania z jej strony, odwrócił się w stronę madame de Conteville.

– Bardzo istotną kwestią jest to, byśmy pod żadnym pozorem nie rozerwali tego kręgu. Nie ważne co by się działo lub co byśmy słyszeli. Nie wolno nam puścić ręki osoby siedzącej z boku. Nigdy – ostatnie słowo zaakcentowała z taką siłą, że Clementine, aż podskoczyła do góry.

Walter zaśmiał się cicho, widząc dygoczącą na krześle małżonkę. Jego radość nie trwała jednak zbyt długo, gdyż od razu wyczuł na sobie piorunujący wzrok medium.

– Dobrze, zatem zaczynamy. Panno Wright, z kim chciałaby się pani skontaktować?

– Z Charlesem, z moim małym Charlesem.

Madame de Conteville zamknęła oczy, mrużąc coś do siebie. Trwało to dobrą minutę, w końcu odchyliła głowę do tyłu i powiedziała:

– Czy jest tu z nami Charles? – odczekała chwilę. – Charlesie Wright, wzywam cię, twoja mamusia, chce z tobą rozmawiać – nastąpiła krótka pauza. – Czy ktoś z was zna Charlesa Wrighta – rzuciła gdzieś w przestrzeń ponad siedzącymi. Odczekała chwilę i odwróciła się w kierunku staruszki. – Jak wyglądał Charles?

– Był taki mały, słodziutki i miał takie wielkie uszy, jak biegał, to falowały na wszystkie strony – powiedziała z rozrzewnieniem panna Wright.

Walter spojrział z wytrzeszczonymi oczami na medium, a potem na żonę, która zdziwiona odwróciła głowę w jego stronę i cicho szepnął jej do ucha:

– Rany, ale musiał być paskudny.

– Słyszycie nas? – spytała madame Conteville. – Czy jest pośród was Charles? – odchyliła głowę do tyłu, po chwili dodała. – Jest z nami – obwieściła z triumfem. – Co chce mu pani przekazać?

– Kochany, chciałam ci powiedzieć, iż wybaczam ci to, że sikales na moje żonkile i czasem zrobiłeś kupę w salonie.

Walter ponownie odwrócił się w stronę żony.

– A niech mnie. Musiał być z niego niezły świr. O co tu do diabła chodzi? – szepnął.

– Nie wiem – odparła niemal bezgłośnie.

– Czy jest ci tam dobrze? – spytała staruszka.

– Odpowiedział, że tak i że bardzo za panią tęskni – odparło medium.

– Ja też tęsknię za moim pieskiem.

Walter kopnął pod stołem Clementine, omal nie parszcząc śmiechem, jednak stłumił go w ostatniej chwili siłą woli.

– Czy chce pani jeszcze mu coś powiedzieć? – spytała madame Conteville.

– Nie mogę się doczekać, kiedy się znowu spotkamy – powiedziała panna Wright.

– Patrząc na ciebie, to szybciej niż myślisz – szepnął drwiąco Walter w ucho żony.

– Charles prosił, aby przekazać, że będzie czekał. Możesz już odejść – madame de Conteville, wyprostowała się i potrząsnęła głową, jakby chciała zrzucić z siebie resztki snu.

– Dziękuję, jest pani cudowna – rzekła panna Wright.

Medium uśmiechnęło się, odwracając wzrok w stronę kolejnej osoby.

– Pani Roberts z kim chciałaby się pani skontaktować?

– Z moim zmarłym mężem Johnem.

– Proszę dać mi chwilę – ponownie odchyliła głowę do tyłu, mamrocząc coś do siebie. – Czy jest tu z nami John Roberts? ... Johnie Roberts, czy słyszysz nas? Jeśli tak, daj nam jakiś znak.

Wtem zimny podmuch powietrza przemknął przez pokój, sprawiając, iż płomień świecy zawirował, prawie gasnąc.

– John Roberts jest z nami – zakomunikowała madame de Conteville. – Co chce pani mu przekazać? – zwróciła się do tęgiej kobiety w amarantowej sukni.

– Niech się go pani spyta. Co zrobił z koliają mojej matki?

– Johnie Roberts. Gdzie jest kolia? – płomień świecy ponownie zakołysał się na wszystkie strony. – Odparł, że nie masz prawa do tej koliai.

– Co? Ta kolia należy do mnie i do mojej rodziny, do nikogo więcej, ma mi ją zwrócić. Natychmiast!

– Powiedział, że nigdy jej nie znajdziesz.

– Oddawaj moją kolia!

Medium przecząco pokręciło głową.

– Mów gdzie jest kolia, ty wredna szumowino! – krzyknęła pani Roberts.

Nagle madame de Conteville otworzyła oczy, wybałuszając je tak, że gałki oczne znalazły się na zewnątrz i ryknęła niskim gardłowym głosem:

– Nigdy jej nie ujrzysz, ty tłusta puszczalska szmato. Nigdy! – głowa opadła jej bezwładnie na pierś.

Pani Turner odskoczyła do tyłu, przewracając krzesło na podłogę.

– Mój boże co to było? – spytała roztrzęsiona męża.

– Nie mam pojęcia – odparł, nie odrywając wzroku od medium. – Chyba duch.

– Oczywiście, że duch. A niby co? Przecież po to tu wszyscy przyszliśmy – rzuciła wściekła pani Roberts.

– Ale to było... – pani Turner zabrakło słów.

W tym momencie madame de Conteville ocknęła się, uniosła do góry głowę i rzuciła ostrym tonem, niemal krzycząc:

– Ręce!

Na twarzach zebranych odmalowała się konsternacja.

– Ręce, mówiłam państwu, żeby niezależnie od tego, co się wydarzy, nie przerwać kręgu, a pani to zrobiła – wskazała oskarżycielsko na stojącą kobietę.



– Ja, ja nie chciałam, to był przypadek. Pani mówiła takim okropnym głosem, że się wystraszyłam. To było...

– Proszę się nie dziwić. Wyglądała pani tak przerażająco – wtrącił współmałżonek.

– Gdyby znała pani mojego męża, wiedziałaby pani, że to, co tutaj pokazał to, było nic. Czasami jak mocniej wypił... – wtrąciła pani Roberts.

– Proszę państwa – przerwała madame Conteville. – Rozerwanie rąk może nieść ze sobą daleko idące konsekwencje. Jeśli nie zdołaliśmy odesłać ducha, nim krąg został przerwany, istnieje duże prawdopodobieństwo, iż pozostanie on między nami.

Pani Roberts rozejrzała się w koło.

– Łatwo to sprawdzić. Jesteś tu, ty stary capie? – wypowiedziała pytanie w mrok za swoimi plecami – wszyscy wstrzymali oddech, czekając na coś, co za chwilę się wydarzy. Mijały sekundy, lecz ciszę przerywał jedynie świszczący oddech panny Wright. – Najwyraźniej mój małżonek poszedł w stronę światła, czyli do jasnej cholery – wściekła wypuściła powietrze nosem, jak byk gotujący się do szarży.

– Zatem, czy możemy kontynuować? – spytał Walter.

– Nie jestem przekonana czy powinniśmy, w tej chwili może to być bardzo niebezpieczne, duch został rozwścieczony, a wrota nie zostały do końca zamknięte. Myślę, że w takim wypadku powinniśmy zakończyć ten seans – odparła madame de Conteville.

– Madame – wtrącił Turner stanowczym głosem, wstając z krzesła. – Jechałem tu z żoną ponad pięć godzin i nie zrobiliśmy tego po to, by spotkać się z duchem psa Teodora...

– Charlesa – przerwała panna Wright.

– Charlesa czy Maksa, to bez znaczenia.

– Może dla pana. Mój słodki cocker-spaniel nazywał się Charles i jeśli jest pan gentlemanem, powinien pan uszanować jego pamięć.

– Oczywiście Charles – Turner przewrócił oczami.

– Dziękuję młody człowieku – odparła panna Wright.

– Tak czy inaczej teraz jest nasza kolej i chcielibyśmy z żoną – tu spojrzał na małżonkę, która skinęła przyzwalająco głową. – Kontynuować ten seans.

– Czy wszyscy się zgadzają? – spytała madame Conteville. Przez pokój przebiegł pomruk aprobaty. – Dobrze, zatem proszę ponownie chwycić się za ręce i pod żadnym pozorem nie rozrywać kręgu – wymownie spojrzała na panią Turner.

– Dlaczego cały czas mówi pani do mnie? – odezwała się pani Turner. – Raz mi się zdarzyło, wielka rzecz. Każdy mógł się wystraszyć.

– Nie mówię do pani. Mówię do wszystkich.  
– A mi się wydaje...  
– Kochanie, czy możesz przestać? – odezwał się pan Turner.  
– Jak uważasz, ale mam wrażenie..., auu, nie ściskaj mnie tak mocno.  
– Zatem zaczynajmy, z kim chcieliby się państwo skontaktować?  
– Z moją zmarłą matką, Elizabeth Frey – odpowiedziała szybko pani Turner.

– Niech tak się stanie – madame de Conteville po raz trzeci tego wieczoru odchyliła głowę do tyłu i zaczęła mamrotać niezrozumiałe słowa. – Czy jest dziś z nami Elizabeth Frey? – pytanie zawisło w powietrzu. – Elizabeth Frey, czy nas słyszysz?

W pokoju dał się wyczuć wyraźny chłód, a płomień świecy ponownie zakołysał się na boki.

– Jest – obwieściło medium. – Proszę pytać.

– Mamo, czy to naprawdę ty?

– Mówi, że tak. Nadal pamięta, jak na urodziny kupiła ci siwego kucyka, a ty przez cały dzień na nim jeździłaś, a potem nie chciałaś iść spać. Powiedziałaś, że położysz się tylko wtedy, jeśli kucyk będzie spał razem z tobą.

– Boże, tak było – wydukała ze łzami w oczach pani Turner. – Mamo, jak tam jest?

– Odpowiedziała, że jest dobrze, że wreszcie...

– Kto tam stoi? – przerwał nagle Walter, wpatrując się w przestrzeń za panią Roberts.

– Proszę nie przeszkadzać... jestem w kontakcie z duchem i ...

– Ale tam ktoś jest, widzicie?

– Gdzie? – spytał Turner.

Walter chciał wskazać palcem, ale poczuł na dłoni mocny uścisk żony.

– Nie przerywaj kręgu Walterze – ostrzegła go Clementine.

– Proszę pana, to tylko lustro – rzucił Turner.

– Wiem przecież, ale widzę tam czyjeś odbicie. Spójrzcie.

Wszyscy jak na hasło obrócili głowy w stronę trema.

– Ma pan rację, widzę odbicie jakiegoś gentlemana – oznajmiła panna Wright.

– Gdzie z tyłu? Nic nie widzę – powiedziała pani Roberts. Nerwowo wiercąc się na krześle, próbowała spojrzeć za swoje plecy, lecz krąg złączonych rąk skutecznie jej to uniemożliwił. – Puśćcie mnie, muszę to zobaczyć.

– Proszę nie rozrywać kręgu – ostrzegła stanowczym tonem madame de Conteville, starając się jednocześnie panować nad głosem.

– Widzę go – Clementine ze wszystkich sił starała się powstrzymać krzyk. – Ale jeśli to jest odbicie, to... – odwróciła głowę w drugą stronę. – Tam nikogo nie ma – oznajmiła, patrząc za plecy medium.

– To jest duch! – krzyknęła pani Turner. – Ale to nie jest moja mama, to... – zaniemówiła.

– Co tam jest?! – pani Roberts kręciła się na wszystkie strony, jakby siedziała na rozgrzanych węglach. – Co tam jest?!

– Oczywiście, że to nie twoja matka, to jakiś mężczyzna. Może pan Roberts – oznajmił Turner.

– John, to ty?! – krzyknęła puszysta kobieta. – Puszczajcie mnie – szarpnęła wściekle, wyrywając ręce i spojrzała za siebie. W lustrze ujrzała rozmazaną sylwetkę, która z każdą sekundą się powiększała. Tak jakby zbliżała się do tafli szkła.

– Krąg, przerwaliście krąg! – krzyknęła zdenerwowana madame de Conteville.

– To nie jest John. Nie wiem, kto to jest – wyrzuciła z siebie pani Roberts, wpatrując się w zwierciadło jak zahipnotyzowana.

– Czemu tu tak zimno? – odezwała się pani Turner. – Jak tu lodowato – obłok pary wypłynął z jej ust.

– Chwyćcie się za ręce! Szybko! – krzyknęła madame de Conteville.

– On się zbliża! – zawołała Clementine, odpychając krzesło do tyłu.

Sylwetka w lustrze była tak duża, jakby stała tuż po drugiej stronie trena.

– Proszę, złapmy się za ręce! Bo za chwilę będzie za późno! – krzyknęło rozpaczliwie medium.

Pani Turner wyciągnęła dłoń, chwytając rękę pani Roberts. Panna Wright wyciągnęła swoją w stronę oniemiałej kobiety, aby zamknąć krąg i w tym momencie lustro pękło, rozsypując się na setki kawałeczków. Rozległ się mrozący krew w żyłach krzyk, a lodowaty powiew przeciął powietrze, zdmuchując płomień świecy i zapadła nieprzenikniona ciemność. Po chwili potworny huk wypełnił pomieszczenie, tylko na moment zagłuszając kanonadę nieludzkich wrzasków.

\*\*\*

Mildreth zakończywszy wieczorną toaletę, wyszła z łazienki, mijając schody, wychyliła się poza balustradę. Niższe piętro skrywał już mrok. Najwidoczniej wszyscy domownicy pogrążyli się we śnie. Oświetliła świecą

korytarz, na drugim jego końcu dostrzegła jakiś ruch. Zaintrygowana wystawiła przed siebie świecę, aby tym samym móc zwiększyć obszar, na który padał nikły blask. Ktoś lub coś zbliżało się w jej kierunku. Z ciemności wynurzała przyodziana w białą, zwiewną koszulę, jakaś niewyraźna postać. Opadające na twarz długie włosy, spływały swobodnie na wyciągnięte przed siebie ręce. Biała zjawa, przekręcając głowę w stronę oniemiałej dziewczyny, wydała z siebie cichy dźwięk:

– Ylli...

Mildreth rzuciła się do ucieczki, w mgnieniu oka dopadła służbówki, trzęsącą ręką otworzyła drzwi i błyskawicznie zamknęła za sobą. Przekręciła klucz w zamku, wciąż rozdygotana z trudnością wstawiła świecę do lichtarza i rzuciła się na łóżko, wskakując pod kołdrę. Nie spuszczać wzroku z drzwi, podkuliła nogi, wciskając się w kąt łóżka. Po chwili usłyszała skrzypnięcie desek, a mosiężna klamka skierowała się ku dołowi, podnosząc ciśnienie Mildreth w górę.

– Ylli... – usłyszała ponownie ten sam nieartykułowany dźwięk i mimowolnie zadrżała.

– Kto tam? – wydusiła z siebie.

– Ylli...

– Zostaw mnie.

Odzewem było delikatne pukanie.

– Kto tam? – spytała, w panice niemal krzyżąc.

– Daphne.

Słyszając znajomy głos, nie bez oporów zsunęła się z łóżka.

– Daphne, to ty? – zapytała, ostrożnie zbliżając się do drzwi.

– Ja, a niby kto?

Mildreth przekręciła klucz w zamku, uchyliła drzwi, tworząc szparę niewiększą niż na jeden palec.

– Co się wygłupiasz? Przecież umówiliśmy się, że przyjdę – Daphne przestąpiła z nogi na nogę.

– Przepraszam, całkiem zapomniałam – odparła, wpuszczając koleżankę.

– Rany, ale zimno – wskoczyła szybko do łóżka.

Mildreth wgramoliła się pod kołdrę, kładąc się obok nocnego gościa.

– Ale mnie wystraszyłaś – powiedziała. – Myślałam, że to jakiś duch. Czemu tak dziwnie szłaś?

– Nie mogłam znaleźć świecy, więc musiałam iść po omacku.

– Aha... – zaśmiała się ze swojej wybujałej wyobraźni. – Ale czemu jęczałaś?

– Nie jęczałam.

- Jak to nie, a to „Ylli”? Zawodziłaś jak jakiś upiór.
- Ha, ha, mówiłam Millie.
- To nie mogłaś głośniej?
- Przecież nie będę krzyczała. Lepiej, żeby ta suchotnica Bennett nie wiedziała, że przyszedłam do ciebie w nocy. Nie wiadomo do czego mogłaby się przyczepić i bez tego nie da się z nią żyć – w blasku świecy cienie na jej twarzy zatańczyły, nadając jej lekko upiorny wyraz.
- No, masz rację – przekręciła się na bok, aby lepiej widzieć Daphne. – To teraz powiedź mi coś więcej o paniczu.
- Czyżby wpadł ci w oko?
- Co? – skrzywiła się z obrzydzeniem.
- Dobra, dobra. Ja wiem swoje – poprawiła się w łóżku. – Więc jest ukochanym synkiem mamusi. Zrobiłaby dla niego wszystko, zresztą myślę, że on dla niej też. Wyjechał prawie rok temu. Z tego, co wiem, jeździł po Europie, co pewien czas przysyłał listy. Raz z Niemiec, raz z Francji, mieszkał też parę miesięcy we Włoszech.
- A co on tam robił?
- Cóż mógł tam robić? Pewnie wydawał pieniądze rodziców, nic innego nie potrafi, ale pani Griffith kiedyś powiedziała, że „pojechał odnaleźć siebie”, czy coś takiego. Jedno jest jasne. Na pewno nie pojechał się uczyć, chociaż to by mu nie zaszkodziło. Za mądry, to on nigdy nie był, a jak wygląda, sama widziałaś. Trudno go nazwać Adonisem.
- Kim?
- Adonisem.
- A kto to?
- Yyy..., sama nie wiem, ale czasem tak mówi pani Clementine, gdy widzi kogoś, kto jej się niezbyt podoba.
- I mówiła tak o synu? – wytrzeszczyła oczy.
- O nim chyba nie – zmarszczyła nos, próbując sobie coś przypomnieć. – Przynajmniej ja tego nie słyszałam. Po prostu delikatnie mówiąc, nie jest zbyt ładny.
- No – kiwnęła głową.
- Ale dziewczynom, to raczej nie przeszkadza, ciągle się tu jakieś kręciły. Jedna była nawet córką jakiegoś hrabiego.
- Hrabiego – Mildreth powtórzyła bezmyślnie, chłonąc nowe wiadomości.
- Nie ma co się dziwić, nie znam nikogo, kto by był tak bogaty, jak państwo Griffith, a ta dziewczyna nie miała chyba nic poza tytułem. Wydaje

mi się, iż to był pomysł jej rodziców. Brittanica mówiła, że kiedyś jej ojciec miał nawet zamek, ale przegrał go w karty.

– Ja nigdy nie wyszłabym za mąż dla pieniędzy. Najpierw musiałabym się zakochać... i on też musiałby mnie pokochać.

– Ale jesteś głupia. Ja bym się nawet nie zastanawiała. Mogę iść do ślubu choćby zaraz. Niech tylko, ktoś da mi pełną sakiewkę. Wygląd nie ma żadnego znaczenia.

Mildreth spojrzała na falujący płomień świecy odbijający się w źrenicach Daphne.

– No, ale dobrze by było, żeby chociaż był mądry.

– A po co? Z głupim to nawet lepiej – zdziwiła się.

– Z głupim? O czym byś z nim rozmawiała?

– Ale jesteś naiwna. A czy ja muszę z nim w ogóle rozmawiać? Chłop im głupszy, tym lepszy. Takim łatwiej kierować, będzie robić, co mu powiem, a ja zajmę się jego pieniędzmi, żeby go głowa od tego zbytku nie rozbolała.

– To wyszłabyś nawet za panicza?

– Za Garneta? Nawet za tego starego węglarza, który przywozi nam opał. Gdyby na wozie zamiast węgla miał perły – zaśmiała się szczerze rozbawiona.

\*\*\*

– No dalej ogierze..., aaa..., aaa... – zajęczała, udając rozkosz niewspółmierną do efektu działań małego łysiejącego jegomościa. – Taak, taak, jesteś niesamowity! – zawołała prosto w skryty w mroku wilgotny ceglany mur.

Od kilkunastu minut twarz jej przylegała do lodowatej oszronionej ściany i miała już tego serdecznie dość, a facet najwyraźniej nie mógł skończyć. Niech już w końcu nadejdzie wiosna – przemknęło jej przez myśl.

– Uh..., uh... – miłośnik sapał prosto w jej ucho, rozpościerając wkoło woń świeżych wymiocin.

– Aaaa..., taak, ale mnie rozpalasz. Nie przestawaj, o taaak ... – starała się zrobić wszystko, co tylko możliwe, aby wreszcie zakończyć tę gehennę. Jeszcze jeden taki klient, a zaczną brać za czas, a nie za numer – pomyślała, wpatrując się w roztopiony jej oddechem szron, który sukcesywnie zamieniał się w krople wody. – Kończ, że wreszcie, bo od tego mrozu zaraz mi tyłek odpadnie!

– Oooo... – wydarł się, wykonując ostatnie silne pchnięcia i opadł wyczerpany na plecy Maggy. Opierał się na niej jeszcze przez dłuższą

chwilę, próbując dojść do siebie.

– Hej, tylko mi tu nie zasypiaj. No dalej, podnoś się, to nie sypialnia – wyprostowała się, tym samym zrzucając delikwenta ze swoich pleców. Opuściła suknię, zakrywając sine pośladki i wystawiła dłoń przed siebie. – No już, na co czekasz?

Łysielec pogrzebał chwilę w kieszeni, wyciągając kilka monet.

– Zapraszam ponownie kochasiu! – zawołała za oddalającym się chwiejnym krokiem mężczyzną. Wyjęła małą sakiewkę, włożyła do niej swój zarobek, a następnie wcisnęła ją pod gorset. Otuliła się szczelnie kapotą i przestępując z nogi na nogę, chuchnęła w dłonie, zapalczywie je rozcierając. Noc, choć mroźna zapowiadała się całkiem nieźle. Dwóch klientów w ciągu godziny znamionowało pokaźny zarobek. Jak tak dalej pójdzie, to jutro kupię sobie ciepłe rękawiczki. Raz się żyje – pomyślała rozmarzona. Wyszła na brukowaną ulicę, aby być bardziej widoczną w świetle latarni. Stanęła na skraju snopa światła, był to jej ulubiony obszar działania. Twierdziła, że lekki półcień dodawał jej nutkę tajemniczości, a przy okazji tuszował lekkie niedoskonałości jej sylwetki. Usłyszała ciężkie kroki, odwróciła się w tamtą stronę, akurat by zobaczyć wyłaniającą się z mroku sylwetkę dobrze ubranego mężczyzny. Wstępna ocena wypadła bardzo pozytywnie. Dlatego mimo panującego chłodu odsłoniła nogę, unosząc do góry falbaniastą sukienkę.

– Zapraszam do mnie, takiemu przystojniakowi jak ty policzę połowę – oblizła spierzchnięte wargi, uśmiechając się uwodzicielsko.

Mężczyzna przystanął, uważnie lustrując zaoferowany mu towar.

– Wielce pani miła, jednak proszę mi wybaczyć. Dziś wieczór jestem zmuszony odmówić – odparł, uchylając delikatnie cylinder.

– No ja myślę – dodała kobieta, która błyskawicznie pojawiła się obok niego, chwytając go pod ramię i ciągnąc ze sobą. – Idziemy Alfredzie – spojrzała ostentacyjnie na Maggy i odwróciła głowę w drugą stronę.

– Zapraszam innym razem! – zawołała za oddalającą się parą.

Opuściła sukienkę i chuchnęła w dłonie, wypuszczając kłęby pary z ust. Wsunęła ręce pod pachy, drobiąc kroczi w miejscu. Mijały kolejne kwadransy trwania na posterunku i wizja zakupu ciepłych rękawiczek zaczęła powoli rozmywać się w głowie Maggy.

– Czy szanowna pani jest wolna?

Aż podskoczyła, słysząc te słowa, odwróciła się momentalnie lekko zdezorientowana.

– Ale mnie pan wystraszył – powiedziała niepewnie.

– Nie było to mym zamiarem. Moja droga – odparł mężczyzna odziany w grube czarne palto. – Jeśli mogłaby pani poświęcić mi chwilkę, byłbym niezmiernie wdzięczny – mówiąc to, uniósł palce prawej ręki, uderzając nimi w główkę laski, na której się wspierał.

Maggy spojrzała na wydatny podbródek, a następnie na czarne skórzane rękawiczki. Tak jutro też będę takie miała – pomyślała, pocierając skostniałe dłonie.

– Chodźmy – minęła go, ruszając w stronę najbliższego zaułku. – Pospieszmy się, dziś jest wyjątkowo zimno.

– Proszę się nie obawiać. Patrząc na panią, jestem przekonany, że nie zajmie mi to dużo czasu.

Odwróciła się, posyłając gorący uśmiech i rozplynęła się w ciemności. Mężczyzna kciukiem uniósł główkę od laski. Przez moment w resztkach światła rzucanego przez latarnie zabłysło stalowe ostrze i nieznajomy podążył za niczego nieświadomą kobietą.



## IV

Magnus przebudził się, dygocząc z zimna, naciągnął na głowę brudny koc, lecz nieustające dreszcze nie pozwalały mu ponownie zasnąć. Leżał tak przez parę minut, w końcu wystawił oko i rozejrzał się po chałupie. Z perspektywy siennika, na którym leżał, nie widział nic poza podłogą i zarysem obskurnych mebli. Co tak wieje? – przemknęło mu przez myśl. Usiadł na namiastce materaca. Na łóżku obok paleniska leżał Knight, głośno chrapiąc. Chłopiec wstał i od razu w oczy rzuciły mu się otwarte na oścież drzwi. Opatulony w koc, podszedł do nich najszybciej, jak tylko pozwalały mu na to zdrętwiałe kończyny i zamknął je. Na dworze zaczynało już świtać. Więc biorąc pod uwagę rozchodzący się po izbie odór alkoholu, można było być pewnym, że dzisiejszego dnia będzie miał wolne. Magnus chuchnął w skostniałe dłonie, rozcierając zsiniałe kłykcie. Wolny dzień miał swoje dobre i złe strony. Do dobrych, z pewnością można było zaliczyć fakt, iż dzisiejszego dnia trochę odpocznie, a bolące plecy dopominały się tego, jak nigdy. Niewątpliwym plusem było to, iż nie będzie musiał wciskać się w kolejny zapchany sadzą komin i tym samym wysłuchiwać zgryźliwych uwag dotyczących braku zaangażowania w pracę. Choć na dobrą sprawę tego ostatniego wcale nie mógł być pewien. Niestety dużym minusem był brak jedzenia. Gdyż John wyznawał świętą zasadę, iż nie będzie żywił darmożjadą, więc jeśli nie pracujesz, to nie jesz. Magnus jako pilny uczeń szybko przyswoił sobie tę regułę. Dlatego, gdy tylko zorientował się, że dzisiejszego dnia z pracy będą nici, postanowił na własną rękę zorganizować jakieś jadlo. Podszedł do jedyne go znajdującego się w chałupie garnka. Włożył do niego palec, starannie przesuwając go po wewnętrznych ściankach. Skutkiem czego uzyskał naparstek jakiejś bliżej nieokreślonej mazi. Wyglądało na to, że John już uprzedził Magnusa. Niepoczyszony oblizął palec i rozejrzał się w poszukiwaniu czegoś do jedzenia. Jego uwagę przykuła leżąca pod stołem zwiotczała marchewka. Bez zastanowienia schował ją do kieszeni. Wrócił do swojego siennika, zrzucił koc, zawiązał buty i zapiął szczelnie kapotę. Nie ma na co czekać – pomyślał. – Knight może przespać cały dzień, a ja, jeśli będę miał trochę szczęścia, może znajdę coś do jedzenia na targowisku.

Zamknął drzwi, wsadził ręce pod pachy i ruszył przed siebie. Poranna mgła znacznie ograniczała widoczność, dlatego starał się przemykać

skrajem drogi, aby przypadkiem nie wpaść pod jakiś wóz lub dorożkę. Z drugiej strony, nie kwapił się, by iść zbyt blisko zabudowań, gdyż zdarzyło mu się kilkukrotnie być wciągniętym w zaułek i pobitym. Po prawdzie nie miał nic, co przedstawiałoby jakąkolwiek wartość, ale napastnik o tym nie wiedział, a kiedy dowiadywał się, że jego trud był daremny, w najlepszym razie Magnus kończył z potężnym kopniakiem na tyłku.

Minął pierwszych tego dnia przechodniów i poczuł się znacznie pewniej, widząc, że ulica powoli się zaludnia. Mleczne opary uniosły się do góry, odsłaniając szary bruk. Nagle pomiędzy kamieniami coś błysnęło. Zatrzymał się, nie będąc pewnym, czy faktycznie coś widział. Cofnął się, ostrożnie wypatrując refleksu. Nie mylił się, kilka kroków od niego coś błyszczało. Rzucił się w tym kierunku, nie wierząc własnemu szczęściu, na ziemi leżał szyling. Szybko podniósł go, chowając do kieszeni. Jeśli jest jeden, to może znajdę drugi – pomyślał rozgorączkowany. Zakręcił się na pięcie, bacznie badając teren. W odległości kilku kroków dostrzegł coś płaskiego leżącego na ziemi. Pobiegł w tamtą stronę, wpadając na idącego trotuarem mężczyznę.

– Co robisz gówniarzu? – rzucił wściekle, chwytając Magnusa za kołnierz.

– Bardzo pana przepraszam – wybąkał, kuląc się odruchowo.

– Nikt nie nauczył cię szacunku dla starszych, może ja to uczynię – uniósł rękę, szykując się do ciosu, jednak w ostatniej chwili zmienił zdanie, odpychając go na bok. Chłopiec zachwiał się i upadł na bruk. – Śmierdzący łachmaniarz – burknął pod nosem znikający we mgle mężczyzna.

Magnus podniósł się z ziemi, nie zważając na spowodowany upadkiem ból i na czworaka doczłapał do swojego znaleziska. Oczy zaślniły mu z radości, tuż przed nim leżał kolejny szyling. Trzęsącymi się z podniecenia rękami schował swój skarb. Nigdy nie miał przy sobie takiej fortuny. Nerwowo oddychał, nie wiedząc co zrobić. Ponownie włożył dłoń do kapoty, klęcząc na ziemi, wyjął z niej obie monety i obejrzał je z każdej strony. A jeśli znajdę kolejną – przemknęło mu przez głowę. Już miał włożyć je do kieszeni, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie. Podciągnął rozdartą nogawkę i umieścił je pod onucą. Zadowolony ze swojej przezorności, posuwając się na czworaka, ruszył na dalsze łowy, uważnie oglądając, każdą piędź ziemi. Jego oczy napotkały but, przeniósł wzrok dalej i orientując się, że w but przyodziana jest czyjaś stopa, poderwał się na równe nogi.

– Bardzo przeprasz... – zamarł w pół zdania, widząc leżącą bezwładnie kobietę. – Psze pani, psze pani – dotknął ostrożnie jej ręki. Dłoń była

sztywna i lodowato zimna. Od razu zorientował się, że ma przed sobą trupa. Widywał je nie raz w różnych częściach miasta. W zimę było ich najwięcej, ludzie zazwyczaj zamarzali, większość z nich stanowiły dzieci, a płęć nie grała tu żadnej roli. Odruchowo się przeżegnał. Stał tak przez chwilę, nie wiedząc, co zrobić. W końcu spojrzął za siebie, aby upewnić się, że nikt go nie obserwuje. Pochylił się nad zwłokami, żeby chwycić leżący obok szal. Wygląda na gruby, a mi na pewno przyda się bardziej niż jej – pomyślał, wyciągając go z wysiłkiem spod sztywnego ciała. Zadowolony zawiesił go na szyi. Teraz był sztywny i zimny, ale wiedział, że niedługo zacznie spełniać swoją funkcję w należyty sposób. Już miał odchodzić, gdy kolejna myśl przebiegła mu przez głowę. A jeśli ona ma przy sobie jakieś pieniądze? Odchylił zamarzniętą połę palta, gdy nagle usłyszał czyjś głos:

– Co ty tam robisz? – głos mężczyzny był silny i stanowczy.

– Ja? Tylko... – przerwał, rozumiejąc, że niezależnie co powie, zostanie to źle odebrane. – Ta pani... – wstał, mimowolnie się cofając.

Policjant podszedł do leżącej kobiety. Kopnął ją w nogę, nie widząc żadnej reakcji, odezwał się rozkazującym tonem:

– Masz tu stać – następnie tak jak wcześniej chłopak, tak teraz on dotknął sinej ręki trupa.

Magnus korzystając z faktu, iż mężczyzna na chwilę spuścił go z oka, zrobił parę małych kroczków, przesuając się w bok. Policjant odchylił palto.

– Przecież ona została zabita – powiedział, widząc na ubraniu zamarzniętą plamę krwi. – Kolego, coś ty... – odwrócił się.

W tym momencie Magnus wystartował, jakby go diabeł gonił. Wykonał długi sus, unikając w ostatniej chwili sięgającej w jego stronę ręki i pobiegł ile sił na drugą stronę ulicy, cudem unikając nadjeżdżającej dorożki.

– Stój – do jego uszu dobiegł krzyk stróża prawa, a chwilę później powietrze rozdarł donośny świst gwizdka. Pędził przed siebie, nie zamierzając, oglądać się do tyłu. W końcu przebiegłszy kilka przecznic, zatrzymał się zasapany. Oparł się plecami o mur, ciężko oddychając. Po paru sekundach coś sobie przypomniał, dotknął dłonią nogi i wyczuwając pod onucą swój skarb, uśmiechnął się do siebie. Wyciągnął z kieszeni marchewkę, odgryzł duży kawałek. Miał udać się na targ w poszukiwaniu jedzenia, ale plany uległy zmianie. Postanowił, że dzisiaj będzie żył jak król, kupując sobie ciepły posiłek. Przeszedł kolejną przecznicę, gdy czyjaś ręka chwyciła go za powiewający szalik, wciągając w ciemny załom budynku.

\*\*\*

– To najnowszy Wedgwood – oznajmiła Eusebia pełnym dumy głosem, widząc Clementine, dokładnie oglądającą, trzymaną w ręku filiżankę. – Prawda, że te pawie są prześliczne – uniosła kremowy talerzyk z wymalowanym na nim brązowym wizerunkiem dumnego ptaka.

– Doprawdy, ujmujące.

– Hmm..., tak ujmujące – przez chwilę podziwiała swoją porcelanę. – Niestety musiałam kupić nową zastawę, ta głupia dziewczucha – machnęła ręką w kierunku przemykającej korytarzem służącej. – Stłukła mi dwa talerzyki i jedną filiżankę. Jak tak dalej pójdzie, będę musiała wymieniać serwis co tydzień. Czasem się zastanawiam, czy ona aby nie jest u nich na prowizji – zaśmiała się pod nosem, maczając usta w gorącej herbacie.

– Powinnaś potrącić jej to z wypłaty. To jedyny sposób, aby nauczyć ich wszystkich szanowania cudzej własności.

– Znam lepszy, zdecydowanie skuteczniejszy sposób – pokazała głową na obraz, na którym mężczyzna w rozpiętej pod szyją białej koszuli, trzymając w ręku rozwinięty harap, stał nad kulącym się na ziemi murzynem. – Mój dziadek. Świeć panie nad jego duszą – uniosła wzrok ku sufitowi. – Był mistrzem dyscypliny, możesz mi wierzyć, że na jego plantacji wszyscy pracowali, tak jak powinni. Dzięki ludziom takim jak on teraz możemy mieszkać w największym imperium na świecie.

– Masz rację – Clementine wypłała kolejny łyk herbaty, widząc, krzątającą się służącą dodała. – Ale zawsze możesz użyć tego – pokazała ręką pogrzebacz. – Mój ojciec mawiał, że jest bardzo skuteczny, zwłaszcza gdy jest odpowiednio rozgrzany – dziewczyna zrobiła wielkie oczy, szybko znikając z pola widzenia. Clementine jeszcze przez chwilę delectowała się herbatą. Zanim zdecydowała się podjąć temat, który na dobrą sprawę ją tu sprowadził. – Pamiętasz jak ostatnim razem, wspominałaś o wizycie u medium?

– Masz na myśli madame de Conteville?

– W rzeczy samej.

– Jest naprawdę dobra. Jeśli byś chciała...

– Nie ma takiej potrzeby – przerwała Clementine. – Wczoraj razem z Walterem byliśmy na jej seansie.

– Doprawdy? – w tym jednym słowie została zawarta gigantyczna dawka podniecenia. – Wprost nie mogę uwierzyć, że Walter zdecydował się na taki krok. Jest największym sceptykiem, jakiego znam. Koniecznie musisz mi wszystko opowiedzieć – pochyliła się, dotykając poufale nogi rozmówczynie.

– Miałaś rację, ona rzeczywiście kontaktuje się ze zmarłymi, to jest niewiarygodne. Dużo ostatnio mówi się na ten temat, ale zobaczyć seans na żywo – pokiwała głową. – To coś niewiarygodnego. Walter na początku był negatywnie nastawiony, zwłaszcza gdy madame de Conteville rozmawiała z duchem psa.

– Psa?

– Dobrze usłyszałaś, psa i w dodatku cocker-spaniela.

– To są duchy psów?

– Najwidoczniej są, choć trąca to jakimś hochsztaplerstwem i szczerze mówiąc, to wciąż się zastanawiam czy nim nie było.

– A ty z kim rozmawiałaś?

– Z nikim. Nie zdążyłam.

– Jak to?

– Przed nami była jakaś kobieta, bodajże Roberts.

– Roberts? – oczy Eusebi zrobiły się wielkie jak spodki. – Znam Roberts'ów, mieszkają parę domów stąd. Mają śliczną córkę, ostatnio nawet z nimi rozmawiałam o księciu...

– To nie oni – przerwała.

– A skąd ta pewność? Przecież nawet ich nie znasz.

– Stąd, że jej mąż nie żyje, a ja słyszałam jego głos dochodzący z ust medium.

– A może to jednak ona. Spotkałam ich parę dni temu, kto wie, co się mogło wydarzyć od tego czasu. Powiedz mi, proszę, jak ona wyglądała.

– Niezbyt wysoka, dość przysadzista, rzekłabym, że nawet gruba i z tego, co zauważyłam, posiada zamiłowanie do żywych kolorów.

– To chyba nie ona. Mary jest szczupła – przez chwilę się zastanawiała. – Chyba, że przytyła.

– To raczej niemożliwe, biorąc pod uwagę, iż widziałaś ją zaledwie kilka dni temu. Musiałaby od tego czasu jeść świnie dziennie, aby doprowadzić się do takiego stanu jak moja pani Roberts. Tak czy inaczej, gdy wywoływaliliśmy ducha, ona przerwała krąg i...

– Przerwała krąg! – wykrzyknęła Eusebia, zakrywając kościstą ręką usta.

– Przecież tak nie wolno. Duch może wtedy zostać wśród nas. Czy madame de Conteville nie ostrzegła was?

– Ależ tak. Mówiła, żeby pod żadnym pozorem nie przerywać kręgu.

– Więc czemu ta kobieta to zrobiła?

– Nie mam pojęcia. Musiałabyś się jej spytać, lecz wątpię, abyś uzyskała od niej jakąkolwiek odpowiedź.

– A dlaczegoż to?

– Ponieważ, gdy puściła nasze ręce, z lustra wyłoniła się jakaś dziwna postać. Mówię ci Eusebio – powiedziała przejęta. – Ona po prostu wyszła ze zwierciadła tak, jak się wchodzi przez drzwi.

– I co? Co było dalej?

– Ciężko powiedzieć. Tremo pękło i zapadł mrok. Potem okazało się, że ktoś wywrócił stół do góry nogami, ale w jaki sposób? Przecież wszyscy nadal przy nim byliśmy, a on był ogromny i ciężki. To jest niemożliwe, żeby go odwrócić potrzebne by były dwie silne osoby, a nikt z nas tego nie zrobił, a nawet jeśli, to jak byśmy tego nie zobaczyli? W dodatku lustro rozprysło się na setki kawałków, ale raniło tylko panią Roberts. Wydaje się niewiarygodne, że nikt z nas nawet nie został skaleczony, a przecież ono normalnie wybuchło. Twarz tej kobiety została całkowicie zmasakrowana, wyglądała tak, jakby ktoś szatkował na niej kapustę i uwierz mi, pocięte zostało jedynie jej oblicze.

– A co z duchem?

– Nie wiem. Madame de Conteville powiedziała, że nie może już wyczuć jego obecności, że wygląda to tak, jakby duch nagle się rozplynął. Stwierdziła, że oczywiście istnieje szansa na to, iż wrócił w zaświaty, ale jej zdaniem jest ona, bardzo nikła, gdyż taka demonstracja siły świadczy, iż jest to prawdziwe zło, a takie istoty nie odwiedzają naszego świata tylko po to, by zrobić małe widowisko. One poprzez taki seans chcą wrócić tu na dłużej. Zwłaszcza, iż bijąca od niej moc, była ogromna i pełna czystego zła.

– Clementine, to wszystko jest takie niesamowite. Jak myślisz, czyj to był duch?

– Nie wiem i powiem ci jedno. Mam nadzieję, że nigdy się tego nie dowiem.

\*\*\*

– Co tam masz? – spytał zaczepnie patykowaty chłopak wyższy od Magnusa prawie o głowę.

– Nic – odparł, skrywając dłoń za plecami.

– Nic? To, czemu chowasz rękę – pociągnął Magnusa za szalik. Sprawiając, iż ten stanął na palcach jak baletnica. – Oddawaj – rozkazał.

– Nic nie dostaniesz.

– Uhh, zobacz jaki hardy – spojrzał na stojącego z boku towarzysza. – Billy zabierz mu to.

Niższy rudzielec z odstającymi uszami chwycił Magnusa za rękę. Wykręcił ją, wyciągając z niej niedojedzoną marchewkę.

– Masz – obwieścił z triumfem, wyręczając pomarszczone warzywo swojemu hersztowi.

– Co ty mi dajesz? Po co mi to? – obruszył się dryblas, wyrzucając marchew na ziemię. – Nie masz nic innego? – słowa skierował do swojej ofiary.

– Nie.

– Tak? Zaraz się przekonamy ty mały oszuście. Billy sprawdź mu kieszenie.

– Zaraz – odparł uszatek, podnosząc marchewkę z ziemi. Włożył ją do ust, wprawiając zęby w ruch, schrupawszy ją, jak rasowy królik. Podjął się przeszukania. – Nic nie ma – obwieścił. – Chociaż... – wzmógł gmeranie w lewej kieszeni. – Mam coś, jakaś moneta.

– Dawaj – podniecił się chudzielec.

Billy wyciągnął coś okrągłego, podtykając dryblasowi pod nos.

– Masz.

– Idioto. Przecież to guzik – wytrącił go kompanowi z ręki. – Zdejmuj buty – rozkazał Magnusowi. – Takie cwaniaczki jak ty lubią tam coś upchnąć.

– Ale ja naprawdę nic nie mam – zajęczał.

– To się zaraz okaże.

– Dobrze, już zdejmuję. Tylko puść mnie – złapał za szalik. – Inaczej nie sięgnę.

Dryblas rozluźnił chwyt, pozwalając Magnusowi schylić się do butów. Chłopak tylko na to czekał, odepchnął chudzielca i rzucił się do ucieczki. Jednak oprawca był na to przygotowany, szarpnął szalik, sprawiając, iż chłopiec zawisł na nim jak pies na łańcuchu, a następnie upadł na plecy.

– Chciałeś uciec? Czyżbyś miał coś do ukrycia? – powiedział dryblas z szelmowskim uśmieszkiem na twarzy. Pociągnął za szalik, zaciskając go wokół szyi.

Uszatek podbiegł do Magnusa, który ciężko oddychając z desperacją w oczach, próbował, rozluźnić duszący go szalik i ściągnął mu but z nogi. Odwrócił go podeszwą do góry, potrząsając nim tak, jakby chciał wyrzucić z niego uwierający kamień. Widząc, że nic z niego nie wypadło, włożył rękę do środka, świdrując nią na wszystkie strony.

– Nic nie ma. Chyba że... – przyjrzał się dokładniej znoszonemu butowi. – E..., dziurawy – oznajmił, odrzucając go na bok.

– Sprawdź drugi – zakomenderował kompan, bawiąc się luzowaniem i ściągnięciem szalika.

Billy pochylił się, chwytając za drugi kamasz.

– Hej zostawcie go! – rozległ się potężny głos.

Billy zatrzymał się jak sparaliżowany. Spojrzał na swojego przywódcę, który odwrócił głowę w stronę ulicy.

– Tak, do ciebie mówię patyczku. Co tak wybałuszyłeś te tępe gały, głuchy jesteś, czy co?

– Lepiej zmiataj stąd paniusiu! – odkrzyknął dryblas, wyciągając zardzewiały nóż. Machnął nim kilkukrotnie w powietrzu, demonstrując swoje umiejętności.

Kobieta niezrażona tym spektaklem ruszyła w jego stronę.

– Zaraz ci ten kozik wsadzę tam, gdzie kończą się twoje plecy, a potem wypatroszę jak zamorzonego wieprza, którym notabene jesteś.

– Nie zbliżaj się, bo tego pożałujesz – odkrzyknął, lecz w jego głosie dało się słyszeć wyraźną nutkę strachu.

– Ze względu na tę młodą damę – wskazała stojąca obok dziewczynę. – Nie powiem ci, gdzie możesz sobie wsadzić te swoje groźby, ale powiem jedno, jeśli ja tam podejdem, a ty nadal będziesz znęcał się nad tym biednym aniołkiem, to nawet święty Juda ci nie pomoże, a ten mały rudy popapraniec będzie zbierał twoje gnaty z całej ulicy – ruszyła w jego stronę, wymachując bojowo wiklinowym koszykiem.

Dryblas przez chwilę stał, jak zamurowany analizując swoje szanse, w końcu puścił szalik i czmychnął, zostawiając kompana z rozdziawionymi ustami.

– Poczekaj na mnie – zawołał uszatek, porzucając but. Sekundę później mknął już śladem swojego kamrata.

Kobieta podeszła do Magnusa, przywracając go do pionu.

– Nic ci nie jest? – spytała z troską w głosie.

– Nie, dziękuję psze pani – skłonił się nisko.

– Nie ma za co. Dla mnie to czysta przyjemność. Nie znoszę tych małych rzezimieszków – odwróciła się w stronę stojącej obok dziewczyny. – Milly podaj chłopcu but, jeszcze gotów nam tu zamarznąć.

Dziewczyna błyskawicznie chwyciła leżący na ziemi kamasz, oddając go chłopcu.

– Dziękuję psze pani – odparł Magnus, ponownie kłaniając się w pas.

– Proszę jakie maniery – uśmiechnęła się Hortense. – To chyba nie byli twoi koledzy?

– Nie, nie znam ich. Zaatakowali mnie, gdy szedłem ulicą, a potem zjedli moją marchewkę – rzucił oskarżycielsko.

– To bardzo nieładnie z ich strony – cofnęła się, aby lepiej przyjrzeć się chłopcu. – Straszna z ciebie chudzina. Jeśli chcesz, możesz pójść z nami,



dam ci coś ciepłego do jedzenia. To niedaleko stąd – odeszła parę kroków i widząc, że chłopiec nadal stoi w miejscu, machnęła zachęcająco ręką. – Nie bój się, przecież cię nie zjemy. Zwłaszcza że składasz się z samej skóry i kości. Kiepski by był z ciebie posiłek. Wpierw trzeba by cię solidnie podtuczyć.

\*\*\*

Daphne wyposażona w ekwipunek w postaci miotełki ze strusich piór, ściereczek oraz nieodzownego fartuszka walczyła z kurzem, który nie miał prawa spocząć na wycieranych wczoraj meblach. Jednak pomna zaleceń panny Bennett, przebywała tę samą trasę co dzień, wykonując niespiesznie przydzielone jej zadanie. Każde nawet najgorsze obowiązki były najlepsze, jeśli można było je wykonać z dala od Britannici.

Kolejny przystanek na drodze do doskonałego pokoju stanowiło łóżko. Odłożyła na bok miotełkę, aby poprawić poduszki, poza ich ułożeniem nie miała tu dużo do roboty. Wszystko wskazywało na to, iż ostatniej nocy panicz nie spędził w swoim legowisku ani minuty. Pewnie znowu przygruchał sobie jakąś turkaweczkę i noc zakończył w gorących objęciach, w jakiejś podrzędnej gospodzie – przeszło jej przez myśl. Podniosła stojący na stoliku flakon perfum. Wyjęła korek, przy okazji go wachając. Kiwnęła głową z uznaniem. Nagle poczuła delikatny dotyk na policzku, dotyk tak delikatny, jak muśnięcie. Błyskawicznie się odwróciła. Krok od niej stał Walter, trzymając w wyciągniętej ręce miotełkę. Uniósł ją, muskając z prawdziwym pietyzmem jej drugi policzek.

– Czy tak to się robi? – spytał z figlarnym uśmiechem.

– Przepraszam pana, ja tylko chciałam... – po omacku odstawiła flakonik z perfumami na swoje miejsce.

– Nic się nie stało – Walter kontynuował swoją zabawę. Strusie pióra powoli powędrowały w dół, oczyszczając ręce Daphne z niewidocznych pyłków. Chwilę bawił się, drażniąc jej dłoń. W końcu oderwał wzrok od jej ręki, skupiając się na obliczu dziewczyny. – Podoba ci się?

Poczuła, że się rumieni, nie wiedząc, co odpowiedzieć cicho wydukała:

– Ja..., to... było...

– Nie podobał ci się zapach?

– Aaa...– zmieszła się, czerwieniąc jeszcze bardziej. – Bardzo ładny zapach.

– Jeśli chcesz, to możesz je zabrać – przesunął miotełkę z jednego rękawka na drugi, muskając po wybrzuszony dekolt.

– Nie... – wydukała pomiędzy krótkimi oddechami. – Nie mogłabym..., to są perfumy panicza i...

– Nie przejmuj się Garnetem – odparł lekceważąco Walter, skupiając się na kolejnym fragmencie swojej pracownicy, który jego zdaniem wymagał dokładnego czyszczenia.

Oddech dziewczyny z każdą sekundą stawał się coraz krótszy. Walter przesunął miotełkę w dół, omiatając jej dłoń. Kolejnym przystankiem stanowiła dolna część sukienki.

– A może wołałabyś... – przysunął się o kilka cali.

Daphne odruchowo cofnęła się, wpadając tyłem na stół, wprawiając tym samym w dźwięczną kanonadę stojące na nim kieliszki. Walter zatrzymał się tak blisko, iż mogła poczuć wydobywającą się z jego ust wyraźną woń cygara. Otoczył ją ręką i już była pewna, że zaraz złapie ją w pasie. Wstrzymała oddech, czekając na tę chwilę, ale zamiast tego, przed jej twarzą pojawił się flakonik z perfumami. Griffith wyjął korek i powąchał zawartość.

– Może wołałabyś bardziej kwiatową nutę. Coś bardziej delikatnego... – obrzucił ją zmysłowym spojrzeniem. – Delikatnego jak ty.

Stała jak słup soli czując gorące wypieki, rozlewające się po całej twarzy jak fale przypląwu.

– Eee..., ja... – bąknęła.

W tym momencie z korytarza dobiegł donośny głos:

– Co to za hałas? Znowu coś stłukłaś niezdarna dziewczucho? – Brittanica wkraczając do pokoju, ale widząc Griffithsa, zatrzymała się i poprawiła odruchowo kok na głowie.

Walter nie zwracając uwagi na nowo przybyłą, uniósł miotełkę, wręczając ją Daphne.

– To chyba twoje – rzekł, wpatrując się w oczy pokojówki.

– Dzi... dziękuję – chwyciła narzędzie pracy, wyrrywając się z odrętwienia, następnie odwróciła się szybko do stolika, wymachując namiastką strusia we wszystkie strony.

Walter ruszył do wyjścia, delikatnie skinął głową pannie Bennett. Wyciągnął z kieszeni buteleczkę laudanum i mijając ją, wypił spory łyk.

\*\*\*

Magnus stojąc na drewnianej skrzynce, wspiął się na palce, aby móc wystawić głowę ponad otaczający podwórko mur. Po drugiej stronie dwie dziewczynki skakały przez sznurek, nucąc jakąś wyliczankę.

Kiedy ciężko, gdy jest źle  
Wkraczaj śmiało w gęstą mgłę  
Tam nie zaznasz nigdy głodu  
Koniec strachu, koniec chłodu

– Chodź! – zawołała Mildreth.

Magnus zeskoczył na ziemię, podbiegł do stojącej przed drzwiami dziewczyny, wlepiając oczy w parującą miskę.

– Masz, jedź, póki gorące – podała mu kaszę polaną brązowym sosem, z którego wystawał kawałek mięsa.

– Dziękuję psze pani – chwycił gorące naczynie. – Pff... – dmuchnął na strawę, siadając jednocześnie na schodach. Postawił jedzenie na kolanach. – Ale ładnie pachnie.

– Prawda? Uważaj, żebyś się nie poparzył – ostrzegła, widząc pełną łyżkę zmierzającą ku ustom chłopca.

Kiwnął potakująco głową, ostrożnie próbując kaszy.

– Niestety nie możemy wpuścić cię do środka. Panna Bennett by nam na to nigdy nie pozwoliła. Wiesz, to straszna jędra – powiedziała usprawiedliwiającym tonem. – Muszę już lecieć, jak skończysz jeść, postaw miskę na schodach.

– Dobrze, dziękuję psze pani – odparł z pełnymi ustami.

– Żadna ze mnie pani, mów mi Millie, a ty jak się nazywasz?

– Magnus psze pa... – zreflektował się. – Magnus – dodał lekko zawstydzony.

– Smacznego Magnus. Jedź, ja muszę biec do pracy – odparła i wróciła do środka. Ruszając na podbój piętra, chwyciła pozostawione obok drzwi wiadro ze szmatą. Według porannego schematu przedstawionego przez pannę Bennett, dziś miała się skupić na wyszorowaniu okien. Na pierwszy ogień padły okna na pierwszym piętrze, wpuszczające na mroczny korytarz trochę światła z ulicy. Wyciągnęła mokrą ścierkę z wiadra, przetała nią zakurzoną szybę i wyjrzała na zewnątrz. Dość mocne słońce rozprawiało się sprawnie z leżącym na trotuarze białym puchem, a przechodnie zrobili resztę, zamieniając go w spowijającą bruk brudną breję. Otworzyła okno, od razu do środka wdarł się gwar ulicy, turkot dorożek walczył ze szczekaniem jakiegoś bezpańskiego psa, wypominającego coś ciągnącemu wóz koniowi. Dziewczyna wychyliła się, wystawiając twarz do słońca, sycąc się jego gorącymi promieniami. Jednak coś zburzyło jej spokój, odwróciła się, czując czyjś wzrok na swych plecach. Korytarz był pusty.

– Hmm... – mruknęła pod nosem, wznawiając pracę. Wytarła zewnętrzną szybę, zamykając skrzydło okienne, dostrzegła w nim czyjeś odbicie. Ponownie spojrzała za siebie, ale tak jak za pierwszym razem nie dostrzegła nic poza meblami. – Rany chyba mam jakieś zwidy – powiedziała do siebie, rozglądając się niepewnie. Ze ścierką w ręku przemierzyła korytarz, ostrożnie wyjrzała za jego załom. Nic, była sama. Wróciła do okna, uniosła szmatkę, aby dokończyć przerwana pracę i wtedy kolejny raz dostrzegła rozmazane przez ściekającą po szybie wodę odbicie. Zanim zdążyła się odwrócić, poczuła dotyk na ramieniu.

– Aaaa! – wrzasnęła wniebogłosy, podskakując do góry, wywracając jednocześnie wiadro.

– Co ty wyprawiasz? – wytrzeszczyła oczy Britannica.

– Przepraszam, trochę się wystraszyłam.

– To było trochę? Szyby w oknach o mało nie popękały – spojrzała w dół i cofnęła się, aby uniknąć rozrastającej się po podłodze kałuży. – Posprzątaj to. Prędko.

Mildreth ukucnęła, szybko ścierając rozprzestrzeniającą się wodę.

– Ale z ciebie niezdara. Pospiesz się, a potem skończ myć te okna, tylko nie tą brudną szmatą, którą masz w ręku – Bennett pokiwała głową zniesmaczona.

\*\*\*

– ... co będę ci mówił, sam zobaczysz, jestem pewien, że ci się spodoba – powiedział blondyn, uśmiechając się szelmowsko do swojego kompana.

– Na pewno na Albion Street? Nie przypominam sobie, żeby znajdował się tam taki lokal – zdziwił się Garnet, wyglądając przez okno dorożki, toczącej się powoli po brukowanej ulicy.

– Uwierz mi, byłem tam nie raz. Zresztą od twojego wyjazdu sporo się zmieniło, dużo bracie straciłeś – mówiąc to, klepnął młodego Griffith'sa w nogę. – Ale myślę, że ty też nie jedno widziałeś, pewnie też zrobiłeś – puścił porozumiewawcze oczko. – Mam nadzieję, że opowiesz mi wszystko ze szczegółami, a najlepiej, gdybyś pokazał.

– Elvin, widzę, że tobie wciąż tylko jedno w głowie.

– Jeśli zaproponujesz mi coś, co sprawi mi większą przyjemność, to jestem gotów zmienić swoje preferencje, a póki co, będziemy musieli zadowolić się tym – stuknął laską w ściankę dorożki, dając tym samym znak woźnicy, aby się zatrzymał. Ochocho wyskoczył na zewnątrz. – Chodź, to tutaj – wskazał czerwone drzwi, chwytając cylinder za rondo, aby nie

pozwolić zwiać go mroźnemu wiatrowi, wznoszącemu z ziemi tumany śniegu.

Wewnątrz panowało przyjemne ciepło. Szary dym zastąpił miejsce powietrza, które kiedyś znajdowało się w salonie, a delikatne światło świec potęgowało tajemniczy nastrój. Chwycili po szklance z drinkiem z trzymanej przez stojącego przy wejściu lokaja tacy i rozsiedli się wygodnie w fotelach. Po drugiej stronie na kanapie jakiś mężczyzna obłapiał mocno przypudrowaną dziewczynę, najwyraźniej zadowoloną z tej uwagi.

– I co o tym myślisz? – spytał blondyn.

– Mogę powiedzieć, że pierwsze wrażenia są dość pozytywne – rozejrzał się po salonie. Zatrzymał wzrok na śniadej dziewczynie w niebieskim peniuarze, siedzącej obok kominka.

– Widzę, że już sobie coś upatrzyłeś – wypił duży łyk ginu. – Z tego, co pamiętam, to jakaś Turczynka czy Greczynka. Widzę, że po europejskich wożach rozsmakowałeś się w czarnulkach.

– Smagłą blondynką też bym nie pogardził, ale nie widzę tu takowych, a ty co bierzesz? – odwrócił się do towarzysza.

– Ja mam ochotę na małą Peggy.

– Dobra jest?

– Na dzisiejszy wieczór idealna.

Wyjął tabakierę, wysypał trochę tytoniu na zewnętrzną część dłoni i wciągnął go nosem.

– A kogóż to widzę. Pan Elvin we własnej osobie. Mój ulubieniec – rozległ się melodyjny kobiecy głos.

Mężczyźni równocześnie podnieśli głowy, przesuwając powoli wzrok w górę, po opiętej karmazynowej sukni, poprzez wąską talię i białą linię piersi uniesionych dzięki gorsetowi pod samą szyję.

– Dla ciebie każdy, kto płaci, zasługuje na miano twego ulubieńca. Moja droga madame Rose – powiedział Elvin, podnosząc się z fotela.

– I dlatego też jesteś moim faworytem – szybko położyła dłoń na jego ramieniu, nie pozwalając mu tym samym wstać. – Proszę siedzieć, to my tu jesteśmy od adorowania, a nie na odwrót – rozsiadła się na jego kolanach. – A cóż to za przystojnego młodziana przyprowadziłeś dzisiaj ze sobą – posłała delikatnego całusa w powietrze.

– Garnet, bardzo mi miło – skinął głową Griffit.

– Mnie jeszcze milej – przygryzła kokieteryjnie dolną wargę. – W czym moje dziewczynki mogą ci pomóc? – wpatrywała się w niego przez chwilę, po czym dodała z figlarnym uśmieszkiem. – Lub ja?

– Szukamy śniadej egzotyki – wtrącił Elvin. – Myśleliśmy o Jasmine – kiwnął głową w stronę Turczynki.

– Hmm..., przykro mi, lecz jest już zajęta – ściszyła konspiracyjnie głos. – Nie powinnam tego mówić, ale zarezerwował ją sobie pewien par.

– No, no, skoro jest dobra dla para, to ja też następnym razem chętnie skorzystam z jej usług – odparł Garnet, świdrując wzrokiem dziewczynę.

– Jestem pewna, że nie pożałujesz, a tymczasem mam dla ciebie inną propozycję, myślę, że ci się spodoba – odparła, chwytając Garneta za rękę. – Zaprowadzę cię do niej, a dla ciebie przystojniaczku... – słowa te skierowała do blondyna.

– Mała Peggy – rzucił szybko Elvin.

– Powinnam się domyślić – skarciła sama siebie. – Za chwilę ją do ciebie przyślę, a ty chodź ze mną – pociągnęła Garneta za sobą.

Weszli na piętro, minęli drzwi, za których dobiegał głośny pełen ekstazy i uniesienia kobiecy krzyk. Rose posłała dwuznaczny uśmiech do tyłu. Podeszła do kolejnego pokoju, otworzyła drzwi.

– To tutaj – wykonała zapraszający gest. – Przyprowadziłam ci gościa, zajmij się nim tak, jakby był twoją rodziną – rzuciła w głąb pokoju, śmiejąc się z własnego żartu.

Garnet wszedł do środka. W pokoju stało gigantyczne łóże z rozłożonym baldachimem. Podeszedł bliżej i rozsunął ręką zasłonkę. Na pościeli leżała drobna Chinka, wyprostowała ręce nad głową i przeciągnęła się leniwie, prężąc ciało jak kotka.

– Możesz mówić na mnie Mia – powiedziała z dziwnym akcentem.

– A jak mówią na ciebie inni?

– Też Mia – odparła z uśmiechem.

– Zatem czuję się wyróżniony moja Mio i ty też powinnaś się tak poczuć.

– Nie rozumiem?

– Zaraz wszystko pojdziesz – pochylił się nad dziewczyną, chwycił ją za rękę, bezceremonialnie przewracając na brzuch.

– Co pan robi?

– Pokażę ci rzeczy, jakich jeszcze nie widziałaś. Podnieś ręce nad głowę i wyprostuj je – rozkazał, następnie usiadł na niej okrakiem, wyciągnął z kieszeni długie pasmo jedwabiu i obwiązał nim jej nadgarstek.

Dziewczyna przekręciła głowę, aby móc ujrzeć twarz mężczyzny, a w jej oczach zabłysła iskierka ciekawości zmieszana z pożądaniem. Wyczuwając jego intencje, przesunęła ręce w stronę drewnianych słupków, do których zostało zamocowane wezgłowie. Garnet przywiązał je do drewnianych wsporników. Włożył rękę do kieszeni, wyciągając z niej oprawioną w kość

słoniową brzytwę. Otworzył ją, przejrzał się w lśniącym metalu, po czym gładko przeciął bieliznę dziewczyny.

– A teraz Mio, gotuj się na największą rozkosz w swoim życiu.

\*\*\*

Tym razem to Mildreth chwyciła świecznik, aby szybko przemknąć ciemnym korytarzem do pokoju koleżanki. Zapukała cicho w drzwi, po chwili rozległ się przytłumiony głos Daphne:

– Wchodź.

Wślizgnęła się do środka. Pomieszczenie wyglądało tak samo, jak izba Mildreth, jedyną różnicę stanowiło okienko, prawie dwukrotnie większe od tego w jej pokoju. Jednak usytuowane tak wysoko, że aby przez nie wyjrzeć, trzeba było wdrapać się na stołek. Przysiadając na skraj łóżka, odstawiła świecznik na stojący obok stolik.

– Chcesz kawałek? – spytała Daphne, wysuwając talerz z ciastem.

– No jasne – zadowolona odłamała kawałek, ugryzła cząstkę i wyraźnie usatysfakcjonowana jego smakiem wsadziła pozostałą część do ust. – Pycha. Skąd je masz? – powiedziała z pełnymi ustami.

– Mam swoje sposoby – odparła tajemniczo. Odstawiła pusty talerz na stolik i odchyliła kołdrę. – Wskakuj.

Mildreth bez wahania rozlokowała się pod kołdrą.

– Skąd wiedziałaś, że to ja pukałam?

– Też pytanie? Przecież mówiłaś, że przyjdiesz.

– No tak, ale przecież to mógł być ktoś inny.

– A niby kto? Brittanica?

– Hmm..., no nie wiem, po prostu ktoś, kto mógłby ci zrobić krzywdę.

– Kogo masz na myśli? Madame Griffith? – odparła kpiącym tonem.

– Nie, mówię o obcych.

– Jakich znowu obcych?

– No wiesz. Przecież mogą tu przyjść jacyś bandyci albo złodzieje. Przecież tylu jest ich wszędzie, na targowisku słyszałam, że znowu zabito jakąś kobietę – spojrzała w oczy Daphne, dodając z prawdziwą troską w głosie. – Lepiej zamykaj na noc drzwi. Nigdy nic nie wiadomo.

– Co ty wygadujesz? Przecież tę kobietę zamordowali na ulicy, a my jesteśmy w domu pod kołdrą – uśmiechnęła się delikatnie, trącając koleżankę ramieniem. – Rany, nie wiedziałam, że z ciebie jest takie strachajło.

– Nie o to chodzi – zaperzyła się. – Po prostu lepiej nie kusić licha. Wiesz, lichy nigdy nie śpi.

– To zupełnie jak my teraz – zachichotała.

Mildreth lekko się uśmiechnęła, gdyż myślami była już gdzie indziej.

– Wiesz, zastanawiałam się, czy w tym domu mieszka ktoś jeszcze oprócz państwa Griffith?

– My – odparła lekko zdziwiona Daphne.

– Wiem, chodzi mi o to, czy mieszka tu ktoś jeszcze oprócz nas?

– Jak to? Nie rozumiem?

– No... – przez chwilę zastanawiała się, nie wiedząc, jak to ująć, w końcu stwierdziła, że powie to najprościej, jak potrafi. – Czy mieszka tu jakaś dziewczynka?

– Dziewczynka?

– Tak, wyglądała, jakby miała jakieś dwanaście może trzynaście lat.

– Nic mi o tym nie wiadomo, a raczej jestem pewna, że nikt tu taki nie mieszka, ale Carterowie mają dwie córki.

– Carterowie? Kto to jest?

– Sąsiedzi, musiałaś ich widzieć, mieszkają obok za murem.

– Aha..., tak, widziałam je, jak się bawiły na podwórku, ale ta dziewczynka wyglądała inaczej, to nie była żadna z nich.

– A gdzie ją widziałaś?

– Na korytarzu na pierwszym piętrze.

– A niby co ona by tu robiła?

– Nie wiem. Po prostu szła.

– Pewnie to córka kogoś, kto przyszedł do Griffith'sów. Płaczą się po całym domu, a potem trzeba wszędzie sprzątać – pokiwała zdeglustowana głową. – A jak wyglądała?

– Miała długie włosy i letnią sukienkę w kwiaty.

– Letnią, w taki ziąb?

– No, właśnie. Dlatego pomyślałam, że pewnie tu mieszka.

– Jakby tu mieszkała, to na pewno bym o tym wiedziała, w końcu całymi dniami sprzątam pokoje.

– Też tak pomyślałam – odparła zamysłona Mildreth.



## V

Obmyła twarz w misce z zimną wodą, stojącej na rozklekotanym stołku, następnie to samo zrobiła z karkiem. Wyprostowała się, aby spojrzeć w stojące na stoliku pęknięte lustro. Twarz była mocno zmęczona, a w lewym policzku wciąż czuła delikatne pulsowanie, które było pamiątką po pracowitej nocy. Pobieźnie ochlapała pachy, gdy drzwi do pokoju otworzyły się z łoskotem.

– Cześć – powiedział od progu Orris.

Lorabelle spojrzała na niego spode łba i wróciła do porannej toalety.

– Jestem padnięty – rzucił kapotę na metalową ramę łóżka.

Dziewczyna uniosła koszulę, obmywając nogi.

– Ale jeśli masz ochotę, wykrzeszę z siebie jeszcze trochę – zaszedł ją od tyłu, obejmując rękami w pasie.

– Zabieraj swoje brudne łapy! – wrzasnęła, wyrywając się z uścisku.

– O co ci chodzi?

– Jeszcze się mnie pytasz? – odwróciła się w jego stronę, opierając ręce na biodrach.

Orris wzruszył ramionami wyraźnie zdezorientowany.

– Rany, ty jesteś naprawdę taki głupi, czy tylko takiego udajesz?

Odpowiedzią było kolejne uniesienie ramion, towarzyszące nieartykułowanemu dźwiękowi, który wydobył się z ust Orrisa:

– Yyyy...

– Gdzie byłeś dzisiaj w nocy w tumanie!

– Poszedłem do...

– A gdzie powinieneś być? – przerwała zirytowana, podnosząc do góry wzrok, aby lepiej widzieć wyraz twarzy wyższego o ponad głowę współnika.

Ponownie wzruszył ramionami, a jego oczy pokazywały, że jeszcze nic nie zaświtało mu w głowie. Tego dla Lorabelle było już za wiele, uderzyła go z całej siły rękoma w klatkę piersiową, sprawiając, iż zachwiał się, upadając plecami na łóżko. Dziewczyna błyskawicznie na niego wskoczyła, siadając mu na klatce piersiowej, lewą ręką uniosła jego brodę, a prawą chwyciła leżące na szafce nożyczki, przystawiając je do gardła Orrisa.

– Miałeś czekać na Fleet Street, tak jak się umawialiśmy – warknęła.

– A, to o to ci chodzi – powiedział odkrywczco.

- Właśnie oto idioto – wbiła ostrze w skórę.
- Przepraszam, zapomniałem – zrobił głupkowaty uśmiech.
- Może następnym razem ci to napiszę, żebyś zapamiętał – docisnęła nożyczki. – Fleet – przesunęła metal w dół, kreśląc pionową linię. Na szyi pojawiła się wyraźna, szybko nabiegająca krwią czerwona kreska.
- Co ty robisz? – powiedział wystraszony.
- A jak myślisz? Zapisuję ci adres – przesunęła ostrze, tworząc drugą prostopadłą linię.
- Dobrze, dobrze zrozumiałem – wyrzucił z siebie, tak szybko na ile pozwalał mu, przesuwający się po gardle metal. – Fleet Street.
- Widzę, że jednak w tej makówce nie jest tak pusto, jakby się wydawało – stuknęła go palcem w czoło. – Miejsce już znasz, więc dopiszę jeszcze czas – docisnęła ostrze.
- Nie, nie trzeba, już wszystko wiem.
- Na pewno? To kiedy? – przechyliła głowę, uważnie wsłuchując się w jego głos.
- Zawsze, kiedy mi każesz – wydukał, mając nadzieję, że jest to odpowiedź, której oczekiwała.
- Przez chwilę mierzyła go wzrokiem. W końcu zabrała nożyczki z jego gardła. Orris wypuścił głośno powietrze i przełknął ślinę.
- Przez ciebie straciliśmy mnóstwo pieniędzy. Mogliśmy się nieźle obłowić – zmarszczyła brew, ale po chwili szeroki uśmiech wykwitł na jej twarzy. – Jednak udało mi się zdobyć to – sięgnęła do gorsetu, wyciągając pomiędzy piersi pięćofuntowy banknot.
- Rany jesteś niezła – odparł z podziwem. – To będzie po dwa funty dziesięć szylingów dla każdego.
- Chyba śnisz! – złożyła szybko banknot, chowając go z powrotem między piersiami. – Całość jest moja, zwłaszcza że opłaciłam go tym – pokazała palcem na opuchnięty policzek. – Zobacz, co mi zrobił, ledwo się wyrwałam temu chamowi – rozmasowała delikatnie bolące miejsce. – I tacy ludzie mają czelność nazywać się gentlemanami.
- Nie przejmuj się, nic nie widać – uśmiechnął się przymilnie. – Wciąż jesteś piękna.
- Nic nie widać?! Twarz mnie piecze jakby ktoś przyłożył do niej rozpalony pogrzebacz i jeszcze ta opuchlizna! – błyskawicznie przystawiła Orrisowi nożyczki do oka. – Skoro jesteś ślepy, to na nic ci to kaprawe limo.
- Nie, nie, masz rację – odparł błyskawicznie.
- Czyli ślepie nie jest ci potrzebne? – przesunęła ostrze po rzęsach.

– Nie, chciałem powiedzieć, że to wszystko moja wina i to już się więcej nie powtórzy.

– Hmm... – zadowolona zeskoczyła z Orrisa, sadowiac się na pościeli obok. Wyjęła ponownie banknot i obejrzała go pod światło.

\*\*\*

Zimny wiatr pchał Waltera do przodu, rozwiewając spadające z nieba płatki śniegu. Od pewnego czasu czuł się jakoś nieswojo, miał wrażenie, jakby nie był sobą. Stan, w jakim się znajdował, był trudny do określenia. Zwłaszcza że nigdy czegoś takiego nie przeżył. Dlatego ciężko było mu zdiagnozować, w czym tkwił problem. Nigdy nie należał do osiłków i patrząc na jego posturę, nikt nigdy by mu tego nie zarzucił, ale dziś czuł się słabiej niż kiedykolwiek. W dodatku coś było nie tak z jego pamięcią. Nie potrafił w pełni odtworzyć rzeczy, które robił poprzedniego dnia. Mało tego, wiedział, co się wydarzyło rano, ale co robił godzinę temu już nie. Oczywiście miewał taki stan, ale zawsze spowodowany był nadmiarem alkoholu. Jednak to nie mogło być to, przez ostatnie dni wypił zaledwie kilka drinków, a tak mała ilość działała na niego, jak studzienna woda. Bijąc się z myślami, wyjął butelkę laudanum i wypił duży łyk. Już miał ją schować do kieszeni, gdy nagle wpadł mu do głowy pewien pomysł. Laudanum, a jeśli to ono jest przyczyną tych zaników pamięci? – wpatrywał się we flakon, nie zwracając uwagi na ostry wślizgujący się w każdy zakamarek ubrania wiatr. – Nie, to nie to – odrzucił nowo powstałą myśl. – Przecież piję je już dobrych parę lat i zawsze czuję się po nim świetnie – wsunął buteleczkę do kieszeni. Spojrzał przed siebie i delikatnie uchylił cylinder przed mijającą go młodą damą. – Ale jeśli to nie laudanum to co? Podobno są ludzie uzależnieni od opium, czyżby i mi to groziło? Może to jeden z objawów? Hmm... Nie, to niemożliwe. Opium poprawiało samopoczucie, a to wykluczało wszelką jego szkodliwość.

Zatrzymał się przed kamiennymi schodkami prowadzącymi do dwu piętrowej kamienicy. Uderzył butem o stopień, strząsając z czubków drobiny śniegu i podszedł do drzwi, obok których na ścianie widniała starannie wykonana metalowa tabliczka. Obwieszczająca, iż w tym miejscu znajduje się gabinet doktora Graya. Zastukał metalową kołatką. Po chwili znajdował się już wewnątrz domu.

– Pozwoli pan – rzekł służący, odbierając palto. – Doktor czeka na pana w swoim gabinecie.

Walter wszedł do znajdującego się po lewej stronie przestronnego pokoju, którego dwie dłuższe ściany zostały zabudowane przez wypełnione książkami regały. Na końcu pomieszczenia ustawiono masywne biurko, zza którego właśnie wstał niski siwiejący mężczyzna. Z uśmiechem na twarzy obszedł ogromny mebel, wyciągając przed siebie rękę w geście powitania.

– Witaj drogi Walterze.

– Witaj Samuelu. Miło cię widzieć. Wszystko u ciebie w porządku? – odparł, ściskając dłoń doktora.

– Tak, dziękuję. Proszę, rozgość się – wskazał stojący obok fotel.

Walter rozsiadł się wygodnie, zakładając nogę na nogę.

– A co słyhać u Marii?

– Dziękuję, nie narzeka, a jak ona to i ja – zaśmiał się jowialnie. – Wiesz, jak to jest. Nasze zdrowie w większej mierze zależy od dobrego samopoczucia żon niż naszego.

– Święte słowa, jestem tego chodzącym przykładem – chrząknął wymownie.

– Może cygaro – spytał Samuel, podając drewniane pudełeczko wypełnione zrolowanymi liśćmi tytoniu.

– Chętnie.

Na chwilę rozmowa ucichła, gdyż obaj panowie poświęcili się w pełni rytuałowi palenia.

– Muszę przyznać, że są wyśmienite – rzekł Walter.

– Tak, w pełni się z tobą zgadzam – cmoknął lekarz, trzymając cygaro między zębami. – Więc co ciebie do mnie sprowadza?

– Hmm... – wypuścił chmurę dymu przed siebie. – Do końca sam nie jestem tego pewien. Ostatnio mam specyficzne problemy.

– Jakiegoż to rodzaju?

– Mianowicie zdarza się, że czasem coś zapominam, choć trafniejszym określeniem byłoby „nie pamiętam” – wypuścił kolejny szarawy obłok z ust.

– Kontynuuj, proszę.

– Weźmy na ten przykład wczorajszy dzień. Pamiętam, że siedziałem w gabinecie, a potem po prostu wyszedłem z domu, ale co robiłem i gdzie byłem, pozostaje dla mnie zagadką.

– Hmm..., ciekawe, a w jakim celu wyszedłeś?

– Tego nie wiem.

– Ale przecież coś skłoniło cię do wyjścia. Co to było?

– Nie wiem..., w zasadzie to... chyba się źle wyraziłem. Wiem, że wyszedłem, ale tylko dlatego, iż poinformowała mnie o tym Clementine. Ja tego nie pamiętam, nie wiem też, kiedy wróciłem. Według mnie byłem w

gabinecie, a po chwili siedziałem w salonie, zupełnie jakby minęło kilka sekund, lecz według zegara minęło kilka godzin.

– Może to problem z zegarem?

– Nie – odparł stanowczo. – Gdy byłem w gabinecie, za oknem świeciło słońce, ale sekundę później w salonie był mrok. Poza tym, kiedy wspomniałem o tym Clementine, odparła, żebym nie robił sobie żartów, gdyż widziała, jak wychodziłem, a nawet coś do niej powiedziałem, lecz nie pamiętała co i dodała, że nie było mnie prawie pół dnia.

– Bardzo dziwne.

– Żebyś wiedział, zwłaszcza że mogę pójść o zakład, iż nie opuszczałem tego dnia domu.

– To może Clementine kłamała.

– Nie sądzę, nie miała ku temu powodów. Zresztą Brittanica twierdzi to samo co moja żona.

– A pomijając tę historię, zdarzały ci się takie sytuacje?

– Do tamtej pory nigdy, ale od paru dni to się powtarza... – przerwał na chwilę, pocierając palcami skroń. – Chociażby dziś, pamiętam, jak wychodziłem z domu do ciebie, ale nie jestem w stanie przypomnieć sobie całej drogi. Tak jakbym zamknął drzwi, a następnie znalazł się zaledwie przecnicę od twojego gabinetu, a przecież idąc na piechotę, zajęłoby mi to dobre dwa kwadransy. Wiem, co powiesz, że może skorzystałem z dorożki, ale przecież to też bym pamiętał.

– Doprawdy fascynujący przypadek – podrapał się po siwiejącej brodzie.

– Cóż, cieszę się niezmiernie, że przysporzyłem ci rozrywki. Jednak wolałbym usłyszeć od ciebie coś zgoła odmiennego. Chociażby to, że wiesz, co to może oznaczać?

– Prawdę mówiąc, wygląda to na zwykłe zaniki pamięci, aczkolwiek pozostaje zasadnicze pytanie. Czym zostały spowodowane? Nie uderzyłeś się czasem ostatnio w głowę?

– Nie, nic takiego się nie stało, chyba że sobie tego nie przypominam, ponieważ uderzyłem się w głowę – zaśmiał się, omal nie upuszczając cygara.

\*\*\*

Hortense stała nad blachą do pieczenia starannie układając bułeczki Chelsea. Jej myśli wciąż krążyły wokół panicza. Odkąd wyjechał przeszło rok temu, wszystko wydawało się znacznie prostsze. Nie miała na myśli pichcenia, gdyż przygotowanie jednej porcji więcej dla kucharki z

czterdziestoletnim doświadczeniem nie stanowiło żadnego problemu. Problem stanowiła osoba Garneta. Ponieważ młody Griffith miał dwie lewe ręce i jeśli jest to w ogóle możliwe również nogi. Nie potrafił zrobić nic, więc służba na każdym kroku była dla niego nieodzowna. To, że Hortense za nim nie przepadała, było delikatnym określeniem. Ona wręcz go nie znosiła, zresztą to samo odczucie miał Garnet w stosunku do niej. Nigdy tego nie powiedział, ale było to oczywiste, odkąd pamiętała całą służbę oraz innych ludzi mających gorsze pochodzenie niż on, traktował jak zło konieczne, a w tym przypadku słowo „konieczne” było jak najbardziej na miejscu. Cóż, można było się spodziewać, że kiedyś wróci, ale miała nadzieję, że „kiedyś” będzie miało miejsce znacznie później. Poza tym w podróży zdarzały się różne wypadki, sztormy, bandyci lub cokolwiek, co przytrafia się porządnym ludziom, więc czemu nie miałyby się zdarzyć tym, którzy mają coś na sumieniu.

Zamieszała w garnku przygotowaną wcześniej glazurę z cukru i wody, aby połączyć ją z upieczonymi na życzenie Clementine bułeczkami, przygotowanymi specjalnie dla jej syna. Zerknęła na wejście do kuchni, aby upewnić się, że wciąż jest sama, następnie nie żałując śliny, kilkakrotnie opluła rząd pulchnych wypieków, znajdujących się po lewej stronie blachy. Chwyciła łyżkę, aby zanurzyć ją w garnku z polewą.

– O bułeczki.

Hortense, podskoczyła do góry, wypuszczając łyżkę z ręki.

– Ale mnie wystraszyłaś – powiedziała z pretensją do Daphne, zastanawiając się jednocześnie, czy dziewczyna widziała jej specjalne metody przyrządzania słodkości.

– Uwielbiam je. Mogę jedną?

– Poczekaj, tylko położę na nich lukier – rozsmarowała zawartość garnka na świeżych wypiekach. – Może tę? – pokazała bułkę leżącą z lewej strony.

– Wygląda świetnie – odparła Daphne.

Ta odpowiedź wystarczyła, aby Hortense odetchnęła z ulgą. Test na niewiedzę wypadł pomyślnie.

– Albo weź tę, jest większa – podała leżącą z drugiej strony bułeczkę.

Daphne ugryzła duży kęs.

– Jest pyszna – usiadła przy stole, racząc się smakołykiem. – Padam na twarz. Cały dzień tylko sprzątam i sprzątam. Skąd bierze się ten cały kurz?

Hortense wzruszyła ramionami.

– Ja też nie wiem, przecież jeśli sprzątnęłam pokoje, a potem korytarze, to nie powinno go być, a jednak ciągle się pojawia. Mildreth codziennie szoruje podłogi i pierze co popadnie, a mimo to on znowu jest wszędzie. Jak

to jest możliwe? Zaczynam podejrzewać, że Brittanica rozsypuje go po nocach, abyśmy zbyt nie nudziły.

– Znając jej charakterek, jakkolwiek dziwnie to brzmi, wydaje się to bardzo prawdopodobne.

– Właśnie, a w dodatku wrócił Garnet i mam z tego powodu jeszcze więcej roboty.

– Dlaczego?

– Jak to? – westchnęła. – Muszę teraz sprzątać również jego pokój.

– Przecież i tak to robiłaś. Prawda?

Daphne zachichotała cicho.

– Oczywiście, że tak, ale teraz muszę robić to... – zlizwała lukier z bułeczki. – Troszkę dokładniej – wyszczerzyła zęby. – A tak przy okazji, czy ostatnio był tu ktoś z jakąś dziewczynką?

– Jaką dziewczynką?

– Gdzieś tak w wieku dwunastu lat?

– Nie wydaje mi się. Czemu pytasz?

– Bo Mildreth mówiła, że widziała jakąś blondynkę kręcącą się po domu.

– Pewnie to jedna z córek Carterów. – zbyła pytanie.

– Też tak pomyślałam, tylko nie bardzo wiem, co mogłaby tu robić.

– Spytaj się panny Bennett. Może z nią rozmawiała – podrzuciła Hortense, wiedząc, że w ten sposób prędko ostudzi zapędy Daphne.

– O nie – wzdrygnęła się. – Od razu znajdzie mi coś do roboty, a i tak nie wiem, w co mam ręce włożyć. Najlepszy kontakt z Brittaniką, to brak kontaktu – skończyła jeść, oblizując palce.

– Acha..., tu jesteś – rzuciła od progu panna Bennett. – Właśnie się zastanawiałam, gdzie tym razem się objasz.

Daphne poderwała się z krzesła, wycierając ręce o fartuszek.

– Tylko tędy przechodziłam, zastanawiałam się, czy może pani Moore nie potrzebuje jakiejś pomocy – posłała przymilny uśmiech.

– Nie wiedziałam, że z ciebie taka dobra duszyczka – rzekła kpiącym tonem. – Jestem pewna, że Hortense da sobie sama radę, a ty wracaj do swoich obowiązków – odsunęła się na bok, aby Daphne mogła opuścić kuchnię.

Dziewczyna przemknęła bokiem, szybko znikając z jej oczu.

– Widzę, że bułeczki Chelsea, są już gotowe – powiedziała Brittanica.

– Tak, jeszcze są ciepłe. Proszę spróbować, pani opinia jest dla mnie bardzo cenna – odparła kucharka, świadomie łechcąc ego panny Bennett. Zdjęła z półki talerzyk, nakładając na niego jedną z niedawno oplutych bułek. Postawiła go na stole, odsuwając zachęcająco krzesło.

Brittanica usiadła, uważnie lustrując wypiek.

– Wygląda dobrze – ułamała kawałek. – Hmm..., bardzo dobra – mlasnęła z uznaniem. – Ale ma trochę inny smak. Wyczuwam w niej coś jeszcze..., ale nie wiem co to takiego. Dodałaś jakąś przyprawę?

– Aha..., można to tak nazwać. Powiedzmy..., że to sekretny składnik – popatrzyła z radością na znikające ciasto.

– Musisz mi koniecznie powiedzieć, co to jest – oderwała kolejną porcję i włożyła ją do ust.

– Gdybym powiedziała, to nie byłby już sekret.

– Może kiedyś mi go zdradzisz.

– Tak, w odpowiednim czasie – uśmiechnęła się z satysfakcją.

\*\*\*

Skryty w mroku pokój wyglądał prawie tak samo, jak podczas ostatniego seansu, w którym uczestniczyli. Został oświetlony jedynie przez jedną świecę umieszczoną pośrodku stołu, wokół którego rozmieszczono krzesła. Jediną różnicę stanowiło lustro. Zamiast zniszczonego tremo ustawiono nowe w równie zdobnej ramie, a dodatkowo zdawało się ono większe od swego poprzednika. Pełną napięcia ciszę przerwał miękki głos medium.

– Widzę, że wszyscy już przybyli. Zatem możemy zaczynać – oznajmiła, rozglądając się po zebranych. – Przypominam, aby podczas seansu, każdy trzymał za rękę swojego sąsiada, abyśmy w ten sposób utworzyli krąg. Proszę pamiętać, iż bez względu na to, co zobaczycie lub też usłyszycie, nie możecie przerwać stworzonego w ten sposób okręgu. Jest to kwestia bezpieczeństwa wszystkich tu obecnych – wstrzymała głos, obserwując reakcję, następnie rozłożyła ręce na boki, dając tym samym znak do zawiązania koła. – Z kim chciałby się pan skontaktować? – słowa te skierowała do siedzącego obok tęgiego mężczyzny.

– Miałem nadzieję, że uda się pani przywołać mojego tatusia – wybąkał piskliwym głosem.

– Jak miał na imię pański ojciec?

– Geoffrey.

Madame de Conteville przymknęła powieki i odchylając głowę do tyłu, powiedziała:

– Duchu Geoffreya Stevensa, wzywam cię – w pokoju zapadła cisza przerywana jedynie głośnym oddechem. Po chwili medium odezwało się ponownie. – Czy jest tutaj Geoffrey Stevens? Jeśli mnie słyszysz, daj znak –



po kilku sekundach płomień świecy zakołysał się gwałtownie, omal nie gasnąc. – Pana ojciec jest z nami.

– Proszę mu przekazać, że bardzo za nim tęsknię – powiedział syn.

– On o tym wie i też odczuwa twój brak.

Grubasowi zatrzęsała się broda, zupełnie jakby miał pięć lat. W końcu nie wytrzymał i łzy pociekły mu po pyzatyh polikach.

– Tatusiu – pisnął falsetem. – Czy przestała doskwierać ci podagra? – nie mogąc przetrzeć oczu ręką, przechylił głowę na bok, wycierając twarz o uniesione ramię.

– Ojciec powiedział, żebyś się o niego nie martwił. Tam, gdzie teraz przebywa, nie ma czegoś takiego jak ból. Wszyscy znajdują się w takim samym stanie, który można by nazwać lekkością.

– Tak się cieszę – siorbnął nosem. – Tatusiu, czy mógłbym ci jeszcze raz zobaczyć? – spytał z nadzieją w głosie. – Madame de Conteville, czy jest to możliwe?

– Cóż, mogę spróbować, lecz to czy duch się nam ukaze, w dużej mierze zależy od niego.

– Rozumiem. Proszę spróbować.

Medium wyprostowało się na krześle, ponownie odchyliło głowę do tyłu, mamrocząc coś do siebie. Po chwili zrobiło głęboki wdech.

– Duchu Geoffreya Stevensa, pokaż się nam.

Wszyscy bez wyjątku zaczęli rozglądać się na wszystkie strony, starając się wypatrzeć coś w otaczającym ich mroku. Spektakl trwał dobrą minutę, nim przerwał go donośny narastający głos.

– Duchu Geoffreya Stevensa, rozkazuję ci, ukaż się!

Przez pokój przeleciał mroźny podmuch powietrza tak lodowaty, że Clementine mimowolnie zadygotała. Płomień świecy zatańczył na krótkim knocie, a następnie rozbłysnął tak gwałtownie, jakby ktoś posypał świecę prochem. Kobieta siedząca obok Waltera wrzasnęła, odskakując na krześle do tyłu.

– Pański ojciec jest już z nami.

– Gdzie – pisnął mężczyzna. – Tatusiu gdzie jesteś? – rozejrzał się nerwowo. – Tatusiu nie widzę cię.

– Jest tam – odezwała się drżącym głosem kobieta, która przed chwilą omal nie zerwała strun głosowych. Próbuując wskazać ręką miejsce, gdzie dostrzegła ducha.

– Niech pani nie przerywa kręgu! – rzuciła ostro w ostatniej chwili madame de Conteville.

– Aaa..., proszę spojrzeć w lustro. Ktoś tam jest – powiedziała sąsiadka Waltera.

Wszyscy jak na zawołanie odwrócili głowy w stronę zwierciadła. W tafli szkła ukazała się wyraźna sylwetka sędziwego mężczyzny. Jej rysy były lekko rozmazane, lecz nie na tyle, by nie rozpoznał jej siedzący przy stole Stevens.

– Tatusiu, to ty – łzy znowu wyrwały się na wolność, zraszając twarz grubasa.

Cień w lustrze podniósł rękę w geście pozdrowienia.

– To naprawdę ty – pisał Stevens. – Jak dobrze cię widzieć, odkąd cię nie ma, mamusia cały czas się nade mną znęca – kompletnie się rozkleił. – Mówi, że jestem nieudacznikiem i niedorajdą – pociągnął nosem. – Co mam robić? Ja dłużej tego nie wytrzymam.

Cień w zwierciadle splótł ręce, tak jakby trzymał w nich dziecko.

– Twój ojciec mówi, że powinieneś być dzielny, gdyż matka kocha cię tak samo mocno, jak on, lecz nigdy nie potrafiła okazywać uczuć, a krzycząc na ciebie, próbuje walczyć z bólem spowodowanym jego śmiercią. Niebawem to minie i znów będziesz mógł się do niej tulić każdego ranka.

Walter zrobił wielkie oczy, ściskając przy tym porozumiewawczo dłoń żony. Clementine natychmiast skarciła go wzrokiem.

– Tatusiu, jak chciałbym się znów do ciebie przytulić, poczuć jak głaszczesz mnie po głowie. Bardzo mi tego brakuje.

– Musisz być dzielny Georgii, musisz się z tym pogodzić, taka jest kolej rzeczy. Niech będzie ci pociechą, że cały czas myślę o tobie i będę tu na ciebie czekał, a jeśli w nocy będziesz czuł się źle, idź do matki i przytul się do niej. Mimo gorzkich słów, jej serce jest przepełnione miłością do ciebie. Teraz muszę już iść mój smyku – sylwetka w lustrze zaczęła się powoli rozmywać.

– Tatusiu! Tatusiu, proszę, nie odchodź! – zapłakał rzewnymi łzami.

Madame de Conteville wyprostowała się, lekko potrząsając głową, jakby próbowała zrzucić resztki snu.

– Kto następny? Państwo Griffith. – stwierdziła.

Clementine przytaknęła.

– Zatem, z kim chcieliby państwo się skontaktować?

– Z córką – odparł Walter, uprzedzając żonę. – Miała na imię Abigail.

Madame de Conteville przymknęła oczy, przez chwilę mamrotała coś do siebie, w końcu powiedziała:

– Przywołuję cię Abigail Griffith. Ukaż się.

Zapadła cisza, wszyscy wstrzymali oddech, czekając na to co się wydarzy.

– Czy jest wśród was Abigail Griffith? – spytało medium, odchylając głowę do tyłu. – Czy ktoś z was zna Abigail Griffith? – kolejne pytanie zostało posłane w przestrzeń.

Minuta oczekiwania zdawała się trwać wieczność. Wreszcie madame de Conteville wyprostowała się i powiedziała:

– Bardzo mi przykro, lecz nie jestem w stanie skontaktować się z państwa córką... – zrobiła pauzę, wyraźnie się nad czymś zastanawiając.

– Co się dzieje? Dlaczego nie możemy z nią porozmawiać? – spytała Clementine.

– Mam wrażenie, że ona mnie nie słyszy lub mnie ignoruje.

– Nie ma żadnego sposobu, aby się z nią skontaktować?

– Hmm..., to bardzo dziwne, ale... nie wiem, jak to ująć – zrobiła pauzę, analizując coś w głowie. – Zazwyczaj, jeśli nie mogę się z kimś skontaktować, nie wyczuwam energii tego ducha. Obrazowo można powiedzieć, że Abigail jest zbyt daleko, aby mogła mnie usłyszeć, choć nie zawsze to tak działa. Czasem potrafię przywołać ducha z bardzo daleka, gdyż moja energia ściąga energię zmarłej osoby jak magnes lub mogę się z nim kontaktować poprzez innego ducha, który przywołuje go w moim imieniu. W wypadku państwa córki jest inaczej. Wyczuwam jej energię, w dodatku bardzo silnie, niemalże jakby stała tuż obok nas.

Wszyscy znajdujący się w pokoju ponownie poczęli kręcić głowami na wszystkie strony, wbijając wzrok w otaczającą ich ciemność.

– Ale nie mogę jej ściągnąć – kontynuowała. – Jak gdyby coś nie pozwalało na kontakt z nią. Zupełnie jakby stała za jakimś murem. Co ciekawe, przy tak mocnej energii, energia ta nie umknęłaby uwadze innych duchów, których jest tu mnóstwo, niektóre wręcz pchają się, aby się z nami skontaktować, ale w tym wypadku, martwe byty znajdujące się obok nas nie wyczuwają jej, a przecież powinna być razem z nimi. Powinna być dla nich widoczna, tak jak my widzimy siebie. Jednak one jej nie czują, nie znają, tak jakby nie była w ich świecie, a przecież jest – ostatnie zdanie zabrzmiało jak pytanie.

– Nie rozumiem. Twierdzi pani, że jej tam nie ma? – zdziwiła się Clementine.

– Nie, ale to podobna sytuacja do tej, gdy znajduje się pani na balu wśród setek innych osób i choć jest tam pani przez całą noc, nikt z uczestników przyjęcia pani nie widzi, ani pani nie kojarzy. Tak jakby pani dla nich nie istniała – zawiesiła spojrzenie na Griffith'sach przenosząc wzrok z męża na

żonę. – Przepraszam, że o to pytam, ale jak właściwie zginęła państwa córka?

– Było to w lipcu, jakieś dwa lata temu, przebywaliśmy w Blackwood, mamy tam taki mały dworek. Trochę lasu, w zasadzie jeździmy tam rokrocznie. Piękne widoki, można odpocząć od tego miejskiego zgiełku – powiedziała rozmarzonym głosem. – Ostatnimi czasy nawet w październiku zdarza się, że...

– Tina – przerwał Walter karcąco.

– O co chodzi?

– Wydaje mi się, że zbaczasz z tematu.

– Z tematu? Ach... no tak. Tak więc pewnego dnia Abigail po prostu zniknęła. Przeczesałiśmy dworek, szukaliśmy wszędzie, dopiero gdy poszukiwania przeniosły się nad jezioro, znaleźliśmy jej kapelusz, unosił się na wodzie. Prawdopodobnie wypadła z łódki i się utopiła. Często pływała tam razem z Garnetem. Niestety tego dnia postanowiła pójść nad jezioro sama.

– Czy znaleziono jej ciało?

– Nie, jezioro nie jest duże, ale za to bardzo głębokie.

– Są państwo przekonani, że to był wypadek?

– Nie mamy podstaw sądzić, iż było inaczej – odezwał się Walter. – Czyżby pani sugerowała coś innego?

– Sama nie wiem. Ta energia... ona jest naprawdę bardzo mocna. Zazwyczaj taką energią emanują duchy, które noszą w sobie gniew i ból. Taką energię wyczuwam teraz... – przyknęła oczy, starając się skoncentrować.

– Czy to Abigail? – powiedziała z nadzieją w głosie Clementine.

Madame de Conteville zastygła w bezruchu jak kamienny posąg.

– Nie jestem pewna, ta energia wydaje się znacznie potężniejsza i nie jest po tamtej stronie. Ona jest..., tu z nami.

\*\*\*

Walter przytrzymał otwarte drzwiczki dorożki, aby ułatwić Clementine wgramolenie się do niej. Chwycił rąbek sukni leżący na schodkach, wrzucił go do wnętrza i po chwili sam znalazł się w środku. Uderzył laską w drzwi, woźnica głośno cmoknął, konie cicho zarżały, ruszając z miejsca. Clementine obserwowała w milczeniu lekkie płatki śniegu, które lawirując w powietrzu, opadały na ziemię, skrywając pod białym puchem brudne ulice.

– Walterze, co o tym wszystkim myślisz? – spytała, wciąż obserwując świat na zewnątrz.

– Wygląda na to, że zima na dobre zabrała się do roboty – zerknął na miasto przez odchyloną zasłonkę.

– Nie mówię o śniegu.

– A o czym?

– O Abigail... myślisz, że to mógł nie być wypadek, że ktoś ją zabił? – wciąż obserwowała idących trotuarem ludzi.

– Hmm... – sięgnął do kieszeni, wydając z niej świeżą butelkę laudanum. – Nigdy nie myślałem o tym w ten sposób – wlał do ust sporą dawkę specyfiku. – Może kropelkę? – wysunął rękę do Clementine, która przyjęła podarek, wypila mały łyk i oddała butelkę mężowi. – Przecież oboje wiemy, że Abigail była wspaniałym dzieckiem – kontynuował. – Zawsze radosnym i uśmiechniętym. Wszyscy ją kochali. Nie potrafię sobie wyobrazić żadnego powodu, dla którego ktoś mógłby chcieć ją w jakikolwiek sposób skrzywdzić. Nikt nie krzywdzi aniołków, a przecież ona nim była.

– Diabeł – wymamrotała do siebie Clementine.

– Słucham? Co powiedziałaś?

– Diabeł, on krzywdzi aniołki.

– Jak to?

– Zawsze znajdzie się ktoś, kto potrafi zasiać zło i skrzywdzić niewinnych.

– Kogo masz na myśli?

Clementine spojrzała w oczy Waltera i można było odnieść wrażenie, że chce coś powiedzieć, jednak w ostatniej chwili się rozmyśliła, szybko odwracając głowę w stronę szyby.

– Nikogo konkretnego – odparła.

## VI

– No, no ale ten chłopak wyrósł – powiedziała Caddy, nie mogąc oderwać wzroku od Clementine. – Pamiętam go, jak był jeszcze taki, zanim wyjechaliśmy do Indii – uniosła rękę tuż nad stół, obrazując w ten sposób wzrost młodego Griffith'sa. – Teraz wygląda jak prawdziwy gentleman.

– On nie tylko tak wygląda, on nim jest – dopowiedziała z dumą Clementine.

– Oczywiście, oczywiście, właśnie to miałam na myśli, a dodatkowo moje myśli krążą też wokół pewnej młodej panny.

– Nie bardzo rozumiem?

– A ja, aż za dobrze – wtrącił Spencer, przyglądając się daniu, składającemu się z pływającego w czerwonym sosie mięsa.

– Mówię o młodej Briar Price. Śliczna z niej dziewczyna, w tym roku kończy szesnaście lat. Ma szerokie biodra i na pewno powiła stado małych bobasów.

– No, no Caddy, subtelna z ciebie swatka – Spencer począł bawić się małymi kawałkami kurczaka, przesuwając je po talerzu z lewej na prawą stronę.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi? Przecież świetnie by do siebie pasowali – szczerze się obruszyła. – Powiedz mi, czy Garnet jest już z jakąś panną po słowie?

– Nie, ale...

– To wyśmienicie – zadowolona klasnęła w dłonie jak małe dziecko. – Co ty na to Tina? Jeśli chcesz, mogę zaaranżować wspólne spotkanie.

– Nie jestem przekonana czy to dobry pomysł.

– A niby dlaczego? Dziewczyna pochodzi z szanowanego domu, ma dobrą reputację – zaczęła wyliczać na palcach. – I w dodatku lub przede wszystkim, jej rodzina jest więcej niż bardzo majątna.

– To brzmi interesująco – Walter zakręcił widelcem w zawieszonym sosie. – Myślę, że Garnet chętnie spotka się z... Polly.

– Briar – poprawiła Caddy.

– No właśnie, Briar. Uważam, że chłopak wystarczająco długo hulał – popatrzył na Clementine i widząc jej mrożące spojrzenie, głośno odchrząknął. – Znaczący, podróżował. Teraz nadszedł czas, aby się ustatkować

– uniósł głowę znad talerza z wyrazem zaintrygowania na twarzy. – Co my właściwie jemy?

– To potrawa ze wschodu – oznajmił Spencer. – Nazywa się kurczak tikka masala. Gdy byliśmy w Indiach, zajadaliśmy się tym bez przerwy. Prawda? – zerknął na żonę, aby potwierdziła jego słowa.

– Tak było, tubylcy mają tam przepyszną kuchnię. Na początku przeszkadzało nam to, że większość potraw była zbyt ostra jak na nasz gust, ale teraz nie możemy się od nich odzwyczać. Prawda mój majorze?

– W rzeczy samej.

– Więc to jest potrawka z kurczaka? – Walter ostrożnie podniósł widelec z ociekającym sosem kawałkiem mięsa.

– Można tak powiedzieć – odparł Spencer. – Specjalnie dla was Ranjit przygotował łagodną wersję.

– Ranjit, a cóż to za barbarzyńskie imię? – spytała Clementine.

– Hinduskie, to nasz nowy kucharz. Przywieźliśmy go ze sobą z Indii – odpowiedziała Caddy.

– Aha... – bąknął Walter, bawiąc się widelcem. Obserwował żonę, która ostrożnie włożyła małą porcję do ust i poszedł w jej ślady.

– Boże miłosierny! To jest łagodne?! – krzyknęła Clementine, wachlując ręką otwarte usta. Błyskawicznie sięgnęła po kieliszek z winem i jednym haustem wypłała połowę jego zawartości. – Chcecie mnie otruć?

Walter przełknął jedzenie, starając się zachować spokój, lecz łzawiące oczy świadczyły o czymś zgoła odmiennym, powoli na tyle na ile pozwalało mu na to piekące gardło, sięgnął po wino i wychylił kieliszek, osuszając jego dno.

– Całkiem smaczne – wybąkał, rozpinając guzik kamizelki. Chwycił karafkę, dolewając sobie wina, i na podkreślenie swoich słów wziął kolejny kęs. Tym razem powstrzymał się od natychmiastowego zwilżenia gardła.

– Ranjit będzie zadowolony – powiedział Spencer z uśmiechem, nakładając sobie z glinianego kociołka, stojącego pośrodku stołu kolejną porcję.

– A cóż to za dziwna figurka z czterema rękoma? – spytała Clementine, wskazując ustawioną na bogato zdobionej komodzie złotą statuetkę.

– To Shiva ichniejszy bóg – odparła Caddy. – Przywieźliśmy ją z Indii. Prawda, że świetnie się prezentuje. Zwłaszcza na tym mebelku, też z Indii. To, to, ten wazon oraz kamienny słoń również – rozpoczęła wyliczankę, obracając się sukcesywnie w lewo, pokazując jednocześnie ręką sprowadzone z Azji zdobycze. – Wiesz, że słoń powinien mieć podniesioną do góry trąbę i być skierowany głową do okna?

– A niby jak chcesz sprawić, żeby trzymał cały czas trąbę do góry? – spytał Walter.

– Ha, ha, a to doprawdy zabawne – szczerze się zaśmiała. – Mówię o figurkach, a nie o żywych zwierzętach.

– Tak też sądziłem – odparł lekko speszony.

– Och Walterze, ty to jesteś – Caddy machnęła delikatnie dłonią, po czym odwróciła się w stronę Clementine. – Widzisz te kotary? U nas takich nie kupisz – poczekała, aż rozmówczynie obejrzy zasłony.

– Naprawdę przepiękne – Clementine wyraziła uznanie.

– Też tak sądzę. Nie zgadniesz, skąd je sprowadziłam?

– Czyżby z Indii?

– W rzeczy samej, udało mi się je nabyć od pewnego kupca w...

Spencer nachylił się nad stołem w stronę Waltera.

– Jeśli masz ochotę, zapraszam na cygaro i kieliszek czegoś mocniejszego. Mam nieodparte wrażenie, że w tej dyskusji jesteśmy zbędni.

– Muszę przyznać, że z ulgą przyjmuję twoją propozycję – odparł Walter, wstając od stołu.

– Jeśli panie pozwolą – Spencer odsunął krzesło.

Caddy odwróciła się, machając niedbale ręką i wróciła do tyrady na temat wystroju wnętrza. Mężczyźni przeszli do znajdującego się po drugiej stronie korytarza pokoju, był równie okazały, jak jego poprzednik, a wystrój krzychał, że właściciel właśnie powrócił z Indii.

– Widzę, iż przywieźliście ze sobą całe wyposażenie domu – rzucił Walter, przechadzając się wzdłuż ścian.

– Może nie do końca całe, ale nie da się ukryć, iż Caddy bardzo przywiązała się do niektórych rzeczy. Hmm..., ja zresztą też – Spencer podszedł do biurka i wysunął jedną z szuflad. – Na przykład, spójrz na to – wyjął coś, co przypominało sztylet, lecz głownia zamiast do zwykłej rękojeści, została przyczepiona do uchwyty w kształcie litery U z poprzecznym drążkiem łączącym jej boki.

– To jakiś rodzaj noża, czy co? – spytał Walter, uważnie oglądając broń.

– Masz rację. Nazywają go „katar”. Chwytają to w ten sposób – odebrał nóż z rąk Waltera, łapiąc go za poprzeczny uchwyt. Zacisnął na nim dłoń, a następnie wykonał kilka ruchów ręką, jakby chciał uderzyć kogoś pięścią.

– Robi wrażenie.

– To jeszcze nie wszystko – nacisnął zapadkę w rękojeści, rozległ się cichy trzask i w jednej chwili klinga rozdzieliła się, tworząc trzy przypominające potężny widelec ostrza.



– Rany, czego to ludzie nie wymyślą, żeby w oryginalny sposób rozplatać komuś brzuch.

– Jak to mawiają, „najgorsze to popaść w rutynę” – zaśmiał się Spencer, oddając nóż Walterowi.

Griffith usiadł na fotelu i z jeszcze większym zainteresowaniem ponownie obejrzał sztylet.

– Może cygaro? – spytał major, sięgając do stojącego na biurku drewnianego pudełka.

– Chętnie, nawet wiem, czym je przytnę – dorzucił z uśmiechem, bawiąc się nożem. – Widzę, że też masz tego, no jak mu tam Shibe? – wskazał katarem stojącą nad kominkiem niebieską figurkę.

– Ach to – powiedział od niechcienia, grzebiąc w pudełku z cygarami. – To Kali, żona Shivy.

– Przecież ona ma chyba z osiem rąk i ten wielki język. Nie wygląda zbyt atrakcyjnie. Jako bóg, chyba mógł sobie znaleźć bardziej pociągającą partnerkę.

– Wiesz, są różne gusta, nie wiadomo co kto lubi, zresztą osiem rąk to i tak mało, czasami przedstawiają ją nawet z setką.

– Uhh... dobrze, że nie mają tam mroźnych zim, bo Shiva wydałby wszystko na rękawiczki.

– To zależy od regionu, w górzystej północy bywa mroźno – zdawał się nie zauważyć żartu Waltera, podając mu grube na dwa palce cygaro. – Chyba że chciałbyś spróbować czegoś innego?

– To znaczy?

Gospodarz uśmiechnął się tajemniczo. Podniósł stojący na biurku dzwonek, potrząsając nim dwukrotnie. Po chwili w drzwiach pojawił się wysoki mężczyzna w zawoju na głowie. Spencer powiedział coś do niego w obcym języku i służący się oddalił.

– Palilem to w Indiach, to specjalna mieszanka konopi indyjskiej. Myślę, że ci się spodoba – usiadł w fotelu naprzeciwko. – Tubylcy często jej używają, przynosi odprężenie i spokój – spojrzał na wchodzącego do pokoju olbrzyma niosącego w rękach srebrną tacę, na której ustawiono naczynie przypominające wazon z wystającymi z niego rurkami. Ponownie odezwał się do hindusa w obcym języku, wskazując podłogę pomiędzy fotelami. Służący ustawił tacę i bez słowa opuścił pokój.

– Wiem, że Indie ci się spodobały, ale żeby zaraz przywozić ze sobą słonia – rzekł Walter, odprowadzając wzrokiem służącego.

– Prawda. Ranjit jest ogromny, ale również wierny jak pies. Uratowałem mu życie podczas jednego ze starć w Pendźabie i od tego czasu nie mogę się

go pozbyć – podniósł zakończoną ustnikiem rurkę. – To jest fajka wodna, możliwe, że widziałeś ją kiedyś w palarni opium – zapalił wkład znajdujący się na szczycie dzbanka. Włożył rurkę do ust, mocno się przy tym zaciągając, a następnie podał ustnik Walterowi. – Spróbuj.

\*\*\*

Zapach pieczonego ciasta wypełniał kuchnię, rozchodząc się niezauważenie po ościennych pomieszczeniach. Hortense odkroiła nożem pokaźny kawałek szarlotki i umieściła go w miseczce, którą następnie przykryła talerzem. Przesunęła palcem po ostrzu noża, czyszcząc je z resztek ciepłego jabłka. Zjadła resztki wyraźnie usatysfakcjonowana. Takie jak lubi. Na pewno będzie jej smakować – pomyślała zadowolona.

– Co tam pieczesz? – spytała Brittanica.

Hortense ocknęła się z zamyśleni, a słysząc znajomy głos. Odwróciła się, odruchowo skrywając przygotowaną porcję za sobą.

– Szarlotkę.

– Hmm..., nie przypominam sobie, żeby była w menu. Ktoś sobie ją zażyczył?

– Nie, ale pomyślałam, że byłaby to miła odmiana.

– Odmiana? Niby od czego?

– Źle się wyraziłam, chciałam powiedzieć, że przecież każdy lubi ciasto i na pewno szarlotka spotka się z zadowoleniem.

– Być może – poprawiła kołnierzyk, tak jakby właśnie w tej chwili zaczął ją potwornie uwierać. – Ale na przyszłość, racz skonsultować się wpierw ze mną, zanim podejmiesz samodzielnie decyzję. Bądź co bądź, to ja zarządzam tym domem i dobrze by było dla ciebie, gdybyś o tym nie zapomniała.

– Oczywiście. W takim razie, aby uniknąć nieporozumień, może od razu powiesz mi co mam zrobić. Nie chciałabym podjąć pochopnej decyzji – złośliwość przebijała z tonu głosu.

– Zatem słucham.

– Jak robiłam ciasto, jedno jajko upadło mi na podłogę. Nie wiem, teraz czy ją wytrzeć, w końcu nie było tego w moich obowiązkach na dzień dzisiejszy, a nie chcę przez przypadek podjąć błędnej decyzji – wykrzywiła wargi w kpiącym uśmiechu.

Usta Brittanicy zmieniły się w wąską kreskę. Nie dając się sprowokować, wkroczyła do kuchni, lustrując podłogę. Dotknęła czubkiem buta świecącej

plamy, obok której leżał mały kawałek skorupki. Spojrzała na kucharkę, przesywając ją wzrokiem.

– Twoim obowiązkiem jest praca w kuchni – odparła spokojnie. – A co za tym idzie również utrzymanie w niej porządku. Więc w odpowiedzi na twoje idiotyczne skądinąd pytanie. Odpowiedź brzmi „tak”, jak najbardziej powinnaś to sprzątnąć i dziękuję za informację o zmarnowanym jajku. Postaram się, aby zostało to uwzględnione przy twojej wypłacie – usiadła przy stole, uderzając palcami w blat. – A teraz poproszę kawałek tego ciasta. Trzeba sprawdzić, czy jest wystarczająco dobre, aby móc je podać madame Clementine.

Hortense burknęła coś pod nosem, nakładając szarlotkę i ostentacyjnie postawiła talerz przed panną Bennett.

– Mam nadzieję, że jest czysty, nie tak jak podłoga – obejrzała uważnie widelczyk. Odkroiwszy kawałek ciasta, włożyła je do ust. Gryzła powoli, jakby miała do czynienia ze starą podeszwą. – Może być – odparła łaskawie, dokończając otrzymany kawałek. Wstała od stołu i opuściła kuchnię.

– Jędza – rzuciła na pożegnanie Hortense, zabierając brudny talerz. Odczekała kilka minut, wzięła miseczkę z przygotowanym wcześniej kawałkiem szarlotki i wyszła z kuchni. Ostrożnie podeszła do schodów i spojrzała w górę ponad okalającą je barierkę. Nie widząc nikogo w pobliżu, szybko przemknęła na piętro. Ponownie rozejrzała się dookoła, do jej uszu dotarły odgłosy z pokoju obok. Ostrożnie zerknęła do środka. Daphne z miotełką w ręku zaglądała do szafy z ubraniami Clementine. Hortense pokiwała głową z ubolewaniem, widząc zaangażowanie służącej, następnie przemknęła przez korytarz, zatrzymując się na jego drugim końcu. Zatrzymała się przed drzwiami po prawej stronie. Wyjęła klucz z kieszonki, przekreśliła go w zamku i weszła do pokoju.

Wnętrze było przeładowane zabawkami, na półkach piętrzyły się stosy lalek, misiów oraz drewnianych zwierzaków. Kucharka minęła dużego konia na biegunach, uklękła na podłodze i wyjęła spod łóżka głęboki talerz, przykryty mniejszym talerzykiem. Zajrzała do środka i widząc puste naczynie, uśmiechnęła się do siebie. Zabrała je, wstawiając w jego miejsce miseczkę z przyniesionym ciastem. Wstała, wspierając się na stojącej obok szafce. Trzymając w ręku talerze, podeszła do drzwi cicho je otwierając. Na korytarzu wciąż panował spokój. Wyszła, zamykając drzwi na klucz. W połowie drogi do schodów zobaczyła wychodzącą z pokoju Daphne. Momentalnie zastygła w pół kroku jak jedna z figur madame Tussaud. Na szczęście służąca zdawała się jej nie zauważać. Nucąc coś pod nosem, skręciła w prawo, znikając w kolejnym pokoju. Hortense odetchnęła z ulgą.

Najszybciej jak mogła zeszła na dół. Postawiła talerze na stole, chwyciła nóż i odkroiła potężny kawałek szarlotki, po czym z westchnieniem usiadła na krześle, zanurzając zęby w lekko ciepłym wypieku. Uff... mało brakowało – pomyślała, delektując się smakiem pieczonych jabłek.

\*\*\*

Mildreth przesuwiała się na czworakach do tyłu, szorując moką szmatą podłogę. Cofając się, uderzyła nogą w stojące za nią wiadro, rozlewając wodę z mydlinami. Wyprostowała się na klęczkach, odrzuciła ścierkę i poprawiła włosy, wtykając je pod czepek. Podłoga lśniła od wody, tworząc swego rodzaju tymczasowe lustro, odbijające w swej powierzchni okno i płomień świecznika, mającące na ciemnej podłodze jak małe świetliki. Pochyliła się, odpychając wiadro, po czym chwyciła szmatę, wracając do przerwanej pracy. Wyczyściła kolejne deski, gdy kątem oka zobaczyła przemykający po mokrej posadzce cień. Uniosła głowę, by sprawdzić, co dzieje się za jej plecami. Nie widząc nic szczególnego, powiedziała w przestrzeń:

– Daphne to ty? – jedyną odpowiedzią była cisza.

Nasłuchiwała przez chwilę, w końcu zrezygnowała, aby zająć się przerwana pracą. Przemyła kolejne deski. Wycofała się, uderzając ponownie w wiadro. Od niechcienia odepchnęła je nogą, ale zamiast znajomego odgłosu usłyszała jedynie ciche jęknięcie.

– Auu..., czymżem ci zawinił, iż kopiesz mnie tak bezceremonialnie.

Mildreth podskoczyła wystraszona, błyskawicznie się odwracając. Niestety zrobiła to tak szybko, że straciła równowagę, lądując na tyłku.

– Najmocniej panicza przepraszam – wydukała. – Myślałam, że to wiadro – mówiąc to, podniosła się z podłogi, wracając do pozycji klęcznej.

– Mam taką nadzieję, bo gdybyś zrobiła to celowo, musiałbym cię srogo ukarać.

– Naprawdę nie wiedziałam, że panicz tu stoi, to był wypadek – spuściła wzrok.

– Dobrze, już dobrze, bierz się do roboty – Garnet cofnął się o krok i oparł się o ścianę.

Mildreth przesunęła wiadro, złapała ścierkę, aby wznowić szorowanie podłogi. Spojrzała przez ramię i widząc neodrywającego od niej wzroku Garneta, momentalnie zalała się rumieńcem. Szybko odwróciła głowę. Boże niech on już stąd idzie – pomyślała, wodząc bezmyślnie szmatą z boku na bok, czując przy tym na sobie palące spojrzenie panicza. Chcąc nie chcąc, z

każdym kolejnym ruchem ręki, nieuchronnie zbliżała się do swojego obserwatora.

Garnet z uśmiechem wpatrywał się w falujące w rytm pracy biodra. Skojarzyły mu się z ostatnią nocą spędzoną w przybytku madame Rose. Młodą Azjatką i kilkoma związanymi z nią rzeczami. Westchnął i odepchnął się niedbale od ściany, zachodząc Mildreth od tyłu. Tak, aby nie mogła widzieć, jak się do niej zbliża. Następnie stanął tuż za nią. Czekał. Oczekiwanie nie trwało zbyt długo. Dziewczyna wykonała kolejny ruch ścierką i cofnęła się, uderzając go w nogę.

– Auu..., znowu to zrobiłaś – poskarżył się jak małe dziecko.

Mildreth odwróciła się speszona.

– Najmocniej przepraszam.

– Już raz mnie przepraszałaś. Co mi po takich przeprosinach, skoro znowu mnie kopnęłaś. Robisz to celowo? – burknął.

– Ja nie miałam takiego zamiaru. Myślałam, że panicz stoi pod ścianą.

– A niby po co miałbym tam stać? Myślisz, że nie mam ciekawszych zajęć?

– Nie, ja tylko... – ponownie spuściła wzrok.

– Lepiej bież się do roboty – rzucił oschłym tonem.

Mildreth odwróciła się posłusznie i niepewnie wznowiła czyszczenie podłogi. Garnet pozostał na miejscu, patrząc na nią z góry.

– Myślę, że za swoje nieodpowiednie zachowanie powinnaś zostać ukarana – z każdym kolejnym słowem czuł rozchodzące się po całym ciele gorąco potęgujące jego podniecenie.

– Ale ja – odwróciła głowę. – Nic...

– Milcz – przerwał jej ostrym tonem. – Chyba że chcesz, aby kara była bardziej sroga – przygryzł dolną wargę. – Myślę, iż kilka małych klapsów będzie odpowiednią naganą – schylił się i uderzył dziewczynę w pośladek.

Mildreth nieprzygotowana na tego typu spoufalenie, odruchowo odskoczyła do przodu, lądując jak długa na mokrej podłodze.

– Co panicz robi? – spytała drżącym głosem.

– A jak myślisz moja droga? Przecież to oczywiste. Wymierzam zasłużoną karę.

– Ale ja nic... – słowa zamarły jej w ustach, gdyż kilka kroków za Garnetem zobaczyła niską postać, tę samą, którą widziała na korytarzu parę dni temu. Jednak tym razem dziewczynka nie przemierzała samotnie korytarza, lecz stała, przyglądając się całemu zajściu. Wyciągnęła w kierunku Mildreth rękę, ruszając ustami, jakby coś do niej mówiła.

– Zaniemówiłaś? A może ci się spodobało? – zaśmiał się, gotując do kolejnego klapsa.

Nagle powietrze przeszły łomot, a z dołu dały się słyszeć głośnie głosy:

– Jejciu, ale wiatr normalnie wyrwało mi klamkę z ręki – powiedział Walter.

– Przecież widziałam – odparła Clementine. – Zamknij wreszcie te drzwi, zanim ta wichura rozniesie dom w drzazgi. Brittanica! Gdzieżeś się podziała?

Garnet wahał się przez chwilę, szacując swoje szanse. Wreszcie wyprostował się, wypuszczając głośno powietrze z płuc.

– Na razie kara została odroczone, ale nie martw się, na pewno jeszcze się spotkamy, moja mała – odwrócił się i zszedł na dół. Będąc w połowie schodów, rozpostarł szeroko ramiona. – Mamusiu, gdzieś była?

– Dobrze, że jesteś, na tej służbie w ogóle nie można polegać – wylała z siebie żale, rozpinając płaszcz.

Garnet stanął za Clementine, odbierając jej okrycie.

– Tak, wiem coś o tym – zawtórował matce.

\*\*\*

Gęste płatki śniegu, migoczące w blasku latarni pospołu ze słabym światłem księżyca, nieśmiało rozświetlały nocny mrok miasta. Czarny powóz mknął cichą ulicą, obwieszczając swoje przybycie odgłosem podków uderzających rytmicznie o zmrożony bruk. Mijał kolejne zakręty, znacząc drogę charakterystycznymi śnieżnymi koleinami. Stangret strzelił z bata, dając znak koniom, by przyspieszyły. Przełożył lejce do jednej ręki, poprawiając sztywny od mrozu kołnierz, starając się zatrzymać za pazuchą, chociaż szczyptę umykającego ciepła. Jechał najszybciej, jak tylko się dało. Istniały ku temu dwa powody. Pierwszy to wyraźne polecenie, które otrzymał od pasażerów. „George jedź prędko do domu, obiecałam Elen, że mama wróci, najszybciej jak to będzie możliwe”. Drugim znacznie ważniejszym był fakt, że od godziny nie czuł nóg. Od co najmniej dziesięciu lat nie przeżył tak mroźnej zimy, a patrząc na piętzące się wszędzie zaspę, nic nie wskazywało na to, by jej koniec miał niebawem nadejść.

– Wspaniałe przedstawienie – powiedziała kobieta siedząca wewnątrz powozu.

– Tak, aczkolwiek drugi akt zdawał się lekko nużący – odparł mężczyzna, lekko ziewając.

– Raczysz żartować – oburzyła się. – Maestro Kean, to wybitny artysta trudno byłoby zagrać to lepiej.

– Trudno by było zagrać to gorzej.

– Jamesie, naprawdę przesadzasz. Maestro swoją wybitną kreacją uświetnił całą sztukę.

– Właśnie o tym mówię, gdyby nie on, wyszedłbym wcześniej, a nie wyróżnił się niczym nadzwyczajnym, więc obrazuje to ogólnie poziom całego spektaklu – uniósł odzianą w rękawiczkę dłoń, tłumiąc kolejne ziewnięcie.

– Naprawdę dziwię się tobie. Wszyscy byli zachwyceni. Widziałeś te owacje.

– Oczywiście, nie dało się ich nie zauważyć. Pokazały one jedynie strach przed ostracyzmem. Wystarczyło, że ktoś rzucił na scenę bukiet kwiatów, a potem zaklaskał, a już cała publiczność poderwała się w bezkrytycznym uwielbieniu. Nawet siedzący obok mnie gość, który przez większość przedstawienia chrapał. Wiwatował jak szalony, aby nie zostać posądzonym o odstępstwo, a przecież – uniósł palec do góry, zaznaczając w ten sposób wagę słów, które za chwilę wypowie. – Nawet nie mamy pewności, czy osoby rzucające kwiaty nie były klakierami.

– Doprawdy, ty zawsze wietrzysz jakiś spisek, a ja ci mówię, że to było najlepsze przedstawienie, jakie ostatnio widziałam.

– Z tym akurat mogę się zgodzić, w końcu ostatnio nigdzie nie wychodzisz – posłał jej ironiczny uśmiezek.

– A to może jest moja wina? – uniosła się kobieta. – Od dawna mówiłam, że powinniśmy wybrać się do teatru.

– Hmm..., to bardzo interesujące, jakoś nie mogę sobie przypomnieć, żeby... – w tym momencie przerwał, gdyż powozem mocno szarpnęło, po czym gwałtownie się zatrzymał. James przeleciał na drugą stronę, odbił się od ściany, a następnie wylądował na podłodze, by po chwili poczuć ciężar żony upadającej wprost na niego. – Co to było? – jęknął, próbując wyswobodzić się z ludzkiego kłębka. Szamocąc się, usłyszał dochodzący z zewnątrz głos.

– Co ty wyprawiasz?! – wrzasnął stangret. – Życie ci niemiłe?!

– George co się stało?! – zawołał wściekły James spod sukni żony. – Mary Jane, na litość zabierz nogę z mojej twarzy.

– Panie, ktoś niespełna rozumu stoi na drodze! – krzyknął stangret.

– I tylko dlatego się zatrzymałeś? Jedź!

– Chciałem jechać, to konie stanęły dęba! Z drogi! – strzelił z bata.

James wygramolił się spod żony, chwycił ją za rękę, pomagając wstać. Teraz z zewnątrz dał się słyszeć wrzask:

– Co ty wyprawiasz! Aaa!!

Krzyk Georga przenikał do szpiku kości. James otworzył drzwiczki, akurat by zobaczyć woźnicę dosłownie przelatującego nad pobliską zaspą i uderzającego w oddzielające park od ulicy metalowe ogrodzenie. Jakiś mężczyzna w długim palcie schylał się na bezwładnie leżącym Georgem.

– Co tu się dzieje?! – zawołał James, stojąc w otwartych drzwiach powozu.

Nieznajomy nie zwracając uwagi na krzyki, z łatwością uniósł swoją ofiarę ponad głowę, jakby podnosił poduszkę wypełniona pierzem, a następnie z impetem nadział je plecami na ostre, metalowe pręty, stanowiące zwieńczenie płotu. Stangret jęknął, zawisając na ogrodzeniu, wstrząsany przez śmiertelne drgawki.

– Boże... coś ty... – wydusił z siebie stojący jak sparaliżowany James.

Mężczyzna w czarnym palcie ruszył w jego kierunku. Jak taran pokonał dzielącą ich potężną zaspę, tworząc w niej wysoką na trzy stopy przesiekę. Przyszło mu to z taką łatwością, jakby przechodził przez mgłę. Wyczyn ten sprawił, iż i tak już oniemiały James rozwarł usta jak wiejski głupek.

– O co chodzi? – odezwała się Mary Jane z za pleców męża. Nie słysząc, żadnej odpowiedzi wcisnęła głowę pod jego ramię, starając się dojrzeć, co takiego dzieje się na zewnątrz. Ujrzała jegomościa w czarnym cylindrze zmierzającego w jej stronę oraz nieszczęsnego Georga, z wystającym z brzucha zaostrzonym prętem. Zwisającego bezwładnie jak szmaciana lalka.

– James zrób, że coś! – wrzasnęła, unosząc głowę do góry, lecz widząc puste spojrzenie męża, zrozumiała, że jej krzyk jest bezcelowy. Odruchowo wyciągnęła rękę, próbując zamknąć drzwiczki.

Mężczyzna stał już przy powozie. Chwycił zamykające się drzwi, wyrywając Mary Jane klamkę z ręki. Potworny trzask obwieścił wyłamanie zawiasów. Wielki kloc drewna będący jeszcze przed chwilą częścią powozu poleciał w powietrze i jak spróchniała deska roztrzaskał się na płocie obok woźnicy. Kobieta wbiła się w najodleglejszy kąt powozu. Przerażona zasłoniła się podkulonymi nogami.

– Eee... – wydusił z siebie oniemiały James i był to ostatni dźwięk, jaki wydał w życiu.

Nieznajomy złapał go za głowę, uderzając nią w powóz. Czaszka pękła jak dojrzały arbuż ukazujący czerwony soczysty miąższ, lecz tym razem miąższem był krwawiący mózg. Uniósł ofiarę równie lekko, jak wcześniej



uczynił to z Georgem, odrzucając ją w śnieżnobiałą zaspę, którą przed chwilą pokonał.

– Nie!! – wrzasnęła, Mary Jane zasłaniając ręką twarz, usłyszała rżenie koni i poczuła gwałtowne szarpnięcie, powóz wyrwał do przodu, rozplywając się w mroku, pozostawiając za sobą, wyraźnie rysującą się na białym śniegu czarną sylwetkę.

## VII

Nad głową widział ciemny falujący las, spojrzął w lewo, a potem w prawo, aby zorientować się w sytuacji. Nie poznawał tego miejsca i nie mógł sobie przypomnieć, w jaki sposób się tu znalazł. Mrok spowijał drzewa, a powietrze zdawało się ciężkie i gęste. Powoli ruszył przed siebie, ciągnąc nogę za nogą, jakby były z kamienia. Zerknął w dół. Jednak mleczna mgła nie pozwoliła mu na ujrzanie niczego, co znajdowało się poniżej kolan. Zrobił kolejne dwa kroki. Zapadał się. Bagno, to musi być bagno! Pomyślał przerażony, próbując się z niego wydostać, jednak z każdym ruchem zanurzał się coraz bardziej, bardziej i bardziej. Wtem wstrząsnął nim potężny spazm, sprawiając, iż się ocknął.

Walter powoli zaczął dochodzić do siebie. Otworzył oczy, ostrożnie mrugając powiekami. Wciąż widział mgłę, jednak nie była już tak gęsta, jak przed chwilą. Zamrugał ponownie, powodując, iż mgła zamieniła się w dym, a drzewa w drewniane legary. Przetarł ręką twarz, w pokoju panował półmrok, a na leżance po drugiej stronie pokoju, wylegiwał się jakiś nieznajomy, trzymając w ręku długą fajkę. Walter wpatrywał się w niego przez trudny do określenia czas, wreszcie wszystko zrozumiał. Palarnia opium – przemknęło mu przez głowę. – Jestem w palarni, musiałem się solidnie zdrzemnąć – wstał, poprawiając wymięte palto, odnalazł leżący na ziemi cylinder. Skinął głową na pożegnanie siedzącemu w kącie Chińczykowi i wspierając się na lasce, chwiejnym krokiem wyszedł na zewnątrz.

Na dworze było już całkiem jasno. Lekki wiatr poderwał z trotuaru jeszcze świeży, niestratowany przez przechodniów śnieżny puch. Walter wystawił twarz pod wiatr, czując lekkie ukucia mrozu. Trwał w tej pozycji przez dłuższą chwilę, następnie przygładził włosy i włożył cylinder. Od domu dzieliło go prawie pół miasta, ale zważywszy dobroczynne działanie, jakie wywierało na niego świeże powietrze, postanowił pokonać ten dystans na piechotę. Po kwadransie lawirowania między ludźmi i zaspami dostrzegł stojącą na chodniku sporą grupę gapiów. Na tyle dużą, że część z nich zagarnęła znaczną część ulicy, utrudniając ruch przejeżdżającemu wozowi z węglem. Griffith stanął na skraju tłumu, próbując wypatrzeć coś ponad lasem głów. Jednak jego wzrost nie pozwolił mu dojrzeć niczego godnego

uwagi. Niezadowolony obszedł gawieź z drugiej strony, dublując wcześniejszy rezultat.

– Przepraszam łaskawego pana. Cóż tam się dzieje? – spytał zaintrygowany stojącego obok mężczyznę.

– Ktoś nie żyje – oznajmił jegomość w podartym palcie, nie zaszczyciwszy Waltera nawet przelotnym spojrzeniem.

– Cóż, kolejny nieszczęśnik opuścił ten łzawy padół.

– Tak i to nie jeden – odparł, próbując stanąć na palcach, aby dostrzec coś więcej ponad wciąż rozrastającym się tłumem.

– Proszę się rozejść – usłyszeli głos policjanta starającego się zapanować nad rosnącą ludzką masą. – Proszę się rozejść!

– To wszystko przez ten mróz – włączyła się do rozmowy stojąca obok kobieta. – Codziennie ktoś zamarza.

– Oni nie zamarzli psze pani – wtrącił się umorusany chłopiec z przewieszonym przez ramię pękiem czarnego sznura.

– Pytał cię ktoś o zdanie – zbeształ chłopaka mężczyzna w strzępach palta.

– Przepraszam panie Knight – szybko odpowiedział Magnus, wbijając wzrok w buty.

Walter wyciągnął z kieszeni butelkę laudanum i wypił duży łyk.

– Skąd wiesz, że nie zamarzli? – indagował.

– Bo precisnąłem się między nogami – odparł chłopak z dumą. – Oni zostali zabici.

– Dlaczego tak uważasz?

– Bo jeden pan został nadziany na płot, a ten drugi ma roztrzaskaną głowę – wybałuszył oczy, starając się w ten sposób dodać szczyptę grozy wypowiedzianym przed chwilą słowom.

– Najświętsza panienko! – jęknęła jakaś kobieta, zakrywając dłonią usta.

– To potworne, któż mógł zrobić coś tak strasznego? – powiedziała, nie kierując pytania do nikogo konkretnego.

– Najwidoczniej ktoś za nimi nie przepadał – podciągnął spodnie Knight.

– Ale żeby od razu takie rzeczy – kobieta szybko się przeżegnała. – Niech spoczywają w spokoju.

– Ten z płotu szybko spokoju nie zazna, jeszcze się sporo naszarpią, zanim go zdejmą. Pewnie solidnie przymarzył do tych prętów jak dobrze zmrożona półtusza – Knight wyszczerzył zęby, lawirując na palcach, aby cokolwiek zobaczyć.

– Jak pan tak może?

– A co niby takiego powiedziałem? Prawdą jest, że wisi, i to, że muszą go zdjąć – fuknął, wzruszając ramionami.

– Biedni ludzie – jęknęła.

– Biedni? Pff..., patrząc na to, w co są odziani, biedni niebyli – omiół Waltera wzrokiem, zatrzymując spojrzenie na lśniących butach. – A za nic, też ich nikt tak nie urządził, każdy ma coś na sumieniu, nawet tacy panowie – powrócił do obserwacji.

Walter sięgnął do kieszeni, wyciągając z niej szylinga. Podał go chłopcu, mówiąc:

– Dziękuję młodzieńcze za informację.

– To ja dziękuję psze pana – odpowiedział Magnus z wielkimi oczami wpatrzonymi w monetę.

– Droga pani, panowie. Życzę miłego dnia – powiedział Griffith, na pożegnanie delikatnie uchylając rondo cylindra. Odwrócił się, ruszając chodnikiem wzdłuż parku.

Knighr odprowadził go wzrokiem, po czym odwrócił się do Magnusa.

– Co tam masz?

– Nic takiego – powiedział, szybko chowając rękę za plecami.

– Dobrze wiem, że coś dostałeś – złapał chłopaka za kłapy kapoty, podnosząc go w górę. – Pokaż.

Magnus otworzył dłoń, ukazując błyszczącą monetę. John postawił go na ziemi, szczerząc zęby, zabrał szylinga i schował go do kieszeni.

– Ale to ja go dostałem – powiedział ze łzami w oczach.

– Ale ja go wezmę. Pracujemy razem i gdy ja dostaję zapłatę, dzielę się z tobą – puknął palcem w pierś Magnusa. – Dostajesz jedzenie i masz gdzie spać. Więc kiedy ty coś dostajesz, dzielisz się ze mną. Na tym polega współpraca. Nie może być tak, że ja ciebie utrzymuję. Czasem musisz się dołożyć. Naprawdę masz dużo szczęścia, że trafiłeś na kogoś z tak dobrym sercem jak ja i byłoby miło, gdybyś czasem odwdzieczył się, chociaż dobrym słowem – kolejny palec wbił się w podartą kapotę dzieciaka. – Co się mówi? – dodał ostro.

– Dziękuję panu – odparł bliski łez.

– No, a teraz do roboty, darmożjadów nam tu nie trzeba – popędził małego współpracownika delikatnym kopniakiem.

\*\*\*

Magnus zdjął kapotę oraz szalik, zwinął go, wciskając do rękawa, następnie z pietyzmem odłożył okrycie na podłogę obok kominka.

- Mógłbyś się pospieszyć, to nie fraak – rzucił Knight.
- Dobrze psze pana – wsunął koszulę w spodnie, podciągając je do góry, aby móc lepiej ścisnąć sznurek zastępujący mu pasek.
- Wiesz, co masz robić?
- Tak psze pana.
- Dobrze, ja zrzucę linę z góry. Na pewno zatrzyma się na którejś z półek. Mają tu strasznie pokręcone kominy. Jak ją znajdziesz, to złap, a ja ciebie wyciągnę. Zrozumiano?
- Tak.
- To jazda, do roboty – uderzył chłopaka w plecy, popychając w stronę kominka.

Magnus przesunął na bok metalowy płotek odgradzający salon od paleniska i wszedł do środka. Spojrzał w górę, szukając metalowych szczepki lub wyłomów w ceglach. Znalazł to drugie. Włożył rękę w wąską niszę, wyżej odnalazł drugą, po chwili zniknął w kominie. Na początku wszystko wyglądało dobrze. Pokonał szeroki pionowy szyb, gdy poczuł, iż głową dotyka cegieł, wystawił nogę w bok, natrafiając na półkę. Przycupnął na niej, łapiąc oddech. Pomacał dłonią po omacku wokół siebie, tak jak przewidział Knight, nie natrafił na żadną linę. Spojrzał w górę, widząc prostokąt ciemniejszy od czerni, która go otaczała, wyprostował się w jego stronę, uniósł ręce do góry, aby wyczuć jakiegokolwiek szczeliny pomiędzy ceglami. Namierzył kilka dających wystarczające oparcie i wślizgnął się w kolejny tunel. Parł do przodu mimo wyraźnie zmniejszającej się przestrzeni. Między ścianami a ramionami pozostały jedynie dwa cale. Przekreślił się, zmieniając pozycję i poczuł spadającą na głowę sadzę. Ciemny pył wślizgnął się pod powieki. Magnus zamrugał oczami, lecz pieczenie nie ustąpiło, wręcz przeciwnie, zdawało się narastać. W panice wykonał parę szybkich oddechów, pozwalając toksycznej mgiełce wpełznąć do ust i nosa, a stamtąd do płuc. Kaszlnął kilkakrotnie, pokrywając płwocinami ściany komina. Echo odbiło się od muru, tworząc kanonadę dźwięków. Spokojnie, tylko spokojnie – upomniał siebie w myślach, starając się uspokoić oddech. Zaparł się kolanami i łokciami o ściany, czekając, aż wstrząsające nim torsje osłabną. Po paru minutach ruszył do przodu. Komin ponownie zakręcał, pnąc się ku górze. Chłopiec wygiął się do tyłu, starając się wślizgnąć w jeszcze węższy otwór. Ceglane ściany owinięły się ciasno wokół niego, niemal blokując wszystkie ruchy. Wygięty w łuk spojrział w górę, widząc prostokąt światła, pomyślał z nadzieją – Już niedługo. – Chwycił wystającą cegłę, starając się podciągnąć, jednak zbyt mała przestrzeń uniemożliwiła mu to. Wierzgnął nogami, ale stopy trafiły w próżnię. Spróbował opuścić

ręce w dół, bezskutecznie, ramiona dotykały ścian, uniemożliwiając jakikolwiek ruch. Ogarnięty paniką począł więc się jak węgorz. Jednak, zamiast oswobodzić ciało, zaklinował się jeszcze bardziej. Załom komina wbił mu się w brzuch, powodując dojmujący ból. Ponownie przypomniał sobie najważniejszą zasadę, którą od początku wpajał mu Knight „co by się nie działo, masz być spokojny”. Wypuścił powietrze, aby zrobić głębszy wdech, jednak przez ucisk na przeponę zdołał wciągnąć tylko szczyptę powietrza. Uczynił kilka kolejnych nerwowych oddechów.

– Pomocy – bardziej powiedział, niż zawołał. Ponownie kilkakrotnie płytko odetchnął. – Pomocy! – tym razem jego głos stał się znacznie donośniejszy. Usłyszał jakiś ruch i po chwili w górze ujrzał twarz Johna.

– A, tu jesteś, mnóstwo tu kominów. Nie mogłem cię znaleźć.

– Utknąłem. Nie mogę się ruszyć.

– Hmm..., czemu mnie to nie dziwi – stęknął wymownie. – Zaraz rzucę ci linę – zniknął z pola widzenia, by po chwili pojawić się z pętem sznura. – Łap.

Zwój pomknął w dół, rozwinął się po drodze, lądując na głowie Magnusa.

– Obwiąż się pod pachami, a ja cię wyciągnę – odczekał parę sekund, wpatrując się w czerní poniżej.

– Nie mam jak tego zrobić. Jest za ciasno!

– Dobra, w takim razie po prostu ją złap. Już?

– Tak.

– Trzymaj mocno – rozkazał ciągnąc. Lina napięła się, ale nic poza tym. – Co u licha? – Knight ponownie szarpnął, ale nie zebrał nawet stopy sznura.

– Nadal nic! – obwieścił głos dochodzący z komina.

– Widzę! – rzucił wściekły. – Rusz się trochę!

– Próbuję, ale zakleszczyłem się, załom komina wbija mi się w brzuch!

– To do cholery wypuść powietrze! Ciągnę! – zaparł się nogami. Sznur napiął się, niebezpiecznie trzeszcząc i nagle John poczuł malejący opór. Zaczął szybko wybierać linę, po chwili ujrzał wynurzającego się z czeluści czarnego jak węgiel chłopaka.

Magnus puścił linę, wygramolił się z komina, upadając ciężko na ośnieżony dach. Zakrztusił się i przekręciwszy na brzuch, wypluł czarną ślinę na śnieżny dywan. Knight zwijał sznur, przez cały czas obserwując kaszlącego chłopca.

– Co ja mam z tobą zrobić? – spytał, kiwając głową. – Żeby nie ja, to byś się tam udusił, i co wtedy? Kto by cię stamtąd wyciągnął? Przecież sam bym tam nie wlaźł – rzucił zwój liny na dach. – Musiałbym zatrudnić

następnego dzieciaka, żeby przewiązał cię liną, a to kosztuje – pociągnął nosem, wycierając ręką nozdrza. – A nie wiadomo czy by mi zapłacili za robotę. W końcu nikt nie chce mieć trupa w kominie – splunął na ziemię.

– Przepraszam – wybąkał chłopak.

– Co mi po twoich przeprosinach. Przez ciebie mogłem stracić pieniądze.

Magnus zebrał ręką śnieg z dachu, wsadził go do ust, przeżuł i wypluł, aby pozbyć się resztek sadzy. Drugą porcją białego puchu przetarł umorusaną twarz. Knight wyjął z kieszeni bułkę, oderwał duży kawał, ugryzł i resztę schował do pałta.

– Co się tak gapisz? – spytał, widząc podążający za pieczywem wzrok Magnusa. – Chcesz kawałek?

– Tak psze pana.

John włożył rękę do kieszeni, ale nagle zmienił zdanie.

– Lepiej nie, musisz jeszcze przeczyścić tamte kominy – wskazał je machnięciem ręki. – Z tego ledwo cię wyciągnąłem, a jeśli tamte są równie wąskie, utkniesz w nich na amen. Dla własnego dobra zapomnij dzisiaj o jedzeniu – wepchnął do ust kawałek bułki. – Jeśli chcesz zachować tę robotę, musisz schudnąć. W przeciwnym razie będę zmuszony znaleźć kogoś na twoje miejsce – kopnął sznur w stronę chłopaka.

\*\*\*

Miał wrażenie, że powrót na łono rodziny mocno go ograniczało. W zasadzie to był tego nawet pewien. Nie czuł tej swobody, która dawała mu Europa kontynentalna. Luksusu zmiany miasta, czy też kraju, w którym przebywał, w każdej chwili, kiedy tylko chciał lub zmusiła go do tego zaistniała sytuacja. Brakowało mu pełnej anonimowości dającej poczucie bezpieczeństwa i bezkarności. Niestety wszystko, co dobre kiedyś musi się skończyć, zwłaszcza gdy długość podróży określa grubość portfela, a ta była uzależniona od hojności matki. Tak więc, jeśli pisała, że byłoby miło, gdyby niedługo wrócił, to oznaczało jedno, że zabawa dobiegła końca i jeśli nie pojawi się w domu w najbliższym czasie, to odcięcie funduszy zmusi go do tego tak czy inaczej, a wtedy powitanie nie byłoby już takie miłe. Cóż, to tylko okres przejściowy. Udobrucham babsztyla, połączę jej ego i ponownie zostawię to wszystko w diabły, a póki co, skorzystam z tego, co oferuje stara dobra Anglia – pomyślał, patrząc przez szybę, na idącą ulicą kobietę, przesunął się wzdłuż parapetu, aby móc jak najdłużej odprowadzać ją wzrokiem. Wyglądała na nieznacznie starszą od niego, ale kapelusz i szal, którym była opatulona, nie pozwalały tego jednoznacznie stwierdzić. Sądząc

po ubraniu, nie była zbyt zamożna. Pewnie jakaś służąca, już ja bym ci pokazał, kto jest twoim panem – nieświadomie wystawił koniuszek języka, delikatnie zwilżając kącik ust.

W tym momencie stracił zainteresowanie kobietą z ulicy, zawieszając wzrok na śnieżnej zaspie. Właśnie, gdzie jest ta mała... Mildreth? – kolejna myśl przeszła mu przez głowę. Odwrócił się i wyszedł z pokoju. Zatrzymał się tuż za drzwiami, nasłuchując odgłosów domu. Do jego uszu dotarł dochodzący z drugiego piętra hałas. Wszedł na górę, zajrzał do pierwszego pomieszczenia, było puste. Rozejrzał się po korytarzu, przez uchylone drzwi w łazience zobaczył jakiś cień. Ostrożnie stawiając kroki, by nie poruszyć przypadkiem jakiejś luźnej deski, podszedł do swojego celu. W łazience panował półmrok, lecz nie na tyle duży, aby nie dało się zobaczyć szczupłej kobiecej sylwetki, stojącej tyłem do wejścia i pochylającej się nad wanną. Garnet z uśmiechem na twarzy delikatnie otworzył drzwi i zamachnął się, wymierzając solidnego klapsa w ukryte pod czarną sukienką pośladki.

– Myślałaś, że ci się upiecze? – spytał, gotując się do kolejnego klapsa.

– Auu! – krzyknęła, omal nie tracąc równowagi.

– Krzyki ci nie pomogą. Założę się, że na to czekałaś – wymierzył kolejny raz.

– Co to ma znaczyć?! – rzuciła oburzona Brittanica, rozpaczliwie chwytając kran, aby nie wylądować w wannie.

Garnet zaniemówił, wytrzeszczając oczy na pannę Bennett.

– A to panicz... yyy... czy mogę jakoś pomóc? – spytała, oszołomiona poprawiając ubranie.

– Eee..., nie ja tylko... – wycedził.

Brittanica przygładziła włosy, starając się unikać wzroku Garneta, zresztą niepotrzebnie, gdyż on czynił to samo, drobiaz kroczył do tyłu.

– Jeśli mogę służyć... w jakikolwiek sposób... – mówiąc te słowa, spłonęła rumieńcem.

– Nie, nie, nie trzeba – odparł, prawie wybiegając z łazienki, zbiegł po schodach. Zatrzymał się dopiero na parterze. Cholerna dziewczucha to wszystko przez nią – wysyczał przez zaciśnięte zęby. Wściekły począł przemierzać pomieszczenia na dole, w końcu wiedziony cichym dziewczęcym nuceniem dotarł do pralni. Tak jak na górze, teraz też ostrożnie zajrzał do środka i tak jak parę minut temu ujrzał stojącą tyłem do niego dziewczynę, lecz tym razem pochylała się nad balią, przesuwając rytmicznie pranie po wielkiej tarze. Pomny ostatnich nauk zrobił dwa kroki w bok, aby upewnić się, że tym razem ma do czynienia z Mildreth. Zaszedł ją od tyłu, obejmując mocno w pasie.



– Zgadnij kto to? – szepnął jej prosto do ucha.

– Aaa... – wystraszyła się, wypuszczając prześcieradło do wody.

– Nie bój się, to tylko ja – kontynuował, patrząc na nią z góry.

– Panicz Garnet – wybąkała.

– We własnej osobie. Pamiętasz, co ci ostatnio obiecałem?

Dziewczyna spojrzała na niego złęknionym wzrokiem.

– Byłaś niegrzeczna i miałem cię ukarać – dodał, nie czekając na odpowiedź.

– Przepraszam, to było niechcący.

– A ja uważam co innego – przycisnął ją mocniej do siebie, prawie unosząc do góry. – Uważam, że jesteś niezdarna i krnąbrna.

– Proszę mnie puścić, muszę skończyć pranie – odparła drżącym głosem.

– Nie ma takiej potrzeby.

– Jeśli tego nie zrobię, panna Bennett będzie na mnie zła – powiedziała błagalnym tonem, próbując wyswobodzić się z żelaznego uścisku.

– Powinnaś raczej pomyśleć o tym, co zrobić, żebym to ja był zadowolony – opuścił prawą rękę, unosząc do góry skrawek sukienki.

– Pro... proszę panicza..., ja...

– Obiecałem, że kara cię nie ominie. Rozluźnij się, jestem przekonany, że ci się spodoba – odsłonił bladą nogę dziewczyny.

Dziewczyna odwróciła się gwałtownie, zrywając uścisk, niewiele myśląc, chwyciła leżące na tarze pranie i machnęła mokrym prześcieradłem, zarzucając je na głowę napastnika.

– Ty mała... – ryknął wściekły.

Mildreth nie usłyszała reszty słów, gdyż mokry materiał zawinął się na twarzy panicza, skutecznie tłumiąc jego wrzask. Nie czekając, aż Garnet rzuci z siebie ten osobliwy szal, wybiegła z pralni ile sił w nogach.

Młody Griffith przez chwilę szarpał się z potężnym kneblem, wreszcie rzucił go na podłogę. Zlustrował pomieszczenie i widząc, że został w nim sam, klnąc, kopnął ze złością balię.

– Już ja cię urządzę – wygładził koszulę. Zaaferowany poprawianiem ubrania wyszedł z pralni, wpadając wprost na idącą z naprzeciwka Brittanice.

– Najmocniej przepraszam – powiedziała szybko.

– Nic się nie stało – burknął pod nosem, starając się ją ominąć.

– Może jednak w czymś paniczowi pomóc? – spytała odruchowo, układając kok. Tym razem nie odwróciła wzroku, ale celowo patrzyła prosto w brązowe oczy Garneta. Próbując wyłapać choćby przelotne, skierowane w jej stronę spojrzenie.

– Nie, dziękuję panno Bennett – odparł, błyskawicznie odchodząc.

Brittanica powiodła wzrokiem za oddalającym się młodym Griffith'sem, nieświadomie przygryzając dolną wargę.

\*\*\*

Mildreth ledwo dotoczyła się do swojego pokoju, była kompletnie wyczerpana. Dzisiejszy dzień dał jej się solidnie we znaki, a incydent z Garnetem sprawił, iż w każdym ciemnym zakamarku widziała czającego się w mroku panicza. Rozejrzała się po korytarzu, nie widząc żadnego podejrzanego ruchu, wślizgnęła się do swojego pokoju, błyskawicznie zamykając za sobą drzwi. Ciężko oddychając, oparła się o nie plecami, była bezpieczna. Nagle straszna myśl przemknęła jej przez głowę. A jeśli on już tu jest, a ja nie zdołam uciec? – chwyciła ręką zamek, na powrót go otwierając. Nacisnęła klamkę i zamarła. A co jeśli czeka na nią na zewnątrz? – ponownie złapała za zamek, szybko go zamykając. Boże jestem w pułapce – pomyślała, omiatając nerwowym spojrzeniem pokój. Wystawiła rękę ze świecznikiem przed siebie, starając się w ten sposób oświetlić jak największą przestrzeń. W nikłym blasku świecy dostrzegła łóżko, stolik oraz małą szafę, a co najważniejsze drugi koniec pokoju. Wiedziała, że jest sama. Nigdy nie sądziła, że ucieszy ją fakt, iż mieszka w tak małej izdebce, ale teraz radość była bezbrzeżna. Nie wiedziała, co by zrobiła, gdyby w pokoju znajdował się, chociaż jeszcze jeden zakamarek, w którym mógłby się skryć jej prześladowca. Podeszła do stolika odstawiając świecę na blat, po czym ciężko spoczęła na pościeli. Co powinna teraz zrobić? Może powiedzieć o wszystkim pani Griffith – myślała nerwowo. – Tylko czy ona jej uwierzy, w końcu sprawa dotyczyła jej syna i służącej. Hmm... właśnie służącej, wiadomo, po czyjej stronie się opowie. W końcu to jej syn, a ja zajmuję się jedynie sprzątaniami. Strapiona opuściła głowę, wpatrując się w podłogę i nagle raptownie poderwała nogi do góry, wskakując na pościel. A jeśli jest pod łóżkiem? – podkuliła stopy, zerkając w dół. Ale jestem głupia, przecież gdyby tam był, już by mnie złapał – zaśmiała się nerwowo do siebie. A jeśli leży tam, czekając, aż zasnę? – zastanawiała się co zrobić, wreszcie zeskoczyła z łóżka, złapała świecznik i zajrzała pod spód. Wszystko stało na swoim miejscu, czyli znoszone buty w towarzystwie rozklekotanej walizki. Szybko wskoczyła pod kołdrę. Może do jutra wszystko jakoś się ułoży – pocieszyła samą siebie, układając się na poduszce. Przekręciła głowę na bok i w tym momencie usłyszała jakiś szelest. Odgarnęła włosy. Na wysokości jej oczu leżała złożona na pół kartka. Otworzyła ją i widząc

znajdujący się w środku tekst, wstała, aby dokładni obejrzyć go w świetle świecy. Patrzyła tępym wzrokiem na skrawek papieru, знаła niektóre litery, ale nie potrafiła czytać, ani pisać, więc równie dobrze mogła spoglądać na czysty papier, efekt byłby taki sam. Złożyła liścik i schowała go pod poduszkę. Ciekawe co tu jest napisane? – zastanawiała się przez chwilę, do momentu, gdy uświadomiła sobie, że ktoś musiał tu być, żeby móc zostawić kartkę na poduszce. Zimny dreszcz wstrząsnął jej ciałem, podciągnęła kołdrę pod brodę, spoglądając na blokującą drzwi zasuwkę. Już miała zdmuchnąć świecę, ale ostatecznie zmieniła zdanie. – Dzisiaj ciebie nie zgaszę – powiedziała cicho do świecznika, kryjąc się w pościeli.

\*\*\*

– Widzę, że spodobał ci się przybytek madame Rose – powiedział, Elvin bawiąc się cylindrem.

– Tak, muszę przyznać, że to dość szacowna instytucja – odparł, Garnet podziwiając zaśniewane ulice z okna powozu.

– Zaiste szacowna, niejeden klub nie powstydziliby się takich członków. Ostatnio wpadłem tam na hrabiego Boltona. Muszę przyznać, że bardzo miły z niego jegomość nie wspominając o Albercie Fosterze. Wyobraź sobie, że od ponad roku próbowałem dobić z nim targu odnośnie lasu w Farfax. Nie dość, że spotkanie z nim graniczy z cudem. To warunki, jakie mi na początku zaproponował, były całkowicie nie do przyjęcia, a tu proszę, parę tygodni temu wpadłem na niego u Rose. Krótka wymiana zdań i sprawa załatwiona – dla podkreślenia swoich słów strzelił palcami, niestety ze względu na rękawiczki nie osiągnął zamierzonego efektu.

– Tak, najlepsze rzeczy zawsze załatwia się nieoficjalnie.

– W rzeczy samej, a ty co dzisiaj masz zamiar załatwić?

– Hmm... – uśmiechnął się tajemniczo. – Mam pewien pomysł.

– Nie wątpię, przyjacielu – potarł dłonią gładko ogolony policzek. – A teraz zdradź mi, czy twoja żółciutka branka jest godna uwagi? Z tego, co wiem, przygarnęli ją dość niedawno i niestety nie miałem jeszcze sposobności przetestować jej zalet.

– O tak, z czystym sumieniem mogę ci ją polecić.

– Na to liczyłem – klasnął. – Nie ma to, jak od czasu do czasu wybrać się w podróż do orientu. Anglia to piękny kraj, ale jak to mawiają „podróże kształcą” – zaśmiał się oblesnie.

– Jeśli mogę ci coś zasugerować?

– Śmiało, nadstawiam uszu.

– Słodka Mia lubi na ostro.

– Ha, ha, to balsam na moje serce, a ty masz coś na oku? – nie czekając na odpowiedź, kontynuował. – Może spróbuj z Małą Peggy niezła z niej wariatka. Potrafi zaskoczyć, ostatnio ujeżdżała mnie jak konia. Wyobraź sobie, że na tę okazję ma przygotowane prawdziwe siodło oraz okazałą szpicrutę.

– Nic dziwnego, że ci się spodobało, w końcu prawdziwy z ciebie ogier – powiedział, klepiąc go w ramię. – Ja dzisiaj skorzystam z usług tej śniadej dziewczyny. Jak jej było na imię?

– Jasmin.

– Właśnie, Jasmin, na dzisiejszą noc będzie idealna.

Powóz zatrzymał się przed czerwonymi drzwiami, parę minut później mężczyźni siedzieli już w salonie, ściskając w dłoniach szklaneczki z ciętego kryształu. Po drugiej stronie pokoju, na zwróconych frontem do siebie otomanach, rozsiadło się, a właściwie leżało dwóch mężczyzn adorowanych przez roznegliżowane blondynki, które odrywając pojedyncze owoce z kiści winogron, karmiły ich jak nałożnice sułtana.

– Znasz ich? – spytał Garnet, kiwając dyskretnie głową w stronę bawiącego się towarzystwa.

– Ten łysiejący jegomość w bordowej kamizelce, to sir Roger Stanton, a drugiego widzę pierwszy raz. Za to bardzo dobrze znam obie blondyneczki. Mówią na nie siostrzyczki.

– Nie są do siebie podobne.

– Nic dziwnego, poza włosami nie mają ze sobą nic wspólnego. Nazywają je tak ze względu na ich upodobania.

– Czyli? – spytał Garnet, nie odrywając wzroku, od wyginających się ponętnie ciał.

– Lubią robić wszystko razem. Dosłownie wszystko, czasami są tak zaabsorbowane swoimi osobami, że zapominają o kliencie, zabawiając się jedynie ze sobą.

– Hmm... to nie zawsze bywa wadą – odparł, oblizując w swoisty dla niego sposób usta.

– Też tak sądzę.

Siedzieli w milczeniu, delektując się widokiem siostrzyczek. Niższa z nich usiadła okrakiem na nieznanym mężczyźnie, chwyciła zębami winogrono i pochylając się nad nim, włożyła owoc w jego usta, następnie z szelmowskim uśmieszkiem oblizwała jego wargi.

– Greta podoba się wszystkim – powiedziała szatynka o długich włosach. Odziana w jedwabny peniuar, tak założony, aby żadną miarą nie był w stanie

skryć obfitych piersi. – Można? – spytała, wskazując wolną przestrzeń znajdującą się na kanapie pomiędzy Elvinem i Garnetem.

– Oczywiście – odparł Elvin, starając się przesunąć w bok.

– Nie trzeba – uśmiechnęła się uwodzicielsko, siadając tak, aby móc ocierać się nogami jednocześnie o obu mężczyzn. Widząc, iż wciąż podziwiają wyczyny blondynki, dodała. – Potrafi robić językiem niesamowite rzeczy, często trenuje na mnie.

– Słucham? – spytał, Garnet zmieniając swój obiekt zainteresowania.

– Greta lubi dziewczyny jeszcze bardziej niż wy, a w dodatku nie lubi nudy, więc czasami ogrzewa mnie w chłodne noce – przesunęła ręce po swoich udach, niby od niechcienia poprawiając podomkę. – A wy panowie, czego lub kogo sobie życzycie? – wysunęła delikatnie koniuszek języka, zwilżając nim pełne czerwone wargi.

– Myślałem o Mii – odparł Elvin.

– Na pewno będzie zadowolona, mogąc gościć tak przystojnego dżentelmena – odwróciła się w stronę Garneta.

– A w jaki sposób mogę panu służyć?

– Słyszałem co nieco o Jasmin. Chciałbym się osobiście przekonać, ile w tym wszystkim jest prawdy.

– Bardzo mi przykro, ale w tej chwili jest zajęta.

– Jeśli nie potrwa to długo, mogę poczekać.

– Niestety obowiązki wezwały ją na całą noc – uśmiechnęła się. – Ale to nic straconego – dodała żywym głosem. – Czasami takie sytuacje sprawiają, iż możemy zasmakować rzeczy lepszych niż te, których oczekiwaliśmy. Jeśli pan pozwoli, z chęcią dowiodę wyższości Angielek nad dziewczynami z kontynentu – zatrzepotała zalotnie rękami.

– Po takiej przemowie nie mógłbym odmówić.

– Jest mi niezmiernie miło – uśmiechnęła się. – Nazywam się Betty.

– Garnet – odparł Griffith. – A to jest...

– Elvin – przerwał mu blondyn.

– Zatem zapraszam ze mną – wstała, łapiąc Garneta za rękę. – Najpierw pokażę, gdzie znajduje się pokój Mii, a następnie udamy się do mnie – wyszła z salonu, ciągnąc za sobą swoich oblubieńców.

\*\*\*

Garnet wszedł do pokoju jako pierwszy, podszedł do stolika i nalał sobie dużą porcję whisky, uniósł szklankę do ust, a drugą ręką począł rozpinąć kamizelkę. Betty zamknęła za sobą drzwi i powoli ruszyła w jego stronę.

– Pozwól, że ja to zrobię – powiedziała, odsuwając dłoń Griffith'sa i rozpięła guziki w śnieżno białej koszuli. – Na co masz ochotę? – uniosła głowę do góry. Nie odrywając wzroku od jego twarzy, zsunęła mu kamizelkę z ramion.

Wypił kolejny łyk, odstawiając pusty kieliszek na stolik. Po czym z werwą chwycił Betty za włosy, odciągając jej głowę do tyłu, a następnie przeciągnął język po napiętej szyi.

– Spokojnie ogierze – rzuciła zdziwiona. – Widzę, że już nie możesz wytrzymać.

Rozwarł peniuar na boki, jednym pociągnięciem wyciągając pasek ze szlufek. Naparł na nią ciałem, dysząc wprost do jej ucha:

– Odwróć się – złapał ją za biodra.

Betty posłusznie stanęła tyłem do niego.

– A teraz podejdź do łóżka – powiedział podnieconym głosem. Poczekał, aż wykona polecenie. – Złap się za słupek. Nie, wyżej, jeszcze wyżej.

– Dobrze? – nie odpowiedział, ale mając wiele lat doświadczenia w tej profesji, uznała, że jest w odpowiedniej pozycji. Przekręciła głowę, czekając na kolejne rozkazy.

Garnet chwycił ją za rękę, przywiązując je do drewnianych słupków.

– Z tego, co mówiłaś, strasznie z ciebie niegrzeczna dziewczynka.

– Tak, jestem bardzo niesforna – podchwyciła szybko.

– Jak bardzo?

– Tak potwornie, że muszę zostać ukarana.

– Chcesz tego?

– Tak, proszę, ukaż mnie – jęknęła błagalnym tonem.

Uniósł podomkę, zarzucając ją na ramiona dziewczyny, ukazując tym samym jej blade pośladki. Odwinął długi rzemień, którym przewiązał się w pasie, złożył go na pół i delikatnie uderzył Betty.

– To za to, że byłaś niemiła. Będziesz nadal rozrabiać?

– Tak.

Wymierzył kolejne smagnięcia, tym razem zwiększając ich siłę

– Co teraz powiesz? – rzucił przez zaciśnięte zęby.

– Zasługuję na więcej.

– Też tak uważam – uderzył ponownie, zwiększając moc ciosu.

– Auu..., auu... – syknęła, czując, że zabawa staje się dla niej zbyt bolesna. – Dziękuję za karę, należało mi się.

– Masz rację – przerzucił rzemień przez ramię, podwijając rękawy. – Byłaś bardzo, bardzo zła, a ja nie znoszę takich dziewczyn.

Betty spojrzała na Garneta i widząc, co zamierza, zmieniła strategię.

– Będę już grzeczna – powiedziała ze skruchą.

– Jakoś ci nie wierzę. Myślę, że mnie oszukujesz, a ja nie znoszę małych kłamczuch – wyciągnął rękę przed siebie, rozplątując rzemienie tak, aby osiągnęły pełną długość. Cofnął się o krok do tyłu, żeby wykonać pełen zamach.

– Ale ja... – przerwała, czując prowizoryczny batog na swoim ciele. – Aaa! – wrzasnęła. – Będę grzeczna. Przysięgam – spojrzała za siebie, akurat by zobaczyć nadlatujący skórzany pas. – Auu! Co ty robisz?! To boli!

– O co ci chodzi? Sama chciałaś, żebym cię ukarał.

– Ale już nie chcę, proszę, przestań – powiedziała ze łzami w oczach.

– Zamknij się – rzucił wściekły z twarzą nabiegłą krwią. Podszedł do dziewczyny, uniósł podomkę, wpychając połą do ust Betty. – Skończymy wtedy, kiedy ja uznam to za stosowne – złapał ją za włosy, ciągnąc do tyłu.

– Krzyknij jeszcze raz, a poczujesz bat nie tylko na swoim tyłku. Rozumiesz? – skinęła posłusznie głową. – No – cofnął się o krok, wracając do poprzedniej czynności. Po kilkunastu razach odrzucił rzemień na bok, odpiął szelki, pozwalając spodniom opaść swobodnie w dół.

## VIII

Tej nocy prawie nie zmrzyła oka, dopiero nad ranem, gdy końcówka knota zanurzyła się w gorącym wosku, zasnęła zmęczona. Jednak sen nie trwał długo, obudziło ją delikatne pukanie do drzwi. Z wysiłkiem otworzyła oczy, starając się utrzymać w górze powieki warzące tyle, co sztabki ołowiu, jednak jej trud zdawał się płonny, gdyż po sekundzie, nieposłuszne wróciły do pozycji wyjściowej. Po krótkiej chwili ciszy pukanie przybrało na intensywności.

– Wstawaj – rozległ się stanowczy głos dochodzący z zewnątrz.

Mildreth przekręciła się na bok, przecierając pięścią oczy, ponownie podejmując próbę powrotu do rzeczywistości.

– Wstawaj – zabrzmiało to tak, jakby ktoś próbował krzyżeć, jednak z jakiegoś powodu nie był w stanie.

– Kto tam?

– Ja. A kogo byś chciała? Natychmiast otwieraj – słowa przypominały wściekły warkot.

Dziewczyna zwlekła się z łóżka, powłócząc nogami, dotarła do drzwi i otworzyła je, przesuwając zasuwkę. Momentalnie została nimi uderzona, niemal tracąc równowagę.

– Długo będę na ciebie czekać? – rzuciła Brittanica od progu.

– Ale... co się stało?

– To ja się pytam, co się stało? Czy ty wiesz, która jest godzina? Dawno powinnaś już być na nogach.

– Przepraszam, myślałam, że... – odparła zdeorientowana.

– Chyba nie myślałaś... – zamknęła drzwi, aby móc w końcu głośniejszym tonem wyrzucić z siebie to, co miała do powiedzenia. – O ile wiem, nie twoją domeną jest wylegiwanie się w łóżku, a może się mylę? Może to madame Clementine powinna przyszykować dla ciebie kąpiel, a pan Walter podać ci śniadanie do pokoju? – spytała prowokacyjnie.

– Najmocniej przepraszam – chwyciła kołdrę, szybko ścieląc łóżko. – Nie mogłam w nocy usnąć... – podniosła, leżącą na krześle sukienkę.

– Wydaje ci się, że to mnie interesuje?

– Hmm... – zamarła z ubraniem w rękę.

– Ja nie jestem tutaj od wysłuchiwania twoich wymówek. Dla mnie możesz przez całą noc gapić się w ścianę, jeśli nie chcesz spać, ale rano



masz być gotowa do pracy, a jeśli zajdzie taka potrzeba to i w nocy. Czy to jest jasne?

Dziewczyna kiwnęła automatycznie głową.

– A teraz rusz się, chyba nie masz zamiaru tak stać przez cały dzień – zmierzyła ją srogim spojrzeniem. – Za pięć minut masz być na dole – zaordynowała, wychodząc na korytarz.

Mildreth szybko włożyła na siebie uniform, spięła włosy i po chwili biegła na dół. W połowie schodów się zatrzymała, przez chwilę zawahała, w końcu zawróciła, przeskakując po dwa stopnie w górę. Wróciła do swojego pokoju. Wsunęła rękę pod poduszkę, wyciągając spod niej znaleziony wczorajszej nocy list. Wsadziła go do kieszonki, po czym pobiegła z powrotem, będąc na pierwszym piętrze, zwolniła, aby przez przypadek nie obudzić żadnego z domowników. Starła się opanować nerwy, idąc jak najszybciej w kierunku kuchni.

– No najwyższy czas – westchnęła Brittanica znad kubka herbaty. – Dzisiaj mamy mnóstwo pracy, a dzień jest bardzo krótki – spojrzała na siedzące przy stole służące. – Trzeba przygotować obiad na co najmniej osiem osób, a jest możliwe, że gości będzie nawet dwanaścioro.

Mildreth nieśmiało sięgnęła po leżący na stole chleb z serem.

– Jedź dziecino, bo potem możesz nie mieć na to czasu – powiedziała Hortense, podsuwając jej talerz z kanapkami. – Herbaty?

– Poproszę – odparła Mildreth.

Kucharka podała jej parujący kubek.

– Jeśli zakończycie już wzajemne uprzejmości, to może wreszcie skupimy się na tym, co istotne – wtrąciła Brittanica. – Trzeba przygotować pasztet zajęczy, zupę serową i Brown Windsor, Yorkshire pudding, jagnięcinę w sosie miętowym, pieczoną gęś z jabłkami, głowę cielęcą. Oczywiście nie możemy zapomnieć o deserach. Hortense, dziś w kuchni będzie pomagać ci Mildreth. Daphne, ty zaczniesz od czyszczenia porcelany. Nie chcę widzieć ani jednej plamki na serwisie madame Griffith, ani odcisków twoich paluchów. No raz, raz – klasnęła dwukrotnie w dłonie dla zachęty. – Kończcie jedzenie i do roboty.

\*\*\*

Szły objuczone jak kupieckie muły, ostrożnie stawiając stopy na oblodzonym bruku.

– Uważaj na tę ślizgaaaw...– nie dokończyła, czując, że buty tracą przyczepność, sekundę później Hortense siedziała na tyłku, pomiędzy

koszykami wśród rozrzuconych zakupów.

– Nic się pani nie stało? – spytała Mildreth, odstawiając swoje pakunki na ziemię.

– Chyba nic – odparła, przekręcając się na bok, aby móc rozmasować obolałe miejsce. – Czasem tusza ma swoje zalety – powiedziała, ze śmiechem klepiąc się w pośladek. – Pomóż mi pozbierać te bambetle, bo inaczej Price'owie będą musieli na obiad zjeść owsiankę.

– Pewnie by to była dla nich duża odmiana – dziewczyna wyciągnęła rękę w stronę nieszczęśnicy.

– Masz rację dziecino – z wdzięcznością chwyciła pomocną dłoń. Po krótkim mozole jako tako stanęła na nogach.

Mildreth żwawo zajęła się zbieraniem wiktuałów. Wypełniła pierwszy kosz, szukając reszty zakupów. Właśnie schylała się, aby podnieść rybę, gdy nagle czyjaś ręka uprzedziła ją, chwytając zawiniątko.

– Dziękuję – wystawiła dłoń w stronę małego chłopca. Dzieciak przez chwilę patrzył na nią, jakby próbował podjąć jakąś ważną decyzję, w pewnym momencie odwrócił się i uciekł w drugą stronę. – Hej! Zostaw to! – rzuciła się za nim w pogoń.

– Millie! Stój! – krzyknęła Hortense.

Dziewczyna zatrzymała się zdezorientowana.

– Ale on ukradł rybę – powiedziała, nie odrywając wzroku od znikającego chłopca.

– Trudno, nic na to nie poradzimy.

– Ale...

– Nie ma sensu go gonić – odparła uspakajającym tonem. – I tak go nie złapiesz w tej sukience. Poza tym damy sobie radę bez tej ryby, a chłopak niech się naje, może to jego pierwszy posiłek od paru dni.

– Jak panna Bennett się o tym dowie, to się wścieknie, będzie chciała nas ukarać.

– Dlatego nic jej nie powiemy. Prawda?

– Hmm... – mruknęła, intensywnie myśląc. – Dobry pomysł – kiwnęła potakująco głową.

– Oczywiście, w tej sytuacji najlepszy – podniosła zakupy. Ostrożnie ruszyła do przodu, drobiąc kroczyki, jakby była odziana w japońskie kimono.

Przeszły na drugą stronę ulicy manewrując pomiędzy wolno toczącymi się powozami. Poranne słońce wreszcie wyszło zza chmur, delikatnie roztapiając nocny śnieg.

– Pani Moore, czy mogę panią o coś spytać? – zagadnęła, wyraźnie bijąc się z myślami.

– Możesz, ale jeśli jeszcze raz nazwiesz mnie panią Moore, przestanę z tobą rozmawiać.

– Przepraszam... Hortense.

– Tak lepiej, więc co chcesz wiedzieć? – przesunęła się na bok, aby minąć wiążącego buta chłopca.

– Czy umie pani czytać?

– Słabo, umiem przeczytać niektóre wyrazy, ale nie powiedziałabym, że jestem w tym biegła, a dlaczego pytasz?

– Bo, wczoraj wieczorem znalazłam w swoim pokoju list.

– List? To ciekawe, a co w nim było napisane?

– Niestety nie wiem, nie umiem czytać ani pisać – spuściła wzrok, skupiając go na przetartym czubku buta.

– Jeśli chcesz, mogę na niego zerknąć. Nie wiem, czy mi się uda go rozszyfrować, ale zawsze warto spróbować.

– Tak, bardzo proszę – ożywiła się.

– Ciekawe co to za list i od kogo go dostałaś? – zastanawiała się głośno. – Wiesz co, a może to list miłosny? – spojrzała dociekliwym wzrokiem na Mildreth.

– Tak pani sądzi? – spytała, płonąć rumieńcem.

– A dlaczego nie, jesteś młoda i ładna. Na pewno nie jeden się za tobą ogląda.

Dziewczyna milczała, lecz mimo mrozu czuła, że policzki palą ją żywym ogniem.

– Zawsze chciałam dostać jakiś miłosny list od nieznajomego, choć w sumie nie obraziłabym się za jakikolwiek list, to takie romantyczne – głośno westchnęła Hortense. – W naszej wiosce mieszkał śliczny blondyn. Nazywał się Markus, był synem młynarza, każda dziewczyna oddałaby wiele, aby przejawiał, choć małe zainteresowanie jej osobą. Parę razy nawet z nim rozmawiałam, hmm... – ponownie westchnęła, patrząc gdzieś w dal. – Ale dość o mnie, jak tylko wrócimy, musisz mi go koniecznie pokazać.

– Mam go przy sobie.

– O rany! Dziewczyno, dopiero teraz mi o tym mówisz – rozejrzała się podekscytowana. – Chodź, tam staniemy, żeby nas nie rozdeptali – kiwnęła głową w stronę niskiego ogrodzenia, oddzielającego dwupiętrowy budynek od ulicy.

Przez chwilę lawirowały w rzece przechodniów, wreszcie dobrnęły do celu. Hortense odstawiła koszyki, chuchnęła parę razy w dłonie, aby rozgrzać ścierpnięte palce.

– No pokaż mi ten skarb – zachęciła, przestępując z nogi na nogę.

Mildreth przez chwilę grzebała w fałdach ubrań, w końcu wyjęła, złożoną na pół kartkę i podała ją kucharce.

– O, nie był zbyt wylewny – powiedziała rozczarowana ilością papieru. Rozłożyła list, uważnie mu się przyglądając. – Nie rozumiem wszystkiego, ale te słowa oznaczają... – przesunęła powoli palec, wodząc nim kolejno po każdej linijce tekstu.

..... tego domu  
..... małżeństwo,  
..... szalony ..... zostaniesz  
..... cię tak ..... mnie.

– Wydaje się, że ktoś wyznaje ci miłość.

Mildreth przysunęła się do swojej tłumaczki, aby móc lepiej przyjrzeć się tekstowi.

– Chyba chce cię zabrać do domu, oferuje ci małżeństwo, szalejąc z miłości do ciebie, ale to romantyczne – przewróciła kartkę na drugą stronę.

– Nie widzę nigdzie podpisu. Kto to może być? – przeniosła pytające spojrzenie na dziewczynę.

– Hmm... – zawstydzona wzruszyła ramionami.

– Nikt ci nie przychodzi do głowy?

– A bo ja wiem? Tak naprawdę nikogo tu nie znam, odkąd tu przyjechałam, prawie nigdzie nie wychodzę. Wie pani, cały czas jest jakaś robota.

– No tak, ale przecież ktoś to musiał napisać i położyć w twoim pokoju.

– Tak, tylko kto?

– Jedynymi mężczyznami u nas w domu są: pan Walter i Garnet.

– Oby tylko nie Garnet – wzdrygnęła się z obrzydzeniem.

– Fakt, to nie byłoby nic miłego, ale jeśli nie oni to kto? – oddała list Mildreth. – Chociaż jest jeszcze jedno rozwiązanie.

– Jakie?

– Może list położył ktoś, kto otrzymał go od twojego adoratora.

– Ale kto?

– Jeśli nie ty i nie ja, to ktoś inny kto mieszka razem z nami – podniosła zakupy z ziemi. – Chodźmy, mamy jeszcze mnóstwo gotowania. Może wpadniemy na coś po drodze – zrobiła parę kroków i odwróciła się do Mili.

– Nawet by mi odpowiadało, gdyby to był pan Walter.

– Pan Walter? – Mildreth gwałtownie się zatrzymała. – Przecież on jest mężem madame Clementine.

– Tak, ale gdybyś to ty była jego żoną, mogłabyś wyrzucić tę wredną Brittanicę.

Dziewczyna zaśmiała się i podbiegła, aby zrównać się z prącą do przodu kucharką.

\*\*\*

Krążył po sklepie, bawiąc się srebrną główką laski, lustrując bez większego entuzjazmu zawartość sklepowych półek. Nie przepadał za robieniem zakupów, ale cel uświęca środki. Wiedział, że to małe poświęcenie może zaowocować smakowitą nagrodą. Spojrzał na obsługiwaną przez subiekta kobietę, była niska i lekko przysadzista. Całe szczęście, że Clementine jeszcze nie osiągnęła tego stanu – pomyślał z ulgą. Kobieta jakby wyczuła jego myśli, gdyż w jednej chwili odwróciła się w stronę Waltera, posyłając mu niczym nieskrępowane spojrzenie. Obrzuciła go nim od butów po cylinder. Griffith delikatnie się skłonił, szybko odwracając głowę na znajdującą się po drugiej stronie sklepu bele materiału. Podszedł do nich, udając zainteresowanie szkarłatnym aksamitem. Trwał w tej pozycji do czasu, aż usłyszał cichy dźwięk umieszczonego nad drzwiami dzwonka. Odwrócił się, wpadając na stojącego za nim mężczyznę.

– Najmocniej pana przepraszam – powiedział.

– To moja wina, niepotrzebnie tak się skradałem. Hmm... widzę, że szanowny pan zainteresował się tym pięknym materiałem. Muszę przyznać, że ma pan świetne oko. Mamy go dopiero od tygodnia, a już sprzedaliśmy znaczną jego ilość. Szuka pan materiału na... – zawiesił pytanie, czekając na odpowiedź.

– Nie, dziękuję. W zasadzie nie potrzebuję tego typu rzeczy.

– Więc jak mogę szanownemu panu służyć?

– Hmm... – zerknął ponad ramieniem sprzedawcy na usytuowany za ladą regał. – Myślałem raczej o perfumach.

– Doskonały pomysł, w naszym drugim dziale mamy cudowną paletę zapachów. Zapraszam – gościnnie skinął ręką, wskazując kierunek. Obszedł kontuar, aby móc stanąć po jego drugiej stronie szczerząc żółte zęby. – Szuka pan jakiegoś konkretnego zapachu?

– Yyy... sam nie wiem.

– Zapach ma być ostrzejszy męski, czy może bardziej delikatny kobiecy?

– zadając pytanie, odwrócił na chwilę wzrok, wyraźnie przez coś rozproszony.

Walter podążył za jego spojrzeniem. Ujrzał rudego młodzieńca trzymającego w ręku kilka małych pudełeczek, jedno z nich leżało na podłodze pod jego stopami.

– Przepraszam szanownego pana, to potrwa tylko chwilę – poinformował subiekt, wychodząc zza lady. Przemierzył szybkim krokiem dzielącą go od chłopaka odległość. – Co ty wyprawiasz? Ile razy ci mówiłem, żebyś był ostrożny? – wysyczał przez zęby.

– Bardzo przepraszam.

– Co mi po twoich przeprosinach? Zobacz, towar zniszczony – wskazał palcem pogięte szare pudełko. – Odłóż resztę na półkę, tylko ostrożnie – zastrzegł z groźbą w głosie.

Pomocnik posłusznie wykonał polecenie. Gdy tylko pudełka stanęły na regale, poczuł otwartą dłoń kierownika, lądującą na jego potylicy. Zatoczył się od uderzenia, przyjmując karę w milczeniu.

– Potrącę ci to z wypłaty – obwieścił złowrogo. Po czym odwrócił się ze służalczym uśmiechem do Waltera. – Ach te dzieciaki trzeba by im patrzeć cały czas na ręce, ale jak wtedy pracować? – westchnął, rozkładając ręce. Szybko wrócił na swoje miejsce, zapełniając pustą przestrzeń pomiędzy ladą a regałem. – Więc jaki zapach szanowny pan preferuje?

– Może jakiś kwiatowy.

Sprzedawca przez moment grzebał na półce i po chwili ustawił na kontuarze cztery flakony.

– Proszę powąchać – odbezpieczył pierwszą buteleczkę, podając ją klientowi. – Tutaj mamy zapach fiołkowy. Panie bardzo go sobie chwala.

– Hmm...

Widząc niezdecydowanie na twarzy Waltera, szybko otworzył drugi flakon.

– Tutaj dominująca jest nuta różana – podał perfumy, zamierając w oczekiwaniu.

– Hmm... – pociągnął delikatnie nosem.

– Tak, w pełni się z szanownym panem zgadzam. Zapach może się wydawać trochę przyciężki – przesunął palcami po blacie. – Ale to już zupełnie coś innego, nowość z Paryża – powiedział konspiracyjnym szeptem. – Jedna z klientek określiła je mianem „obłędne”. Proszę powąchać – zdjął korek, machając ręką nad flakonem, jakby chciał rozprzestrzenić woń na całe pomieszczenie.

– Hmm... – głośno cmoknął.

– W takim razie proszę...

Walter uniósł do góry rękę, przerywając subiektowi.

– Może niech pan sam coś wybierze. Myślę, że zna się pan na tym znacznie lepiej niż ja.

– Dziękuję panu za zaufanie. Moja żona preferuje fiołkowe, ja również uważam, iż jest to wyjątkowo udana kompozycja.

– Zatem niech będą fiołkowe. Dwa razy.

– Jak sobie szanowny pan życzy – skłonił się usłużnie, przy okazji wyjmując torebkę spod lady.

Chwilę później Walter stał już na zewnątrz, pośród tworzących białą mgiełkę płatków śniegu, poderwanych z trotuaru przez lekki mroźny wiaterek. Wyjął z kieszeni butelkę z laudanum, uniósł ją do góry, wlewając zawartość do gardła. Miał już ruszać w drogę, gdy zza rogu wyłoniła się dorożka. Machnął laską, czekając, aż stangret zatrzyma się obok niego.

– Na York Street – zaordynował, wsiadając do środka.

Przejechał zaledwie trzy przecznice, gdy zobaczył znajomą sylwetkę idącą po drugiej stronie ulicy.

Walter pochylił się, stukając dorożkarza w ramię.

– Proszę się zrównać z tym panem w granatowym palcie – wskazał laską mężczyznę. – Panie doktorze zapraszam do siebie! – zawołał, wychylając się na zewnątrz.

Samuel zatrzymał się, żeby zlokalizować źródło krzyku.

– Tutaj – Walter machnął zapraszająco ręką.

Lekarz spojrzał na dorożkę i jakby nigdy nic ruszył dalej.

– Samuelu to ja, Walter!

Doktor odwrócił się nieznacznie, lecz nie przestawał iść dalej, a nawet lekko przyspieszył.

– Proszę się zatrzymać – rzucił Griffith do woźnicy. Nie czekając, aż stanie, wyskoczył na brukowaną ulicę, o mały włos nie tracąc równowagi na oblodzonych kamieniach. – Poczekaj! – krzyknął, przebiegając na drugą stronę.

Doktor ponownie spojrzał za siebie i widząc zbliżającego się do niego mężczyznę, rzucił się do ucieczki.

– Co ty robisz?! To ja, Walter! – ruszył w ślad, za uciekającym Samuelem. Przebiegł kilkanaście jardów, w końcu dotarł do niego bezsens pościgu i dał za wygraną. – Samuel! – krzyknął, ale doktor skręcał już za pobliską kamienicę. Skonfundowany odprowadził go wzrokiem, nie wiedząc, co o tym wszystkim sądzić. Po chwili usłyszał stukot końskich kopyt.

– Jedzie pan dalej? – odezwał się stangret.

Walter spojrział na woźnicę, a potem na narożnik budynku mając nadzieję, że zaraz wyjdzie zza niego Samuel, ale nic takiego się nie stało. Wsiadł do dorożki, ciężko padając na siedzisko.

– Nadal na York Street?

– Tak – odparł, myśląc o tym, co się przed chwilą wydarzyło.

– Jest panu winien jakieś pieniądze? – stangret strzelił z bata.

– Nie – odparł mechanicznie.

– Może pana nie poznał, na dworze już szarówka.

– Może... – odpowiedział bez przekonania.

\*\*\*

– Uwielbiam cielęcą głowę, lecz w Indiach z oczywistych powodów nie mogliśmy jej jeść – powiedziała Caddy, wkładając kawałek mięsa do ust.

– A dlaczegoż to? – zainteresował się żywo Walter, pałaszując cielęcinę w sosie miętowym. – Czyżby nie mieli tam krów?

– Wręcz przeciwnie, jest ich tam pod dostatkiem.

– Więc czemu? O ile się orientuję, na jednego cielaka przypada jeden łeb – rzekł, szczerząc się sponad leżącej na srebrnej tacy cielęcej głowy.

– Nie koniecznie, czasem rodzą się zwierzaki z dwoma głowami – wtrącił Spencer.

– No tak, nawet z trzema, mówią na nie smoki – zaśmiał się Walter, zapijając dowcip czerwonym winem.

– Ty i ta twoja ignorancja – zganiła męża Clementine.

– Wypraszam sobie, smoki to poważna sprawa, wątpię, aby w średniowieczu z nich żartowano, a na pewno nie było do śmiechu białogłową służącym im za posiłek.

– Nie wiem, ile głów miały smoki, raczące się młodymi dziewczycami, ale ja widziałam na własne oczy jakieś dwugłowe stworzenie, w jednym z tych wielkich słoików, które stoją w domu doktora Samuela. Zresztą sam u niego bywasz, a więc musiałeś je oglądać.

– Być może, jednak nie utkwily mi zbyt w pamięci. Jedyne słoje, które wzbudzają moje zainteresowanie, to te z konfiturą. Formalina nie leży w moim guście.

– Widzieliśmy takie zwierzę u hrabiego Boltona, prawda Danielu – wtrąciła Margaret Price.

– Masz rację – odparł siwy jegomość z monoklem w oku, przez który uważnie lustrował zawartość swojego talerza.

– To chyba był wilk.



- Wilk? Jak on oswoił taką bestię? – spytała Caddy.
- Nie, on był wypchany, znajdował się w gabinecie osobliwości. Strasznie szczyrzył kły – opowiadając o tym, nieświadomie zademonstrowała ubytki w swoim uzębieniu.
- Ponoć czasami różni hochsztaplerzy doszywają głowę, łapy lub inne części ciała drugiego zwierzęcia, tworząc świadomie takie maszkarony. Może ten wilk też był dziełem takiego oszusta. W czasach dość powszechnej taksydermii stworzenie takiego potwora jest bardzo intratne – powiedział Walter.
- Wypraszam sobie, hrabia Bolton to bardzo uczciwy człowiek. Odkąd go znam, nigdy nie zrobił niczego, co mogłoby naruszyć jego dobre imię – uniosła się Margaret.
- Proszę mi wybaczyć, ale nie miałem na uwadze hrabiego. Myślałem raczej o osobie, która sprzedała mu tę poczwarę.
- Aaa... rozumiem – odparła zmieszana. – To ja proszę o wybaczenie, iż pana słowa zostały przeze mnie opacznie zrozumiane.
- Walter posłał uśmiech w kierunku pani Price.
- A ja jestem ciekawa, cóż to za oczywiste powody nie pozwalały w Indiach na jedzenie cielej głowy? – spytała Briar, świadomie wypinając obfite piersi tak, aby przypadkiem nie umknęły wzrokowi Garneta. Co zważywszy na ich rozmiar, wydawało się mało prawdopodobne.
- Ponieważ w Indiach krowa jest uważana za święte zwierzę. Podtrzymujące życie na ziemi, jak i w zaświatach. Krowa daje mleko, a tym samym życie. Hindusi uważają ją za wcielenie bogini Pri... – Caddy zmarszczyła brwi, sięgając w głąb pamięci.
- Prythiwi – wsparł żonę Spencer.
- Właśnie Prythiwi. Bogini, która dała życie roślinom, zwierzętom i ludziom. Będąca symbolem macierzyństwa.
- No i ogon – wtrącił Spencer znad talerza.
- Tak. Hindusi wierzą, że po śmierci, aby dostać się do nieba, muszą przekroczyć mityczną rzekę, a jedynym sposobem, żeby to uczynić, jest trzymanie się ogona krowy, która przeprowadzi ich na drugi brzeg.
- Nie prościej byłoby użyć łodzi? – wtrącił Walter.
- Pewnie tak, ale nie ma to, jak zajrzeć krowie pod ogon – dodał zadowolony z siebie Garnet.
- Cóż, skoro wyznajesz taką zasadę, to wolę nie wiedzieć, jakie rozrywki preferowałeś, będąc na kontynencie – odparł ojciec, wywołując ogólną salwę śmiechu.

Garnet już miał coś odpowiedzieć, ale widząc karcące spojrzenie matki, powstrzymał się w ostatniej chwili, zaciskając usta w wąską kreskę.

– Bywał pan w Europie? – spytała z zainteresowaniem Briar, nie zważając na ogólną wesołość.

– Tak, niedawno wróciłem do Anglii.

– Niezmiernie panu zazdroszczę, to fascynujące jeździć po odległych krajach, odkrywając wciąż nieznanne rzeczy. Gdzie pan podróżował? Jeśli można wiedzieć.

– Oczywiście, to żadna tajemnica, odwiedziłem Francję, Niemcy spędziłem też trochę czasu w Wenecji.

– Czy to prawda, że Wenecję zbudowano na wodzie?

– Tak, domy stoją na wielkich palach wbitych w dno morza, nie ma tam brukowanych ulic jak u nas, zamiast tego wszędzie są kanały, po których pływają gondole.

– Gondole? Cóż to takiego?

– To rodzaj łodzi z wiosłem umieszczonym z tyłu. Ludzie przemierzają się nimi tak jak my powozami. No i karnawał.

– A czym, że jest ten karnawał?

– Nie jest to nic innego jak wielka zabawa. Mieszkańcy zakładają na siebie bogato zdobione barwne stroje. Najważniejszym elementem takiego ubioru jest maska. Maski są przeróżne, mogą przedstawiać twarz starca, ale też psa lub koguta. Zdarza się, że kobiety przebierają się za mężczyzn i odwrotnie.

– To musi być bardzo zabawne – powiedziała z rozszerzonymi źrenicami.

– I takie też jest. Niektóre kobiece maski wysadzone są perłami i drogocennymi kamieniami. Warte są więcej niż niejedna kolia.

– Ale dlaczego nosi się maski?

– Żeby ukryć swoją prawdziwą tożsamość. W tym czasie nikt nie wie, kim jest stojąca obok niego osoba. Może okazać się, że rozmawiasz lub tańczysz ze zwykłym kominiarzem jedynie przebranym za hrabiego. Nie ma biednych i bogatych, każdy może być każdym, a co najważniejsze możesz robić rzeczy, na które normalnie byś sobie nie pozwolił, będąc za nie zganionym. Rzeczy, których robić nie wypada, a które zawsze pragnęło się zrobić, możesz to uczynić bez konsekwencji z nich płynących, ponieważ wszystko dzieje się incognito.

– Cudownie. Pan jest taki światowy. Też chciałabym podróżować, lecz do tej pory byłam jedynie u ciotki Jane w Cardiff – powiedziała z wyraźnym żalem.

– I powinnaś być z tego dumna. Pantom w twoim wieku nie przystożą samotne podróże – wtrąciła Margaret, ganiąc spojrzeniem córkę. – W ogóle kobiety nie powinny podróżować bez odpowiedniej ochrony. Zwłaszcza w tych czasach – powiodła spojrzeniem po zebranych, znajdując w ich oczach wyrazy poparcia i zrozumienia.

– Ale podróże są takie interesujące, jest tyle rzeczy do odkrycia. Chociażby taka Wenecja. Garnet tak pięknie o niej opowiada, czuję się tak jakbym tam była. Przecież mogłabym ją zobaczyć tak jak on.

– Szanujące się kobiety nie podróżują po dzikich krajach. Jeśli chciałyby wykazać się na jakimś polu, to dom jest dla ciebie najodpowiedniejszym miejscem, aby realizować swoje ambicje. Swą energię powinnaś poświęcić na czynności, które przystożą damie twojego pochodzenia – rzekł Daniel.

– Tatku, przecież Wenecja to Europa. Mieszkają tam ludzie tacy jak my, a nie dzikusy z włóczyniami.

– Pff... – fuknął lekceważąco. – Porównywanie ich do nas jest co najmniej nie na miejscu. Czymże jest małe zapyziałe miasto tonące w wodzie w porównaniu do największego i najpotężniejszego imperium na świecie. Nic nie może równać się z imperium brytyjskim, a tym samym z nami. Pan się na pewno ze mną zgodzi majorze – spojrzał na siedzącego po drugiej stronie Warda.

– W pełni pana popieram. Stacjonowałem w Indiach, byłem w Afryce i Azji. I mogę śmiało powiedzieć, że wszędzie czułem się jak w dziczy. Żeby nie my, tubylcy nie wiedzieliby, co ze sobą zrobić. Siedzieliby nadal w lepiankach z krowiego łajna, słuchając zacofanych kacyków jątrzących sąsiedzkie konflikty. To my nadajemy ekonomiczny kierunek rozwoju świata, dzięki nam kolonie rozbudowują swoją infrastrukturę, to my utrzymujemy pokój w regionie, my jesteśmy gwarantem prawa i bezpieczeństwa. A oni co? – jego twarz spochmurniała. – Podburzają miejscowych, by wszczynali rebelie – obrzucił wzrokiem obecnych jak dowódca po szeregach nieopierzonego wojska. – Przeciwno komu? Swoim dobroczyńcom. Zanim przywieźliśmy ze sobą cywilizację, pokazując im, czym jest kultura i porządek, biegali na bosaka po lasach, zjadając siebie nawzajem – podniósł kieliszek wina, opróżniając go duszkiem.

– Święte słowa Spencerze – powiedziała z dumą Caddy.

– Pani Ward, pani również mieszkała w Indiach? – spytała Briar.

– Oczywiście.

– Widzisz tatku, pani Ward podróżowała, ja też mogłabym to robić.

– Moja droga, pani Ward nie jeździła po świecie dla przyjemności i co najważniejsze nie czyniła tego sama – spojrzał na Caddy, szukając wsparcia.

– W rzeczy samej – odparła Caddy. – Podróże są pełne niebezpieczeństw, zwłaszcza gdy zapuszczasz się poza cywilizowany świat. Na szczęście mogłam zawsze liczyć na swojego męża.

Spencer delikatnie skinął głową w stronę żony. Zapadła chwila milczenia, którą jako pierwsza przerwała Clementine.

– Czy próbowali już państwo drobiu. Nasza kucharka przyrządza wspaniałą gęsinę, wprost rozpuszcza się w ustach – wtrąciła, kierując widelec w stronę stojącego na stole srebrnego półmiska.

\*\*\*

Mildreth stała w spowijającym korytarz cieniu, aby móc lepiej przyjrzeć się Briar. Patrzyła w milczeniu, jak panna Price próbuje, wszystkimi sposobami zwrócić na siebie uwagę Garneta. Co ona w nim widzi? – zastanawiała się, marszcząc czoło. – Gdyby tylko wiedziała, jakie z niego ziółko. – W tym momencie panicz odwrócił się w jej stronę, jakby wyczuł, że o nim myślała. W panice cofnęła stopę, lecz uderzyła tylko piętą w ścianę, o którą była oparta. Boże, żeby mnie tylko nie zauważył – trwała tak w bezruchu, do czasu, aż Garnet przeniósł wzrok w inne miejsce. Wtedy zrobiła dwa kroki w bok, kryjąc się za rogiem i od razu podskoczyła, słysząc dobiegający zza jej pleców głos.

– Co robisz?

– Jejciu..., Daphne, ale mnie wystraszyłaś.

– Co robisz? – ponowiła pytanie.

– Nic takiego.

Minęła koleżankę, aby wyjrzeć za róg.

– Podglądałaś – oznajmiła.

– Nie, ja tylko... – zarumieniła się, nie wiedząc co odpowiedzieć.

– Nie musisz udawać, też czasem zaglądam – ponownie wychyliła głowę.

– Oglądałaś swoją konkurencję – pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Kogo?

– No swoją rywalkę.

– O czym ty mówisz?

– Nie udawaj, wszystko wiem – uśmiechnęła się szelmowsko.

Widząc zdziwienie na twarzy Mildreth, kontynuowała:

– Mówię o twoim adoratorze, wiem o liście miłosnym, który znalazłaś u siebie w pokoju.

– Skąd wiesz..., to ty go podrzuciłaś? – wyraźnie się ożywiła.

– Ja? Myślisz, że to ode mnie? – spoważniała. – Millie lubię cię, ale nie w ten sposób. Przykro mi – położyła rękę na jej ramieniu, delikatnie je głaszcząc.

Mildreth przez sekundę wpatrywała się w oczy Daphne, do czasu, aż coś zaskoczyło w jej głowie.

– Boże nie, nie o to mi chodziło... ja, ja też ciebie nie lubię..., znaczy, lubię, ale... – zaczęła się jąkać, a dotyk przyjaciółki utrudniał jej zapanowanie nad emocjami, w końcu zrobiła głęboki wdech, aby opanować drżenie głosu. – Chodzi mi o to, że może to ty położyłaś go u mnie... no..., że ktoś ci go dał, a ty zaniósłaś go do mojego pokoju.

– A... – uśmiechnęła się ze zrozumieniem. – Nie, to nie ja.

– To skąd wiesz o liście?

– Od Hortense, nie mogła utrzymać języka za zębami, odkąd jej go pokazałaś.

– Myślałam, że powiesz mi, kto go napisał – westchnęła rozczarowana.

– Nic z tego, ale widzę tylko jednego kandydata – pokazała palcem za siebie. – Zresztą przed chwilą się na niego patrzyłaś.

– Co, mówisz o Garnecie? On mi się w ogóle nie podoba.

– Nic takiego nie mówiłam, ale jeśli nie położyłam go ja, ani Hortense, to na pewno nie uczyniła tego Brittanica, ani tym bardziej madame Clementine. Zostaje pan Walter oraz panicz. Z ich dwojga obstawiałabym raczej Garneta.

Tym razem to Mildreth wyjrzała za róg.

– Mam nadzieję, że się mylisz – powiedziała.

– Niedługo się przekonasz – wyprostowała się, przyglądając fartuch. – Muszę iść podać ciasta – obwieściła i weszła do jadalni.

\*\*\*

Góra brudnych naczyń zdawała się nie mieć końca, topniejąc powoli jak styczniowy śnieg. Dom już dawno pogrążył się we śnie, kiedy Mildreth wreszcie zobaczyła dno zlewu. Przetarła dłonią zmęczone oczy i opłukała starannie ostatni talerz, chwyciła ścierkę, aby wytrzeć go do sucha, gdy nagle usłyszała dochodzący z tyłu szmer.

– Już kończę – obwieściła, skupiając uwagę na talerzu. Nie usłyszawszy, żadnej odpowiedzi, więc odwróciła głowę. W drzwiach stał Garnet nonszalancko oparty o futrynę.

– To dobrze, że kończysz, bo mogłabyś coś dla mnie zrobić.

Patrzyła na niego przerażona, zastanawiając się, co też zaraz powie. Znowu on, wymyśl coś, tylko szybko – poganiała się w myślach.

– Muszę jeszcze umyć podłogę – rzuciła na poczekaniu i od razu zganiła siebie za ten pomysł, przypominając sobie ostatnie szorowanie podłogi, które odbyła w towarzystwie Garneta.

– Podłogę? – zaśmiał się oblesnie. – Zatem nie przeszkadzaj sobie – odparł, splatając ręce na piersiach.

Rozejrzała się w koło w poszukiwaniu szmaty, pech chciał, że nigdzie jej nie było. Boże musiałam zostawić wiadro w pralni. Nie dam rady tędy przejść – popatrzyła w panice na panicza blokującego ciałem wyjście. Uniosła ścierkę, aby ponownie przetrzeć suchy jak pieprz talerz.

– Miałaś chyba zająć się podłogą? – rzucił z kąśliwym uśmiechem.

– Hmm... tak, ale zostało jeszcze kilka... – zerknęła na niego kątem i widząc, że ruszył w jej kierunku, cofnęła się o krok. – Co panicz robi?

– Chcę ci pomóc.

– Nie ma takiej potrzeby, dam sobie radę sama – odparła szybko, robiąc kolejny krok w tył.

– Będę nalegał.

– Naprawdę nie ma takiej potrzeby – cofnęła się, uderzając w blokujący drogę ucieczki stół.

Garnet stanął przed dziewczyną tak blisko, iż mogła poczuć wydobywającą się z jego ust stęchłą woń alkoholu.

– Jako prawdziwy gentleman, nie mogę pozwolić, abyś się tak męczyła – wyjął talerz z jej ręki, odkładając go na blat, drugą ręką wyszarpnął ścierkę, odrzucając ją na bok.

– Ja... ja... muszę... – wydukała, spazmatycznie oddychając.

– Spokojnie malutka, jesteś po prostu zmęczona, przyda ci się mały odpoczynek – naparł na nią całym ciałem. – Połóż się – popchnął ją na stojący za nią stół.

Mildreth próbowała się podnieść, lecz silne ramię Garneta wgniotło ją w dębowy blat.

– Proszę mnie zostawić – wysapała przerażona.

– A jeśli nie, to co? – opuścił rękę, szamocąc się z falbanami sukienki.

– Niech pan mnie zostawi, bo będę krzyczeć – wierzgnęła nogą, trafiając w powietrze.

– Tylko spróbuj, zresztą i tak już wszyscy śpią – przesunął rękę z klatki dziewczyny na jej gardło, zaciskając na nim palce.

– Proszę... – wyszeptała, pociągając nosem, a łzy pociekły jej strumieniami po policzkach.

– Zaraz pokażę ci co... – wystawił język, pochylając się nad jej twarzą, a krople śliny wylądowały na jej ustach. W tym momencie otrzymał uderzenie w krocze. Jęknął z bólu i sekundę później dostał kolejny cios w okolice skroni. Zachwiał się, czując rozchodzący się po ciele promieniujący ból.

Mildreth słysząc głuchy dźwięk, przekręciła głowę, poprzez łyzy zobaczyła jakąś niską postać wybiegającą z kuchni.

Oszołomiony Garnet ledwo utrzymał się na nogach, złapał kant stołu, mrugając oczami, aby pozbyć się mroczków przesłaniających pole widzenia. Odwrócił się i kątem oka dostrzegł małego uciekiniera. Wziął świecę i idąc chwiejnym krokiem do wyjścia, potarł ręką obolałe przyrodzenie.

– Już ja cię dorwę – wymamrotał wściekły. Stał na korytarzu, uważnie się rozglądając. – Gdzie jesteś? – spojrzał w stronę pralni i zobaczył jakiś ruch, tak jakby ktoś chciał z niej wyjść, ale w ostatniej chwili rozmyślił się i wszedł ponownie do środka. Mam cię, stamtąd nie ma wyjścia – pomyślał zadowolony. Wszedł do środka, oświetlając pomieszczenie żółtym blaskiem, w środku nikogo nie było. – Wyłaź, nie masz gdzie się ukryć – powiedział, omiatając wzrokiem pomieszczenie. Miał rację, nikt nie miał szansy się tu skryć, stały tu zaledwie dwie balie, kilka stołków, wiadra i tary. Gdzie u licha się ona podziała? – kopnął wściekły stojącą obok wanienkę. Obrócił się wkoło własnej osi. W blasku świecy widział tylko gołe ściany. Pod sufitem majaczyło małe okienko, ale nawet on by do niego nie sięgnął, a co dopiero ta dziewczyna. To niemożliwe, przecież wyraźnie widział, jak sekundę wcześniej tu wchodziła. Zdezorientowany spojrzał na sufit, po czym jeszcze raz obrócił się dookoła. Chodził przez chwilę po pralni, drepcząc od ściany do ściany jak lokator więziennej celi. W końcu wściekły wyszedł na korytarz i wtedy to do niego dotarło. Przecież tu nikt taki nie mieszka. Kto to u licha był? Na początku sądził, widząc powiewającą sukienkę, że to Daphne, ale przecież ten ktoś był od niej prawie dwie głowy niższy, gdy teraz o tym myślał, był pewien, że to był jakiś dzieciak, no i ta sukienka, to musiała być dziewczynka. Wszedł chwiejnym krokiem na schody, nagle zatrzymał się, wpatrując w mrok przed sobą, jakby coś w nim zobaczył. Nie, to niemożliwe, może, to przecież nie może być ona – pomyślał i poczuł, jak nogi odmawiają mu posłuszeństwa, chwycił mocno barierkę, aby nie spaść ze schodów.

\*\*\*

Od ponad godzinny przechadzała się wzdłuż parku. Czowała, że stopy zaczynają jej kostnieć. Jeszcze kwadrans i w zlodowaciałym ciele zamiast

mrozu poczuje ciepło. Chociaż jeden plus powolnego zamarzania – pomyślała z sarkazmem, rozpoczynając kolejną rundę. Założyła zbyt cienki płaszcz jak na taką pogodę, ale skąd mogła przypuszczać, że łowy będą trwały tak długo. Przecież właśnie w tym celu go założyła, był najładniejszym okryciem, jakie posiadała i to właśnie on miał zagwarantować szybką robotę. Wieczór zamienił się już dawno w noc, rozjaśnianą jedynie blaskiem latarni, odbijającym się w białym śniegu potęgującym ich światło. Ruch znacznie zmałał, więc z daleka mogła znaleźć potencjalny cel. Jakies trzydzieści jardów dalej przez ulicę przeszedł mężczyzna, powoli kierując się w jej stronę. Od razu rozpoznała drogie palto, szybko spojrzała na znajdującą się naprzeciwko niej kamienicę, gdzie w cieniu budynku stał wysoki mężczyzna, starając się jak najmniej rzucać w oczy. Wzięła głębszy oddech i ruszyła w stronę zbliżającego się gentlemana. Z każdym krokiem utwierdzała się w przeświadczeniu, iż dobrze wybrała. Nie był już młody, siwe bokobrody przykrywały zaczerwienione od mrozu policzki, nadając mu dystyngowany wygląd. No i laska, kosztowała więcej, niż inni zarabiają przez pół roku. Zsunęła rękawiczkę z dłoni, przytrzymując ją palcami, kiedy ofiara znajdowała się obok niej, delikatnie potrąciła ją ramieniem, upuszczając rękawiczkę na ziemię. Nie odwracając się, zwolniła kroku, aby dać mu szansę na reakcję. Przeszła kolejne dwa jarady i już miała zawrócić po swoją zgubę. Gdy usłyszała z tyłu męski głos:

– Przepraszam madame, chyba pani coś zgubiła?

Zatrzymała się z wyrazem ulgi na twarzy. No, najwyższy czas – pomyślała, odwracając się powoli.

– Słucham? – spytała Lorabelle.

– To chyba należy do pani – powiedział jegomość, podnosząc z ośnieżonego chodnika czarną rękawiczkę.

– Oh... faktycznie – spojrzała na rękę, jakby dopiero teraz zauważyła gołą dłoń. – Straszna ze mnie niezdara.

– W taki mróz rękawiczki są cenniejsze od złota.

– Święte słowa – zaszcebiotała.

Mężczyzna stał już obok niej, oddając zgubę.

– Dziękuję, bardzo pan miły – starała się uchwycić go spojrzeniem, tak jak wędkarz łapie rybę, delikatnie mrugając przy tym rzęsami.

– Taki mój obowiązek, szanowna pani – lekko się skłonił i odszedł.

Nie mogła uwierzyć własnym oczom. Wzmagający mróz sprawiał, iż niemal szczękała zębami, a gdy w końcu udało jej się znaleźć odpowiednią osobę, ta odeszła przy pierwszej nadarżającej się okazji. Zerknęła na drugą stronę ulicy, gdzie w cieniu budynku stał Orris, który rozłożywszy rękę



mocno gestykulował, starając się zachęcić Lorabelle do podjęcia kolejnej próby. Wypowiedziała bezdźwięcznie w jego kierunku kilka słów, wyraźnie układając usta, aby mógł zorientować się co o nim myśli. Rozejrzała się wkoło, nie wychwyciła nikogo godnego uwagi, więc spojrzała na oddalającego się mężczyznę, to była jej ostatnia szansa na godziwy zarobek. Musiał szybko coś wymyślić, w przeciwnym razie powolne zamienianie się w sople lodu poszłoby na marne. Myśl, myśl, bo zaraz będzie za późno – ponagliła się. Nagle ją oświeciło, przewróciła się, a raczej położyła na trotuarze w teatralny sposób. Tak, aby nie uszkodzić swojego ulubionego płaszcza, wydając z siebie jęk na tyle głośny, by zatrzymać nieznanego.

– Co się stało? – spytał, zatroskany podążając w jej stronę.

– Aaa... – jęknęła. – To przez ten śnieg. Poślizgnęłam się – wsparła się na łokciu.

– Proszę pozwolić mi sobie pomóc – pochylił się, delikatnie chwytając ją pod ramię. – Trzeba teraz bardzo uważać chodniki, mogą być oblodzone.

– Bardzo panu dziękuję, nie wiem, jakbym sobie dała radę bez pana.

– Drobiazg – odparł, stawiając Lorabelle do pionu.

– Już drugi raz wybawił mnie pan z opresji. Komu mam dziękować za udzieloną mi pomoc?

– Nazywam się Albert White

– Dziękuję panie White, gdyby nie pan... – zrobiła mały kroczek i cicho jęknęła.

– Nic pani nie jest?

– To chyba kostka – syknęła, udając ból..

– Proszę uważać, może być skrecona.

– To nic takiego – zrobiła kolejny krok. – Ajj... jednak..., gdyby mógłby mi pan pomóc.

– Służę ramieniem.

– Nie chciałabym sprawiać kłopotu, ale czy mógłby mnie pan odprowadzić do domu. Robi się ciemno, a sam pan widzi – spojrzała w dół na swoją nogę, robiąc minę sierotki. – Mam nadzieję, że nie jest pan jakimś skrytobójcą?

– Proszę się nie obawiać, dzisiaj już zabiłem planowaną liczbę ofiar – widząc wytrzeszczone oczy Lorabelle, szybko dopowiedział. – Niech mi pani wybaczy, ten żart był niestosowny.

– Trzeba przyznać, że potrafi pan sprawić, iż kobieta zaniemówi z wrażenia.

– Przyjmę to za komplement.

– Więc gdyby mógł pan mi pomóc – zatrzepotała rzęsami. – Będę ogromnie wdzięczna, to niedaleko stąd.

– Oczywiście, nie odmawia się damie w opałach, zwłaszcza o takiej porze, ale jeśli pani pozwoli, mam lepszą propozycję...

\*\*\*

Orris podążał drugą stroną, starając się unikać światła latarni. Wyprzedził Lorabelle wspartą na ramieniu swojego wybawcy i gdy był całkowicie pewien, że nie zostanie przez nich zauważony, przebiegł ulicę, kryjąc się w cieniu budynku. Wyrzwał ostrożnie ze swojej kryjówki. Szli prosto na niego, teraz pozostało tylko spokojnie czekać, cofnął się. Raz, dwa, trzy, cztery – odliczał w myślach zmniejszającą się odległość, dzielącą go od zdobyczy. Przy dziesięciu wyszedł pewnym krokiem zza węgła i stanął jak zamurowany. Ulica była pusta, zamrugął oczami, nie wierząc w to co widzi. Przecież dopiero tu byli, co się do licha stało? – rozejrzał się nerwowo. – Nie mogli mnie przecież minąć..., więc co? Chyba że zawrócili – ruszył ostrożnie wzdłuż szeregu kamienic, patrząc w rozjaśnione światłem świec okna. – Pewnie gdzieś weszli – westchnął i chuchnął w gołe dłonie, wracając do swojego punktu obserwacyjnego. Po kwadransie jedne z drzwi otworzyły się, wyszedł z nich niski mężczyzna, po czym zniknął za rogiem. Jakiś czas później pod dom podjechał powóz, wysiadł z niego ten sam człowiek, który niedawno opuścił budynek. Zniknął w środku, by po chwili wrócić w towarzystwie Lorabelle. Dziewczyna wsiadła do powozu i odjechała. No to pięknie – rzucił pod nosem Orris, włożył ręce pod pachy, opuszczając swój posterunek.

## IX

Co u licha? – pomyślała Brittanica, rozglądając się zdezorientowana na boki, próbując zlokalizować źródło hałasu. Podeszła do schodów wystawiając głowę za balustradę. – To chyba z dołu – prędko zeszła na parter. Nagle odgłosy ucichły, tak szybko, jak się pojawiły. Zatrzymała się, nasłuchując. Po minucie podskoczyła do góry, słysząc kolejne tąpnięcie. Uderzenia były miarowe, rozchodząc się po domu jak bicie zegara, z tą małą różnicą, iż nie były dźwięczne jak gong wybijający metodycznie godzinę, lecz głuche jakby ktoś dobijał się z kamienicy obok, uderzając taranem o ścianę. Szybko przemierzyła korytarz, kierując się na tył domu. Po krótkim bębnieniu nastąpiła cisza. Weszła do kuchni, w której Hortense oglądała z każdej strony trzymaną w ręku patelnię.

– Co to... – powiedziała od progu, ale kucharka nie zdążyła jej usłyszeć, gdyż właśnie położyła patelnię na drewnianej desce do krojenia i uderzyła w nią kilkukrotnie rączką od noża wymierzonego ostrzem ku sufitowi. Niezadowolona z rezultatu odłożyła przybory na stół, odsunęła szufladę w szafce obok i zaczęła w niej grzebać.

– Co ty robisz?

Hortense łypnęła okiem znad sterty łyżek.

– Gotuję obiad. Dzisiaj będzie...

– Nie pytam o jedzenie. Tylko o to, co wyprawiasz z tą patelnią?

– A... to... prostuję ją.

– Dlaczego? – spytała, okrążając stół, aby lepiej widzieć.

– Jak się coś prostuje, to dlatego, że jest krzywe.

– Mądrała z ciebie – podniosła patelnię do góry i widząc wygięte dno, zmarszczyła brew. – Wiesz, ile taka patelnia kosztuje?

– A bo ja pracuję w sklepie? – odparła, wkładając głowę do szuflady, aby sprawdzić jej zawartość, po krótkiej szamotaninie wydobyła na światło dzienne ogromny metalowy tłuczek. – Mam cię – obwieściła z triumfem.

– Co chcesz zrobić?

– Muszę ją wyklepać.

– Tym?

– A ma pani coś lepszego?

– Będzie hałas jak w kuźni, madame Clementine to się nie spodoba.

Hortense wyjęła Brittanice patelnię z ręki, kładąc ją ponownie na desce.

– A niby czym mam ją wyprostować, żeby było cicho, poduszką? – powiedziała z kpiącym uśmiechem, unosząc tłuczek, aby zadać pierwszy cios.

– Trzeba było jej nie niszczyć, potrącę ci to z pensji.

– Ja tego nie zrobiłam – zdanie zakończyła uderzeniem tłuczka.

– To, kto to zrobił? – prawie krzyknęła, starając przebić się przez hałas.

– Niech pani mi powie – tłuczek ponownie zetknął się z mosiężną powierzchnią.

– Co ty wygadujesz?!

Hortense zadała kolejny cios.

– Możesz na chwilę przestać – chwyciła kucharkę za ramię. – Co powiedziałaś?

– Przyszłam rano do kuchni, a na podłodze leżała patelnia wygięta w precel. Jeszcze wczoraj wyglądała tak, jak powinna.

– Kto to zrobił?

– Przecież mówię, że nie wiem, to pani zarządza tym domem. Ja tu tylko gotuję – uderzyła tłuczkiem w metal. – Jak ja mam na tym coś usmażyć – rzuciła wściekła pod nosem.

– Dobrze, rób, co trzeba – westchnęła ostentacyjnie, wychodząc z kuchni.

\*\*\*

Od rana czekał na odpowiednią okazję, kręcąc się bez celu po całym domu. W końcu wszedł do swojego gabinetu, zdjął z półki pierwszą z brzegu książkę i usiadł w fotelu. Przerzucił bez większego zainteresowania kilka kolejnych stron, skupiając się bardziej na próbie zabicia czasu niż na zamieszczonym na nich tekście. Clementine od wczorajszego wieczoru nie opuściła sypialni, a zważywszy ile, wypiła poprzedniego dnia, nie sądził, aby zbyt prędko to nastąpiło. Sięgnął po stojącą na stoliku obok butelkę laudanum, wypił duży łyk, przymykając przy tym oczy. Odstawiał ją na swoje miejsce, gdy zobaczył delikatny ruch drzwi.

– Och, przepraszam, nie wiedziałam, że pan tu jest – powiedziała Daphne, szybko się wycofując.

– Nic nie szkodzi, możesz wejść – odparł Walter.

– Nie chciałabym panu przeszkadzać – wślizgnęła się powoli, dzierżąc w dłoni nieodzowną miotełkę ze strusich piór.

Nie odpowiedział, tylko machnął zachęcająco ręką. Daphne przyjęła z góry obrany kurs, zaczynając od regałów z książkami, wspięła się na palce, aby omieść z kurzu górne półki. Następnie sukcesywnie przesuwiała się w

dół, czyszcząc kolejne połacie papieru z ledwie widzialnego pyłku. W pewnym momencie zatrzymała się, sięgnęła ręką na jedną z półek i uniosła, stojący na niej flakonik. Odwróciła się i widząc pytające spojrzenie Waltera, powiedziała:

– Mogę to przestawić? Stojąc tu, mogą się stłuc, byłoby szkoda.

– Oczywiście.

Podeszła do biurka stawiając buteleczkę na pulpicie.

– Nie tu, postaw ją gdzie indziej – rzekł Walter.

Rozejrzała się niepewnie i odstawiła ją na stolik.

– Nie, to też jest złe miejsce.

– Więc... gdzie pan sobie życzy? – spytała zdezorientowana.

– Może u siebie w pokoju – uśmiechnął się tajemniczo.

– U mnie? Nie rozumiem – zmarszczyła czoło.

– Weź je, są twoje.

Uniosła flakon do góry, oglądając go jak drogocenny pierścień.

– Ale...

– Chciałaś perfumy, więc te są dla ciebie.

– Bardzo dziękuję – odparła z lśniącościami oczami.

– Powąchaj – podniósł się z fotela, aby stanąć obok niej. – Niedawno przywieźli je z Paryża – dodał, obserwując jak Daphne wyjmuje korek i wącha perfumy.

– Jakie ładne.

– Zobaczmy – wyjął buteleczkę z jej rąk, ostrożnie przechylił tak, aby mała kropla wylądowała na jego palcu i dotknął nim szyi służącej.

– Na skórze pachną inaczej – pochylił się, aby powąchać jej ciało. – Tak, trzeba przyznać, że są... – wciągnął powietrze, dotykając nosem jej ciała. – Zjawiskowe.

Daphne stała jak zahipnotyzowana, chciała się ruszyć, ale druga jej połowa mówiłaby nic nie robić, by czekać, by chłonąć tę chwilę. Poczowała biegnący po karku dreszcz podniecenia. Walter obszedł dziewczynę jak lew krążący wokół swojej ofiary. Ponownie zwilżył palec, tym razem dotknął nim płatka jej ucha. Spojrzał w oczy i to, co w nich zobaczył, skłoniło go do dalszej gry. Stał za nią, odchylając dłoń, przesłaniający kark pukiel włosów. Usłyszała jego oddech, a gorące powietrze owiało jej szyję.

– Tu pachną inaczej, są bardziej słodkie.

Usłyszała cichy głos szepczący jej wprost do ucha.

– A jaki będzie zapach, jeśli... – przesunął palec po szyi dziewczyny, wsuwając go za biały kołnierzyk.

Oddech Daphne stawał się coraz szybszy i krótszy, a falujące piersi zdawały się testować wytrzymałość okrywającego je materiału.

– Ja... ja... – wypowiedzenie każdego słowa kosztowało ją niewiarygodny wysiłek.

– Tak? – szept wpłynął prosto do jej ucha, podczas gdy palec Waltera właśnie minął obojczyk. – Mów moja droga.

– Ale madame Clement...

– Ci... – położył palec na jej ustach. – Nie psujmy chwili.

\*\*\*

Nie potrafiła się temu oprzeć, nie uważała się za kobietę próżną i próżno byłoby szukać u niej takich zachowań, lecz za każdym razem, gdy przechodziła obok tego zwierciadła, musiała się w nim przejrzeć, coś po prostu ją do niego ciągnęło. Tym razem było podobnie, zatrzymała się, poprawiając kok. Szczupła, surowa twarz,znaczona nielicznymi zmarszczkami, patrzyła na nią ciemnymi oczami. Poprawiła kołnierzyk w jednej ze swoich wielu czarnych sukien, które stały się dla niej codziennym uniformem. Przesunęła palcem po szafce, sprawdzając odruchowo czystość dębiny. Nagle zobaczyła za sobą mężczyznę, odwróciła się błyskawicznie, płonąć rumieńcem, jakby została przyłapaną na czymś niestosownym.

– Dzień dobry – powiedziała, uśmiechając się śmieiej niż zazwyczaj. – Jak się paniczowi spało?

– Dziękuję, nie mogę narzekać.

Już miała odejść, ale jej wzrok zatrzymał się na twarzy Garneta.

– Czy wszystko w porządku? – spytała.

– Tak, dziękuję – odparł, starając się ją wyminąć.

– Proszę mi wybaczyć, ale pana twarz – dotknęła swojej skroni, wskazując w ten sposób miejsce, o którym mówi. – Może zawołać lekarza?  
– powiedziała z wyraźną troską w głosie.

Garnet zerknął w lustro wiszące za panną Bennett. Prawa strona twarzy zdawała się lekko puchnąć, a gałka oczna podeszła krwią.

– A, to – machnął ręką, bagatelizując problem. – To nic takiego, spadłem w nocy z łóżka. Zdarza się – posłał fałszywy uśmiech. Odwrócił się i szybko zszedł po schodach.

Brittanica odprowadziła go wzrokiem, niezbyt przekonana lakonicznym wyjaśnieniem. Widziała w życiu wiele siniaków i poszłaby o zakład, że przyczyną powstania tego nie był niespokojny sen. Spojrzała na pokój madame Clementine, tak jak przypuszczała, drzwi były wciąż zamknięte.

Przez chwilę wahała się, czy zapukać, ostatecznie opuściła rękę, rezygnując z tego pomysłu. To, co miała jej do przekazania, mogło zaczekać. Ruszyła dalej korytarzem, kontynuując swój obchód. Przez uchylone drzwi zajrzała do łazienki, widząc w niej pracującą Mildreth, weszła do środka. Stała obok niej, obciążając rękawy sukienki.

– Mogłabyś się bardziej przyłożyć do roboty – rzekła, omiatając wzrokiem wannę.

– Słucham?

– Ze słuchem też masz problem? Bo ze wzrokiem na pewno – pokazała palcem na białą ściankę wanny. – Widzisz tę czarną plamę?

Dziewczyna pochyliła się, wytyczając wzrok.

– Mówi pani o tym? – wskazała ledwo widoczne ciemno białe przebarwienie.

– To chyba oczywiste? Czy próbujesz ze mnie kpić?

– Nie proszę pani, już czyszcę – błyskawicznie zaczęła szorować białą skazę.

– Jeśli jeszcze nie wiesz, to lepiej to zapamiętaj. Nie znoszę bezczelności i lenistwa, a połączenie tych dwóch rzeczy gwarantuje szybką utratę pracy.

Mildreth natychmiast wzmogła swoje wysiłki.

– Nie zapomnij o kafelkach, smugi po wodzie nie dodają im uroku – patrzyła na uwijającą się jak w ukropie dziewczynę. Omiotła wzrokiem łazienkę, nagle zatrzymała go na podłodze, wpatrując się w leżącą na niej karteczkę. Podeszła do niej podnosząc ją z ziemi. – Co to jest? – spytała, otwierając ją.

– To? – uniosła głowę znad wanny. Widząc rozłożoną kartkę w ręku Brittanici, oblała się rumieńcem. – To... – wyprostowała się speszona. – To jest list.

– Skąd go masz? – szybko studiując treść wiadomości.

– Dostałam go od..., nie wiem od kogo – zawstydziała się.

– Jak to nie wiesz? Nie wiesz, kto ci go dał? – indagowała, nie odrywając wzroku od tekstu.

– Nie wiem, znalazłam go w swoim pokoju.

– Wiesz, co tu jest napisane?

– Nie, nie umiem czytać, ale Horten..., pani Moore powiedziała, że to jest..., list miłosny – mówiąc to, zakreśliła ścierką wokół palca.

– Czy to jest jakiś żart? – rzuciła oschle.

– Nie proszę pani, czy mogę dostać... – wystawiła dłoń.

Brittanica spiorunowała ją spojrzeniem i wsunęła kartkę do swojej kieszeni.

– Jeszcze o tym porozmawiamy, a na razie zajmij się pracą. Miłość może poczekać – wyszła z łazienki. Gdy tylko minęła załom korytarza, wyjęła list, aby ponownie go przeczytać.

Uciekaj z tego domu  
Grozi ci niebezpieczeństwo,  
On jest szalony, jeśli zostaniesz  
Skrzywdzi cię tak jak mnie.

Co to ma znaczyć? Co ten ktoś miał na myśli? Przecież ta głupia dziewczyna sama tego nie wymyśliła – wpatrywała się w kartkę, starając się odkryć autora tego ostrzeżenia.

\*\*\*

Od paru dni Garnet przesiadywał w małej knajpce. Znajdującej się nieopodal coraz lepiej mu znanego przybytku madame Rose. Pił kolejną herbatę obserwując przechodniów oraz swój główny cel, drzwi w kolorze czerwieni. Gdy tylko widział, że się otwierają, natychmiast przenosił na nie swoje spojrzenie. Rozpoznawał niektóre twarze, lecz wciąż nie mógł dostrzec tej, na której najbardziej mu zależało. Nie miał zbyt dużo szczęścia, a będąc w środku „domu rozkoszy”, jak lubił mawiać Elvin, ale to nie znaczyło, że nie poszczęści mu się na zewnątrz. Siedział tak już dobrą godzinę, gdy los w końcu się do niego uśmiechnął. Zobaczył, że wychodzi, wstał, rzucił na stolik kilka monet i wyszedł. Szedł niespiesznie, obserwując ją z drugiej strony ulicy, lubił oczekiwanie i niepewność tego, co się wydarzy. Zawsze starał się delektować tą chwilą jak najdłużej. Czuł się jak myśliwy na ambonie obserwujący stado jeleni, aby wybrać z niego najdorodniejszy okaz, a następnie oddać do niego strzał. Łania, którą wypatrzył, weszła do sklepu. Myśliwy przeszedł na drugą stronę, aby móc lepiej widzieć ją przez szklaną witrynę. Po kwadransie wyszła na zewnątrz.

- Miło panią widzieć – uchylił rondo cylindra.
- Czy my się znamy?
- Mam nadzieję, że mnie pani pamięta, bo ja o pani nie mogę zapomnieć
- wejrzał głęboko w jej oczy. – Mamy wspólną znajomą, madame Rose.
- Ach... już sobie pana przypominam. Pan Garet.
- Garnet – poprawił, lekko się uśmiechając.
- Oczywiście proszę mi wybaczyć.



– Nic nie szkodzi, w końcu nie mieliśmy jeszcze przyjemności... – wyszczerzył zęby. – Panno Jasmine.

– W rzeczy samej – odparła, uśmiechając się dwuznacznie. – Miło było pana spotkać, niestety muszę wracać, więc...

– Skąd ten pośpiech, jeśli wolno spytać?

– Cóż mam, że tak to ujmę..., pewne zobowiązania.

– Jak każdy z nas. Mam nadzieję, że będę jednym z nich.

– Nie rozumiem.

– Nasze spotkanie nie jest do końca przypadkowe. Szukałem pani i poinformowano mnie, że udała się pani w tym kierunku.

– Nie prościej byłoby poczekać lub spróbować... czegoś innego?

– Zapewne, ale nie lubię wybierać prostych środków, w dodatku dziś mam ochotę na specjalne danie, a głód zagnał mnie, aż tutaj.

– Schlebia mi pan, jednak w tej chwili... – zawiesiła głos, widząc pierścień z ogromnym szafirem, który nagle pojawił się w ręku Garneta.

– Myślę, że ten drobiazg będzie świetnie wyglądał na pani zgrabnej ręczce.

Jasmine sięgnęła po pierścień, lecz Garnet szybko zamknął dłoń.

– Jeśli pani pozwoli, omówimy szczegóły w powozie, tak będzie wygodniej i cieplej. Zaręczam, że zajmie nam to tylko chwilę.

Dziewczyna skinęła głową, Garnet rozwarł palce, pozwalając, aby zabrała błyskotkę. Podszedł do ulicy i skinął na stojący w pobliżu powóz. Otworzył drzwiczki, pomógł Jasmine wsiąść do środka i krzyknął do stangreta:

– Do „Starego dorsza” – rozsiadł się wygodnie.

– Myślałam, że jedziemy do madame Rose.

– Dziś chciałbym spróbować czegoś nowego – wyjął z kieszeni drugi pierścień i bawiąc się nim, kontynuował. – Zapewne wiesz od koleżanek, że czasem lubię... łamać konwenanse.

– Słyszałam co nieco na ten temat.

– Cieszę się, że mamy jasność sytuacji – chwycił ją za kolano, mocno ściskając. – Mogę cię zapewnić, że to będzie coś niezapomnianego.

\*\*\*

– ... i nic nie wzięłaś? – rzekł podejrzliwym głosem Orris.

– Przecież już ci mówiłam, że nie – odparła Lorabelle, wypijając łyk piwa.

– Hmm... sam nie wiem...

- Co znowu?
- Byłaś w tym domu i nic nie zabrałaś? – mówiąc to, cały czas bawił się pustym kuflem, kręcąc nim piruety na stole. – To nie w twoim stylu – łyknął spode łba.
- A niby jaki jest mój styl? Może mnie oświecisz?
- No wiesz, raczej nie przepuściłabyś takiej okazji, na pewno byś coś podwędziła.
- Coś sugerujesz? – odparła zaczepnie, wypijając kolejny łyk, podczas którego nawet na chwilę nie oderwała wzroku od oczu siedzącego naprzeciwko rozmówcy.
- Mam tylko nadzieję, iż pamiętasz o tym, że wszystko dzielimy na pół.
- No i...
- Ja też stałem pół nocy na tym cholernym mrozie, a nic z tego nie mam. Umowa to umowa.
- Twierdzisz, że mam coś, a ty nie otrzymałeś swojej działki?
- A otrzymałem?
- Nie dam ci czegoś, czego nie mam, a nawet gdybym miała, to byś nic nie dostał, bo całą robotę zrobiłam ja, a ty jak zwykle nawet nie kiwnąłeś palcem.
- Więc jednak coś trafiłaś – powiedział przez zaciśnięte zęby.
- Nie słyszysz kretynie, co mówię? Powiedziałam, że nawet gdybym miała, a to oznacza, że nie mam.
- Próbujesz mnie o szmacić. Sama chcesz sprzedać fanty? Myślisz, że ci na to pozwolę?! – uderzył kuflem w ławę.
- Zamknij się idioto – warknęła, rozglądając się wkoło.
- O nie! Nie dam ci... – przerwał, czując jak coś zimnego i ostrego wbija mu się w udo.
- Przestań się drzeć, zwracasz na nas uwagę – syknęła. – Ale jeśli nadal chcesz krzyczeć, to dam ci odpowiedni powód do wrzasku – przesunęła cienkim ostrzem po kroczu Orrisa.
- Spojrzał w dół i zobaczył lśniący sztylet, coraz mocniej napierający na jego przyrodzenie. Podniósł wzrok, zatrzymując go na zawziętej twarzy Lorabelle.
- Czy to jasne? – spytała.
- Taaak.
- To mnie bardzo cieszy – uśmiechnęła się, a nóż zniknął w fałdach jej sukienki, tak szybko, jak przed chwilą się z nich wydostał. – A teraz słuchaj mnie uważnie. Facet jest lekarzem, od razu widać, że ma mnóstwo

pieniędzy. Obejrzał moją nogę i wezwał dla mnie powóz. Prawdziwy dżentelmen, musiałam użyć całego swojego uroku, żeby mnie nie odwiózł.

– No właśnie, mogłem go obrobić, a ty...

– I jak byś to zrobił? Rzuciłbyś się przed domem na niego, służącego i stangreta?

– Nie, załatwiłbym go, gdybyście wysiadali.

– A niby jak przecież nie wiedziałeś, gdzie pojedę, a przecież nie podam mu naszego adresu. A nawet gdybyś wiedział, dokąd jadę, to nie wydaje mi się, żebyś dał radę wyprzedzić konia i być tam przed nami.

Orris rozdziawił usta, aby coś powiedzieć, ale najwyraźniej zabrakło mu argumentów, więc przez parę sekund po prostu wietrzył zęby.

– Ale najważniejsze jest to, że słyszałam jego rozmowę ze służącym. Mówił, że wyjeżdża na parę dni do jakiejś ciotki. To nam daje pewne możliwości.

– Niby jakie? Raczej możemy go sobie darować – westchnął.

– Słucham? – powiedziała zdziwiona.

– Przecież nie będziemy za nim jechać.

– A niby po co mielibyśmy to robić?

Teraz to Orris popatrzył na Lorabelle, tak jakby rozmawiał z osobą, która jest niespełna rozumu.

– A jak inaczej go obrobimy?

– Naprawdę, czasem mam wrażenie, że wiatr hula między twoimi uszami – wypła duży łyk piwa i popchnęła kufel w stronę rozmówcy. – Wypij, może to wspomocze twoją mózgowicę – poczekała, aż Orris opróżni naczynie i dodała. – Okradniemy jego dom.

Patrzył na nią, ewidentnie starając się, poskładać sobie wszystko w głowie.

– Ale nigdy tego nie robiliśmy, to nie nasza branża.

– I co z tego? Nie musimy godzinami stać na mrozie, a zarobimy znacznie więcej.

– No dobra, ale jak wejdziemy do środka?

– Mam pewien pomysł, wystarczy tylko... – przerwała, widząc wchodzącego do karczmy młodego, dobrze ubranego mężczyznę, zupełnie niepasującego do tego miejsca. Przybysz omiół salę krótkim spojrzeniem i w towarzystwie swojej śniadej towarzyszki udał się na górę. Lorabelle od razu poznała ten wzrok i sposób bycia, widziała w życiu mnóstwo takich dziewczyn, trochę lepiej ubranych, lecz tak naprawdę niczym nieróżniących się od niej. Swój zawsze pozna swojego – pomyślała. – Znasz ich? – spytała, nie odrywając wzroku od schodów.

- Pierwszy raz ich widzę – głośno fuknął. – Ale moglibyśmy się nim zająć, skoro takie coś dało sobie radę, to tobie jadłby z ręki.
- Myślisz, że mamy konkurencję?
- Bell ty nie masz konkurencji, jeszcze się taka nie urodziła.
- Hmm..., masz rację, zresztą teraz mamy inne sprawy na głowie – podniosła rękę do góry. – Dwa ciemne! – skinęła palcem na ławę, przy której siedzieli.

\*\*\*

Na nocnym niebie pośród czarnych, niewyraźnych zarysowanych kominów majaczyły dwie sylwetki, przechodząc z jednego ośnieżonego dachu na drugi, ostrożnie stawiały stopy na oblodzonych dachówkach, krok za krokiem zbliżając się do wyznaczonego punktu.

– Zaczekaj – powiedział Knight do Magnusa. Podszedł do skraju dachu i spojrzał w dół. W cieniu stojącego po drugiej stronie ulicy budynku zobaczył bacznie go obserwującego mężczyznę. Podniósł do góry rękę, dając znak, że też go zauważył. Mężczyzna machnął ręką w lewo. John przesunął się we wskazanym kierunku, szedł tak, dopóki nie otrzymał z dołu znaku oznaczającego stop. Machnął ręką, obwieszczając, że zrozumiał.

– To ten – powiedział.

Chłopak rzucił na ziemię sznur wcześniej przewieszony przez ramię. Złapał jego koniec, po czym zawiązał go w pasie.

– Co ty wyprawiasz? – warknął Knight.

– Przecież sam pan mi kazał...

– Wiem, co ci mówiłem gówniarzu, nie musisz mi przypominać – zdzielił chłopca otwartą dłonią w głowę. – Zdejmuj kapotę.

– Ale jest zimno

– Rób, co ci mówię – zadał kolejny cios, który z plaśnięciem wylądował na potylicy Magnusa. – Chyba nie chcesz przez te szmaty ugrzęznąć w kominie.

Chłopak zdjął kapotę, położył ją na dachu i dygocząc z zimna, obwiązał się liną.

– No dalej, włącz.

Magnus zajrzał ostrożnie w okoloną czerwonymi cegłami dziurę. Nagle poczuł, jak Knight bezceremonialnie podnosi go do góry.

– Szybciej nie ma czasu na ceregiele – przerzucił chłopca jak szmacianą lalkę, łapiąc go za kostki i opuścił głowę w dół.

Wewnątrz panowała nieprzenikniona czerni pospołu z duchotą. Jedyńm plusem był brak przenikającego na wskroś mroźnego wiatru. Magnus posuwał się po omacku, działając jedynie na wyczucie. Myślał, że nocna wyprawa nie będzie się zbytnio różniła od jego codziennej pracy, lecz mrok panujący w ceglany tunelu zdawał się jeszcze czarniejszy niż zazwyczaj. Wsunął ręce przed siebie, uważając, aby przez przypadek nie zderzyć się z półką, która musiała pojawić się na rozwidleniu wcześniej czy później. Dużym plusem było to, że tunel wydawał się dla niego dość szeroki. Po pewnym czasie wyczuł pod dłońmi blokującą mu drogę ściankę. Półka. Gramolił się przez chwilę, próbując przekręcić do góry głowę. Rozwiązał okalający go w pasie sznur i dwukrotnie nim szarpnął. Dając tym samym znak, że osiągnął pierwszy etap. Bardziej wyczuł, niż zobaczył, że lina szybko powędrowała do góry. Dobrze co teraz, w lewo czy w prawo? – pomyślał, rozglądając się, jakby miało to jakiegokolwiek znaczenie. Równie dobrze mógł zamknąć oczy, efekt oględzin byłby taki sam. Wybrał prawą stronę. Ostrożnie przesunął stopę po półce, starając się wyczuć jej koniec. Poczuł, że palce stopy tracą podłoże. Ukucnął, sięgnął ręką do buta. Czując pod nim pustkę, stanął na skraju dopiero co poznanego terenu, wysunął rękę nad wycierającą z dołu czerni, uważnie macając ściany. Wyczuł to pod palcami, wyraźnie wystającą cegłę, to nie mógł być przypadek, musiała być stopniem. Chwycił za nią, spuszczając jednocześnie w dół nogę, szorował nią po ścianie, szukając jakiegoś oparcia i wreszcie je znalazł. Reszta poszła już szybko, po paru sekundach stanął w kominku.

Wreszcie ujrzał coś poza nieprzeniknioną czernią. Czerni o parę tonów jaśniejszą od swojej poprzedniczki. Przez zamknięte okiennice przedzierało się nikłe światło księżycy, ale teraz już nie było mu potrzebne, po tym, jak wyszedł kominowego mroku, wszystko widział tak wyraźnie, jakby trzymał przed sobą zapaloną świecę. Odsunął metalowy płotek odgradzający palenisko od salonu i stanął na szarym dywanie, minął szary fotel, kierując się w stronę innych odcieni szarości spowijających korytarz. Według planu miał otworzyć drzwi prowadzące na podwórze. Rozejrzał się, aby określić, w której części domu wylądował. Spojrzał na wiodące na piętro schody. O ile dobrze pamiętał schody usytuowane były zawsze od strony głównego wejścia. Odwrócił się i ruszył w odwrotnym kierunku. Drzwi znajdowały się po przeciwnej stronie, odsunął dwie zasuwę. Otworzył drzwi, powiew zimnego powietrza owiał mu twarz. Wystawił głowę na zewnątrz, szukając wzrokiem współników Knighta. Nie musiał długo czekać, z mroku wyszły dwie postacie idące w jego stronę.

– Nie spieszyłeś się mały – rzucił Orris na powitanie.

– Przepraszam psze pana, ale...

– Nie zwracaj mi głowy – odepchnął go na bok, aby szerzej otworzyć drzwi i zniknął w głębi domu.

Markus przywarł do ściany, aby zrobić miejsce dla wchodzącej Lorabelle. Podniósł do góry wzrok, akurat by zobaczyć zbliżającą się w jego kierunku rękę. Odruchowo się skulił, ale dłoń dziewczyny wylądowała na jego włosach, delikatnie je mierzwiąc.

– Dobra robota – powiedziała i chłopak przez chwilę miał wrażenie, że się do niego uśmiechnęła. Po czym podążyła w ślad za kompanem. – Zapalisz w końcu tę świecę – powiedziała, zniecierpliwiona widząc szamoczącego się z zapalkami Orrisa.

– Zaraz, zaraz – jęknął, sekundę później pokój ukazał swe uroki w rozedrganym płomieniu świecy.

– Zabieraj te srebra – wskazała stojącą na stole paterę. Podeszła do kominka. – Masz, weź kandelabr, to też jest ładne – podała figurkę aniołka.

– Znajdź sztucce, muszą gdzieś tu być, ja idę na piętro – słysząc głośny brzęk metalu, obejrzała się za siebie. – Co ty wyprawiasz?

– Worek mi się wyślizgnął.

– Uważaj, obudzisz całą ulicę.

– Co się tak pieklisz, przecież dom jest pusty.

Miała już coś odpowiedzieć, ale zrezygnowana tylko machnęła ręką. Zapaliła drugą świecę.

– Bierz wszystko, co możesz – zarządziła, wychodząc na korytarz. Z poprzedniej wizyty pamiętała, że po prawej stronie znajdowała się mała biblioteczka, zajrzała do niej przelotnie, zostawiając ją Orrisowi. Oświetliła schody. Ciekawe co jest na górze – pomyślała, wchodząc na pierwsze stopnie. Nagle usłyszała jakieś dochodzące z piętra hałasy. – John to ty? – brak odpowiedzi. Wspięła się na kolejne dwa stopnie. – John nie mamy czasu na zabawę, bierz się do roboty – tym razem odezwą były wyraźnie zbliżające się do niej kroki.

– Kto to? – rozległ się twardy niski głos, po chwili u szczytu schodów stanął jakiś człowiek. – Co tu robisz?

Lorabelle stanęła jak zamurowana. Przecież mieli wyjechać – przemknęło jej przez głowę. Kto to jest? Jeśli tu mieszka to czemu idzie po ciemku.

– Czy ja cię czasem skądś nie znam? – powiedział ktoś schodzący w dół.

Dziewczyna odsunęła świecę jak najdalej od siebie, robiąc krok do tyłu.

– Co się dzieje? – spytał Orris, który właśnie wyszedł z pokoju.

– Przekłęci złodzieje! – wrzasnął mężczyzna, wysuwając rękę przed siebie.

Lorabelle zobaczyła krótki błysk i wszystko zrozumiała.

– Uciekaj, on ma broń! – zawołała, rzucając w nieznajomego świecą. W jej blasku zobaczyła twarz służącego, który niedawno wzywał dla niej powóz. Zasłonił się ręką i świeca odbiła się od jego ramienia. Sekundę później rozległ się huk wystrzału. Pocisk przeciął powietrze w miejscu, gdzie jeszcze przed momentem stała Lorabelle, lecz ona już była na dole. Obiegła schody, podążając śladem uciekającego w popłochu Orrisa. Wybiegła z domu, rozplywając się w mroku.

Mężczyzna szybkim krokiem zszedł na dół, cały czas trzymając w ręku pistolety. Nadepnął butem na palącą się świecę, gasząc ją w ten sposób, a następnie ostrożnie zajrzał do biblioteczki, penetrując wzrokiem pomieszczenie.

– Hej co się dzieje? Chyba słyszałem jakiś strzał – odezwał się Knight.

Słyszając te słowa, służący powoli wycofał się na korytarz. Wiedział, że ma przewagę, stał w mroku, a jego przeciwnik znajdował się dokładnie na progu, wyraźnie odznaczając swą sylwetkę na tle białego śniegu.

– Orris, jak tam, macie coś... – John wszedł do środka, dostrzegając nikły ruch w głębi domu.

Służący uniósł drugi pistolet, spokojnie wycelował i nacisnął spust. Rozległ się kolejny ogłuszający strzał. Knight zdążył zobaczyć jedynie błysk rozdzierający ciemność. Uderzenie było tak potężne, że poderwało go do góry. Padł na wznak na śnieżny dywan, a czerwona smuga krwi, zalała mu czoło, tworząc na białym puchu wokół jego głowy śmiertelną aureolę.

\*\*\*

Przez całą drogę Magnus biegł jak szalony. Nie zważając na śnieg i lód, przez co niejednokrotnie wylądował na ziemi. Jego podarta kapota prawdopodobnie nadal leżała na podwórzu, ale nie miało to teraz dla niego najmniejszego znaczenia. Nie czuł zimna, wręcz przeciwnie, było mu gorąco jak nigdy przedtem. Wiatr przenikał przez koszulę, chłodząc jego rozpalone ciało. Ponownie się poślizgnął, przebiegając na drugą stronę ulicy, uderzył kolanem w bruk. Nie zważając na ból, poderwał się na nogi, wznawiając szaleńczy bieg. Kilkukrotnie obejrzał się przez ramię, sprawdzając, czy nikt za nim nie podąża. Na szczęście ulice były całkowicie puste, znaczone jedynie nitką drobnych śladów pozostawionych przez jego podarte buty.

Polecenie Knighta było proste „nie płacz się pod nogami”, a nastawienie Orrisa do jego osoby utwierdziło go w przekonaniu, że najprościej będzie

wykonać rozkaz, będąc tam, gdzie nikogo nie ma. Dlatego tylko, gdy Lorabelle go minęła, wyszedł na zewnątrz, lokując się za stertą pustych skrzynek, które, choć w małej mierze chroniły go przed podmuchami lodowatego wiatru. Dygocząc z zimna, usłyszał dobiegający z domu huk, po chwili zobaczył, wybiegającego na podwórze Orrisa, który poślizgnął się na śniegu, lądując na ziemi tuż obok jego kryjówki. Błyskawicznie się pozbierał, chwytając, leżący obok niego worek i zniknął w ciemności. Chwilę po nim wybiegła Lorabelle, podążając przetartym przez kompana szlakiem. Magnus stał zdezorientowany, nie wiedząc co robić, w końcu przyszedł tu z Knightem i gdyby go pozostawił, biegnąc za tamtymi, miałyby nie lada kłopoty. Poza tym zostawił na dachu kapotę i miał cichą nadzieję, że John o niej nie zapomni. Miał rację, po chwili zobaczył Johna idącego w stronę drzwi, już miał go zawołać, ale coś go powstrzymało. Może to był strach, a może zwykła ciekawość, chęć zobaczenia co się wydarzy i to właśnie ta chęć doprowadziła do tego, że Knight leżał teraz na wznak w kałuży krwi.

Biegł dalej. Nie wiedząc, kiedy znalazł się na znajomym podwórku. Stanął przed drzwiami do zamieszkałej przez siebie i Knighta komórki. Nacisnął klamkę, były zamknięte. Napał na nie całym ciałem, jednak nie drgnęły nawet o cal, w panice kilkakrotnie uderzył w nie ramieniem. Bez rezultatu. Co ja teraz zrobię? – pomyślał, siadając zrezygnowany na zlodowaciałej ziemi. Dopiero teraz, gdy ciało przestało wytwarzać adrenalinę, ponownie poczuł uroki styczniowej nocy. Objął rękami kolana, czując wstrząsające ciałem dreszcze. Siedział tak przez kwadrans z nadzieją, że za chwilę zobaczy wredną gębę Knighta, która w tym momencie byłaby dla niego największą radością, ale nic takiego się nie wydarzyło. Z rezygnacją przesunął wzrok po rozpościerającym się obok niego zaśnieżonym murze i wtedy coś sobie uświadomił. Klucz. John miał gdzieś ukryty zapasowy klucz, na wypadek, gdyby zawieruszył swój podczas jednej ze swoich pijackich eskapad. Raz widział go, jak szukał czegoś w murze. Magnus poderwał się na nogi i po omacku zaczął przeszukiwać każdą znajdującą się między cegłami szparę. Po paru minutach jego wysiłek został nagrodzony. Z wąskiego rowka, w którym powinna znajdować się zaprawa, wyciągnął zardzewiały klucz. Popatrzył na niego jak na wypełniony złotymi gwineami mieszek. Uśmiechnął się szeroko, a łyzy szczęścia pociekły mu po policzkach.



## X

Ulice wciąż skrywał półmrok, kiedy Garnet nad ranem przekroczył próg domu. Najchętniej od razu ległby w łóżku, jednak musiał zrobić jeszcze jedną rzecz. Starając się czynić, jak najmniej hałasu, ruszył do pokoju matki. Mógł wprawdzie z tym trochę poczekać, ale doświadczenie nauczyło go, że w pewnych kwestiach lepiej nie kusić losu. Nacisnął klamkę, sprawiając, iż drzwi ustąpiły z cichym skrzypnięciem. Zamarł na chwilę, nasłuchując uważnie, żaden niepokojący dźwięk nie dotarł do jego uszu. Wślizgnął się do środka. Obszedł ogromne łoże, wysunął z komody szufladę, chwilę w niej pogrzebał i wyjął z niej kluczyk, którym otworzył stojącą na blacie szkatułkę. Uniósł przegródkę, umieszczając we wnęcie, która się pojawiła dwa pierścienie. Clementine zachrapała, przekręcając się na bok. Na sekundę wstrzymał oddech, by po chwili odłożyć wszystko na swoje miejsce. Kilka minut później był już w swoim pokoju. Wyjrzał przez okno, ulica powoli budziła się do życia, spojrzał na szare niebo i głęboko odetchnął. Tego właśnie potrzebował, to za tym tęsknił od czasu kiedy wrócił na wyspy. Nadal czuł krążącą w żyłach adrenalinę, a to wywoływało u niego podniecenie. Rozpiął kamizelkę, stanął tyłem do łóżka. Wciąż wpatrując się w niebo, upadł plecami na pościel. Jego myśli nadal krążyły wokół nocnych wydarzeń, na nowo odtwarzał wszystko w pamięć, i przypominając sobie każdy najdrobniejszy szczegół, dzięki czemu ponownie poczuł narastające w nim podniecenie. Zamknął oczy, odpływając w krainę ekstazy.

\*\*\*

Obudził go potężny huk, miał wrażenie, że dach spadł mu na głowę. Zerwał się, próbując wydostać się na zewnątrz, ale ręce i nogi zaplątały mu się w koc, nic nie widział. Wpadł w panikę, próbując oswobodzić się ze szmacianych oków. Wreszcie po krótkiej szamotaninie uwolnił rękę, zsunął koc z głowy, starając się rozeznać w sytuacji. Najwyraźniej przespał cały dzień, gdyż strzępy promieni słonecznych wpadały poprzez popękana umorusaną szybę, ledwo co rozświetlając ciemną izbę. Na podłodze leżał Knight, spod którego wystawały resztki połamanego krzesła.

– Pomóż mi – jęknął.

Magnus poderwał się na równe nogi, chwycił go pod ramię, próbując podnieść do góry. Z wysiłkiem dowlekli się do łóżka. John bezwładnie zwał się na siennik. Krew oblepiała mu oczy, a czoło pokrywał czarny zlepiający włosy skrzep.

– Gdzie byłeś główniarzu? – warknął w podzięcie.

– Słyszałem strzały i pobiegłem za panią Lorabelle – skłamał, wolał nie wspominać, iż widział wykrwawiającego się Knighta i nic z tym nie zrobił. Wiedział, jaka by była jego reakcja na tę nowinę. – Co się panu stało?

– Ktoś do mnie strzelał – wymamrotał. – Na szczęście marny z niego strzelec – dodał kpiąco. – Przynies jakąś szmatę i trochę wody.

Po chwili chłopiec wrócił, trzymając w ręku drewnianą miskę.

– Przetrzyj mi gębę, przez tę cholerną krew nic nie widzę.

Magnus zamoczył ścierkę i delikatnie przemył twarz Knighta. Na czole, gdzie rozpoczynała się linia włosów, skóra była wyraźnie rozcięta, wręcz rozerwana na kilka cali, a pomiędzy zlepionymi włosami, można było dojrzeć fragment czaszki. Ostrożnie dotknął rany.

– Auu... co robisz kretynie – syknął wściekły.

– Przepraszam psze pana – zabrał ścierkę, aby przepłukać ją w wodzie, nagle Knight chwycił Magnusa za kołnierz, lekko go przyduszając.

– Myślałeś, że już nie wrócę co? – przyciągnął twarz chłopca do swojej, opluwając go śliną przy każdym wymawianym słowie. – Chciałeś, żebym się wykrwawił? – zabrzmiało to bardziej jak oskarżenie, niż pytanie.

Magnus nerwowo potrząsnął głową na boki.

– Nie psze pana, ja nie wiedziałem, co się stało ja...

– Czemu na mnie nie zaczekałeś?

– Nie... nie wiem – zaczął się jąkać. – Po... po prostu się prze... przestraszyłem i uciekłem.

Zacisnął uchwyt, coraz mocniej dusząc, przez chwilę mierzył małego wzrokiem, trawiając słowa, które usłyszał. Wreszcie odepchnął go z całej siły na leżące na podłodze resztki krzesła.

– Przynies ginu, łeb mi puchnie.

Magnus podszedł do resztek stojącej w rogu komody, otworzył zwisające smętnie na jednym zawiasie drzwiczki i wyciągnął butelkę. Ostrożnie podał ją Knightowi, który wypił duży łyk.

– Wiesz co? Tak sobie myślę – podciągnął się na łóżku, nie odrywając wzroku od chłopaka. – Że przez ciebie nie będę mógł teraz pracować, a jak nie będę pracował...

– Ale to nie moja wina – bąknął nieśmiało.

– A czyja? – zaperzył się. – Może moja? Gdybyś nie uciekł jak jakiś tchórz, mógłbyś mnie ostrzec przed tym idiotą. Ten dureń mógł mnie zabić. Całe szczęście, że mam twarde łeb – dla podkreślenia swoich słów stuknął się w głowę i momentalnie tego pożałował, krzywiąc się z bólu. – Teraz nie...

– Ale ja...

– Zamknij się, nie przerywaj, jak do ciebie mówię – warknął, posyłając gniewne spojrzenie i pociągnął z butelki. – Co ja mówiłem? – spytał sam siebie. – A... ta... tak więc nie będę zarabiał, a wiesz, ile kosztuje, utrzymanie tego? – machnął ręką na boki, czekając na reakcję chłopca, który spuścił wzrok ku ziemi. – No właśnie. Podejź tu – powiedział łagodnym głosem. Magnus potulnie zbliżył się do Knighta, który błyskawicznie chwycił go żylastą ręką za kark. – Dużo, cholernie dużo i powinienem cię za to ukarać – zacisnął palce. Chłopiec cicho jęknął. – Ale znasz mnie i wiesz, że mam do ciebie słabość. Dlatego pozwolę ci odpokutować winę – rozluźnił chwyt. – Oddasz mi te monety, które trzymasz w onucach i będziemy kwita.

– Nie mam żadnych monet.

– Nie pogrywaj sobie szczeniaku. Myślisz, że coś przede mną ukryjesz? – ponownie zacisnął dłoń na szyi Magnusa. – Tam na dachu, gdy wchodziłeś do komina, trzymałem cię za kostki. Wyczułem, co tam chowasz, mnie nie oszukasz. Wyciągaj wszystko, co masz, ino szybko – wzmocnił chwyt, aż zbieleły mu kłykcie. Następnie pchnął chłopca na połamane siedzisko. – A jeśli nie chcesz odwdzińczyć się swemu dobroczyńcy za wikt i opierunek, to wynoś się z chałupy, droga wolna. Jak będziesz miał szczęście, zamarzniesz do rana i twoje kłopoty skończą się raz na zawsze.

Magnus leżał przez chwilę wśród szczątków krzesła, w końcu podciągnął nogi pod siebie, odwinął onuce i wyciągnął schowane szylingi. Wstał i wręczył je Knightowi.

– Mam nadzieję, że to wszystkie, lepiej, żebyś nie próbował mnie oszukać – zagroził.

– To wszystko, co mam – odparł, a łzy spływały mu na drżącą wargę.

– To się jeszcze okaże – pociągnął z butelki, przeliczając monety.

– Psze pana..., czy ma pan może moją kurtkę? – spytał z nadzieją w głosie, jednocześnie pociągając nosem.

– To ja o mało przez ciebie nie zginąłem, a ty pytasz mnie o tę starą szmatę? Ale z ciebie mały sobek.

– Bo... nie mam... nic innego i...

– A co mnie to obchodzi? Sam powinieneś pilnować swoich łąchów. Czy ja każę pilnować ci swoich gaci? – machnął trzymaną w ręce butelką, dając tym samym znak, aby nie zawracać mu głowy.

\*\*\*

Zapach imbiru przenikał powietrze, gdy Hortense układała ciasteczka w piramidę godną niejednego faraona. Tradycyjnie kilka sztuk umieściła w miseczce, przykrywając je talerzykiem. Całość chwyciła w rękę i szybko opuściła kuchnię. Niezauważenie przemknęła po schodach. Chwilę później stała już pod znajdującym się na końcu korytarza pokojem. Zerknęła za siebie, nikogo nie dostrzegając, wyjęła klucz z kieszeni i otworzyła drzwi. Pokój wyglądał tak samo jak podczas ostatnich odwiedzin. Wszystkie zabawki znajdowały się na swoim miejscu pokryte szarą warstwą kurzu. Uklękła obok łóżka, unosząc do góry zwisającą z niego narzutę. Miska stała tam, gdzie ją ostatnio zostawiła. Wysunęła ją, podnosząc przy tym talerzyk, była pusta, nie biorąc pod uwagę kilku okruszków. Uśmiechnęła się do siebie, podmieniając naczynia. Podniosła się z wysiłkiem, otrzepała kolana i zabrała brudne talerze. Ostrożnie otworzyła i szybko opuściła pokój. Zamknęła drzwi na klucz, schowała go do kieszeni i wtedy wyczuła, że coś jest nie tak, odwróciła się, uderzając miską, w stojącą za nią Brittanicę.

- Aaa! – krzyknęła Hortense, podskakując do góry.
- Przepraszam, nie chciałam cię wystraszyć – powiedziała panna Bennett.
- Nie byłabym tego taka pewna.
- Nie rozumiem?
- A czego tu nie rozumieć? Jeśli ktoś się skrada, to raczej w konkretnym celu.
- A kto powiedział, że się skradałam?
- Hmm... – zdziwiona wzruszyła ramionami. – To chyba oczywiste, ja.
- Doprawdy, to staje się niedorzeczne.
- Cóż nie jest to częste, ale w tej kwestii muszę się z panią zgodzić – odparła, próbując wyminąć Brittanicę, ale ta zrobiła szybki krok w bok, zastępując jej drogę.
- Cieszę się, że dzisiaj jesteśmy tak zgodne – uśmiechnęła się obłudnie. – Zatem na pewno zgodzisz się ze mną, że miejsce kucharki jest w kuchni?
- Hortense popatrzyła na nią spode łba.
- Tak, dlatego właśnie chciałam się tam udać – ponowiła próbę ominięcia swojej rozmówczynie.

– To miło z twojej strony, zawsze wiedziałam, że obowiązkowość to twoja zaleta – odparła Brittanica. – Ale mnie interesuje co innego? Mianowicie, co tutaj robiłaś? O ile mnie pamięć nie myli, kuchnia znajduje się na dole.

Hortense zrobiła głębszy oddech, dając sobie czas, na zebranie myśli.

– Przyszłam po miskę, jest mi potrzebna – podniosła demonstracyjnie naczynia do góry.

– Miskę? A co ona tu robi?

– Skąd niby mam wiedzieć? Przecież moje miejsce pracy to kuchnia – tym razem to ona posłała złośliwy uśmiech. – Gdybyście nie rozstawiali naczyń, gdzie popadnie, nie musiałabym biegać po całym domu, tracąc czas na ich zbieranie.

Brittanica już otwierała usta, aby odpowiedzieć, ale Hortense ją uprzedziła.

– A teraz proszę mi wybaczyć, rozmowy z panią są bardzo hmm..., jak to się mówi... kształcące, ale wątpię by madame Clementine, była równie szczęśliwa, jedząc na obiad zimnego kurczaka – wreszcie ominęła stojącą przed nią żywą przeszkodę i zniknęła za rogiem.

Brittanica odprowadziła ją ponurym spojrzeniem. Obróciła się w miejscu, lustrując korytarz, w końcu podeszła do pokoju, który przed chwilą opuściła kucharka. Nacisnęła kłamkę, drzwi pozostały zamknięte, ponownie na nią naparła, upewniając się, że wszystko jest tak, jak być powinno.

Hortense weszła do kuchni i od razu usiadła na krześle. Mało brakowało, muszę bardziej uważać, ten babsztyl jest wszędzie – pomyślała, zamykając oczy, aby się uspokoić i w tym momencie poczuła czyjąś rękę na ramieniu.

– Aaa! – krzyknęła mimowolnie.

– Ale pani nerwowa – powiedziała Daphne.

– Nie jestem nerwowa, tylko byłoby miło, gdybyście wszyscy normalnie chodzili. Czemu musicie się tak czaić? To jakieś podchody, czy co?

– Dobrze, przepraszam – odparła, przestępując z nogi na nogę. – Czuję, że upiekła pani ciasteczka... i pomyślałam...

– Częstuj się, tylko tak, żeby panna Bennett nie widziała.

– Ma się rozumieć – ugryzła ciastko, wkładając drugą ręką kilka do kieszeni.

\*\*\*

Zaczynało zmierzchać, kiedy skręcił w dobrze sobie znaną uliczkę. Miała ona dwie zalety, które bardzo sobie cenił. Po pierwsze była mała

uczęszczana, a po drugie wąska i ciemna. Nawet w ciągu dnia pomiędzy budynkami panował mrok, a po zachodzie słońca stawała się nieprzeniknionym tunelem. Szedł powoli, nie spieszył się, wiedział, że znajdzie tu to, czego szuka i się nie mylił. W wąskim zaułku pośrodku uliczki, na brudnych szmatach siedziało kilku chłopców, tuląc się do siebie pod starym porwanym kocem. Stanął nad nimi i kopnął w nogi pierwszego z brzegu. Chłopcy jednocześnie podnieśli do góry głowy.

– Potrzebuję jednego do pracy – powiedział, rzucając do góry szylinga. W odpowiedzi spod koca wystrzelił las rąk starających się uchwycić monetę. Mężczyzna odwrócił się, nie zwracając sobie głowy szamotaniną, która wywiązała się za jego plecami. – Po wszystkim dostaniesz jeszcze kilka takich – dodał na odchodne.

U wylotu uliczki dobiegł do niego mały zwycięzca, zrównując się z nim krokiem.

– Co to za praca? – spytał, wpatrując się w laskę ze srebrną rączką, którą dzierżył w dłoni mężczyzna w czarnym wełnianym płaszczu.

– Dowiesz się na miejscu, ale nie przejmuj się, na pewno sobie poradzisz – spojrzał w dół, uśmiechając się do chłopca.

– Dziękuję panu – odparł chudy blondynek, pociągając nosem.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Podeszli do stojącego nieopodal powozu. Mężczyzna otworzył drzwiczki, mówiąc:

– Wsiadaj.

– Jejciu... zawsze chciałem się takim przejechać.

– Więc to twój szczęśliwy dzień – odparł jegomość, wchodząc do środka. Zamknął drzwi, po czym uderzył w nie laską. Konie zarżały, a powóz powoli ruszył z miejsca.

\*\*\*

Obudził ją chłód, po omacku wystawiła rękę w poszukiwaniu kołdry. Nie znalazła jej, ale wyczuła coś, co ją zaniepokoiło, a w zasadzie nie wyczuła tego, co powinna, czyli miękkiej pościeli. Z wysiłkiem otworzyła oczy, czuła ból głowy i suchość w gardle. Spojrzała na posłanie, było brudne i śmierdziało stęchlizną. Podparła się na łokciu, aby rozeznać się w sytuacji. Musiała mocno wyteńczyć wzrok, aby dostrzec cokolwiek w otaczającej ją ciemności. Pomieszczenie było mroczne i prawie puste. To nie jest mój pokój – pomyślała, siadając. – Gdzie ja u licha jestem? – Rozejrzała się otumaniona. Siedziała na starym sienniku położonym bezpośrednio na

podłodze pod ścianą, poza namiastką łóżka, jedynymi meblami był stół oraz dwa krzesła. Przynajmniej tak sądziła, wpatrując się w niewyraźne kontury. Podciągnęła nogi, żeby wstać i wtedy usłyszała szcęk metalu. Ponownie szarpnęła nogą, nie mogąc nią ruszyć, zdziwiona spojrzała w dół, na przykryte szarym pledem nogi, który prawdopodobnie skopała z siebie podczas snu. Zrzuciła go na bok i wtedy ujrzała przyczynę hałasu, był nią metalowy zardzewiały łańcuch. Boże, to się nie dzieje naprawdę – szarpnęła nogą. Łańcuch naprężył się, napinając ogniwa. – Jestem przykuta – przebiegło jej przez głowę. Wtedy to poczuła. Strach ogarniający umysł i ciało. Zapomniała o zimnie, zapomniała o bólu, suchości w gardle oraz rozchodzącym się wkoło odorze stęchlizny.

– Hallo! Jest tu kto?! – krzyknęła na całe gardło. Odpowiedziało jej jedynie odbijające się od łukowatego sklepienia echo. Ponownie szarpnęła nogą, wprawiając w ruch łańcuch. – Pomocy!! – wrzask rozszedł się po pomieszczeniu, wracając do niej z podwójną mocą. – Niech ktoś mi pomoże! – słowa rozmyły się w mroku. Czekwała w narastającej panice na jakiegokolwiek odgłosy znamionujące czyjąś obecność, lecz cisza zdawała się być jej jedyną towarzyszką. Pochyliła się, chwyciła swoje okowy, ciągnąc je z całej siły na wszystkie strony, ale dwucalowe ogniwa miały za nic jej nadludzki wysiłek. – Ratunku, ratunku!! – krzyknęła ile siły w płucach, jednak żaden odzew nie nastąpił. Ukłęknęła i na czworakach przeszła wzdłuż łańcucha. Miał jakieś sześć stóp, a jego koniec został przytwierdzony do wystającego z kamiennej podłogi wielkiego ogniwa. Zapała się nogami o kamień, próbując wyrwać pęta, jakby wyciągała dorodną rzepę z ziemi, lecz w przeciwieństwie do rzepy metal pozostał niewzruszony. Zrezygnowana usiadła na lodowatej kamiennej płycie. Przez chwilę patrzyła na spowite w ciemnościach masywne drzwi. W końcu napięte do granic możliwości nerwy puściły, a z ust dobył się głośny szloch.

\*\*\*

Zanurzył kubek w wiadrze z zimną wodą i chlusnął nią w twarz dziecka. Chłopiec otworzył oczy, potrząsając nieprzytomnie głową. Oszołomiony spojrzał przed siebie, w pierwszej chwili ujrzał pokryty wapnem sufit, następnie wielką zarośniętą twarz jakiegoś pochylającego się nad nim mężczyzny. Leżał na czymś twardym i zimnym. Próbował się poruszyć, lecz ręce i nogi nie reagowały tak, jakby sobie tego życzył. Przekręcił głowę na bok. Jego kończyny zostały przywiązane, rozciągając jego ciało w kształt litery X.

– Co się dzieje? Co pan robi? – powiedział chłopiec wystraszonym głosem.

Mężczyzna spojrział na niego i obszedł go bez słowa, nie zwracając sobie głowy odpowiedzią. Zatrzymał się przy stojącym z boku stoliku, odwracając się tyłem do chłopca.

– Proszę mnie rozwiązać, ja nic nie zrobiłem – jęknął, bezskutecznie starając się przy tym uwolnić. – Niech pan mnie wypuści – ponownie szarpnął ręką, ale sznur tylko mocniej zacisnął się wokół drobnego nadgarstka. – Te ryby, to był pomysł Steve’a. Ja tylko stałem na czatach, to on na to wpadł – widząc, że mężczyzna nie reaguje, podniósł głowę na tyle na, ile pozwalały mu pęta. – Pomocy! – krzyknął na całe gardło.

Dryblas obrócił się, podnosząc palec do ust na znak ciszy.

– Pomocy! – znów wrzasnął. Wciągnął powietrze do kolejnego krzyku, ale na tym się skończyło, gdyż brudna ścierka wylądowała w jego ustach, tłumiąc kolejną próbę.

Nieznajomy odwrócił się, powracając do przerwanych czynności.

Przez głowę chłopca przebiegła myśl. Co on chce mi zrobić? Nie mogą nic zrobić, rozejrzał się nerwowo. Umieszczone na dwóch ścianach pochodnie tworzyły posępne cienie, w miejscach, do których nie docierało rzucane przez nie światło. Poza stojącym obok stolikiem oraz tym na czym leżał, nie widział żadnych innych mebli. Zamknął oczy, modląc się w myślach o jakąkolwiek pomoc. Trwał w tej pozycji do czasu, aż usłyszał jakiś narastający szmer. Otworzył powieki, dryblas nadal stał tam gdzie wcześniej. Odgłosy dochodziły z drugiej strony, przekrzywił głowę, wpatrując się w mrok. Teraz miał już pewność, to były kroki kogoś powoli zbliżającego się w jego stronę. Najpierw zobaczył kawałek buta, sekundę później z ciemności wynurzyła się zakapturzona postać okryta długą purpurową szatą. Minęła chłopca, podchodząc do stolika.

– Wszystko gotowe? – spytał nowoprzybyły.

Dryblas potwierdził skinieniem głowy.

– Zatem zaczynajmy – oznajmił, stanął nad chłopcem, głaszcząc go po głowie. – Nie bój się, wszystko będzie dobrze. Pomogę ci, dam ci to, czego nigdy nie miałeś, otrzymasz spokój i ukojenie. Koniec z głodem, zimnem, strachem. Wreszcie nadszedł koniec bólu, to kres twych doczesnych cierpień. Od nikogo nie otrzymasz więcej, niż ja ci ofiaruję – wyjął knebel.

– Proszę pana... ja nic nie zrobiłem..., proszę mnie wypuścić – wyszeptał przez dławione przerażeniem gardło.

– Nie chcesz chyba odrzucić takiego daru? Ofiarowuję ci wszystko, wybierając cię, byś służył wyższemu celom.



– Ale... – nie dokończył, gdyż łzy pociekły mu strumieniami, żłobiąc małe kanaliki na umorusanej twarzy.

– Tego, co się dokonało, nie da się już cofnąć – z czułością przesunął palec po ustach chłopca. – To potrwa tylko chwilę.

Dryblas podszedł do dziecka. Wyjął nóż, jednym ruchem rozciął mu koszulę, rozsuwając jej poły na boki. Następnie wystawił przed siebie miskę, wypełnioną jakąś czerwoną cieczą. Mężczyzna w kapturze zanurzył w niej palec, nakreślił jakieś dziwne znaki na piersi chłopca i włożył rękę pod płaszcz. Wyjął bogato zdobiony złoty sztylet.

– Już – powiedział.

Wielkolud otworzył frontem do kapłana oprawioną w skórę księgę.

– Rahma jama orda joro... – zaintonowała zakapturzona postać. Pokój wypełniły obco brzmiące słowa.

Chłopiec leżał bez ruchu, sparaliżowany więzami oraz strachem. Przez załzawione oczy widział jedynie dwie niewyraźne sylwetki stojące po jego obu stronach. W uszach dźwięczały mu nic nieznaczące dla niego słowa, nagle zobaczył nad swoją głową jakiś błysk, po chwili poczuł potworny ból przeszywający jego pierś i w tym momencie skonał.

Sztylet zagłębił się w młode ciało, tnąc tkanki jak masło. Mężczyzna włożył rękę pod rozciętą skórę, manewrując palcami pomiędzy żebrami. W końcu wyczuł, to czego szukał, gorące, twarde serce. Lekko je ucisnął, przez chwilę miał wrażenie, że wyczuł, jak po raz ostatni próbuje przepompować krew w aorty. Z wyrazem pełnego ukontentowania na twarzy przymknął oczy, wypuszczając powietrze. Trwał w tej pozycji przez jakiś czas, delektując się chwilą. Wreszcie wy dobył dłoń z ciała chłopca, wytarł sztylet w otrzymaną szmatkę, odkładając go na ołtarz. Spojrzał zafascynowany na wykute w kamiennym blacie rowki, powoli napełniające się szkarłatną cieczą.

– Zbierz krew – zsunął kaptur z głowy. – A ciało..., z resztą dobrze wiesz, co masz robić.

– Oczywiście – postawił dzban na ziemi pod narożnikiem ołtarza, aby ściekająca krew mogła go swobodnie napełnić.

– Muszę się położyć, jestem strasznie zmęczony – oznajmił mężczyzna w purpurze, znikając w mroku.

\*\*\*

Od ponad godziny przewracał się w łóżku, myśląc tylko o jednym. Wreszcie podjął decyzję. Odczekał, aż ucichną wszystkie odgłosy kładącego

się do snu domu. Zapalił ogarek i oświetlając drogę małym świecznikiem, skierował się prosto na drugie piętro. Zatrzymał się na szczycie schodów, oświetlając korytarz nikłym płomieniem świecy. Które to drzwi? – rozważał, ganiąc się jednocześnie w myślach, iż wcześniej nie uczynił tak oczywistej rzeczy, jak rozeznanie terenu. Mieszkał w tym domu od wielu lat, lecz na tym piętrze przebywał raptem kilkukrotnie. Nic dziwnego, w końcu znajdowały się tu głównie służbówki, a one same w sobie nie stanowiły zbyt dużej atrakcji, aż do tego czasu.

Podszedł do pierwszych z brzegu drzwi, uważnie nasłuchując odgłosów, które w jakikolwiek sposób mogłyby zdradzić, kto znajduje się po drugiej stronie. Ciszy nie przerwał nawet nikły szmer. Hmm..., jeśli rozkład pomieszczeń jest choć trochę podobny do tych znajdujących się piętro niżej, to lokum powinno być dość duże. Zatem pewnie urzęduje tu panna Bennett – pomyślał Walter. Spojrzał wzdłuż ściany, aby odnaleźć kolejne wejście i tym samym ocenić wielkość pokoju. Reszta drzwi była rozstawiona znacznie gęściej. Podszedł do następnych, przystawiając do nich ucho, po chwili usłyszał głośne chrapanie, ale odgłosy dochodzące zza drzwi nie bardzo pasowały mu do zwiewnej sylwetki Daphne, którą tej nocy chciał podziwiać. Ostrożnie ruszył dalej. Wtem ujrzał długie pasmo światła wskazujące na to, iż ktoś wychodzi z pomieszczenia znajdującego się na końcu korytarza. Szybko ścisnął palcami knot, gasząc w ten sposób świecę. Tańczący płomień zbliżał się w jego kierunku, ukazując szczupłą sylwetkę, przyodzianą w długą koszulę nocną. Walter nie mógł uwierzyć własnemu szczęściu, skoro minął pokój panny Bennett, a zza drzwi dochodziły wyraźne tubalne odgłosy chrapania pasujące jedynie do sylwetki pani Moore, to sądząc po wzroście, w jego stronę właśnie zmierzała Daphne. Nie mógł sobie tego lepiej wymarzyć. Zrobił krok do tyłu, kryjąc się w mroku. Dziewczyna zatrzymała się przy drzwiach, które miały być jego kolejnym celem. To tylko utwierdziło go w przekonaniu, że jego dedukcja jest bezbłędna. Powoli zaszedł ją od tyłu. Jej długie włosy swobodnie opadały na ramiona, tworząc swoisty welon. Nacisnęła klamkę, otwierając drzwi do pokoju.

– Mam cię skarbie – powiedział Walter, jedną ręką obejmując dziewczynę w pasie, a drugą zasłaniając jej usta.

Wystraszona wydała z siebie cichy jęk, próbując wydostać się z drapieżnego uścisku.

– Nie bój się moja miła, to tylko ja – szepcząc do ucha, przesunął dłoń w dół, gładząc jej udo, drugą rękę odgarnął włosy z jej karku.

– Panicz Garnet? – spytała, wykonując piruet w ramionach Waltera.

– Aaa – omal nie krzyknął, odskakując jak oparzony. – Ja... – nie mógł zebrać myśli, wciąż nie wierząc w to, co się przed chwilą wydarzyło.

– Ależ panie Griffith, tak nie wypada – odezwała się Brittanica mocno skonfundowana. Wzdrygając się, odchyliła głowę do tyłu.

Chwyciła ręką kołnierzyk koszuli, ściskając go tak, aby zakryć niewielki fragment odsłoniętej szyi. Stanęła sztywno, oświetlając bladego jak ściana Waltera.

– Najmocniej przepraszam, pomyliłem się – widząc zdziwienie na twarzy Brittanici, dodał. – Hmm... myślałem, że to Clementine.

– Nic się nie stało – odparła, cofając się do pokoju. – Dobranoc panu – zamknęła za sobą drzwi.

Walter po omacku wrócił do swojej sypialni. Mało brakowało, a wylądowałbym w pościeli z panną Bennett – zaśmiał się do siebie, siadając na łóżku. – Zaraz, czy ona powiedziała Garnet? Nie, to nie możliwe, musiałem się przesłyszeć.

## XI

Zbliżało się południe, gdy Magnus wystawił głowę spod koca. W izbie panował potworny ziąb. Owinięty w pled podszedł do garnków, zaglądając w nie z nadzieją, że coś się zmieniło. Jednak pozostały w takim stanie, w jakim zostawił je dzień wcześniej, czyli znajdowało się w nich jedynie powietrze. Wczoraj wymościł je suchą kromką chleba i to by było na tyle, jeśli chodzi o całodzienną strawę. Mimo wszystko był zadowolony, gdyby nie fakt, że Knight przespał cały dzień zmożony ginem oraz raną na głowie, zapewne nie zjadłby nic. Poza jedzeniem Magnus nie miał nic do roboty, więc resztę dnia spędził wtulony w siennik, ale z nastaniem nowego dnia znów poczuł dojmujący głód. Wyjrzał przez szarą szybę, zastanawiając się, skąd mógłby zdobyć jakieś jedzenie. Zazwyczaj udawało mu się znaleźć coś na ząb koło bazaru, jakieś zepsute warzywo albo owoc, lecz dziś w taką pogodę, szanse na to były minimalne. Spojrzał na tumany śniegu podrywane przez nieustający wiatr. Mógłby gdzieś wyjść, ale nie miał kapoty, a koszula nie nadawała się na takie wyprawy. Przez krótką chwilę rozważał spacer w kocu, jednak mróz przebijający się przez okno szybko odwiódł go od wyprawy, która mogłaby okazać się jego ostatnią. Pogoda oględnie mówiąc, była fatalna. Poślinił palec, zbierając nim okruchy ze stołu. Gdybym miał, chociaż kilka pensów, starczyłoby na miskę ciepłej zupy – jęknął załamany. Jeszcze wczoraj miałem parę szylingów, a dziś? – w złości przeniósł wzrok na leżącego na łóżku Knighta. – A ty mi je zabrałeś i jeszcze moja kurtka. W czym ja teraz będę chodził? – poczuł rozgrzewającą go od środka narastającą wściekłość. – Dobrze ci tak. Masz za swoje – zbliżył się do łóżka. John leżał na wznak w takiej samej pozycji co wczorajszego ranka. Posklejane skrzepem włosy przyłgnęły do brudnego czoła, a zakrwawiona ręka spoczywała na pustej butelce ginu. Nagle Knight poruszył głową, odsłaniając czarną plamę krwi zdobiącą umorusaną poduszkę.

– Woo... – wymamrotał.

– Co psze pana? – spytał Magnus.

Knight skinął głową, dając chłopcu znak, by się zbliżył.

– Woody kretynie – jeśli można wrzasnąć, ledwo mówiąc, to John właśnie to uczynił, wkładając w te dwa słowa taką ilość jadu, że mogłyby zabić słonia.

Chłopak zaczerpnął wody z miski i podał mu kubek.

– Szybciej tumanie – wysyczał, jęcząc John.

W tym momencie w Magnusie coś pękło, sprawiając, iż zatrzymał rękę w połowie drogi. Knight posłał mu gniewne spojrzenie.

– Blżej matole – sapnął i się zakrztusił. Jednak chłopiec zdawał się nie słyszeć urągania. Knight wyciągnął rękę, starając się sięgnąć kubka, ale w ostatniej chwili Magnus cofnął naczynie minimalnie poza jego zasięg. – Uuu... ty mały... – przekręcił się, próbując wysunąć bardziej rękę i w tym momencie wypadł z łóżka, uderzając głową o podłogę. Krew z na nowo otwartej rany zalała deski szkarłatną wstęgą. Chłopiec odskoczył przerażony, nie wiedząc, co zrobić. Stał, wpatrując się, w rosnącą z każdą chwilą kałużę. W końcu wrócił na swój siennik. Położył się na boku, podkulając nogi, wciąż obserwował leżącego na ziemi Knighta.

\*\*\*

Szły, mijając co pewien czas nielicznych przechodniów, skutecznie odstraszonych od spacerów przez wyjątkowo nieprzyjemną tego dnia zimową aurę.

– My to mamy pecha, kiedy wreszcie mamy wolne popołudnie, to na górze zgotowali nam taką pogodę – jęknęła Daphne, starając się przytrzymać na głowie, łopoczący na wietrze kaptur.

– Nie jest tak źle – odparła Mildreth, pochylając się do przodu, aby łatwiej przedrzeć się przez smagający śniegiem wiatr.

– Co mówisz?!

– Nie jest tak źle!

– Raczysz żartować. Czuję, że szyja mi się wykrzywia. Jeszcze trochę i będziesz biegała po ulicy, próbując złapać moją głowę.

– Ha, ha... – zaśmiała się. – Dasz sobie radę.

– Niby jak? Przecież nie będę jej widziała.

– Ha, ha..., przecież wiesz, o czym mówię.

– Ja wiem, ale czy ty zdajesz sobie sprawę z powagi sytuacji?! – krzyknęła, próbując przebić się przez świst, spowodowany nagłym powiewem wiatru. – Stój! – krzyknęła, zatrzymując koleżankę chwytem za ramię. Poczekały, aż minie je przejeżdżający obok wóz i przeszły na drugą stronę ulicy. – Mało brakowało.

– Dziękuję, ale ruch, wciąż nie mogę się do tego przyzwyczaić.

– Przecież prawie nikogo nie ma.

– Dla mnie to i tak tłum. U mnie na wsi zawsze jest spokojnie, czasem przejedzie jakiś wóz z sianem, a powozu nigdy nie widziałam. Tutaj jest

więcej powozów niż owiec u Brown'ów.

Daphne posłała jej zdziwione spojrzenie.

– U kogo? – spytała.

– Brown'ów. Bryan Brown ma największe pastwisko we wsi.

– Hmm... – uniosła do góry brwi, oznajmiając, że teraz wszystko stało się dla niej jasne. – W Londynie to dopiero jest ruch, żeby przejść przez ulicę, trzeba iść bokiem, bo inaczej w żaden sposób się nie przecisniesz, a w południe jest taki tłum, że wychodząc z domu, nigdy nie wiesz, gdzie dotrzesz.

– Jak to?

– Po prostu, gdy wejdiesz na chodnik, musisz iść tam, gdzie ludzie, bo nie jesteś w stanie zawrócić, tak jest ciasno.

– Naprawdę? – zerknęła na koleżankę, starając się dojrzeć wyraz jej twarzy, ale trzymany przez Daphne kaptur skutecznie jej to uniemożliwił.

– Naprawdę, jeśli chociaż o jard miniesz wejście do jakiegoś sklepu, będziesz musiała razem z ciżbą okrążyć cały kwartał, aby z powrotem do niego wejść.

Mildreth przeszła kilka kroków, analizując świeżo zdobyte informacje.

– Jak to możliwe, przecież...

– Tak to już jest w wielkich miastach. Jeśli chcesz kupić mięso, a rzeźnik ma jatkę po prawej, to przed wyjściem z domu, musisz patrzeć, jak idą ludzie. Podobno jeden porucznik strasznie lubił mięso, ale tłum szedł zawsze tylko koło stoiska z warzywami, więc gdyby ich nie kupował, to nie miałby co jeść i po miesiącu, chcąc nie chcąc, stał się wegetarianinem.

– Niesamowite! Skąd to wszystko wiesz, byłaś w Londynie?

– Nie, ale opowiadała mi o tym służąca Marshallów. Wiesz taka niska blondynka – Mildreth przecząco pokręciła głową. – A nieważne.

Przeszły kolejną ulicę ściśle przytrzymując rozwiewające się poły płaszców.

– Chodź, wejdziemy do tego sklepu, przynajmniej się chwilę ogrzejemy – zaproponowała Daphne i nie czekając na odpowiedź, przekroczyła próg, przy dźwięku umieszczonego nad drzwiami dzwonka. Mildreth po krótkiej chwili wahania ruszyła jej śladem. – Tutaj – machnęła Daphne ręką, stojąc obok półki, wyłożonej kolorowymi materiałami. – Patrz jakie ładne.

– Aha...

– Śmiało dotknij, zobacz, jakie miękkie – wysunęła kupon materiału, przesuwając nim po twarzy.

– Pewnie jest strasznie drogi.

– Mogłabym mieć taką sukienkę – odłożyła go na miejsce, chwytając kolejny w zielonym kolorze. – Albo taką – przesunęła dłonią po delikatnym splocie. – Najlepiej obie – puściła oko do koleżanki. – A ty?

– Ten jest ładny – wskazała belę turkusowego materiału.

– W pełni się z panią zgodzę – usłyszały męski głos dochodzący zza pleców. – Witam szanowne panie – sprzedawca okrążył dziewczyny, stając obok półki. – Doskonały wybór, jeśli wolno mi zauważyć.

– Dziękuję – odparła Daphne.

– Pani sobie życzy?

– Jeszcze się nie zdecydowałam – cofnęła się o krok, aby objąć wzrokiem górne półki. – Tamten wygląda dość interesująco, czy to aksamit? – wskazała belę znajdująca się na najwyższej półce.

– Ma pani doskonałe oko.

– Mogłabym go zobaczyć?

Subiekt spojrział na półkę, na Daphne i z powrotem na półkę, najwyraźniej się nad czymś zastanawiając.

– Oczywiście, proszę dać mi chwileczkę. Natan! – krzyknął w głąb sklepu. Parę sekund później z zaplecza wyłonił się szczupły rudzielec. – Bądź tak łaskaw i pokaż paniom ten materiał. Tylko szybko – klasnął dwukrotnie, aby pospieszyć pomocnika. Chłopiec podbiegł do stojącej pod ścianą drewnianej drabinki. Umieścił ją pod regałem i gdy na nią wchodził, rozległ się dzwonek drzwi wejściowych, do środka weszła dystygowana starsza pani. Subiekt błyskawicznie odwrócił się w stronę nowo przybyłej. – Lady Forsyth, jakże cudownie gościć panią w naszych skromnych progach – rzekł jowialnie, po czym zwrócił się do dziewczyn. – Panie wybaczą. Natan zajmij się naszymi drogimi klientkami – rzucił do chłopaka.

– Chcesz to kupić? Ten materiał musi kosztować fortunę – szepnęła Mildreth do Daphne, korzystając z faktu, iż przez chwilę pozostały same.

– Coś ty, nie mam tyle pieniędzy, ale może niedługo – wysłała tajemnicze spojrzenie. – Kto wie?

Chłopak wdrapał się na górę, ściągając belę materiału, po czym trzymając ją w rękach, zaprezentował usłudze.

– Bardzo ładny. Millie, co o tym sądzisz? Nadawałby się na płaszcz? – uniosła rąbek tkaniny na wysokość twarzy. – Pasuje do mnie?

– Jest cudowny, w sam raz dla ciebie.

– Też tak sądzę, a jaka jest pana opinia? – spojrzała na chłopaka.

– Ja... – nieśmiało uniośł głowę. – Myślę, że pięknie by pani w nim wyglądała.

– No, no, ale z pana fircyk – odparła z uśmiechem.

Poliki Natana stopiły się w jedność z rudymi włosami.

– Pewnie mówi, to pan każdej klientce? – dodała.

– Nie, nie, tylko pani – szybko zaprzeczył i zrozumiawszy nagle, co powiedział, opuścił wzrok, niekontrolowanie zmieniając kolor twarzy na szkarłatny.

Daphne puściła oczko do Mildreth.

– Cóż, jeszcze się zastanowię, ale na pewno wezmę pod uwagę pana opinię. Czy może mają państwo na składzie perfumy?

– Oczywiście – ożywił się chłopak. – Pozwolą panie ze mną – przeszedł za kontuar, aby zdjąć z półki małą buteleczkę. – Te są o zapachu róży – podał flakon, otwierając go.

– Piękny zapach – odparła Daphne, podsuwając Mildreth buteleczkę. – Powąchaj.

Dziewczyna delikatnie wciągnęła powietrze nosem.

– Śliczne – oznajmiła.

– A które są najdroższe? – ogarnęła spojrzeniem półki.

Natan odwrócił się, przesuwając palcem po etykietach.

– Te – rzekł, wyjmując korek ze szklanej szyjki. – Zapach orchidei i pomarańczy.

Dziewczyny pochyliły się równocześnie nad małą buteleczką i powiedziały chórem:

– Piękne.

Natan skwitował tę wypowiedź szerokim uśmiechem.

– Dziękujemy panu, musimy to przemyśleć – powiedziała Daphne, ciągnąc Mildreth za rękaw. – Do wiedzenia – posłała chłopakowi uśmiech.

Na zewnątrz wiatr wciąż grał pierwsze skrzypce.

– W tamtą stronę – zakomenderowała Daphne, zakładając kaptur, pochylając jednocześnie głowę, aby łatwiej przebić się przez ścianę śnieżnego pyłu. – Powiedz mi, jak to jest możliwe, że w którą stronę nie pójdziemy, zawsze idziemy pod wiatr?

– Nie wiem.

– A ja wiem i widzę tylko jedno rozwiązanie.

– Jakie?

– Musimy się wzbogacić.

– Nie rozumiem? Co to ma do rzeczy?

– Znasz takie powiedzenie „Biednemu zawsze wiatr wieje w oczy”?

– Słyszałam.

– Więc sama widzisz, pieniądze to jedyny sposób – podsumowała. Skręciły w wąską uliczkę, by po chwili wyłonić się obok małego kościółka.



– Już niedaleko, za tym rogiem – wystawiła rękę przed siebie.

Była to typowa kawiarenka jakich wiele. Większość stolików została już zajęta, ale Daphne udało się wypatrzyć jeden wolny, tuż przy ścianie. Szybko skierowała się w tamtą stronę, aby uprzedzić ewentualnych posiadających. Choć nie wyglądało na to, żeby ktoś miał zamiar ją ubiec.

– No i jak ci się podoba? – spytała, rozpinając płaszcz.

– Ładnie – odparła Mildreth. – Co to za miejsce?

– Można tu wypić kawę, mają czekoladę i ciastka.

– Fajnie i co teraz? – spytała, rozglądając się dookoła.

– Zaraz ktoś do nas podejdzie.

– Pewnie to wszystko drogie?

– Drożej niż na ulicy, ale przynajmniej nie wieje i jest ciepło.

– Często tu przychodzisz?

– Nie tak często jakbym chciała, ale to się niebawem zmieni – uniosła znacząco brwi.

– Jak to?

– Cóż, wystarczy znaleźć bogatego faceta i sprawa załatwiona.

– Hmm... no nie wiem.

– Zobacz ilu tu przystojniaków – machnęła głową w bok. – Tamten chyba nawet się na ciebie patrzył.

Mildreth spuściła wzrok, wpatrując się w coś na stole.

– Spójrz na niego – pociągnęła koleżankę za rękaw.

– Potem – szepnęła, zabierając dłoń.

– Nie masz się czego wstydzić. Jesteś młoda, ładna, więc jak się dobrze zakręcisz, szybko upolujesz jakiegoś kawalera.

– Proszę, uspokój się – nieśmiało uniosła wzrok.

– Panie sobie życzą? – spytała młoda dziewczyna przepasana fartuszkami.

– Poprosimy dwie kawy i sernik – odparła Daphne. Zaczekała, aż kelnerka odejdzie. – Musisz wykorzystać swoją szansę.

Mildreth spojrzała na swojego rzekomego adoratora. Już na pierwszy rzut oka było widać, że jedną z rzeczy, której nie robił w życiu, była praca.

– Myślisz, że taki chłopak mógłby się ze mną ożenić? – spytała.

– Głuptas z ciebie, a kto tu mówi o ożenku? Oczywiście, jeśli miałybyś dużo szczęścia, to czemu nie, ale wydaje się to mało prawdopodobne. Dlatego my musimy wykorzystywać inne atuty, których nie mają kobiety z ich sfer.

– Czyli co? – wyraźnie się zaciekawiała.

– Naszą przewagą jest to, że jesteśmy, kim jesteśmy.

– Nie rozumiem.

– Po prostu, cały czas przebywają w towarzystwie pięknie ubranych, bogatych kobiet. Kulturalnych z dobrymi manierami i z czasem mają tego dość. Chcą spróbować czegoś innego. Przecież nie można całe życie jeść bażantów i kawioru.

– Kawior jest okropny, raz troszkę spróbowałam, gdy zmywałam naczynia, jak oni mogą to w ogóle jeść.

– No właśnie o tym mówię. Wszystko w końcu może się znudzić, choćby nie wiadomo jakby było pyszne – popatrzyła koleżance w oczy. – Wiem, co mówię, sprawdziłam to na własnej skórze – uśmiechnęła się tajemniczo.

– Smacznego – powiedziała kelnerka, stawiając na stole zamówienie i oddaliła się bez zbędnych pytań.

– Chyba wolisz być obsługiwana, niż obsługiwać? – kontynuowała.

Mildreth uśmiechnęła się, potakując głową.

– No właśnie, dlatego, jeśli zainteresuje się tobą ktoś majątny, długo się nie zastanawiaj.

– Sama nie wiem, to chyba nie dla mnie.

– Na razie tak myślisz, ale z czasem zmienisz zdanie. Mówię ci, tylko abyś wykorzystywała nadarzające się okazje..., ja staram się tak robić – wypięła łyk kawy. – Na przykład ostatnio dostałam perfumy – powiedziała z dumą.

– Perfumy, od kogo?

– Hmm... od kogoś, kogo znasz.

– Od tego węglarza, o którym mówiłaś?

– Ha, ha – szczerze się zaśmiała. – Myślisz, że skąd on by miał na nie pieniądze? Przecież widziałaś, ile kosztują.

Mildreth przyjrzała się bacznie Daphne i jej oczy zrobiły się wielkie jak spodki, na których stały filiżanki.

– Ohh... od panicza?

– A co, boisz się, że zabiorę ci ukochanego?

– Kogo? On jest okropny, za żadne skarby bym za niego nie wyszła.

– A kto mówi o ślubie. Raczej myślałam o małych figlach. Przecież, to on napisał do ciebie list.

– Nawet tak nie mów, nie chcę mieć z nim nic wspólnego – żywo się oburzyła.

– Dobrze już dobrze, uspokój się. Nie chciałam cię zdenerwować – dotknęła jej dłoni.

– Wiesz, że on... – zrobiła głębszy wdech, zbierając się na odwagę. – Popchnął mnie na stół w kuchni, a potem próbował... no wiesz... szarpałam

się, ale nie miałam siły i wtedy, ktoś uderzył go patelnią w głowę i udało mi się uciec.

– Można się było tego po nim spodziewać. Biedactwo – powiedziała, głaszcząc dłoń koleżanki. –... kto go uderzył?

– Nie wiem.

– Nie widziałaś?

– Widziałam, ale nie wiem, kto to był?

– Jak to?

– Wydawało mi się, że to było dziecko?

– Dziecko? – powtórzyła jak echo. – Co za dziecko?

– Nie jestem pewna, ale chyba jakaś dziewczynka.

– Dziewczynka? – zawtórowała zdziwiona Daphne.

– Hmm... – mruknęła, wzruszając ramionami.

\*\*\*

... weźmy na ten przykład katedrę w Kolonii. Nie jest tak znana, jak paryska Notre-Dame, choć jest znacznie większa i piękniejsza niż jej francuska siostra. Same dzwonnice... – słowa płynęły z jego ust, lecz myślami błądził gdzie indziej. Znów widział przed sobą młodą Niemkę, jej blond niemal platynowe włosy, rozpościerające się na poduszce wkoło głowy i swoje dłonie. Dłonie zaciskające się na jej wiotczającej szyi. Ponownie poczuł to wspaniałe uczucie, gdy z każdą kolejną sekundą widział uchodzące z niej życie. Piękne błękitne oczy, patrzące na niego z wyrazem zdziwienia, który przerodził się w przerażenie, a następnie w rozpacz. Gdy w końcu uświadomiła sobie, że ostatnią rzeczą, jaką zobaczy na tym świecie, będzie jego pogrążona w nieziemskiej ekstazie twarz. Przymknął oczy, czując narastające podniecenie. – ... i dlatego jestem jej zwolennikiem.

Briar wpatrywała się w Garneta jak urzeczona. Nie starając się nawet na moment ukryć swego podziwu. Chłoneła jego słowa jak gąbka wodę.

– Pan naprawdę był we wszystkich tych miejscach? – nie mogąc usiedzieć w miejscu, krążyła po bibliotece, przesuwając bezmyślnie dłoń po obwolutach książek, ale jej wzrok skierowany był wyłącznie na siedzącego w fotelu Garneta.

– Opowiadam jedynie o tym, co widziałem na własne oczy.

– Pan jest taką fascynującą osobą, papcio widziałby mnie jedynie w domu wyszywającą monogramy na chusteczkach.

– Jestem przekonany, że wszystko, co wyjdzie spod tak ślicznych paluszków, jest prawdziwym dziełem sztuki.

– Jest pan niezmiernie miły – spłoniła się lekkim rumieńcem. – Ale ja pragnę czegoś więcej, chciałabym podróżować. Przeżywać przygody, poznawać świat nie tylko ze stron książek – okrążyła fotel, w którym siedział jej rozmówca, wodząc ręką po zagłówek. – Byłoby cudownie odkryć miejsce przez nikogo nieodnalezione i nazwać je swoim imieniem – zakręciła się na palcach jak mała dziewczynka. Sprawiając, iż suknia uniosła się delikatnie w górę, tworząc na sekundę mały klosz i usiadła w drugim fotelu. – Jak Pan myśli, czy góra Briar nie brzmiałaby romantycznie.

– Cóż, muszę przyznać, iż nazwa byłaby jak najbardziej stosowna – spojrzał na przysadziste kształty rozlewające się naprzeciwko niego. – Ale zazwyczaj nazwy biorą się od nazwiska odkrywcy.

– Miałabym nazwać szczyt, Górą Pricea? A któż by wiedział, iż chodzi o mnie? Na świecie jest wielu Price'ów, sama nasza rodzina, to kilkanaście osób, nie licząc kuzynów.

– Śmiem zauważyć, iż imię Briar nosi również wiele kobiet.

– Właśnie, kobiet – powiedziała zadowolona z siebie. – Taka nazwa od razu mówi, iż odkrycia dokonała kobieta, a jeśli góra nazywałaby się Górą Pricea, z pewnością większość osób odkrycie jej przypisałoby mężczyźnie. Niestety w społeczeństwie nadal panują pewne stereotypy, których przykładem jest mój papcio.

– Jestem pewien, że wszystko, co mówi i czyni pani ojciec, jest jedynie przejawem troski o pani osobę. Jak każdy rodziciel stara się zapewnić dziecku komfort i poczucie bezpieczeństwa.

– Zapewne jest w tym trochę racji, ale ja czasami czuję się jak bym była w klatce. Potrzebuję więcej swobody. Potrzebuję zrozumienia. Mężczyźni nie wiedzą, co czuję, od nich nikt nie oczekuje, że będą całymi dniami siedzieli w domu, zachwycając się prostym ścięciem na serwecie, ale pan jest inny – pochyliła się w stronę Garneta. – Ma pan otwarty umysł i wie, czym jest zamknięcie w czterech ścianach. Wie pan, czym jest swoboda i na pewno rozumie pan mój ból. Moje serce rwie się na wolność, chcę chłonąć świat pełną piersią. Chcę podróżować, chcę poznawać to, co znane i odkrywać to, czego jeszcze nikt nie widział.

– Muszę panią ostrzec, że takie podróże nie zawsze są przyjemnością. W większości składają się z piętrzących się trudności, a dodatkowo na samym końcu często czeka wielkie rozczarowanie.

– Jakże to możliwe? Jak mogłabym się rozczarować, widząc wreszcie coś, o czym śniłam przez całe życie? Jak mogę być zawiedziona, realizując

swe największe marzenia?

Garnet uśmiechnął się, patrząc na niczym niegasnący entuzjizm.

– Proszę mnie źle nie zrozumieć, ja nie próbuję pani w żaden sposób odwieść od dążenia do realizacji swych marzeń, ale nasza wyobraźnia to twór nieodgadniony. Czasami potrafi skonstruować obraz tak doskonały, że rzeczywistość nie jest w stanie jemu sprostać. Wielu nie mogło spać nocami, wyobrażając sobie piękno paryskich ulic, czy londyńskie meandry Tamizy, jednak na miejscu czekało na nich gorzkie rozczarowanie. Proszę mi wierzyć, między angielskimi a francuskimi ulicami nie ma większej różnicy. Jedne i drugie, to brudne trotuary oraz obdrapane mury. Jedyna odmiana to prośby o jałmużnę słyszane w innym języku. Dlatego niekiedy lepiej pozostać w kolorowym świecie wyobraźni, niż burzyć go szarym obrazem rzeczywistości.

Wpatrywała się w niego, chłonąc, każde słowo, jak kania poranne krople dżdżu.

– Czyżby papcio poprosił, by odwiódł mnie pan od prób poznania świata?

– Nic podobnego, po prostu chcę zaoszczędzić pani rozczarowań.

– Proszę się tego nie obawiać, spędziłam większość życia w domu rodzinnym i dla mnie nawet najczarniejsze ulice Paryża są kolorowsze niż feeria barw mojego pokoju. Więc żadną miarą nie widzę tu miejsca na rozczarowanie – uniosła się, aby podsunąć swój fotel bliżej Garneta. – A teraz proszę mi jeszcze opowiedzieć o Wenecji, niezmiernie interesują mnie te maski. Koniecznie muszę sobie taką sprawić.

– Wspominałem pani o placu św. Marka?

– Nie.

– Otóż pewnego razu spotkało mnie tam bardzo zabawne zdarzenie, podczas karnawału pewna kobieta... – ponownie jego myśli podążyły inną drogą niż słowa płynące z ust. Wspomnienie Wenecji otworzyło w jego głowie zamkniętą księgę. Francesca, bo tak miała na imię, leżała na marmurowej podłodze. Zimny kamień studził nagie, wciąż jeszcze ciepłe ciało. Garnet chwycił ją pod pachy, nie zważając na wykręconą w nienaturalny sposób głowę. Ciągnął ją poprzez korytarz, zostawiając na posadce czerwoną smugę krwi. Zatrzymał się przed drzwiami, uchylił je i wyjrzał na zewnątrz. Tak jak się tego spodziewał, kanał obmywający fundamenty domu był pusty. Wybrał ten budynek z jednego powodu, stał na skraju miasta, a jedno z wejść wychodziło na mało uczęszczany kanał. Wyciągnął ciało na zewnątrz i szybko przywiązał do nóg dziewczyny ciężki wypełniony kamieniami worek. Po czym wepchnął go do wody. Bezwładna Francesca w mgnieniu oka znalazła się pod powierzchnią, wciągnięta przez

zaimprovizowany balast, znacząc swoją obecność jedynie szeregiem pęcherzy powietrza, przebijających się ku górze przez ciemne, nocne wody Adriatyku. Wspomnienia te wydawały się tak realistyczne, że Garnet poruszył się niespokojnie w fotelu, czując napływającą falę podniecenia.

\*\*\*

Cwałował jak szalony, wyładowując napięcie na gniadym ogierze, co rusz poganiając go wściekle szpicrutą. Przed godziną prawie wybiegł z domu Price'ów, starając się całą siłą woli zapanować nad ogarniającą go żądzą. Teraz wiatr chłodził jego rozgrzaną głowę, smagając twarz lodowatymi igiełkami mrozu, dzięki czemu znów mógł zacząć trzeźwo myśleć. Zjechał z traktu, przecinając pokrytą śniegiem polanę, zmuszając konia do jeszcze większego wysiłku. Wreszcie ściągnął wodze, zatrzymując zwierzę na szczycie wzniesienia. Ogier parsknął, wypuszczając z pyska obłok gorącej pary. Garnet przekręcił się w siodle, aby spojrzeć na rozpościerające się w dole Blackwood.

Letnia posiadłość Griffith'sów przykryta śnieżną pierzyną, wyglądała jak pogrążona we śnie. Uniósł szpicrutę i uderzając nią w koński zad, pogalopował w dół. Zwolnił tuż przed podwórzem, aby uważnie przyjrzeć się obejściu. Nic nie wskazywało na to, aby ostatnimi czasy ktoś tutaj zaglądał. Zeskoczył z konia, otworzywszy wrota małej stajni, wprowadził do środka wierzchowca, przywiązał go do słupka, a następnie udał się na drugi koniec budynku. Rozgarnął nogą rozrzucone, pokrywające podłogę siano. Jego oczom ukazało się duże metalowe ogniwo, szarpnął je do góry, otwierając ukrytą w posadzce klapę. Zapalił leżącą na półce świecę i zszedł na dół. Powietrze było chłodne, śmierdzące stęchlizną. Ruszył korytarzem, z mroku wyskoczył jakiś szczur, przecinając mu drogę. Zamachnął się, próbując go kopnąć, lecz gryzoń zdążył czmychnąć do powstałej w pękniętym murze dziury. Garnet minął zbutwiałe drzwi, by zatrzymać się przed kolejnymi wyglądającymi na znacznie solidniejsze. Wyjął z kieszeni klucz, włożył go do zamka i przekręcił z łoskotem. Pchnął drewniane skrzydło, wchodząc do środka. Pomieszczenie było pogrążone w mroku, podszedł do stołu, aby umieścić świecę w stojącym na nim lichterzu. Coś zachrobotło, wyprzedzając o sekundę metaliczny odgłos łańcucha.

– Jasmine jesteś tu? – powiedział, patrząc w mrok. Odpowiedziała mu cisza. Spojrzał na podłogę. Przyczepiony do niej łańcuch był wyraźnie naprężony. Chwycił świecznik i ruszył wzdłuż szeregu metalowych ogniwi. Z ciemności wyłonił się skraj siennika, następnie zobaczył kobiecą nogę

oraz skuloną pod ścianą jej właścicielkę. – Nie bój się, to ja Garnet – przysunął głowę do świecy, aby oświetlić swoją twarz.

– To naprawdę ty? Jak dobrze – odetchnęła z ulgą, podciągając się w jego stronę. – Pomóż mi, ktoś mnie tu zamknął, nie mogę się wydostać. Zobacz, co mi zrobił – szarpnęła nogą, demonstrując okowy. – Zdejmij to i uciekajmy. Musimy się pospieszyć nie wiadomo, kiedy przyjdzie, to musi być jakiś szaleniec... – słowa płynęły z jej ust tak szybko, że niemal stopiły się w całość.

– Spokojnie, wszystko będzie dobrze – przytulił ją, głaszcząc po włosach.

Na chwilę się uspokoiła.

– Dobrze, że mnie znalazłeś – uniosła wzrok, wpatrując się w niego z wdzięcznością. Po czym przekręciła głowę, aby móc dojrzeć drzwi. – Przeszedłeś sam?

– Tak

– Zabierz mnie stąd. Pospiesz się – pochyliła się nad nogą, szarpiąc metal. – Nie wiem, jak to zdjąć. Pomóż mi.

– Próżny wysiłek, tak nic nie wskórasz, żeby zdjąć tę obejmę, potrzebny jest klucz – odparł, nawet nie drgnąwszy.

– Skąd możesz wiedzieć, przecież na nią nie spojrzalesz – pociągnęła ręką okowy.

– Wiem, bo sam ją zapinałem.

– Co? – zamarła.

– To mocne łańcuchy, mają kilkaset lat. Odkąd pamiętam, były tu wkute. Podobno kiedyś znajdowały się tu lochy. Dopiero mój dziadek wykorzystał je jako fundamenty, budując na nich stajnię. Potem przechowywał w nich wino, a teraz... proszę, historia lubi zataczać koło. Teraz znów mogą służyć do tego, do czego zostały przeznaczone.

Patrzyła się na niego, z każdą sekundą szerzej otwierając oczy.

– Wyglądasz na lekko zdziwioną, a przecież nie powinnaś.

W tym momencie poderwała się na nogi, skacząc wprost na swego oprawcę. Niestety dla niej, Garnet to przewidział, cofając się szybko o dwa kroki. Łańcuch napiął się, a ona wyładowała na kamienistej podłodze.

– Tss... – cmoknął głośno. – To było bardzo głupie. Przecież miałaś dość czasu, aby zmierzyć długość łańcucha. Nieprawdaż?

Podciągnęła się na klęczki.

– Co robisz? Wypuść mnie! Ratunku! – krzyknęła na całe gardło.

– O słodka Jasmine, to daremne. Nikt cię tu nie usłyszy, w promieniu kilku mil nie znajdziesz żywej duszy. Jesteśmy tu tylko my.

– Wypuść mnie, a obiecuję, że nic nikomu nie powiem.  
– Cóż..., jeśli tego nie uczynię, moja pewność będzie znacznie większa.  
Nie sądzisz?

– Tak? Chyba jednak coś przeoczyłeś, zanim mnie porwałeś, pytałeś się o mnie. Madame Rose mnie znajdzie, a wtedy popamiętasz – mówiąc to, prawie kąsała.

– Szczerze w to wątpię moja droga. Zresztą skąd przypuszczenie, że o ciebie rozpytywałem?

– Sam mi to powiedziałeś – rzekła z triumfem w głosie.

– Hm, a ty wierzysz we wszystko, co ci powiedzą? Jesteś strasznie naiwna jak na swoją profesję – pokiwał przecząco głową. – Myślisz, że jesteś niezastąpiona? Na twoje miejsce znajdzie się tuzin ładniejszych i bez wątpienia mądrzejszych.

Jasmine usiadła z powrotem na brudnym sienniku.

– Dziewczyny mówiły, że jesteś pokręcony, ale nie przypuszczałam, że aż tak..., przecież możemy się jakoś porozumieć – zmieniła strategię. – Zawsze istnieje jakieś rozwiązanie.

– W rzeczy samej.

– Więc czego ty właściwie ode mnie chcesz? – zmusiła się do grymasu twarzy, który miał przypominać uśmiech.

– Hmm... – odwzajemnił go. – W zasadzie nic takiego czego byś już nie robiła lub czego byś nie chciała zrobić. Myślę, że powinnaś być mi nawet wdzięczna, dzięki mnie rozwiniesz horyzonty, a w twoim zawodzie najważniejsza jest praktyka i otwartość na nowe doświadczenia.

– Jak sobie życzysz. Zdejmij mi tę bransoletkę, a pokażę ci rzeczy, jakie ci się nawet nie śniły.

– Hola, hola. Nie tak szybko. Najpierw musisz sobie na to zasłużyć. Powiedzmy, że będzie to nagrodą za dobrze sprawowanie – zbliżył się do dziewczyny. – Gdyby jednak przyszedł ci do głowy jakiś głupi pomysł, uprzedzę cię zawczasu, że klucz do tej biżuterii znajduje się w tamtej skrzyni – wskazał skryty w mroku, przeciwległy kąt pokoju. – A jak już zauważyłaś, łańcuch nie należy do zbyt długich – powoli zdjął płaszcz i rzucił na krzesło. – Zdejmij to z siebie.

Jasmine posłusznie wstała, rozpięła palto i upuściła je na ziemię.

– Kto był niegrzeczną dziewczynką? – spytał Garnet, podwijając rękawy.

– Ja – rozpoczęła dobrze jej znaną grę.

– Jak bardzo byłaś niegreczna?

– Byłam bardzo zła – odparła, opuszczając karnie głowę.



– Zatem zasłużyłaś na karę – obwieścił przez zaciśnięte zęby, uderzając ją jednocześnie pięścią w twarz. Upadła na siennik cudem nie tracąc przytomności. Garnet pochylił się, delikatnie klepiąc ją w policzek. – Tylko mi teraz nie mdlej, zabawa dopiero się zaczyna.

\*\*\*

Pokój spowijały coraz dłuższe cienie, gdy Magnus przebudził się z niespokojnego snu. Otworzył oczy i pierwszą rzeczą, która ujrzał był Knight. Nadal leżał w tej samej pozycji co poprzednio. Chłopiec wciąż owinięty kocem podniósł się z siennika, ostrożnie obszedł leżącego na podłodze mężczyznę, cały czas zachowując przy tym bezpieczny dystans. Jego uwagę przykuł znajomy wyraz twarzy. Znał go, aż za dobrze. Widział go wielokrotnie na ulicach miasta. W dodatku ta bladość. Zrobił krok do przodu, aby szturchnąć ciało czubkiem buta. Szturchnięcie nic nie dało. Wystawił rękę, dotknął nią szczeniastego policzka i szybko cofnął z powrotem. Skóra była twarda i zimna. Powtórzył czynność, lecz tym razem przytrzymał dłoń nieco dłużej, po czym opadł do tyłu, siadając na podłodze. Nie żyje – pomyślał, wlepiając oczy w ciało. – Dobrze mu tak, ma to, na co zasłużył. – Przygryzł wargę, zastanawiając się co robić. Śmierć Knighta rozwiązywała jeden wielki problem. Problem, który nazywał się Knight, ale również stwarzała całą masę innych, znacznie poważniejszych. – Skąd wezmę pieniądze? Nikt mnie nie weźmie na pomocnika, mnóstwo dzieciaków jest mniejszych ode mnie, a sam nie znajdę pracy kominiarza. Co będę jadł i gdzie spał? Jeśli właściciel dowie się, że Knight nie żyje, zapewne od razu wyrzuci mnie na ulicę, a przy takiej pogodzie... – na samą myśl lodowaty dreszcz przeszył jego ciało. – Nawet nie mam kurtki – podkulił nogi, obejmując kolana i załkał w pled nad swym losem.

Trwał w takiej pozycji przez kilka minut, zanim przetarł oczy pięścią i podszedł do sztywniejącego ciała. Przeszukał zwłoki, po chwili miał już w ręku kilka szylingów i trochę pensów, to znalezisko znacznie poprawiło mu humor. Po krótkim szamotaniu uwolnił Knighta z czarnego płaszcza, był ogromny, ale niezrażony założył go na siebie, ścisnął paskiem i podwinął rękawy. Wyrzwał przez okno, zbliżała się noc, a to oznaczało, że lepiej będzie, jeśli zostanie w domu, przez chwilę zastanawiał się, czy nie położyć się do łóżka. Wyglądało na znacznie wygodniejsze niż twardy siennik, ale perspektywa leżenia tuż obok martwego człowieka skutecznie odstręczyła go od tego pomysłu. Wrócił na swoje miejsce, przykrywając się kocem, wreszcie poczuł odrobinę przyjemnego ciepła. Teraz sytuacja wyglądała

znacznie lepiej niż kwadrans temu, wprawdzie nie znalazł rozwiązania wszystkich swoich problemów, ale przynajmniej zobaczył światełko w tunelu. Zasnął z nikłym uśmiechem na twarzy.

## XII

Chwycił za klamkę, aby otworzyć drzwi, ale w ostatniej chwili coś go powstrzymało, odwrócił się, żeby ostatni raz zerknąć na pokój. A jeśli nie daj boże, będę musiał tu wrócić – przemknęło mu przez myśl. Spojrzeć na leżącego obok łóżka martwego Knighta. – Jeśli go tak zostawię, ktoś może zajrzeć przez okno i zobaczyć ciało, a wtedy na pewno nie będę mógł się już tu pokazać. Chwycił zwłoki za nogi, już miał je pociągnąć, ale nagle zmienił zdanie. Buty, Magnus wciąż nosił dziurawe porozrywane buty, a obuwie, które właśnie trzymał w rękach, było o niebo lepsze od jego zużytych trepów. Niewiele się nad tym zastanawiając, oswobodził leżące ciało ze zbędnego ubioru. Zzuł swoje stare trepy i odkopał je w kąt izby. Nowe były o wiele za duże, ale za to szczelne oraz wolne od dziur, których nie brakowało w poprzedniej parze. Zadowolony z prezentu, który sobie sam sprawił, chwycił leżącego przed nim Knighta. Niestety okazał się zbyt ciężki, aby mógł go pociągnąć. Wyprostował się, myśląc, co robić, w końcu usiadł na podłodze i opierając buty o zwłoki, pchnął je nogami. Przesunęły się o parę cali. Zadowolony z efektu napał na nie ponownie. Po paru minutach wepchnął je pod łóżko. Szczęśliwy naciągnął czapkę na głowę i wyszedł na zewnątrz. Jednak zrobił zaledwie kilka kroków, omal nie przewracając się o poły płaszcza. Podciągnął materiał do góry, wciskając go pod pasek. Zadowolony z efektu pierwsze kroki skierował do przydrożnej jadłodajni. Kupił miskę zupy i przycupnął na niskim murku, rozkoszując się rozchodzącym po skostniałych dłoniach ciepłem. Zjadł strawę szybciej, niż zajęłoby jej wylanie na ziemię. Jak dobrze – pomyślał, rozglądając się po gwarnej ulicy.

\*\*\*

Garnet rozkoszował się wciąż świeżym wspomnieniem ostatniego wypadu do Blackwood. Nie zakończył swoich harców, tak jak lubił to czynić najbardziej, kiedy czuł na swojej twarzy ciepły oddech kochanki, z którym uchodziły resztki jej życia. Jednak wiedział, że będzie miał na to jeszcze dużo czasu, a póki co mógł raczyć się owocem przeznaczonym wyłącznie dla niego. Ta władza go podniecała, wywołując rozkosz na samą myśl o tym, iż gdzieś tam czeka na niego ktoś, kto mimo tego, iż się go boi i

życzy mu wszystkiego najgorszego – zapewne łącznie ze śmiercią –, jednocześnie nie może, doczekać się jego powrotu. Gdyż wie, że w przeciwnym razie szcześnie w loszku z pragnienia i głodu. To podniecenie wzmogło w nim pożądanie. Pożądanie, które mógł szybko zaspokoić. Wystarczyło jedynie spełnić obietnicę. Obietnicę, którą dał tej głupiej służącej, a której dotąd nie udało mu się dotrzymać. Wybrał się na poszukiwania, które ku jego zadowoleniu trwały raptem kilka sekund. Wychodząc z pokoju, prawie wpadł na swoją zwierzynę. Mildreth nieświadomie minęła go, niosąc przed sobą kłębowisko brudnej pościeli.

– Zaczekaj skarbie – powiedział, jak mu się wydawało namiętnym głosem.

Dziewczyna zatrzymała się i widząc stojącego obok panicza, odruchowo odgrodziła się od niego naręczem brudnego prania.

– Dzień dobry – pochyliła się w delikatnym ukłonie.

– A to się jeszcze okaże – odparł tajemniczo, świdrując ją wzrokiem. – Ale nie powiem, zaczyna się całkiem obiecująco. Bo czyż to nie jest dobry znak, gdy myślę o tobie, otwieram drzwi i w jednej chwili się spotykamy? Wystarczyło wyjść z pokoju. Czyżbyś na mnie czekała?

– Hmm... przepraszam, ale muszę zanieść pościel...

– To się dobrze składa, bo akurat trzeba wymienić poszwy na moim łóżku.

Przygryzła wargę, rozglądając się na boki.

– Dobrze, tylko najpierw zaniosę na dół...

– Ależ, po co masz się tak kłopotać, skoro możesz zabrać wszystko za jednym razem.

– Hmm... tak, ale panna Bennett, będzie bardzo niezadowolona, jeśli zaraz tego nie upiorę – powiedziała nerwowo, nieświadomie cofając się o krok.

– Panna Bennett na pewno zgodzi się ze mną, że dobra organizacja jest w pracy najważniejsza, gdyż pozwala zwiększyć jej efektywność. W dodatku są pewne sprawy, których nie udało nam się dokończyć. Nieprawdaż? – zbliżył się do dziewczyny.

– Ja...

– Nie bądź taka święta – chwycił ją za rękę, przyciągając ku sobie.

– Proszę mnie puścić, mam pracę...

– Wreszcie się w czymś zgadzamy – wszedł do pokoju, ciągnąc ją za sobą. – Masz obowiązki, które musisz wykonać. Raz ci się udało, ale drugi raz nie będziesz miała tyle szczęścia – zatrzymał się, posyłając służącej

szeroki uśmiech. – A może jednak to będzie twój najszczęśliwszy dzień. Jak sądzisz?

Poczuła jak krew, zaczyna wartko krążyć w jej żyłach, a oddech staje się coraz szybszy i płytszy.

– Niech mnie pan zostawi.

– Oczywiście, ale najpierw wywiązesz się ze swoich obowiązków, a jednym z nich jest zaspokajanie moich potrzeb, jako mieszkańca tego domu. Chyba dobrze się rozumiemy? – uniósł rękę, aby zamknąć drzwi.

Mildreth wykorzystała lekkie zwolnienie uścisku. Wyszła i rzuciła w Garneta zwałem pościeli, nakrywając mu głowę brudną poszwą.

– Ty mała... – słowa uwięzły pod stertą bawełny. Zrzucił pranie na ziemię, akurat by zobaczyć wybiegającą z pokoju dziewczynę. Zrobił krok, ale stopa zaplątała się w poszwę, zaklął pod nosem.

Mildreth w panice pobiegła korytarzem, nie zauważając, że właśnie udała się w jego ślepy koniec. Stała zrozpaczona, uświadamiając sobie, iż nie ma dokąd uciec. Chciała się cofnąć, lecz powstrzymała ją świadomość, że na pewno wpadnie na Garneta. Rozejrzała się nerwowo, szukając wyjścia z sytuacji i wtedy ją zobaczyła. Stała kilka stóp dalej kiwając palcem w jej stronę. To była ta sama dziewczynka, którą widziała wcześniej na korytarzu i ta sama, która uratowała ją z opresji parę dni temu.

– Kim jesteś? – spytała, czując przechodzący jej po plecach zimny dreszcz.

– Nie teraz. Chodź, nie ma czasu – wysunęła rękę w jej stronę.

Mildreth wahała się jedynie przez sekundę, gdyż w tym momencie usłyszała zbliżające się w jej kierunku szybkie kroki, to pomogło podjąć jej decyzję. Nie tracąc czasu, ruszyła za małą blondynką. Dziewczynka otworzyła drzwi do znajdującego się nieopodal pokoju, weszła do środka, a następnie cofnęła się, wychodząc na korytarz.

– Złap mnie za rękę – wystawiła dłoń.

– Ale...

– Szybko, pospiesz się – nie czekając na to, co robi Mildreth, chwyciła ją za rękaw i pociągnęła za sobą do pokoju.

Garnet wyszedł zza rogu w momencie, gdy Mildreth przekraczał próg pokoju.

– Widzę cię – obwieścił z triumfem. – Przede mną się nie ukryjesz – podszedł do otwartych drzwi. Stając w progu, powiódł wzrokiem po pomieszczeniu, delektując się rolą łowcy. Pokój wyglądał tak, jak go zapamiętał, gdy był tu przed laty. Nadal stały w nim te same zabawki, ustawione na tych samych meblach, nielicznie przykrytych białymi

prześcieradłami i warstwą kurzu. Kryjówek było kilka, ale nie znowu tak wiele, żeby miał mieć kłopoty z odnalezieniem swojego zbiega. Uderzył butem w drzwi, aby upewnić się, że nikt za nimi nie stoi. – No wychodź i tak cię znajdę. Chyba że takie gierki cię kręcą – podszedł do łóżka i błyskawicznym ruchem poderwał zwisającą z niego narzutę, aby pod nie zajrzeć. Jedyne co znalazł to pusty talerz. Zdziwiony zlustrował pokój, jedynym miejscem, gdzie mógłby się ktoś ukryć, pozostała szafa. – Tu się schowałaś gołąbeczko. Skąd wiedziałaś, że takie zabawy mnie podniecają – chwycił klamki, otwierając równocześnie oba skrzydła drzwi. Znalazł w niej trochę ubrań, ale nie Mildreth. Odwrócił głowę, skupiając wzrok na zasłonkach, zrobił dwa kroki w bok. – Mam cię – obwieścił, odsuwając na bok story. Ujrzał kawałek ściany i okno – Gdzie jesteś i tak cię znajdę – stanął zdziwiony, nie wiedząc, co robić dalej. Problem polegał na tym, że oprócz niego w pokoju nie było nikogo i w tej chwili był tego pewien. – Przecież to niemożliwe – sapnął do siebie, krążąc po pokoju jak rozjuszony byk. – Widziałem, jak tu wchodzisz, musisz tu być – spojrzał na okno, ale tak jak przypuszczał, było zamknięte od wewnątrz. – Przecież to niemożliwe – uderzył pięścią w parapet.

– Co ty tu robisz?

Usłyszał ostry głos dochodzący z za jego pleców, odwrócił się czerwony ze złości.

– Czego mi... – przerwał w pół zdania, widząc stojącą w progu matkę.

– Pytałam się, co tutaj robisz? – powtórzyła Clementine gniewnym tonem.

– Ja..., chciałem tylko...

– Chyba znasz zasady dotyczące tego pokoju?

– Tak.

– Więc może mi je przypomnisz?

– Nikt nie może do niego wchodzić, chyba że...

– Właśnie, nikt – uniosła palec do góry. – Ale widzę, że ty masz je za nic – rzuciła mu wściekłe spojrzenie.

– Przepraszam – odparł karnie jak małe dziecko srogo złajane przez nauczyciela.

– Jak w ogóle tu wszedłeś? Skąd miałeś klucz?

– Drzwi były otwarte.

– Otwarte? – spytała z niedowierzaniem.

– Tak – uczeplił się tego, jak koła ratunkowego. – Dlatego wiedząc, że nikt nie może tu wchodzić, zajrzałem do środka, aby sprawdzić, kto to zrobił.

– I?

– W środku nie było nikogo – stanął obok matki, aby precyzyjnie się na korytarz. – Wiem, że nikt nie powinien tu wchodzić, dlatego chciałem się dowiedzieć, kto złamał ten zakaz. W przeciwnym razie nie śmiałybym tu wejść. Przecież wiem, jak ci na tym zależy – uśmiechnął się przeprasząco, całując matkę w policzek. Po czym wyślizgnął się na zewnątrz.

Clementine zmarszczyła brew, rozglądając się przez jakiś czas po pokoju, w końcu zdecydowała się wejść do środka. Podeszła do szafy, przesunęła ręką po ubraniach, bawiąc się materiałem, następnie z pietyzmem zamknęła drzwi. Ponownie zlustrowała pomieszczenie, szukając jakiejś anomalii zakłócającej przyjęty porządek. Dostrzegłszy wywiniętą zasłonę, poprawiła ją i wyszła, zamykając drzwi na klucz. Nacisnęła kilkakrotnie klamkę, aby upewnić się, że zostały dobrze zamknięte. Wróciła do sypialni, nalała sobie znaczną porcję whisky. Uniosła szklankę, poruszając nią delikatnie, aż złocisty płyn zaczął obmywać ścianki naczynia. Dziwne, jakim cudem drzwi były otwarte – pomyślała, bawiąc się szklanką. – Przecież nikt poza mną nie ma do nich klucza..., a może jednak ma go ktoś jeszcze? Tylko kto? – patrzyła w zamyszeniu na wirujący płyn, następnie wlała go jednym ruchem do gardła.

\*\*\*

Mildreth nadal nie mogła uwierzyć w to, co się przed chwilą wydarzyło. To, co się stało było tak nie realne, iż jedynym wytłumaczeniem mógł być sen. Tylko że nie śniła, tego akurat była pewna, ale czym innym można było to wytłumaczyć, jeśli nie snem. Stała w pokoju, wyglądał jak zwykły pokój z tą różnicą, że wszędzie widziała zabawki: lalki, misie oraz pięknego konia na biegunach. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt jak się w nim znalazła. Nie chodziło o to, że przeszła przez drzwi, ale jak przez nie przeszła. Ręka dziewczynki wciągnęła ją we mgłę, która znajdowała się na progu i na nim kończyła. Mgłę tak gęstą, iż wyglądała jak bielona ściana, jednak w strukturze i dotyku przywodziła na myśl wodę. Miało się wrażenie, że zanurza się w stojącej pionowo wannie. Co dziwne, po przejściu przez nią ubranie nie miało na sobie ani kropli wilgoci. Mildreth wiedziała, że zaraz za nią, do pokoju powinien wbiec Garnet, lecz mijały sekundy, a on nie nadchodził. Odwróciła się, aby mieć przed sobą otwarte drzwi. Nic. Cisza. Widziała jedynie pusty korytarz, z którego tu przyszła. Spojrzała pytającym wzrokiem na stojącą obok niej długowłosą blondynkę.

- Jesteś tu bezpieczna – powiedziała dziewczynka, siadając na łóżku.
- Ale przecież, on zaraz może...

– Nie bój się, on tu nie przyjdzie – odparła, machając nogami.

Mildreth podeszła do drzwi i ostrożnie wyjrzała na korytarz. Był pusty. Znacznie spokojniejsza odwróciła się do dziewczynki.

– Kim jesteś? – spytała.

– Abigail – powiedziała, jakby to była najoczywistsza rzecz pod słońcem.

– Ładne imię, ale co tu robisz?

– Mieszkam, to mój pokój – odparła, wciąż machając nogami.

– Myślałam, że znam wszystkich mieszkańców.

Dziewczynka pozostawiła to bez odpowiedzi, wesoło się uśmiechając.

– Dziękuję ci za pomoc, ale muszę wracać do pracy panna Bennett, na pewno zaraz tu przyjdzie.

– Nie przyjdzie.

Tym razem Mildreth pozostawiła to stwierdzenie bez odpowiedzi.

– Do zobaczenia – machnęła ręką, wychodząc.

– Niedługo – dodała dziewczynka pod nosem, kładąc się na pościeli.

Szła korytarzem, starając się nie robić hałasu. Wszystko wskazywało na to, że Garnet zajął się czymś innym i na razie będzie miała z nim spokój. Nie wiedziała na jak długo, ale każda chwila bez niego, była jak tchnienie świeżego powietrza wpadającego do zatechłej izby. Drzwi do pokoju prześladowcy stały otworem, pozostało jedynie zabrać brudną pościel do pralni, ostrożnie zajrzała do środka, ale ku jej zdziwieniu na podłodze nie znalazła ani śladu poszwy. Może ją schował i teraz czeka, aż po nią wróce. O nie, nie dam się na to nabrać – pomyślała, cofając się do schodów. – Poproszę Daphne, może ona po nią przyjdzie – zadowolona ze swego planu, zeszła na dół. Przemknęła szybko do pralni.

– Daphne czy... – przerwała w pół zdania, pomieszczenie było puste. Odwróciła się na pięcie i ruszyła do kuchni. – Pani Moore... – nie dokończyła, w kuchni również nikogo nie zastała. – Hmm... – zmarszczyła brew, już miała wychodzić, gdy nagle coś ją uderzyło. Nie czuła żadnych zapachów, zupełnie nic. Pociągnęła nosem. Jak to możliwe przecież o tej porze Hortense szykowała już obiad. Weszła do środka, kuchnia lśniła czystością, wszystko stało na swoich miejscach, jakby nikt z niej nie korzystał. To niemożliwe – przemknęło jej przez głowę. Weszła do salonu, tak jak w kuchni panował tu nienaganny porządek oraz spokój... i wtedy to do niej dotarło. W całym domu rozpościerała swe skrzydła cisza, tak dojmująca, że aż bolesna. Sprawdziła resztę znajdujących się na parterze pomieszczeń. Już nie starała się chodzić cicho, aby nie zakłócić domownikom spokoju. Przemierzała dom w coraz większym tempie. Prawie biegnąc, pokonała schody. – Daphne! Pani Moore! Panno Bennett! –



krzyczała na wszystkie strony, wpadając coraz to do innego pomieszczenia. Przez chwilę pragnęła zobaczyć nawet podłą gębę Garneta, ale nic z tego, w domu nie było żywej duszy. Wbiegła na najwyższe piętro, przetrząsając po drodze pokoje. Wreszcie zdyszana stanęła jak oniemiała. Gdzie się wszyscy podziali – myślała, rozglądając się wkoło i wtedy przypomniała sobie o Abigail. – Dziewczynka, zaraz, przecież tam była dziewczynka – zbiegła na pierwsze piętro, pokonując po kilka stopni naraz. Po chwili wbiegła do pokoju, który opuściła zaledwie kilka minut temu.

- Wiedziałam, że wrócisz – powiedziała Abigail.
- Co się stało? Gdzie są wszyscy? – rzuciła jednym tchem Mildreth. Blondynka podciągnęła nogi, sadowiąc się wygodniej na pościeli.
- Tam gdzie zawsze.
- Co ty wygadujesz, dom jest pusty.
- Wiem. Pomyślałam, że będzie lepiej, jeśli sama się o tym przekonasz, inaczej ciężko byłoby ci uwierzyć.
- Uwierzyć, w co? O czym ty mówisz? Gdzie się wszyscy podziali?
- Nigdzie..., bo nigdy ich tu nie było.

\*\*\*

Od kilku godzin włóczył się bez celu po ulicach miasta, wędrówka zaprowadziła go nad rzekę. Podniósł leżący obok kamień, zważył go w ręku i posłał w szarą toń, wciąż rozmyślając o swoim obecnym położeniu. Śmierć Knighta uwalniała go od tego prymitywa, lecz poza odzyskanymi pieniędzmi nie oferowała zupełnie nic. Mógł jeszcze parę dni pomieszkać w towarzystwie jego zwłok, dopóki nie pojawi się zarządca po należny mu czynsz. Jednak rozsądek podpowiadał mu, aby opuścić lokal znacznie wcześniej, nie narażając się na kłopotliwe pytania. Wiedział, że martwy Knight nikogo nie obejdzie, takich jak on było wielu. Właściciel prawdopodobnie wyrzuci zwłoki gdzieś na ulicę, rozwiązując w ten sposób swój problem. Najmie mieszkanie komuś innemu, a on znowu wyląduje na ulicy. W zasadzie spędził na niej większość życia, więc myśl ta nie bardzo go przerażała. Jednakowoż jego obecne posłanie, choć składało się jedynie ze starego wypsiałego siennika, było znacznie lepsze niż lodowata ziemia w jakimś wilgotnym załomie murów. Co by nie mówić, to zawsze dach nad głową i ściany chroniące go przed deszczem oraz wiatrem. Wprawdzie pieniądze, które zabrał, pozwoliłyby mu na opłacenie przez jakiś czas suchego kąta, lecz w ten sposób ujawniłby, że ma kilka szylingów i jest

wielce prawdopodobne, iż następnego dnia byłby już bez grosza, a jeśli zachowałyby życie, mógłby uważać się za szczęściarza.

Podniósł kolejny kamień i posłał go w ślad za pierwszym. Wylądował z pluskiem, wzbijając mały pióropusz wody. Patrzył na rozchodzące się kręgi szybko zmyte przez rzeczny nurt. Nagle obok coś plusnęło, podskoczyło na wodzie, odbiło się kilkukrotnie i zanurzyło pod powierzchnię. Po chwili coś małego wykonało kolejne skoki po tafli wody. Spojrzał w bok, jakiś mężczyzna odgarniał ręką kamienie, w końcu wybrał jeden, który najwidoczniej spełniał jego oczekiwania, rzucił go i kamień rozpoczął taniec na falach.

– Przepraszam psze pana – skłonił się Magnus, zdejmując czapkę z głowy. – Jak pan to robi?

Dystyngowany mężczyzna uśmiechnął się dobrotliwie.

– Chodź, pokażę ci – zachęcił kiwnięciem dłoni odzianej w czarną skórzaną rękawiczkę. Począł, aż chłopiec podejdzie i kontynuował. – Przede wszystkim musisz młodzieńcze wybrać odpowiedni kamień, najlepsze są otoczaki – pochylił się, wybierając jeden z wielu. – Im jest bardziej płaski, tym lepszy, musisz też baczyć, by nie był zbyt ciężki, a potem go rzucasz tuż nad powierzchnią wody – zamachnął się, wypuszczając go w stronę rzeki. – Ot i cała filozofia. Spróbuj.

Magnus wykonał wszystkie wskazówki, po chwili jego otoczek odbił się kilkukrotnie od powierzchni wody.

– Udało się! – zawołał zadowolony z siebie.

– Bystry z ciebie chłopak, mało komu udaje się to za pierwszym razem.

– Dziękuję psze pana – odparł szczęśliwy.

Mężczyzna oparł się na lasce, gładząc dłonią jej srebrną główkę, przypominającą łeb jakiegoś zwierzęcia.

– Przydałby mi się taki zręczny młodzieniec – począł, aż Magnus odwróci się w jego stronę. – Jeśli chciałbyś zarobić parę szylingów, to mam dla ciebie zajęcie.

– Tak psze pana. Mogę zrobić wszystko.

– O..., nie będzie takiej potrzeby, mam dla ciebie jedno konkretne zadanie. Myślę, że wywiązesz się z niego znakomicie – odwrócił się, odszedł parę kroków i skinął delikatnie dłonią. – Na co czekasz? – powiedział, nie patrząc za siebie.

Magnus dogonił jegomościa, zrównując z nim krok. Weszli na niską ciągnącą się wzdłuż rzeki skarpe. Mężczyzna otworzył drzwi czarnego powozu.

– Pozwolisz – wskazał dłonią wewnątrz tapicerowane czerwonym aksamitem.

Chłopiec szybko wskoczył do środka, mężczyzna zdjął cylinder, sadowiąc się obok małego pasażera, następnie uderzył laską w drzwiczki, sprawiając, że powóz odjechał.

\*\*\*

Mildreth cały czas wpatrując się w dziewczynkę, usiadła na łóżku.

– Nie musisz się niczego obawiać. Jesteśmy tu same, nikt nas tu nie znajdzie – powiedziała Abigail.

– Jak to same? Przecież mieszka tu mnóstwo osób tylko... – przerwała, nad czymś się zastanawiając. – Tylko gdzie wyszli i...

– Oni nigdzie nie wyszli, tu ich nie ma, ale są tam gdzie byli.

– Nic z tego nie rozumiem.

– Ja na początku też tego nie rozumiałam – uśmiechnęła się delikatnie. – Chciałam ci pomóc, dlatego cię tu zabrałam. Znam Garneta, wiem, jaki potrafi być okrutny. Widziałam, co chciał ci uczynić i dlatego musiałam mu przeszkodzić. Gdybym tego nie zrobiła, mógłby..., tak jak wtedy w kuchni, on jest zdolny do wszystkiego.

– Ach... więc to byłaś ty... i wtedy na korytarzu...

– To też ja, nawet nie wiesz ile przyjemności, sprawiło mi kopnięcie go w klejnoty. Bardzo długo czekałam na taką okazję – zadowolona przysunęła się bliżej Mildreth. – Musiałam ci pomóc. Ostrzegałam cię, żebyś uważała, ale nie zareagowałaś.

– Mnie?

– Zostawiałam ci list w pokoju.

– List? Myślałam, że to list miłosny – widząc zdziwienie na twarzy dziewczynki, oblała się rumieńcem.

– Miłosny? Przecież napisałam tam, żebyś uciekała z tego domu.

– Ale... – spuściła wzrok. – Ja nie umiem czytać.

– Och, przepraszam, nie pomyślałam – złapała ją za rękę i po chwili radośnie dodała. – Ale dzięki temu możemy być teraz przyjaciółkami. Chciałabyś?

– Tak, tylko muszę już iść, panna Bennett będzie... – zawiesiła głos. – Ale nadal nic z tego nie rozumiem. Gdzie się wszyscy podziali?

– Hmm..., pamiętasz, jak chwyciłam cię za rękaw, wciągając do pokoju? Odpowiedzią było skiniecie głowy.

– Wtedy weszliśmy do pokoju, ale nie do tego, który był za drzwiami – widząc zmarszczone brwi Mildreth kontynuowała. – Jesteśmy teraz w tym samym pomieszczeniu, ale jednak innym. Nie potrafię tego dobrze wytłumaczyć, ale wiem, jak to działa, aby się tu znaleźć, musisz przejść przez specjalne drzwi, wyglądają jak mgła, ale nią nie są.

– Nie oszukasz mnie, przecież to jest niemożliwe – poderwała się z łóżka.

– Nie wiem, kim jesteś, ale chyba nie sądzisz, że uwierzę w takie bzdury?

– Nic nie zmyśliłam, przecież sama wszystko widziałaś – złapała ją za rękę, pociągając z powrotem na łóżko. – Przypomnij sobie.

– Tak... wiem, ale... to takie niewiarygodne... wydawało mi się, jakbym zanurzała się w wodzie, a potem...

– Właśnie. Rozumiem, że trudno w to uwierzyć, ale przecież sama to widziałaś... przejście przez mgłę, to jedyny sposób, aby się tu dostać i dlatego jesteś tu bezpieczna.

– Ale przecież Garnet szedł za nami, więc dlaczego go tu nie ma?

– Bo najpierw te drzwi trzeba otworzyć, a żeby to zrobić, musisz wiedzieć jak, a przede wszystkim trzeba wiedzieć o ich istnieniu, a on nie ma o nich pojęcia. Tak jak ty tego nie wiedziałaś.

– To niesamowite, myślałam, że takie rzeczy dzieją się tylko w bajkach, a to... – wzruszając ramionami, wskazała ręką wejście do pokoju. – Jak to jest możliwe?

– Nie wiem, po prostu jest.

– Ale, przecież..., skądś musiałaś się o nich dowiedzieć?

– Tak samo, jak ty, kiedyś też mnie ktoś tu przyprowadził... – złapała Mildreth za dłoń, patrząc głęboko w jej oczy. – Tylko pamiętaj, nie możesz o tym nikomu powiedzieć. Jeśli byś to zrobiła, wtedy to miejsce nie byłoby już bezpieczne. Wtedy każdy mógłby tu wejść, łącznie z Garnetem.

– Nikomu nie powiem.

– Przysięgniesz, z ręką na sercu?

Mildreth położyła wolną dłoń na piersi.

– Przysięgam na wszystko, co kocham, że nikomu nie zdradzę tej tajemnicy.

Dziewczynka jeszcze przez chwilę z pełną powagą patrzyła Mildreth w oczy, nagle na jej twarzy zagościł szeroki uśmiech.

– Wiesz, jak chcesz, możesz zawsze tu przyjść..., mogłybyśmy zostać przyjaciółkami, byłoby fajnie – powiedziała z nadzieją w głosie.

– Dobrze – odparła, wstając. – Ale wolę już iść, nie chciałabym stracić pracy – podeszła do drzwi przyglądając się futrynie. – Co mam zrobić?

– To proste – Abigail zerwała się z łóżka. – Wystarczy przejść przez próg, a potem się cofnąć i przekroczyć go ponownie – uczyniła to i nagle ościeżnica wypełniła się gęstą mgłą. – Oczywiście, jak będziesz przechodziła, musisz...

– Dzięki. Do zobaczenia – odparła Mildreth, zanurzając się w płynnych oparach. Wybiegła na znajomy korytarz. Spojrzała na drzwi za sobą, były zamknięte. Nacisnęła klamkę, ale zamek zignorował jej wysiłek. Niesamowite – pomyślała, zbiegając na dół.

W pralni Daphne zmagala się z ogromną poszwą, mozolnie przesuując ją po tarze.

– No, wreszcie jesteś – stęknęła, podnosząc mokre pranie do góry. – Gdzie się podziewałaś? Panna Bennett wszędzie cię szuka.

– Na górze, zmieniałam pościel.

Daphne popatrzyła na nią z powątpiewaniem.

– I gdzie ona jest? – spytała.

– Co?

– Gdzie jest pościel?

– Ja..., zostawiłam ją u panicza.

– Wiem, Brittanica kazała mi ją przynieść, właśnie kończą ją prać.

– Tak szybko? – zdziwiła się.

– Chyba żartujesz – ścisnęła poszwę, sprawiając, iż strumień wody chlusnął do bali. – Męczę się z tym ponad godzinę.

– Ale mnie nie było tylko chwilę.

– Chwilę? – fuknęła. – Jeśli dwie godziny nazywasz chwilą, to niech tak będzie, a teraz łap za drugi koniec sama tego nie wyźmę.

Mildreth chwyciła pranie, mocno je skręcając.

– Naprawdę, ciebie bym nie okłamała.

– Kochana, wiem, co mówię. Bennett kazała mi przeszukać cały dom i jak widać, nie udało mi się ciebie znaleźć. Zresztą spójrz na to – kiwnęła głową na wystającą z kosza stertę mokrej pościeli. – Zapewniam cię, że samo się nie uprało – skręciła mocno poszwę. – A teraz mów gdzie byłaś i lepiej wymyśl jakąś historyjkę dla Bennett, bo chodzi wściekła jak bąk, nie chciałabym być w twojej skórze.

– No więc..., zbierałam brudną bieliznę, gdy zaczepił mnie Garnet. Wiesz, on jest...

– Wiem, wiem – uśmiechnęła się dwuznacznie.

– Jesteś okropna, przecież mówiłam ci, że go nie znoszę, jest obleśny...

– Tak, tak, to też wiem – zbyła koleżankę. – Mów co było dalej.

– Wciągnął mnie do swojego pokoju – rozprostowały poszwę, strzepując z niej resztki wody. – A potem przyciągnął do siebie.

– Aha..., robi się coraz ciekawiej – przygryzła dolną wargę.

Mildreth głośno westchnęła, udając, że nie słyszała ostatniego komentarza.

– Chciał zamknąć drzwi i wtedy udało mi się wyrwać. Pobiegł za mną, myślałam, że mnie dogoni, ale wtedy zobaczyłam tę dziewczynkę, o której ci mówiłam.

– Tę z kuchni?

– Tak, nazywa się Abigail.

– I co? – ton głosu Daphne wyraźnie się zmienił. Dało się w nim wyczuć lekką nutę ostrożności.

– Pomogła mi się schować, gdyby nie ona, nie wiem, co bym zrobiła.

– Schować, gdzie?

– Weszłam do... – w ostatniej chwili ugryzła się w język. O mały włos bym wszystko wygadała – pomyślała i po namyśle dodała. – Schowałam się u niej w pokoju.

Daphne zastygła w bezruchu.

– Przecież wiesz, że nie mieszka tu żadna dziewczynka, wiedziałabym o tym.

– Ależ widziałam ją, ma pokój na piętrze.

– Mówisz o pokoju, na końcu korytarza?

– Dokładnie, ten co jest zamknięty.

– Mildreth, ten pokój jest zamknięty, ponieważ to był pokój córki madame Clementine.

– No właśnie, teraz wiem, czemu mówiła mi, że tu mieszka. Pewnie niedawno przyjechała tak jak Garnet i dlatego jej nie widziałyśmy – odparła zadowolona.

Daphne położyła dłoń na ramieniu koleżanki.

– Źle mnie zrozumiałaś. Mówiąc, że to był jej pokój, chciałam powiedzieć, że już tu nie mieszka...

– No tak, ale teraz wróciła.

– Nie mieszka tu... – ścisnęła Mildreth za ramię. – Bo nie żyje.

– Co ty mówisz, przecież z nią rozmawiałam?

– Millie, nie chcę nawet sobie wyobrazić, z kim rozmawiałaś, ale na pewno nie z córką madame Clementine. Na samą myśl o tym przechodzą mnie ciarki – mimowolnie się wzdrygnęła.

Mildreth w milczeniu wpatrywała się w twarz Daphne, wreszcie wydusiła z siebie:

- Myślisz, że to był... duch?
- Ja nawet nie chcę o tym myśleć.

\*\*\*

Słońce właśnie osiągnęło zenit, gdy Walter, lawirując wśród przechodniów, zbliżał się do domu Samuela. Wciąż nie dawało mu spokoju dziwne zachowanie lekarza. Oczywiście, zawsze istniała możliwość, że wtedy na ulicy zwyczajnie się pomylił, krzycząc do zupełnie obcej osoby. Tylko że to nie tłumaczyło, dlaczego tamten człowiek uciekał, jakby zobaczył diabła. Pograżony w myślach stanął przed znajomymi drzwiami i uderzył w nie dwukrotnie kołatką.

- Słucham? – spytał służący zza pół przymkniętych drzwi.
  - Jestem umówiony z doktorem Grayem.
  - Doktora nie ma.
  - Nie ma? Czyżbym przybył za wcześnie? – zmarszczył brew, wydając zegarek z dewizką. Otworzył go, aby zerknąć na wolno kroczące wskazówki. – Czy zostawił dla mnie jakąś wiadomość?
  - Nic mi o tym nie wiadomo.
  - Kiedy będę mógł go zastać?
  - W tej chwili jest nieosiągalny.
  - Czyżby gdzieś wyjechał?
- Służący zmierzył go wzrokiem, jakby zastanawiał się nad odpowiedzią.
- Tak – odparł kamiennym głosem, powoli zamykając drzwi.
- Walter już miał odejść, gdy jego uwagę przykuła ręka mężczyzny zwisająca bezwładnie na temblaku.
- Co ci się stało?
  - To pan nie wie?
  - A niby skąd miałbym to wiedzieć?
  - Raczy pan żartować – po tych słowach rozległ się odgłos zamykanego zamka.

Griffith stał przez chwilę, patrząc jak zahipnotyzowany, na rozbujaną kołatkę, dezorientowany wzruszył ramionami, sięgając w głąb kieszeni. Wyjął z niej buteleczkę laudanum, wypił głębszy łyk i przeszedł na drugą stronę ulicy. Czyżbym pomylił dni? – pomyślał, oglądając się za siebie. Nagle zobaczył jakiś ruch w oknie pokoju Samuela. Jakby ktoś wyglądał na zewnątrz, lecz szybko schował się za zasłoną. Walter przez parę sekund wpatrywał się w ośnieżone szyby, ale nie dostrzegł nic poza lekkim ruchem

story. Hmm... pewnie służący – przemknęło mu przez głowę, wypił kolejny łyk laudanum, postawił kołnierz i ruszył przed siebie.

\*\*\*

Magnus z wysiłkiem otworzył oczy, czuł lekki ból głowy i suchość w gardle. W pomieszczeniu panował mrok, rozpraszany przez dwie umieszczone w ściennych uchwyty pochodnie. Co się dzieje? – pomyślał, starając się skupić. Pamiętał, że był nad rzeką, gdzie jakiś mężczyzna zaproponował mu pracę, później jechał czarnym powozem... – nie mógł sobie przypomnieć nic więcej. Aaa... poczuł kolejną falę bólu, rozdzierającą mu głowę. Spróbował unieść rękę, ale coś mu to uniemożliwiło. Spojrzał w dół, był związany. Szarpnął się gwałtownie, lecz nic to nie dało. Uniósł głowę na tyle, na ile pozwalały mu krępujące go więzy, aby rozeznać się w sytuacji. Leżał na wznak na wielkim kamiennym stole, obok niego stał mały stolik z jakimiś metalowymi naczyniami. Ponownie szarpnął rękoma, ale sznur pozwolił mu jedynie na minimalną swobodę. Już miał krzyknąć, gdy w ostatniej chwili zmienił zamiar. Jeśli krzyknie i przyjdzie ktoś, kto go związał, a istniało duże prawdopodobieństwo, że tak się właśnie stanie, straci ostatnią szansę na uwolnienie. Póki co był tu sam, a to dawało mu jakąkolwiek nadzieję, nie zbyt dużą, ale zawsze jakąś. Nie raz ugrzązł w kominowym szybie, a te perypetie dały mu jedną istotną lekcję. Najważniejsze nie wpadać w panikę.

Zrobił głęboki wdech, starając się uspokoić. Skoro nie może oswobodzić rąk, to może uwolni nogi. Podciągnął je, napinając więzy. Raz, drugi, trzeci, wtedy to poczuł, minimalnie, ale jednak. Prawa kostka z każdą kolejną próbą zaczynała coraz luźniej poruszać się pod starą cholewką, którą ściśle obwiązano sznurem. Nie sądził, że kiedykolwiek będzie wdzięczny Knighthowi, ale w tej chwili jego wdzięczność sięgała zenitu. Gdyby nie fakt, że zamienił swoje stare dziurawe obuwie na jego wielkie kamasze, nie miałyby najmniejszej szansy na wysunięcie skrupowanej nogi, a tak, zbyt duże buty pozwolił mu powoli wyciągnąć stopę. Niewymownie szczęśliwy spuścił ją ze stołu, planując kolejny ruch, którym miało być przysunięcie jedynej rzeczy będącej w jego zasięgu, jaka mogła mu pomóc, a mianowicie przysunięcie stolika. Nie chodziło o sam stolik, ale o to, co się na nim znajdowało. Pomiedzy naczyniami dostrzegł błysk czegoś metalowego i płaskiego, wyginając nogę w ekwilibrystyczny sposób, aby zahaczyć nią o nogę stolika, zaczął się modlić, aby tą rzeczą był nóż. Wątki mebel zaskrzypiał, wyrażając swój sprzeciw, co do operacji Magnusa, ale po paru



sekundach jego wola została złamana i powoli przesunął się w żądanym kierunku. Brakowało już tylko paru cali, aby skrępowana dłoń sięgnęła po... nóż! Tak, teraz był już tego pewien, na małym blacie leżało lśniące ostrze. Jak na złość stolik zatrzymał się, Magnus pociągnął go nogą, ale mebel zaczął stawiać wyraźny opór. – Tylko nie teraz – pomyślał w rozpacz. Zmienił położenie stopy, wyginając ją pod nienaturalnym kątem ku górze, tak aby móc unieść blat od spodu. Stolik znowu zaczął stawać dęba, ale po trzeciej próbie rozległ się zgrzyt drewnianej nogi o kamienną posadzkę i mebel znalazł się obok, oczekującej go od dłuższego czasu ręki. Przez kilka trwających wieczność sekund metalowe miski klekotały złowieszczo, wypełniając pomieszczenie głośnym brzdękami. Magnus wysunął palce, aby chwycić rękojęć noża. Udało się. Rozciął więzy i szybko zawiązywał but. W tym momencie coś usłyszał, zamarł w bezruchu, starając się wychwycić niepokojący dźwięk. Teraz był już pewien, że ktoś zbliża się w jego kierunku. Szybko zeskoczył ze stołu, chowając się w spowity mrokiem kąt.

– Pewnie ci się coś zdawało – usłyszał dochodzący z korytarza głos.

– Nie, jestem pewien, że słyszałem jakiś brzdęk.

– Może dzieciak się w końcu obudził, już najwyższa pora.

Do środka weszło dwóch mężczyzn.

– Gdzie jest chłopak? – powiedział człowiek, w którym Magnus od razu rozpoznał mężczyznę znad rzeki.

– Przywiązałem go do stołu..., jak zwykle – odparł jego wyższy prawie o głowę towarzysz.

– Musi gdzieś tu być – podszedł do ściany, aby wyjąć płonącą pochodnię z metalowej obejm. – Nie mógł odejść daleko – zamachał nią z lewej do prawej, rozświetlając skrywającą mury pomieszczenia czerń. – Stań przy drzwiach, zaraz go wypłoszymy.

Magnus zrozumiał, że musi coś szybko zrobić, w przeciwnym razie, może już nigdy nie opuścić tej izby. Zrobił głęboki wdech i pobiegł co sił wzdłuż skąpanej w cieniu ściany.

– Tam! – krzyknął człowiek z pochodnią, wskazując ręką kierunek. – Za tobą!

Dryblas jak na swój wzrost odwrócił się błyskawicznie, wystawiając przed siebie wielkie jak szufle łapska. Końcówkami palców zahaczył o koszulę chłopca, lecz ta mu się wyslizgnęła, znikając w mroku korytarza.

– Szybko łap go!

Magnus pędził ile sił w nogach, nie zważając na dobiegający z tyłu harmider. Biegł w stronę majaczącego w oddali prostokąta światła. Słyszał zbliżające się do niego z każdą sekundą ciężkie kroki. Jedynie siłą woli

zapanował nad chęcią spojrzenia za siebie. Szybciej, szybciej – poganiał się w myślach, próbując opanować nadciągającą panikę. Wreszcie dopadł do prowadzących w górę schodów, nie zwalniając tempa, uderzył ramieniem w ścianę i przeskakując po dwa stopnie naraz, począł wbiegać na nie najszybciej, jak tylko potrafił. Wpadł na uchylone drzwi, sprawiając, iż uderzyły z hukiem o ścianę.

Rozejrzał się w panice, znalazł się w jakimś domu. To nie była zwykła chałupa lub izba, w której zwykł spędzać noce. Hol był ogromny, jeden z większych, jakie kiedykolwiek widział, ale to nie był czas na podziwianie architektury. Nie wiele myśląc, wbiegł do pierwszego pokoju z brzegu, zamykając za sobą drzwi. Na szczęście nikogo w nim nie było, spojrzał na stojące w nim meble: dwa fotele, otomana oraz mały stolik. Boże tu nie ma gdzie się ukryć, już po mnie – przemknęło mu przez głowę. Załamany oparł się o drzwi. Jeszcze raz powiódł wzrokiem po ścianach. Nagle zatrzymał spojrzenie na kominku. Jasne, kominek – omal nie zapłakał ze szczęścia. Dwoma krokami przemierzył pomieszczenie, wskakując do paleniska. Kilka sekund później podciągnął nogę, znikając w szybie i w tym momencie usłyszał odgłos otwieranych drzwi. Zamarł, wstrzymując oddech. Słyszał kroki kogoś przemierzającego w pośpiechu pokój.

– Tu go nie ma. Sprawdź pokój po drugiej stronie – kroki ucichły, ginąc gdzieś w oddali.

Magnus odczekał jeszcze chwilę, starając się nie oddychać, wreszcie powoli, zachowując jak największą ostrożność, ruszył w górę. Cały czas się modląc, aby nikt nie zauważył czarnego pyłu spadającej sadzy.

\*\*\*

Ponownie biegł pośród mroźnej nocy, przemierzając niestrudzenie pokryte śniegiem uliczki, pozostawiając na białym dywanie wąską ścieżkę śladów znaczących kierunek jego ucieczki. Znowu gnał, nie zważając na przejmujący ziąb, przenikający przez cieką podziurawioną koszulę. Chciał jak najszybciej znaleźć się w jedynym bezpiecznym miejscu, jakie znał. Parę godzin temu miał wątpliwości, czy jeszcze tam wróci, ale sytuacja, w jakiej się znalazł, nie pozostawiała mu wyboru. Stracił świeżo zdobytą kapotę, a nocleg na ulicy, będąc odzianym jedynie w cieką koszulinę, oznaczałby jego rychły koniec. Dopadł do dobrze mu znanych drzwi, przez chwilę przy nich majstrował, próbując dygoczącymi rękoma, włożyć klucz do zamka. Wreszcie dokonał tej sztuki, nacisnął klamkę, drzwi ustąpiły, zanim zdążył przekręcić klucz. Nie zastanawiając się nad tym, wszedł do

środku. Jednym ruchem przesunął, zasuwkę blokując wejście. Teraz wreszcie mógł złapać głębszy oddech. W izbie panował ziąb, ale dla niego w tym momencie było ciepło jak w piecu. Wyrzwał przez spowite szronem okno, chcąc upewnić się, że nikt nie podąża jego tropem. Przystawił czoło do szyby i nagle poczuł jak coś zimnego zakrywa mu usta, a sam unosi się ku górze. Magnus wierzgnął nogami, próbując uwolnić się ze stalowego uścisku.

– Gdzie byłeś? – rozległ się lodowaty głos płynący wprost do jego ucha.

– Ja, ja, ja... – ogarnięty paniką nie był w stanie powiedzieć nic więcej.

– Co się tak jąkasz przygłupie?

– Pan Knight? – spytał, wyobrażając sobie bladą twarz, ze zwisającym kawałkiem skóry w miejscu policzka. Poczuł zimny dreszcz przechodzący mu po plecach i ciepłe krople moczu spływające po nogach. W myślach błagając, aby nie usłyszał słowa „tak”, bo wtedy niechybnie dostałby zawału.

– Ha, ha... Knight? Ha, ha..., słyszałaś? – pytanie przebiło się poprzez tubalny śmiech.

W tym momencie rozległ się dźwięk zapalanej zapałki.

– Zostaw go – powiedziała kobieta, oświetlając twarz chłopca. – On nic nie wie.

– Skąd to możesz być tego pewna?

– Orris chyba coś powiedziałam – rzuciła ostro. Poczekała, aż Magnus z powrotem znajdzie się na podłodze. – Pomyśl matole, jeśli miałyby coś wspólnego ze śmiercią Johna, nie pytałby się, czy to on go trzyma.

– No nie wiem – odparł nie do końca przekonany.

– Pan Knight nie żyje? – spytał Magnus, udając zdziwienie, ciesząc się, z panującego w pokoju półmroku.

– Tak, ale sam go znałeś i na pewno wiesz, że nikt nie będzie po nim płakał – powiedziała Lorabelle, zapalając stojący na stole ogarek. – Widziałeś tu kogoś? – mówiąc to, pochyliła się nad chłopcem, patrząc mu uważnie w oczy.

– Nie – odparł, drżąc.

– Daj mu koc – rzuciła do Orrisa, nie patrząc w jego stronę.

– Nie jestem służącym – burknął, ale wykonał polecenie. – Masz – cisnął pledem w chłopca.

– Knight nie żyje – oznajmiła, nie odrywając od Magnusa wzroku. – Ktoś go wepchnął pod łóżko. Pewnie chciał ukryć ciało.

– Bo tam nikt by go nie znalazł? Hmm..., niezła kryjówka – rzucił z sarkazmem Orris.

– A masz lepsze wytłumaczenie? – odwróciła się w jego stronę. – Pewnie się z kimś pobił, a tamten mu przyłożył krzesłem – machnęła ręką na leżące na podłodze szczątki siedziska. – Potem, żeby nikt nie zauważył zwłok, wepchnął je pod łóżko.

– Pff..., pod łóżko? – fuknął ostentacyjnie.

– Rany, ale ty mnie wkurzasz. Przecież widziałeś, że ktoś go okradł, nie ma nawet płaszcza, ani butów.

– I co z tego? A mnie interesuje, gdzie był ten gówniarz. Mógł mieć z tym coś wspólnego.

– Ty naprawdę jesteś tak głupi? Przecież gdyby zabrał mu płaszcz, to nie biegałby po nocy w koszuli.

Magnus odruchowo spojrział w dół i widząc, że koc, którym jest okryty przykrywa jego stopy, odetchnął z ulgą.

– Gdzie byłeś? – nie odpuszczał.

– Ja, ja...

– Ja, ja – przedrzeźniał go Orris.

– Szukałem czegoś do jedzenia.

– Biedaczysko, masz, przyda ci się – powiedziała, Lorabelle dając mu kilka szylingów.

– Dziękuję psze pani – odparł, a oczy zaświeciły mu się w blasku świecy. W odpowiedzi pogłaskała go po głowie.

– Dałaś mu to z własnej działki – upomniał ją Orris.

– Dałam mu to z działki Knighta. Jemu już się nie przydadzą.

– Mieliśmy podzielić to na pół – żywo się oburzył.

– I podzielimy.

– Ale przecież on... – wskazał palcem na Magnusa.

Lorabelle jednym krokiem pokonała przestrzeń dzielącą ją od kompana i nagle Orris poczuł, jak coś ostrego wbija mu się w krocze.

– Gdyby nie on, w ogóle byśmy tam nie weszli. Więc zamknij gębę z łaski swojej. Chyba że chcesz, aby podzielić wszystko na dwoje, jak sugerujesz, ale wtedy nie byłbyś wliczony.

Orris błyskawicznie stanął na palcach, starając się w ten sposób, zwiększyć dystans pomiędzy nim a nożem.

– Masz rację, to uczciwy podział.

– Mówisz o podziale na pół? – z radością docisnęła nóż.

– Nie, nie. Twoja pierwsza propozycja jest znacznie lepsza.

– Hmm..., wiedziałam, że się ze mną zgodzisz – uśmiechnęła się, zamieniając ostrze noża na swoją dłoń. – A teraz chodź ptaszku, może jeszcze tej nocy coś zarobimy.

Orris głęboko odetchnął. Złapał opartą o ścianę laskę ze srebrną rączką w kształcie lwiej głowy, machając nią w głąb pokoju.

– A co z nim?

– Już ci mówiłam, żebyś się odczepił od chłopaka – zgaśniła go Lorabelle.

– Mówię o Johnie.

– Hmm? – rozłożyła ręce.

– Zostawimy go tak?

– Myślisz, że on by się nami przejął? Ale jeśli chcesz, to możesz go ze sobą zabrać, kiedyś byliście kolegami.

– Nie, aż tak dobrymi – rzucił, wychodząc na zewnątrz.

Lorabelle zatrzymała się w progu.

– A ty..., zręczny z ciebie chłopak. Jakby co, znajdziesz mnie w „Starym dorszu”.

– Dziękuję psze pani.

Skinęła głową, zamykając za sobą drzwi.

Ciało Knighta leżało na podłodze obok łóżka. Pewnie wysunęli je spod niego, aby sprawdzić, co się stało – pomyślał Magnus, patrząc na trupio bladą twarz, oświetloną delikatnym płomieniem świecy. Był zmęczony i nie miał siły wpychać go z powrotem pod łóżko, dlatego złapał leżący obok pled i naciągnął go na nieboszczyka. Doczłapał do swojego siennika. Skulił się w kłębek, aby po chwili zapaść w sen.

\*\*\*

Sean już po raz piąty tego wieczoru przemierzał Butcher Street. Robił to gorliwiej niż zazwyczaj, gdyż niska temperatura nie tyle, co potęgowała jego zapał do pracy, a skłaniała do szybszego kroku zmniejszającego stopień przemarznięcia. O tej porze ruch był znikomy, nieliczni przechodnie co pewien czas pojawiali się w snopach światła rzucanych przez uliczne latarnie, by po chwili rozpuścić się w mroku. Jeszcze siedem latarni, a potem skręt w lewo – pomyślał, odliczając w myślach dystans pozostały do kolejnego kółka. Nagle jego uwagę przykuły wężyk ciemnych plamek wyraźnie odznaczający się na spowijającym trotuar białym śniegu. Zatrzymał się nad nimi, spoglądając w dół. Nie przypominał sobie, aby widział je podczas poprzedniej rundy. Na pewno nie, za bardzo się odznaczały, w dodatku wyglądały na świeże, nieprzykryte żadnym płatkim śniegu. Pochylił się, żeby dokładniej zbadać ciemne krople, zdjął rękawiczkę, dotknął pierwszej z nich. Roztarł lepką substancję między palcami, podnosząc ją na wysokość twarzy, aby móc się jej lepiej przyjrzeć.

Nie miał wątpliwości, to była krew. Podążył wzrokiem za znikającą w mroku cienką smugą. Wzdłuż linii wyznaczonej krwią, wyraźnie odznaczały się ślady butów. Wyprostował się, wyjął wetkniętą za pasek pałkę i wyteżając wzrok, wszedł w mrok zaułka. Po paru jardach usłyszał zduszony jęk.

– Policja – rzucił w czerń przed sobą. – Co się tu dzieje?

Kolejny przepełniony bólem jęk, dobył się z otchłani przed nim.

– Policja – zrobił kolejne dwa kroki, co pozwoliło mu dostrzec zarys dwóch osób, wyglądających, jakby się ścisnęły. – Co...

– Pomocccyy – rozpaczliwy głos dobiegł do jego uszu.

Sean dobył gwizdek i mocno w niego dmuchnął. Wysoki dźwięk przeciął nocną ciszę.

– Zostaw ją! – krzyknął, unosząc pałkę.

Postacie rozdzieliły się, jedna z nich osunęła się bezwładnie na ziemię, natomiast druga ruszyła w jego stronę. Sean zamachnął się, uderzając z całej siły w głowę nieznanego, lecz jego broń nie dosięgła celu. Mężczyzna chwycił pałkę, wrywając ją z ręki policjanta z taką łatwością, jakby zabierał smoczek niemowlęciu, sekundę później wymierzył mu nią cios w szyję, rozległo się głośnie chrupnięcie i Sean upadł bez tchu.

Napastnik właśnie wynurzał się z zaułka, gdy ulicą nadbiegło dwóch policjantów, przywołanych wcześniejszym gwizdkiem.

– Stój! – krzyknął wyższy z nich.

Mężczyzna nie wahał się nawet przez sekundę, ruszając wprost na nowoprzybyłych.

– Zatrzymaj się! – zawołał ponownie stróż prawa, ale widząc, że jego słowa nie wywołały żadnej reakcji, zawołał do kolegi. – Weź go od lewej!

Mężczyzna nie przerwał marszu, wspierając się na czarnej lasce ozdobionej srebrną główką. Wyglądał tak, jakby właśnie wybrał się na popołudniowy spacer. Policjant wymierzył cios, ale ruch napastnika był błyskawiczny. Chwycił mundurowego za gardło, unosząc go na wyprostowanej ręce.

– Bill pomóż – wycharczał, szamocząc się jak królik w ręku myśliwego.

Bill rzucił się na napastnika, uderzając go pałką w głowę. Pierwszym ciosem strącił eleganckiemu jegomościowi cylinder z głowy i to by było na tyle, jeśli chodzi o skuteczność uderzeń. Równie dobrze mógłby okładać dębowy pień, efekt byłby ten sam. Dyndający w powietrzu dryblas chwycił rękoma dłoń oprawcy, próbując rozewrzeć zgniatające mu gardło

palce, lecz na nic się to zdało, z każdą sekundą czuł odpływające z niego życie.

– Biiill... – jęknął, machając w konwulsjach nogami, kreśląc przy tym w śniegu czubkami butów głębokie bruzdy.

Widząc agonię towarzysza, Bill zdwoił wysiłki mające na celu uwolnienie kolegi. W tym momencie mężczyzna odrzucił ciało policjanta, które przeleciało ponad pięć jardów, zatrzymując się dopiero na latarni i spojrzał na wciąż okładającego go z wysiłkiem drugiego stróża prawa. Jednym ruchem złapał go za gardło, tak jak wcześniej uczynił to z jego kompanem. Bill począł się miotać, wymierzył kilka rozpaczliwych kopniaków, ale w głębi serca wiedział, że to już jest jego koniec.

– Hhrr... – ostatnie dźwięki wydobyły się z jego gardła.

Napastnik uniósł laskę, wbijając ją z potworną siłą w usta swojej ofiary, czarne drewno z głośnym trzaskiem wyszło na zewnątrz, gruchocząc potylicę. Billy już nic nie czuł, kiedy dłoń w czarnej rękawiczce miażdżyła mu krtań.

## XIII

Przez całą noc rozmyślała o tym, co usłyszała od Daphne i nadal nie była pewna własnych wniosków, gdyż wciąż zbyt wiele niewiadomych zaprzętało jej myśli. Przecież widziała dziewczynkę na własne oczy, rozmawiała z nią, dotykała jej, ale jednak Daphne twierdziła, że Abigail nie żyje. Istniały trzy możliwości, dziewczynka żyła albo ktoś inny podawał się za nią, no i oczywiście ta, której nawet nie chciała rozważać. Dziewczynka była martwa, a to by oznaczało, że faktycznie rozmawiała z duchem. Na samą myśl o tym poczuła pełzający po plecach lodowaty dreszcz. Mimo że straszne, to jednak ostatnie wytłumaczenie wydawało się najbardziej prawdopodobne w swej nie prawdopodobności. Któż inny, jeśli nie duch mógł przemieszczać się pomiędzy nieistniejącymi pokojami, a w zasadzie istniejącymi tylko gdzie indziej, bo przecież musiały istnieć, ponieważ je widziała i w nich była. Przemierzała cały dom, który był taki sam jak ten, a jednak inny. Więc skoro go widziała, musiał być rzeczywisty, ale z drugiej strony widziała też Abigail, która prawdopodobnie nie żyła, a to raczej nie jest naturalne. Skoro ona była ułudą, to dom też nią był, w końcu to ona, zabrała ją do niego, przeprowadzając przez mgielne drzwi. Zrobiła głęboki oddech, wypuszczając głośno powietrze z płuc. Przekręciła się na bok, aby spojrzeć w małe okienko. Niebo wciąż było ciemne, ale Mildreth czuła, że świt nadchodzi wielkimi krokami. Niebawem będzie musiała wstać, a tłoczące się w głowie myśli nie pozwalały zmrużyć jej oka, choćby na chwilę. Przypomniała sobie swoje pierwsze spotkanie z Abigail, widziała ją na korytarzu, lecz wtedy jeszcze nie wiedziała, że ma z nią do czynienia. Później ujrzała ją ponownie, lecz nie można było nazwać tego spotkaniem. Dostrzegła jej odbicie w okiennej szybie, ale gdy się odwróciła, nikt za nią nie stał.

Poczuła narastający ból głowy, nie mogła już tego wytrzymać. Domysły okazywały się gorsze od najstraszniejszej rzeczywistości. Zrzuciła na bok kołdrę, siadając na łóżku, musiała to sprawdzić, by nie zwariować, a teraz nadarzała się ku temu najlepsza sposobność, musiała to uczynić, zanim cały dom zbudzi się ze snu. Wsunęła stopy w pantofle i w powiewającej między kostkami koszuli nocnej wyszła z pokoju. Korytarz nadal spowijał lekki półmrok, jednak nie na tyle duży by musiała korzystać ze świecy. Powoli, starając się nie narobić zbędnego hałasu trzeszczącymi pod stopami



deskami, zeszła na dół. Minutę później stała już przed drzwiami do pokoju, w którym wczorajszego dnia odnalazła schronienie. Z wahaniem sięgnęła do klamki, ostrożnie ją naciskając. Drzwi pozostały zamknięte. Bezskutecznie naparła na nie ramieniem. – Ale jestem głupia – pomyślała. – Przecież ja też zamykam pokój na noc – nadstawiła ucho, starając się, wyłowić jakiegokolwiek, dobiegające ze środka odgłosy. Usłyszała jedynie ciszę, jeśli można usłyszeć coś, co nie wydaje żadnego dźwięku. Pochyliła się, by zajrzeć przez dziurkę od klucza i podskoczyła, czując czyjś dotyk na plecach.

– Aaaa! – krzyknęła, nie panując nad sobą.

– Co ty tu robisz? – Brittanica stała za nią, ledwie odcinając się w czarnej sukni od panującego wokół półmroku.

Mildreth popatrzyła na nią, jakby właśnie zobaczyła ducha.

– Ja, hmm...?

– A widzisz tu kogoś innego?

– Chciałam tylko...?

– Tak, słucham – splotła ręce na piersiach.

– Yyy... – spuściła głowę.

– Nie mów mi tylko, że znalazłaś się tu przez przypadek – podniosła palcami brodę dziewczyny, aby móc wejrzeć w jej oczy. – Obie wiemy, że byłoby to kłamstwo. Wścibstwo nie jest pożądaną cechą wśród panienek oraz służby – ostatnie słowo wyraźnie zaakcentowała. – Ten pokój ma pozostać zamknięty i nikt nie powinien do niego zaglądać, nawet przez dziurkę od klucza.

– Ale ja...

– Lepiej nie mów głupot, bo na pewno nie masz nic mądrego do powiedzenia. Słyszałaś, co powiedziałam?

– Tak panno Bennett – skinęła posłusznie głową.

– Zapamiętaj moje słowa, w przeciwnym razie znajdę na twoje miejsce kogoś, kto nie ma problemów z czyszczeniem uszu – przez parę sekund mierzyła dziewczynę wzrokiem. – A skoro masz problemy ze spaniem, chętnie zagospodaruję ci nadmiar wolnego czasu. Na początek, możesz wyszorować piec oraz palenisko. Na pewno Hortense ucieszy się, że chcesz jej pomóc i pospiesz się, bo praca w kuchni nie zwalnia cię z codziennych obowiązków.

Mildreth ponownie skinęła głową, szybko się oddalając.

– Tylko najpierw z łaski swojej załóż na siebie coś odpowiedniego – westchnęła Brittanica, kiwając głową w geście dezaprobaty.

\*\*\*

Odgłos ciężko pracującej szczotki rozchodził się echem po kuchni, kiedy głośno ziewająca Hortense przekroczyła jej próg. Spojrzała zaspanym wzrokiem, szukając źródła tego irytującego dźwięku. Widząc wystające z paleniska do połowy okryte sukienką nogi, podeszła do tajemniczego kopciuszka i stuknęła go palcem w plecy.

– Auu – rozległ się jęk dochodzący z wnętrza poprzedzony głuchym uderzeniem. Po chwili z niemałym wysiłkiem Mildreth wygramoliła się na zewnątrz, ukazując umorusaną twarz.

– Ach to ty. Nie wiedziałam, że z ciebie taki ranny ptaszek.

– Dzień dobry pani... – widząc groźne spojrzenie kucharki, szybko się poprawiła. – Hortense.

– No – pogroziła palcem. – Tak lepiej – i widząc dziewczynę rozcierającą brudną ręką tył głowy, chwyciła ją za ramiona, sadzając na stojącym obok krześle. – Tak sobie nie pomożesz, mam coś lepszego na tego guza – pogrzebała w szufladzie, wyjęła z niej potężny tasak i wyszła z kuchni. Chwilę później była już z powrotem. – Przyłóż to do głowy, bo zaraz będziesz miała głowę jak dynia.

– Ajj, ale zimne.

– Ja myślę, natarłam go śniegiem. Pewnie jeszcze nic nie jadłaś.

Mildreth pokiwała przecząco głową i natychmiast syknęła z bólu.

– Nie wiedziałam, że z ciebie taki pracuś. Nie mogłaś spać? – spytała, odkrawając pajdę wczorajszego chleba.

– Nie mogłam.

– Cóż, mnie też się to zdarza, ale żeby zaraz szorować piec? O to, to nie, zdecydowanie bardziej wolę podziwiać plamy na suficie. Czasami jak dłużej na nie patrzę, to nawet coś w nich widzę, niekiedy barana, kwiat, a nawet czyjaś twarz – posmarowała kromkę powidłami i z plaśnięciem rzuciła ją na stojący przed Mildreth talerz. – Ale żebym zaraz leciała do roboty. Co to, to nie.

– Panna Bennett mi kazała.

– Mogłam się domyślić, ona każdemu potrafi zorganizować czas wolny. Powiem jej parę słów...

– Nie, proszę nie – przerwała szybko.

– Nie masz się czego obawiać ptaszyno, kim by panna Bennett nie była, to nie może...

– Ale to jest kara.

– Kara, a czym żeś to zawiniła?

– Zaglądałam do pokoju.  
– Do pokoju, do jakiego pokoju?  
– Do tego na piętrze, na końcu korytarza. Panna Bennett zobaczyła, jak patrzę przez dziurkę od klucza i złażała mnie za to.

Hortense ze zrozumieniem pokiwała głową.

– Tak, jedz, no jedzże – odczekała, aż zęby dziewczyny zanurzą się w pieczywie, po czym dodała. – A co za licho kazało ci tam zajrzeć?

– Chciałam sprawdzić, co tam jest – odparła ostrożnie, przełknęła pogryziony kawałek chleba. – Co to za pokój i dlaczego nie można tam wchodzić?

Hortense poprawiła się na krześle, jakby poczuła nagle coś niewygodnego uwierającego ją w pośladek.

– Widzisz, w tym pokoju mieszkała córka madame Clementine, do czasu, aż zginęła tragicznie w wodach jeziora Blackwood. Od tamtej pory pokój stoi zamknięty, nie może tam nikt wchodzić, poza samą madame.

– To straszne – odparła, zawieszając wzrok na kanapce. – A jak ona miała na imię, ta córka?

– Abigaile.

– Czy miała długie blond włosy?

– Tak – odpowiedziała, patrząc Mildreth w oczy. – Ale skąd o tym wiesz i dlaczego mnie o to wypytujesz?

– Bo... widziałam ją na jakimś portrecie i tak sobie pomyślałam, że może to ona.

– Na jakim portrecie?

– Nie pamiętam, chyba gdzieś w salonie – szybko odwróciła wzrok, koncentrując się na trzymanej w ręku kanapce.

– Wiesz Mili? Co by nie mówić, kłamać to ty nie potrafisz.

– Ale ja wcale nie kłamię – zarzekła się jednym tchem.

– Oj, kłamiesz, kłamiesz i to bardzo słabo. W salonie nie ma żadnego, portretu córki madame Clementine.

– Może to było gdzie indziej, nie jestem pewna.

– Ani w innym pokoju. Po jej śmierci madame kazała przenieść jej portrety do pokoju Abigail.

– O właśnie tam je widziałam – ożywiła się.

– A tam nikt nie ma wejścia, więc nie mogłaś ich widzieć – popatrzyła dziewczynie w oczy. – Dlatego wiem, że kłamiesz. Jednak nie wiem, czemu to robisz? – pochyliła się, kładąc dłoń na kolanie Mildreth. – Powiedz mi, co się dzieje.

- Bo..., bo... – przygryzła wargę, walcząc ze sobą. – Bo ja ją widziałam – wyrzuciła to w końcu z siebie.
- Kogo widziałas?
- Abigaile.
- Przecież to niemożliwe, ona nie żyje.
- Teraz wiem, mówiła mi o tym Daphne i pani, ale wtedy jeszcze o tym nie wiedziałam.
- Wtedy, czyli kiedy?
- Wczoraj, wtedy z nią rozmawiałam, pomogła mi uciec przed Garnetem.
- Przed Garnetem? O czym ty mówisz?
- Bo on mnie cały czas nagabuje, ja go nie znoszę, a on wciąż na mnie nastaje. Ten list, który znalazłam na poduszce w pokoju, to nie był list miłosny, tylko ostrzeżenie, żebym stąd uciekała, że jestem w niebezpieczeństwie – rozkleiła się, pociągając nosem. – Abigail go napisała, żeby mnie przed nim przestrzec. Powiedziała, że go zna i że jest okropny.
- Jesteś pewna, że ci się to nie przewidziało?
- Nie, to prawda – odparła z pewnością małego dziecka tupiącego nogą dla podkreślenia swoich słów. – Ona zabrała mnie do swojego pokoju i pozwoliła się tam schować, dopóki Garnet nie odszedł.
- Ale zastanów się – powiedziała spokojnym tonem. – To wszystko jest niemożliwe. Przecież pokój jest zamknięty.
- Tak, ale ona chwyciła mnie za rękę i... – przerwała, przypominając sobie ostrzeżenie Abigail.
- I co się stało?
- I... i... może ma pani rację..., pewnie mi się coś pomyliło. Hortense chwyciła ją za rękę, delikatnie głaszcząc jej dłoń.
- Na pewno ci się pomyliło, jesteś przemęczona, a wtedy wszystko się miesza. Daj ten tasak, już wystarczy – wstała, aby włożyć go do szuflady. – Chcesz jeszcze kanapkę?
- Nie, dziękuję – odparła Mildreth, sprawdzając rozmiar guza.

\*\*\*

Ku swemu zdziwieniu obudził się, dopiero gdy słońce było już wysoko na niebie. Kładąc się spać, obiecał sobie, że będzie to jego ostatni nocleg w towarzystwie Knighta i co by się nie działo, miał zamiar dotrzymać słowa danego samemu sobie. Na szczęście dzisiejszy dzień zdawał się dość pogodny, biorąc pod uwagę ostatnie zawieruchy. Podszedł do leżącego na podłodze ciała, uniósł przykrywający go pled, aby sprawdzić, czy coś z

ubioru nieboszczyka może mu się jeszcze przydać. Buty oraz kapotę już zabrał, a reszta nie stanowiła łakomych kąsków mogących chronić przed mrozem. Zważywszy, że twarz Knighta zaczęła powoli zmieniać kolor, upodabniając go do zepsutego ziemniaka, pomyślał na wykorzystanie jego koszuli szybko został wypchnięty z głowy Magnusa, przez wstręt do zapachu, jaki mógł na nim pozostawić trupi odór. Wzdrygnął się, upuszczając plec na swoje miejsce. Rozłożył swój koc na stole i pamiątką po nocnej ucieczce, jaką stanowił zdobyczny nóż, wykonał pośrodku niego krótkie cięcie. Zadowolony z siebie przełożył głowę przez powstały otwór, tworząc w ten sposób poncho, szczelnie się nim obwinął, a następnie odciął kawałek kominiarskiego sznura i obwiązał się nim w pasie. Rozejrzał się po izbie, szukając czegoś, co mogłoby mu się jeszcze przydać. Jego wzrok padł na metalową łyżkę, schował ją wraz z nożem do kieszeni i bez żalu wyszedł na zewnątrz.

Było całkiem przyjemnie, słońce i lekki wiaterek natchnęły go nadzieją, a gorąca zupa z przydrożnej jadłodajni grzała jak nigdy dotąd. Zanurzył pajdę chleba w brązowawej mazi, czekając, aż nabierze wilgoci, gdy wyczuł czyjś wzrok bacznie mu się przyglądający. Uniósł głowę, obok niego stała zgarbiona kobieta, przewiercając spojrzeniem miskę z zupą.

– Czy mógłbyś synku dać mi trochę stawy?

– Proszę psze pani – wręczył jej talerz wraz z kromką.

Oczy jej zaszklily się z wdzięczności. Usiadła na murku obok niego, pałaszując zupę.

– Dobry z ciebie chłopiec – rzuciła pomiędzy kęsami chleba, z zapalem osuszając miskę.

\*\*\*

– Znowu tam byłaś? – spytała Clementine z niekłamanym zainteresowaniem.

– Tak, nie mogliśmy się powstrzymać. Tym razem to Gideon nalegał. Wyobrażasz to sobie? – odparła Eusebia.

– Żadną miarą. Masz szczęście, iż twój mąż ma tak otwarty umysł. Walter wciąż jest sceptycznie do tego nastawiony. Mimo iż wszystko widział na własne oczy. Choć prawdę mówiąc, rozmowa z duchem psa była komiczna i mocno podejrzana.

– Cóż..., po takim seansie można być lekko zdystansowanym – wypić mały łyżeczek herbaty. – Doprawdy wyśmienita. Gdzie ją kupiłaś?

– Dostałam od Caddy. Przywiozła ją z Indii.

– Jakby inaczej, z Indii – uśmiechnęła się Eusebia, napinając do granic możliwości kościste policzki.

– Mówiła, że... – zmarszczyła brwi, próbując sobie coś przypomnieć. – Chyba z Assam. Wiesz, nie mam głowy do tych wszystkich nazw.

– Nie musisz mi tego mówić – machnęła ręką. – Dla mnie za informację dotyczącą herbaty wystarczyłaby wzmianka: dobra, bardzo dobra, wyśmienita. Od razu wiedziałabym, którą mam kupić. Bez zbędnego trucia się czymś, czego nawet pies nie włożyłby do pyska.

– W istocie, ale teraz mów, po co poszliście do madame de Conteville. Jest to znacznie bardziej intrygujące niż zalane wodą suszone liście.

Eusebia wypięła kolejny łyk, cedząc herbatę przez zęby, delektując się nie tyle jej smakiem, który był wyborny, a oczekiwaniem, jakiemu poddała Clementine, a ten smak był, doprawdy rozkoszny.

– Gideon chciał skontaktować się ze stryjecznym bratem swojej babki.

– Babki, w jakim celu?

– Chodziło o jakąś skrzynię, którą podobno zakopano, czy zamurowano na zamku Ashmoor.

– Mówisz o skarbie? – nieświadomie pochyliła się ku koleżance.

– Można to tak nazwać – ponownie wypięła łyk herbaty, celowo celebrując tę czynność.

– Eusebio, mów, że wreszcie – ponagliła Clementine.

– Nie wiem, czy ci o tym wspominałam, ale kiedy Gideon był jeszcze mały, często odwiedzał zamek Ashmoor w towarzystwie swojej babki ze strony matki, Lady Conway. Niestety nigdy jej nie poznałam, ale podobno była z niej cudowna kobieta. Gideon nigdy nie mógł się jej nachwalić. Pewnego razu, gdy byli w Southampton, pewien mężczyzna...

– Tak, tak, też tam byłam, piękne miasto – przerwała Clementine. – Ale powiedz coś więcej na temat tego zamku. Co z tym skarbem?

– Więc niedawno Gideonowi przypomniało się, jak Lady Conway kiedyś wspominała o jakiejś ukrytej skrzyni. Sama nie wiedziała, co się w niej znajdowało, ale jeśli ktoś coś ukrywa, to zazwyczaj jest to coś drogiego. W przeciwnym razie po cóż miałyby to robić?

– Też tak sędzę.

– Właśnie, tak samo pomyślał Gideon. Rozmawiał o tym z synem stryjecznego brata babki, ale on nic na ten temat nie wiedział.

– Może wiedział, ale nie chciał powiedzieć – zakończyła wypowiedź wiele znaczącą miną.

– Oczywiście, istnieje taka możliwość, aczkolwiek sędzę, iż mówię prawdę. Nie ma pieniędzy, a zamek zaczął popadać w ruinę. Czy zdajesz

sobie sprawę, ile kosztuje utrzymanie takiej sterty kamieni? Setki funtów i skąd brać na to wszystko pieniądze? Kiedyś pola przynosiły zyski, chłop je obrobił i wszyscy byli zadowoleni, a teraz co? Jeśli nie zapłacisz, nikt nie garnie się do roboty, a pieniądze skądś trzeba brać – rozłożyła bezradnie ręce. – Taki zamek, to worek bez dna, a chłopu wystarcza mała chałupa, czasem załata dziurę w dachu, a na to wystarczy mu snopek słomy i wszystko zrobione. Na co mu te pieniądze, przecież nie wie nawet co z nimi zrobić, jak zarobi parę pensów więcej, to przestaje pracować i idzie je przepić. Ot i cała chłopska filozofia, ale jak ich nie ma, to wtedy nie ma za co pić, więc pracuje, a to jest z korzyścią dla wszystkich. Powiadam ci. Pieniądze i chłop, to gotowe nieszczęście.

– W pełni się z tobą zgadzam. Pieniądze nie są dla głupich – przechyliła porcelanową filiżankę, wlewając gorący płyn do ust. – Ale mów co się stało ze skrzynią?

– Tak więc Gideon stwierdził, że wystarczy porozmawiać z Henrym, zmarłym bratem babki. Oczywiście za pośrednictwem madame de Conteville, więc udaliśmy się na seans.

– I?

– Skontaktowała się z nim, a on powiedział, że nic takiego nie pamięta.

– Słucham?

– Że nie wie, o czym Gideon mówi. Nigdy nie słyszał o żadnej skrzyni.

– Może kłamał?

– Duchy nie kłamią, tak przynajmniej twierdzi madame de Conteville. Ponoć wzywane zza świątów zawsze mówią prawdę.

– Więc ta cała historia została zmyślona?

– Być może, ale zawsze istnieje szansa, że brat babki najzwyczajniej w świecie nie wiedział nic o skrzyni. Może trzeba się spytać kogoś innego na przykład jego ojca.

– Tak sobie myślę, gdyby... – wstrzymała głos, słysząc głośne uderzenie kołatki. Korytarzem przemknęła Brittanica, podążając w stronę drzwi wejściowych. – Mam nadzieję, że to Garnet – powiedziała Clementine, nie odrywając wzroku od wejścia do pokoju. Chwilę później jej życzenie się urzeczywistniło.

– Mamo, pani Green – skłonił się, wchodząc do salonu.

– Wreszcie jesteś, już myślałam, że coś się stało. Panna Bennett mówiła, iż nie wróciłaś na noc do domu.

– Zasiedziałem się trochę u Elvina i wolałem nie wracać po nocy – odparł, odkładając na bok czarną laskę, zakończoną srebrną rączką. – Sama

mówiłaś, żebym lepiej nie chodził po nocy, gdyż po ulicach kręci się pełno obdartusów, a z nimi nigdy nic nie wiadomo.

– I jak widać, twoja matka miała rację – powiedziała Eusebia.

– Co pani ma na myśli?

– Chociażby to przerażające morderstwo.

– O czym mówisz kochana? – spytała Clementine.

– Jeszcze o tym nie wiecie? Dziś w nocy na Butcher Street zamordowano cztery osoby.

– O boże! Przecież to prawdziwa masakra – jęknęła Clementine, zakrywając dłonią usta.

– Pewnie znowu jacyś żebracy pobili się o butelkę ginu, a swoją drogą wybrali idealną ulicę na taką rzeź – odparł Garnet.

– Nie sądzę, aby tym razem tak było. Podobno to był jakiś mężczyzna, w dodatku dobrze ubrany – powiedziała konspiracyjnym szeptem.

– A gdzie wtedy była policja? Na co komu te patrole, skoro mimo to ludzie mordują się na ulicach – dodała Clementine.

– No właśnie. Najlepsze jest to, że policjanci byli tam, gdzie trzeba. Widzieli go.

– Więc przynajmniej go pojмали, mam nadzieję, że zawiśnie na stryczku – Clementine odetchnęła z ulgą.

– Na to bym nie liczyła. Wszystkich zabił.

– Co?! – krzyknęła Clementine.

– Podobno najpierw zamordował jakąś kobietę, potem prawdopodobnie policjanta, który go widział, a następnie dwóch kolejnych spieszących mu na ratunek...

– Boże – jęknęła. – Całe szczęście, że zostałeś u Elvina – zwróciła się do syna, który w odpowiedzi jedynie skinął głową.

– Lecz to nie wszystko – kontynuowała Eusebia. – To nie było zwykłe morderstwo, on im połamał karki, a jednemu z policjantów przeszył czymś głowę na wylot.

– Jakże to? – spytała Clementine.

– Mówią, że włożył mu coś do ust, tak głęboko, że wyszło drugą stroną czaszki. Możliwe, że była to... – spojrzała na opartą o fotel młodego Griffith'sa laskę. – Laska. Taka jak ta.

Kobiety równocześnie zawiesiły wzrok na Garnecie.

– Uff... – strząsnął przesadnym ruchem wyimaginowaną kroplę potu z czoła. – Całe szczęście, że na tę noc mam alibi – szeroko się uśmiechnął. – A swoją drogą, informacja o lasce zawężyła grono podejrzanych zaledwie do kilkudziesięciu tysięcy osób.



\*\*\*

Starsza kobieta skończyła jeść i teraz patrzyła niewidzącym wzrokiem przed siebie, poprzez przelewający się ulicą ludzki potok.

– Nie widziałam cię na ulicy, w którym zaułku sypiasz? – zagadnęła.

Magnus przełknął kawałek chleba, który miał w ustach, spoglądając na nią znad świeżego talerza zupy.

– Mieszkam tam – machnął ręką, w kierunku skąd przyszedł. – U pana Knighta..., a właściwie mieszkałem.

– O przepraszam, myślałam, że... – chwyciła za imitujący poncho koc. – No wiesz...

– Straciłem kurtkę i... – wzruszył ramionami.

– Bardzo dobrze sobie poradziłeś – kiwnęła głową z uznaniem.

– Dziękuję psze pani... – włożył do ust kolejną porcję zupy, zagryzając ją chlebem. – Ale teraz będę musiał znaleźć inny kąt do spania.

– Cóż, więc lepiej uważaj, gdzie udasz się na spoczynek, wczorajszej nocy ledwo uszłam z życiem – westchnęła.

– Ma pani rację, noce są teraz bardzo zimne.

– Nie mówię o mrozie, chodzi mi o te morderstwa na Butcher Street. Słyszałeś o nich?

– Nie – z zainteresowaniem odwrócił głowę w jej stronę.

Kobieta rozejrzała się wkoło, jakby chciała sprawdzić, czy nikt jej nie podsłuchuje.

– Byłam tam – szepnęła. – I go widziałam.

– Kogo, mordercę!

– Ciszej – syknęła, zakrywając brudnym palcem usta Magnusa. – Mogą usłyszeć.

– Kto?

– Każdy – ponownie zerknęła na przewijającą się ulicą ciżbę. – Robił z nimi, co chciał, nie mieli z nim żadnych szans. Wiem, co mówię, jeden z policjantów był ogromny, miał prawie siedem stóp wzrostu, a on podniósł go do góry jedną ręką, jakby nic nie ważył. Skręcił mu kark, a potem odrzucił na kilka jardów jak mokry ręcznik.

– Jejciu, musiał być ogromny – wytrzeszczył oczy.

– Otóż nie, wyglądał całkiem normalnie... jak... – spojrzała w bok. – Jak tamten jegomość – wskazała mężczyznę średniej budowy ciała przemierzającego spokojnie trotuar.

– Ale on nie dałby rady, on jest...

– Wiem, co myślisz, ale to prawda. Był dobrze ubrany. Nie wyglądał na kogoś, kto zabija dla pieniędzy. On robił to... dla przyjemności.

– Policja go złapie.

– Nie byłabym tego taka pewna, nawet nie wiedzą, jak wygląda.

– Przecież pani go widziała, może pani im pomóc.

– Ooo... co to, to nie. Życie mi jeszcze miłe. Widziałam, co zrobił tamtym policjantom, a było ich trzech, bóg raczy wiedzieć, co zrobiłby ze mną.

– Przecież nikt nie wie, że go pani widziała.

– I lepiej niech tak pozostanie. Wiesz chłopcze, powie się jednemu, a ten drugiemu i już wie całe miasto... – zawiesiła głos, wpatrując się uważnie w oczy swojego rozmówcy. – Ale ty nikomu nie powiesz. Prawda?

– Nie psze pani – szybko zastrzegł, kiwając głową na boki.

– Wiem, dobre z ciebie dziecko, dlatego cię ostrzegłam. Uważaj na dobrze ubranych jegomości chodzących w cylindrach – wstała, otrzepując zniszczoną spódnicę. – Bądź zdrow – już miała odejść, gdy powstrzymał ją głos Magnusa.

– Ale takich panów jest dużo, jakże mam go rozpoznać?

Odwróciła się, nachylając głowę nad chłopcem.

– Ten nosi laskę, bardzo ładną, ze srebrną rączką przypominająca głowę jakiegoś zwierzęcia – pogłaskała go po głowie i wtopiła się w tłum.

Magnus wymościł resztką chleba ostatnie krople zupy z miski. Nagle zastygł, przypominając sobie ostatnią noc i mężczyznę, którego spotkał nad rzeką. Laska, on miał laskę ze srebrną główką – pomyślał, próbując przypomnieć sobie twarz niedoszonego oprawcy. – Czyżby to był on – zawiesił wzrok na nasączonej zupą skórce od chleba, z której skapnęła czerwona kropla do złudzenia przypominająca krew.

\*\*\*

Pomieszczenie jak zwykle spowite było gęstym dymem, a mocny zapach opium wdzierał się bezceremonialnie w nozdrza Waltera. Bywał tu kilkukrotnie, ale ostatnimi czasy upodobał sobie inną palarnię, powód tej zmiany był dość prozaiczny, po prostu miał wrażenie, iż w jego nowej oazie spokoju wsady, którymi nabijano fajkę, były znacznie większe i dodatkowo lepiej na niego działały. Oczywiście, to odczucie mogło być mocno subiektywne. Przekonał się już o tym kilkukrotnie, zmieniając co pewien czas palarnię na nową, by po paru tygodniach wrócić do starej. Póki co, był jednak przekonany o słuszności podjętej decyzji, a powrót do starej lokalizacji nie był jego inicjatywą, lecz został spowodowany namową

Spencera, który właśnie wyciągał nogi, usadowiając się wygodniej na czerwonej leżance.

– Mam wrażenie, że w Indiach opium było mocniejsze.

– Jakoś mnie to nie dziwi – burknął pod nosem Walter.

– Przepraszam, nie dosłyszałem.

– Mówiłem, że zapewne tak było – uśmiechnął się, otwierając buteleczkę laudanum. – Muszę się napić. Czuję, że zaraz nadejdzie ból głowy – wypił spory łyk. – Poczęstujesz się?

– Nie odmówię – posłał jednoznaczny uśmiech, przechylając flakon do ust. – Ranjit potrafił zawsze znaleźć świetne opium. Podobno sprowadzano je, aż z Afganistanu, mają tam ogromne pola maku.

Walter jedynie mruknął, słysząc tę wiadomość.

– Raz, kiedy przebywałem w Kalkucie, spotkałem pewnego hindusa, miał taką małą małą – pokazał rękoma rozmiar zwierzęcia. – Gdy mężczyzna palił fajkę, zwierzak siadał mu na ramieniu, co pewien czas chwycił cybuch i się zaciągał.

– Hmm..., nawet mała wie co dobre. Woli opium od banana.

– Wcale się jej nie dziwię, mam takie same preferencje – ryknął śmiechem. Po czym chwycił ze stolika długą fajkę, świeżo nabitą przez uśmiechającego się usłużnie chińczyka. Przypalił wsad, pyknął kilkakrotnie, aby grudka ładnie się zajarzyła, zaciągnął się i oddał fajkę towarzyszowi. – Hmm... doobre – wypuścił dym przed siebie. – Wiesz Walterze. Intryguje mnie pewna rzecz... – zawiesił słowo, wpatrując się w towarzysza.

– Tak? – odparł, skupiając się na cybuchu.

– Chodzi o Samuela.

Walter zmarszczył brew w niemym pytaniu.

– Mówię o Samuelu Grayu.

– A cóż się dzieje u Samuela?

– Ha, chyba raczysz żartować.

– Ja? Niby czemu?

– Doprawdy, nie musisz udawać. Samuel mi o wszystkim opowiedział. Swoją drogą nie sądziłem, że stać cię na taki wyczyn. Zastanawia mnie tylko jedno. Czym, że cię tak rozsierdził?

– Uwierz mi, ale mam wrażenie, że w tym momencie jestem bardziej zaintrygowany niż ty.

Major bacznie sondował twarz Waltera, starając się wychwycić na niej choćby ślad kłamstwa.

– Mówię o twojej ostatniej wizycie u niego.

– Nie widzę w tym nic interesującego. Umówiliśmy się, ale Samuela nie było w domu, ponoć gdzieś wyjechał. Ot i cała zagadka – ponownie się zaciągnął i oddał fajkę Spencerowi.

– Naigrawasz się ze mnie?

– A czemuż miałbym to robić?

– Sam nie wiem – wypuścił chmurę opiumowego dymu, zmniejszając w ten sposób i tak już małą przejrzystość powietrza prawie do zera. – Wierz mi, że jestem ostatnim, który by cię osądzał. Zważywszy, iż Samuel potrafi być mocno irytujący, a jego podejście do niektórych spraw bywa, delikatnie mówiąc, frustrujące – wypuścił kolejną chmurę szarego dymu. – Nie pozostaje mi nic innego, jak nazwać rzecz po imieniu. Powiedz mi. Czym, że cię tak rozsierdził, iż sprawiłeś baty jemu i służącemu.

Walter wytrzeszczył oczy, nie wierząc w to, co przed chwilą usłyszał.

– Ja?

– A któż inny? Gdy mi o tym opowiadał, trząśł się jak osika. Ponoć podbiłeś mu oko, a i jego nos pozostawiał wiele do życzenia.

– Przecież..., kiedy..., jak to? – spojrzał w przestrzeń, jakby próbował znaleźć odpowiedź w gęstym zasnuwającym pokój powietrzu.

– Twierdził, że przyszedłeś do niego po poradę. W pewnym momencie zmieniłeś się nie do poznania, wpadłeś w amok, jakbyś był zupełnie innym człowiekiem. Zacząłeś go bić, a następnie przerzuciłeś swoją wściekłość na próbującego przyjść mu z pomocą kamerdynera. Ponoć złamałeś mu rękę.

– Ja? Nic takiego nie zrobiłem. Po prawdzie byłem u niego z wizytą, ponieważ..., wiesz, ostatnimi czasy mam pewne problemy z pamięcią, małe zaniki, ale kto ich nie ma, zwłaszcza po alkoholu.

– Co prawda, to prawda.

– Wracając do tego incydentu, gdyby miał miejsce, to coś takiego raczej bym zapamiętał... – zawiesił głos, wracając w myślach do sytuacji, kiedy to spotkany na ulicy Samuel, czmychnął przed nim, jakby zobaczył ducha. – Nie, jestem święcie przekonany, że nic podobnego nie miało miejsca, jedynie rozmawialiśmy. Zresztą znasz mnie.

– Znam i właśnie dlatego tak mnie, to zaintrygowało. Ty i bijatyka? To tak niewiarygodne jak słonie w Yorkshire – zaciągnął się. – A tak przy okazji. Czy moja żona sprawdziła się w roli swatki?

– Jeśli chodzi o mnie i Clementine, to wybór Caddy jest wyśmienity. Dziewczyna Priceów jest wyraźnie zainteresowana Garnetem, a to na pewno mu schlebia. W końcu od małego był egocentrykiem. Co prawda trzeba by się mocno starać, aby pomylić Briar z Afrodytą, ale wszyscy wiemy, że

uroda tego dziewczęcia tkwi w posagu. Sadzę, że Garnet również zdaje sobie z tego sprawę.

– Tak, biorąc pod uwagę tę kwestię, trudno byłoby znaleźć lepszą partię. Wyobraź sobie, że gdy byłem w Indiach...

Walter głęboko westchnął i szykując się na kolejną dawkę fascynujących przypowieści, mocno zaciągnął się fajką.

\*\*\*

Mildreth przycupnęła na krześle, łapiąc chwilę oddechu pomiędzy kolejnymi prześcieradłami. Nie mogła sobie przypomnieć dnia, w którym by nic nie prała. Suknie, halki, spodnie, koszule, bielizna no i ta pościel. Nie kończące się sterty pościeli. Najbardziej nienawidziła poszew na kołdry, były ogromne, musiała przedzierać się przez zwały materiału piętrzące się w solidne góry. Zawsze któryś fragment poszwy samowolnie wydostawał się poza obręb bali, lądując na ziemi i za każdym razem był to kawałek, który został już przez nią uprany. Więc ponownie musiała płukać niesforny rąbek płótna. Oczywiście mogła tego nie robić, licząc na to, że nikt tego nie zauważy, ale pomna dnia, w którym to zrobiła nieszczęśliwie przyłapaną przez pannę Bennet, i w którym za karę za swą przewinę musiała ponownie szorować wszystkie powłoczki. Woląta tego nie robić. No i jeszcze to wyzymanie. Jak wyżyć coś, co jest większe od niej? Czasem pomagała jej Daphne, ale przecież ona też miała własne obowiązki. Westchnęła, zbierając siły do kolejnej rundy walki z brudami.

– Cześć.

Odwróciła się, słysząc za sobą radosny głos. Kilka stóp za nią stała Abigail, uśmiechając się przyjaźnie.

– Aaa! – Mildreth poderwała się na równe nogi, przewracając przy tym krzesło.

– Wybacz, nie chciałam cię przestraszyć – zbliżyła się powoli.

– Odejdź duchu – przeżegnała, się robiąc krok w tył.

– No co ty? Przecież to ja, Abigail. Nie poznajesz mnie? – podeszła bliżej. – Nie jestem żadnym duchem.

– Ale ty..., ty nie żyjesz – odparła drżącym głosem.

– Co ty wygadujesz? Jestem żywa, tak, jak ty. Zobacz – wysunęła rękę przed siebie.

– Ale... – cofnęła się, uderzając piętą w stojącą za nią balię. – Jesteś córką madame Clementine, a ona nie żyje.

Abigaile zatrzymała się, opuszczając rękę, a goszczący na jej twarzy uśmiech zniknął.

– Więc już wiesz? – zabrzmiało to, jak stwierdzenie. – Hmm..., powiedziałaś komuś o przejściu?

Mildreth szybko zaprzeczył, a kręcąc głową na boki.

– Na pewno? – indagowała.

– Nie..., yyy... znaczy tak – zaczęła się jąkać. – Nikomu nic nie mówiłam..., przysięgam.

– To dobrze – postawiła przewrócone krzesło. – Może to nawet lepiej, że wiesz, kim jestem. Przecież i tak w końcu byś się tego dowiedziała – przez chwilę patrzyła Mildreth w oczy, wreszcie się uśmiechnęła. – Więc będziemy przyjaciółkami?

– Ale ty jesteś duchem – powiedziała ze strachem w głosie.

– A czy duch umie zrobić tak – podskoczyła do góry. – Lub tak – zakręciła się w koło, sprawiając, iż sukienka poszybowała w górę. – Widzisz – zatrzymała się. – Zresztą jak chcesz, możesz mnie uszczypnąć.

– No nie wiem.

– Śmiało – wystawiła rękę przed siebie.

Mildreth ostrożnie dotknęła jej dłoni, zupełnie jakby miała chwycić rozżarzone polano.

– A teraz szczyt – powiedziała dziewczynka, przymykając w oczekiwaniu oczy.

Mildreth zebrała resztkę odwagi, ściskając paznokciami białą skórę i wtedy Abigail doskoczyła do niej.

– Uhh – rozczapierzyła palce tuż przed jej twarzą.

– Aaa! – krzyknęła, potykając się o balię i wylądowała na stercie brudnego prania.

– Ha, ha, żebyś widziała swoją minę. Wybacz, ale nie mogłam się powstrzymać – wyciągnęła rękę, aby pomóc jej wstać.

Mildreth z wahaniem chwyciła dłoń.

– Więc ty naprawdę żyjesz?

– Tak.

– To, czemu wszyscy sądzą, że umarłaś?

– Ponieważ... – wstrzymała głos. – Chyba ktoś idzie. Przyjdę do ciebie wieczorem, to ci wszystko powiem.

– Dobrze, ale...

Abigail podbiegła do drzwi, przeszła przez próg, cofnęła się do pralni i w tym momencie wejście zasnuła pływająca mgła, taka sama, jaką Mildreth

widziała wczorajszego popołudnia na piętrze domu. Dziewczynka śmiało wkroczyła w mleczną zasłonę, znikając razem z nią.

– Co to za hałasy? – spytała Brittanica, pojawiając się w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą stała Abigail.

– Yyy...

– Mowę ci odjęło?

– Yyy..., hałasy?

– Nie próbuj robić ze mnie głupiej.

– Ja nie chciałam. Przepraszam – pokornie pochyliła głowę.

– Więc odpowiadaj.

– To krzesło, przewróciło się.

– Krzesło? – popatrzyła zdziwiona na stojący obok mebel. – Mówię o wrzaskach, które stąd dochodziły. Ktoś tu był? – weszła do środka, bacznie się rozglądając.

– Nie panno Bennett, to ja krzyczałam.

– Ty, a z jakiegoż to powodu stawiasz cały dom na nogi?

– Bo, wystraszyłam się.

– Jakoś nie widzę tu nic strasznego, poza tą potworną stertą prania – rozrzuciła noga brudną pościel, po czym wbiła spojrzenie w służącą.

– Ja... – myśl Mildreth, myśl, poganiała siebie. – Mysz, to była mysz.

– Boisz się małej myszki?

– Ona była duża, taka – pokazała rozmiar rękoma. – To chyba był szczur.

– Szczur? – mimowolnie zadrżała, lustrując szybko podłogę. – Tylko tego nam brakowało – ponownie kopnęła stertę prania, lecz tym razem zrobiła to znacznie ostrożniej. – Jeśli go znowu zobaczysz, po prostu go zabij, a nie wrzeszcz. Krzyk na te paskudztwa nie działa – ruszyła prędko do wyjścia, cały czas patrząc pod nogi. – I skończcie wreszcie to pranie – rzuciła za siebie.

\*\*\*

Miała nadzieję, że na dzisiaj, to już wszystko. Choć nigdy nie można było być tego pewnym. Brittanica twierdziła, że skoro ona może pracować przez całą dobę, to nie widzi żadnego powodu, aby inni nie pracowali równie długo, a zważywszy fakt, iż praca służącego z definicji polega przede wszystkim na służeniu, więc należy być gotowym o każdej porze dnia i nocy, by bez szemrania wypełniać należne sobie obowiązki. Mildreth ziewnęła, przesuwając metalowy świecznik z tłącą się końcówką świecy w

głęb drewnianego stolika, aby zrobić miejsce na mały talerzyk z kilkoma kawałkami ciasta, które udało jej się uzyskać od Hortense.

– Cześć.

Poderwała się, słysząc dobiegający zza pleców głos.

– Ale mnie wystraszyłaś – powiedziała, trzymając rękę na rozdygotanej piersi. – Myślałam, że mi serce pęknie.

– Przecież mówiłam, że przyjdę – odparła Abigaile.

– Wiem, ale wchodzisz tak nagle i w dodatku przez zamknięte drzwi.

– U mnie były otwarte.

– Hmm..., no tak, ale jednak wolałabym, żebyś wchodziła, no wiesz..., normalnie.

– Zobaczę, co da się zrobić – mówiąc, to przechyliła się na bok, aby móc zajrzeć za plecy Mildreth. – Co to, ciasto?

– Przyniosłam trochę sernika. Chcesz?

– Super, uwielbiam sernik – klasnęła z zachwytem, podeszła do stołu, chwyciła duży kawałek w rękę i usiadła na drewnianym krześle. – Tam nie ma takich rzeczy.

– Tam?

– No wiesz, po drugiej stronie – widząc wielkie oczy Mildreth, dodała. – Znaczy w tym drugim domu, tam gdzie byłaś.

– To, co jesz?

– Nic – odparła z pełnymi ustami.

– Jak to? Przecież trzeba jeść, inaczej można umrzeć.

– Tam nie trzeba. Nie czujesz głodu ani pragnienia. Nic cię nie boli i nie chorujesz. No i czas płynie znacznie wolniej.

– Zauważyłam, jak wróciłam, to Daphne powiedziała, że nie było mnie parę godzin.

– Sama widzisz – skwitowała, wkładając resztkę ciastka do ust.

Mildreth usiadła na łóżku, nie odrywając wzroku od dziewczynki.

– Więc nazywasz się Abigail Griffith?

Długowłosa blondynka przytaknęła głową, gdyż wypchane ciastem policzki nie pozwoliły na nic innego.

– Skoro żyjesz, bo żyjesz? – upewniła się.

Dziewczynka ponownie skinęła głową, wytrwale pracując zębami.

– To, czemu wszyscy mówią, że umarłaś? Nawet twoja mama.

Abigail przełknęła resztkę sernika i powiedziała:

– To wszystko przez Garneta.

– Garneta?



– Tak, zdążyłaś już go poznać, jest moim bratem, ale nie mogę powiedzieć o nim nic dobrego. Odkąd pamiętam, zawsze był dla mnie podły. Traktował mnie jakbym była jego służącą... – zreflektowała się. – Przepraszam, że tak mówię, ale chodzi mi o to, że nigdy nie byłam dla niego siostrą. Ciągłe się mną wysługiwał, wyśmiewał, a nawet bił. Robił to tak, aby nikt nie widział, gdy mówiłam o tym rodzicom, bagatelizowali sprawę, twierdząc, że to są tylko żarty, a Garnet mnie kocha. Pogodziłam się z tym, licząc na to, że w końcu to minie. Cóż... po części miałam rację – uśmiechnęła się smutno. – Wszystko się zmieniło, ale nie tak jakbym sobie tego życzyła.

W moje dziesiąte urodziny mój brat uczynił coś jeszcze. Przebywaliśmy wtedy w Blackwood, moja mama tam się wychowała, a teraz co roku spędzamy tam lato. Jezioro, las, łąki jest tam wszystko, czego zapragniesz. Uwielbiałam tam jeździć... – przerwała, odtwarzając w głowie kolejność zdarzeń. – Nigdy tego nie zapomnę, było wtedy strasznie gorąco, to było najgorętsze lato, jakie pamiętam. Przyszedł do mojego pokoju, mówiąc, że ma dla mnie prezent i że czeka on na mnie w stajni. Ucieszyłam się jak nigdy. Od razu wiedziałam, że to kucyk. Nie mogłam uwierzyć, że brat spełnił moje marzenie. Rzuciłam się mu na szyję, zapominając wszystkie dotychczasowe urazy. Kucyk, będę miała własnego konia. Pobiegliśmy do stajni, sprawdziłam wszystkie boksy, ale kuczka nigdzie nie było. Wtedy Garnet powiedział, żebym weszła do ostatniego boks, a on pokaże mi prezent. Ufna weszłam do środka, a on tylko na to czekał. Popchnął mnie na stertę siana, po czym rzucił się na mnie, przygniatając ciałem do ziemi. Próbowałam się wyrwać, ale był zbyt silny... – przerwała, ciężko oddychając. – A potem zdjął spodnie i... – łyzy pociekły jej po policzkach.

Mildreth pochyliła się do przodu, chwytając dziewczynkę za dłonie.

– To straszne, przecież to twój brat, a ty jesteś dzieckiem... Odkąd go zobaczyłam, wiedziałam, że to świnia – przez chwilę siedziała w milczeniu, głaszcząc delikatnie dłonie Abigail. – Powiedziałaś rodzicom?

– Nie od razu – pociągnęła nosem. – Za bardzo się wstydziałam. Przez kolejne tygodnie przychodził do mnie nocami. Robił to znowu i znowu. Mówił, że powinnam być mu wdzięczna, gdyż dzięki niemu poznałam świat seksu, który w przeciwnym razie byłby dla mnie niedostępny. Tyle że ja wcale nie chciałam go poznawać – głośno pociągnęła nosem. – Zamykałam drzwi na noc, barykadując je krzesłami, ale gdy nie mógł przyjść do mnie wieczorem, napastował mnie w ciągu dnia, zawsze znajdując jakąś sposobność. W końcu nie wytrzymałam i powiedziałam wszystko mamie,

ale ona mnie tylko zrugła, twierdząc, iż wszystko zmyśliłam, chcąc odegrać się na bracie.

– A co na to pan Walter?

– Tata nigdy niczym się nie przejmował, każdą rzecz pozostawiając w gestii mamy. Kiedy Garnet dowiedział się, że wszystko opowiedziałam rodzicom, wpadł w furję, kiedy nikt nie widział, zaciągnął mnie do pokoju..., zrobił mi to, co zwykle..., a potem wyjął nóż, przyłożył mi go do piersi i pociągnął – przesunęła palcem po skrytej pod sukienką bliźnie. – I dodał, że jeśli pisnę chociaż słowo, następnym razem obetnie mi całą pierś. Przez następne tygodnie znęcał się nade mną przy każdej nadarzającej się sposobności. Stawał się coraz bardziej brutalny. Podczas swoich zabaw wbijał mi w ciało różne przedmioty: nóż, nożyczki, czasem nawet świecznik. Pewnego dnia, gdy Garnet skończył się ze mną zabawiać, zaczęłam płakać i wtedy do pokoju weszła Hortense.

– Pani Moore?

– Tak, widziała wychodzącego Garneta, a potem usłyszała mój płacz. Zrozumiała, że wydarzyło się coś złego i chciała powiedzieć o tym mojej mamie. Błagałam ją, żeby tego nie robiła. Mówiłam, że i tak jej nie uwierzy, a ja zostanę za to ukarana przez brata, ale ona nalegała, więc wszystko jej opowiedziałam. Hortense odparła, że nie można tego tak zostawić. Następnego dnia przysłała do mnie i powiedziała, co mam zrobić. Poszłam nad wodę, wypchnęłam łódkę na jezioro, a następnie wrzuciłam do niego swój kapelusz. Po czym schowałam się w lesie w ustalonym wcześniej miejscu. Po paru godzinach pojawiła się Hortense. Powiedziała, że wszyscy poszli mnie szukać, więc rezydencja jest pusta i możemy wracać. Poszliśmy do mojego pokoju, wtedy Hortense zrobiła to samo co ja wczoraj.

– To ona wie? – Mildreth wytrzeszczyła oczy.

– Oczywiście, to ona mnie ukryła.

– Ale gdy mówiłam jej o tobie, powiedziała, że nie żyjesz.

– Ponieważ chciała mnie chronić, tylko ona wie, co się tak naprawdę wydarzyło. Wszystko było dobrze, ale teraz on musiał wrócić

– Więc od lata mieszkasz, hmm... tam, tu? – rozłożyła ręce, nie mogąc dobrać odpowiedniego słowa.

– Tak, tyle że nie od tego. To wydarzyło się prawie dwa lata temu.

– Dwa lata? Przecież to jak więzienie.

– Niezupełnie – uśmiechnęła się. – Tam czas płynie znacznie wolniej, ja czuję, jakby minęło dopiero parę miesięcy, poza tym czasem odwiedzam Blackwood, gdy nikogo tam nie ma. Wtedy nie muszę się ukrywać, mogę

wyjsć na zewnątrz, chodzę do lasu lub nad jezioro. Byłam tam w zeszłym tygodniu.

– W jaki sposób, przecież musiałybyś tam jakoś dojechać.

– To, akurat nie jest trudne. Wystarczy, że przejdę przez drzwi.

– Jak to możliwe?

– To całkiem proste. Drzwi nie tylko przenoszą do tego samego miejsca w innym świecie, ale również do miejsca, w którym byłaś, i które potrafisz przywołać w myślach. Tak więc, jeśli będę chciała znaleźć się w salonie w Blackwood, to wtedy to miejsce pojawi się po drugiej stronie mgły.

– To jest niesamowite – wytrzeszczyła oczy. – Więc jeśli będę chciała znaleźć się w Londynie, to za drzwiami będzie Londyn?

– Nie, to tak nie działa. Drzwi pomagają podróżować między światami, tak więc najpierw musisz przenieść się do tego miejsca, w którym jesteś. Czyli jeśli przejdiesz przez te drzwi – wskazała wejście do pokoju Mildreth. – Pojawisz się na korytarzu w tym domu, ale w drugim świecie. – Następnie musisz przypomnieć sobie miejsce, w którym byłaś. Wtedy przechodząc przez mgłę, znajdziesz się tam, gdzie chcesz. Więc pojawisz się w Londynie, tylko wtedy, jeśli byłaś tam w rzeczywistości. A, no i najważniejsze, wysłaś tak szybko, że nie zdążyłam ci o tym powiedzieć. Gdy zrobisz krok do przodu, zawsze musisz powiedzieć:

Kiedy ciężko, gdy jest źle  
Wkraczaj śmiało w gęstą mgłę  
Tam nie zaznasz nigdy głodu  
Koniec strachu, koniec chłodu

– Inaczej przejście się nie otworzy – dodała Abigail.

– Przecież to zwykła wyliczanka – powiedziała ożywiona Mildreth. – Znam ją, dziewczynki obok często ją śpiewają.

– Kate i Marcy Carter, kiedyś często się z nimi bawiłam – uśmiechnęła się na wspomnienie wspólnych zabaw.

– Ale skoro jest taka znana, to czemu inni nie korzystają z tych drzwi?

– Bo najpierw muszą wiedzieć, że coś takiego w ogóle istnieje, a potem wiedzieć, jak przez nie przejść i mieć świadomość, że ten wierszyk do czegoś służy. Dlatego pamiętaj, zawsze, gdy korzystasz z przejścia, wyliczankę powtarzaj w myślach, nigdy na głos, wtedy nawet, jeśli ktoś przypadkowo zobaczyłby, co robisz, nie będzie w stanie tego powtórzyć, gdyż nie będzie świadomy, że trzeba uczynić coś jeszcze, poza kilkoma krokami.

Mildreth skinęła w milczeniu głową, chłonąc dopiero co nabytą wiedzę.

\*\*\*

Pomny swej ostatniej porażki, tym razem do nocnej eskapady przygotował się znacznie lepiej. Po południu udał się na ostatnie piętro, aby rozeznaczyć się w rozkładzie służbówek i teraz będąc pewnym, iż jego cel znajduje się za trzecimi drzwiami po prawej stronie, ostrożnie macając po omacku tapetę, dotknął drewnianej futryny, przed którą stał w blasku światła jeszcze parę godzin temu. Przyłożył ucho do drzwi, starając się wyłowić jakiegokolwiek dźwięki. Nie wychwytyjąc żadnych niepokojących odgłosów, delikatnie zapukał do drzwi. Odczekał parę sekund i ponownie stuknął palcem w drewno, tym razem nadał uderzeniom trochę więcej siły.

– Kto tam? – dobiegł z wnętrza dziewczęcy głos.

– To ja..., Walter – dodał po lekkim wahaniu. Usłyszał jakiś ruch, a następnie w lekko uchylonych drzwiach ujrzał twarz Daphne.

– W czym mogę panu pomóc?

– Mam coś dla ciebie – szepnął.

– Dziękuję, ale to chyba nie najlepsza pora, jest już późno i...

– Myślę, że pora jest wręcz idealna. Czy mogę wejść?

– Jestem sama i nie powinnam nikogo wpuszczać do środka, to nie wypada.

– Więc wyjdź do mnie.

– Ale ja jestem... – zarumieniła się. – Tylko w koszuli.

– Zatem ja wejdę do ciebie, gdyż nie powinnaś w takim stroju paradować po domu – wysunął stopę, blokując drzwi. – To potrwa tylko chwilę – uśmiechnął się, ukazując górny rząd zębów.

– Ale ja jestem sama.

– Mi to nie przeszkadza – delikatnie napał na drzwi, łamiąc w ten sposób słabnący opór pokojówki. – Mam coś, co powinno ci się spodobać – wyjął z kieszeni perfumy, zamykając drugą ręką drzwi.

– To dla mnie? – spytała, wpatrując się w buteleczkę.

– Tak – otworzył flakon, wylewając parę kropli na palec wskazujący i dotknął nim skóry Daphne, przesuwając go po szyi w stronę dekoltu. – Czujesz?

– Ślicznie pachną.

Pochylił się nad dekoltem, delektując zapachem.

– Tak jak ty – pociągnął nosem, mrużąc przy tym oczy. – Miałem wrażenie, że im czegoś brakuje, teraz wiem, iż ostatnim składnikiem jest

woń twego ciała. Hmm..., idealna kompozycja.

– Panie Griffith.

– Dla ciebie Walter – odparł zmysłowo, muskając ustami bladą skórę służącej.

– Ja... – odruchowo zrobiła krok do tyłu.

– Też to czujesz? – przybliżył się do Daphne. – Możesz mieć co...

– Panie..., Walterze – uśmiechnęła się uwodzicielsko. – Jeśli tylko... – poczuła napierającego na nią adoratora, zarzuciła mu ręce na szyję i w tym momencie zachwiała się, upadając na łóżko, ciągnąc za sobą rozanielonego nocnego gościa. Rozległ się trzask łamanych desek, w jednej chwili wylądowali na podłodze. Leżąc na materacu w szczątkach tego, co jeszcze przed sekundą było łóżkiem.

– Co się stało? – jęknął, przekręcając się na bok.

– Chyba łóżko się zarwało – odparła, lekko oszołomiona.

Walter wsparł się na ręce, podnosząc na kolana.

– Ale boli – stęknął, masując ręką lędźwie.

– Pomogę... – wstrzymała głos, słysząc dochodzące z korytarza głośne kroki.

Chwilę później rozległo się pukanie poparte stanowczym głosem.

– Daphne, co się dzieje?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, drzwi rozwarły się na oścież, ukazując spowitą blaskiem świecy twarz Brittanici.

– Co to za hałas? – spytała, wysuwając przed siebie lichterz, aby móc lepiej oświetlić pomieszczenie.

– Coś się stało z łóżkiem, chyba się zarwało – odparła Daphne, gramoląc się wśród połamanych desek.

– Zarwało? Jak ty... – przerwała, widząc sylwetkę, klęczącego na podłodze mężczyzny. – A któż to? Dobrze wiesz, że sprowadzanie kawalerów nie będzie w żaden sposób tolerowane. Możesz resztę nocy wykorzystać na pakowanie swoich manatków, to twoje ostatnie godziny pod tym dachem, a pan niech się stąd wynosi – mówiąc to, chwyciła pątnika za koszulę. – Nim zawołam... – zaniemówiła, widząc znajomą twarz.

Walter wstał, wspierając się na stoliku.

– Hmm... Panno Bennett – lekko chrząknął. – Dobrze panią widzieć. Właśnie przechodziłem korytarzem, gdy usłyszałem ten potworny łomot.

– Tak, ale... – zmarszczyła brwi, starając się coś zrozumieć.

– Widzę, że panią również obudził ten hałas.

Odparła skinieniem głowy.

– Nic się pani nie stało? – słowa skierował do wciąż leżącej w resztkach łóżka Daphne.

– Nie, dziękuję, ale... – spojrzała wymownie na połamane deski.

– Proszę się tym nie przejmować. Najważniejsze, że nic się pani nie stało – wyciągnął rękę do służącej. – Pozwoli pani, że pomogę jej wstać – poczekał, aż chwyci dłoń i podciągnął dziewczynę do góry. – Właśnie do pani szedłem – tym razem odwrócił się do wciąż odębiałej Bennett. – Chciałem omówić z panią pewną kwestię, ale w tym wypadku, pewnie będzie pani zajęta.

– Nie, nie słucham – obudziła się z otępienia.

– Uhh..., to nic pilnego, są teraz ważniejsze sprawy – skinął głową na resztki łóżka. – Skoro pani już tu jest, nie jestem dłużej potrzebny... porozmawiamy jutro – poprawił koszulę, wymijając Brittanice.

\*\*\*

Po dwóch godzinach tułaczki po wąskich uliczkach oraz niezliczonych zaułkach, w końcu Magnus znalazł całkiem przyjemny kąt. Jeśli można było tak nazwać załom muru pomiędzy dwoma domami. Wiatr prawie tam nie docierał, a kamienny mur był prawie suchy, ale najważniejsze było to, iż to miejsce było niczyje i świetnie nadawało się na nocleg. Wbrew pozorom nie było łatwo znaleźć tak wykwintne lokum. Wszystkie lepsze lokalizacje miały już swoich stałych lokatorów, którzy potrafili bezpardonowo walczyć o każdy cal swej posesji. Magnus podciągnął nogi, chowając je pod swoim ponchem i obejmując je rękoma, przymknął oczy. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie powinien wrócić do domu, ale szybko odrzucił tę myśl, gdy wyobraźnia zaczęła podsuwać mu obraz rozkładającego się ciała Knighta

## XIV

- Ej, myślisz, że nie żyje? – rzucił rudzielec do stojącego obok kumpla, a para z ust owiała mu twarz, rozpędzając na boki poranny mróz.
- A bo ja wiem, jak dla mnie wygląda na trupa – odparł umorusany chudzielec.
- Weź, sprawdź.
- A co to? Sam nie możesz.
- Tchórz.
- Sam jesteś tchórz – podszedł do leżącego na ziemi skulonego ciała i kopnął w podeszwę przyprószonego śniegiem buta. – Nic, nie rusza się.
- Prawdziwy z ciebie lekarz – zakpił rudzielec. – Sprawdźmy, czy coś ma, zanim inni go znajdą.
- Ja biorę koc, przyda się, będzie w sam raz na noc.
- Jemu jakoś nie pomógł – zaśmiał się. – Ale najwidoczniej nie wiedział, do czego służy, skoro zrobił w nim dziurę na łeb.
- I tak go wezmę – odparł niezrażony złośliwą uwagą chudzielec.
- To ja biorę buty – pochylił się na ciałem. Złapał za zdartą podeszwę, próbując je ściągnąć. – Mocno zawiązał – rzucił do kolegi. Nagle poczuł, że noga wyrywa mu się z rąk. – Ty on żyje.
- I co z tego. Zabieraj buty – rzucił chudy jak szczapa chłopak, szamocząc się z kocem, przewiązany sznurem wokół pasa leżącego na ziemi chłopca. Magnus przebudził się, czując szarpnięcie za nogę. Otworzył oczy i od razu zobaczył dwóch osobników walczących z jego odzieżą.
- Zostawcie mnie – powiedział półprzytomnie.
- Młodzi grabieżcy wymienili między sobą spojrzenia, intensyfikując już rozpoczęte czynności.
- To moje! – zawołał Magnus, wierzgając nogami.
- Już niedługo – rudzielec nie zwracając uwagi na Magnusa, szamotał się z zawiązanymi na supeł sznurówkami.
- Pomocy!
- Zamknij się, bo ci sami pomożemy – zagroził chudy, zakrywając brudną dłonią usta Magnusa.
- Mmm... – jęknął, starając się wyswobodzić. Czuł, że zaczyna mu brakować powietrza. Otworzył szerzej usta, zanurzając zęby w umorusanym paluchu napastnika.

– Auu! – zawył chudzielec z bólu, zabierając rękę. – Ten gówniarz mnie ugryzł – rzucił z niedowierzaniem. – Czekaj już ja ci pokażę – zamachnął się, uderzając Magnusa pięścią w twarz.

Głowa chłopca odskoczyła do tyłu, lądując na pokrytych lodem kamieniach. Oszołomiony zamrugał oczami, starając się nie stracić przytomności.

– Pospiesz się – ponaglił rudzielec, ściągnając pierwszego buta, odrzucił go na bok i zabrał się za drugiego.

Chudzielec zrezygnował z rozwiązywania sznura, chwycił koc, wyszarpując go cał po calu, spod opasającej talię brudnej liny. Magnus w rozpaczy złapał poncho, ciągnąc je w dół. W tym momencie poczuł pod fałdami pledu coś twardego. Coś, o czym kompletnie zapomniał. Nóż, pamiątka po nocnej ucieczce. Niewiele myśląc, chwycił go za rękojeść, wyszarpując spod koca i przeciął nim powietrze przed sobą.

– Zostaw mnie! – krzyknął, wywijając ostrzem, jakby machał packą, próbując zabić natrętną muchę.

– On ma nóż! – zawołał chudzielec, odskakując do tyłu.

Jego kompan puścił buta, oceniając ich szanse.

– Co z tego, nawet nie wie, co z nim zrobić – zawyrokował.

– Idźcie stąd! – wrzasnęła Magnus, starając się podnieść. Lewą ręką oparł się o murek, powoli wstając. Natomiast prawą, wciąż trzymał przed sobą, eksponując nóż w drżącej dłoni.

– Uuu, ale groźny – zaśmiał się kpiąco ryży chłopak. – Patrz na jego rękę, tak mu lata, że zaraz sam wypuści ten kozik – zrobił kroczek w stronę Magnusa. – Oddawaj te gałgany pókim dobry, nóż też, bo jeszcze się skaleczysz.

Przez chwilę mierzyli się spojrzeniem, w końcu rudzielec, widząc, iż jego przemowa nie osiągnęła spodziewanego rezultatu, zrobił kolejny krok w stronę swojej ofiary. Magnus bliski paniki na oślep machnął nożem, rozcinając napastnikowi skórę na dłoni.

– Auu..., coś ty mi zrobił szczeniaku – zawył, patrząc na krew, lejącą się strumieniem na śnieg. – Już ja cię urządzę – czerwony ze wściekłości zamachnął się ręką.

Magnus z oczami wielkimi ze strachu zamienił rękę w skrzydło od wiatraka, wywijając nią na wszystkie strony. Wymachiwał nią tak szybko, że tylko wytrawne oko mogło dostrzec, gdzie w danej chwili znajduje się ostrze. Na swoje nieszczęście rudzielec nie posiadał takiej umiejętności. Nóż przeorał mu twarz, gładko przecinając policzek i odsłaniając białą kość nosa.

– Auuaa!! – tym razem krzyk wybrzmiał echem spotęgowanym przez pobliskie kamienice, podrywając na równe nogi wszystkich, których nie



przebudził poranny brzask. Rudzielec złapał się za twarz, wściekle wyjąc.

– Kurwa, masz całe ręce we krwi – chudy kamrat wytrzeszczył w niedowierzaniu oczy.

– Zostawcie mnie, zostawcie! – Magnus ruszył do przodu, wciąż wymachując bez opamiętania nożem.

– Aaaa..., moja twarz.

– Lepiej stąd spadajmy, to jakiś wariat – powiedział chudzielec, obejmując kompana ramieniem.

Magnus odprowadził ich przerażonym wzrokiem, poczekał, aż znikną za rogami i dopiero wtedy wyczerpany osunął się na ziemię. Podciągnął do siebie leżącego obok buta. Zerknął w bok, upewniając się, że nikt nie nadchodzi i odłożył nóż. Roztrzęzionymi rękoma zaczął zakładać zerwane przez rudzielca obuwie.

\*\*\*

Kupiła chleb, jakieś warzywa i trochę łakoci. Nie za dużo, ale wystarczająco by zapełnić do połowy dwa koszyki. Szła powoli, choć ciężar nie był zbyt duży. Nie spieszyła się, musiała załatwić jeszcze jedną najważniejszą sprawę.

Zatrzymała się w połowie ulicy, odstawiając z ciężkim westchnięciem zakupy na ziemię. Wyprostowała plecy, masując ręką obolały krzyż. Poranna mgła wciąż otulała miasto delikatną powłoką, sprawiając wrażenie, że brodzi się w rozwodnionym mleku. Usłyszała jakiś szmer. Spojrzała w prawo, badając wzrokiem pobliski zaułek. Od razu dostrzegła dwoje dzieci w podartych kapotach, obserwujące ją wygłodniałym wzrokiem. Przez chwilę mierzyła je wzrokiem, zastanawiając się co zrobić. Wreszcie uniosła rękę, kiwając do nich dłonią.

– Chodźcie – zachęciła ruchem głowy.

Dziewczynka spojrzała na wyższego o pół głowy chłopca, czekając na jego reakcję. Ten przez moment się wahał, w końcu jednak wykonał pierwszy krok.

– Jesteście głodne? – spytała kobieta, poprawiając wełnianą chustę na głowie.

Dzieci zbliżyły się do niej ostrożnym krokiem.

– Mam coś dla was – pochyliła się nad koszem, rozgrzebując jego zawartość. – Proszę – wystawiła dłoń z dwoma ciasteczkami.

Dziewczynka chwyciła szybko smakołyk i włożyła cały do ust.

– Jeśli pomożecie mi z tymi zakupami. Dam wam więcej jedzenia. Co wy na to? To niedaleko – zachęciła.

Dziewczynka spojrzała pytająco na chłopca, który skinął głową.

– Dobrze – odparła zadowolona.

Chłopak chwycił oba kosze, dziarsko podnosząc je do góry.

– Tylko mi z tym nie ucieknij.

– Proszę się nie martwić, Jimmy nie kradnie – powiedziała dziewczynka.

– To mnie bardzo cieszy, a jak ty masz na imię?

– Betty.

– Zatem chodźmy, to w tamtą stronę – pokazała ręką kierunek.

W milczeniu przeszli na drugą stronę ulicy.

– Mieszka pani w dużym domu? – spytała Betty, zadzierając głowę, aby obejrzeć poszczególne budynki.

– To zależy co uznać za duży.

– No taki z piętnaście i kilkanaście pokojami – podniosła do góry rękę demonstrując rozmiar domu.

– Na pewno jest większy, niż pokazałaś.

– Jejciu..., a jest podobny do tego – pokazała palcem mijaną właśnie kamienicę.

– Troszkę.

– To jest ogromny.

– Dla ciebie pewnie tak, ja jestem większa, więc nie wydaje mi się, że jest tak duży – spojrzała na idącego z tyłu chłopca. – Milczący jest ten twój kolega.

– To nie kolega, to mój brat – odrzekła z dumą. – Odkąd nasi rodzice zmarli, rzadko się odzywa..., ale jest bardzo fajny.

– Nie wątpię. O, to już niedaleko – weszła w wąską uliczkę biegnąca na tyłach rzędu kamienic. Podeszła do trzecich z kolei drzwi. Otworzyła je kluczem. – Zapraszam – weszła do środka, kierując się prosto do kuchni.

– Ale tu ładnie – powiedziała do siebie Betty.

– Jimmy, czy mógłbyś postawić te koszyki na stole?

Chłopiec bez słowa wykonał polecenie. Kobieta zaczęła powoli wyjmować zakupy. Wzięła chleb i odkroiła grubą pajdę.

– Masz – wręczyła przylepkę chłopakowi.

W tym momencie w drzwiach pojawił się elegancko ubrany mężczyzna.

– Widzę, że zdobyłaś wszystko, co potrzeba – patrząc na chłopca, skinął aprobowująco głową, następnie obrzucił wzrokiem kuchnię i widząc stojącą z boku dziewczynkę, dodał. – Hmm..., a nawet więcej – posłał uśmiech do zerkającej na niego nieśmiało Betty.

\*\*\*

Wciąż roztrzęsiony Magnus snuł się po wąskich uliczkach, starając się poskładać myśli. Musiał coś wykombinować, w przeciwnym razie czekała go kolejna noc pod chmurką, a to zważywszy poranną przygodę, niezbyt mu się uśmiechało. Najprościej byłoby znaleźć nową pracę, ale łatwe było to jedynie w teorii. Pracy było jak na lekarstwo, a chętnych na nią wprost przeciwnie. Oczywiście mógł liczyć na łut szczęścia, kiedy to praca sama go znajdzie, tak jak stało się to nad rzeką. Choć, akurat w tym przypadku zaoferowane zajęcie było fikcją, a chęć zarobienia paru szylingów omal nie została przyplacona życiem. W mieście znał tylko Knighta, ale ten temat był już zamknięty. Zatrzymał się na chwilę, aby poprawić sznur opinający dziurawy koc. W tym momencie jego wzrok zatrzymał się na wiszącym po drugiej stronie ulicy szyldzie, przedstawiającym łeb jakiegoś rogatego zwierza.

– Przepraszam psze pana – Magnus skłonił się przed przechodzącym obok jegomościem. – Czy może mi pan powiedzieć, co tam jest napisane? – wskazał palcem dyndający nad wejściem zbitek desek.

Mężczyzna spojrział z politowaniem na chłopca.

– "Gospoda pod czerwonym bykiem", jeśli nie umiesz czytać, to spójrz na ten rysunek od razu widać, że to... – zawiesił głos. – Koza? Kto tak bazgroli? Nic dziwnego, że miałeś wątpliwości..., tak czy inaczej „Pod bykiem” – ruszył przed siebie.

– Przepraszam psze pana, a gdzie jest zajazd „Pod starym dorszem” – zawołał, biegnąc za oddalającym się mężczyzną.

– Musisz iść tędy – machnął ręką w prawo. – Do końca ulicy, potem w lewo, miniesz dom, który wygląda jak wielka szopa, a dalej już będziesz wiedział.

– Dziękuję psze pana – ponownie się uklonił i bez zwłoki ruszył we wskazanym kierunku. Pięć minut później stał obok drewnianego budynku. Wprawdzie określenie szopa było mocno przesadzone, ale nazwanie konstrukcji lepiej niż rudera mijaloby się z prawdą. Dalej będziesz wiedział – przypomniał sobie wskazówkę. Mętna informacja okazała się niewiarygodnie trafna. Wystarczyło spojrzeć na szereg podpitych osobników, co rusz wchodzących lub wychodzących z domu stojącego kilkanaście jardów dalej, by mieć pewność, że znalazło się odpowiedni adres. Nad drzwiami wisiał drewniany szyld z malowidłem ryby, który huśtał się leniwie poruszany przez lekki wiaterek.

– Przepraszam psze pana, czy to „Stary dorsz”? – spytał idącego chwiejnym krokiem obszarpańca.

– Ypp..., ta, ypp... – odparł pomiędzy czknięciami.

– Dziękuję psze pana – wygładził okrywający go koc, robiąc przy tym głęboki wdech dla dodania sobie animuszu i wszedł do środka.

Wewnątrz panował spory harmider, tworzony przez wrzaski i gromkie bekania miejscowych opojów. Magnus począł przedzierać się przez gawieź, szukając znajomych twarzy, wśród czerwonych przepitych obliczy. Zrobił dłuższy krok, przechodząc nad leżącym pomiędzy ławami pijakiem. Spojrzał w dół, aby upewnić się, czy nie ma przypadkiem do czynienia z Orrisem, jednak chudzielec w żaden sposób nie przypominał wysokiego kompana Knighta.

– Hej chłopcze, przynieś mi piwa – wymamrotał grubas, trzymając się blatu, aby nie pójść w ślady leżącego na podłodze gościa.

– Do mnie pan mówi? – spytał Magnus, wskazując palcem na siebie.

– A widzisz tu innego pędraka?

– Ja... – spojrzał na boki, aby upewnić się, że słowa zostały skierowane w jego stronę. – Ja tu nie pracuję psze pana.

– Ypp – głośno czknął. – Właśnie widzę..., ypp... nie licz, że dostaniesz ode mnie złamanego pensa.

– Przepraszam, ale szukam...

– Powiedziałem przecież..., ypp..., żebyś..., ypp... – puścił blat, aby gestykulacją nadać mocy swoim słowom. To był błąd, zachwiał się i wylądował na ziemi, zdążając jeszcze czknać, zanim spotkał się z obrzyganymi deskami.

Magnus wykorzystał zamieszanie, znikając pomiędzy bywalcami gospody. Pięć minut później był pewien, że na sali nie ma tych, których szukał. Podszedł do baru i stanął na palcach, aby być choć trochę widocznym dla stojącego po drugiej stronie kontuaru mężczyzny.

– Dzień dobry.

– Czego chcesz chłopcze?

– Szukam madame Lorabelle.

– Madame? – zaśmiał się, podając klientowi butelkę ginu. – Hej Rachel, słyszałaś? – odwrócił się do stojącej na końcu blatu kobiety. – Ten dzieciak szuka madame Lorabelle.

– Ha, ha, ha – parsknęła śmiechem, opluwając stojący przed nią kufel, nie zważając, na pływającą w piwie ślinę, podała je klientowi. – Dobrze – zbliżyła się do Magnusa. – A czego to chcesz od madame? – celowo przeciągnęła ostatnie słowo.

- Muszę z nią porozmawiać.
  - A o czym to przystojniaczku, czyżbyś był jej nowym absztyfikantem?
  - Eee..., asztyfiii...? – zmarszczył brwi.
  - Pytam, czy jesteś jej nowym chłopakiem? – szturchnęła męża łokciem.
  - Ja? – spłonął rumieńcem, nerwowo przestępując z nogi na nogę.
  - Przecież nie ja. Wiedz, że to jest porządny lokal i nie życzymy sobie jakichś schadzek.
  - Ja tylko..., madame... – przełknął ślinę, szukając odpowiedniego słowa.
  - Pamiętaj, co powiedziałam, żadnych numerków – rzuciła groźnie, pochylając się nad kontuarem, aby wejrzeć Magnusowi w oczy i po chwili wybuchła gromkim śmiechem. – Dick widziałeś jego minę.
  - Ha, ha..., zostaw dzieciaka widać, że w tych sprawach jest kompletnie zielony – machnął lekceważąco ręką.
  - To zupełnie jak ty – zadowolona klepnęła męża w ramię.
  - Za to ty, swoje doświadczenie zbierałaś na wszystkich w okolicy – odwrócił się w jej stronę, cedząc słowa przez zaciśnięte zęby.
  - I wszyscy byli lepsi od ciebie – zripostowała szybko.
  - Ale od ciebie trudno znaleźć lepszą, żadna nie obskoczyła tyłu brudnych, śmierdzących i zarzyganych opojów.
  - Mam praktykę, w końcu mieszkam z tobą.
  - Oby już niedługo.
  - Codziennie się o to modłę.
  - Myślisz, że takiej dziry ktoś wysłucha?
  - Zdechłbyś tu beze mnie.
  - Wszystko, co bez ciebie będzie przyjemnością.
- Rachel podparła się pod boki, sapiąc przez nos jak wściekły byk.
- A ty, co tu jeszcze robisz? – ryknęła na chłopca.
- Magnus przełknął głośno ślinę.
- Ja do madame Lorabelle...
  - Na piętrze trzecie drzwi po prawej! – machnęła ręką, odwracając się do męża. – A ty stary capie, dziękuj bogu za taką żonę jak ja!
  - Chętnie bym podziękował, gdyby było za co!
  - Już ja ci powiem za co, ty cholerny...
- Magnus biegł już na górę, przeskakując po kilka stopni. Wpadł na wyłożony brudnym popękany drewnem korytarz, przeliczył drzwi. Raz, dwa, trzy, zatrzymał się przed ostatnimi w rzędzie. Wypuścił powietrze z płuc i zapukał. Odczekał chwilę, nie doczekawszy się zaproszenia, ponownie uderzył kłykciami w drzwi.
- Czego? – rozległ się głos zza ściany.

– Dzień dobry..., czy to pokój madame Lorabelle?

– Czego pytam?

– Hhh... – odchrząknął, zbierając się na odwagę. – To ja Magnus! – odczekał zdających się trwać wieczność kilkanaście sekund.

– Kto?!

– Magnus, pomocnik Knighta!

Kolejne pół minuty ciszy, przerwane trzeszczeniem desek. Spowodowanym przez przesuwające się po nich stopy. Kilka sekund ciszy i zgrzyt otwieranego zamka zakończony otwarciem skrzypiących drzwi.

– A, to ty – odparła Lorabelle. – Wejdz – cofnęła się w głąb pokoju, aby spocząć na łóżku wśród wymiętej pościeli. – Co tam u ciebie słyhać?

– Dzień dobry – odparł, wślizgując się nieśmiało do pokoju.

– Zamknij drzwi – odrzekła, podciągając się do wezgłowia, aby spokojnie spocząć na położonych na sobie poduszkach.

Magnus stanął przy ścianie, nieświadomie skubiąc rąbek swego poncho.

– Mówiła pani, że jeśli będę miał kłopoty, będę mógł do pani przyjść – mówiąc to, badał wzrokiem szparę w podłodze.

– I?

– I..., może ma pani dla mnie jakieś zajęcie – na ułamek sekundy podniósł wzrok, wychwytyjąc spojrzenie Lorabelle.

– Hmm..., pracę... – powiedziała zmęczonym głosem. – Chodź tu mały, no śmiało, przecież cię nie ugryzę – klepnęła materac obok siebie.

Magnus zbliżył się powoli, wciąż penetrując wzrokiem podłogę.

– Siadaj, siadaj – zakomenderowała, podkreślając słowa uderzeniem w łóżko.

Chłopiec przycupnął na skraju materaca.

– Więc chciałbyś trochę zarobić?

– Tak psze pani.

– Zobaczmy, co da się zrobić..., co ty masz na sobie? – szarpnęła prowizoryczne poncho.

– Yyy..., zgubiłem kurtkę i..., to jest koc.

– No, niezły z ciebie krawiec, ale nie wiem, czy moda jest już na to gotowa. Wiesz co, o zobacz tam – machnęła ręką na drewnianą skrzynię stojącą w kącie pokoju. – Powinieneś coś tam znaleźć.

Magnus ostrożnie uniósł wieko. Wewnątrz leżała sterta ubrań, damskich i męskich, wszystkie zmieszane w jednym kotle.

– Jest tam taki czarny kubrak. Wyciągnij go – powiedziała, zakładając nogę na nogę. – Już go nie noszę, pewnie jest na ciebie za duży, ale bez wątpienia jest lepszy niż ten dziurawy koc.

Chłopak nurkował przez pewien czas w stercie ubrań, w końcu wynurzył się ze swoją zdobyczą.

– Śmiało, przymierz – uważnie obserwowała transformację. – Całkiem, całkiem, gdybyś miał dłuższe włosy, byłaby z ciebie ładna dziewczynka. Wyglądasz zdecydowanie lepiej niż w tym czymś – spojrzała na leżący na podłodze szary pled. – Zresztą sam zobacz – ponownie machnęła dłonią tym razem w stronę lustra.

Kubrak zapinał się na rząd wielkich czarnych guzików, rozciągających się od szyi do kolan. Rękawy ozdobione na końcach resztkami wyleńskiego futerka skrywały niemal całe ręce Magnusa, pozostawiając na wolności jedynie czubki środkowych palców.

– Obróć się – zakomenderowała, kreśląc palcem w powietrzu kółko. – Świetnie, na pewno będzie ci ciepło – zmierzyła wzrokiem swoje dzieło. – Mam jeszcze jakiś płaszcz Orrisa, ale jest duże prawdopodobieństwo, że byś się w nim utopił.

– Dziękuję madame, to odzienie jest dla mnie wystarczające.

– Ha, ha, nie jestem żadną madame..., ale jeśli chcesz, możesz tak do mnie mówić.

– Dobrze madame.

– Z każdą chwilą coraz bardziej mi się podobasz – wyszczerzyła zęby. – Jak chcesz, możesz skończyć tego kurczaka – tym razem jej ręka powędrowała w stronę stołu.

– Bardzo chętnie madame – usiadł na stojącym obok krześle, przysuwając je do stołu. Chwycił zimną pozostałość udka, pałaszując je do gołej kości, co chwilę zerkał na swoją dobrodziejkę.

Lorabelle rozciągnęła się na łóżku, splatając ręce za głową i w milczeniu obserwowała chłopaka, który kończył ssać kosteczki będące wcześniej małym skrzydełkiem. Pięć minut później język chłopaka wywijał oberki na przystawionym do ust pustym talerzu.

Nagle drzwi wejściowe otworzyły się z łoskotem.

– Udało się, wszystko sprzedałem – oznajmił od progu, Orris zdejmując płaszcz, upuścił go na ziemię, wślizgując się do łóżka. Chwycił Lorabelle za nogę, mocno ją przy tym ściskając. – Mówiłem, że się uda – wyciągnął z kieszeni zwitek jednofuntówek.

– Nawet przez chwilę w to nie wątpiłam.

Jego dłoń powędrowała w górne rejony gorsetu.

– Myślę, że należy mi się nagroda za tak szybkie załatwienie sprawy – posłał jej, jak mu się zdawało uwodzicielski uśmiech.

– Masz rację, trzeba cię odpowiednio wynagrodzić i mam dla ciebie niespodziankę.

– Tak – przymknął oczy, wysuwając usta do pocałunku.

Odepchnęła go, zrzucając z siebie tak, że z hukiem wylądował na podłodze.

– Co ty wyprawisz? – jęknął z pretensją.

– Nie zachowuj się jak baba, poza tym nie chcesz chyba migdalić się przy dzieciaku.

– Przy jakim... – słowa uwięzły mu w gardle. Spojrzał na drugi koniec pokoju, gdzie przy stole siedział Magnus, wciąż trzymając w ręku pusty talerz. Orris wstał, rozmasowując bolące plecy. – Co on tu robi?

– Przecież widzisz, że siedzi. Uderzyłeś się w głowę czy co? – odparła z przekąsem.

– Dobrze wiesz, o czym mówię. Co ten bachor tu robi? Nie przypominam sobie, żebym go zapraszał – z zaciśniętymi pięściami ruszył w stronę chłopca, który szybko poderwał się z krzesła, ustawiając je jako zapórę pomiędzy nim a napastnikiem.

– Nie musiałeś go zapraszać, ja to zrobiłam.

– Co powiedziałaś?

– Dobrze słyszałeś, jest tu, bo ja tak chcę – rozlokowała się wygodniej na łóżku.

– I po co ci ten gówniarz? – sapiąc, co i rusz przenosił wzrok z Lorabelle na Magnusa.

– Nie mi, tylko nam.

– Że co? Myślisz, że potrzebny mi taki bękart – w dwóch krokach znalazł się przy chłopaku, chwycił go potężnymi, dłońmi unosząc ponad krzesłem. – Takich gnojków...

– Postaw go na ziemi idioto! – krzyknęła, podrywając się z łóżka. – Jeśli nie chcesz, żeby stała ci się krzywda.

Orris już chciał coś odpowiedzieć, ale w tym momencie zobaczył światło odbijającego się od małego noża, który Lorabelle dzierżyła w dłoni. Jednak nie blask metalu skłonił go do natychmiastowego wykonania polecenia, a błysk, który dostrzegł w jej oku. Znał go, znał go, aż za dobrze. Widział go wielokrotnie i nigdy nie zwiastował niczego dobrego, dla tego, kto go w porę nie dostrzegł.

– On tak samo potrzebuje nas, jak my jego – czekała, aż słowa dotrą do mózgu Orrisa, ale najwyraźniej gruba czaszka stanowiła barierę nie do pokonania. – Skąd masz te pieniądze – podrzuciła w ręce zwitek banknotów.

– Przecież wiesz, sprzedałem rzeczy Se... – zerknął na chłopca. – No wiesz komu.



Westchnęła, przewracając oczami.

– Ale skąd miałeś te rzeczy.

– Przecież wzięliśmy, je z...

– Dobra, lepiej się nie męcz, bo w ten sposób będziemy rozmawiać do północy – rzuciła z sarkazmem, chowając niepostrzeżenie nóż w fałdach ubrania. – Zastanów się, weszliśmy do tego domu tylko dlatego, że Knight przyprowadził dzieciaka, a on wszedł przez komin. Inaczej nic byśmy nie mieli. Rozumiesz.

– Ale Knight nie żyje.

– A po cholere nam on, skoro Magnus jest tutaj. Przecież to chłopak odwalił całą robotę.

Orris milczał, trawiąc z wysiłkiem, to co przed chwilę usłyszał.

– Aaaa, więc teraz możemy...

– Zrobić to ponownie – dokończyła za niego Lorabelle. – Więc na razie zostanie tutaj.

– Ale ja nie będę za niego płacił.

– Zapłacisz i jeszcze będziesz mi za to dziękował.

Orris podniósł leżący na podłodze płaszcz i wściekły trzasnął drzwiami, wprawiając je w potężne wibracje. Przez chwilę w pokoju panowała cisza, którą jako pierwszy przerwał Magnus.

– Dziękuję madame, ale nie chcę sprawiać kłopotu i tak dużo pani dla mnie zrobiła – poprawił swoje nowe odzienie.

– Na razie możesz spać tu – pokazała kąt pokoju obok skrzyni. – Weź ten stary koc, który przyniosłeś ze sobą. Później coś wymyślimy.

– Ale pan Orris... – opuścił głowę.

Lorabelle podeszła do chłopca. Palcami uniosła mu brodę do góry, tak aby móc widzieć jego błękitne oczy.

– Nie przejmuj się nim, musi to przetrwać. Nikt nie lubi, gdy mu się coś narzuca, ale w jego przypadku czasami nie mam innego wyjścia. W przeciwnym razie sam na nic by nie wpadł. Rozumiesz.

Powoli kiwnął głową.

– Wiedziałałam, że z ciebie bystrzak, Orrisowi zajęłoby to znacznie dłużej.

Magnus nieco ośmielony wykrzywił usta w uśmiechu.

– Tak lepiej – odparła Lorabelle, rzucając się na łóżko.

\*\*\*

Dziś przywdziała swój ulubiony uniform – czarną sukienkę ze stójką. Wybrała go spośród innych czarnych sukienek stanowiących większość jej

ubrań. Laik mógłby powiedzieć, iż nie ma większego znaczenia, co Britannica na siebie zakłada, gdyż we wszystkim wyglądała tak samo, jakby właśnie wybierała się na pogrzeb. Mało tego, niewprawne oko wprowadziłoby w błąd swojego właściciela, podsuwając mu myśl, że garderoba panny Bennett składa się jedynie z jednej czarnej sukienki. Nic bardziej mylnego. Britannica zanim założyła swój świeży strój, wpatrywała się w otwartą szafę wypełnioną czernią materiałów nawet przez kilka minut, dostrzegając suknię pierwszego, drugiego i trzeciego wyboru. Posiadała między innymi strój świąteczny – noszony głównie przy wznioślejszych okazjach, różniący się sztywniejszą stójką i głębszą czernią zachowaną dzięki znacznie rzadszemu użytkowaniu. Suknię „frywolną” jak nazywała ją w myślach, zakładaną w dni, w które miała mniej obowiązków i chciała się poczuć bardziej swobodnie – była krótsza od wiszących w rzędzie koleżanek o prawie dwa cale, dzięki czemu bystre spojrzenie mogło czasem dostrzec kawałek kościstej kostki, wynurzającej się nieśmiało przy dłuższym kroku. Lubiała ją zakładać, demonstrując w ten sposób wszystkim niedowiarkom, że ona również wbrew pozorom potrafi być radosna i cieszyć się pełni życia.

Obciągnęła rękawy, przeglądając się w stojącym w pokoju Clementine lustrze. Dobrze, wyglądała dokładnie tak, jak tego od siebie oczekiwała. Elegancko i władczo, wyprostowała się, wciągając brzuch, którego i tak przy kościstej sylwetce było próżno szukać. Podeszła do okna, aby poprawić drapowanie na zasłonach. Czy ja tu wszystko muszę robić sama? – westchnęła, kiwając z niezadowoleniem głową. Ułożyła drugą storę i wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Swoim zwyczajem przeciągnęła palcem po komódce, sprawdzając, czy kurz został należycie usunięty. Odruchowo strzepała palce, mimo iż nie były przyprószone nawet pyłkiem. Zbliżyła się do schodów, położyła opuszki palców na balustradzie, aby móc dokonać kolejnej inspekcji. Zaczęła, schodziła, przesuwając dłoń po wypolerowanej poręczy. Schody – piasek na czwartym i siódmym stopniu, jakaś ciemna plamka na ósmym – odhaczyła w pamięci wśród rzeczy, które należało niezwłocznie poprawić. Zeszła na dół, podniosła dłoń do oczu, aby przyjrzeć się ilości zebranego kurzu. Na palcu wskazującym dostrzegła szarą smugę o szerokości nie większej niż pół cala. Uśmiechnęła się pod nosem. – Poręcz do poprawki – dodała w myślach. Kolejna pozycja została odnotowana na niewidzialnej liście. Weszła do jadalni, jej wzrok przykuła stojąca pośrodku stołu patera. – Srebra, kiedy ostatnio czyściliśmy srebra? – wzięła do ręki błyszczące naczynie, uważnie je oglądając. Po czym usatysfakcjonowana

tym, co zobaczyła, odstawiła je na miejsce. Przeszła przez otwarte drzwi do drugiego pokoju.

– Ach to ty – rzuciła od niechcienia Clementine, bawiąc się alkoholem trzymanym w kieliszku z zielonego ciętego szkła. Siedziała na skraju sofy, wspierając rękę na rzeźbionym podłokietniku.

– Mogę pani w czymś pomóc? – spytała usłużnie.

– Nie – machnęła niedbale ręką.

Brittanica delikatnie skłoniła głowę, wycofując się z pokoju.

– Chociaż...

– Słucham? – przystanęła w progu.

– Słyszałam w nocy jakieś hałasy.

– Tak?

– Tak? Czy to pytanie?

– Nie rozumiem – odparła lekko zmieszana.

– Czego tu nie rozumieć? Powiedziałaś „tak”?

– Tak.

– Więc co tak? Odpowiadasz tak, czy potwierdzasz, że mówiłaś „tak”?

– Hmm..., wybaczy pani, ale nie wiem, co odpowiedzieć?

Clementine wypła trzymanym w ręku alkohol.

– Możesz to uzupełnić? – nie czekając na odpowiedź, wystawiła kieliszek przed siebie.

– Tak madame – podeszła szybkim krokiem do sofy biorąc po drodze stojącą na stoliku karafkę.

– Nie żałuj.

– Jak sobie pani życzy – odparła, nalewając płyn.

Clementine wypła łyżeczek.

– Więc co to było? – spytała.

– Słucham?

– Na litość boską, co się z tobą dzieje? – wbiła w nią wzrok. – Co to był za hałas? Brzmiało to, jak jakieś tąpnięcie.

– Ach to, nic takiego.

– Nic takiego? Myślałam, że się dach wali.

– To łóżko się połamało.

– Samo? Pierwszy raz o czymś takim słyszę i na pewno w to nie uwierzę.

– Oczywiście, że nie.

– O, to twoje pierwsze nie.

– Tak.

– I znowu wróciłaś do swego „tak”.

– Tak.

- Zatem czy doczekam się w końcu odpowiedzi?
  - Tak.
  - Skończysz wreszcie z tym „tak”? – powiedziała zirytowana.
  - Ta... – przerwała w ostatniej chwili, dokańczając kiwnięciem głowy.
  - Słucham.
  - W nocy coś huknęło, wyszłam z pokoju i wtedy usłyszałam jakieś dobiegające z pokoju Daphne odgłosy. Weszłam do środka i zobaczyłam ją leżącą na połamanym łóżku.
  - Rozumiem, oczywiście poinformowałam ją, że koszt łóżka zostanie potrącony z jej pensji?
  - Yyy... nie...
  - A czemuż to? Zamierzasz sama za nie zapłacić?
  - Nie... nie uczyniłam tego, ponieważ pan Walter powiedział, żeby Daphne się tym nie przejmowała. Więc odebrałam to jako...
  - Walter, a od kiedy to on zajmuje się takimi rzeczami? Już ja z nim porozmawiam, nie potrzebnie mu pani zwracała głowę. Rozmawialiśmy już o tym. Ze wszystkim sprawami dotyczącymi domu, ma się pani zwracać do mnie. Nie zamierzam tego więcej powtarzać.
  - Ale ja nie rozmawiałam z panem. Sam tak zarządził wczorajszej nocy.
  - W nocy? Jakim sposobem.
  - Spotkałam go w pokoju Daphne.
- Clementine zmarszczyła brwi, starając się skupić na tym, co przed chwilę usłyszała.
- Walter był wczorajszej nocy w służbówce?
  - Tak, właściwie to szedł do mnie, ale usłyszał hałas i tak jak ja pospieszył z pomocą.
  - Hmm..., czy ja dobrze zrozumiałam? Tej nocy umówiła się pani z moim mężem na schadzkę? – pochyliła się do przodu.
  - Broń boże – zarzekła się, kładąc otwartą dłoń na piersiach. – Nigdy nie zrobiłabym czegoś takiego pod pani dachem.
  - Czyli gdzie indziej nie miałyby pani oporów?
  - Ależ w żadnym wypadku..., źle się wyraziłam. Nigdy nie chciałabym spotkać się z pani mężem. Nawet w dzień. On nie jest... – przerwała widząc zmarszczone brwi Clementine, powoli łączące się w jedną kreskę, znamionującą rychły wybuch gniewu. – Miałam na myśli, że nigdy nie śmiałabym uwieść pana Waltera. Pan chciał tylko ze mną porozmawiać.
  - Można wiedzieć o czym? A może to tajemnica?
  - Bardzo mi przykro, ale sama nie wiem. Powiedział tylko, że miał do mnie jakąś sprawę.

– A cóż to za niecierpiąca zwłoki sprawa, z którą nie można było zaczekać do rana, była tak pilna, że Walter udał się do pani w środku nocy i, mimo że panią spotkał, nic nie powiedział? Nie wydaje się to pani dziwne?

– Ma pani rację – kiwnęła potakująco głową.

– A jednak sądzi pani, że w to uwierzę?

Panna Bennett poczuła, że mimo niezbyt wysokiej temperatury panującej w pokoju zaczyna się mocno pocić. Zupełnie jakby stała przy gorejącym piecu.

– Przysięgam, że wszystko, co powiedziałam, jest najszczerzą prawdą.

Clementine wypła kolejny łyk z bogato zdobionego kieliszka, nie spuszczać przy tym nawet na sekundę spojrzenia z wijącej się pod jej wzrokiem Britannici.

– To się jeszcze okaże, a tymczasem zajęłabyś się czymś pożytecznym. Nie płacę ci za sterczenie jak kołek pośrodku pokoju.

– Jak sobie pani życzy – wycofała się służalczo.

Clementine opróżniła kieliszek i nalała sobie kolejną porcję. Walter i ta suchotnica? – zapatrzyła się przed siebie na zielone liście bluszczu wijące się na pistacjowej tapecie. – Nie, to nie możliwe – nieświadomie pokręciła głową.

\*\*\*

Natarczywe walenie kołatki zmusiło go do otworzenia drzwi. Uchylił je jedynie na tyle, aby móc wystawić przez nie głowę. Przez moment przyglądał się stojącemu na zewnątrz dystyngowanemu mężczyźnie. Ich wzrok się zetknął, a przybysz wypuścił z płuc powietrze, które zamieniło się szybko w obłok pary.

– Pan dzisiaj nie przyjmuje – powiedział niedbale służący, zamykając drzwi, jednak napotkał niespodziewany opór. Spojrzał w dół, by ujrzeć blokującą drzwi stopę gościa. – Proszę zabrać nogę. Pan jest zajęty i nie ma teraz czasu dla nikogo.

– Dla mnie go znajdzie – odparł przybysz twardym nieznoszącym sprzeciwu głosem.

– Nie sądzę – odpowiedź była równie stanowcza.

– Jednak nalegam.

– A ja mówię, że nic z tego – pchnął nogą blokujący drzwi but.

– Nie mam zamiaru się powtarzać.

– Ja również – syknął przez zaciśnięte zęby lokaj, naciskając na klamkę.

W tym momencie gość naparł ramieniem na drzwi, uczynił to z taką siłą, że blokujący je służący upadł z łoskotem na podłogę, a drzwi rozwarły się na

oścież, uderzając z hukiem o ścianę.

– Co pan wyprawia? – spytał, wycofując się na siedząco po świeżo wyczyszczonym dywanie. Sprawiając, iż piękna turecka wełna zaczęła się marszczyć jakby była kreszowana.

Przybysz pochylił się nad przerażonym służącym, chwytając go za koszulę i uniósł do góry, aż jego nogi zawisły swobodnie nad podłogą.

– Proszę mnie postawić na ziemi. Pańskie zachowanie jest niewybaczalne.

Mężczyzna podniósł laskę i srebrną rączką zdzielił lokaja w głowę, rozkwaszając mu przy tym nos. Krew popłynęła strumieniem, ściekając po czarnej skórzanej rękawiczce.

– Steven, co to za hałasy? – rozległ się dochodzący z pokoju obok głos.

Napastnik spokojnym krokiem ruszył w kierunku, z którego przed chwilą dobiegło pytanie.

– Steven, mówię do ciebie!

Stanął przed drzwiami, przysunął do twarzy półprzytomnego służącego, aby spojrzeć w jego zamglone oczy, po czym rzucił nim w dębowe drzwi, wyrywając je z zawiasów. Steven rozplaszczony na nich jak kleks na papierze wbił się w zajmującej przeciwległą ścianę biblioteczkę.

– Co to ma znaczyć?! – wrzasnął oburzony gospodarz.

– Ja..., mówiłem..., yhh..., że pan jest..., zajęty – zacharczał lokaj, wysuwając głowę spomiędzy desek, stanowiących mieszankę drzwi z biblioteczką.

Gość wszedł do pokoju, kierując się prosto do masywnego, bogato zdobionego biurka, za którym siedział oburzony łysiejący jegomość.

– To skandal, to jest zwykłe najście, niegodne gentlemana. Ja tego tak nie pozostawię – oznajmił, wycofując się na krzesło, tworząc przy tym kanonadę przejmujących zgrzytów trącego o podłogę mebla. – Ja, ja... – przerwał, widząc spokojnie obchodzącego biurko napastnika. Dzieliła ich odległość nie większa niż trzy stopy. Co pozwoliło dostrzec jego zwężone i czarne jak węgiel oczy. Oczy niewyrażające zupełnie nic. – Przecież możemy porozmawiać... – jęknął, szorując krzesłem o podłogę. – Możemy się porozumieć, zawsze można się jakoś porozumieć... Prawda? – zmusił się do nerwowego uśmiechu.

Przybysz błyskawicznym ruchem chwycił go za głowę, wyrywając z lichego azyłu, jaki stanowiło krzesło i trzymając za potylicę, uderzył twarzą w lśniący wypolerowany blat biurka.

– Yyy... – zacharczał łysiejący jegomość, czując, jak jego zęby wpadają do ust. Rozpaczliwie zatrzepotał rękami, chwycił za płaszcz napastnika, ale nie przyniosło to żadnego efektu. Przez zalewającą oczy krew zobaczył

oddalający się od twarzy blat i przez chwilę miał nadzieję, że napastnik zostawi go w spokoju, ale nagle zrozumiał, że to tylko przygotowanie do kolejnego ciosu. Przerażony machnął bezmyślnie ręką, zrzucając przeróżne przedmioty znajdujące się na blacie. Nagle wyczuł pod palcami coś ostrego. Jest nadzieja. Zaciśnął dłoń na nożyku do korespondencji i zamachnął się, wbijając ostrze w udo oprawcy.

Napastnik nie zważając na wystający z nogi metal, ponownie uderzył głową ofiary w biurko. Sprawiając, że dębowy rant wbił się w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą znajdował się nos. Następnie wyjął wystający z uda nożyk i umieścił go w potylicy nieszczęśnika, przybijając nim głowę do biurka. Rzucił okiem na pobojuwisko. Połamane meble, rozrzucone po podłodze przedmioty, zmasakrowaną biblioteczkę, jęczącego służącego. Mężczyzna podszedł do niego, rozgrzebując laską szczątki mebli. Złapał go jedną ręką za szyję, unosząc ciało do góry.

– Litości – zaskomlał Steven.

– Pff... – fuknął przybysz, dynamicznie machnął nadgarstkiem, skręcając tym samym kark lokajowi i bez wysiłku cisnął wiotczące ciało przez okno. Chwilę później wspierając się na lasce, schodził statecznym krokiem po prowadzących do domu schodkach.

– O boże! – jęknęła jakaś kobieta.

– Co mu się stało? – rzucił inny tubalny głos.

Mężczyzna spojrzał na rosnącą z każdą sekundą grupę gapiów. Pochylając się nad leżącym na ulicy ciałem, które sączącą się z licznych ran krwią powoli zabarwiało śnieg na różowo. Poprawił cylinder, odwrócił się i wmieszał w tłum.

\*\*\*

Słońce stało w zenicie, prażąc niemiłosiernie, czuł jak pot, schładza jego rozpalone ciało, pokrywając czoło i tors słoną rosą. Co za upał. Chwycił leżącą obok koszulę, aby przetrzeć twarz. Uniósł się do pozycji siedzącej i od razu chłodna bryza owiała mu plecy, rozgrzane od gorących desek pokładu. Wody, potrzebował, choć kropli wody, spojrzał przed siebie. Wkoło rozciągało się błękitne spokojne jezioro. Wystawił rękę za pokład, aby dosięgnąć chłodnej tafli, ale była poza jego zasięgiem. Jeszcze chwila i się tu usmażę – pomyślał zrezygnowany. Widział brzeg, ale co z tego, nie potrafił pływać, a łódź wciąż stała w miejscu. Od jak dawna? Nie pamiętał. Wychylił się za burtę, wyciągnął palce, jeszcze trochę, a dosięgnie zimnego błękitu. Jeszcze parę cali, jeszcze... Nagle zrozumiał, że zbyt

wyciągnął, ale było już za późno. Zaraz się utopię – przebiegło mu przez głowę i uderzył w wodę, o dziwo była twarda jak kamień. Otworzył oczy, przez moment widział jedynie czern, przymknął powieki i potarł je ręką. Po chwili ponownie je uniósł. Tym razem ujrzał brudny sufit przesłonięty smugami dymu, leżał na podłodze obok drewnianej leżanki. Z wysiłkiem wspiął się na nią, rozmasował obolałe skronie. Trwał w tej pozycji przez parę minut, powoli wracając do rzeczywistości. Wreszcie podniósł się, chwycił laskę oraz cylinder. Spojrzał na siedzącego w drugim końcu pomieszczenia chińczyka, który widząc go, wykrzywił twarz w groteskowym pozdrowieniu, Walter machnął do niego ręką i wyszedł na zewnątrz. Sięgnął do kieszeni, odkorkował butelkę laudanum i pociągnął głębszy łyk. Jakaś kobieta przeszła obok spieszny krokiem, ciągnąc za rękę dziewczynkę, która odwróciła głowę, aby móc jak najdłużej obserwować stojącego niepewnie mężczyznę. Posłał jej lekki uśmiech, zrobił krok do przodu i poczuł zawroty głowy. Szybko chwycił stojącą nieopodal latarnię.

– Uhh, no, no, Chang, naprawdę się postarałeś – pokiwał głową z uznaniem. Wziął kilka większych wdechów, starając się, chociaż w minimalnym stopniu przefiltrować zadymione opium płuca. Trwał w tej pozycji parę minut, delektując się zimowym powietrzem. Po jakimś czasie odepchnął się od metalowego słupa i ruszył niepewnym krokiem, wspierając się na drewnianej lasce zakończonej srebrną fantazyjnie zdobioną rączką. Lawirując między przechodniami, z każdym pokonanym jadem czuł, że zimny wiatr robi to, czego od niego oczekiwał, jego krok stawał się coraz pewniejszy, a obraz nabierał ostrości. Lubił to uczucie, gdy „wracał do żywych”, bo tak nazywał ten stan. Miał wrażenie, jakby wszystko odkrywał na nowo. Znowu dostrzegał kolory, wszelkie ich odcienie, ostre i żywe. Ponownie uczył się chodzić i oddychać pełnymi płucami, były to jedne z rzeczy, dla których kochał palić opium. Co prawda miały się one nijak do fazy odpływania, do której doprowadzały kolejne zaciągnięcia się fajką, ale posiadały też swój niepowtarzalny urok, a jedno z drugim było nierozzerwalne, jak dzień i noc. Tak, teraz jestem słońcem, wschodzącym, dającym życie, dającym radość – posłał szczery uśmiech do mijanej właśnie młodej dziewczyny. Stanął przy krawężniku. Uniósł laskę, zatrzymując, przejeżdżający obok powóz, chwycił drzwiczki, ale w ostatniej chwili się rozmyślił, wybierając spacer. Odprawił stangreta ręką. Woźnica rzucił jakąś inwektywę, strzelając batem, czym skutecznie zagłuszył słowa pozdrowienia. Walter przeszedł na drugą stronę ulicy, poprawił cylinder, by dziesięć minut później oddać go otwierającej drzwi Brittanice.



- Jak minął panu spacer? – spytała, pomagając zdjąć mokry od śniegu płaszcz.
  - Dziękuję, był bardzo udany.
  - Cieszę się. Za pół godziny, podamy obiad.
  - Proszę mnie nie uwzględniać – odparł, obciągając kamizelkę.
  - Jak pan sobie życzy.
- Odruchowo poprawił włosy i już miał wchodzić na górę, gdy z pokoju obok dobiegł go wysoki kobiecy głos.
- To ty?
  - To zależy, kogo masz na myśli?
  - Dobrze wiesz, kogo mam na myśli.
  - Gdybym wiedział, nie zadawałbym tego pytania – powiedział, stając w progu.
  - Przecież rozpoznałam cię po głosie – odrzekła Clementine, nalewając sobie ginu.
  - Zatem czemu zadajesz pytanie, na które znasz odpowiedź?
- Clementine puściła tę uwagę mimo uszu.
- Napijesz się?
  - Nie odmówię – podszedł do stolika, przez chwilę poruszał palcami w powietrzu, zastanawiając się, po którą butelkę sięgnąć, w końcu wybrał karafkę z whisky. Odkorkował ją, nalał dwa palce płynu do stojącego obok kieliszka i usiadł w fotelu naprzeciwko żony.
  - Więc jak ci mija dzień – zagadnął, zakładając nogę na nogę.
  - Nie mogę narzekać – wypila mały łyczek, delektując się smakiem cierpkiego napoju. Spojrzała w oczy Waltera, których większą część wypełniały powiększone źrenice. – Jak widzę, twój spacer też był bardzo przyjemny, byłeś u Li, Lu czy kogoś innego o jedno sylabowym nazwisku.
  - Cóż...
  - Więc wydarzenia dnia mamy już omówione..., a jak minęła ci noc?
  - Dziękuję, całkiem przyjemnie.
  - Hmm..., nawet nie śmiem w to wątpić.
  - Nie rozumiem – zmarszczył brew.
  - Mówię o nocnej eskapadzie.
  - Eskapadzie, jakiejże to?
  - Przecież nie mojej, ja akurat spałam, gdy obudził mnie hałas, to było głośne tapnięcie. Musiałeś coś słyszeć.
  - Hmm..., potarł dłonią brodę, nie bardzo sobie przypominam.
  - A to dziwne, ponoć byłeś w pobliżu, gdy łóżko Daphne zamieniło się w drzazgi.

- Ach, to o tym mówisz – udał zaskoczonego.
  - Między innymi, ale bardziej zastanawia mnie, co takiego robiłeś w środku nocy w służbówkach? Skoro nawet w dzień nie zapuszczasz się w te rejony. Walter zaklął w myślach, zerkając przez otwarte drzwi na korytarz, w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stała Brittanica. Kościsty donosiciel, zawsze wiedziałem, że to wredny babsztyl – przemknęło mu przez głowę. Wypił duży łyk whisky, aby zwilżyć gardło, które nagle stało się suche jak wiór.
  - Moja droga, nie ma w tym żadnej zagadki. Usłyszałem hałas i poszedłem sprawdzić, cóż może być jego źródłem. Zresztą jak wynika z twoich słów, ten nieoczekiwany rwetes, również zburzył twój spokój – pochylił się w stronę żony. – Czy aby nie miałaś później problemów z zaśnięciem?
  - Dziękuję, twoja troska poruszyła mnie do głębi, lecz mnie zastanawia jedna rzecz. W jaki sposób znalazłeś się tam tak szybko? Brittanica twierdzi, że byłeś tam przed nią, a przecież jej pokój znajduje się tuż obok.
  - Do czego zmierzasz? – przesunął się w fotelu, spoglądając na żonę sponad kieliszka.
  - Miałeś zamiar się spotkać z Brittanica?
  - Eee... – zachłysnął się, słysząc te słowa, a alkohol wypłynął mu z ust, ściekając strumyczkiem po brodzie. Klepnął się kilkukrotnie ręką w klatkę piersiową, starając się dojść do siebie. W końcu odchrząknął i wziął kilka głębszych wdechów. – Co ty wygadujesz, chcesz, żebym się udusił?
  - Brittanica poinformowała mnie, że wczorajszej nocy wybierałeś się do niej z wizytą – odparła lodowatym głosem, zdając się nie przejmować atakiem kaszlu, który właśnie zajmował Waltera.
  - Ja... – ponownie kaszlnął. – Myślisz, że ja i panna Bennett. Proszę cię, to jest niedorzeczne.
  - Więc co robiłeś w nocy pod jej pokojem? Twierdziła, że ponoć chciałeś jej coś powiedzieć.
- Walter wietrząc swoją szansę, umościł się wygodniej na fotelu.
- To miała być niespodzianka – widząc pytające spojrzenie Clementine, dodał. – Dla ciebie, ma się rozumieć.
  - W takim razie muszę przyznać, że ci się udała. Żadną miarą nie spodziewałam się, że nocą odwiedzasz Brittanice
  - Proszę cię, nie bądź zgryźliwa – ponownie założył nogę na nogę.
  - Więc cóż to za atrakcja?
  - Nie mogę ci powiedzieć, w przeciwnym razie nie byłoby niespodzianki.
  - Tak – wypięła łyk ginu. – To bardzo wygodne wyjaśnienie. Ja jednak mam wrażenie, że od pewnego czasu darzysz Brittanice coraz to większą estymą.

– Co ty mi imputujesz?

– Nic, a powinnam?

Walter jednym łykiem opróżnił kieliszek, po czym odstawił go na stolik.

– Clementine, jak możesz tak myśleć, przecież wiesz, że liczysz się tylko ty... Wiem, że od śmierci Abigaile, nie wszystko między nami układa się tak, jak powinno. Mieliśmy wzloty i upadki, ale nie możemy zaprzepaścić tych wszystkich lat, które ze sobą spędziliśmy. Razem jesteśmy w stanie przez to przejść.

– Razem ze mną, czy z Brittanicą? – złośliwy uśmiech wykwitł na jej twarzy.

– Myślę, że za dużo dziś wypiałś – odparł uniesionym głosem.

– I to ty mi to mówisz? – pociągnęła kolejny łyk.

Walter z wściekłością zacisnął zęby, wpatrując się lodowatym wzrokiem, w siedzącą naprzeciwko żonę. Trwał tak przez kilka sekund. W tym momencie stojąca na stoliku karafka rozprysła się na wszystkie strony, zupełnie jakby ktoś uderzył w nią młotkiem. Clementine krzyknęła, wypuszczając z ręki kieliszek, który rozbił się o podłogę. Chwilę później stojąca obok butelka, przeleciała przez pokój, lądując z łoskotem na ścianie.

– Boże...! – wcisnęła się w kanapę, odpychając ją do tyłu.

Walter siedział na fotelu, patrząc przed siebie pustym wzrokiem. Nagle stolik uniósł się do góry i lewitując w powietrzu, rozbił się z potworną siłą o wiszący na ścianie obraz.

– Co to...?! – krzyknęła wbiegająca do pokoju Brittanica, aby w ostatniej chwili uchylić się przed lecącą w jej stronę paterą. Sekundę później pokój wypełnił głośny brzdęk, rozpryskujących się na wszystkie strony szklanych drzwiczek od kredensu.

Clementine wskoczyła na sofę, przewracając się razem z nią do tyłu.

– Pomocy! – wrzasnęła, kryjąc się za leżącym na oparciu meblem. Jednak jej krzyk został stłumiony przez ogromny łoskot, który wypełnił ściany pokoju.

– Ratunku! – krzyknęła panna Bennett, przywierając ciałem do podłogi.

\*\*\*

Krótki zimowy dzień powoli chylił się ku końcowi, więc przystanęły na chwilę w wąskim paśmie zachodzącego słońca, aby uchwycić resztkę ciepła, rzucaną przez jego wygasające promienie.

– Jak tu pięknie – powiedziała z zachwytem Briar, patrząc w dół ze stanowiącego centralny punkt parku niskiego pagórka. – Ciekawe co tu było

wcześniej?

– Jak to co? Odkąd pamiętam, był tu park – odparła Margaret, spoglądając bez większego entuzjazmu na otaczającą ją przestrzeń.

– Mamo, ależ ja mówię o tym – obróciła się wkoło z wyciągniętą przed siebie ręką. – Te wszystkie drzewa, one mają setki lat. Może przesiadywali pod nimi druidzi, odprawiając pogańskie rytuały. Zarzynali kozy na kamiennych ołtarzach, aby złożyć je w ofierze swoim bogom.

Spojrzała na córkę, marszcząc brew w wyrazie niedowierzania.

– Naprawdę, nie uważam, żeby takie rozważania były odpowiednie dla panny w twoim wieku... hmm... – chrząknęła wymownie. – W zasadzie takie myśli nie przystoją żadnej pannie. Gdy miałam tyle lat co ty, byłam już zamężna, uwierz mi, starało się o mnie wielu zacnych kawalerów i to nie dlatego, że opowiadałam bajki o brodatych starcach w podartych prześcieradłach, skaczących nocą po lesie, ale dlatego, iż byłam przykładną, dobrze ułożoną młodą damą. Wiedzącą, co jej przystoi, a czego powinna się wystrzegać. Jeśli chcesz, by mężczyźni zabiegali o twoje względy, musisz być bardziej umiarkowana w swoim zachowaniu.

– Ale ja mam dość rozmawiania o haftowaniu i o tym, kto pojawił się u Stevensów na niedzielnym obiedzie.

– A cóż takiego złego jest w haftowaniu? Param się tym od ćwierćwiecza, zresztą tak jak moja matka, a twoja babka.

– Wiem mamo, nie chciałam cię urazić, ale ja chcę od życia czegoś więcej – ukucnęła, zebrała śnieg z pokrytego nim trawnika, ulepiła kulkę i rzuciła go w przestrzeń przed sobą – Chcę stąd wyjechać, chcę podróżować, chcę...

– Jeśli chcesz, możemy pojechać do ciotki w Bath.

– Bath? – posłała kolejny pocisk w rosnący nieopodal dąb, pozostawiając na pniu biały okrągły ślad.

– Ciotka Emma na pewno się ucieszy, przecież wiesz jak bardzo cię lubi.

– Ja też za nią przepadam, ale Bath... – westchnęła ostentacyjnie i ruszyła powolnym krokiem prowadzącą w dół stoku alejką.

– Nie rozumiem, przecież od małego lubiłaś tam jeździć, to piękne miasto – powiedziała, starając się dogonić córkę.

– Wiem mamo, jest śliczne, ale już tam byłam..., wielokrotnie – dodała pod nosem. – Tam nic się nie zmienia.

– Moja droga – podniosła palec do góry. – Tu się mylisz. Emma pisała, że dwa miesiące temu otworzyli kolejny skład z materiałami. Ponoć mają prześliczne aksamity prosto z Londynu.

– Właśnie z Londynu – zatrzymała się. – Tam mogłabym pojechać.

– Pff... Londyn – tym razem to Margaret ruszyła do przodu. – To nie jest miasto odpowiednie dla młodej panny.

– Czemuż to?

– Czemuż? Jest pełne pokus, co poniektórzy potrafią się w nich zatracić do tego stopnia, że zapominają o dobrych obyczajach, a co gorsze popadają w rozwiązłość.

– Ależ mam, dobrze wiesz, że nie w głowie mi takie zabawy. Ja po prostu chciałabym zobaczyć Londyn.

– Tak jak i inne niewinne gołąbeczki, nieświadome czyhających na nie niebezpieczeństw. Dziewczeta, które zostały splugawione przez to gniazdo rozpusty, na zawsze tracąc swą niewinność.

– Mam – jęknęła.

– Zamążpójście, to jest to, co w tym momencie powinno zaprzętać ci głowę i powinnaś uczynić wszystko, co tylko możliwe, żeby zdjąć tę troskę z matczynej głowy.

Weszły na mały mostek rozpościerający się nad wąską strugą, o tej porze roku skutą cienką warstwą lodu. Jakiś jegomość stojący po drugiej stronie delikatnie uchylił cylinder, poczekał, aż zejda i wszedł na drewnianą przeprawę. Rzedniejący ruch w parku zwiastował nadchodzący wieczór. Zbliżyły się do otwartej na oścież metalowej furty. Briar zatrzymała się, przepuszczając matkę przodem, kiedy poczuła, jak ktoś ciągnie ją za rąbek sukni.

– Od tego pana – powiedział mały obdartus w zawiniętym na głowie szaliku, wystawiając wyprostowaną rękę za siebie. Dziewczyna podążyła wzrokiem we wskazanym przez chłopca kierunku. Dwadzieścia jardów dalej na małej parkowej ławeczce siedział mężczyzna, gdy napotkał jej wzrok, minimalnie uniósł zakończoną srebrną główką laskę, zaznaczając tym samym swoją obecność. Briar spojrzała na złożony na czworo liścik. Po czym schowała go szybko do kieszeni, aby zdążyć przed wszystkim widzącym wzrokiem matki i spiesznym krokiem dogoniła rodzicielkę.

\*\*\*

– Wzięłaś rękawiczki? – spytała Abigaile, patrząc na odzianą w ciepły płaszcz Mildreth. Sama stała w granatowym paltku z obszytym sobolowym futrem kapturem.

– Tak, tak..., jejciu, ale jestem podekscytowana – powiedziała, przestępując z nogi na nogę.

– Śmiało, to proste – zachęciła Abigaile, delikatnie popychając ją do przodu.  
– Pamiętaj o wyliczance.

Mildreth zrobiła krok do przodu, przechodząc przez próg, równocześnie powtarzając pod nosem zasłyszane wcześniej słowa.

Kiedy ciężko, gdy jest źle  
Wkraczaj śmiało w gęstą mgłę  
Tam nie zaznasz nigdy głodu  
Koniec strachu, koniec chłodu

Cofnęła się i futryna wypełniła się mleczną mgłą.

– Hura, udało się – podskoczyła podniecona.

– Oczywiście.

– I co teraz, o czym mam pomyśleć?

– W tę stronę to nie ma znaczenia i tak znajdziesz się w pomieszczeniu, do którego wchodzisz tylko, że w innym świecie – złapała ją za rękę. – Idź.

Mildreth wypuściła głośno powietrze z płuc, wkraczając razem z koleżanką w białą płynną ścianę. Wyszły po drugiej stronie, wprost na pusty korytarz drugiego piętra.

– Dobrze, ale skąd mam wiedzieć, czy nadal jestem w tym samym domu, w którym byłam, czy już w tym drugim? Przecież wszystko wygląda tak samo.

– Krzyknij, pamiętasz, jak byłeś tu pierwszym razem? Nie było tu nikogo poza nami.

Mildreth już otworzyła usta, ale w ostatniej chwili zmieniła zdanie.

– A jeśli się mylisz?

Abigail przewróciła oczami.

– Zaraz się przekonamy – zrobiła głęboki wdech i krzyknęła na cały głos. – Jest tu kto!!

Mildreth mimo woli schowała głowę między ramiona, czekając z napięciem na efekt wrzasków. Jednak zgodnie ze słowami Abigaile nikt nie odpowiedział na wezwanie.

– Panno Bennett, tutaj, jesteśmy na górze!! – zawołała ponownie, posyłając figlarny uśmiech w stronę przyjaciółki.

Odczekały kilka sekund w kompletnej ciszy.

– No dobrze, udało się – odezwała się w końcu Mildreth, przechylając na bok głowę, aby rozciągnąć bolący od napięcia kark. – Ale gdybym była w innym domu, skąd będę wiedziała, czy przeszłam na drugą stronę?

– Możesz to sprawdzić w inny sposób. Chodź na dół, będzie lepiej widać – chwyciła ją za rękę, ciągnąc za sobą. Szybko zbiegły po schodach. – Spójrz

na ulicę – stanęły przed dużym oświetlającym wewnątrz domu oknem. – Co widzisz?

Patrzyła przed siebie, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Ale... – bąknęła niepewnie. – Tu nic nie ma..., znaczy, jest..., ale, gdzie jest ulica?

– No właśnie – Abigaile przystawiła twarz do szyby. – Nie ma, nic nie ma. Wszystko zniknęło, jest tylko pusta przestrzeń.

– Jak, jak to jest możliwe? – spytała, rozglądając się na boki, przecierając przy tym szybę czołem.

– Nie wiem, zawsze tak było – wzruszyła ramionami.

– Ale... – mówiąc to, patrzyła w dół, wciąż wciskając się w szklaną tafelę. – Czy tam coś jest? Nie widać nawet ziemi.

– Tak, ale nie wiem co?

– Jak to, nigdy nie wychodziłaś na zewnątrz?

– Wychodziłam, nawet kilka razy, ale nic nie znalazłam.

– Nie rozumiem. Przecież coś tam musi być.

– Może, ale nic nie znalazłam. Chociaż nie szukałam zbyt daleko – patrzyła w znajdującą się za oknem białą przestrzeń.

– Dlaczego?

– Wszystko jest spowite mleczną mgłą, wilgotną mgłą, taką samą, jaką musimy pokonać, aby się tutaj znaleźć. Gdy szłam przed siebie, już po kilkunastu krokach traciłam z oczu dom, a przed sobą widziałam tylko nieskończoną biel, niezależnie w którą stronę się udałam, efekt był taki sam. Raz odeszłam zbyt daleko, chociaż było to tylko kilka kroków więcej. Zanim się zorientowałam, domu już nie było. Gdzie nie spojrzałam, widziałam tylko biel – odwróciła się w stronę przyjaciółki, aby móc spojrzeć jej w oczy. – To było straszne, nie wiedziałam, skąd przyszłam. Wpadłam w panikę, biegałam jak oszalała z jednego miejsca w drugie, a może w koło. Sama nie wiem... Kiedyś zgubiłam się w lesie, byłam mała i przerażona, ale to było nic w porównaniu z tym. Wtedy widziałam drzewa, ziemię, niebo. Mogłam iść w którąś stronę, kierując się na jakiś punkt, ale tu?... – zrobiła pauzę, dla podkreślenia wagi swych słów. – Nic, gdzie nie spojrzałam, gdzie nie pobiegłam, wszędzie było nic. Nie wiem, jak długo błąkałam się po omacku, przedzierając się przez mgłę, we wszystkich możliwych kierunkach. Może trwało to dziesięć minut, a może kilka dni. Nie wiem, tutaj czas płynie zupełnie inaczej, a na zewnątrz..., zupełnie tak jakby go nie było. Wreszcie na coś wpadłam. Dosłownie się z czymś zderzyłam. Okazało się, że była to ściana, idąc wzdłuż niej, doszłam do drzwi, otworzyłam je i znalazłam się w domu – wstrzymała oddech. – Uwierz mi, od tamtej pory

nie wychodzę na zewnątrz – spojrzała głęboko w oczy Mildreth. – I radzę ci, żebyś też nigdy tego nie robiła, bo możesz już tu nie wrócić.

– O nie, na pewno tego nie uczynię – zażegnała się, machając rękami. – Dla mnie to i tak zbyt wiele – powiodła wzrokiem po znajomym pomieszczeniu, które po tym, co przed chwilą usłyszała, nie wydawało się już tak bezpieczne. – To gdzie idziemy?

– Zaraz zobaczysz, zawsze chciałam to zrobić, a teraz mamy ku temu świetną okazję – podeszła do schodów, usiadła na poręczy i zjechała w dół.

Mildreth starała się pójść jej śladem, przez chwilę przymierzała się do zjazdu, uniosła nogi i przejechała parę stóp, ale czując, że nabiera prędkości, nad którą nie będzie mogła zapanować, szybko zeskoczyła na schody, pokonując resztę drogi w tradycyjny sposób. Abigaile właśnie zniknęła w salonie, by po paru sekundach pojawić się z powrotem, dzierżąc w ręku dwie tace. Stała przed wejściem do pokoju, przeszła przez próg, cofnęła się, a po chwili wejście zalała biała mgła.

– Chodź – wyciągnęła rękę.

– Po co te tace?

– Będzie fajnie – odparła zdawkowo, pociągając przyjaciółkę ze sobą. Wyszły wprost na pokryte śniegiem drzewa. – Patrz pod nogi – ostrzegła, spoglądając w dół. – Musisz zawsze pamiętać, gdzie dokładnie wychodzisz, bo mogą cię czekać różne niespodzianki.

Mildreth ostrożnie zeszła po trzech kamiennych stopniach.

– Gdzie jesteśmy?

– W parku, kiedyś przychodziliśmy tu co niedzielę. Czasem nawet w tygodniu, gdy była ładna pogoda.

Odwróciła się, aby sprawdzić, co znajdowało się za nią. Zobaczyła szarawą, wspartą na ośmiu kolumnach kamienną kopułę.

– Co to jest?

– Mama mówi, że to zwykła altana, ale ja nazwałam ją Świątynią Zadumy.

– Ładnie.

– Też tak uważam.

– Ale..., jak tu się znalazłyśmy, przecież tu nie ma żadnych drzwi?

– No tak, zapomniałam ci powiedzieć, to nie muszą być drzwi, to chodzi o wejście, ale zazwyczaj w wejściu są drzwi, tak więc..., rozumiesz.

– Chyba tak.

– Wybrałam to miejsce, ponieważ była duża szansa, że nikt nas tu nie zobaczy. Gdybyśmy nagle pojawiły się w tłumie. Wszyscy by zemdleli albo wzięliby nas za czarownice.

– Aaa, no tak – kiwnęła głową ze zrozumieniem.



– A teraz chodźmy, szkoda czasu już się ściemnia – pobiegły szybko przez zaśnieżony trawnik na szczyt pobliskiego wzniesienia. – Masz i siadaj – podała tacę przyjaciółce. Poczekala, aż Mildreth usadowi się na kawałku metalu. – Jak będziesz zjeżdżała, trzymaj się rączek, inaczej możesz spaść. Gotowa?

– Tak – badała wzrokiem rozpościerający się pod nimi stok.

– Wygrywa ten, kto dalej pojedzie – obwieściła, odepchnęła się rękami i jako pierwsza z okrzykiem radości przetarła śnieżny szlak.

\*\*\*

Minęły już dwa kwadranse, odkąd Briar zniknęła z jego pola widzenia. Oczywiście nie miał pewności, czy wiadomość, którą jej przekazał chłopiec, przyniesie zamierzony skutek, ale przeczucie mu mówiło, że dziewczyna będzie jadła mu z ręki i to dosłownie. Słońce już zachodziło, co potęgowało odczucie zimna, ale to mu akurat odpowiadało, gdyż był tak podniecony, że niemal czuł jak płatki śniegu, zamieniają się w parę, na jego rozpalonych polikach. Poza tym zawsze lepiej myślało mu się na świeżym powietrzu, obserwując ludzi, to nasuwało mu pomysły, o których wcześniej nawet nie myślał. Przywołał wspomnienie Jasmine, leżącej w ciemnej wilgotnej celi i od razu zalała go fala podniecenia. Wstał leniwie z ławki, spoglądając w głąb parku na dwie dziewczynki zjeżdżające ze stoku ośnieżonego pagórka. Stał przez chwilę, obserwując, jak podnoszą coś płaskiego z ziemi, na czym przed chwilą siedziały i ze śmiechem wbiegają pod górę. Dwie nastolatki – przebiegło mu przez myśl. – Tego jeszcze nie próbowałem – nieświadomie oblizał usta, odtwarzając sobie w pamięci nocne spotkanie ze służącą, do którego doszło w kuchni. – Jeszcze z tobą nie skończyłem – powiedział pod nosem, zaciskając zęby, tak mocno, iż wokół rozległ się przyprawiający o ciarki zgrzyt.

## XV

Od rana wykonywała wszystkie czynności mechanicznie, myśląc tylko o jednym, co rusz spoglądając na stojący na szafce srebrny zegar, odmierzający mozolnie minutę za minutą. Czas włókł się niemiłosiernie, nigdy nie lubiła pracować, delektując się błogim nieróbstwem w najczystszej jego formie i nie miała pojęcia, co by zrobiła, gdyby nie służba, ale teraz chętnie chwyciłaby się jakiegoś zajęcia. Tylko po to, by skrócić sobie mękę oczekiwania. Ponownie sięgnęła do kieszeni, aby po raz setny przeczytać skrywany w niej liścik.

Droga Briar.

Jutro o jedenastej w nocy, przy wejściu do parku.

Nasycę twoją duszę odkrywcy, rzeczami, jakich nigdy nie widziałś.

Szkoda młodości na czytanie książek, lepiej samemu poznać to, co nieznane.

Ps. Zachowaj to w tajemnicy, by nikt nie zniweczył naszego spotkania.

Twój G.

Przycisnęła rozłożoną kartkę do serca, głośno wzdychając, jakie to romantyczne – pomyślała, wpatrując się w szarówkę, powoli skrywającą pod swym płaszczem, zamierające miasto. Nie przepadała za zimą ze względu na krótkie dni i pełne mrocznych cieni noce, ale dzisiaj nie mogła się już doczekać, aż wszystko dookoła zostanie pokryte nieprzeniknioną czernią. Nawet w najśmielszych snach nie sądziła, że może ją coś takiego spotkać. Oczywiście czytała o tym i nawet wyobrażała sobie podobne sytuacje, ale nigdy ze sobą w roli głównej. Zdawała sobie sprawę, że nie należy do kobiet, które swoją urodą ściągały królewiczów z całego królestwa, w czym bez ustanku utwierdzał ją ojciec – co prawda zupełnie nieświadomie –, wołając na nią „mój pulpeciku”, ale robił to z taką czułością, że nie miała serca mu powiedzieć, że nie każde zdrobnienie, którym ją obdarzał, było miodem dla jej uszu.

– Podano do stołu.

Słyszając te słowa, aż podskoczyła do góry, mając wrażenie, że została przyłapaną na czymś złym.

– Przepraszam, nie chciałam panienki przestraszyć – powiedziała stojąca w progu służąca.

– Nic się nie stało – odparła i widząc, że dziewczyna wciąż bacznie ją obserwuje, jakby chciała dojrzeć, co takiego trzyma w rękach, dodała. – Zaraz zejść, możesz już odejść – poczekała, aż zniknie w drzwiach. Podniosła do ust skrywany przy piersiach skrawek papieru, pocałowała go, a następnie starannie złożyła, chowając na powrót do kieszeni.

Obiad ciągnął się w nieskończoność, wszystkie dania smakowały nijako, a grzecznościowa konwersacja wydawała jej się jałowa. Odpowiadała zdawkowo, nie rozwodząc się nad tematem. Choć nawet gdyby to chciała uczynić, nie byłaby w stanie, gdyż na dobrą sprawę nie wiedziała, o czym rozmawia. To niesamowite, jak jedna myśl potrafi zawładnąć umysłem – przemknęło jej przez głowę, gdy próbowała skupić się na tym, co przed chwilą powiedział do niej ojciec. Milczał, patrząc się w jej oczy, jakby na coś czekał. Nagle zorientowała się, że musi coś odpowiedzieć, że teraz jej kolej. Tylko co? Tak, nie, może? W końcu wybrała, jak jej się zdawało najbezpieczniejszy wariant.

– Nie jestem pewna – bacznie obserwowała twarz, czekając na jego reakcję.

– Ona nie jest pewna? – odwrócił się do żony. – Czy ty to rozumiesz? Czy tak trudno jest pojąć tak elementarną sprawę?

– Ile razy mam z tobą o tym rozmawiać? – Margaret zwróciła się do córki. – Wydawało mi się, że wyraziliśmy się dość jasno. Czyż nie?

Briar przenosiła niepewny wzrok z ojca na matkę i z powrotem.

– Ależ tak – odparła ostrożnie, wciąż nie wiedząc, na czym rzecz stoi.

– Właśnie, więc zgadzasz się z nami? – rzucił Daniel przez stół.

– Tak.

– Wreszcie, wiedziałem, że w końcu pójdziesz po rozum do głowy, mój ty pulpeciku – uśmiechnął się do córki.

– A tak przy okazji, chyba powinienem wybrać się do balwierza – przyglądał bokobrody. – Co o tym sadsisz kochanie?

– Jak dla mnie...

Briar znów wyłączyła się z dyskusji, bezmyślnie rozdziobując widelcem rybę. Ciekawe, na co się zgodziłam – pomyślała, bawiąc się marchewką. – To i tak nie ma żadnego znaczenia. Najważniejsze, żeby ich nie rozzłościć, nie teraz, dzisiejszego wieczoru muszę mieć swobodę. Po raz nie wiadomo, który podczas wieczornego posiłku podniosła wzrok na tarczę zegara, by stwierdzić ze smutkiem, że duża wskazówka przesunęła się ledwie o cal. Reszta posiłku ciągnęła się niemiłosiernie długo, zdając się naigrawać z jej

planów. Wreszcie wróciła do swojego pokoju, pierwszą czynnością, jaką zrobiła zaraz po wejściu, było sprawdzenie godziny na stojącym na szafce srebrnym czasomierzu. Jęknęła zrozpaczona, odkąd opuściła jadalnię, minęło zaledwie pięć minut. Zrezygnowana rzuciła się na strojne w bogato zdobiony baldachim łoże. Przekręciła głowę na bok, wpatrując się w rozświetlający mrok za oknem blask latarni i nie wiadomo, kiedy zasnęła.

\*\*\*

– Nie martw się, wszystko będzie dobrze – powiedziała Betty do brata, próbując dodać otuchy bardziej sobie niż jemu.

Jimmy objął ją ramionami, starając się w ten sposób, chociaż trochę zdusić dreszcze, które co chwilę wstrząsały jej ciałem. Nie wiedział, co się stało, dopóki Betty mu wszystkiego nie opowiedziała. Ostatnie zdarzenie, jakie zapamiętał, to ogromny mężczyzna, który pojawił się znikąd. Widział wielką dłoń zaciśniętą w pięść, która uderzyła go w skroń i to by było na tyle. Resztę opowiedziała mu siostra, która teraz siedziała pomiędzy jego nogami, wspierając się plecami o jego klatkę piersiową, nerwowo obejmując kolana. Otulił ją rękami, przyciskając mocno do siebie. Wiedział, że było ich troje: kobieta, której pomogli przytaszczyć zakupy, mężczyzna, który pojawił się w kuchni oraz wielkolud. Betty powiedziała, że walczyła, kopnęła kobietę i próbowała uciec, ale wtedy drogę zastąpił jej ten drab, złapał ją w pasie i włożył sobie pod ramię, jakby była workiem ziemniaków. Miotła się, wierzgała i gryzła, ale on zdawał się tego nie zauważać, następnie wolną ręką chwycił nieprzytomnego Jimmiego za włosy, a potem ciągnął po podłodze. Zwlekł po schodach do piwnicy i zamknął ich w tym pomieszczeniu, choć zważywszy ich sytuację, bardziej na miejscu byłoby nazwanie go celą. Tylko tyle wiedzieli.

– Dlaczego to zrobili? – załkała dziewczynka, odwracając głowę, aby móc zobaczyć twarz brata. Jednak głęboka ciemność pozwalała dostrzec jedynie niewyraźne kontury. – Przecież jej pomogliśmy, nie zrobiliśmy nic złego – powiedziała ze skargą w głosie. – Czemu są tacy źli? Co teraz z nami będzie? – spojrzała przed siebie na zarys drzwi. Wcześniej sprawdzili po omacku wszystkie ściany i, mimo że było ciemno, byli pewni, że niczego nie przeoczyli. Po prostu nie było możliwości, aby coś przeoczyć. Cella miała nie więcej jak sześć stóp długości i tyle samo szerokości. Ściany składały się z dużych szlifowanych kamieni i to wszystko, co można było o nich powiedzieć. Kamienie i nic poza tym, żadnych okien, nisz czy

występów, nic oprócz zamkniętych na głucho drzwi. Więc nie pozostało nic innego jak tylko siedzieć i czekać. Czekać, aż ktoś ich wypuści.

\*\*\*

Wzdrygnęła się przez sen, skutkiem czego była gwałtowna pobudka. Ziewając, przetarła dłonią oczy, od niechcienia zerknęła na zegar i w jednej chwili poderwała się z łóżka. Cyferblat wskazywał dziesięć po jedenastej. Przekląła złośliwość losu. Błyskawicznie włożyła wcześniej przez nią przygotowane, leżące na krześle palto i prędko wyszła na korytarz, zamykając za sobą drzwi. W domu panowała cisza, najszybciej jak tylko mogła zeszła na dół. Już miała kierować się do drzwi wyjściowych, gdy ze znajdującego się obok nich pokoju dobiegł ją cichy kaszel. Ojciec, że też musiał akurat teraz zająć się lekturą albo czymkolwiek innym co robił w tym pokoju. Mogła zaryzykować, próbując się niezauważenie przemknąć obok niego. Może nawet by się udało, ale na pewno nie udałooby się otworzyć po cichu tych zamków. Tylne drzwi nie wchodziły w rachubę, ze względu na przeraźliwie skrzypiące zawiasy. Pozostała tylko jedna ewentualność. Stąpając na palcach, przekradła się do znajdującego się na tyłach domu pokoju. Zamknęła drzwi i udała się prosto do okna. Przez chwilę mocowała się z klamką, wreszcie otworzyła jedno skrzydło. Od razu uderzyło ją w twarz mroźne powietrze, całkowicie zrzucając resztki snu z opuchniętej po drzemce twarzy. Niezdarnie wygramoliła się na zewnątrz, rozdzierając dół sukni o wystający z ramy okiennej haczyk. Przymknęła okno i rzuciła się w szaleńczy bieg, znikając w mrokach nocy.

\*\*\*

Czekał już od dłuższego czasu, przestępując nerwowo z nogi na nogę. Pojawił się wpół do jedenastej, aby sprawdzić, czy nikt nie będzie w stanie zakłócić jego spotkania. Liczył na to, że Briar zastosuje się do zawartej w liście wskazówki, ale przecież nigdy nie można mieć stuprocentowej pewności. W końcu ledwo ją znał, jednak miał nadzieję, że jej buntownicza natura weźmie górę nad rozsądkiem. Pociągnął złoty łańcuszek wyjmując przytwierdzony do niego zegarek. Wskazywał kwadrans po jedenastej. Powinna już tu być. Chyba że jego słowa nie były zbyt przekonujące – pomyślał, choć sam w to nie wierzył. Dziewczyna była tak nim zafascynowana, że spijałaby jad z jego ust jak nektar. Uderzył laską w bok buta, strząsając z czubka kupkę śniegu. Po raz ostatni spojrzął na spowitą

mrokiem ulicę i już miał odchodzić, gdy w świetle palącej się w oddali latarni ujrzał jakiś kształt. Wyostrzył wzrok. Tak, z pewnością ktoś się tu zbliżał, w dodatku szybko. Na wszelki wypadek zrobił krok w tył, skrywając się w gęstym cieniu. Rozwiane poły płaszcz sprawiałały wrażenie, jakby ten ktoś płynął, unosząc się nad śnieżnym puchem.

Briar zatrzymała się przed bramą, nerwowo się rozglądając. Czyżby cały wysiłek poszedł na marne, tylko dlatego, że zmorzył ją sen. Podeszła do bramy zaglądając na teren parku. To nie sprawiedliwe – pomyślała. – Przecież czekała na to spotkanie przez cały dzień, miało być tak cudownie, a tu... Nagle poczuła, jak ktoś obejmuje ją od tyłu w pasie, a drugą ręką zasłania usta.

– Nie krzycz, to ja – usłyszała szepczący jej do ucha znajomy głos.

Odwróciła się, czując jak zalewa ją fala gorąca.

– To ty?

– Spodziewałaś się kogoś innego?

– Nie, ja... – nie panując nad sobą, pocałowała go w usta. Widząc zaskoczenie w jego oczach, szybko odchyliła się do tyłu. – Przepraszam, to..., to było niestosowne – oblała się skrytym przez noc rumieńcem.

– Jeśli chodzi o mnie, nie widzę w tym nic niestosownego, wręcz przeciwnie – objął dłońmi twarz dziewczyny. – Do tej chwili nie byłem pewien twoich uczuć względem mojej osoby, ale teraz, dzięki temu, co uczyniłaś, mogę ci wyznać, że od pewnego czasu marzyłem o tej chwili, kiedy będę mógł złożyć pocałunek na twych rozkosznie różowych ustach, kiedy będę mógł wziąć cię w ramiona, nie obawiając się odrzucenia – delikatnie przysunął ją do siebie, muskając jej wargi językiem.

– Garnet – wyszeptała z zamkniętymi oczami.

– Briar – powiedział między pocałunkami. – Czy mówiłaś komuś o naszym spotkaniu?

– Neeee – odparła namiętnie.

Delikatnie odchylił jej głowę do tyłu, aby móc wejrzeć w jej oczy.

– Na pewno, zastanów się, to bardzo ważne. Nikt nie domyśla się, że się ze mną spotkałaś? – intensywnie wpatrywał się w jej źrenice. – Nie chciałbym, żebyś miała przeze mnie jakieś kłopoty.

– Nie przejmuj się kochanie – pogładziła dłonią jego szorstki policzek. – Nikt nic nie podejrzewa, pewnie myślą, że przewracam się w łóżku na drugi bok – zachichotała niewinnie. – Och jakie to wszystko romantyczne.

Garnet cofnął się o pół kroku, aby zyskać trochę przestrzeni, zamachnął się i uderzył pięścią w rozanieloną twarzyczkę. Kłykcie wylądowały na zuchwie dziewczyny, która w mgnieniu oka osunęła się na ziemię.

\*\*\*

Obserwowali go od jakichś pięciu minut, ewidentnie na kogoś czekał. Młody, dobrze ubrany, na pewno majątny. Idealny kandydat.

– Dobra idę – rzuciła do Orrisa. – Pójdiesz za nami, a potem..., zresztą wiesz, co masz robić. Tylko tego nie zepsuj.

– O to nie musisz się martwić.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo bym chciała – wyszła na ulicę, ale szybko cofnęła się do zaułka.

– Co jest?

– Zobacz, ktoś tu biegnie – wskazała palcem drugi koniec ulicy.

Między snopami światła rzucanymi przez uliczne latarnie poruszała się szybko jakaś ciemna sylwetka. Zrobili krok w tył, kryjąc się w cieniu kamienicy.

– To chyba jakaś dziewczyna – powiedziała Lorabelle.

– Biegnie do tego gogusia..., czyżbyśmy mieli konkurencję.

– Poczekamy, zobaczymy, chodź bliżej.

Przeszli kilkanaście jardów, przez cały czas kryjąc się w mroku.

– Chyba już go widziałam.

– Jasne, to ten absztyfikant, który przyprowadził dziewczynę do „Starego dorsza”.

– Masz rację, nieźle sobie poczyna.

– Jakbym miał taką sakiewkę, obskoczyłbym trzy na raz.

Spojrzała na niego z przekąsem.

– Żebyś mógł je obskoczyć, to do pełnej sakiewki musiałbyś mieć też pełne spodnie.

– Jak chcesz, to ci pokażę co tam mam.

– Dzięki, szkoda mi czasu na szukanie, ale już wiem czemu mażą ci się trzy dzierlatki, w końcu im więcej oczu tym łatwiej wypatrzyć pisklę w krzakach.

– Ten pisklak mógłby... – przerwał, rozdziawiając w zdumieniu usta. – Widziałas to? – wystawił rękę jak małe dziecko.

– Tak..., ale ją przefasonował – odparła, patrząc na leżącą bezwładnie na ziemi dziewczynę.

– No, lepiej bym tego nie zrobił – pokręcił głową z uznaniem. – Co teraz? – spytał, obserwując mężczyznę, który wciągnął dziewczynę w czerń nocy, znikając im z oczu.

– Dobra idziemy za nim – wyszła z ukrycia, powoli kierując się w stronę wejścia do parku. Nagle usłyszała turkot kół i jakiś powóz zatrzymał się przed bramą, z kozła zeskoczył woźnica, otworzył drzwi i zniknął w mroku, by po chwili pojawić się w towarzystwie pierwszego jegomościa, szli, podtrzymując wspólnie nieprzytomną kobietę. Jeden z nich wsiadł z dziewczyną do środka, a drugi wskoczył na górę i odjechali.

– Fiuu, fiuu – zagwizdał Orris. – Szybko się uwinęli.

– Tak, trzeba im przyznać, że nie tracą czasu – podsumowała, odprowadzając powóz wzrokiem.

– Jak myślisz, co z nią zrobią?

– A bo ja wiem? Zresztą to nie nasza rzecz – pociągnęła kompana za ramię. – Lepiej stąd idźmy, bo jeszcze ktoś nas zobaczy, a to chyba śmierdząca sprawa.

– Masz rację – skręcili za róg. – To, co robimy?

– Jak to co? Bierzemy się do roboty – spojrzała na Orrisa i widząc, że utyka, spytała. – Co z twoją nogą?

– O czym mówisz?

– Odkąd wróciłeś, cały czas utykasz, a teraz jeszcze to – dotknęła ręką jego uda. Czując pod palcami coś wilgotnego, uniosła dłoń do oczu, aby lepiej przyjrzeć się lepkiej substancji. – To krew?

– A to. Mała sprzeczka z Billem podczas negocjacji, znasz go, jak zwykle chciał nasz orznąć, ale w końcu dał, tyle ile chciałaś.

– Dziwne, nie widziałam, żebyś rano kulał.

– Bo nawet tego nie poczułem. Dopiero później zaczęło mnie boleć. Zresztą jak mogłabyś to zauważyć, przecież od rana niańczysz tego bachora – splunął na ziemię.

– Jak wrócimy, trzeba będzie, coś z tym zrobić – ponownie dotknęła zakrwawionej nogi.

– No patrzcie – rzucił z sarkazmem. – Czyżby ten szczeniak obudził w tobie uczucia macierzyńskie?

– Zamknij się ośle, jak chcesz, to możesz się wykrwawić. Twoja sprawa, ale najpierw mamy coś do zrobienia. Nie po to sobie odmrażam tyłek, żebyśmy teraz wrócili z pustymi rękami – spojrzała na drugi koniec ulicy, skąd dobiegło ją wyraźne skrzypnięcie śniegu, jakie wydobywa się spod podeszwy buta. – O, ten chyba się nada – wyłapała wzrokiem lekko zataczającego się mężczyznę, próbującego sztywnym krokiem przejść przez wybrukowaną drogę. Odwróciła się do Orrisa, ale ten już zdążył się rozpląnąć. – No, no – uśmiechnęła się do ciemności, poprawiła palto i ruszyła przywitać się z nieszczęśnikiem.





## XVI

Obudziły go trzeszczące deski, przekręcił się na drugi bok, aby sprawdzić, co się dzieje. Orris leżał na wznak na łóżku, spuszczać brudną stopę na podłogę. Magnus wsparł się na łokciu, co pozwoliło mu ujrzyć czubek głowy Lorabelle wystający z za masywnej sylwetki śpiącego mężczyzny. Chłopiec usiadł, opierając się plecami o ścianę, przyciągnął do siebie stojące obok buty, założył je i zaczął powoli sznurować. Był zadowolony. Mimo iż całą noc spędził na podłodze, to nie miało dla niego żadnego znaczenia. Na dobrą sprawę nie pamiętał, kiedy ostatnio miał łóżko. Wprawdzie u Knighta spał na sienniku, ale chętnie zamieniłby go na ciepły pokój, w jakim właśnie się teraz znajdował. No i buty, wreszcie mógł zdjąć je na noc, nie obawiając się, że do rana odmrozi sobie palce. Niby nic, ale sen bez obutych stóp, był nieporównywalnie lepszy. Zawiązał sznurówki na supeł. Czasami próbował wiązać je na kokardę, lecz nie był w tym najlepszy. Zawsze po kilkunastu krokach potykał się o własne nogi, ale supeł to zupełnie co innego, gwarantował pewny krok bez ryzyka utraty butów oraz zębów. Co prawda nastęczał sporo kłopotów przy zdejmowaniu obuwia, lecz korzyści płynące z supła były nieporównywalnie większe.

Wstał, najciszej jak potrafił, podszedł do stołu i ostrożnie usiadł na krześle. Chwycił kawałek pieczywa leżący na talerzu.

– Chrrr...

Podsłoczył, wypuszczając bułkę z ręki, nerwowo spojrzał na łóżko. Lorabelle ponownie chrapnęła, machając ręką przez sen. Magnus podniósł pieczywo z podłogi, odruchowo przecierając je o jeszcze brudniejsze spodnie i w tym momencie zobaczył kropki na podłodze, układające się w wyraźną linię. Zaintrygowany podszedł do nich na czworakach, aby się im lepiej przyjrzeć. Był przekonany, że kładąc się wieczorem do snu, podłoga była czysta, jeśli można było w ogóle tak o niej powiedzieć. Dotknął palcem przerywanej ciemnej linii. Krew. Widział jej tyle w życiu, że od razu miał pewność. Powiódł wzrokiem za kilkunastoma punktami zaczynającymi się przy drzwiach, a kończącymi obok łóżka. Na sienniku tuż pod udem Orrisa rozpościerała się duża plama.

Ciekawe co robił w nocy? – pomyślał, przypatrując się nodze. – Co by nie robił dobrze mu tak. Na pewno sobie zasłużył – wrócił na swoje posłanie, które to stanowił jego stary koc. Ugryzł kawałek suchej bułki i czekając, aż

zmięknie i stanie się podatna do przełknięcia, rozejrzał się po nowym lokum. Stół, łóżko, dwa krzesła, kufer i mała komódka. Wszystko to stłoczone zostało w pokoju trochę mniejszym od tego, który zajmował wraz z Knightem. Małe lustro wisiało na ścianie nad komódką, na której umieszczono miskę z wodą. W kącie pokoju oparto o ścianę czarną laskę zakończoną srebrną głową jakiegoś zwierzęcia. Od razu widać było, że musiała być bardzo droga, kompletnie nie pasowała do obskurnego pokoju. Magnus, zerkając co chwila w stronę łóżka, ostrożnie na kolanach pokonał sześć stóp dzielących go od laski. Z fascynacją wziął ją do ręki, przesuwał palcami po lśniącej główce. Rzeźba wyglądała na wilka lub lwa, choć tego drugiego nie był pewien, gdyż nigdy go nie widział. Wilka z resztą też. Faktem było, że wokół rzędu zębów rozpościerała się gęsta grzywa. Uniósł ją, ważąc w ręku. Potrząsnął kilkukrotnie i nagle usłyszał cichy trzask. Laska rozsunęła się, ukazując błyszczący metal.

– Ooo... – wymknęło się z ust chłopca w cichym podziwie.

Z pietyzmem zdjął pochwę, dotknął ostrego jak brzytwa ostrza. Zaaferowany wpatrywał się w swoje odbicie, patrzące na niego z wypolerowanego metalu. Widział już gdzieś podobną laskę, ale nie potrafił sobie przypomnieć gdzie. Z odrętwienia wyrwało go głośnie chrapnięcie. Szybko złożył laskę i odstawił na miejsce. Sekundę później siedział już na swoim posłaniu. Nagle przypomniał sobie, co mówiła starsza pani, którą poczęstował miską zupy o mordercy z zaułka. Jak bez problemu zabił cztery osoby, przebijając na wylot laską głowę jednej z nich. Wtedy wydawało mu się to dziwne, ale teraz mógł w to uwierzyć, takim ostrzem można było zabić każdego. Próbował sobie przypomnieć resztę opowieści. Zabójca miał cylinder. Spojrzał na wezgłowie łóżka, na którego lewym paliku wisiał czarny cylinder. Ponownie jego wzrok przeniósł się na zaschniętą plamę krwi rozpościerającą się pod udem Orrisa. A jeśli to on zabił tych ludzi – zostawił bułkę na podłodze i zaczął bezwiednie obgryzać paznokcie. – Przecież ta pani mówiła, że morderca był zwykłej budowy, a Orris jest ogromny – chłopiec starał się rozwiać swoje podejrzenia. – Ale gdyby nie był duży, nie mógłby zabić trzech mężczyzn – poczuł narastający ból głowy. Cofnął się pod ścianę, mocno chwytając, schowany w kieszeni nóż i przykrył się podartym kocem.

\*\*\*

Zazwyczaj nie angażował się w dwie przygody naraz, jak lubił nazywać swoje ekscesy z kobietami. Ojciec często mu powtarzał „skończ jedno,

zanim zaczniesz drugie” i przy zabawach jakie preferował Garnet, powiedzenie to miało wiele sensu. Dlatego zawsze po sobie sprzątał, tak aby minimalizować ryzyko powstania jakichkolwiek komplikacji, lecz teraz wpadł na nowy, zdawało mu się lepszy pomysł. Polegał on na stworzeniu sobie możliwości wyboru. Dobrze znał uczucie, kiedy dziewczyna zaczynała mu się nudzić, a gdy to następowało, musiał się jej pozbyć, nim znalazł kolejną – była to rzecz wręcz oczywista. Jednak niekiedy zdarzało się, że po jakimś czasie chętnie powróciłby do swojej wcześniejszej zdobyczy, jednak z oczywistych względów stawało się to niemożliwe. Teraz otwierała się taka możliwość i postanowił ją zrealizować. Dobrze wiedział, że Blackwood jeszcze przez kilka miesięcy będzie zamknięte na cztery spusty, a potem..., potem się zobaczy, być może otworzą się jakieś inne możliwości, a jeśli nie, jezioro było dość głębokie.

Przekręcił klucz i wszedł do pomieszczenia ulokowanego w piwnicach pod stajniami. Pokój stanowił lustrzane odbicie lokum, w którym od paru dni przebywała Jasmin. Postawił talerz z chlebem, oświetlając przy okazji twarz Briar. Wciąż leżała nieprzytomna na podziurawionym sienniku, w tej samej pozycji, w jakiej ją zostawił. Ukucnął obok, zdjął rękawiczkę, kładąc dłoń na nodze dziewczyny, powoli przesunął ją ku górze, zagłębiając się w fałdy sukni, aż dotarł do uda. Wsunął dłoń między nogi. Trwał tak przez dobrą minutę, delektując się rozchodzącym po skostniałych palcach ciepłem. Następnie wstał i wyszedł, zamykając celę na klucz.

\*\*\*

Czuła jak ogarnia ją zmęczenie. Początek dnia był jeszcze do zniesienia, ale z każdą kolejną godziną, gdy ilość wykonanej pracy zaczęła zostawiać swoje piętno na jej organizmie, dopadło ją znużenie. Po zabawie w parku i kolejnych przejściach poprzez mleczne drzwi nie mogła zasnąć z ekscytacji. Dodatkowo nie pomagała jej świadomość, iż każda upływająca minuta przybliżyła moment pobudki. W końcu, tak jak się tego obawiała, przez całą noc nie zmrużyła nawet oka. Wsparła się o stojący na korytarzu stolik, przymykając oczy, aby przeczekać lekki zawrót głowy.

- Widziałam różne rzeczy, ale żeby w pracy spać na stojąco. Co to, to nie. Mildreth ocknęła się, słysząc lodowaty głos koło ucha.
- Przepraszam, ja tylko... – powiedziała.
- Nie, to ja przepraszam, nie chciałam cię obudzić – odparła z udawaną troską Brittanica. – Zapewne śniło ci się coś przyjemnego.
- Ale ja nie spałam.

– Lepiej dla ciebie, żeby tak było. Madame Clementine nie utrzymuje darmożądów.

– Tak jest panno Bennett – natychmiast zaczęła polerować stolik trzymaną w ręku ściereczką.

– Nie płaci też za wykonywanie bezsensownej pracy.

Mildreth wzmogła ruchy szmatki na lakierowanym blacie.

– Daphne czyściła ten stolik kwadrans temu, lepiej idź, zrób to, do czego jesteś stworzona.

Dziewczyna spojrzała na Brittanice niepewnym wzrokiem.

– Czasem mam wrażenie, że nie jesteś zbyt rozgarnięta. Co się tak na mnie gapisz? Zrób pranie.

– Ach pranie, już idę – minęła pannę Bennett i szybko zeszła na dół.

W pralni czekała już na nią sterta pościeli. Napełniła balię wodą i chwyciła pierwszą rzecz ze zwalistej góry bawełny. O nie, znowu poszwa – głośno westchnęła, zanurzając ją w wodzie. Wzięła do ręki wielką kość mydła i natarła nią pranie.

– Zostaw to, lepiej coś zjedz. Widać, że ledwo stoisz – powiedziała stojąca w progu Hortense.

– Dziękuję, ale nie mogę. Muszę najpierw to wszystko uprać.

– Zrobisz to później.

– Ale panna Bennett mi kazała. Jeżeli tego nie zrobię...

– To znajdzie kogoś na twoje miejsce – dokończyła kucharka. – Nie wątpię, ale jeśli chwilę nie odpoczniesz, to zaraz mi tu zemdlejesz.

Mildreth otworzyła usta, aby coś odpowiedzieć, ale Hortense złapała ją za rękę, pociągając za sobą.

– Nie przejmuj się tą babą, wezmę ją na siebie, a teraz chodź, właśnie upiekłam pyszne ciasto.

Zaciągnęła ją do kuchni i posadziła przy stole.

– Dobrze, że zaprzyjaźniłaś się z Abigail – powiedziała Hortense, podsuwając talerz z sernikiem.

– Abigail? Nie rozumiem.

– Nie musisz udawać, Abigail wszystko mi opowiedziała. O tym, jak uratowała cię przed Garnetem i o waszej wycieczce do parku – usiadła na krześle obok. – Wiesz, ona przebywa tam sama już od jakiegoś czasu, a to nie jest dobre dla dziewczynki w jej wieku. Zresztą nikomu to nie służy.

Mildreth skinęła głową.

– Więc czemu wciąż tam jest? Przecież ma tu rodzinę. Rodzice na pewno by się ucieszyli, gdyby do nich wróciła.

– Zapewne masz rację, ale nie jest to takie proste, jak może się wydawać. Dopiero parę tygodni temu udało mi się w końcu przekonać Abigaile, aby wyszła z ukrycia. Garneta nie było już od kilku miesięcy i wszystko wskazywało na to, że nie zamierza zbyt szybko wracać, a tu nagle klops – uderzyła w dłonie. – Abigail wspominała ci o swoich perturbacjach związanych z bratem?

Dziewczyna przytaknęła.

– Gdy się o nich dowiedziałam, bardzo chciałam jej pomóc. Zwłaszcza że wiedziałam jakie uczucia Clementine żywi w stosunku do swojego synalka. Ten gówniarz zawsze był na pierwszym miejscu. Doprawdy nie potrafię pojąć, jak to było możliwe. Trochę go poznałam i jestem przekonana, że pokazał się z jak najgorszej strony. Zawsze był, zakłamaną, egoistyczną i egocentryczną świńską gnidą. Wiem. Nie powinnam tak mówić. W zasadzie nie powinno się tak mówić o nikim, ale gdy o nim myślę, na usta cisną się jedynie takie słowa i uwierz mi, że te, które właśnie wypowiedziałam, są tymi najdelikatniejszymi. Mówią, że każdy czasem popełnia błędy i u każdego znajdzie się coś dobrego, ale nie u niego. Jeśli chodzi o mnie, Garnet to chodzące zło, wszystko, co robi, robi celowo. Jest perfidny i wyrachowany – wzięła głębszy oddech. – Tak więc w tamtej chwili, pokazanie Abigail przejścia pomiędzy wymiarami, wydawało się jedynym pewnym sposobem na zapewnienie jej bezpieczeństwa. Gdybym ukryła ją w szopie lub innym miejscu, z pewnością prędzej czy później zostałaby znaleziona. Być może nawet ukarana, a potem wszystko wróciłoby do normy. Czyli do zapewniania paniczowi rozrywki. Ucieczka Abigail też nie miałyby sensu. Nie miałyby gdzie pójść, prawdopodobnie wylądowałyby na ulicy. Nie miałyby gdzie spać ani co jeść, możliwe też, że spotkałyby ją los niewiele lepszy od tego, jaki zgotował jej braciszek. Druga strona wydawała się najlepszym rozwiązaniem. Tam nie ma głodu, zimna, ani bólu. Niestety jest samotność.

– To musi być straszne, całymi dniami snuć się po pustym domu.

– Masz rację, dlatego ją odwiedzam, a ona mnie. Traktuję ją jak córkę, której nigdy nie miałam, ale teraz będzie tylko lepiej, wreszcie ma przyjaciółkę i jestem szczęśliwa, że to ty nią zostałam.

Mildreth uśmiechnęła się nieśmiało i szybko ugryzła, sernik skrywając w ten sposób swoje zawstydzenie.

– A teraz powiedz, co myślisz o samym przejściu – spojrzała w stronę drzwi, aby upewnić się, że nikt ich nie słyszy.

– Jest super – rozszerzyła w podnieceniu oczy. – Nigdy czegoś takiego nie widziałam, nawet nie wyobrażałam sobie, że coś takiego istnieje.

– Myślę, że nie tylko ty.

– To, to... – szukała odpowiedniego słowa. – To jest coś niesamowitego. Stoję sobie tu, a po chwili znajduję się w zupełnie innym miejscu. Przecież normalnie szłabym tam godzinami, może nawet dłużej, a tu nagle jestem daleko stąd. Mówią, że kolej jest bardzo szybka, ale to jest szybsze od... od wszystkiego.

– Prawda? Przechodziłam przez te drzwi wielokrotnie, lecz nadal nie wierzę w to, co się dzieje. To jest magiczne.

– Magiczne, właśnie. Mogę zobaczyć Londyn albo Southampton.

– Hmm..., to tak nie działa. Możesz tylko wyjść w miejscu, w którym byłaś, tak abyś mogła przywołać je w swojej pamięci i pod warunkiem, że to miejsce nadal istnieje.

– No tak, Abigail mówiła mi o tym – przez chwilę się nad czymś zastanawiała. – Ale ty musiałaś widzieć wiele miejsc.

– Nie zupełnie.

– Jak to, przecież korzystasz z tych drzwi od lat?

– Nie tak często, jak ci się wydaje. Z czasem robię to coraz rzadziej, poza tym w całym swoim życiu widziałam jedynie Warmley, Blackwood i Bristol, więc wszystkie możliwości już dawno wyczerpałam.

Mildreth ugryzła kolejny kęs ciasta.

– Przepraszam, że pytam, ale skąd dowiedziałaś się o tym przejściu?

– Od mamy, a ona od swojej mamy – spojrzała przed siebie, grzebiąc w pamięci. – Pewnego razu wracałyśmy do domu z targowiska. Mieszkałyśmy wtedy w małym domku na skraju wioski. Pamiętam, że była okropna ulewa, jak to zresztą na jesieni, ale tamtego dnia nastąpiło prawdziwe oberwanie chmury. Zrobiło się ciemno, a deszcz był tak duży, że widoczność sięgała nie dalej niż na kilka jardów. Szłyśmy ostrożnie prowadzącą przez las wąską ścieżką, starając się nie wpaść w błoto. Gdy na drodze spotkałyśmy dwóch mężczyzn. Nigdy ich wcześniej nie widziałam, byłam pewna, że nie pochodzili z naszej wioski. Stali blokując nam przejście. Zeszłyśmy ze ścieżki, aby ich przepuścić, ale oni nawet nie próbowali iść dalej. Patrzyli tylko na nas dziwnym wzrokiem, nic nie mówiąc. Weszłyśmy między drzewa, żeby ich ominąć, ale oni specjalnie wstąpili w las, blokując nam drogę. Jeden odepchnął mamę, a drugi chwycił mnie za ramię.

Wtedy mama rzuciła w nich koszem, w którym miałyśmy sprawunki. Złapała mnie za rękę i pociągnęła za sobą między drzewa. Biegłyśmy przed siebie w głąb lasu, sukienka oblepiła się wokół moich nóg i omal nie upadłam, ale mama szarpnięciem przywróciła mnie do pionu. Odwróciłam się, wciąż nas gonili. Zobaczyłam przed nami jakąś starą chatę. Wbiegłyśmy

do środka, zatrzasnąjąc za sobą drzwi, nie miały zamka. Mama przesunęła stół, aby je zablokować. Oparliśmy się o niego, ale oni nie odpuszczali.

– Otwieraj – krzyczeli, waląc w drzwi.

Przez szparę w deskach widziałam wściekłą twarz.

– Otwieraj i tak nie macie dokąd uciec – mężczyzna uderzył w drzwi, aż stół odskoczył do tyłu. – Jeśli teraz otworzysz, pozwolę ci popatrzeć, jak zabawiam się z twoją córeczką.

Pamiętam, że cała trzęsłam się ze strachu. Mama objęła mnie i powiedziała:

– Nie bój się, wszystko będzie dobrze.

Na końcu chaty znajdowało się drugie pomieszczenie oddzielone od głównej izby jedynie paroma deskami imitującymi ścianę oraz futryną bez drzwi. Mama przeszła przez nią, futryna wypełniła się mgłą. Resztę już znasz.

– Miałaś dużo szczęścia.

– Tak, ale gdyby nie moja mama, szczęście by mi nic nie pomogło.

– No tak... – kiwnęła głową ze zrozumieniem. – To prawie tak jak ze mną i Abigail.

– Hmm... masz rację. Czasami okropne chwile w życiu sprawiają, że zdarza się coś nieoczekiwanego, coś, co niekoniecznie jest złe.

– Właśnie..., może powinnam podziękować Garnetowi – zaśmiała się.

– Ha, ha..., to by dopiero było, ale nie sądzę, żeby wiedział, co oznacza słowo, dziękuję – sięgnęła po imbryk z herbatą. – A teraz powiedz, co wczoraj robiłyście.

– Byłyśmy w parku i zjeżdżałyśmy z górki na tacach.

– Na tacach?

– Tak... – zaczerwieniła się. – Ale to był pomysł Abigail – dodała na swoje usprawiedliwienie.

– Mogłam się tego domyśleć... znam tę górkę, to ledwie pagórek, nijak się ma do tej w Blackwood, tamta to prawie wzgórze.

– Zjeżdżałaś z niej?

– Ha, ha..., ja nie. Zresztą nigdy nie byłam tam w zimę. Griffith'sowie wyjeżdżali tam latem, lecz od czasu zaginięcia Abigail mieszkają tylko w tym domu. Jednak mogę sobie wyobrazić jej ośnieżony stok. Miałybyście świetną zabawę.

– Na pewno – popatrzyła na wprost oczami wyobraźni, widząc siebie zjeżdżającą wśród białego puchu.

\*\*\*



Sen już dawno minął, lecz wciąż leżała na wznak z głową wspartą na wielkiej poduszce, przykryta grubą pierzyną. Patrzyła przez okno na szare chmury sunące powoli po niebie. Słyszając ciche skrzypnięcie, odwróciła wzrok w stronę drzwi.

– Widzę, że pani już wstała – powiedziała Brittanica, wsadzając głowę do pokoju.

– To ciekawe, bo mi się wydaje, że nadal leżę – burknęła Clementine.

– Miałam na myśli, że madame się obudziła – dodała z przeproszającym uśmiechem.

– A niby skąd mam wiedzieć co ty masz na myśli – poprawiła się na łóżku, przyjmując pozycję siedzącą. – Czyż nie byłoby prościej, gdyby każdy mówił to, co myśli? Można by w ten sposób uniknąć wielu niedomówień, a co za tym idzie strzępienia języka.

– W rzeczy samej – wślizgnęła się do pokoju.

– A ty co się tak skradasz? Chciałaś coś ukraść?

– Nie, ja tylko nie chciałam pani obudzić – odparła z płonąca twarzą.

– Jak widać, ta sztuka ci się nie udała, a skoro już tu jesteś, mogłabyś poprawić mi poduszkę. Zamiast stać jak słup soli.

Brittanica wyciągnęła nogi, błyskawicznie znajdując się obok łóżka, szybko uklepała poduszkę, zwiększając jej objętość i położyła ją za plecami Clementine.

– No, do czegoś się w końcu przydałaś. Nalej mi coś do picia – usadowiła się wygodniej, opierając o wezgłowie, wzięła kieliszek i wypiała łyk. – Tff..., coś ty mi dała?

– Wodę.

– Wyglądam na krowę, nalej coś przyzwoitego... Co ci się stało w rękę?

– A, to – dotknęła obwiązanego białą szmatką nadgarstka. – Skaleczyłam się wczoraj o szkło – napełniła kieliszek, przez chwilę wahała się co powiedzieć, w końcu zebrała się na odwagę. – Jak pani myśli co to było?

– O czym mówisz?

– Chodzi mi o te latające rzeczy, widziałam na własne oczy, wszystko się unosiło. To, to było... – próbowała znaleźć odpowiednie słowo. – Przeróżające.

– Więc to prawda... – zapatrzyła się przed siebie. – Myślałam, że za dużo wypiałam i mi się to po prostu przyśniło.

– Nie, widziałam to i nadal trudno mi w to uwierzyć. Nigdy nie byłam świadkiem czegoś takiego, co prawda słyszałam różne dziwne opowieści, ale wie pani, jak to jest z plotkami. Ludzie gadają różne rzeczy i większości

to wyssane z palca bzdury – nieświadomie przysiadła na skraju łóżka. – A pani co o tym sądzi?

– Nie wiem, ale jak teraz o tym myślę, to wyglądało mi to na... Przecież takie rzeczy się nie zdarzają. To było kompletnie szalone. Tu nigdy nic takiego nie miało miejsca... – spojrzała na Brittanice. – Dasz, że mi w końcu coś do picia.

Panna Bennett przekazała trzymany w ręku kieliszek.

– Kto wie, co się mogło stać, to wyglądało jak tornado. Mogłyśmy nawet zginać – wypła całość jednym haustem. – Więc to była prawda..., żeby nie sofa – zrzuciła pierzynę, bacznie przyglądając się swoim nogom. Poruszyła stopami. – Jeśli zraniłaś się w rękę, bóg raczy wiedzieć, co mi się stało. Wezwij doktora Samuela, lepiej będzie, jak mnie obejrzy. Czuje ból głowy – oddała pusty kieliszek, nakazując gestem, aby go szybko napełnić i rozmasowała skroń. – Może przy okazji spojrzy na twój nadgarstek.

– Dziękuję pani – podała nową porcję whisky. – Myśli pani, że to mógł być duch? Nigdy nie widziałam ducha i szczerze mówiąc, nie ciągnie mnie do takiego spotkania.

– Hmm..., duch? – zamyśliła się. – Oby nie.

– Więc co?

– Nie mam pojęcia... – wypła kolejny łyk. – A teraz idź już po doktora i nie wracaj bez niego – odprowadziła ją wzrokiem. – Zaczekaj, a co z Walterem, nic mu nie jest?

– Nie wiem, gdy tylko wszystko ustało, pan Walter wyszedł i od tamtej pory go nie widziałam.

\*\*\*

Można było śmiało stwierdzić, że jak na tę porę dnia „Stary dorsz” pękał w szwach. Przez uwalone w błocie szyby wpadały nieliczne promienie słońca, oświetlając unoszące się w powietrzu tumany kurzu. Kilku opojów spało już z głowami na stołach, co pewien czas budzonych przez przeciskających się obok nich amatorów mocniejszych trunków.

– Dwa ciemne – rzucił Orris za siebie, opierając się plecami o bar, łypiąc jednocześnie okiem, na siedzącą w towarzystwie dwóch mężczyzn, szczerbatą potarganą brunetkę. Dziewczyna wyczuła jego wzrok, podniosła głowę, a on tylko na to czekając, zawadiacko mrugnął okiem.

– Jak tam interesy? – zagał Dick, przesuwając kufle po brudnym kontuarze.

– Mmm – burknął, strojąc miny do dziewczyny, mające sprawić, że nie będzie w stanie mu się dłużej oprzeć.

– Pytałem, jak leci? – celowo uderzył kuflem w oparty na ladzie łokieć Orrisa, aby zwrócić na siebie uwagę.

– Co? – zamoczył usta w ciemnym płynie.

– Myślisz, że zaraz do ciebie przybiegnie, gdy urabia dwóch gości? – machnął głową w kierunku szczyrbatej. – Mając do wyboru pewne pieniądze lub takiego gołodupca jak ty, to co wybierze? Zgadnij. – zaśmiał się oblesnie. – Ja nie mam wątpliwości.

Orris wyciągnął długą łapę, chwytając Dicka za koszulę.

– Licz się ze słowami, świńska mordo.

– Dobra, dobra, coś taki drażliwy – rozwarł palcami zaciśniętą dłoń Orrisa, uwalniając się z uchwytu. – Wpisać na kreskę?

– Nie trzeba – rozdrażniony rzucił szylinga na ladę.

– Dzięki, na razie wystarczy – szybko schował monetę.

– Co wystarczy? Myślisz, że nie wiem, ile kosztują te szczyzny? Dawaj resztę.

– Jaką resztę?

– Chcesz zrobić ze mnie durnia?

– A może to wy chcecie zrobić ze mnie idiotę?

– Dawaj pieniądze albo pożałujesz!

– A kto zapłaci za szczeniaka? Myślisz, że prowadzę tu jakiś pieprzony przytułek? Pijesz – płacisz, jesz – płacisz, śpisz – płacisz. Czego tu kurwa nie rozumiesz?

– O czym ty mówisz?

– Ślepy nie jestem, gówniarz nocuje u was w pokoju, a to kosztuje.

– Co mnie on obchodzi, to nie mój dzieciak!

– Tym bardziej mój – rzucił Dick i widząc wściekłe spojrzenie Orrisa, zrobił krok w tył.

– Już ja ci to zaraz wytłumaczę! – pochylił się nad kontuarem, zaciskając pięści. Nagle poczuł na ramieniu ciężar czyjejś ręki.

– Co ty wyprawiasz? – spytała Lorabelle.

Odwrócił się, ukazując czerwoną ze wściekłości twarz.

– Ten świński syn powiedział, że mamy zapłacić za nocleg twojego szczeniaka.

– I zapłaciłeś?

– Sam zabrał pieniądze, wziął pieprzonego szylinga.

Przeniosła wzrok z Orrisa na Dicka i z powrotem.

– W takim razie załatwione – stwierdziła ze spokojem.

- Co?!
- Zapłaciłeś, więc w czym problem?
- W czym... – sapnął wściekły. – W czym problem?!

Podniosła stojące obok piwo i wypłała duży łyk, nawet na chwilę nie odwracając wzroku od kompana.

– To moje pieniądze, nie będę płacił za tego przybłędę. To ty chciałaś, żeby tu został, a nie ja. Potrzebny jest jak dziura w bucie... – przerwał, aby zaczerpnąć powietrza. – Jeśli chcesz zajmować się każdą cholerną znajdą, to płać za to z własnej kieszeni!

– Nie gorączkuj się – zlekceważyła wypowiedź machnięciem ręki, ruszając w stronę pustego stołu. Wcisnęła się w kąt i czekała. Chwilę później dołączył do niej Orris, postawił z hukem kufel, rozlewając piwo na ławę, które szeroką strugą pociekło mu na spodnie.

- Niech to cholera, jeszcze to – zaklął siarczyście.
- Przestań jójczyć. Zachowujesz się jak stara baba.
- Też byś jęczała, gdybyś za piwo zapłaciła szylinga.
- Nie żałuj szylinga, kiedy możesz za niego dostać gwineę.
- Niby w jaki sposób.
- Już ci tłumaczyłam pusty łbie, że dzieciak to chodząca kopalnia złota.
- Jakoś tego nie widzę.
- Boś ślepy i głuchy, ile razy mam ci to powtarzać? Zresztą zaraz sam się przekonasz – przeniosła wzrok na schodzącego po schodach Magnusa. Chłopak przemykał się niemal po ścianach, starając się nie zwracać na siebie niczyjej uwagi.

– Cholerny gówniarz – posłał w jego kierunku piorunujące spojrzenie.

– Ten gówniarz wysprzątał pokój, a potem wyprał twoje śmierdzące gacie.

– Trzeba było wziąć sprzątaczkę, efekt byłby ten sam. Chociaż nie, byłoby taniej.

– Lepiej już zasznurowuj gębę, bo sama to zrobię. Jestem pewna, że będzie z niego więcej pożytku niż z ciebie – przeszyła kompana wściekłym spojrzeniem i uśmiechnęła się do nadchodzącego Magnusa, klepiąc ławkę, na której siedziała. – Wskakuj.

– Dziękuję madame.

Lorabelle wyszczerzyła poźółkłe zęby.

– Będą z ciebie ludzie, a teraz powtórz to, co mi mówiłeś.

– Chrr... – odchrząknął.

Widząc to Lorabelle, przesunęła kufel w jego stronę.

– Dziękuję madame – łąpczywie wypił duży łyk. – To był ogromny dom, pan Knight mówił, że to byli jego stali klienci. Wszędzie leżały dywany, a na ścianach wisiało mnóstwo obrazów z różnymi ludźmi. Stały tam też takie małe, kolorowe figurki i ...

– Wiesz, gdzie jest ten dom? – wtrącił Orris.

– Tak.

Orris posłał dziewczynie znaczące spojrzenie.

– Mów dalej – zachęciła Lorabelle, głaszcząc Magnusa po głowie.

– Więc widziałem takie srebrne pudełko...

\*\*\*

Tupnęła kilkakrotnie przed wejściem do domu, aby strząsnąć oblepiający noski butów śnieg, otrzepała płaszcz i z rozmachem weszła do środka.

– O, panna Bennett! – zawołała Daphne, podrywając się, ze stojącego pod ścianą krzesła. Uniosła miotełkę i w popłochu poczęła bezmyślnie przesuwać ją po gołej ścianie.

– Dziękuję, ale wiem, jak mam na imię – posłała służącej groźne spojrzenie. Nie tracąc czasu na kolejną uwagę, która cisnęła jej się na usta, ruszyła na górę, rozpinając po drodze płaszcz. W kilku krokach pokonała dzielącą ją od pokoju Clementine odległość i bez zwłoki chwyciła za klamkę, pukając jednocześnie w drzwi.

– To ja panna Bennett.

– Nareszcie, wchodź.

Pchnęła drzwi. Clementine siedziała w łóżku w tej samej pozycji, w jakiej Britannica zostawiła ją blisko dwa kwadrans temu. Z małą różnicą, którą stanowił trzymany w lewej dłoni pełny, zamiast pustego kieliszek whisky.

– Nie powiem, żebyś się zbyt spieszyla – burknęła na przywitanie.

– Nie mogłam złapać powozu.

– Ta... – machnęła niedbale ręką. – Każdy powód jest dobry, aby uzasadnić swą opieszałość – przechyliła głowę na bok, próbując zajrzeć za jej plecy. – A gdzie doktor Gray? Chyba nie kazałaś mu czekać na dole.

– Nie.

– Więc proś go.

– Ale jego nie ma, on...

– Jeśli się nie mylę, miałaś go sprowadzić. Widzę, że zaczynają cię przerastać proste obowiązki.

– Nie, ja byłam, ale...

– Mów, że wreszcie.

Brittanica przełknęła ślinę i wykrztusiła:

– Doktor nie żyje.

– Co powiedziałaś?

– Doktor nie żyje – powtórzyła mechanicznie.

– No to pięknie. I kto teraz mnie zbada? – pociągnęła z kieliszka, patrząc przed siebie, na przykryte koszulą nocną nogi. – A co mu się właściwie stało? Czyżby na coś chorował?

– Nie – powiedziała i czując nagłe zmęczenie, usiadła na krześle. – Został zamordowany.

– Zamordowany? Hmm..., co za czasy, nie można wyjść z domu, żeby nie być narażonym na zaczepki jakichś obdartusów. Stada włóczęgów i nierobów liczących na jałmużnę panoszą się po ulicach. Gdyby mogli, zabraliby człowiekowi ostatnią koszulę. Co dzień słyhać o gwałtach czy rozbojach. Powinni w końcu coś z tym zrobić. To skandal, żeby porządni ludzie bali się wyjść z domu.

– Ma pani świętą rację. Tylko że pan Gray został zamordowany we własnym domu.

– W domu? Jakże to możliwe?

– Sama nie wiem, jego sąsiadka powiedziała, że zabili go wraz ze służącym. Zdemolowali dom, pewnie czegoś szukali, a potem wyrzucili ciało przez okno na ulicę.

– Boże! Złapali ich?

– Niestety nie.

– To już przechodzi ludzkie pojęcie, nawet we własnym domu nie można czuć się bezpiecznie. Człowiek kładzie się spać, nie wiedząc, czy wstanie następnego dnia.

Brittanica kiwnęła potakująco głową.

– W dodatku zabili ich w biały dzień, masakrując ciała. Doktor Gray miał złamany kark, a służącemu...

– Dość, dość, wystarczy. Nie wiem, czemu fascynuje cię ta makabra. Lepiej nalej mi kropelkę czegoś mocniejszego, jestem cała roztrzęsiona – wyciągnęła rękę z pustym kieliszkiem w kierunku Brittanici. – W środku dnia, przecież... – zawiesiła głos, nagle sobie coś uświadamiając. – Zamknęłaś drzwi?

Brittanica spojrzała na wyjście z pokoju.

– Na dole, wejściowe – doprecyzowała Clementine.

– Oczywiście.

– A tylne, dla służby.

– Powinny być zamknięte.

- Powinny? Idź się upewnić i okna, sprawdź wszystkie okna na parterze. Garnet już wrócił?
- Nie widziałam go dzisiaj.
- Biedactwo, żeby tylko nic mu się nie stało. Jest taki delikatny.

\*\*\*

Niepewność to było najgorsze. Siedziała tu już od paru dni, a może krócej? Nie była pewna. Ciemność, która ją ogarniała, nie dawała jej możliwości dokładnej oceny mijających godzin, a może dni? Tak, to musiały być dni. Co pewien czas budziła się, jadła coś, co pozostawiono obok jej pośłania, a potem spała. W zasadzie to głównie spała. Cóż mogła robić innego, będąc przykutą łańcuchem do wilgotnej kamiennej podłogi. No i jeszcze ten ziąb, jakże było tu zimno. Otuliła się ściślej płaszczem, który nie dawał jej takiej ochrony, jakiej by sobie życzyła. Niech się coś w końcu wydarzy, miała już tego dość. Chciała wiedzieć, co zostało jej przeznaczone i choćby miała to być najgorsza rzecz, jaką można sobie wyobrazić, chciała mieć już ją za sobą. Wczoraj, a może dzisiaj, słyszała jakiś dochodzący zza drzwi dźwięk, jakby coś ciężkiego szorowało po ziemi. Krzyczała z całej siły, licząc, że zostanie usłyszana, a może i uwolniona. Jednak nic się nie stało, po kilkunastu minutach znów słyszała jakieś kroki, ale ten ktoś jej nie słyszał lub nie chciał słyszeć. Wyciągnęła rękę, po stojący obok dzbanek i wypila z niego łyk lodowatej wody. Co też ją podkusiło, aby pojechać z tym psychopata? Co? Patrzyła w mrok, widząc jedynie nieprzeniknioną ciemność. Wiedziała, co i ciężko było jej się do tego przyznać, ale zmamił ją pierścień. Potwornie kosztowny pierścień. Prawdziwy majątek. Mogłaby za niego kupić..., nic – wierzgnęła bezsilnie nogą. Nic, teraz nie ma pierścienia, nie ma nic. Jestem cholerną idiotką. Machnęła nogą, sprawiając, iż łańcuch wydał z siebie metaliczny brzdęk. Pochyliła się, by rozmasować obolałą kostkę, gdy usłyszała zgrzyt klucza w zamku, drzwi się rozwarły i celę zalał blask świecy. Garnet obrzucił wzrokiem pomieszczenie i postawił świecznik na stole. Uważnie obszedł brudny siennik.

– Widzę, że rozgościłaś się na dobre – zakpił, odsuwając nogą wiadro z nieczystościami.

Jasmine cofnęła się najdalej, jak tylko pozwoliły jej na to okowy.

– Spokojnie, nie strugaj takiej nieprzystępnej – chwycił metalowe więzy, przyciągając dziewczynę do siebie. – Tęskniłaś? – przesunął dłonią po jej

włosach. – Z pewnością, ale nie musisz się już martwić, zaraz się tobą zajmę.

– Wypuść mnie – złapała go za rękę, ze złością odtrącając na bok.

Dłoń błyskawicznie wróciła, wymierzając Jasmine siarczysty policzek.

– To było głupie bądź dla mnie miła, a wtedy ja będę miły dla ciebie – chwycił ją za włosy, przyciągając ku sobie.

– Przepraszam – poczuła ściekającą łzę.

– Tak lepiej – czułym gestem wytarł jej policzek. – Zrobiłaś tu straszny chlew, w dodatku śmierdzisz. Tak przyjmujesz ukochanego?

– Ale..., ja...

Garnet wyjął z kieszeni klucz, pogrzebał przy kajdanach, które po chwili opadły z brzdękiem na podłogę.

– Idziemy – pociągnął ją za włosy w górę. – Panie przodem – teatralnym gestem wskazał drzwi.

Dziewczyna stanęła na zdrętwiałej stopie. Zrobiła kilka kroków i w ostatnim momencie wsparła się o stół, chroniąc się tym samym przed upadkiem.

– W prawo – westchnął, chwytając świecznik.

Korytarz rozjaśniało nikłe światło, wpadające przez umieszczoną na suficie klapę.

– Teraz na drabinę. Tylko mi się nie połam.

Znaleźli się w stajni, Jasmine spojrzała na stojącego w pobliżu ogiera, który zarżał na jej widok, zarzucając długą czarną grzywą.

– Piękny koń – powiedział Garnet. – Jak będziesz miła, pozwolę ci się z nim zabawić.

Wyszli ze stajni na zasypane śniegiem podwórze.

– Hey!! – wrzasnął na całe gardło. – Co za cisza, nie ma tu nikogo w promieniu kilku mil – pogłaskał dziewczynę po głowie. – To na wypadek, gdyby wpadł ci do głowy jakiś głupi pomysł. Wiesz, o czym mówię?

– Nie musisz się obawiać – skrzywiła się w grymasie uśmiechu.

– Ha, ha, doprawdy zacny żart. Myślisz, że ja się czegoś boję?

– Nie, nie. Nie to miałam na myśli.

– Hmm..., moja droga, ta informacja jest dla ciebie, nie chciałbym, żeby stała ci się jakaś krzywda, wiesz przecież, jaki potrafię być... – dotknął jej twarzy w czułym dotyku. – Przyjazny – celowo zaakcentował ostatnie słowo.

– Oczywiście, źle się wyraziłam – mimowolnie się wzdrygnęła.

– Chodźmy.



Weszli do domu i znaleźli się w przestronnym wyłożonym marmurem holu, od którego odchodziło czworo drzwi. Wejście po lewej było otwarte, ukazując przykryte prześcieradłami meble. Garnet gestem wskazał prowadzące na górę schody.

– Zawsze twierdziłem, że ta posesja jest odpowiedniejsza do naszego statusu, ale miasto też ma swoje uroki, chociażby ty. Przecież, gdyby nie przybytek Rosy, nigdy byśmy się nie spotkali, a to byłaby wielka strata... dla nas obojga. Nieprawdaż?

Dziewczyna skinęła głową.

– Nawet w tym się zgadzamy. Najważniejsze to znaleźć wspólny język – wszedł na piętro i otworzył drzwi do łazienki. – Umyj się, potwornie śmierdzisz.

Jasmine stanęła niepewnie nad wanną parującej wody.

– No dalej, rozbieraj się, śmiało, nie takie rzeczy przecież robiłaś – poczekał, aż ubrania wylądują na ziemi. Zabrał je i wyszedł.

– A moje rzeczy? – zawołała do zamykających się drzwi.

– Nie będą ci potrzebne – odparł, pociągając za klamkę.

\*\*\*

– Czego oni od nas chcą? – spytała Betty, patrząc w mrok. W miejsce, gdzie jak się jej zdawało, powinna znajdować się twarz jej Jimmiego. Nie usłyszała żadnej odpowiedzi, ale poczuła jego dotyk na swojej dłoni. – Chciałabym już stąd wyjść..., boję się – szepnęła cicho, przywierając do brata.

Trwała w tej pozycji do czasu, aż zgrzyt przekręcanego w zamku klucza rozdarł ciszę. Drzwi rozwarły się z głośnym skrzypnięciem, a prostokąt bladego światła przykryła zwalista sylwetka. Mężczyzna stanął w progu, analizując sytuację w celi, wreszcie wszedł do środka i bezceremonialnie chwycił dziewczynkę za rękę.

– Zostaw mnie! – krzyknęła, czując potężne szarpnięcie, wrywające ją z kamiennej podłogi, na której siedziała.

– Idziemy – warknął dryblas.

– Nigdzie nie pójdę! Jimmy!

Chłopiec z całej siły złapał siostrę, starając się utrzymać ją przy sobie, lecz jego wysiłki zdały się daremne. Mężczyzna bez problemu przeciągnął ich w stronę wyjścia.

– Puść mnie! – wrzasnęła, wbijając zęby we włochatą rękę.

– Auu! – zawył dryblas, uderzając Betty na odlew w twarz. Dziewczynka wylądowała bezwładnie w kącie celi.

– Aaaa! – Jimmy w szale, z bojowym okrzykiem na ustach doskoczył do napastnika. Machając rękami na oślep, wymierzał ciosy na prawo i lewo, starając się powalić agresora na ziemię. Niestety wystarczyło jedno potężne uderzenie w głowę, które sprawiło, że świat zawirował mu przed oczami, a nogi ugięły się pod nim jakby były z galarety.

Mężczyzna złapał chłopca za spodnie i wywlekł z celi, z łoskotem zamykając za sobą drzwi.

– Jimmy, Jimmy – jęknęła Betty poprzez łyzy, próbując podnieść się z podłogi.

\*\*\*

Elvin siedział rozparty w fotelu, popijając małymi łydkami dwudziestoletnią whisky. Prawą ręką rozpiął koszulę, odsłaniając gęsto owłosiony tors. Cały czas czuł narastające podniecenie, a gorące powietrze i alkohol sprawiły, że nie mógł nad sobą zapanować. Założył nogę na nogę, nerwowo nią wymachując. Czekał już ponad pół godziny, o czym świadczyła opróżniona do połowy butelka. Wreszcie usłyszał dochodzące z korytarza kroki.

– No, nareszcie – powiedział, widząc wchodzącego do pokoju przyjaciela.

Garnet uśmiechnął się jednoznacznie i usiadł na stojącym obok krześle, nie przejmując się leżącą na nim kamizelką.

– Załatwione – oznajmił.

Elvin poderwał się na równe nogi, odstawiając kieliszek na stolik.

– Ha, ha, poczekaj nie tak szybko.

– A na co tu czekać.

– Siadaj – złapał go za rękę. – Chcę coś ustalić.

– Dobra mów – z powrotem przycupnął w fotelu.

– Jest w pokoju obok, możesz robić z nią, co tylko zechcesz, ale na razie nie uszkodź jej za bardzo twarzy.

– Aha.

– Mamy przed sobą całą noc, więc nie musimy się spieszyć. Jeśli będzie się zbyt opierać, w co zresztą wątpię, gdyż wydaje mi się, że zdążyła zrozumieć, co dla niej dobre..., zawołaj mnie. Do reszty rozwieję jej wątpliwości – nalał sobie whisky, wypił ją jednym haustem i wstał. – Dobra, idziemy.

Podeszli do sąsiedniego pokoju. Garnet pewnym ruchem otworzył drzwi, na wysokim łóżku z baldachimem siedziała spowita jedynie w błękitną podomkę Jasmin.

– Przyprowadziłem ci towarzystwo, żebyś się nie nudziła. Powinnaś być zadowolona, w końcu się znacie – przepuścił przyjaciela bokiem. – Baw się dobrze – klepnął go w plecy na odchodne.

– Elvin, to ty? Co tu robisz?

Garnet nie usłyszał odpowiedzi, gdyż zamknął za sobą drzwi. Wrócił do pokoju, zasiadł w fotelu i nalał sobie kolejną porcję trunku. Ledwo zanurzył usta w złocistym płynie, gdy do jego uszu dotarł krzyk Jasmin. Przełknął alkohol i uśmiechnął się pod nosem, wyobrażając sobie, co właśnie się dzieje w pokoju obok.

\*\*\*

– Nie lepiej byłoby poczekać, aż dom będzie pusty? – Lorabelle po raz kolejny wyrzuciła z siebie targające nią wątpliwości, wypuszczając przy tym z ust obłok pary, który po chwili rozpląnął się w mroźnym nocnym powietrzu.

– Choć raz zróbmy to po mojemu. Ostatnio dom miał być pusty, a jak się skończyło? Sama dobrze wiesz. Więc równie dobrze mogą być w środku. Nie możemy czekać, nie wiadomo ile czasu, aż wszyscy gdzieś wyjdą. Może to się stać za miesiąc albo wcale, a do tego czasu gówniarz będzie na naszej głowie – zerknął na stojącego o kilka jardów dalej Magnusa i kontynuował, ścisząc głos. – Zresztą my nic nie ryzykujemy, to on wchodzi do środka, odwalając całą robotę, my tylko spijemy mleczko.

– Chyba śmietankę.

– Nie ważne – machnął ręką.

– A jeśli go złapią?

– Jeśli go złapią, będziemy mieć szczeniaka z głowy i nie będzie to żadna strata, bo będzie to oznaczało, że się do niczego nie nadaje, a w takim wypadku nie jest nam do niczego potrzebny. Jeżeli się uda, zarobi na wikt i opierunek. Nie mam ochoty tracić na niego więcej ciężko zarobionych pieniędzy.

Lorabelle przygryzła wargę, kalkulując coś w myślach.

– Dobra, niech ci będzie. Będę czekać – pomachała ręką do Magnusa i schowała się w cieniu budynku.

Dziesięć minut później Orris ostrożnie posuwał się po dachu, starając się ani na sekundę nie odrywać butów od oblodzonego podłoża. Z sercem na

ramieniu brnął powoli za Magnusem, przemykając od komina do komina jak mała między drzewami. Z tą różnicą, że nie traktował ich jak środowisko naturalne, lecz jak ostatnią deskę ratunku, której puszczał się jedynie w ostateczności, gdy ręce wyciągnęły się już do granic możliwości, a do następnego komina brakowało nadal kilku stóp.

– Jeszcze kawałek – oznajmił Magnus, niosąc ze sobą zwój liny. – Proszę się nie obawiać psze pana. Nie jest tak ślisko – przesunął butem znajdującą się obok górkę śniegu.

– Dobrze wiem, co widzę – burknął, szorując do przodu na ugiętych kolanach, ugiętych tak bardzo, że zostawiał na śniegu wyraźny ślad pośladek. Wyciągnął rękę, chwycił się komina i wypuścił z ulgą powietrze z płuc. – Który to?

– Tamten – chłopiec wystawił palec, wskazując odcinający się na tle nieba czarny prostokąt. Podszedł do niego, zdjął otrzymaną od Lorabelle kapotę i zaczął przepasać się sznurem. Po chwili dołączył do niego Orris, objął komin, zaglądając do środka.

– Tu nic nie widać.

– Proszę nie mówić do środka, głos się niesie. Wszystko słyhać na dole. Orris cofnął się, ale nawet na sekundę nie puścił komina.

– No dobra, masz worek, włóż go za koszulę – wydał instrukcje. – Jak go napełnisz, przywiąż do liny i lekko szarpnij. To go wyciągnę.

– A ja?

– Potem wyciągnę ciebie, tylko najpierw worek. Pamiętaj.

– Tak psze pana.

– Dobra, dobra, włącz.

Magnus już miał schodzić, ale w ostatniej chwili się zawahał.

– Jak pan się boi, to niech się pan przywiąże do komina – powiedział, widząc trzęsącego się jak osika Orrisa.

– Nie trzeba – rzucił nonszalancko.

– Jak pan uważa, ale pamiętam, jak jeden kominiarz spadł, rozplaszczając się jak naleśnik. Pan Knight powiedział, że ostatnio widział tyle krwi, jak zarzynali na wsi prosiaka, a potem przyszli po niego...

– Dobra, nie gadaj tyle – podniósł drugi koniec sznura, przerzucił go przez komin i przywiązał się do niego. – No już, idź.

– Tylko proszę mnie powoli opuszczać.

– Aha.

Magnus zrobił głęboki wdech i zanurzył się w mroczną czeluść, by po kilku minutach pojawić się w znajdującym się poniżej salonie. Ostrożnie wyszedł z paleniska, uważając, by nie narobić hałasu, przechodząc nad kutą

osłoną kominka. Wszystko wyglądało tak, jak zapamiętał z poprzedniej wizyty. Kiedy to wspólnie z Knightem, czyścił tu przewody kominowe. Wyciągnął worek, rozglądając się po pokoju. Wziął do ręki stojącą na stoliku szkatułkę, bacznie się jej przy tym przyglądając. Miał brać tylko, to co się świeci, ale w jaki sposób miał to sprawdzić, skoro w domu panował mrok. Zapalił zapałkę, oświetlając znalezisko. Z całą pewnością szkatułka była wykonana z metalu. Zadowolony wrzucił ją do worka. Sięgnął po stojący obok świecznik i zamarł, słysząc jakiś hałas. Zgasił palcami zapałkę, instynktownie chowając się za wysokim krzesłem. Cisza zawładnęła domem, napinając nerwy chłopca jak postronki. Magnus trwał w tej pozycji przez kilka minut, próbując wyłapać jakikolwiek odgłos. W końcu nie słysząc nic poza biciem własnego serca, zebrał się na odwagę, wychodząc z ukrycia. Schował trzymany przez cały czas w ręku świecznik i nie ryzykując zapalenia kolejnej zapałki, złapał po omacku coś, co stało na komodzie. Najszybciej jak tylko potrafił, zapełniał worek, nie zwracając zupełnie uwagi na to, co wkładał do środka. Nieważne czy się świeci, czy nie – pomyślał, wrzucając kolejny przedmiot. – Muszę jak najszybciej się stąd wydostać – wrócił do kominka, przywiązał zdobycz do sznura i pociągnął go kilkukrotnie. Łup powoli zniknął w górze, wydając z siebie delikatny brzdęk, który dla Magnusa brzmiał jak walenie chochlą w pusty gar.

Stał, nerwowo przestępując z nogi na nogę, czekając na swoją kolej. Wreszcie po zdającej się trwać wieczność chwili, zobaczył wynurzającą się z komina linę z przywiązanym do jej końca pustym workiem. Nie, tylko niekolejny – pomyślał, odwiązując go drżącymi z nerwów rękami. Przez moment chciał przywiązać się do sznura i szarpnąć nim, aby jak najszybciej znaleźć się na dachu, ale rozsądek podpowiedział mu, że nie byłoby to zbyt mądre. Choć nie znał Orrisa zbyt długo, to ta krótka znajomość pozwoliła mu zauważyć, że jego nowy chlebobdawca nie darzył go gorącym uczuciem, a taka wpadka mogła go kosztować utratę dachu nad głową. Złapał więc worek i cicho jak tylko potrafił, przemknął się pod ścianą do drugiego pokoju. Niecałe pięć minut później przywiązywał do sznura drugi worek, wypełniony tym, co podeszło mu pod rękę. Szarpnął trzykrotnie sznur i czekał. Tak jak ostatnio łup zniknął z jego oczu, skrywając się w przewodzie kominowym. Pozostało tylko czekać. Stał, stał i stał. Minęła minuta, pięć, dziesięć, a lina wciąż nie pojawiła się tam, gdzie winna się już dawno znaleźć. Zadarł głowę do góry, starając się dojrzeć to, na co czekał.

– Halo – powiedział cicho, składając dłonie w tubę i kierując słowa ku kominowi. Odczekał chwilę, nie słysząc nic poza cichym szumem wiatru. – Psze pana – dodał drżącym głosem, bojąc się głośniej odezwać, aby nie

zbudzić śpiących mieszkańców. Czekał kolejne pięć minut, zanim dotarło do niego, że został pozostawiony sam sobie. Przetarł brudnym rękawem oko, czując napływającą łzę.

\*\*\*

– Jimmy, Jimmy – krzyczała coraz ciszej, uderzając pięściami w drzwi. Czuła, że nic to nie da, ale nie potrafiła siedzieć bezczynnie. Wciąż odczuwała ćmiący ból po uderzeniu, które otrzymała od tego wrednego typa. Jimmy próbował tylko mnie ratować, a teraz go zabrali – wyrzucała sobie w myślach. – To moja wina, gdybym go nie ugryzła, zostawiłby Jimmiego w spokoju – zadała kolejne ciosy drewnianym drzwiom. – Co ja teraz zrobię?

– Wypuśćcie mnie! Pomocy!

Nagle potworny krzyk przedarł się do celi. Wrzask rozrywający uszy, krzyk bólu i rozpacz. Betty zamarła rozpoznając znajomy głos, przesiąknięty męką i strachem.

– Jimmy, co ja najlepszego zrobiłam – opadła na ziemię, skuliła się, wkładając głowę pomiędzy kolana, aby nie słyszeć kolejnych wrzasków i obejmując rękoma podkulone nogi, poczęła się bezwiednie bujać.

\*\*\*

O nie, nie dam się złapać. Wymacał wystającą ze ściany cegłę i kolejną, po czym podciągnął się do góry. Ostrożnie zaczął pokonywać ceglany tunel. Dotarł do załomu znajdującego się mniej więcej w połowie drogi i zapierając się nogami o schodzącą pod skosem ścianę, zrobił kilka wdechów, aby nabrać sił przed najtrudniejszym czekającym na niego odcinkiem komina.

Przypomniawszy sobie jak pewnego dnia, kiedy Knight wyciągał go z komina, poczuł, jak lina zrobiła się luźna, a on sam zaczął opadać w dół. Tylko szybkie rozstawienie nóg i rąk na boki spowodowało, że nie spadł, łamiąc sobie wszystkie kości. Pamiętał, że zsuwał się tak przez parę stóp, kalecząc przy tym dłonie i kolana o chropowaty mur, zanim udało mu się zablokować ciało w miejscu.

Pomny tamtych nauk ruszył w górę, rozczapierzając ręce i nogi. Na jego szczęście otwór nie był zbyt wąski, co uniemożliwiłoby mu naparcie na ściany z odpowiednią siłą. Wspinał się cal po calu, co pewien czas zatrzymując się, aby chwilę odpocząć. W takiej sytuacji podciągał nogi do

klatki piersiowej, napierając kolanami i plecami na usmolone sadzą ściany. Po kwadransie chwycił skraj komina, resztkami sił podciągnął się do góry. Przerzucił ciało nad ceglana krawędzią, lądując plecami na ośnieżonym dachu. Rozłożył szeroko ręce, uśmiechając się do rozgwieżdżonego, czarnego nieba. Udało się! Szczyrzył zęby w niemym uśmiechu, chłonąc pełną piersią lodowate powietrze. Z tej krótkiej ekstazy wyrwało go przenikające mokrą koszulę zimno. Wstał, przecierając śniegiem usmoloną twarz. Spojrzał w bok na coś czarnego leżącego obok komina. Kapota. Z wdzięcznością założył na siebie okrycie, chowając ręce do kieszeni.

\*\*\*

Siedzieli przy blasku świec po obu stronach łóżka, zasłanego zawartością dwóch worków.

– To zatrzymam dla siebie – powiedziała Lorabelle, oglądając porcelanową tancerczkę.

– Najlepiej zatrzymaj wszystko – burknął Orris.

– O co ci chodzi? Przecież jest obtłuczona, sprzedaż ją najwyżej za parę pensów.

– Pens do pensa i będzie szyling.

– Jeszcze ci mało? Przecież tylko te świeczniki będą warte parę funtów.

– Gdyby szczeniak uważał, byłaby cała – burknął, spoglądając na figurkę.

– Mogłeś mu to powiedzieć przed robotą.

– Ty też.

– Ale ja nie płaczę z tego powodu, poza tym pewnie sam ją uszkodziłeś, rzucając worki na ziemię.

– A niby skąd mogłem wiedzieć, co tam jest?

– Chyba nie sądziłeś, że poduszki. Matole.

Zacisnął zęby, z trudem przełykając zniewagę. Zebrał trzy widelce i dorzucił je do kupki leżących obok srebrnych sztućców.

– Hmm..., nadal tego nie rozumiem. W jaki sposób go złapali?

– Przecież już ci mówiłem.

– To powtórz jeszcze raz, najwyraźniej jestem zbyt tępa, żeby to pojąć.

Poprawił się na łóżku, ostentacyjnie przy tym wzdychając.

– Odwiązałem drugi worek i opuściłem linę, tak jak wcześniej ustaliliśmy. Potem usłyszałem jakieś wrzaski i krzyk chłopaka. Więc uciekłem, nie było sensu się narażać.

– Oczywiście. Zastanawia mnie tylko jedno. Przez cały czas obserwowałam dom i nie zauważyłam nic dziwnego. Żadnych hałasów,

zapalonego światła, czy chociaż jakiegoś poruszenia. Nic, zupełna cisza. Przecież gdyby go złapali, z pewnością zapaliliby świece, przecież nie łapaliby go po ciemku, a już na pewno ktoś by krzyczał. W końcu nie co noc buszują ci po domu. A przecież mówiłeś, że słyszałeś jakieś krzyki. Jak to możliwe, że ja nic nie zauważyłam?

Podniósł srebrną szkatułkę, wodząc palcem po wyrytych ornamentach. Otworzył wieczko.

– A bo ja wiem? Może to przez to, że stałem na dachu. Podobno przez komin głos się strasznie niesie. Być może nie krzyczeli tak głośno, jak mi się zdawało.

– Być może – powiedziała pod nosem.

– Tak czy inaczej, jutro zaniosę wszystko do Johna – przechylił się przez łóżko, łapiąc Lorabelle w pasie.

– Co ty robisz?

– Musimy to jakoś uczcić – przyciągnął ją do siebie.

– Czekaj, najpierw to wszystko schowaj – kopnęła leżący obok świecznik.

– Po co? Nie chcesz się pieprzyć wśród srebra jak prawdziwa królowa?

– Wątpię, aby królowa lubiła, żeby widelec wbijał się jej w dupę.

– Kto tam wie, co oni na tym dworze wyprawiają – zaśmiał się, zrzucając z rozmachem stertę sztućców, która rozsypała się z brzdękiem po podłodze.



## XVII

– Ki diabeł – zaklął pod nosem, zwlekając się z łóżka. Powłócząc nogami, dowlókł się do drzwi, odsunął zasuwkę i otworzył je od niechcienia. – Czego? Tu się śpi.

– Przepraszam psze pana.

Orris zaniemówił, widząc stojącego na zewnątrz Magnusa.

– Czy mogę wejść? – spytał nieśmiało.

– Co?... Jak ty? – stał jak słup soli. – Przecież zostałeś na dole... – dodał, nie przesuwając się nawet o cal.

– Tak, ale udało mi się wyjść.

– Widzę – burknął. – Wynoś...

– Co się dzieje? – odezwała się zaspana Lorabelle.

– Nic takiego – rzucił, Orris usiłując zamknąć drzwi.

– Dzień dobry madame – powiedział szybko Magnus, zerkając w głąb pokoju, przesuwając się jednocześnie na bok. Robiąc wszystko, aby być widocznym w szparze pomiędzy futryną a blokującym wejście mężczyzną.

– O mój ulubieniec, już myślałam, że cię nie zobaczę – Lorabelle z entuzjazmem podciągając się na łóżku. – Co tak stoisz, wchodź.

Chłopiec spojrzał na Orrisa, który z niechęcią odsunął się na bok, wpuszczając go do środka.

– Biedaku, jak ty wyglądasz, musiałeś cały przemarznąć – podeszła do stołu, aby ukroić kawałek chleba. – Na pewno jesteś głodny.

– Dziękuję madame – usiadł na krześle, wgrzyzając się w pajdę.

– Co się stało, Orris powiedział, że cię złapali – posłała baczne spojrzenie w stronę stojącego przy drzwiach kompana.

Magnus przez dłuższy czas miętolił chleb między zębami, dając sobie czas na zastanowienie.

– Przywiązałem worek i czekałem na linę, tak jak się umówiliśmy, ale sznur się nie pojawił.

– Doprawdy? – spojrzała wilkiem na Orrisa.

– Przecież już ci mówiłem, że słyszałem jakieś krzyki, więc musiałem uciekać. I tak nie mogłem mu pomóc, gdybym został, złapaliby mnie i towar.

– Ktoś cię widział? – słowa skierowała do chłopca.

– Nie, wszyscy spali.

– Hmm... ktoś tu kłamie – powiedziała.

– Co się na mnie gapisz? Dobrze wiem, co słyszałem. Gówniarz coś zmyśla. Niech lepiej powie, jak wyszedł. Skoro wszystkie drzwi były zamknięte.

– Kominem.

– Niby jak, bez liny? – rzucił Orris.

– Tak, zapierałem się o ściany i powoli przesuwalem się w górę – podciągnął nogawki, ukazując zdarte do krwi kolana.

– Biedactwo – jęknęła Lorabelle, ostrożnie dotykając ran. – Trzeba to szybko przemyć – spojrzała na Orrisa. – Ciekawe skąd te krzyki, które rzekomo słyszałeś? A może specjalnie zabrałeś sznur, żeby się pozbyć chłopaka.

– Że niby ja?

– A kto, może to ja stałam na dachu? Od początku było widać, że go nie znosisz. To proste. Zostawiasz dzieciaka na robocie, łapią go. Jedna osoba mniej do podziału. Taka sytuacja byłaby ci bardzo na rękę.

– Co ty wygadujesz, gdybym nie zwiął, moglibyśmy stracić łup.

– Tak, a niby w jaki sposób? Przecież nic się nie stało, wszyscy spali.

– Wiem, co słyszałem – powiedział, wściekły składając palce w pięści.

– A ja myślę, że...

– Madame – przerwał Magnus, czując narastające napięcie. – Pan Orris mówi prawdę – zdziwieni jednocześnie spojrzeli na chłopca. – Czasem, gdy zajrzy się do komina słychać różne dźwięki przypominające ludzkie głosy, ale najczęściej to tylko wiatr. Panu Orrisowi pewnie też się tak zdawało.

Zapadło krótkie milczenie.

– Przecież ci mówiłem – rzucił Orris znacznie spokojniejszym tonem.

Lorabelle przez chwilę mierzyła go groźnym spojrzeniem, w końcu wzięwszy głębszy oddech, powiedziała:

– Przydałbyś się do czegoś i przyniósł gorącą wodę.

– Ja?

– Tak, ty. Trzeba chłopakowi przemyć rany, żeby coś się w nie, nie wdało.

– Niech sam sobie przyniesie, nie jestem jego służącym.

– Przecież widzisz, że ledwo siedzi. Powinieneś o niego dbać, to chodzący skarb – pogłaskała Magnusa delikatnie po głowie, uśmiechając się przy tym i rzuciła ostrym tonem. – Jeszcze tu stoisz? Rusz, że wreszcie tę swoją leniwą dupę.

\*\*\*

Z zapalem wbił widelec w kolejną kiełbasę, odgryzając znaczny jej kawałek. Dołożył słuszną porcję jajecznicy i całość popił winem.

– Doprawdy, jak możesz teraz to wszystko jeść? – spytała Clementine.

Walter przełknął resztki jedzenia.

– Po prostu mam apetyt.

– Zawsze masz apetyt, kiedy wracasz z palarni.

– I to dowodzi, że opium to samo zdrowie.

– Być może, być może, ale nie o tym mówię. Wytłumacz mi, jak możesz być tak spokojny, po tym wszystkim, co się wczoraj wydarzyło?

– A niby czym miałbym się denerwować?

– Nie wierzę w to, co mówisz – odstawiła kieliszek na stół.

– Hmm... – zrobił zdziwioną minę, wkładając do ust kawałek bekonu.

– Mówię o tym przedstawieniu w saloniku.

– Jakim przedstawieniu? – zmarszczył brwi.

– Jakim? Przecież cały pokój jest zdewastowany.

– Litości. Skończ, że wreszcie z tymi zagadkami – włożył do ust kolejną porcję jajecznicy.

Clementine wstała, obeszła stół i chwytając męża za rękę, poderwała go z krzesła.

– Sam zobacz – pociągnęła go do podwójnych drzwi oddzielających oba pokoje. – I co ty na to? – otworzyła je na oścież. Oczom ich ukazał się obraz zniszczenia. Szczątki mebli walały się po całym pomieszczeniu, zmieniając wykwintny salonik w wiejską drewnię.

– Pff... – parsknął Walter, jakby nagle jajecznicą zaczęła go parzyć, obryzgując jedzeniem przestrzeń przed sobą. – Co, co, co to?

– Teraz sobie przypominasz?

Patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem.

– Przecież to kosztowało fortunę, coś ty zrobiła?

– Ja?

– No przecież nie ja – nie przestawał podziwiać pozostawionego przez tornado pobojuwiska.

– Ty naprawdę masz coś z głową. Siedziałeś tu razem ze mną – wskazała miejsce, w którym wcześniej stał fotel. – I nagle nie wiadomo skąd meble same zaczęły się unosić i latać we wszystkie strony, roztrzaskując się na ścianach. Mało brakowało, a straciłabym życie – teatralnie dotknęła dłonią czoła.

– Hmm..., może i pamięć mi trochę szwankuje, ale to, co opowiadasz, wskazuje raczej na to, że twoje problemy z głową są znacznie poważniejsze niż moje.

– Wiem, że brzmi to dość absurdalnie, ale musisz mi uwierzyć. Zresztą panna Bennett wszystko widziała i z pewnością potwierdzi moje słowa.

– No dobrze, ale jeśli prawdą jest to, co mówisz, to jak to wszystko jest możliwe?

– Nie wiem, miałam nadzieję, że ty coś widziałeś.

Wzruszył ramionami, wyjął z kieszeni buteleczkę laudanum i wypił duży łyk.

– Jak tylko o tym myślę, zaczyna boleć mnie głowa. Lepiej pójdę do Samuela.

Clementine położyła dłoń na ramieniu męża.

– To ty nic nie wiesz?

– O czym?

– Samuel nie żyje, został zamordowany.

– Co? – usiadł na krześle, wypijając kolejny łyk laudanum.

Clementine wyjęła butelkę z ręki męża i sama łyknęła okazałą porcję lekarstwa.

\*\*\*

Już od dawna nie spało mu się tak dobrze i był to pierwszy raz, kiedy spał pod prawdziwą pościelą. Od powrotu do karczmy jego sytuacja zmieniła się diametralnie. Po ostrej wymianie zdań pomiędzy Orrisem i Lorabelle. Ten pierwszy przyniósł gorącą wodę i zniknął, trzasnąwszy drzwiami. Lorabelle obmyła umorusanego Magnusa, opatrzyła obtarcia, nakarmiła i napoiła, a co najlepsze pozwoliła mu spać w miękkim łóżku, kładąc się tuż obok. Chłopiec przeciągnął się, ziewając i nie otwierając oczu, przekręcił na brzuch. Nagle poczuł, jak ktoś wciska mu twarz w poduszkę. Zamachał rozpaczliwie rękami, próbując się oswobodzić.

– No i jak, wygodnie? – spytał Orris, dociskając ogromną łapą głowę chłopca. – Poduszka jest wystarczająco miękka? – zaśmiał się ze swojego żartu, wgniatając małą głowę w siennik. Patrząc na miotającego się rozpaczliwie dzieciaka, ogarnęła go fala szczęścia. W końcu zwolnił nacisk, chwytając go za włosy i podniósł do góry.

– Uhh..., uhh... – Magnus chwycił łapczywie powietrze, nie mogąc się nim nasycić.

– Co, zaniemówiłeś? Nie wiesz, że to niegrzecznie nie odpowiadać na pytania? – rzucił chłopca na metalową ramę łóżka. – Co się tak gapisz, ducha zobaczyłeś?

– Eee...

– Co eee, języka w gębie zapomniałeś? A taki byłeś cwany, madame to, madame tamto, a teraz co? Eee? To wszystko, co masz do powiedzenia?

Magnus rozejrzał się nerwowo po pokoju, szukając wzrokiem Lorabelle.

– Nie ma twojej obrończyni i co teraz zrobisz szczeniaku?

– Nie wiem, o co chodzi psze pana? – podciągnął nogi, wbijając się w wezgłowie.

– On nie wie, o co chodzi? – powiedział tak, jakby mówił do kogoś stojącego z boku. – Zrobiłeś ze mnie durnia, cholerna wszo – wymierzył siarczasty policzek, sprawiając, iż głowa chłopca uderzyła z brzękiem w metalową rurkę.

– Przepraszam.

– Mam w dupie twoje przeprosiny, zabieraj swoje manatki i wynoś się stąd.

– Ale madame Lorabelle...

– Widzisz ją gdzieś? – złapał go za koszulę, wyciągając brutalnie z łóżka.

– Ubieraj się i wypieprzaj – posłał mu soczystego kopniaka w tyłek.

Magnus usiadł na podłodze, wyjmując onuce z butów i w tym momencie wysypały się z nich monety.

– A co tu mamy? – powiedział Orris, przydeptując butem metalowy krążek. Schylił się, podnosząc szylinga. – Cholerny złodziej.

– To moje – odparł, chwytając drugą, wciąż turlającą się po deskach monetę.

– Nic co jest w tym pokoju, nie jest twoje – wykręcił rękę chłopca, zabierając mu szylinga.

– Ale ja je zarobiłem.

– A teraz płacisz za nocleg i wyżywienie. Co się tak gapisz? Myślałeś, że to przytułek? – warknął, zbierając pozostałe monety.

– Ale to wszystko, co mam – powiedział przez łyżę.

– Chyba, co miałeś – zaśmiał się rubasznie. – Ciesz się, że możesz zabrać ze sobą te szmaty. No szybciej – złapał leżące na krześle palto i rzucił w jego stronę. – Zakładaj buciory i już cię tu nie ma. A spróbuj nagabywać Lorabelle, a inaczej pogadamy – podszedł do opartej o ścianę laski. Wysunął skryte w niej ostrze, po czym pchnął jego szpic prosto w szyję chłopca, wciskając go w bladą skórę. – Rozumiemy się?

– Tak psze pana – odparł, przełykając ostrożnie ślinę.

Orris naparł ostrzem, przypierając Magnusa do ściany. Napierał dotąd, aż ujrzał na skórze pierwszą kroplę krwi.

– To na pamiątkę, żebyś przypadkiem nie zapomniał o naszej umowie. Tak?

Chłopiec ostrożnie skinął głową.  
– Nie słyszałem.  
– Tak, psze paanna – wyjąkał, a nacisk metalu na szyję sprawił, że z rany wyciekły kolejne czerwone krople.

\*\*\*

Futrynę wypełniła biała, gęsta mgła, przypominająca konsystencją mleko. Najpierw wynurzyła się z niej ręka, a następnie pojawiła się Abigail, wyciągając z mgły Mildreth.

– I oto jesteśmy – oznajmiła Abigail.  
– To tutaj przyjeżdżacie latem? – spytała, rozglądając się po pokoju pełnym zakrytych prześcieradłami mebli.  
– Tak, to Blackwood – podeszła do okna. – A tam jest wzgórze, o którym ci mówiłam – wysunęła palec przed siebie.  
– Jejciu, to prawdziwa góra.  
– No, będzie zabawa. Jak chcesz, mogę cię oprowadzić po domu.  
– Chętnie, ale może innym razem. Jak nie będzie mnie zbyt długo, panna Bennett się wścieknie.  
– Pewnie tak – powiedziała ze smutkiem. – W takim razie chodź, szkoda czasu – wybiegła na korytarz, kierując się prosto do drzwi wyjściowych. Wyjęła klucz z kieszeni płaszcza i przekręciła go w zamku. Pięć minut później stały na szczycie góry.  
– Ale wysoko.  
– To nic, zobacz tam – przebiegła na drugą stronę wzniesienia. – Wygrywa ten, kto dalej zjedzie – obwieściła znane już zasady. Położyła tacę na śniegu, usiadła na niej i odpychając się rękami, pomknęła w dół stoku.

\*\*\*

Garnet wprowadził konia do boksu, uniósł skrytą w podłodze klapę i zszedł na dół. Korzystając z nikłego wpadającego przez właz światła, dotarł do umieszczonych w głębi korytarza drzwi. Przez chwilę gmerał w zamku, wreszcie zapadka puściła i wszedł do środka. Ogarniający pomieszczenie mrok nie pozwolił dostrzec nic poza czernią. Wziął głęboki wdech, sycąc się wonią stęchlizny i wilgoci, typowej dla starych loszków.

– Kto tam? – rozległ się słaby głos dochodzący z głębi celi.  
Garnet zapalił, stojącą pod ścianą świecę, oświetlając nią swoją twarz.  
– Nie poznajesz ukochanego?

- Garnet?
- We własnej osobie – uśmiechnął się, przysiadając na skraju siennika.
- Gdzie jestem? Co się stało? – przysunęła się do niego.
- To twoje nowe lokum, przepraszam za warunki, ale taka jest konieczność – pogłaskał ją po głowie.
- Dlaczego?
- Dlaczego? Przecież marzyłaś o przygodzie, dałem ci ją. Byłaś na wskroś znudzona swoim rodzinnym domem, zapewniłem ci inny. Chciałaś odkryć to, co nieznanne, ze mną odkryjesz więcej, niż byś chciała – przytulił ją do siebie. – Więc jak, spełniłem twoje oczekiwania?
- Ale po co ten łańcuch? – szarpnęła nogą, sprawiając, iż ogniwa wydały z siebie cichy brzdęk.
- Żebyś mi nie uciekła.
- Nigdy bym tego nie uczyniła, tylko ty potrafisz mnie zrozumieć – spojrzała w górę, starając się, uchwycić jego spojrzenie.
- Zobaczymy czy ty potrafisz zrozumieć mnie – wstał.
- Briar na klęczkach przysunęła się po sienniku i przywarła do niego, wtulając głowę w jego uda. Przez moment trwali w tej pozycji, nagle Garnet uderzył ją ręką w twarz, odpychając od siebie.
- Oto początek twojej przygody – wymierzył kolejny policzek, dziewczyna upadła na siennik, ale po chwili podniosła się na klęczki. Uderzył ponownie, tym razem już nie wstała.
- Garnet – wyszeptała, a krew pociekła jej z kącika ust.
- A teraz moja droga, odkryjesz nowe doznania – powiedziawszy to, rozerwał jej sukienkę.

\*\*\*

- Wystawiła nogi, aby wyhamować, wzbijając tym samym tumany śniegu.
- Pierwsza – obwieściła Abigail, wywracając się na bok.
  - Masz szczęście i tyle – odparła Mildreth, wstając z ziemi.
  - Jak chcesz, możemy spróbować jeszcze raz.
  - Nie mogę, muszę wracać do pracy.
  - No tak – zmartwiła się. – Może jutro.
  - Byłoby fajnie. Wiesz, gdybyś wróciła do domu, to mogłybyśmy się częściej spotykać.
  - Na pewno – podniosła tacę z ziemi. – Kto pierwszy wygrywa – nie czekając na odpowiedź, wbiegła na stok. – Ha, ha, znowu jestem... – nie dokończyła, widząc coś w oddali.

– Co się stało? – spytała Mildreth, stając obok koleżanki.  
– Zobacz, tam ktoś jest – wskazała palcem przed siebie.  
Ze stajni właśnie wychodził jakiś mężczyzna, przymknął drzwi i ruszył w stronę domu.  
– Jak teraz wrócimy? Przecież on wszedł do środka.  
– Nie przejmuj się, najwyżej skorzystamy z innych drzwi – odparła Abigail, zbiegając w dół. Jednocześnie zastanawiając się, kto mógł o tej porze roku buszować po Blackwood.  
Kryjąc się za drzewami, wbiegły na podwórze, przystanąły za rozklekotaną furmanką.  
– Ciekawe kto to? – rzuciła Abigail, zerkając między drewnianymi szprychami w stronę domu.  
– Nie wiem, ale lepiej już stąd chodźmy.  
– Dziwne, w zimie nikt tu nie przyjeżdża – zdawała się nie słyszeć słów Mildreth. – Muszę to sprawdzić – wybiegła z ukrycia.  
– Ale... – westchnęła i pobiegła za koleżanką.  
Przebiegły wzdłuż budynku zaglądając do wnętrza przez kolejne okna.  
– Pewnie jest na górze. Musimy wejść do środka – powiedziała Abigail.  
– Wcale nie musimy, możemy iść do stajni.  
– A jeśli to złodziej?  
– I co z tego, przecież same i tak nic nie zrobimy.  
– Jejciu, ale przygoda – uśmiechnęła się w podnieceniu, przestępując z nogi na nogę. – Wchodzimy – nacisnęła ostrożnie klamkę frontowych drzwi.  
– Stój – szepnęła Mildreth, ale było już za późno. – A niech to... poczekaj na mnie.  
Stały przy schodach, z piętra dochodził wyraźny hałas. Tak, jakby ktoś przesuwiał meble, szorując nimi po podłodze. Abigail złapała Mildreth za rękę i pociągnęła za sobą na górę. Idąc za dźwiękami, dotarły do otwartych na oścież drzwi. Wstrzymały oddech i równocześnie wyjrzały zza framugi. Po podłodze walały się porzucane prześcieradła, które jeszcze przed chwilą skrywały gustowne dębowe meble. Pośrodku pokoju jakiś mężczyzna walczył z wielkim stołem, a na łóżku pod ścianą leżała przywiązana do wezgłowia kobieta. Dziewczynkom wystarczyła jedynie sekunda, aby rozpoznać przybysza oraz kolejną, by skryć się za ścianą. Wymieniły krótkie spojrzenie i najszybciej jak tylko mogły zeszły na dół.  
– Lepiej stąd chodźmy – powiedziała Abigail. Przekroczyła próg najbliższego pokoju, cofnęła się i biała mgła wypełniła futrynę.

\*\*\*



Otworzyła oczy, przez chwilę nie wiedząc, gdzie się znajduje. Przekręciła się na bok, po czym cicho syknęła, czując promieniujący ból na twarzy. Dotknęła policzka, był cały spuchnięty i to odświeżyło jej pamięć. Garnet, cęła, ciosy. Uderzenia zadawane przez jej ukochanego, jedno po drugim, każde z siłą młota. Przesunęła rękę po ciele, wyczuwając pod palcami podarty materiał sukni. Dotknęła brzucha. Ból był wielki, niezwykle intensywny. Ból, jakiego jeszcze w życiu nie czuła. Zsunęła dłoń na uda, ponownie syknęła, miała wrażenie, że skóra nóg jest starta. Uniosła głowę, aby to zobaczyć, ale nieprzenikniona ciemność nie dała jej takiej możliwości. Opadła bezsilna na siennik. Ponownie ułożyła dłoń na brzuchu i zamknęła oczy, starając się przypomnieć sobie, jak najwięcej z tego co się wydarzyło. Pamiętała Garneta wchodzącego do celi, jego strój. Jak pięknie w nim wyglądał – pomyślała, wysuwając nieświadomie z ust końcówkę języka. – Jakże on był męski w świetle świecy. No i wtedy kiedy stał nade mną, z tym władcym spojrzeniem, nieznoszącym ani krzty sprzeciwu – oblizwała usta, zsuwając dłoń między nogi. – Garnet, Garnet – szepnęła, wciskając twarz w zatęchły siennik.

\*\*\*

Wciąż stały w pokoju w Blackwood ciężko oddychając. Mildreth spojrzała w okno, chcąc upewnić się, że są już bezpieczne. Widok gęstej jak mleko mgły dodał jej otuchy.

- Ty też go widziałaś? – spytała.
- Tak, to był Garnet i ta dziewczyna – odparła Abigail.
- Aha... znasz ją?
- Nie... Myślisz, że coś jej robił?
- Nie wiem, ale raczej sama się nie przywiązała..., mam nadzieję, że nas nie widział – odparła wyraźnie zdenerwowana.
- Chyba nie – obgryzła i tak krótki paznokieć.
- Ty to potrafisz mnie uspokoić – wzięła głębszy oddech. – Muszę już iść. No wiesz panna Bennett.
- Wiem – pocałowała koleżankę w policzek.
- Do zobaczenia – odparła Mildreth i przekroczyła próg pokoju.

\*\*\*

A jeśli madame Griffith ma rację i pan Walter przyszedł do mnie w nocy w zupełnie innych zamiarach? – pomyślała, patrząc we własne odbicie, spoglądające na nią z kryształowo czystego lustra. – W końcu jestem dość atrakcyjna, aby wzbudzić pożądanie u niejednego mężczyzny. Jeśli panicz nastawał na mnie w łazience, to tym bardziej dla pana Waltera jestem łakomym kąskiem – z delikatnym uśmiechem poprawiła lekko wywinięty kołnierzyk. Wystawiła palec, przesuwając go po oprawie lustra i zeszytywniała widząc na opuszku szarą smugę.

– Daphne!

Rozległ się odgłos szybkich kroków i chwilę później z pokoju obok wyłoniła się służąca.

– Słucham panno Bennett.

– Widzisz to – wystawiła przed siebie palec.

– Yyy... – wytrzeszczyła oczy.

– Ślepa jesteś, czy co? Takiego brudu w życiu nie widziałam, sprzątnij to natychmiast.

– A co z łóżkiem, wymienić pościel teraz czy później?

– Niech się Mildreth tym zajmie.

– Ale... – spuściła wzrok.

– Co za, ale?

– Nie ma jej.

– Nie przypominam sobie, aby dzisiaj miała wolne.

– Hortense mówiła...

Brittanica już nie słuchała, odwróciła się wściekła i zbiegła po schodach na dół. Pokonanie dzielącego ją od kuchni dystansu zajęło jej zaledwie pół minuty.

– Nie wiedziałam, że teraz ty zarządzasz tym domem – ryknęła od progu.

Kucharka spojrzała na nią znudzonym wzrokiem.

– To chyba oczywiste.

– Coś ty powiedziała?

– Wszyscy wiedzą, że kuchnia to centrum każdego domu, a skoro ja rządę kuchnią, to odpowiedź jest oczywista.

– Mam dość tej bezczelności.

– W takim razie możesz już sobie pójść. Twoja obecność tu niczemu nie służy – odwróciła się, aby zamieszać chochlą zupę.

– Zobaczysz, kiedyś mocno pożałujesz tych słów.

– Szczerze wątpię – spróbowała zupy i dosypała soli do garnka.

Brittanica wzięła głęboki oddech, zanim wyrzuciła z siebie kolejne słowa.

– Gdzie jest Mildreth?

- Poszła po zakupy.
- Dlaczego nic o tym nie wiem?
- Nie wiedziałam, że chciałaś pójść razem z nią, to miło z twojej strony.
- Pani Moore, nie bawiaj mnie te gierki. Byłoby lepiej, gdyby...
- Przeprasza panią – odezwała się stojąca z tyłu Mildreth. – Czy mogę przejść?

Brittanica obrzuciła dziewczynę groźnym spojrzeniem.

- Gdzie byłaś?
- Pani Moore kazała mi iść na targ – uniosła do góry kosz pełen wiktuałów.
- To nie pani Moore wydaje tutaj polecenia. Radzę ci to dobrze zapamiętać, jeśli... – nie dokończyła, gdyż w tym momencie rozległy się głucho uderzenia kołatki. – A kogo to licho niesie – sapnęła, oddalając się szybkim krokiem.

Dziewczyna weszła do kuchni i postawiła kosz na stole.

- Co tak długo? – spytała Hortense. – Wiesz dobrze jaka jest panna Bennett, jeszcze parę minut i mogłoby być nieciekawie – ustawiła na stole parujący talerz zupy. – Jedz szybko, zanim tu wróci. Jest wściekła jak bąk.

– Przepraszam, ale miałyśmy problem z powrotem – usiadła na krześle, chwytając łyżkę.

- Jak to, co się stało?
- Spotkałyśmy Garneta.
- Garneta? Gdzie?
- W Blackwood.
- Hmm...?

\*\*\*

Z łoskotem rzucił łańcuch na podłogę, chwycił jego koniec, obwiązał nim kilkakrotnie grubą nogę od stołu i zapiął kłódkę. Mocno nim szarpnął, sprawdzając zapięcie.

– Widzisz moja droga, jeśli ty będziesz dobra dla mnie, to ja uchylę ci nieba – uśmiechnął się, rzucając drugi koniec łańcucha na śnieżno białą pościel. Usiadł obok leżącej na wznak Jasmin. – Jak ci się podoba twoje nowe lokum? – spytał, wodząc palcami po jedwabistej skórze rąk. Przesunął dłoń do góry, do krępującego nadgarstki i przywiązanego do wezgłowia sznura.

- Jest bardzo ładne.

Garnet zmarszczył groźnie brew.

- Coś ty powiedziała?
- Jest piękne – odparła niepewnie.
- Myślałem, że już to ustaliliśmy – uderzył ją w twarz zewnętrzną stroną dłoni.
- Przepraszam... – załkała, pociągając nosem. – Jest pięknie mój panie.
- Głupiutka, nie można było tak od razu – pokiwał głową z politowaniem.
- Pamiętaj, że to, co zyskałaś, możesz szybko stracić. Tak? – ścisnął palcami jej usta, tworząc z nich mały dziobek i mocno je przygryzł, sprawiając, iż krople krwi pojawiły się na wardze dziewczyny.
- Jasmine cicho jęknęła.
- Co się mówi?
- Dziękuję mój panie.
- Hmm... nie ma za co – usiadł na łóżku, przyglądając włosy. – Mam dla ciebie niespodziankę. Zauważyłem, że lubisz biżuterię, więc przygotowałem coś specjalnego – złapał leżący na pościeli łańcuch i obwiązał nim nogę dziewczyny. Następnie rozciął krępujące ją więzy. – Podoba ci się?
- Tak mój panie – odparła, rozmasowując zdrętwiałe nadgarstki.
- Cieszy mnie to, a teraz pokażesz mi, jak bardzo jesteś wdzięczna za ten prezent.
- Objęła go za szyję, całując w usta.
- Nie to miałem na myśli – obrócił ją brutalnie na brzuch, podwijając do góry koszulę nocną i wymierzył potężnego klapsa, pozostawiając czerwony ślad na śniadym pośladku.

\*\*\*

Miotelka śmigła w ręku Daphne z lewej na prawą stronę, omiatając kolejne zapelnione książkami półki. Wtem poczuła czyjeś dłonie obejmujące delikatnie jej biodra, już miała coś powiedzieć, ale w tym momencie usłyszała znajomy głos sączący się wprost do jej ucha.

– Nie bój się, to tylko ja... twój pan – ostatnie słowa wypowiedziane zostały mocnym namiętym głosem.

Znieruchomiała wpatrując się w wytłoczony na skórzanej obwolucie napis „Rozważna i romantyczna”, nie wiedząc, co oznacza.

– Pomyślałem, że mógłbym odwiedzić cię dzisiaj wieczora.

– Ależ Walterze, nie wiem, czy to wypada – zaszczębiotała, starając się zachować pozory.

– Jak najbardziej, w końcu pracodawca winien wykazać troskę o swojego pracownika – obrócił Daphne twarzą w swoją stronę. – Poza tym mam

wrażenie, że jesteś lekko rozpalona – delikatnie pocałował ją w czoło. – Tak, z pewnością, zatem moim obowiązkiem jest zadbać o twoje zdrowie. Dlatego czuję się zobligowany do dotrzymania ci towarzystwa w tę mroźną noc, muszę zrobić wszystko, co w mojej mocy, aby cię ogrzać.

– Hi, hi, to bardzo miło z twojej strony, nie wiem, czym zasłużyłam na taką troskę?

– Moim obowiązkiem jako dobrego chrześcijanina, jest dbałość o każdą słodką ptaszynę – delikatnie chwycił dłonią pośladek Daphne.

Dziewczyna lekko podskoczyła, udając zaskoczenie i uwodzicielski uśmiech wykwitł na jej ustach.

– Zatem do zobaczenia wieczorem – powiedział, wplatając palce w fałdy sukni.

– Będę czekała – odparła zawstydzona własną śmiałością.

\*\*\*

Margaret Price siedziała na sofie obok męża, wpatrując się nieustannie w jakiś punkt na dywanie. Ręce trzymała na podołku, nieświadomie rolując rąbek sukni.

– Proszę wybaczyć mi te warunki, ale w saloniku mamy małe, hmm... przemeblowanie – Clementine uśmiechnęła się przeproszająco.

– Nic nie szkodzi – odparł Daniel. – W zasadzie przyszliśmy tutaj... – głośno cmoknął. – Jak mniemam, dotarły już do pani pewne informacje związane z... z naszą córką.

Clementine uniosła brew.

– Przykro mi, ale nie bardzo rozumiem.

– Nasza córka prawdopodobnie...

– Uciekła – dokończyła za męża Margaret.

– Na to wygląda, oczywiście nie mamy pewności, ale... – odezwał się Daniel.

– Ja nie widzę innej możliwości – spojrzała na męża spode łba. – Cały czas wszystkiego jej broniłeś, więc w końcu dziewczyna nie wytrzymała.

– Czyżbyś uważała, że przyuczanie jej do bycia prawdziwą damą nie jest już w dobrym tonie, a może twierdzisz, że te wszystkie nuworyszowskie metody wychowawcze są znacznie odpowiedniejsze dla młodej panny?

– Dobrze wiesz, że od spotkania z Garnetem, nie mówiła o niczym innym tylko o podróżach.

– Co sugerujesz, miałem ją wysłać na kontynent, a może do Indii?

– Nie, ale chociaż mogła odwiedzić ciotkę w Southampton.

– Zatem to twoja wina. Gdybyś ją tam zawiozła, nie byłoby problemu i nie patrz się tak na mnie, dobrze wiesz, jak nie znoszę twojej siostry.

– Prawda jest taka, że gdybyś wydał ją za męża, ta sytuacja nie miałaby miejsca.

Daniel zacisnął usta w wąską kreskę i przeniósł wzrok z żony na Clementine.

– Pani pozwoli – powiedział i nie czekając na przyzwolenie, sięgnął po stojącą na stoliku obok karafkę. Nalał do kieliszka czerwony płyn i wypił połowę jego zawartości. – Tak więc – spojrzał na gospodynię. – Chcielibyśmy porozmawiać z Garnetem, może on będzie mógł nam jakoś pomóc. Od czasu, gdy Briar go poznała, mówiła ciągle o podróżach, wciąż powtarzając zasłyszane od niego historie.

– Przykro mi, ale syna nie ma w domu.

– To wielka szkoda, liczyliśmy, że może Briar zdradziła mu się w jakiś sposób ze swoimi planami.

– Być może, niestety nic mi na ten temat nie wiadomo. Porozmawiam z nim najszybciej, jak tylko to będzie możliwe. Jednakowoż mam nadzieję, iż państwa córka, zrozumiawszy swoje niestosowne zachowanie, niebawem wróci na łono rodziny.

\*\*\*

Kolejny zimny podmuch wiatru wślizgnął się do zaułka, przynosząc ze sobą chmurę białego pyłu. Magnus wzdrygnął się mimowolnie, podciągając nogi do siebie. Delikatny załom w murze – nie głębszy niż na pięć cali – ponad godzinę temu stał się jego sypialnią. Nie było to wymarzone miejsce, ale jedyne, jakie udało mu się znaleźć. Przez całe popołudnie snuł się po mieście, zastanawiając się, co dalej robić. W końcu nadciągająca noc zmusiła go do podjęcia pierwszej decyzji, którą było znalezienie miejsca na nocleg. Co lepsze miejscówki zostały już zajęte, i tak oto znalazł się w tym lokum. Powiódł wzrokiem po swoich nowych sąsiadach. Na końcu zaułka, w najlepszym miejscu gwarantującym jako taką osłonę, leżał na stercie szmat głośno chrapiący brodaty mężczyzna. W drugim rogu mała dziewczynka tuliła się do kobiety, będącej prawdopodobnie jej matką, starając się wyłowić, chociaż krztę ciepła oddawanego przez ciało rodzicielki. Tuż obok jakaś starsza kobieta, trzymając dłonie między nogami, spała, leżąc na zimnym kamieniu. Magnus zatrzymał na niej wzrok, mając dziwne wrażenie, że coś jest nie tak, ale nie do końca wiedział co. Wpatrywała się w jej pomarszczoną, bladą twarz i nagle zrozumiał. Para,

gdzie jest para – pomyślał, szukając wzrokiem, chociaż najmniejszego wypływającego z jej ust obłoczka. Boże ona nie żyje, poczuł przenikający go na wskroś zimny dreszcz. W pierwszej chwili chciał uciec, ale rozsądek kazał mu zostać. Wiedział, że o tej porze ciężko będzie mu znaleźć lepsze miejsce. Zatem wbrew sobie postawił kołnierz i owijając się szczelnie podartym kocem, wcisnął ręce pod pachy. Szybko przeniósł wzrok na widoczny z jego stanowiska fragment ulicy, po którym od czasu do czasu przemykał się zbłąkany przechodzień. Nagle widok przesłonił mu czarny powóz, otworzyły się drzwi i ze środka wysiadł mężczyzna. Założył cylinder, pociągnął nosem i wspierając się na lasce, wszedł w zaułek. Stał pomiędzy budynkami, lustrując wzrokiem obecnych.

– Potrzebuję małego pomagiera, który chce zarobić parę szylingów. Żadnych żalonych staruchów – powiedział przybysz.

Magnus słysząc te słowa, podniósł głowę i już miał wstać, gdy w oczy rzuciła mu się trzymana przez nieznaną laskę, a w zasadzie jej srebrna rączka przedstawiająca głowę jakiegoś zwierzęcia. Orris – przebiegła mu przez głowę pierwsza myśl.

– Nie ma chętnych? – szturchnął chłopca czubkiem buta. – A ty?

Magnus ostrożnie uniósł wzrok i wtedy go zobaczył. Przez ułamek sekundy światło latarni wślizgnęło się pod rondo cylindra. Od razu go rozpoznał, to była twarz, której nie zapomni do końca życia, twarz mężczyzny, który zwabił go nad rzeką do swego wielkiego domu, omamiając obietnicą zarobku. Prędko opuścił wzrok, kuląc głowę w ramionach. Modląc się, aby obcy go nie rozpoznał.

– Nie wiedziałem, że mam do czynienia z krezusami – okręcił się na pięcie.

– Ja psze pana.

Odwrócił się. Dziewczyna stała obok matki, nieśmiało ściskając kawałek płaszcza.

– Da sobie radę łaskawy panie. Jest mała, ale silna – popchnęła dziewczynkę do przodu. – Idź Su, nie bój się, to dobry człowiek – posłała córce zmęczony uśmiech.

– Niech będzie – rzucił matce dwie monety. Podeszedł do powozu, chwytając za kłamekę, skinął ręką na dziewczynkę. – Chodź.

Magnus obserwował tę scenę, przez cały czas wciskając się w wilgotną ścianę. Przecież on ją zabije – myślał intensywnie. Zbierając się na odwagę, aby coś zrobić. Wsadził rękę pod kapotę, zaciskając dłoń na chłodnej rękojeści noża. Wstał powoli, odpychając się od muru i zmuszając do ruchu

drżące nogi, zrobił pierwszy krok. Przełknął ślinę i już miał coś z siebie wydusić, gdy z boku wybiegł jakiś chłopak.

– Niech pan weźmie nas. Jesteśmy silniejsi – zawołał rudzielec.

– Tak, ta dziewczucha nic panu nie pomoże – dodał stojący obok chudzielec, odpychając do tyłu dziewczynkę, tak mocno, iż wylądowała plecami na ziemi.

– Widzi pan, ona ledwo chodzi – rzucił rudzielec, przepychając się do przodu. – My to co innego – powiedział, prężąc kościstą klatkę.

Magnus, rozpoznając w chłopcach swoich niedawnych prześladowców, w ostatniej chwili powstrzymał się, przed wyrzuceniem z siebie słów ostrzeżenia.

– Zrobimy wszystko, co pan zechce – zaskomlał chudzielec.

– Dobra, wsiadajcie – odparł elegancki jegomość. – I ty – odwrócił się do dziewczynki, ale jej już nie było. Spojrzał w zaułek, próbując, wyłowić ją wzrokiem, lecz nie mogąc jej znaleźć, wsiadł do powozu i odjechał.

– Su, Su, gdzie jesteś – zawołała kobieta.

– Tutaj – odparła dziewczynka, podbiegając do matki.

– Czemu nie poszłaś z tym panem. Druga taka okazja może już się nie trafić.

– Chciałam, ale ten chłopiec mnie odciągnął – poskarżyła się, wskazując palcem na Magnusa.

– Coś ty narobił idioto, to mogła być dla niej jedyna szansa, a ty ją zmarnowałeś – ryknęła.

– Przepraszam psze pani, ale ten pan mógłby ją skrzywdzić.

– Żebym ja ciebie nie skrzywdziła, gówniarzu – przytuliła córkę do siebie.

– Ale ja tego pana znam, on... on jest zły. Mógłby ją zabić.

Kobieta obdarzyła go wściekłym spojrzeniem.

– Co za różnica i tak do rana zabije nas mróz.

Magnus podniósł z ziemi swój przerobiony na poncho koc.

– Proszę – powiedział, podając go kobiecie. – Przepraszam psze pani, chciałem tylko pomóc – usiadł na swoim miejscu, kuląc się za wąskim załomem ściany.

\*\*\*

Wypił duży łyk laudanum i od razu poczuł się znacznie lepiej. Przez chwilę zastanawiał się, czy powinien wziąć ze sobą świecę. – Przecież nie zgubię się we własnym domu, w dodatku nie ma co kusić losu – pomyślał,



gasząc knot palcami. Założył szlafrok i wyszedł z pokoju. Nadstawił uszy, wsłuchując się w odgłosy śpiącego domu. Na chwilę zatrzymał się pod pokojem Clementine, wyłowiwszy przenikające poprzez drzwi ciche chrapnięcia, z zadowoleniem, wszedł na schody. Ostrożnie przemierzał pusty korytarz, starając się, stąpać najciszej, jak tylko potrafił. Drzwi do pokoju Daphne były lekko uchylone, wypuszczając na zewnątrz delikatną kreskę nikłego światła. – Wskazuje mi drogę, zupełnie jak latarnia morska zapraszająca statek do portu. Mała lubieżnica – pomyślał zadowolony. Dotknął ręką klamki, otwierając drzwi.

Stała tyłem do niego, pochylając się nad stołem. Skąpiana w blasku wypalającego się ogarka, zdawała się kusić go delikatnymi ruchami bioder. Obwieszczającymi, że czeka i jest gotowa. Walter rozchylił poły szlafroka i krokiem tygrysa polującego na łanie zbliżył się do swojej ofiary. Prawą ręką objął ją w pasie, a lewą zakrył usta, odchylając jednocześnie jej głowę do tyłu.

– Czekaaś – szepnął do skrytego między włosami ucha. – Oto jestem – wystawił język, oblizując mażowinę. – Nawet nie wiesz, jak często śniłem o tej chwili – przekręcił jej głowę na bok, całując szyję. – Tylko bądź cicho, nie chcemy przecież nikogo obudzić – zabrał dłoń z jej twarzy, zsuwając ją w dół koszuli nocnej. – A ty... też tego... pragniesz? – spytał pomiędzy kolejnym pocałunkami zasypującymi jej szyję, czując ustami smak jej skóry.

– Tak, taak – rozległ się cichy pełen podniecenia szept.

Nie od razu to wyczuł. Rozesłał tuzin pocałunków, kierując się w stronę obojczyków, zanim dotarły do niego usłyszane przed momentem dwa słowa.

– Co powiedziałaś? – zamarł.

– Powiedziałam tak, tak, taaak – odwróciła się gładko w jego ramionach, zbliżając twarz do jego twarzy.

Przez jedną straszłą, trwającą wieki chwilę, wpatrywał się jak odębiały w znajdujące się przed nim oblicze.

– Zrób to – powiedziała Brittanica, odchylając głowę do tyłu, wyczekując kolejnych pocałunków.

Walter z przerażeniem odepchnął ją od siebie, ale panna Bennett chwyciła go w pasie, nie dając za wygraną.

– No dalej – wysyczała w uniesieniu.

– Proszę się opanować – odsunął twarz z obrzydzeniem.

– Wiem, że targają panem sprzeczne emocje, ale proszę się nie obawiać. Nie będę się opierać. Już nie – wtuliła się w jego ramiona.

Walter wyrwał się ze słodkiego uchwytu, odrzucając Brittanice na szczątki łóżka i w popłochu wybiegł z pokoju.

\*\*\*

Przekręciła się na bok, moszcząc się na łóżku pod ciepłą kołdrą.

– Ale numer, normalnie musiałam się do ciebie przekradać, a teraz Brittanica sama mnie tu wepchnęła – powiedziała Daphne.

– Fajnie – uśmiechnęła się Mildreth i dodała smutniejszym tonem. – Oby tylko nie potrącili ci z pensji za to łóżko. Ohh... a jeśli cię wyrzucą? – zakryła dłonią usta.

– Bez obaw Walterek to załatwi – rzuciła nonszalancko.

– Jakby panna Bennett słyszała...

– Niby co?

– No wiesz..., że tak mówisz o panu Griffith'sie.

– Ale z ciebie strachajło, przecież nikogo tu nie ma, więc jak ma się niby dowiedzieć... chyba że... – zwięzła oczy, patrząc na Mildreth.

– No co ty, ja nigdy bym nie powiedziała – szybko się zarzekła.

– Więc nie ma się czego bać... poza tym sam powiedział, że mogę tak do niego mówić.

– Pan Walter?

– A niby kto?

– Hmm..., masz szczęście, gdybym to ja połamala łóżko, od razu by mnie wyrzucili.

– Mnie pewnie też, ale... to nie ja je połamalam, tylko Walter.

– Jak to?

– No wiesz, przyszedł do mnie w nocy...

– Byłaś sama? – wytrzeszczyła oczy.

– A niby z kim?

– No... sama nie wiem.

Daphne posłała jej pobłażliwe spojrzenie i kontynuowała.

– Przyniósł mi kolejny flakon perfum i mówię ci, były strasznie drogie, a potem chwycił mnie w pasie, rzucając się na mnie jak zwierzę.

– Ohh... – jęknęła, ponownie zakrywając dłonią usta.

– Był taki jurny jak młody ogier. Jego dłonie wodziły po moim karku, wplatając się we włosy, a potem zsunął je po szyi na dekolt...

Mildreth zrobiła kilka krótkich oddechów, wypuszczając głośno powietrze ustami.

– ...jego ciało przywarło do mego ciała. Poczułam jego ciepło, a potem mnie dotykał. Najpierw delikatnie – położyła dłoń na ramieniu Mildreth,

wodząc palcami po białej koszuli nocnej. – A potem napał na mnie, ściskając z całej siły, czułam jego gorący oddech...

Fala gorąca rozeszła się po ciele Mildreth z prędkością błyskawicy.

– ...przywarł do mnie. Wiedziałam, że nie jest w stanie mi się oprzeć, rzucił się na mnie jak wygłodniały wilk. Upadliśmy na łóżko, a ono się zarwało – dokończywszy, przekreśliła się na wznak.

Przez chwilę panowała cisza przerywana jedynie szybkim oddechem Mildreth.

– I co było dalej?

– Nic, przybiegła Brittanica i wszystko popsuła. Zawistne babsko – odparła, wciąż wpatrując się w sufit.

– To znaczy, że ona was widziała? – jej oczy przybrały rozmiar spodków.  
– Przecież... jeśli madame Clementine się dowie...

– Bez obaw, widziała tylko połamane łóżko. Jest za głupia, żeby czegoś się domyślić.

– A... czy to znaczy, że ty i pan Griffith jesteście... – przełknęła ślinę. – Zakochani?

– Ha, ha... a to dobre – parsknęła śmiechem. – Ale ty jesteś głupiotka – przekreśliła się z powrotem na bok, aby móc lepiej widzieć twarz Mildreth. – Lepiej powiedz mi co tam z twoim adoratorem.

– Nie rozumiem?

– Mówię o liście, który dostałaś. Wiesz już, kto był jego autorem? Garnet?

– Nie chcę nawet o nim słyszeć.

– Hmm..., zdaje się, że nie tylko ty.

– Jak to?

– Słyszałam dziś rozmowę Price'ów z madame Clementine. Podobno ich córka uciekła z domu. Pewnie po tym, jak się dowiedziała, za kogo ma wyjść za mąż – zaśmiała się, a w świetle świecy jej twarz nabrała złowróżbnego wyglądu.

\*\*\*

Leżąc, podciągnął się ostrożnie na łokciu, aby zobaczyć, gdzie jest, ale nie dojrzał nic poza nieprzeniknionym mrokiem. Wymacał ręką wilgotną ścianę i oparł się o nią plecami.

– Yyy... – jęknął, dotykając ręką obolałej głowy i w tym momencie poczuł, jak ktoś chwyta go za nogawkę spodni. – Aaa! – wierzgnął nogą, wciskając się w ścianę.

- Nie bój się, to ja – odezwał się chudzielec.
- Wcale się nie boję. Gdzie jesteś?
- Siedzę obok.
- Rudzielec wystawił rękę w stronę, z której dochodził głos.
- Uważaj, o mało nie wsadziłeś mi palca do oka.
- Nie mazgaj się.
- Ja, a kto przed chwilą robił w gacie?
- Zamknij się głąbie..., lepiej powiedz mi, gdzie jesteśmy.
- A bo ja wiem. Wygląda, że w jakiejś celi. Pamiętam tylko, że ktoś dał mi w głowę.
- No tak – jęknął, ponownie dotykając guza. – To ten jegomość z powozu..., myślisz, że to on?
- Chyba tak, ocknąłem się dopiero tutaj.
- Hmm... nie jest tak źle. Przynajmniej nie wieje tak jak na zewnątrz.
- No nie wiem. Z tego, co mówi ta mała, to chyba bym wolał być gdzie indziej.
- Jak mała?
- Ej ty, jak ci tam? – powiedział chudzielec do mroku.
- Betty – rozległ się cichy głos z drugiego końca pomieszczenia.
- Co tu robisz? – spytał rudzielec.
- Razem z bratem pomogliśmy jednej pani przynieść zakupy, a potem jacyś panowie nas tu zamknęli i nie chcieli wypuścić... a potem go zabrali.
- Kogo? Twojego brata?
- Betty skinęła głową, chociaż nikt tego nie dostrzegł.
- Co się z nim stało?
- Nie wiem, słyszałam tylko jego krzyki, więcej go nie widziałam – zapłakała.
- Słyszałeś, co mówiła, musimy coś zrobić, nie mam zamiaru tu zdechnąć
- odezwał się chudzielec, chwytając kolegę za ramię.

## XVIII

Poprawiała włosy, upinając je kościaną spinką, przez cały czas wyglądając przez szare od brudu okno. W pewnym momencie wychwyciła wzrokiem małego chłopca lawirującego zręcznie pomiędzy przechodniami. Jego kurtka wydawała się czarna, jakby krótsza, ale z tej odległości mogła się mylić. Lorabelle śledziła go wzrokiem do czasu, aż przebiegając na drugą stronę ulicy, zgubił czapkę. Wtedy zobaczyła szopę blond kędziorów, które wydostały się na wolność i bezwiednie westchnęła. Jeszcze przez jakiś kwadrans obserwowała szary tłum, gdy usłyszała głośne skrzypnięcie zawiasów. Błyskawicznie się odwróciła, posyłając przybyszowi pytające spojrzenie.

- Nic – rzucił Orris, strzepując z płaszcza płatki śniegu.
- Sprawdzałeś nad rzeką? – spytała Lorabelle.
- Tak.
- A na targowisku?
- Tak.
- A w...
- Sprawdziłem wszędzie, gdzie tylko mogłem – przerwał ze złością.
- A co mówił Dick?
- To samo co wcześniej.
- Czyli?
- Że widział go, jak wychodził i tyle.
- A może Rachel coś widziała?
- A niby co miała widzieć? Gówniarz poszedł i już – burknął gniewnie.
- Gdzie niby miałyby pójść, przecież ostatnio wrócił i to właśnie dlatego, że nie miał gdzie się podziąć.
- Co się tak na mnie gapisz? Skąd niby miałbym wiedzieć, gdzie polazł.
- Przecież mówiłam ci, żebyś go pilnował.
- A co ja niby, jestem jego ojcem? Chciał wyjść, to go puściłem. Przecież nie będę go trzymał siłą.
- A od kiedy to ci przeszkadza? Dotąd nie zauważyłam, żebyś miał jakies opory przed strzeleniem kogoś w głowę.
- Powiedziałaś, żebym zostawił go w spokoju, więc tak uczyniłem.
- Oczywiście, zrobiłeś to, co było ci wygodnie – podeszła do niego wolnym krokiem nie odrywając wzroku od jego oczu. – Wiesz, tak sobie

myślę, że może dzieciak nie odszedł stąd z własnej woli, że może ktoś go stąd wyrzucił, a może zrobił coś jeszcze.

– Niby kto?

Lorabelle wyciągnęła nóż z fałd spódnicy, wbijając go Orrisowi w krocze.

– Nie udawaj głupszego, od tego, na jakiego wyglądasz, a trzeba przyznać, że z twarzy patrzy ci prawdziwym debilem.

– Co...

– Teraz ja mówię – przesunęła ostrze do góry. – Oboje wiemy, że od samego początku nie znosiłeś chłopaka. Pewnie nawet zostawiłeś go w domu, a zabierając sznur, liczyłeś, że się go pozbędziesz.

– Ja...

Pchnęła nóż, zaciskając przy tym zęby.

– Auu... co ty robisz?

– Już wtedy mówiłeś, że będzie o jednego mniej do podziału. A teraz mały zniknął. Myślisz, że jestem głupia – przekręciła nóż, bawiąc się nim, jak śrubokrętem. – Jeśli przez ciebie Magnus odszedł, to gorzko tego pożałujesz. Już moja w tym głowa.

– Naprawdę nie wiem, gdzie jest. Uwierz mi. Przecież wiesz, że nie zrobiłbym nic wbrew tobie – wykrzywił twarz ni to z bólu, ni to w uśmiechu.

Lorabelle świdrowała go wściekłym spojrzeniem, warząc coś w głowie, wreszcie schowała nóż, równie szybko jak go wyjęła. Orris z ulgą wypuścił powietrze z płuc, obejmując ręką swoje przyrodzenie.

– Rany pocięłaś mi spodnie.

– I dobrze, przynajmniej przewietrzysz, to co czasem powinienesz umyć.

\*\*\*

Poczuł, jak ktoś usilnie szarpie go za ramię i od razu zacisnął dłoń na rękojeści noża. Otworzył oczy, starając się szybko zorientować w sytuacji.

– Proszę się obudzić, proszę się obudzić – powiedziała wyraźnie wystraszona dziewczynka.

Magnus usiadł powoli, ledwie czując skostniałe od mrozu ciało.

– Co się dzieje?

– Nic, myślałam, że zamarzęś jak ta pani – wskazała ręką na leżące nieopodal ciało. – Dziękuję za koc – wyciągnęła przed siebie podarty pled.

Chłopiec spojrział zasnany wzrokiem na drobniutką, odzianą w cienką podartą kapotę dziewczynkę.

– Zatrzymaj go, tobie bardziej się przyda.

- A ty?
- Dam sobie radę – wstał, rozprostowując zdrtwiałe nogi. – Cześć – uśmiechnął się i wyszedł z zaułka, zaciągając kaptur na głowę.

\*\*\*

Cholerny babsztyl – rzucił pod nosem Orris i wyładował wściekłość, potrącając ramieniem przechodzącego obok mężczyznę. – Pieprzony gówniarz. Niepotrzebnie go puściłem, powinienem zarznąć szczeniaka i miałbym problem z głowy – pomyślał, obrzucając groźnym spojrzeniem, siedzącego na chodniku dzieciaka. Od godziny kręcił się po mieście, szukając Magnusa w każdym możliwym miejscu, które akurat przyszło mu do głowy. Wcześniejsze poszukiwania spędził w ramionach starej znajomej, racząc się butelką ginu, ale teraz zamierzał poważniej przyłożyć się do zleconego zadania. Lorabelle była naprawdę wściekła, a on zbyt dobrze znał ten stan. Zdawał sobie sprawę, że jeśli to ona pierwsza znajdzie chłopaka lub – co gorsza – on sam do niej przyjdzie i wypapla wszystko swoim długim ozorem. Może być nieciekawie. Odruchowo chwycił się za jądra na samo wspomnienie ostrego jak brzytwa noża. Pamiętał, jak jakiś miesiąc temu, opchnął parę rzeczy znajomemu paserowi, biorąc za nie kilka funtów. Pech chciał, że parę dni później Lorabelle go spotkała, dowiadując się przy okazji, że do funtów zostało dodanych sześć szylingów. Skutkiem tej błahej informacji Orris został obdarowany długą na pięć cali blizną, znajdującą się po wewnętrznej stronie uda, a przecież to było tylko parę głupich szylingów. Aż strach pomyśleć co by zrobiła, wiedząc, że przez niego, mogła stracić dużo, dużo więcej niż tylko kilka monet.

Wszedł na targowisko, rozglądając się pomiędzy straganami. Miał nadzieję, że spośród krążących wokół, próbujących ukraść coś do jedzenia dzieciaków, wyłapie Magnusa. Minał kolejny stragan z rybami i nagle zobaczył znajomy dziewczęcy kubrak. Jest – uśmiechnął się, podchodząc ostrożnie od tyłu. Wyciągnął rękę, chwytając za czarny kaptur.

- Mam cię bratku – pociągnął go do siebie.
- Auu – rozległ się dziecięcy piskliwy głosik.
- Co pan wyprawia! – zawołała jakaś kobieta, uderzając Orrisa pustym koszykiem. – Niech pan natychmiast ją puści.
- Zostaw mnie kobieto, ten mały to złodziej. Już ja się z nim policzę.
- Co pan wygaduje, puszczaj pan moją córkę – wiklinowy kosz trafił napastnika prosto w głowę. – Ludzie pomocy, chcą porwać moje dziecko!

Orris zerwał kaptur, odsłaniając dwa rude warkoczyki, okalające pyzată twarz.

– Eee... musiałem się pomylić – burknął, szybko się wycofując.

– Już ja wiem, co ty chciałeś zrobić, ty... – krzyknęła, ale Orris już tego nie słyszał, czmychając jak najdalej od wrzeszczącej kobiety. Zatrzymał się dopiero wtedy, gdy zyskał pewność, że ludzie przestali na niego dziwnie patrzeć. Stał przy ulicy, zastanawiając się nad swoim kolejnym krokiem. Mógł pójść nad rzekę lub przeczesać pobliskie uliczki, jedno i drugie miało taką samą rację bytu. Chociaż, jeśli szczęście mu będzie sprzyjało, to znajdzie zamarznięte truchło dzieciaka w którymś z zaułków, a takie rozwiązanie wydawało się wręcz idealne. Spojrzał na stojący przed nim powóz, jakaś kobieta wyjrzała przez okienko, widząc Orrisa, głośno fuknęła i szybko schowała się za bordową kotarą. Cholerna damulka – pomyślał, zaciskając usta, już chciał rzucić jakąś kąśliwą uwagę, ale stangret strzelił z bata i powóz odjechał, odsłaniając drugą stronę ulicy.

– Niemożliwe – wyrzucił z siebie, widząc obszyty wyliniałym futerkiem kubrak. Jednak pomny niedawnej porażki, przyjrzał się uważniej stojącemu po drugiej stronie dzieciakowi. Za duże buty, porwane spodnie, to musi być ten szczeniak – zadowolony przemierzył pewnym krokiem brukowaną drogę. Nagle chłopiec spojrzał w jego stronę i nerwowo zrobił krok do tyłu. – Hej, hej zaczekaj – rzekł przyjacielskim tonem. – Musimy pogadać.

– Ja nic nie zrobiłem – cofnął się.

– Oczywiście, zaszło nieporozumienie – Orris zatrzymał się, widząc, że Magnus stara się zachować bezpieczny dystans. – Chciałbym, abyś wrócił.

– Wczoraj mówił pan co innego.

– Wczoraj, to było wczoraj – machnął ręką. – Poza tym Lorabelle martwi się o ciebie – uśmiechnął się do przechodzącej obok kobiety wyraźnie zainteresowanej ich rozmową.

– Madame Lorabelle?

– Tak, madame – słowo to z trudem przeszło mu przez gardło. – Mówiła, że tęskni za tobą. Zmartwiła się, że tak odszedłeś bez pożegnania.

– Ale przecież ja nie chciałem, to pan... – przerwał, czując, że nie powinien tego mówić.

– Masz rację, chodź, wszystko jej wyjaśnimy. Na pewno się ucieszy – widząc wahanie chłopca, zbliżył się do niego. – Bardzo cię polubiła.

Magnus przygryzł dolną wargę, czując napływające łzy.

– No śmiało, na pewno przemarzłeś. Lorabelle zrobi ci gorącą kąpiel – położył chłopcu dłoń na ramieniu. – Nie pozwólmy jej dłużej czekać – delikatnie pchnął go do przodu.



Przeszli kilka przecznic kierując się w stronę rzeki.

– Gdzie idziemy psze pana?

– Do Lorabelle.

– Przecież „Stary dorsz” jest tam – wystawił rękę w lewą stronę.

– Wiem, ale muszę jeszcze coś załatwić.

– Ale...

– No dobrze, skoro tak ci się spieszy, to chodźmy tędy, będzie szybciej – obrócił chłopca w bok, kierując w wąską uliczkę. – Już niedaleko – zerknął za siebie, upewniając się, że nikt nie podąży ich śladem. Doszli do wysokiego muru i zniknęli za rogiem.

– Psze pana, chyba się pan pomylił, tu nie ma przejścia.

– Nie bratku, jesteśmy na miejscu – odparł Orris chwytając chłopca za kaptę i wbijając w ścianę, podniósł do góry. – Nawet nie wiesz, jak długo na to czekałem.

– Proszę mnie zostawić, ja nic nie zrobiłem – jęknął wystraszony, widząc, że wisi ponad dwie stopy nad ziemią.

– Zamknij się, mam dość tego biadolenia, łeb mi od tego pęka. Najpierw Lorabelle, a teraz ty. Niepotrzebnie cię wywaliłem, powinienem od razu to załatwić i nie byłoby tego całego zamieszania, a tak muszę teraz po sobie posprzątać – rozsunął jedną ręką laskę, ukazując fragment lśniącego ostrza.

– Wiesz mały, nie ma tego złego. Odkąd znalazłem to cacko, cały czas chciałem go użyć, a teraz nadarza się ku temu wyśmienita okazja.

– Psze pana. Proszę tego nie robić, ja nic nikomu nie powiem – wydukał drżącym głosem, widząc fragment złowróbnego metalu.

– Oczywiście, że nie powiesz. Już ja o to zadbam gnoju.

Magnus począł rozpaczliwie wymachiwać rękami i nogami, lecz Orris zdawał się nic sobie z tego nie robić. Nagle przypomniał sobie o trzymanym w kieszeni nożu. Wyjął go i machnął nim kilkukrotnie, tnąc trzymające go przedramię.

– Aaa...– zawył Orris, upuszczając chłopca na ziemię. – Ty szczeniaku.

Magnus już biegł, ślizgając się na oblodzonym bruku, minął narożnik budynku. Upadł na ziemię, podniósł się najszybciej, jak tylko mógł i kątem oka zobaczył wybiegającego z zaułka Orrisa, który potężnymi susami błyskawicznie zmniejszył dzielący ich dystans.

\*\*\*

Koszyk z zakupami nie był ciężki, więc Abigail z chęcią wyręczyła koleżankę w niesieniu sprawunków.

– Nie boisz się, że ktoś cię rozpozna? – spytała Mildreth, rozglądając się na boki.

– Nie, tylko raz byłam na targu razem z Hortense, ale gdy mama się o tym dowiedziała, zrobiła straszną awanturę. Nakrzyczała na panią Moore, mówiąc, że nie powinnam zadawać się z motłochem, a przecież i tak rzadko wychodziłam z domu. Chyba że w towarzystwie mamy, ale ona nigdy nie zapuszczała się w takie miejsca. Mówiła, że to dobre dla plebsu.

– No tak..., znasz może Price'ów.

– Nie, a czemu pytasz?

– Wczoraj u nas byli i mówili, że ich córka uciekła z domu.

– A ile ona ma lat?

– Nie wiem, ale podobno swatali ją z twoim bratem.

– Z Garnetem? Więc wcale jej się nie dziwię, że zwała.

– Ha, ha to samo powiedziała Daphne, wszyscy się na nim poznali – odparła Mildreth.

– Z wyjątkiem moich rodziców.

– Nie martw się, to tylko kwestia czasu – spojrzała w wąską uliczkę wynurzającą się spomiędzy dwóch budynków. – Chodźmy tędy, Hortense pokazała mi ten skrót.

Uliczka wyglądała znacznie gorzej niż jej obraz, który zapamiętała Mildreth. Była śmierdząca, ciemna i brudna, a zachmurzone niebo w znacznym stopniu potęgowało, to nieprzyjemne doznanie.

– Ten skrót nie wygląda zbyt zachęcająco.

– Ostatni wydawał się, hmm... lepszy.

Szły niepewnym krokiem, mijając co i rusz jakieś śmieci wyzierające spod zasp szarego śniegu. Nagle rozległ się krzyk i w uliczkę wbiegło jakieś dziecko, a tuż za nim potężny mężczyzna.

– Pomocy! – krzyknął chłopiec, widząc idące w jego stronę dziewczynki.

– Stój gówniarzu! – ryknął Orris, zataczając się na śliskim bruku.

– Pomocy, on chce mnie zabić! – zawołał Magnus, goniąc resztkami sił.

Dziewczynki przywarły do ściany, starając się zrobić miejsce dla małego uciekiniera. Chłopiec przebiegł obok, a sekundę później Orris z wyciągniętą przed siebie ręką. Starając się chwycić go za kaptur. Nagle zachwiał się i runął do przodu jak długi, szorując twarzą po trotuarze.

Mildreth szybko cofnęła wystawioną nogę, chwyciła Abigail za rękę i ruszyła w ślad za chłopcem.

– Jejciu podstawiaś mu nogę! – zawołała z niedowierzaniem Abigail, machając w powietrzu koszem z zakupami.

– Cholerne gówniary, już ja wam pokażę! – ryknął Orris, podnosząc się z kolan.

– Tędy! – zawołał Magnus, zatrzymując się w połowie uliczki. Począł, aż dziewczynki się z nim zrównają i wszedł w wyłom w murze. – Chodźcie, tu nas nie złapie.

Mildreth wcisnęła się jako druga, a tuż za nią Abigail. Chwilę później zobaczyli przebiegającego uliczką Orrisa.

– Dziękuję psze pani – powiedział, sapiąc ze zmęczenia.

– Nie ma za co – odparła dumna Mildreth.

– Jest, gdybym was nie spotkał, byłoby już po mnie.

– Kim był ten mężczyzna? – spytała Abigail.

– To przyjaciel madame Lorabelle.

Dziewczynki spojrzały po sobie, wzruszając ramionami.

– Ja cię chyba znam, czy to nie ciebie chcieli okraść, a pani Moore ci pomogła? – spytała Mildreth.

– Tak, bardzo dziękuję. Dzisiaj pani uratowała mnie drugi raz. Pani też dziękuję – powiedział, zwracając się do Abigail.

– Nie ma za co. Nazywam się Abigail – wystawiła rękę.

– Magnus psze pani – uściśnął dłoń.

– A ja jestem Mildreth.

– Pamiętam, dała mi pani pyszną zupę. Jest pani bardzo miła.

Mildreth zarumieniła się, nie wiedząc co powiedzieć, więc odwróciła się w stronę wyłomu.

– Chyba możemy wyjść. Pewnie już sobie poszedł.

Magnus chwycił ją za rękaw.

– Lepiej pójdźmy przez podwórko – pokazał ręką za siebie.

To, co Magnus nazwał podwórkiem, było w rzeczywistości stertą śmieci, piętrzącą się obok drewnianego wychodka. Minęli stos szmat leżących na czymś, co być może kiedyś wyglądało jak krzesło, kiedy nie wiadomo skąd pojawił się Orris.

– Myślałeś, że mi się wywiniesz? – rozsunął laskę, wysuwając przed siebie długie na trzy stopy ostrze.

– Ja... proszę – bąknął Magnus, wycofując się w kierunku, z którego dopiero co przyszli.

– A wy gdzie? – machnął szpadą, przecinając powietrze obok dziewczynek, blokując im tym samym drogę ucieczki. – Jeśli myślicie, że się wam upiecze, to się grubo mylicie. Trzeba było nie wpychać nosa w nie swoje sprawy – wykonał pchnięcie laską, lecz Magnus zdążył w ostatniej chwili odepchnąć Mildreth do tyłu.

– Auu... – jęknął, łapiąc się za rękę.  
– Ooo, znalazł się bohater – zakpił Orris, robiąc krok do przodu.  
– Proszę nas zostawić, ja nie chciałam pana podciąć to..., to był przypadek  
– odezwała się wystraszona Mildreth. – Prawda? – zwróciła się do stojącej obok Abigail, lecz koleżanki już nie było.  
– Ha, ha, twoja przyjaciółka już cię opuściła – zaśmiał się, widząc otwierające się drzwi do wychodka. Ponownie machnął laską. Tak, iż jej ostrze gładko przecięło kubrak na piersi Magnusa. – Prawdziwe cacko – cmoknął z podziwem.  
– Tutaj, szybko! – zawołała Abigail zza rozpadających się drzwi sławojki. Mildreth chwyciła Magnusa za rękę i wbiegła do środka.  
– Ha, ha, tego jeszcze nie było. Myślicie, że was nie znajdzie w tym sraczu – ryknął Orris, zanosząc się śmiechem. Podszedł do wychodka i wbił ostrze w szparę między deskami. – Ciekawe jak się przed tym schowacie – wymierzał kolejne pchnięcia, celując w coraz to inne szczeliny. Wreszcie pociągnął za drzwi, niemalże wrywając je z zawiasów i stanął jak zamurowany. Wygódka była pusta, nie licząc paru kawałków brudnej gazety poniewierających się po przegniłych deskach podłogi. – Co jest do licha? – rozejrzał się tak, jakby nie widział jeszcze wszystkiego w mającym nie więcej niż trzy stopy pomieszczeniu. – Gdzie jesteście? – zadał pytanie, nie licząc zbytnio na odpowiedź. Wszedł do środka, aby móc zajrzeć do wyciętego w siedzisku otworu. Smród, który uderzył go w nos, prawie zwałił go z nóg. – Wyłaźcie – rzucił do ciemnego otworu, pochylając się jeszcze niżej, aby móc dostrzec to, co się w nim kryje i w tym momencie cylinder zsunął mu się z głowy, lądując w mieszaninie moczu i kału. – Kurwa – zaklął, wkładając odruchowo rękę do środka. Jednak w ostatniej chwili ją zabrał, zamieniając na ostrze laski. Dźgał bez opamiętania, zadając kolejne ciosy brązowej mazi. – Potnę was cholerne gnoje, już po was – po minucie dał za wygraną. Wyszedł na zewnątrz i obszedł wychodek w koło. – Gdzie do cholery jesteście?! – wrzasnął wściekły.

\*\*\*

– Przecież stąd nie uciekniemy – Magnus z całej siły przyciągał drzwi do siebie.  
– Może się uda, poczekamy, aż odejdzie – powiedziała Abigail, zerkając na koleżankę.  
– Ale jeśli nas widział? – jęknął.  
– Cii... – powiedziała Abigail, kładąc palec na ustach.

Trwali tak przez kilka minut. Kilka minut kompletnej ciszy.

– Pewnie już poszedł – odezwała się Mildreth.

– A jeśli nie? – jęknął Magnus.

– Wyjrzyj przez szparę – zaproponowała Abigail.

Chłopiec ostrożnie przystawił oko do szczeliny między deskami.

– Nic nie widać, straszna mgła.

– Ja sprawdzę – odsunęła go na bok, otwierając drzwi. Zrobiła krok na zewnątrz i wróciła do środka. – Nie ma nikogo – złapała go za rękę, wyciągając z wygodki.

Na podwórku panował spokój.

– Dziwne, przecież przed chwilą była gęsta mgła, a teraz nic... – zdziwił się.

– Pewnie się rozplynęła, czasem tak się zdarza – odparła stojąca z tyłu Mildreth.

– Ale ona była gęsta jak mleko, nawet jak otworzyłaś drzwi, nic nie było widać. Same zobaczcie – otworzył wychodek.

– Ej, zamknij te drzwi szczeniaku. Nie widzisz, że jest zajęte?! – krzyknął mężczyzna siedzący na desce ze spuszczoneymi do kostek spodniami.

– Ja eee... przepraszam psze pana – odparł zdezorientowany.

– Ale go przyparło, nawet nie zauważyłam, kiedy wszedł – rzuciła ze śmiechem Abigail, posyłając Mildreth porozumiewawcze spojrzenie.

\*\*\*

Minęło przeszło pięć minut, odkąd Brittanica weszła do kuchni i niecałe dziesięć od czasu, kiedy Hortense zaczęła wdrażać swój naprędce przygotowany plan, wpychając Mildreth do pralni.

– Ty chyba nie zdajesz sobie sprawy, ile w tym domu jest pracy. Nie może być tak, że Mildreth chodzi na targ, kiedy tylko masz na to ochotę, a w dodatku zajmuje jej to szmat czasu – wylała żale Brittanica.

– Jeśli chcesz, zakupy będę robić ja, a ty w tym czasie ugotujesz obiad – odparła kucharka, wrzucając do garnka obrany ziemniak.

– Siedzenie w garach nie należy do moich obowiązków, tylko do twoich.

– Więc nie rozumiem, czemu się pieklisz kiedy je wykonuję.

– Mówię o Mildreth, niedopuszczalne jest, żeby pół dnia spędzała na targu.

– Zatem to ty rób zakupy.

– Raczysz żartować, już ja dobrze wiem, co się dzieje, kiedy spuści się was na minutę z oka. Żeby nie ja, ten dom dawno obróciłby się w ruinę.

– Chyba jest na dobrej drodze, skoro biegają po nim szczury – kolejny kartofel wylądował w garnku.

– Szczury, o czym ty mówisz?

– Dziś rano widziałam jednego, jak buszował w kuchni.

– Co, gdzie?! – odruchowo wspięła się na palce, rozglądając nerwowo.

– Nie ma co panikować, miał nie więcej niż jedną stopę.

– Że co? – wzdrygnęła się, jakby lodowaty wiatr przebiegł jej po plecach.

– Plus ogon oczywiście.

– To niedopuszczalne – oparła się o kredens, aby mieć w polu widzenia całą podłogę.

– Jak matkę kocham. Pojawił się, nie wiem skąd i przebiegł po tym blacie

– wskazała na kredens.

Brittanica podskoczyła jak oparzona, dając szybki krok w stronę stołu. W tym momencie Mildreth wbiegła do kuchni, wymachując miotłą na wszystkie strony.

– Są tu? – spytała, rozglądając się po podłodze.

– O czym ty mówisz?

– Kiedy robiłam pranie, podniosłam prześcieradło z ziemi i wybiegły spod niego dwa wielkie szczury – rozstawiła dłonie, pokazując ich rozmiar.

– O nie, tego już za wiele – wzdrygnęła się Brittanica. – Masz natychmiast sprowadzić szczurołapa.

Hortense wymieniła z Mildreth porozumiewawcze spojrzenie.

\*\*\*

Magnus ścisnął w rękach miskę z gorącą zupą, siedząc za stertą skrzynek na tyłach domu Griffith'sów. Zjadł kolejną łyżkę i zamknął oczy z rozkoszy, czując, jak płyn rozlewa mu się po żołądku, rozgrzewając skostniałe ciało.

– Pani Moore rozmawiała z panną Bennett i chyba się uda. Właśnie mnie po ciebie wysłała – powiedziała Mildreth, wynurzając się zza skrzynek.

Magnus poderwał się na nogi.

– Jeszcze nie, siadaj, zjedz zupę. Jak za szybko przyjdziemy, to może się zorientować – przysiadła obok. – Tylko nie zapomnij o szczurze – powiedziała, szturchając nogą, leżące na ziemi truchło.

\*\*\*

W „Starym dorszu” siedziało raptem paru stałych bywalców, jeden z nich uniósł rękę, pozdrawiając gestem wchodzącą do środka Lorabelle. Uniosła

niedbale dłoń i widząc znajomą postać siedzącą w ławie pod ścianą, skierowała się w jej stronę.

– Co ci się stało w rękę? – spytała, widząc przedramię Orrisa obwiązane kawałkiem szmaty.

– Drobne cięcie.

– Mówiłam ci, żebyś nie bawił się tą laską. Muszę ci ją schować, bo jeszcze obetniesz sobie to i owo – odparła, zadzierając suknię, aby móc przełożyć nogę nad ławką. Po czym rozsiadła się wygodnie, kładąc ręce na lepkiem od brudu blacie.

– To nie to, to od noża.

– Z nożem też trzeba umieć się obchodzić... a teraz co mi powiesz?

Orris wypił duży łyk piwa, pozostawiając biały wąs piany na kilkudniowym zarostcie.

– To co, znalazłeś go czy nie? – spytała.

Spojrzał jej w oczy, starając się wyczuć, czy coś wie i zanim się odezwał, zanurzył usta w ciemnym napitku.

– A ty? – rzekł.

– A widzisz, żebym z nim przyszła?

– A ty widzisz, abym z nim siedział?

– Oj...– uśmiechnęła się złowrogo. – Czy ty, aby na pewno chcesz się ze mną drażnić?

Wypił kolejny łyk i odstawił kufel na stół.

– Znalazłem go.

– Świetnie. Gdzie jest? – rozejrzała się po sali.

– Uciekł.

– Uciekł? Niby czemu miałyby to zrobić? – przez sekundę patrzyła kompanowi w oczy. Nagle poderwała się z miejsca, chwytając Orrisa za koszulę. – Coś mu zrobił?

– Niby co? Zrobiłem tylko to, co mi kazałaś. Wszystko było dobrze, ale gdy zobaczył zajazd, nagle wyciągnął nóż i sama widzisz – wystawił oskarżycielsko rękę.

– Magnus to zrobił? Nie chce mi się wierzyć.

– To może sam sobie to zrobiłem? – odwinął prowizoryczny opatrunek. – Patrz, jednak nie taki z niego aniołek jak ci się wydawało.

Spojrzała pobieżnie na rozciągające się w poprzek przedramienia świeże cięcia.

– Pokaż mi to – wyciągnęła rękę do opartej o ścianę laski.

– Po co ci ona?

Kiwnęła ponagląco palcem.

- Chyba nie sądzisz, że zrobiłem to celowo? – spytał, podając laskę.
- A masz coś do ukrycia?
- Niby co? – wzruszył ramionami.

Wysunęła ostrze z pochwy, uważnie mu się przyglądając. Lśniący wcześniej metal pokryty był drobinkami ciemnej substancji. Lorabelle przesunęła palcem po ostrzu.

– Co my tu mamy, czy to aby niezaschnięta krew? – roztarła brud między palcami, obejrzała uważnie, następnie je powąchała i raptownie cofnęła głowę. – Co tak śmierdzi, to nie jest krew – ponownie spojrzała na ostrze. – Przecież to jest...

– Gówno, tak wiem, nie zdążyłem jej wyczyścić.

– Zabieraj to – odrzuciła z obrzydzeniem laskę. – Więc to stąd ten potworny smród. Odkąd przyszedłem, coś mi zalatywało. Coś ty wyprawiał?

– No wiesz..., cylinder wpadł mi do wychodka..., więc chciałem go jakoś wyłowić.

– Na miłość boską. Po co? Co chciałeś z nim zrobić? Założyć z powrotem na ten pusty łeb?

– Hmm..., sam nie wiem. Myślałem, że...

– Że co? Nie, lepiej mi nie mów. Nie chcę tego wiedzieć – machnęła negująco ręką i nagle coś sobie uświadomiła. – A ja tego gówna dotykałam – złapała stojący obok kufel, zanurzając w nim dłoń.

– Co ty robisz, oddawaj!

Obmyła palce i pchnęła piwo w kierunku Orrisa.

– Masz, jeśli chcesz pić, to radzę duszkiem.

\*\*\*

Wymierzył kolejny cios, dziewczyna upadła na dywan, łapiąc się za palący policzek. Elvin złapał przyczepiony do jej nogi łańcuch, szarpnął nim, podciągając Jasmine do siebie. Postawił ją do pionu i trzymając za koszulę, uderzył ponownie. Dziewczyna zachwiała się, czując jak pokój, wiruje jej przed oczami.

– Nie tak szybko malutka – potrząsnął nią delikatnie, starając się przywrócić jej świadomość.

Pchnął ją twarzą na stojący obok stół. Odgarnął na bok, przyklepione do spoconego czoła włosy, aby przez chwilę móc podziwiać swoje dzieło. Jasmine leżała na blacie jak pijana z przekreśloną na bok głową, rozrzucone ręce leżały bezwładnie wzdłuż ciała.



– Nie martw się, przecież cię tak nie zostawię – powiedział, wpatrując się w jej brązowe, załzawione oczy.

Złapał za skraj sukni, zarzucając go dziewczynie na plecy, odsłaniając nagie pośladki. Podszedł do łóżka, zrzucił z siebie mokrą od potu koszulę i chwycił leżącą na nim szpicrutę.

– A teraz trochę pogalopujemy – uderzając nią o obutą w czarne oficerki łydkę.

\*\*\*

Brittanica ostrożnie zajrzała do pralni, wystawiając jedynie głowę poza obrys futryny.

– I co? – spytała.

– Mam jednego psze pani – odparł Magnus, prezentując trzymanego za ogon martwego szczura. – Wygląda na samicę.

– Zabierz go stąd – machnęła ręką. – A gdzie drugi?

– Jeszcze szukam.

– Pospiesz się, to jest porządny dom, a nie jakaś szopa, żeby szczury biegały po podłodze – cofnęła głowę i szybko wróciła do kuchni. – Znalazł dopiero jednego – oznajmiła, siadając przy stole.

– Chyba nie sądziłaś, że będą na niego czekały? – rzuciła Hortense z przekąsem znad parującego garnka.

Brittanica spojrzała na nią spode łba, ale puściła złośliwość mimo uszu.

– A jeśli są już w salonie?

– Mogą być wszędzie, nawet w sypialni madame Clementine.

– Ohh... – zakryła dłonią usta. – Niech ten dzieciak złapie go jak najszybciej.

– Może i go chwyci, ale nie wiadomo, ile ich jest.

– Przecież mówiłaś...

– Jasne, że mówiłam, ale skąd mam wiedzieć, czy ten, co był w kuchni, odwiedził też w pralni, a może to był inny, a może nie widziałyśmy jeszcze wszystkich, może mają tu gdzieś gniazdo. Dla mnie każdy szczur wygląda tak samo, czy nasz, czy ten z rynsztoka. Nawet jeśli dzieciak złapie dwa lub trzy, nie wiadomo czy zaraz nie pojawią się następne.

– Więc co robić, co robić? – jęknęła, uderzała nerwowo palcami o stół.

– W sumie można by..., nie to zły pomysł.

– Tak? – nadstawiła uszu.

– Jeśliby..., ale się na to nie zgodzi... – pokiwała przecząco głową.

– Ale o co chodzi?

Hortense zanurzyła łyżkę w zupie, nabierając szczyptę, spróbowała i głośno mlasnęła.

– Właściwie, to wszystko w pani rękach – dosypała trochę pieprzu do bulgoczącej kipieli.

– Wykończysz mnie. Mów, że wreszcie – ponagliła zniecierpliwiona.

– Dobrze by było, żeby chłopak został tu do czasu, aż wyłapie wszystkie szczury. Jeśli gryzoń się tu pojawi, a może to nastąpić w każdym momencie, to mały będzie pod ręką, aby go złapać. Zanim to szkaradztwo gdzieś się schowa. Musi tylko pani przekonać madame Clementine.

– I co mam niby powiedzieć, że mamy w domu szczury. To tak jakbym złożyła sobie pętlę na szyję.

– Nie ma potrzeby o tym wspominać. Można go zatrudnić pod innym pretekstem. Dom jest duży, a sama pani wspominała, że nie ma rąk do pracy. Dzieciak mógłby robić całą brudną robotę oraz zakupy, a wtedy Mildreth i Daphne zajęłaby się swoją pracą. Poza tym jest tani. Myślę, że pracowałyby za wikt i opierunek.

– Hmm... to może się udać. Daphne połamała łóżko, więc na razie śpi z Mildreth... – mówiła do siebie, analizując sytuację. – A chłopak będzie spać w jej pokoju na podłodze, więc...

– Więc prawie nic nie kosztuje – ponownie spróbowała zupy. Tym razem kiwnęła głową wyraźnie usatysfakcjonowana. – Może zupy?

– Nie, muszę porozmawiać z madame Clementine – odparła, zrywając się od stołu.

\*\*\*

Świeże, mroźne powietrze nie przyniosło mu oczekiwanej ulgi. Wypił resztkę laudanum i wyrzucił pusty flakon, który tylko dzięki śnieżnej zaspie nie rozbił się na drobne kawałki. Odkorkował świeżą butelkę, łapczywie wypijając duży łyk. Ostatnimi czasy Walter odczuwał, iż dotychczas jego najlepsze i jedyne lekarstwo, nie działało już tak skutecznie, jak miało to dotąd w zwyczaju. Bóle głowy nasilały się w najmniej spodziewanym momencie. Nie potrafił ich przewidzieć, jeśli w ogóle coś takiego dawało się przewidzieć. Ciężko było nawet powiedzieć jak długo trwały, gdyż każdy większy atak kończył się utratą pamięci. Przynajmniej tak twierdziła Clementine i nie pozostało mu nic innego jak jej zaufać. W końcu ciężko zapamiętać moment, kiedy się czegoś zapomina w wyniku problemów z pamięcią, bo niby jak? Skoro ma się właśnie ten problem. Więc de facto nie wiesz, czy masz ten problem, ponieważ o nim nie pamiętasz, a jak masz o

nim pamiętać, skoro go masz? Przez ten potok myśli poczuł kolejną falę bólu. Ponownie wychylił znaczną porcję ze szklanej butelki. Cóż, jeśli ten boski medykament zawodził, pozostało jedynie jedno. Palarnia opium. Właśnie w tym celu przeszedł na drugą stronę ulicy. Ale dziś ruch – zdziwił się, zagłębiając w zajmującą niemal całą bramę ciżbę.

– Przepraszam – powiedział, przeciskając się obok starszego jegomościa. Minał jakąś parę i drogę przesłoniły mu czyjeś szerokie plecy. – Przepraszam czy można? – spróbował wyminąć przeszkodę

– Nie pchaj się pan – warknął potężny grubas.

– Najmocniej przepraszam. Pan też do pana Funga?

– Że co? – spytał, nie zwracając uwagi na Waltera.

– Pan też do palarni?

– Ja..., nie.

– Więc pozwoli pan, że przejdę.

– Człowieku i tak się nie przepchasz. Nie widzisz ile ludzi?

– Ale ja muszę...

– Jak każdy, wszyscy chcieliby to zobaczyć – machnął głową na gęstniejący z każdą sekundą tłum.

– Zobaczyć, co?

– Jak to co? Podobno wszystkich wyróżnili, jednemu to nawet... – przerwał, robiąc szybko krok do tyłu. Spomiędzy gapiów wypadł zgięty w pół policjant, podbiegł do muru i zwymiotował wprost na wypastowane buty. – Słaby żołądek.

Walter szybko odwrócił się w drugą stronę, czując wzmagające się mdłości.

– Mówią, że było ich kilku, wszystko zbrukane krwią, a skośnemu urwali głowę.

– Głowę? Fengowi? – wytrzeszczył oczy w niedowierzaniu.

– A bo ja wiem, jak on się nazywał, oni wszyscy są tacy sami. Raczej pan tu dziś nie zapali.

Walter wyciągnął butelkę laudanum, aby wypić swoją miarkę.

– Wiedzą kim oni są? – oblizał usta.

– Phi... – wzruszył ramionami.

– Podobno jakiś pijak widział, jak ktoś wychodził z palarni, był w płaszczu i cylindrze. Takim jak pan – włączył się do rozmowy stojący obok brodacz. – To może być każdy.

Grubas po raz pierwszy kosztem Waltera, zdecydował się odwrócić wzrok, od tego co działo się z przodu. Zmierzył go uważnym spojrzeniem, po czym parsknął śmiechem.

– Chyba jednak nie każdy. Przecież ta kruszyna musi się obawiać, każdego silniejszego powiewu. Szybciej zefirek urwie mu głowę, niż on komuś – zawyrokował i dodał już poważniejszym tonem. – Bez urazy.

– Nic się nie stało – odparł lekko zmieszany Walter.

– Mówiłem tylko o cylindrze, których są tysiące. Słyszałem, że to ta sama banda, która zmasakrowała policjantów na Butcher Street. Podobno ten facet, co to zrobił, był potężny – zmierzył rozmówcę wzrokiem. – Tak jak pan.

Resztki uśmiechu zniknęły z twarzy grubasa.

– Co pan powiedział?

– W dodatku było ciemno, może to wcale nie był cylinder, tylko coś innego – zawiesił spojrzenie na kapeluszu grubasa.

– Teraz to już pan przesadził – warknął.

– Czyżby? Czemu się pan tak denerwuje? – obdarzył Waltera porozumiewawczym spojrzeniem, szukając u niego potwierdzenia swoich słów, ale ten asekuracyjnie wycofał się spomiędzy mężczyzn.

Grubas zbliżył się do rozmówcy.

– A mi się wydaje, że wie pan zdecydowanie za dużo. Biorąc pod uwagę, że widzi pan tyle samo co ja – teraz to on zerknął na Waltera, czekając na jego reakcję. Jednak zobaczył jedynie nerwowy uśmiech. – Może to jednak pan maczał w tym wszystkim swoje brudne łapska.

– Żałosna obrona, wszyscy wiemy, że mordercy uwielbiają wracać na miejsce zbrodni, aby karmić swój chory umysł ludzkim strachem.

Grubas chwycił brodatego jegomościa za kłapy płaszcza, podnosząc kilka cali nad ziemię.

– To tłumaczy, dlaczego widzę tu twoją wredną gębę – wysapał.

– Powiedział ten, co unurzał swoje łapy w krwi niewinnych.

– Zaraz zanurzę je w twoich flakach.

– Śmiało diabie, pokaż swe prawdziwe oblicze! – ryknął. – Ukaż twarz szatana, skrywaną pod maską dobroci i miłosierdzia! Omotałeś innych swymi kłamstwami. Mamisz ich obietnicami, zaspokajając w ten sposób ich żądze, skrywając niewinne dusze pod zasłoną mroku, lecz mnie nie oszukasz! – sięgnął do kieszeni, wyciągając z niej żelazny krucyfiks. – Wypalę z ciebie zło, odciskając piętno boga. Giń antychryście! Opuść to ciało, pograżając się w piekielnej otchłani – przyłożył krzyż do czoła grubasa, wbijając go z impetem w jego skórę.

– Zostaw mnie wariacie! – wrzasnął, odpychając go z odrazą.

Brodacz zachwiał się, ale w ostatniej chwili zdążył się chwycić płaszcza stojącego obok gapia.

– Dziękuję ci dobry człowieku – powiedział, stając do pionu i wystawiając rękę z krzyżem w stronę grubasa. – Zwiesz się legion, lecz my też jesteśmy legionem! – machnął na stojącą za nim ciżbę.

– Ludzie zabierzcie tego świra!

– Ja jestem biczem bożym! To ja wypienię plugastwo z tego świata! – ruszył w stronę grubasa, który niewiele myśląc, złapał pierwszego z brzegu przechodnia, zasłaniając się nim przed brodaczem.

Walter przez cały czas obserwował zajście, czując narastającą falę pulsującego bólu, zdającą się rozdzierać czaszkę i spotęgowaną wrzaskami „bicza bożego”. Szybko wyciągnął laudanum, wypijając jeszcze jeden łyk, począł przeciskać się przez tłum.

– Opium, potrzebuje opium – powiedział do siebie.

Wyszedł na ulicę, zatrzymując przejeżdżającą dorożkę. Po kwadransie leżał już na starym sienniku przykrytym wymiętą narzutą, mającą lata świetności dawno już za sobą. Słodki zapach opium drażnił jego nozdrza, omiatając woalem szarego dymu. Ból ustał, zastąpiony przez rozkoszne zmęczenie. Zamknął oczy, czując z wolna nadpływające odprężenie.

Ujrzał uśmiechniętego Spencera, nachylającego się nad stolikiem, podającego mu długą nabitą opium fajkę.

– Pamiętasz ich? – spytał major, szczerząc zęby. – Zupełnie jak w Bengalu, to była rzeź.

Walter spojrzał na siedzących obok niego Fenga i doktora Graya. To wy życie? – chciał zapytać, ale coś powiedziało mu, że to tylko ułuda.

\*\*\*

Już od ponad kwadransa Garnet siedział w fotelu, będącym ostoją ojca podczas letnich pobytów w Blackwood. Wsłuchiwał się, sącząc szkocką w dobiegające z pokoju obok wrzaski. Czuł, jak z każdym krzykiem Jasmine, jego podniecenie rośnie. Nagle podwójne drzwi łączące pokoje otworzyły się, ukazując mokrego od potu Elvina.

– To było coś – powiedział z uśmiechem, rozpościerając ręce w geście triumfu. – Gdyby klienci madame Rose dowiedzieliby się o tych atrakcjach. Szybko musiałyby zamknąć swój przybytek – podszedł do stolika, aby nalać sobie porcję szkockiej.

– Z pewnością, chociaż nie wiem, skąd mieliby zaczerpnąć tę wiedzę? – wysłał koledze przeciągłe spojrzenie.

– Na pewno nie ode mnie – odparł Elvin, rozsiadając się na drugim fotelu.  
– Jak to mawiają „nie rób do swojego gniazda” – zakończył wypowiedź

dużym łykiem.

– Święte słowa.

– Wiesz, tak sobie myślałem. Może by tak zainteresować się Gretą albo małą Peggy. Zabawa z dwoma miałyby swój niewątpliwy urok – założył nogę na nogę. – Dzisiaj urządziłem sobie małą przejażdżkę, ale wyścig dwóch dorodnych klaczy byłby niewątpliwie hmm... uroczy.

Garnet przekreślił głowę, zerkając przez otwarte drzwi na pozostawione w sąsiednim pokoju pobojuwisko. Dwa przewrócone krzesła zostały niedbale przykryte przez ściągnięty dywan, odkrywający podłogę ze szczątkami rozbitego na niej wazonu. Pościel zwisała żałośnie z łóżka, przesłaniając częściowo leżącą toaletkę, która jakimś sposobem wślizgnęła się pod stół, na którym wciąż leżała nieprzytomna Jasmine. Elvin podążył za wzrokiem kolegi.

– Naprawdę była narowista – wzruszył przepraszająco ramionami. – Chcesz spróbować?

– Może później – oblizał górną wargę czubkiem języka. – Briar dała mi trochę popalić.

– Właśnie, a co z nią? Chętnie bym ją okulbaczył.

– Niebawem to uczynisz.

– Mam nadzieję, że nie dasz mi długo czekać – pochylił się do przodu. – À propos Briar. Krąży plotka, że uciekła z domu.

– Tak, słyszałem. Matka wspominała, że Price'owie zaszczylili nas swoją obecnością – odparł z przekąsem. – Pytali o mnie. Chcieli wiedzieć, czy wiem coś na temat jej zniknięcia.

– Co? – prawie wypuścił kieliszek z ręki. – Skąd wiedzieli?

– Bez obaw, niczego się nie domyślają. Liczyli, że może mam jakieś informacje dotyczące tego, gdzie się udała..., ponoć byłem jej bratnią duszą.

– W takim razie nie muszą się martwić. Braciszek dobrze się nią zaopiekuje – zaśmiał się, wznosząc kieliszek w geście toastu.

\*\*\*

Leżała skulona pod ścianą, na przemian budząc się i zapadając w niespokojny sen. Trudno jej było określić, jak długo się tu znajdowała. Zdawało jej się, że dopiero co zabrali Jimmiego, ale równie dobrze mogło to być wiele dni temu. Jimmy, to imię ponownie przebiegło jej przez myśl i w tym momencie poczuła, jak wilgotnieją jej oczy. Pociągnęła nosem, przecierając twarz brudnym rękawem. Nie może się załamywać. Jimmy na

pewno by tak nie zrobił. Nie siedziałby z założonymi rękami, płacząc nad swoim losem. On by walczył, nie pozwoliłby, aby coś mi się stało i... właśnie dlatego go nie ma. To moja wina, gdybym się nie szarpała i tak nie krzyczała. Wzięliby mnie, a on by wciąż żył. Oni zabili go przeze mnie – chciała to wykrzyzczyć, czując narastające wyrzuty sumienia, które wycisnęły z niej kolejny strumień łez. Ponownie przetarła ręką twarz. Nie! – postanowiła, zaciskając zęby. – Pomszczę cię..., tylko jak, co mam czynić, przecież nie mam nawet jak się stąd wydostać? – spojrzała w mrok, licząc na to, że nagle jakaś światła myśl wpadnie jej do głowy.

– Słyszałeś? – rozległ się w ciemności chłopięcy głos.

– Nie – odparł drugi chłopiec.

– Chyba ktoś idzie.

Po chwili do ich uszu dobiegł przypominający kroki dźwięk.

– Wiesz, co robić – szepnął.

– Tak.

– Dobra.

Kilka sekund później usłyszeli odgłos przekręcanej w zamku klucza, zgrzyt odsuwanej sztaby i otworzyły się drzwi, wprawiając zawiasy w przeciągłe skrzypnięcie. Do celi wpadło przysłonięte przez potężną sylwetkę mężczyzny niewyraźne światło, zapalanej gdzieś w korytarzu pochodni.

– Teraz! – wrzasnął, wyskakując z mroku chudzielec, jednocześnie wskakując dryblasowi na plecy. Wyciągnął szponiaste palce, wbijając je w twarz swojej ofiary.

Rudzielec zaatakował niemal w tym samym czasie co kolega, uderzając zajadle pięściami w brzuch. Mężczyzna bez wysiłku odepchnął go na ścianę, drugą ręką zrzucił uwieszonego na szyi chudzielca, lecz chłopak chwycił go za włosy, trzymając się ich jak Tarzan liany.

– Aaaa! – wrzasnął rudzielec, nie dając za wygraną. Poderwał się z ziemi i wykonał szarżę z pochyloną do przodu głową, trafiając z byka wprost w podbrzusze dryblasa, który z jękiem upadł na kolana.

Teraz albo nigdy – pomyślała Betty, rzucając się do wyjścia.

– A masz, to za Jimmiego! – zaczęła zajadle kopać swojego oprawcę po kostkach.

– Gnoje! – zawył, wymachując na oślep ręką.

Betty odskoczyła do tyłu i dopiero wtedy zorientowała się, że chłopców już tu nie ma. Przerażona wybiegła na korytarz. Biegła przed siebie podążając za odgłosami oddalających się kroków. Wraz z korytarzem skręciła w lewo, akurat by ujrzeć wbiegającego po schodach rudzielca. Dam, radę – pomyślała, przebierając nogami jak opętana i w tym momencie

wywróciła się, potykając o wystający kamień. Najszybciej jak potrafiła, podniosła się na nogi. Przebiegła kolejnych parę jardów, gdy do jej uszu dotarł dochodzący z góry kobiecy krzyk.

– Łap go, pobiegł na górę!

– Drzwi! Zamknij drzwi! – ryknął ktoś w odzewie.

– Już zamknęłam!

Nie wiedząc, co robić zatrzymała się w pół kroku. Usłyszała skrzypnięcie, tak jakby ktoś schodził na dół. Szybko się wycofała, rozglądając na boki w poszukiwaniu jakiegokolwiek kryjówki. Po prawej stronie ujrzała wnękę. Wślizgnęła się w nią i ze zdziwieniem stwierdziła, że mała wnęka okazała się całkiem sporą salą.

– Uciekli! – z korytarza dobiegł drugi głos.

Tym razem była pewna, że należał do dryblas. W półmroku przemknęła na drugi koniec pomieszczenia. Wtem wpadła na coś wielkiego i twardego niemal tracąc oddech. Wystawiła rękę, wyczuwając coś na kształt blatu. Trzymając dłoń na kamiennej powierzchni, obeszła przeszkodę, szybko za nią kucając.

– Co się stało? – odezwała się kobieta.

– Wskoczyli na mnie z mroku jak jakieś zwierzęta, a ten gówniarz omal nie wyłupił mi oczu.

Betty wyjrzała ostrożnie zza kamiennej osłony. Na korytarzu stał lekko zgięty dryblas. Najwyraźniej wciąż odczuwający uroki niedawnego powitania.

– Muszą tu gdzieś być – spojrzał w głąb pomieszczenia, przechylając się na bok.

Dziewczynka momentalnie cofnęła głowę, przywierając karkiem do lodowatego kamienia.

– Chodź. Widziałam ich na górze, rozpierzchli się po domu jak szczury – odwróciła się i rzuciła za siebie. – Pospiesz się.

Betty tkwiła w tej pozycji jeszcze przez parę minut, bojąc się wyjść ze swojego schronienia. Muszę stąd uciekać. Przecież w każdej chwili mogą tu przyjść – myślała, obgryzając paznokiec. Ponownie wysunęła, głowę starając się dostrzec nadchodzące niebezpieczeństwo. – A jeśli wyjdę, a oni nadal tam są? – posiatkowała zębami kolejny paznokiec, patrząc na znajdujące się kilka stóp obok, luźno zwisające, przykrywające coś płótno. Podciągnęła się do niego na kolanach, uniosła je do góry, odnajdując pod spodem mały stolik. Szybko wślizgnęła się do wnętrza kryjówki, opuszczając za sobą białą kurtynę.



\*\*\*

Wciąż patrzyła przez okno na opadające z nieba płatki śniegu, obserwując ciemne wieczorne niebo. Przeczuciwała nadciągającą śnieżycę i sądząc po nasilających się opadach, przeczucie znów jej nie myliło. Powiew wiatru zdmuchnął małą zaspę z połamanego parapetu, poluzowana okienna szyba zabręczała złowieszczo. No tak szykowała się kolejna noc z lichym, jeśli nie żadnym zarobkiem – pomyślała Lorabelle, głośno wzdychając. – A już wszystko zaczęło się dobrze układać. Łatwy pieniądz, mniejsze ryzyko, ale cholerny Orris musiał znowu wszystko spieprzyć – zatrzymała wzrok na stojącym kilkanaście jardów dalej powozie. Właśnie jakiś mężczyzna wszedł do środka, zamykając za sobą drzwi z wymalowanym na nich jakimś emblematem i odjechał. Dziewczyna przez pewien czas patrzyła na ulicę, gdzie jeszcze przed chwilą stał powóz i z uśmiechem na twarzy wyszła z pokoju. Zeszła powoli po schodach rozglądając się po sali. Orris siedział na swoim ulubionym miejscu, racząc się kuflem piwa.

– Tylko się nie zalej, będziesz mi potrzebny – powiedziała, siadając obok.

– Wychodzimy?

– Pogoda jest fatalna, ja zostaję.

– Nie rozumiem?

Lorabelle wyjęła nóż i zaczęła orać nim powierzchnię stołu.

– Nie mam ochoty marznąć dzisiejszej nocy, a ty jak najbardziej sobie na to zasłużyłeś – wycięła małą drzazgę.

– Niby czemu?

– Spłoszyłeś chłopaka, a mogliśmy żyć jak pączki w maśle i tak sobie myśleć, że powinieneś to odpokutować.

– Przecież to on uciekł.

– Zamknij jadaczkę, oboje wiemy, jak to wszystko wyglądało – spiorunowała go spojrzeniem. – Ale nie ważne, znalazłam sposób jak zarobić znacznie więcej niż to, co mógł nam zaoferować ten dzieciak – powróciła do rycia drewna. – Pamiętasz tę noc, gdy jacyś ludzie przed parkiem wciągnęli dziewczynę do powozu?

– Tak, no i?

– Raczej nie wyglądało to na coś, czego ona by chciała.

– Z pewnością.

– A oni raczej nie wyglądali na biednych.

– Aha...

– I tak sobie myślę, że gdyby tak im przypomnieć co zrobili, a potem dodać, że wszystko może pozostać między nami, jeśli nam to odpowiednio

wynagrodzą.

Potężny uśmiech wykwitł na czerwonej od alkoholu twarzy Orrisa.

– Podoba mi się i to bardzo... – podrapał się po brodzie. – Tylko kto to zrobił?

– Sam mówiłeś, że jeden był tu, jakiś czas temu z pewną dziewczyną.

Skinął głową.

– Niestety nie wiemy, kim był – kontynuowała.

– Więc jak ich znajdziemy?

– To jest właśnie twoje zadanie.

Zmarszczył czoło, pogłębiając przebiegającą tuż nad brwiami bruzdę.

– Musisz znaleźć ten powóz, a wtedy znajdziemy też ich.

– Pff... dobre sobie, przecież takich powozów są setki.

– Ale z tym znakiem pewnie tylko jeden – uderzyła palcem w stół na dopiero co wyryty symbol.

Orris pochylił się do przodu, aby lepiej przyjrzeć się dziełu, które właśnie wyszło spod ręki Lorabelle.

– A to pośrodku, to jakiś patyk?

– Miecz baranie, miecz – rzuciła ze złością.

\*\*\*

Trudno było jej stwierdzić, jak długo skrywała się pod stołem, ale każda kolejna minuta trwała wieczność. Co pewien czas słyszała dobiegające gdzieś z głębi domu krzyki, przerywane odgłosami przesuwanych mebli i ciężkich kroków. Dwukrotnie próbowała opuścić swój azyl, ale za każdym razem powstrzymywał ją paraliżujący strach, który uniemożliwiał wyjście z kryjówki.

Wstrzymała oddech, słysząc narastające z każdą chwilą szuranie. Położyła głowę na ziemi i drżącą ręką uniosła rąbek obrusa, aby móc dostrzec co się dzieje. W prostokącie oświetlonego korytarza ujrzała szamoczącego się towarzysza niedoli, trzymanego za kark przez znanego jej skądinąd dryblasza.

– Puść mnie, to boli! – krzyknął chudzielec, próbując wyrwać się z żelaznego uścisku.

– Zamknij się.

– Nie możecie mnie tu trzymać, tak nie wolno – zaparł się rękami o mur.

Mężczyzna bez problemu unióś chłopaka do góry i rzucił nim o ścianę. Chudzielec osunął się na ziemię. Dryblas złapał go za nogę, ciągnąc w głąb korytarza. Po chwili rozległ się znajomy odgłos zamykanej zasuw. Betty

opuściła obrus, cofając się w drugi koniec stolika. Kolejne szybkie kroki i cisza. Mijały kolejne długie minuty wypełnione niepokojącymi odgłosami, odmierzane jedynie ciężkim oddechem dziewczynki.

– Aaa, on mnie ugryzł – usłyszała wściekły ryk, a następnie głuchy dźwięk uderzenia. – Sam tego chciałeś... Zabierz go. Mam dość tego dzieciaka. Zrób wszystko, co trzeba, nie ma na co czekać.

– Dobrze – odezwał się drugi męski głos.

– Ja idę się przygotować.

Wiedziona ciekawością już miała unieść skrawek obrusa. Gdy nagle zauważyła, że pomieszczenie wyraźnie się rozświetliło. Zza zwisającego materiału dostrzegła zarys zapalonej pochodni, którą ktoś właśnie umieścił na ścianie. Spokojne kroki, a następnie odgłos czegoś ciężkiego rzuconego na kamienny stół ustawiony obok jej kryjówki. Wstrzymała oddech, próbując nie robić żadnego hałasu. Widziała niewyraźny kontur kogoś, kto zbliżał się w jej kierunku. Stał i ku jej uldze skupił się na drugim stole. Pochylił się nad nim, przez jakiś czas trwając w tej pozycji, po chwili go obszedł, majstrując coś z drugiej strony. Następnie powiedział coś, czego Betty nie była w stanie zrozumieć i wyszedł. Dziewczynka cierpliwie czekała, aż przestała słyszeć oddalające się kroki i dopiero wtedy ostrożnie uniosła obrus. Pochodnie rozświetlały swym blaskiem, mroczne dotąd pomieszczenie, skrywając w czerni jedynie zagłębienia ścian. Betty wyszła ze swojego azylu, stając przed potężnym kamiennym stołem. Na blacie rozciągało się ciało chłopca, przywiązane do stołu kawałkami sznura. Mogła się jedynie domyślać, że to on był jej towarzyszem z celi. Po raz pierwszy zobaczyła go w świetle. Myślała, że jest blondynem, z błyszczącymi wielkimi oczami. Takimi, jakie miał Jimmy, ale rzeczywistość wyglądała zgoła odmiennie. Chłopiec był rudy, piegowaty i niemal głowę, niższy od jej brata. Zdawał się mocno oszołomiony.

– Słyszysz mnie – szepnęła, potrząsając go za ramię.

Z trudem otworzył oczy, patrząc na nią zamglonym wzrokiem.

– Obudź się, musisz uciekać.

– Eee...

– Pomogę ci, zaraz cię rozwiążę – złapała sznur, mocując się z supłem.

Rudzielec odwrócił głowę, próbując zorientować się w sytuacji. Węzeł trzymał tak, jak powinien, dając się mocno we znaki drobnym rączkom Betty, ale w końcu wytrzymałość odniosła oczekiwany skutek.

– Już – obwieściła szeptem, zabierając się za nogę. Złapała sznur i zamarła wsłuchując się w ciszę. Ktoś się zbliżał. Szybko ukucnęła i jak

najszybciej wpełzła do swojej kryjówki. Ponownie ujrzała znajomy zarys kogoś zbliżającego się do stołu.

– Widzę, że panicz już dochodzi do siebie.

Betty zauważyła strumyk światła wpadający przez małą dziurkę w białym materiale, za którym się skryła i ostrożnie przystawiła do niej oko. Dryblas miał brodę i czarne włosy spięte z tyłu głowy. Pochylił się nad chłopcem, klepiąc go dłonią po twarzy, właśnie chciał wymierzyć kolejny policzek, kiedy chłopak chwycił go za brodę.

– Jak to zrobiłeś? – zdziwił się wielkolud, wykręcając mu rękę.

– Ty świnió – krzyknął, usilnie się szamocząc.

– Zobaczymy czy teraz się rozwiązesz – wygiął chłopakowi ramię. Rozległ się głośny trzask łamanej kości i ręka opadła bezwładnie na stół.

– Auuu!! – zawył jak ranne zwierzę.

– Zamknij się – ponownie przywiązał wiotką dłoń.

– Powiem wszystko, tylko mnie wypuście.

– Bądź wdzięczny, nie każdemu jest dane dostąpić tego zaszczytu – odparł, zaciągając z całej siły supeł.

– To ona to zrobiła, powiem, gdzie jest.

Betty zakryła dłonią usta, wstrzymując oddech.

– Tam! – machnął rozpaczliwie głową, starając się wskazać kryjówkę dziewczynki.

– Co to za wrzaski? Zrób, że coś z nim – warknął zakapturzony mężczyzna, który właśnie pojawił się w sali.

Dryblas wyjął z kieszeni kawał szmaty i wsadził ją rudzielcowi do ust.

– Mmm...

– Od razu lepiej. Wszystko gotowe?

Wielkolud jedynie skinął potakująco głową. Betty wypuściła powoli powietrze, starając się opanować drżenie ciała. Od razu poznała przybysza, widziała go wcześniej w kuchni i była pewna, że nie mogłaby już go zapomnieć. Podeszedł do stolika. Teraz widziała lśniąco czubki jego butów. Ustawione jedynie dwa cale od jej nogi. Przesunęły się w lewo, prawie jej dotykając. Słyszała brzdęk czegoś metalowego przesuwanego po blacie nad jej głową. Wszystko trwało wieki, w końcu buty zniknęły. Odczekała kilka sekund i ponownie przystawiła oko do dziury w obrusie.

– Już – powiedziała zakapturzona postać.

Wielkolud wystawił przed siebie miskę, a drugi mężczyzna zanurzył w niej palec i nakreślił nim coś na odsłoniętej klatce piersiowej chłopca. Następnie brodacz stanął po drugiej stronie stołu, wysuwając przed siebie

otworzoną księgę, tak aby mężczyzna w kapturze mógł ją swobodnie przeczytać.

– Rahma jama orda joro, mare putra korro di... – zaintonowała zakapturzona postać.

Betty wsłuchiwała się w każde słowo, próbując cokolwiek zrozumieć, ale wszystko brzmiało obco, przypominając jeden wielki charchot. Chłopiec cały czas starał się coś powiedzieć, kiwając głową w kierunku małego stolika, ale zakapturzona postać uniosła nóż. Blask pochodni odbił się w lśniąącym metalu.

– Mmm!! – wybełkotał chłopiec i ostrze zanurzyło się w jego piersi, tnąc ją niczym masło.

Betty odwróciła wzrok, przygryzając rękę. Starając się stłumić napływający do ust krzyk.

– Krew, zbierz krew.

Usłyszała, czując napływające do oczu łzy. Przez chwilę panowała cisza, którą przerwał odgłos lejącej się wody. Woda, to tylko woda – wmawiała sobie, cały czas ściskając zębami rękaw podartej kapoty. Chociaż dobrze wiedziała, że jest inaczej. Strumień zaczął się zmniejszać, zamieniając w pojedyncze kapnięcia.

– A co z dziewczynką, też uciekła? – rozpoznała głos mężczyzny z kuchni.

– Na to wygląda.

– To już drugi raz, najpierw ten chłopak, a teraz ona. Jak to jest możliwe. Sprawdzałeś wszędzie?

– Tak.

Lśniąca czubki butów znowu zatrzymały się koło dziewczynki.

– Tyle razy mówiłem, żebyście zamykali wszystkie drzwi – słowom towarzyszyły odgłosy przesuwanych przedmiotów ułożonych na kryjówce Betty.

– Były zamknięte.

– Więc w jaki sposób uciekli? – odwrócił się, zahaczając nogą o leżący na ziemi obrus i odsłaniając fragment drewnianej nogi.

Dziewczynka szybko podciągnęła stopy pod siebie, starając się zająć jak najmniej miejsca.

– Nie wiem – odparł dryblas.

– To nie może się więcej powtórzyć.

– Dobrze.



## XIX

Każda godzina spędzona w Blackwood przynosiła mu kolejne wspaniałe doznania. Dlatego powrót do domu odwlekał tak długo, jak tylko się dało, na swoje nieszczęście, nie mógł tego robić w nieskończoność. W związku z tym, gdy tylko nadszedł czas, zabezpieczył swoje „maskotki” i przed południem zajechał na Chapel street. Coraz bardziej podobała mu się jego nowa inwestycja, jak zaczął nazywać swój mały babiniec. Robił tu, co chciał, kiedy chciał i to, co było w tym momencie dla niego równie istotne, całość nic go nie kosztowała. Jeszcze tylko parę miesięcy pogra dobrego synka i ponownie wyruszy „zwiedzać” kontynent.

Przed wejściem do domu stał jakiś wóz zaprzężony w leciwego siwka. Garnet obrzucił go zdawkowym spojrzeniem i wszedł po schodkach, mijając jakiegoś zmęczonego jegomościa w brudnym kaftanie, który się zatrzymał i lekko skłonił. Drzwi były otwarte na oścież, wpuszczając do domu zimowe powietrze.

– Co tu się dzieje? – machnął do stojącej w korytarzu panny Bennett.

– Dzień dobry, przywieźli meble do saloniku. Pan wybaczy. Postawcie to bardziej w prawo, w prawo, w moje prawo – krzyknęła do mężczyzn w środku pokoju. – W drugą stronę, jeszcze, jeszcze...

Garnet zdjął palto i rzucił je na stojące obok krzesło. Wszedł na górę, kierując się wprost do swego pokoju.

– Garnet to ty?

Westchnął pod nosem, zerkając przez otwarte drzwi do pokoju matki.

– Tak, właśnie do ciebie szedłem – skłamał.

Clementine siedziała w fotelu otulona aksamitnym szlafrokiem.

– Czy przywieźli już meble?

– Właśnie je rozstawiają – odparł, siadając naprzeciwko.

– To dobrze. Jutro mają się zjawić Wardowie i Greenowie. Chciałabym, żebyś ty też był obecny.

– Hmm... oczywiście.

– Odkąd wróciłeś z Europy, rzadko tu bywasz. Miałam nadzieję, że częściej będziesz dotrzymywał mi towarzystwa. Kiedy była jeszcze z nami twoja siostra, świeć panie nad jej duszą, rzadko wychodziłeś. Pamiętam, że nie było dnia, abyście się razem nie bawili. Oczywiście zdarzało się wam pokłócić, ale to przecież normalne wśród rodzeństwa.

– Mamo, uwierz mi, że chętnie spędzałbym z tobą więcej czasu, ale wszystko tu, wciąż przypomina mi biedną Abi. Mnie również jest ciężko pogodzić się z jej stratą – położył dłoń na ręce Clementine. – Do tego jeszcze ta sprawa z Briar. Cały wczorajszy dzień, szukałem jej po mieście.

– To miło z twojej strony. Wiedziałam, że na ciebie zawsze można liczyć.

– Nie mogłem tego tak pozostawić, w końcu wiem, jak ty przeżyłaś stratę Abigail. Wprawdzie to nie to samo, ale ta sytuacja z pewnością daje się państwu Price bardzo mocno we znaki.

– Dowiedziałeś się czegoś?

– Tak, jakiś mężczyzna widział przy rzece podobną do niej kobietę, jak wsiadała do łodzi. Wygląda na to, że faktycznie postanowiła opuścić rodzinne strony. Po prawdzie czuję się trochę za to odpowiedzialny. Nie potrzebnie jej tyle opowiadałem o swoich podróżach. Rozbudziłem jej wyobraźnię i oto mamy tego efekt.

Tym razem to Clementine położyła dłoń na ręce syna.

– Nie możesz się za to winić. Nikt nie mógł przewidzieć, że coś takiego będzie miało miejsce. Poza tym, jeśli dziewczyna chciała opuścić dom, to zrobiłaby to tak czy inaczej. Nie zależnie od rozmowy z tobą. Podczas ostatniej wizyty jej matka wspominała, że Briar od jakiegoś czasu poruszała kwestię wyjazdu.

– Mnie również o tym napomknęła.

Clementine przyjrzała się uważnie synowi.

– I nie wiesz, gdzie mogła się udać? Zastanów się, może wspominała o jakimś konkretnym miejscu.

Garnet zapatrzył się na zwisające z okien story. Starając się stwarzać pozory osoby głęboko przeszukującej swoją pamięć.

– Cóż, wydaje mi się, że wspominała coś o Francji, ale oczywiście nie musi to mieć żadnego znaczenia – dodał szybko.

– Niekoniecznie, to może być jakiś ślad, hmm... znam osobę, która może nam pomóc ją odnaleźć.

Garnet poczuł, jak zimny dreszcz przebiega mu po plecach.

– Moglibyśmy się tam wybrać. Mam nadzieję, że znajdziesz trochę czasu dla swojej matki.

– Yyy... tak, oczywiście – wyrwał się z odrętwienia.

– To cudownie – położyła mu drugą dłoń na kolanie.

\*\*\*



– Co za chlew – westchnęła Brittanica, przesuając stopę po podłodze. – Chyba nie muszę ci przypominać, że podłoga znajduje się również pod meblami.

– Tak jest panno Bennett – odparła Mildreth, wyzymając ścierkę do wiadra.

– Wszystko na mojej głowie, czasem chętnie bym się z wami zamieniła. Pomachać miotełką lub szmatką. Nie jeden chciałby mieć tak beztruską pracę, jak wy... nie zapomnij o kątach, tam zawsze jest najwięcej brudu. Zupełnie jakbyście w ogóle tam nie sprzątały. Naprawdę, powinnam nad wami cały czas stać, może byście się wtedy, choć trochę przyłożyły do roboty. Przez waszą nieudolność muszę potem świecić oczami przed madame Clementine – przeszła po pokoju zaglądając w każdy kąt. – Tylko nie zachlap nowych mebli tą brudną ścierką.

– Dobrze panno Bennett.

Mildreth z zapalem zabrała się do pracy. Przetarła podłogę pod fotelami i nową sofą. Podwinęła zasłony, wycierając czające się pod oknem drobiny kurzu. Przeciągnęła ścierką wzdłuż ściany, posuwając się na kolanach w stronę wiadra i wtedy go zobaczyła, siedział rozparty w nowym fotelu, bacznie obserwując każdy jej ruch.

– Trzeba mieć w sobie dużo gracji, żeby nawet przy tak prozaicznej czynności, jak zmywanie podłogi wyglądać tak ponętnie – Garnet ostentacyjnie przesunął wzrok z twarzy Mildreth na jej pośladki.

Dziewczyna odruchowo przygładziła sukienkę do ciała, starając się ukryć to, co i tak było już pod nią dobrze schowane.

– Trochę niefortunnie zaczęliśmy naszą znajomość. Byłem mocno zmęczony po długiej podróży i nie do końca świadomy tego, co czynię. Chociaż było też w tym dużo twojej winy, te twoje prowokacyjne ruchy. Tylko trup byłby obojętny – założył nogę na nogę. – Jesteś ładna i ponętna, nawet te workowate sukienki nie są w stanie skryć twych walorów.

Mildreth poczuła, jak poliki palą ją żywym ogniem.

– Tak czy inaczej, przyjmij moje najszczerze przeprosiny... Hmm... zatem, czy wszystko między nami jest już w porządku?

– Tak proszę pana – odparła, wciąż czyszcząc podłogę.

– Miałem nadzieję, że po takim wyznaniu poświęcisz mi chociaż jedno spojrzenie. Chyba zasłużyłem, chociaż na to?

Zatrzymała mokrą ścierkę, zbierając się na odwagę, wreszcie odwróciła wzrok w kierunku Garneta.

– A może dodamy do tego mały uśmiech? – zasugerował.

Uniosła delikatnie kąciki ust.

– Od razu lepiej. Brittanica mówiła, że jesteś bardzo pracowita. Oczywiście tobie tego nie powie, ale jest pod wrażeniem twojego zaangażowania i nie jest to tylko jej odosobniona opinia. Ja również uważam, że doskonale wykonujesz swoje obowiązki – zamilkł, wpatrując się z uśmiechem w oczy dziewczyny. Milcząc, podziwiał jej sylwetkę, w szczególności opinający się na pośladkach ciemny materiał.

– Dziękuję panu – wydukała, czując, że tylko w ten sposób może przerwać niezręczną ciszę.

– Nie ma za co. Chcę, abyś wiedziała, że cię cenię. Przy okazji, możesz mi mówić Garnet. Oczywiście, gdy będziemy sami, moja matka niestety nie popiera bratania się ze służbą. Tak więc nie będę ci już zajmował więcej czasu.

Mildreth wróciła do pracy, szybko przesuając się do najdalszego kąta pokoju. Garnet jeszcze przez jakiś czas chłonał widok skrytego pod sukienką ciała, wyobrażając sobie rozpędzony batog tnący bladą skórę pośladków. Westchnął, podnosząc się z fotela i wyszedł z pokoju.

\*\*\*

Zastanawiała się, czy powinna to robić, ale ciekawość jak zwykle wzięła górę nad strachem. Przeszła przez próg, mówiąc w myślach dziecięcą wyliczankę. Futryna wypełniła się białą mgłą i Abigail wkroczyła w nią niepewnym krokiem. Wynurzyła się w stajni w Blackwood. W zasadzie interesowało ją to, co dzieje się w domu, ale niepewność tego, kto i gdzie się w nim znajduje, potęgowała ryzyko, iż przez przypadek znajdzie się w pomieszczeniu, gdzie akurat ktoś mógł przebywać, a tego za nic nie chciała. Wszystkie boksy były puste. Ostrożnie uchyliła drzwi, wyglądając na podwórze. Wszędzie panowała cisza. Spojrzała na dom, nie dostrzegłszy w żadnym z okien blasku świateł, ani jakiegokolwiek ruchu, wyszła na zewnątrz. Lekki powiew wiatru poderwał z ziemi świeże drobinki śniegu. Skierowała się w stronę domu, obwieszczając swoją obecność, wydobywającym się spod butów cichym chrzęstem śniegu. Pokrywający posesję gładki biały dywan, szczelnie skrył ślady czyjejkolwiek obecności, a już na pewno nikt nie przechadzał się w ostatnim czasie po podjeździe. Mimo wszystko najpierw skierowała się do pobliskich okien, aby zerknąć do środka przez brudne szyby. Pobieżny przegląd skłonił ją do tych samych wniosków, co pierwsze rozpoznanie ze stajni. Rezydencja prawdopodobnie była pusta. Podeszła do głównego wejścia. Przekręciła klucz w zamku i weszła do środka. Na dole wszystko wyglądało tak samo, jak wtedy, gdy

była tu z Mildreth. Weszła na piętro, ostrożnie zbliżając się do pokoju, w którym widziała Garneta. Przeczynała, że jest pusty, ale mimo to niepewnie wystawiła głowę zza futryny. Lękając się tego, co może w nim ujrzeć.

Wszystko znajdowało się w tym samym miejscu co ostatnio. Podchodząc do łóżka, minęła, stojący na środku masywny stół. Zahaczyła o coś nogą i usłyszawszy brzdęk metalu, podskoczyła do góry. Zaśmiała się w duchu sama z siebie, widząc leżący na dywanie łańcuch. Podniosła go do góry mocno zaskoczona jego wagą. Na jednym końcu tkwiła metalowa klamra, drugi obejmował nogę od stołu. Zmarszczyła brew, oglądając znalezisko, w końcu odrzuciła łańcuch na bok i spojrzała na łóżko, na którym ostatnim razem leżała nieznajoma dziewczyna. Pościel była wyraźnie skotłowana, jak po niespokojnym śnie, a ten musiał być wręcz koszmarny, gdyż na poduszce i kołdrze dostrzegła ślady krwi. Pomyślała o swoim bracie i tamtej dziewczynie. Najwyraźniej nadal robił te swoje zboczone rzeczy i nic nie wskazywało na to, aby coś miało się tu zmienić. Cofnęła się z odrazą. Obeszła resztę piętra, nie znajdując nic godnego uwagi. Lekko zawiedziona przeszła dwukrotnie przez próg i zniknęła we mgle.

\*\*\*

Jako pierwszy z powozu wyskoczył Garnet, wystawił rękę, pomagając Clementine bezpiecznie stanąć na pokrytym śniegiem bruku.

– To wszystko wydaje się trochę... niedorzeczne – chrząknął.

– Mam zgoła odmienne zdanie.

– Przecież ona po prostu wyjechała.

– Wiem, ale warto sprawdzić każdą ewentualność. Myślałam, że tego chcesz, w końcu sprawiałeś wrażenie, jakby ci na niej zależało.

– Tak, ale wydaje mi się, że państwo Price byłiby tu bardziej na miejscu.

– Być może, ale nie jestem przekonana, czy są przychylni tego typu praktykom. To tutaj – wskazał jedną z szeregu kamienic.

Pokonali dzielące ich od wejścia schodki i Garnet uderzył kołatką. Czekali przeszło minutę, zanim usłyszeli zgrzyt otwieranego zamka.

– Słucham? – spytał Zachariach.

– Dzień dobry, chcielibyśmy rozmawiać z madame de Conteville.

– Czy są państwo umówieni?

– Niestety nie, ale liczymy, iż madame będzie mogła poświęcić nam trochę czasu – widząc brak reakcji ze strony służącego, dodała. – Clementine Griffith z synem. Mieliśmy już wcześniej przyjemność.

– Proszę poczekać. Sprawdzę, czy madame państwa przyjmie.

Wpuścił ich do środka i kuśtykając, zniknął w głębi domu.

– Nadal uważam, iż nie jest to dobry pomysł – burknął Garnet, rozglądając się po ciemnym korytarzu.

Clementine zignorowała słowa syna, rozpinając płaszcz.

– Madame czeka. Proszę za mną – powiedział Zachariach z drugiego końca korytarza, odwrócił się i zniknął za zakrętem.

Pomieszczenie, do którego weszli, wyglądało tak samo jak zapamiętała je Clementine z poprzedniej wizyty. Stół, krzesła i wielkie tremo. Różnicę stanowiło oświetlenie, zamiast pojedynczej stojącej pośrodku blatu świecy, pokój rozświetlało kilkanaście świec umieszczonych w wysokich lichtarzach, rozstawionych wzdłuż ozdobionych arrasami ścian, których nie sposób było dostrzec podczas wcześniejszych seansów.

– Proszę spocząć – zachęciła gestem siedząca po drugiej stronie stołu madame de Conteville. – W czym mogę pomóc?

– Hmm..., chciałabym, żeby pomogła pani odnaleźć pewną osobę – powiedziała Clementine.

– Słucham?

– Córka znajomych uciekła z domu, niestety nie wiemy, gdzie w tej chwili przebywa. Jej rodzice z wiadomych względów bardzo się niepokoją, więc pomyślałam, iż pani będzie mogła w jakiś sposób nam pomóc – rozłożyła nieporadnie dłonie.

– Cóż, bardzo mi przykro, ale to sprawa raczej dla detektywa niż dla mnie. Jak pani wie, ja zajmuję się sferą duchową.

– Mówiłem, że to zły pomysł – rzucił Garnet, wstając od stołu.

– Zdaję sobie z tego sprawę, ale pomyślałam, że może zna pani jakieś metody, bo ja wiem... szklana kula, czy coś podobnego – odparła Clementine, kompletnie ignorując syna.

– Przykro mi, ale to tak nie działa. Szklanymi kulami bawią się wróżki na odpustach, starając się omamić gawieź tanimi sztuczkami. Ja mogę skontaktować się jedynie ze zmarłym. Czy osoba, której państwo szukacie, panna...?

– Briar... bez nazwisk, rozumie pani, nikt sobie nie życzy, aby takie informacje były załączkiem niepotrzebnych plotek.

– Oczywiście, więc czy ta osoba nie żyje?

– O nie, boże broń, widziano ją, jak wsiadała do łodzi.

– Więc naprawdę nie jestem w stanie pomóc – spojrzała na Garneta. – Ale pana aura, nigdy nie widziałam takiej aury. Czy pan się dobrze czuje?

– Nie rozumiem, o czym pani mówi?

– Mówię o tym, co pana otacza, wokół każdej osoby rozpościera się aura, to coś na kształt konturów. Posiada ją każdy człowiek. Zupełnie jakby ktoś obmalował nas niewidzialnym pędzlem – wychwyciła zdziwione spojrzenie Clementine. – Pani też ją ma.

– Ja?

– Oczywiście, ja również taką posiadam. Niestety, nie wszyscy mogą je dostrzec, trzeba posiadać szczególnego rodzaju wrażliwość. Zazwyczaj aury składają się z koloru podstawowego: czerwonego, zielonego czy niebieskiego, które otaczają jaśniejsze odcienie tegoż koloru lub inne bladsze barwy, ale pan posiada aurę, jakiej nigdy wcześniej nie spotkałam. Ona jest... czarna, czarna z wewnątrz, jak i z zewnątrz. Tu nie ma żadnych odcieni szarości, widzę jedynie czerni, głęboką czerni. To nie wróży nic dobrego, myślę, że pańska aura...

– To jakaś kompletna bzdura – przerwał jej Garnet. – Przykro mi, że niepotrzebnie zajęliśmy pani czas. Do widzenia – wyszedł z pokoju.

– Niestety nie wszyscy mają wystarczająco otwarty umysł – uśmiechnęła się Clementine przepraszająco.

– Nic nie szkodzi. Zdarza się to częściej, niż się pani wydaje – wstała, pochylając się delikatnie nad stołem. – Może innym razem będę mogła bardziej pomóc i jeszcze jedno. Proszę uważać na syna i na siebie. Ciemna aura może oznaczać chorobę, ale w tym wypadku oznacza coś zdecydowanie gorszego. Wyczułam to, odkąd państwo tu weszli. Wokół pani, a w zasadzie pani syna, krąży zło. Tego jestem pewna.

\*\*\*

Zagoniła Daphne i Mildreth do pralni, a sama udała się na górę. Swoim zwyczajem zatrzymała się przed wiszącym na korytarzu lustrem, poprawiając sterczący z tyłu głowy kok. Wyprostowała szczerze otulający bladą szyję kołnierzyk i po chwili namysłu rozpięła dwa górne guziki sukni. Zadowolona z otrzymanego efektu skierowała się w stronę gabinetu Waltera, przeciągając odruchowo palcem po stojącej w korytarzu komódce. Spojrzała przelotnie na szarą smugę kurzu, który uzbierał się na opuszkach. Strząsnęła go niedbale i ostrożnie weszła do pokoju. Walter siedział w swoim ulubionym fotelu, paląc cygaro, wertował niedbale gazetę. Brittanica zamknęła delikatnie drzwi za sobą, starając się nie robić przy tym najmniejszego hałasu i oparła się o nie plecami. Czekwała, ciężko oddychając. Trwała w tej pozycji przez co najmniej minutę, lecz Walter zdawał się jej nawet nie dostrzegać.

– Yhh... – chrząknęła cicho, zaznaczając swoją obecność.

Walter spojrział znad gazety, wypuszczając jednocześnie chmurę dymu.

– Tak?

– Jestem – odparła, odpychając się delikatnie od drzwi.

– Aha?

Zrobiła kilka kroków, niemal sunąc nad dywanem. Tym razem oparła się o biblioteczkę, stając naprzeciwko Waltera, który przez cały czas przyglądał się jej badawczo.

– Madame Clementine właśnie wyszła – powiedziała cicho.

– Słucham?

– Madame Clementine wyszła – powtórzyła nieco głośniej.

– Dobrze, zatem poczekamy z obiadem do jej powrotu – odparł, unosząc gazetę, aby przejrzeć kolejną stronę.

– Daphne wraz z Mildreth są w pralni.

– Świetnie – rzucił pod nosem zza prasy.

– Hortense gotuje.

– Hmm..., dziękuję za szczegółowy raport – rzucił z sarkazmem.

– Więc jestem, jeśli mamy to zrobić to teraz.

– Zrobić? Co? – wyjrzał znad papierowej barykady.

– Zawsze byłem w stosunku do państwa lojalna. Wiem, ile państwu zawdzięczam i nigdy nie zdołam się odwdziżyć za szansę, którą otrzymałam. Madame Clementine jest dla mnie jak matka, której nigdy nie poznałam, ale pan, pan był zawsze kimś więcej, był pan mężczyzną moich marzeń, jak boski Adonis. Przez te wszystkie lata codziennie cię widywałam i podziwiałam. Lękając się wyznać swe uczucia. Bojąc się odrzucenia, tłumiałam je w sobie, ale teraz, kiedy jestem pewna, że czujesz to, co ja, nadal odczuwam niepokój. Boję się, że to tylko sen, ułuda, lecz wiem, iż nie mogę stracić tej szansy. Odrzucić tej miłości.

Walter opuścił gazetę na kolona.

– O czym pani mówi? – wydukał z dyndającym w otwartych ustach cygarem.

– Tamto nocne spotkanie dało mi wiele do myślenia – odparła, zbliżając się do niego, jak jej się wydawało zmysłowym krokiem.

– To było zwykłe nieporozumienie.

– Oboje wiemy, że to nieprawda – uniosła palec do ust, zwilżyła go i zsunęła po brodzie na szyję.

– Proszę się opanować – z wytrzeszczonymi oczami wbił się nerwowo w fotel.

– Kiedy nie jestem w stanie. Mój panie... Walterze. Przestań się wzdragać. Opasaj mnie swymi silnymi ramionami, tak jak uczyniłeś to tamtej nocy. Kiedy żądze pozwoliły nam, choć na chwilę zapomnieć o bożym świecie, kiedy pozwoliły zrzucić okowy zahamowań, gdy spleliśmy się w miłosnym uścisku – stanęła przed fotelem, chwyciła go za dłonie i położyła je na swych pośladkach, mocno wciskając w fałdy sukni. – O taaak – jęknęła.

– Ale... – zaniemówił, rozdziawiając szczękę i w tym momencie cygaro wypadło mu z ust, staczając się wprost na gazetę.

– No dalej – wysapała. Puściła jego dłonie i łapiąc go za głowę, wcisnęła ją między swoje piersi.

– Aaa – zawył.

– Aaaaa – zawtórowała mu, wijąc się w rozkoszy.

– Boże!

– O boże! Tak! – wysyczała w uniesieniu.

Walter z całą siłą odepchnął ją do tyłu, zrywając się na równe nogi.

– Boże, ja się palę! – zrzucił na dywan płonąca gazetę i w dzikim szale zaczął oklepywać tłące się spodnie. Przeskoczył nad leżącą na podłodze Britannicą i wybiegł z pokoju.

\*\*\*

Od dawna nie było tak pogodnego dnia. Niemrawe promienie słońca co pewien czas wyślizgiwały się spomiędzy chmur, przypominając o swoim istnieniu, tym którzy zapomnieli, że jest coś poza śniegiem i lodowatym wiatrem. Lorabelle posłała swój wystudiowany uśmiech do mijanego przechodnia. Wyraźnie myślącego o czymś więcej niż tylko połowicznym ukłonie. Stanęła, zastanawiając się, czy nie powinna skorzystać z okazji, tak łatwo wpadającej jej w ręce. Płaszcz podbity futrem, drogie buty, złoty monokl i na pewno gruby portfel. Idealny kandydat, aby zarobić na kromkę chleba. Czemu takie rzeczy zdarzają się wtedy, kiedy nie może z nich skorzystać? A gdyby tak? – pomyślała, odprowadzając go wzrokiem. – Nie, nie teraz – skarciła się, w myślach wzdychając. Wcisnęła ręce w mufkę, przyspieszając kroku. Na końcu ulicy czekał już na nią Orris, krążąc niespokojnie od latarni do latarni.

– No, nareszcie jesteś. Myślałem, że mi z zimna nogi odpadną – rzucił, chuchając w dłonie.

– Nie przesadzaj, nie pamiętam, kiedy ostatnio było tyle słońca.

– To, że jest jaśniej, nie znaczy zaraz, że cieplej. Zresztą, jakbyś nie zauważyła, czekam na ciebie przeszło dwa kwadransy, to ja tu stoję i marznę

- uderzył ostentacyjnie butem o but.
- Jak ci tak zimno w nogi, to trzeba było chuchać w stopy, a nie na ręce.
- Widzę, że humorek dopisuje – odchrząknął, wypluwając na śnieg jakąś wydzielinę. – Co tak późno?
- Trochę się zdrzemnęłam.
- Co, chyba żartujesz?! To ja tu odmrażam tyłek, a ty leżysz w ciepłych pieleszach?
- Nie przesadzaj, wcale tak ciepło nie było.
- Ale ja...
- Nie zachowuj się jak baba – zbyła go machnięciem ręki. – Który to dom? Mam nadzieję, że nie ten – wskazała budynek, pod którym właśnie stali. – Widać cię tu jak na dłoni.
- Pff..., to tamten ze złotem na drzwiach – wskazał palcem stojącą kilkadziesiąt jardów dalej kamienicę. – Nie jestem taki głupi, żeby pod nim stać.
- To twoje odosobniona opinia. Gdybym ja miała taką pewność, nie musiałabym cię cały czas sprawdzać.
- Że niby jaka ta opinia?
- No właśnie.
- Nie czekając, aż Orris wyrwie się z odrętwienia, ruszyła w stronę wskazanego przez niego domu. Wyglądał imponująco, jeśli stojące obok kamienice należały do właścicieli z grubszym portfelem, to lokator tego przybytku, zamiast kiesy musiał mieć kufer. Poczekała, aż kompan ją dogoni i spytała.
- Ładna chałupka. Wiesz, do kogo należy?
- Jakiegoś Abbotta.
- To nasz ptaszek?
- Tak, od razu poznałem tę gębę.
- Świetnie, wreszcie szczęście zaczyna nam sprzyjać.
- Więc co robimy?
- A jest w środku?
- Niedawno wyjechał.
- To po co tu przylazłam? – łypnęła okiem.
- Gdybyś się nie spóźniła, to by był – warknął.
- Oj tam, nie ma co się kłócić o drobnostki, oboje trochę zawiniliśmy – odparła, idąc wolnym krokiem, cały czas zerkając przy tym na białą elewację budynku, szacując w wyobraźni, mieszczące się w nim bogactwa.
- Jak to oboje? Ty leżysz pod ciepłą kołdrą, a ja zamieniam się powoli w słup lodu. Jak oboje? Jak oboje?



– Widzisz, trochę się popiekliś i od razu ci cieplej. Nawet policzki ci się zarumieniły – uśmiechnęła się i ponownie odwróciła wzrok w stronę kamienicy. – Mam dobre przeczucia.

Zatrzymali się w pobliskiej bramie.

– Zatem co teraz? – spytał Orris w przerwie między chuchnięciami w zgrabiące dłonie.

– Musimy pogadać z panem Abbottem, i tak sobie myślę, że lepiej trafimy do niego, jeśli rozmowę przeprowadzimy na neutralnym gruncie.

– Czyli co?

– Czyli obserwuj go, a gdy będziesz pewien, gdzie go znajdziemy, przyjdź do mnie.

– Co? Przecież ja tu zamarzną.

– Wolałbyś, żebym to ja tu stała?

– No...

– Posłuchaj, postoisz parę godzin, a może nawet nie. Rozejrzysz się tu i tam, potuptasz nóżkami, pochuchasz sobie w rączki, czy gdzie tam tylko chcesz, a potem tygodniami będziesz mógł, siedzieć w knajpie, moczając mordę we wszystkim, czego sobie zażyczysz, a jeśli się dobrze spiszesz – chwyciła go ręką za krocze. – Rozgrzeję cię lepiej niż nie jedna puchowa pierzyna – zacisnęła dłoń na przyrodzeniu Orrisa.

– Aha...

– To ustalone, do zobaczenia – pocałowała go zmysłowo w usta.

– Poczekaj – złapał ją za rękę.

– Co jeszcze?

– Mufka.

Zmarszczyła brwi.

– Dawaj mufkę.

– Ale przecież...

– Tak, wiem i nic mnie to nie obchodzi, co mi po twoich obietnicach, jeśli odpadną mi wszystkie paluchy.

\*\*\*

Patrzyła w szybę wychodzącego na ulicę okna, traktując ją jak lustro, którego tu nie było. Żeby nie to cygareto, kawałek zwiniętego liścia, który stanął mi na przeszkodzie – westchnęła, zapinając powoli guzik po guziku, aby skryć dekolt pod czarnym sukniem. – Już był mój. Mój, słodki Walter – od pewnego czasu coraz częściej pozwalała sobie na takie myślenie. Kiedyś, zdawało jej się to nie do pomyślenia, aby ona prosta dziewczyna, mogła

zbliżyć się do kogoś takiego jak pan Griffith... Walter – poprawiła się w myślach, uśmiechając do swojego odbicia.

– Hej!

Wyrwana z odrętwienia, spojrzała na ulicę. Po drugiej stronie pod metalowym ogrodzeniem stało dwóch mężczyzn. Jeden z nich z zawadiacko przechylnym na bok kapeluszu trzymał się za piersi, ruszając dłońmi w górę i w dół. Pochyliła się do przodu, w zdziwieniu marszcząc brew i nagle wszystko zrozumiała. Zawstydzona odskoczyła w bok, kryjąc się za zasłoną. Ile czasu tak stałam, prężąc biust do gawiedzi? Minutę, dwie? Czy ktoś mnie widział? Na pewno, przecież ci dwaj i bóg wie, kto jeszcze? Poczuli się jak mała dziewczynka przyłapana na czymś bardzo niestosownym. Czym prędzej poprawiła sukienkę, zapinając ostatnie guziki i szybkim krokiem opuściła pokój.

– Wszystko w porządku? – spytała Hortense, gdy tylko Brittanica przekroczyła próg kuchni.

– Co to za pytanie? Czy wyglądam, jakby coś było nie tak?

– Owszem.

Brittanica omiotła wzrokiem swoją na wskroś czarną garderobę.

– Mówię o twarzy – dodała kucharka.

– Nie rozumiem.

– Jest pani cała rozpalona, może to jakieś choróbsko?

– Ja? Skądże znowu, nie mam czasu na chorobę.

– Nie to, żeby mnie to znowu obeszło, ale nie chciałabym złapać jakiegoś paskudztwa – ostentacyjnie zrobiła krok do tyłu.

– Miło, gdy słyszy się słowa troski – rzuciła z sarkazmem.

– Zawsze do usług.

Brittanica rozejrzała się po kuchni.

– A gdzie ten mały szczurołap? – spytała.

– Pewnie szuka szczurów.

– Wyłapał jeszcze jakieś gryzonie?

– Nie wiem, ale jak chcesz, możesz sprawdzić w piwnicy, widziałam, jak tam schodził.

– Nie ma takiej potrzeby – mimowolnie się wzdrygnęła.

– Na górze wszystko w porządku? Zdawało mi się, jakby pan Walter coś krzyczał – spojrzała wymownie na Brittanice.

– Musiałaś się przesłyszeć.

– O nie, jestem pewna, to brzmiało jak „palę się”. Czy coś w tym rodzaju.

– A to..., proszę, żeby rozpaść w kominku.

– Dziwne, nie brzmiało to, jak prośba – wrzuciła dużą porcję smalcu na patelnię.

– Jeśli mówię, że tak było, to znaczy, że tak było. W tym domu nic nie dzieje się bez mojej wiedzy. Zresztą co to ma znaczyć? Zauważyłam, że ostatnio zapominasz, gdzie jest twoje miejsce i kto tu wydaje polecenia.

– Pff... – prychnęła. – A mnie się wydaje, że to ty zapominasz, kto tu rządzi. O ile wiem, nadal jest to dom madame Clementine, a ty jedynie zamiatasz na jej podwórku. Więc to, co robisz, nie różni się zbyt od pracy Daphne.

Brittanica zacisnęła zęby i wyszła z kuchni.

– Magnus! – wrzasnęła wściekle. – Magnus!

Po chwili otworzyły się prowadzące do piwnicy drzwi.

– Już jestem psze pani.

– Ile mam na ciebie czekać – sapnęła. – W końcu się na coś przydasz. Pan Griffith kazał rozpalić w kominkach.

– Dobrze psze pani.

– Tylko się pospiesz.

– Tak psze pani.

\*\*\*

Rozczesywała włosy swoim lalkom, ściskając w ręku mały kościany grzebyk. Wsunęła go w jasny pukiel tuż przy porcelanowej główce i delikatnie pociągnęła w dół. Włosy prostowały się jedynie do czasu, aż grzebyk zsunął się na sam dół, wypuszczając je ze swoich zębów i momentalnie zwinęły się w niesforny lok. Niezrażona tym faktem Abigail poczęła rozczesywać kolejny pukiel. Robiła to mechanicznie, myśląc zupełnie o czym innym. Wciąż widziała oczami wyobraźni twarz przywiązanej do łóżka dziewczyny. Twarz wyrażająca dobrze jej znany lęk. Strach, który jej towarzyszył za każdym razem, gdy zostawała z Garnetem sam na sam. Nie miała żadnych wątpliwości co do tego, w jaki sposób jej braciszek zabawiał się z tą dziewczyną. Chciała jej pomóc, ale przyszła zbyt późno, pokój był pusty, a obok rozgrzebanego łóżka leżał jedynie zardzewiały łańcuch. Szarpnęła ze złością grzebieniem, wyrywając nieopatrznie kilka włosów, które owinęły się wokół jej palca. Jak mama mogła kochać takiego potwora? – pomyślała, wbijając grzebień w kolejny pukiel. Szybkie pociągnięcie i fryzura lalki straciła następne włosy. Spojrzała na spadający smętnie na dywan cieniutki loczek i szybko przycisnęła lalkę do piersi.

– Przepraszam, nie chciałam – powiedziała słodkim głosem. – To wszystko przez niego. Jak można być tak podłym, żeby przywiązywać kogoś do łóżka i jeszcze ten łańcuch. Ja nigdy bym ci tego nie zrobiła – naznaczyła pocałunkiem porcelanowe czółko. Kiwając się wraz z lalką z boku na bok, ściskając ją czule, zawiesiła wzrok, na stojącym nieopodal bujanym koniu i znieruchomiła. Przecież to oczywiste, że też od razu o tym nie pomyślała. Poderwała się na nogi, wzięła stojące w kącie botki i szybko założyła leżące na krześle palto. Krok przez próg do przodu, krok do tyłu i jeszcze jeden, aby zanurzyć się w mlecznym przejściu.

Wynurzyła się tak jak ostatnio, w stajni w Blackwood, przynajmniej miała taką nadzieję, gdyż panujący wkoło mrok uniemożliwiał jakiegokolwiek rozpoznanie. Wystawiła ręce przed siebie i szorując nogami po ziemi, ruszyła ostrożnie w lewo. Jeden krok, drugi, ściana. Położyła dłoń na zimnym murze i przesuwając ją po ceglach, wykonała kolejne kilka kroków. W końcu trafiła na małą wnękę, w której znalazła ogarek. Zapaliła go. Lichy płomień zadygotał, spowijając delikatnym blaskiem ścianę i jeden z pustych boksów dla koni. Abigail skierowała się w najdalszy kąt, rozganiając ciemność na boki resztką świecy. Zatrzymała się przed składającą się z pordzewiałych łańcuchów stertą żelastwa. Nie myliła się, takie same okowy widziała w pokoju na górze. Garnet – zacisnęła zęby i kopnęła ze złością stertę żelastwa. Jakiś kawałek metalu potoczył się po ziemi. Podążyła za nim wzrokiem, uciekinier zakreślił się, zatrzymując na drewnianej klapie. Abigail spojrzała na zazwyczaj przykryty sianem właz. Tym razem kłapa była całkowicie odkryta, tak jakby ktoś niedawno ją otwierał. Niewiele myśląc, chwyciła za zamocowany do niej żelazny pierścień i z wysiłkiem uniosła ją do góry. Spojrzała w ziejącą czernią kwadratową otchłań.

Powiedzieć, że nie lubiła piwniczki, to tak jakby sztorm nazwać bryzą. Ona ją po prostu przerażała. Schodziła kilkakrotnie na dół, ale zawsze w towarzystwie ojca i nigdy, ale to przenigdy, nie zeszłaby tam po ciemku. Zimno, mrok i zapach stęchlizny, to tylko niektóre ze wspomnień, jakie odcisnęły się w jej pamięci. Opuściła rękę z ogarkiem, aby oświetlić zejście i szybko cofnęła ją do góry, czując irracjonalny lęk.

– Dasz radę, dasz radę, to tylko ciemność... byłeś już tam... tam nic nie ma – dodawała sobie otuchy, ciężko oddychając.

Stała tak przez dobrą minutę, rozważając za i przeciw. Wreszcie z głośnym westchnieniem wypuściła powietrze z płuc i zeszła na dół. Początkowe kroki po mrocznym korytarzu trwały całą wieczność, ale ciężkie ołowiane nogi przesuwwały się do przodu cal za cal. Dotarła do pierwszych drzwi, otworzyła je z przyprawiającym o dreszcz skrzypnięciem.

Poza kilkoma beczkami i rzędem drewnianych stojaków znajdujących się tu od zamierzchłych czasów nie znalazła w nim niczego, czego by tu wcześniej nie było. Szybko opuściła pomieszczenie, głęboki wdech i popchnęła kolejne drzwi, umieszczone po drugiej stronie korytarza. Tym razem stawily opór. Już miała odejść, ale wtedy usłyszała dobiegający z za nich brzęk metalu.

– Jest tam kto? – spytała, słysząc bicie własnego serca. – Halo – zapukała w drewno, zupełnie jakby prosiła o zgodę na wejście do pokoju.

– Pomocy – cichy głos dobiegł z za drzwi.

Abigail odsunęła zasuwę, ale nic to nie dało.

– Wypuść mnie.

– Nie mogę, drzwi są zamknięte. Nie mam klucza.

– Błagam, pomóż mi, on może zaraz przyjść.

Abigail naparła wątlým ciałem na dębowe drewno. Efekt był łatwy do przewidzenia.

– Nie dam rady, muszę znaleźć klucz. Zaraz wrócę.

– Proszę, nie zostawiaj mnie – zaskowyczał kobiecy głos.

Dziewczynka już biegła do wyjścia, aby zabrać wiszące na ścianie klucze, ale haczyk był pusty. Rozejrzała się nerwowo. Odkąd pamiętała, zawsze tu wisiały, uklękła, oświetlając ogarkiem ziemię. Nic. Przecież muszą gdzieś być. Po kilku sekundach przekraczała już próg pomieszczenia, w którym stały beczki. Do przodu, do tyłu i weszła we mgłę.

\*\*\*

– Z drogi – powiedziała Daphne i stąpając na palcach, wykonała kilka skocznych kroków w stronę łóżka.

Mildreth szybko przekreśliła się na bok, robiąc miejsce dla koleżanki.

– Jejciu, ale ta podłoga jest lodowata. Mam nadzieję, że ta zima niedługo się skończy – wskoczyła do łóżka, które głośnym skrzypnięciem wyraziło swoją dezaprobatę dla tego typu ewolucji.

– Uważaj, bo jeszcze to się połamie – ostrzegła Mildreth ze strachem.

– To wtedy pójdziemy spać do Brittanicy – zaśmiała się, rozkopując kołdrę, aby jak najszybciej się pod nią wślizgnąć.

– O nie, to by było straszne.

– Nie przesadzaj, panna Bennett jest chuda, więc nie zajęłaby dużo miejsca, a we trójkę byłoby nam jeszcze cieplej.

– Nawet o tym nie myśl. Wystarczy mi, że muszę ją oglądać przez cały dzień, gdybym jeszcze musiała z nią spać, chyba bym zwariowała.

– To w takim razie musiałybyśmy spać z Hortense. Przy takim sadelku byłoby ciepło jak przy kominku, tylko nie jestem pewna, czy chociaż jedna z nas by się obok niej zmieściła – zachichotała cicho.

– Jesteś okropna, ona jest bardzo miła.

– I bardzo gruba – dodała ze śmiechem.

– Przestań.

– Już rozumiem – wtuliła się w Mildreth, o mały włos nie wciskając jej w ścianę. – Wolałabyś poprzytulać się do swojego adoratora – posłała całusa w powietrze.

– Ty ciągle o tym samym. Mówiłam, że nikogo takiego nie ma.

– Niech ci będzie, ale ja i tak wiem swoje – kolejny buziak wypłynął z ust Daphne. – Widziałam, jak na ciebie patrzył.

– O czym ty mówisz?

– Nie wierzę, że tego nie zauważyłaś – przesunęła się na swoją połowę łóżka, aby lepiej widzieć twarz koleżanki. – Garnet nie mógł dzisiaj oderwać od ciebie wzroku.

– On mnie nie interesuje.

– Być może, ale na pewno ty interesujesz jego.

– To nic nie znaczy.

– Zobaczmy – odparła tajemniczo i ułożyła się na plecach, wbijając wzrok w sufit. – Ciekawe, kiedy naprawią moje łóżko? – głośno westchnęła.

– Nie lubisz ze mną spać?

– Nie, jest fajnie.

– Mi też się podoba – odparła rozentuzjasmowana. – Możesz ze mną spać, tak długo jak tylko zechcesz, mi to nie przeszkadza. Teraz możemy sobie porozmawiać przed snem, pośmiać się z Brittanicy, czy z... Hortense, choć ona jest naprawdę dobra... zawsze chciałam mieć siostrę, a teraz jest zupełnie tak, jakbym ją miała.

– Ja też to lubię, miałam na myśli coś innego.

– Co?

– No wiesz, jak będę u siebie w pokoju, to może znowu przyjdzie do mnie Walter – odwróciła głowę na bok. – Pamiętasz, jak ci mówiłam, że nie mógł się ode mnie oderwać?

Mildreth tylko skinęła głową.

– Czuję, że już go mam.

– Ale madame Clementine...

– Milly, a ty znowu swoje. Przecież wiem, że jest żonaty, ale skoro jemu to nie przeszkadza, to mi tym bardziej. Nie mam ochoty przez całe życie myć podłóg. Niektórym może to nie przeszkadza, ale mnie stać na coś

lepszego. Zwłaszcza gdy ma się takie ciało jak ja. Zresztą tobie też wiele nie brakuje – stuknęła palcem w pierś koleżanki. – Musisz wreszcie zacząć robić z nich użytek.

– Co ty wygadujesz? – spłoniła się rumieńcem.

– Oj..., to tylko dobra rada. Niedługo sama dojdiesz do tego wniosku. Ja ci tylko chcę pomóc szybciej podjąć prawidłową decyzję – zwilżyła palce i chwyciła między nie palący się knot świecy, rozległ się syk i cienka smużka dymu uniosła się ku sufitowi.

\*\*\*

Hortense właśnie przekreślała się na drugi bok, kiedy poczuła, jak coś zimnego chwyciła ją za stopę.

– Aaa! – wrzasnęła, wciągając nogi pod kołdrę. Podciągnęła się na łóżku i wtedy ujrzała wynurzającą się z mroku postać, która powoli nachyliła się nad jej twarzą. Przerazona otworzyła usta, szykując się do potężnego krzyku.

– To ja – wyszeptała szara sylwetka.

– Boże, Abigaile, ale mnie wystraszyłaś.

– Przepraszam, nie chciałam.

– Nie mogłaś przyjść w dzień, tylko skradasz się po nocy? Jeszcze jeden taki numer, a pożegnam się z tym światem – położyła dłoń na piersi, starając się uspokoić oddech.

– Musi mi pani pomóc.

– A cóż to takiego nie cierpi zwłoki? – spytała, zapalając stojącą na stole świecę.

– Byłam w Blackwood, Garnet chyba tam kogoś więzi. Widziałam z Mildreth jakąś dziewczynę przywiązaną do łóżka, a teraz chyba jest zamknięta w piwnicach pod stajnią...

– Zaraz, zaraz. O czym ty mówisz? Pod stajnią w Blackwood?

– Tak, zjeżdżałyśmy na tacach, bo tam jest największa górka.

– Po nocy?

– Nie, wczoraj i wtedy widziałam tę dziewczynę. Jest zamknięta, a ja nie mam klu...

– Uspokój się i opowiedz mi wszystko po kolei.

– Ale nie ma czasu. Musi mi pani pomóc.

– Najpierw opowiedz, co się wydarzyło.

– Więc wczoraj poszłyśmy do Blackwood...

Hortense uważnie słuchała opowieści, co pewien czas zadając pytania. Wreszcie dziewczynka wyrzuciła z siebie wszystko, co do tej pory zalegało jej na wątrobie.

– Mały zwyrodnialec. Musimy pomóc tej dziewczynie – zapatrzyła się na płomień świecy. – Klucze zawsze wisiały przy wejściu i nic nie wiem o zapasowych, a skoro ich tam nie ma, to... pewnie twój braciszek ma je przy sobie.

– Ale nie możemy jej tak zostawić. Trzeba jej pomóc.

– Nie martw się moja droga. Pomożemy, ale bez kluczy nie otworzymy tych drzwi. Najpierw musimy je zdobyć – pogłaskała dziewczynkę po głowie. – Uspokój się, dopóki Garnet jest tu, nic jej nie grozi. Zostaw to mnie. Jak tylko rano opuści pokój, postaram się je jakoś zdobyć – zmierzyła ją wzrokiem. – Tylko nie rób nic głupiego.

– Dobrze.

\*\*\*

Wbrew zakazowi Hortense, Abigail wślizgnęła się do pokoju Garneta. Wąska smuga światła wpadająca przez niezaciągniętą do końca zasłonę, delikatnie rozjaśniła panującą w pokoju czerń, zmieniając ją w wachlarz szarości. Spał na plecach z rozłożonymi na boki rękami, cicho chrapiąc w rytm wypuszczanego z płuc powietrza. Stała w nogach łóżka, patrząc na twarz, która zniszczyła jej życie. Na rozpościerającej się nad wargą linię wąsów i... uśmiech. Przysięgłaby, że jego wargi wygięły się w dobrze jej znany, przyprawiający o dreszcze grymas. Zastygła w bezruchu obserwując go przez dłuższą chwilę, z odrętwienia wyrwało ją głośniejsze chrząknięcie, po którym nastąpił gwałtowny ruch ręką śpiącego mężczyzny. Przykucnęła za łóżkiem, czekając na ponowną kanonadę krótkich chrapnięć, doczekawszy się ich, ostrożnie wystawiła głowę. Poszukiwania klucza zaczęła od stolika, szybko przerzucając znajdujące się na blacie rzeczy. Kolejny krok stanowiła komoda, szuflada za szufladą przeglądała jej zawartość, szperając między rzuconymi od niechcienia rzeczami. Następnie zamieniła komodę na szafę. Przesunęła koszulę, aby sprawdzić kieszenie kamizelki.

–Hrrr... – Garnet wydał z siebie dźwięk, sprawiając, iż ręka Abigaile zawisała w połowie drogi do drugiej kieszonki. Spojrzała na brata, czując, że zaraz się obudzi, ale na szczęście jej przeczucie okazało się mylne i wtedy jej wzrok padł na stojące obok łóżka krzesło. Czemu od razu o tym nie pomyślałam? – zganiła się w myślach. Podeszła do niego na palcach, aby



sprawdzić przewieszane przez oparcie spodnie. Pierwsza kieszeń, nic, ale druga okazała się strzałem w dziesiątkę. Wysunęła cały pęczek kluczy, złączonych ze sobą metalowym kółkiem. Uśmiechnęła się do siebie. Obeszła łóżko i wtedy Garnet się poruszył.

– Hmm... – mruknął, przekręcając się na bok i nagle jak oparzony poderwał się do góry. Rozdziawiając usta, wybałuszył oczy. – Aaaa!

Abigail niewiele się zastanawiając, wybiegła z pokoju. Dobiegła do drzwi od łazienki i jak najszybciej wywołała mgłę.

Garnet podkulił nogi, naciągając pierzynę po same uszy, starając się w ten sposób stłumić drzenie, które w jednej chwili opanowało jego ciało.

– To niemożliwe...to, to tylko sen – wymamrotał, rozglądając się nerwowo po pokoju.

\*\*\*

Już po raz trzeci na przestrzeni kilku ostatnich godzin odwiedziła stajnię w Blackwood. Tym razem jej kroki były znacznie pewniejsze, gdyż pomna ostatniej wizyty wynurzyła się z mlecznych odmetów, trzymając w ręku zapaloną świecę. Stała w piwnicznym korytarzu oświetlając drzwi, zza których niedawno słyszał rozpaczliwy kobiecy głos. Wsadziła do dziurki pierwszy z brzegu klucz. Nie pasował. Nerwowo przerzuciła je w dłoń, wybierając kolejny. Tym razem zamek nie stawiał oporu. Z walącym sercem, chwyciła zasuwę, odsuwając ją ze zgrzytem. Drzwi ustąpiły, w świetle płomienia ujrzała pustą celę i skraj czegoś, co wyglądało na siennik. Nagle rozległ się brzęk i leżący dotąd swobodnie na ziemi łańcuch, napiął się, niknąc gdzieś w skrywającym ścianę cieniu.

– Aaa! – krzyknęła Abigaile, podskakując mimowolnie do góry. Płytko oddychając, wystawiła przed siebie rękę ze świecą. – To ja – zrobiła mały krok i wtedy ją zobaczyła. Najpierw przykutą do łańcucha nogę, a potem ją. Dziewczynę, którą widziała w domu, przywiązaną do łóżka, lecz teraz znajdowała się na brudnym sienniku skryta pod postrzępionym kocem. Siedziała z podkulonymi nogami, starając się wcisnąć w omszały kamienny mur. – Co ci się stało? Kto ci to zrobił? – powiedziała delikatnym głosem.

Jasmine milczała, patrząc na dziewczynkę, tak jakby właśnie zobaczyła ducha.

– Wypuść mnie.

– Dobrze zaraz ci pomogę – pochyliła się nad okowami, próbując zdjąć je z umazanej krwią nogi. Szarpnęła obejmę, ale ona pozostała głucha na jej wysiłki.

– Klucz – wyszeptała Jasmine.

– Słucham?

– Musisz to otworzyć.

Abigail z rozpaczą spojrzała na trzymany w ręku pęk kluczy.

– Ale ja chyba nie mam...

– Jest tam – wyciągnęła przed siebie rękę. – Trzyma go w skrzyni.

Dziewczynka przemierzyła celę, uniosła wieko. Na kłębowskiu jakiś szmat leżał klucz. Chwyliła go i po chwili odrzuciła z brzękiem żelazne okowy. Złapała Jasmine za rękę, pomagając jej wstać.

– Auu – syknęła.

– Przepraszam, nie chciałam.

– To nic, to tylko siniak – posłała wymuszony uśmiech.

– Boże, co ci się stało? – spytała widząc opuchniętą twarz Jasmine, chociaż zdawało jej się, że już zna odpowiedź.

– To zadrapania, za parę dni nie będzie po nich śladu – dotknęła lewego oka, a w zasadzie podeszłej krwią powieki, pod którą powinno się ono znajdować.

Abigaile jako pierwsza wybiegła na korytarz.

– Możemy iść, nikogo tu nie ma – oznajmiła.

– A co z drugą dziewczyną?

– Z kim?

– Była tu ze mną druga dziewczyna – spojrzała w głąb korytarza. – Musi tu gdzieś być.

Abigail podbiegła do kolejnych drzwi, wybrała klucz i przekręciła go w zamku. Pomieszczenie wyglądało tak samo, jak poprzednie. Skrzynia, stół oraz siennik. Tym razem pewnym krokiem weszła do środka.

– Przyszliśmy ci pomóc – powiedziała do leżącej na sienniku dziewczyny.

– Eee... – wydukała zaspanym głosem, nie do końca wiedząc, co się dzieje.

Jasmine już klęczała na ziemi, odpinając metalową klamrę.

– Co? Kim jesteście?

– Przyszliśmy ci pomóc. Nazywają mnie Jasmine, byłam w celi obok, a to jest...

– Abigaile – przedstawiła się.

– Musimy uciekać – rzuciła nerwowo Jasmine. – Pomogę ci – uniosły we dwie wciąż oniemiałą Briar. Spojrzała na stojącą z drugiej strony dziewczynkę. – Jak nas znalazłaś?

– Hmm... ja... mieszkam nieopodal i... akurat bawiłam się kiedy... – nie wiedząc, co powiedzieć przesunęła się w stronę drzwi. – Muszę już iść, mama będzie się niepokoić – wybiegła z celi.

– Dziękuję! – zawołała cicho za oddalającą się dziewczynką. – Chodź, lepiej się pospieszmy, nie wiadomo kiedy wrócą – mówiąc to, zarzuciła koc na ramiona Briar.

\*\*\*

Obudziła się cała obolała, przez chwilę nie rozumiejąc, gdzie się znajduje, spojrzała na płachtę materiału zwisającą tuż obok jej twarzy i wtedy sobie wszystko przypomniała. Wciąż znajdowała się pod stolikiem. Pamiętała, że obaj mężczyźni wyszli dawno temu, ale ona sparaliżowana strachem nie mogła się ruszyć przez wiele godzin, a potem, no cóż, najwidoczniej zasnęła. Poruszyła nogą, a w zasadzie spróbowała to zrobić, gdyż zdrętwiałe kończyny odmówiły jej posłuszeństwa. Wyczołgała się spod stolika i chwyciła za kamienny ołtarz, aby złapać równowagę. Pokój ponownie spowijał mrok, rozjaśniony jedynie przez delikatne wpadające z korytarza światło. Zrobiła niepewny krok, czekając, aż odzyska pełną sprawność w zdrętwiałej nodze. Co robić? – myślała intensywnie. Najchętniej nie wychodziłaby w ogóle z ukrycia, ale wiedziała, że nie powinna tu przebywać ani minuty dłużej. Wykonała kolejny krok, przesuając dłoń po zimnym kamieniu i wtedy poczuła pod palcami coś wilgotnego, jakby wsadziła dłoń w wodę, ale to coś było znacznie gęstsze i lepkie. Uniosła ją do twarzy i szybko cofnęła. Boże, to musi być krew tego chłopaka – odskoczyła z obrzydzeniem, wycierając rękę o kapotę. Wkoło panowała cisza i każdy jej ruch zdawał się głośny jak uderzenie młota. Każdy oddech brzmiał tak, jakby dęła w trąbę. Szła krok za krokiem, cały czas nasłuchując choćby najmniejszego dźwięku. Korytarz był pusty. Skręciła w kierunku, w którym parę godzin temu widziała uciekających chłopców. Dotarła do schodów i ostrożnie weszła na górę.

Ciemność i cisza, tak zaprezentował się jej hol. Musiała być noc, a to natchnęło ją lekką otuchą. Odtworzyła w pamięci moment, kiedy przyszła tu razem z bratem. Pamiętała, że weszli tylnym wejściem obok kuchni. To musi być gdzieś tam – pomyślała, patrząc na rząd, rozlokowanych wzdłuż korytarza drzwi. Po chwili była na miejscu, nacisnęła klamkę, ale drzwi nie ustąpiły. Nacisnęła ponownie, ciągnąc ją z całej siły. Nic, a może frontowe. Najszybciej jak mogła, przeszła przez dom. W świetliku nad wejściem ujrzała światło latarni. Boże spraw, żeby były otwarte – pomodliła się w

myślach. Chwyciła za klamkę i nacisnęła. Wyraz rozczarowania zagościł na jej twarzy. – Co teraz, co teraz? Okno! – weszła do pierwszego pokoju z brzegu. Zajrzała za zasłonę i z oczu popłynęły jej łzy. Kraty, w oknach znajdowały się kraty. Przeszła do drugiego pokoju. To samo. Reszta drzwi była zamknięta. – Jimmy, co zrobiłby Jimmy? – myślała intensywnie. – Góra, może wyjdę przez okno na górze. Z bijącym sercem wspięła się na piętro i wtedy usłyszała skrzypnięcie drzwi, a następnie zobaczyła blask świecy, na sekundę zamarła. Ponowne skrzypnięcie i w połowie korytarza zamajaczyła jakaś sylwetka. Nerwowo spojrzała na boki, szukając jakiegoś schronienia i wtedy dostrzegła uchylone drzwi do jednego z pokoi. Przemknęła do środka. Nie był zbyt duży, ale jak dla niej wyglądał jak salon. Pasek światła wpadający przez niedosunięte zasłony załamywał się na wielkim łożu, przecinając je na pół. Niewiele myśląc, położyła się na podłodze, uniosła rąbek narzuty i wczołgała się pod spód. Kilka sekund później usłyszała tłumione przez dywan kroki. Spojrzała w tę stronę. Stopy, duże męskie stopy, odziane w zdobne kapcie. Już chciała wyskoczyć spod łóżka i wybiec, gdy nad jej głową skrzypnęła deska, potem następna i wielki ciężar wygiął materac.

– Uhh – ktoś jęknął, głośno wzdychając.

Betty kolejny raz tej nocy znieruchomiała. Podłożyła rękę pod głowę i przyłożyła nos i usta do rękawa, starając się stłumić swój oddech. – Przynajmniej teraz leżę – pomyślała, wpatrując się w podłogę przed sobą.

## XX

Pokój wciąż spowijał lekki półmrok, kiedy Hortense otworzyła oko, kilkakrotnie mrugnęła, zrzucając z powiek resztki snu, dodała ziewnięcie, kończąc rytuał przebudzenia długim przeciągnięciem. Dała sobie jeszcze dwie minuty na leżakowanie i z ociąganiem wysunęła nogi spod ciepłej kołdry. Zapowiadał się długi dzień, a i ostatnia noc nie należała do zbyt dobrze przespanych. Od nocnej wizyty nie mogła pozbyć się natrętnych myśli dotyczących Garneta. Miała nadzieję, że panicz nie jest w stanie już jej niczym zaskoczyć, jednak bardzo się myliła. Ten zwyrodnialec najpierw znęcał się nad siostrą, a teraz przeniósł swoje zainteresowania na zupełnie nowy poziom. Jeszcze parę miesięcy temu myślała, że może to wszystko jakoś się ułożyć. Garnet powróci z zagranicznych wojaży, w jakiś sposób ochłonie, a ona wraz z Abigaile obmyśli jakiś sposób, pozwalający dziewczynce wrócić do normalnego życia. Po cichu liczyła, że przy dużej dozie szczęścia, panicz w ogóle nie powróci, ale nadzieja na najprostsze rozwiązanie już dawno prysła, a teraz jeszcze więzienie tej dziewczyny w piwnicy. Przecież to było... – przerwała rozmyślania, widząc, jak przez zamknięte drzwi do pokoju wsuwa się stopa, a w ślad za nią dłoń.

- Abigaile.
- Dzień dobry. Przyszłam bo...
- Nie martw się, o wszystkim pamiętam. Jak tylko Garnet wstanie...
- Nie trzeba, znalazłam klucz – tym razem to Abigail przerwała, chcąc jak najszybciej pochwalić się swoim osiągnięciem.
- Cudownie, gdzie był?
- Miał go w spodniach.
- O czym ty mówisz? – spytała, nie do końca rozumiejąc.
- Na początku nie mogłam go znaleźć, przeszukałam cały pokój i wtedy pomyślałam, że może go mieć przy sobie, więc sprawdziłam jego ubranie.
- Byłaś w jego pokoju.
- Tak, ale spał.
- Co ty wygadujesz, chcesz mnie wpędzić do grobu – już drugi raz na w ciągu ostatnich godzin złapała się za potężną pierś, czując palpacje serca. – Przecież mógł się obudzić i cię zobaczyć. Co byś wtedy zrobiła?

Abigail przysiadła na łóżku, karnie spuszczając wzrok na podłogę, rozmyślnie, przemilczając nocną pobudkę Garneta.

– Dziecko, mówiłam ci, żebyś tam nie szła – sfrustrowana pokiwała głową.

– Ale ja chciałam tylko pomóc tej dziewczynie.

– Rozumiem, ale nie możesz tak czynić, to nieroztropne – położyła dłoń na kolanie dziewczynki.

– Wiem, przepraszam.

– Cóż, co się stało, to się nie odstanie – wstała, podnosząc z krzesła leżącą na nim sukienkę. – Ale skoro już go masz, musimy jak najszybciej przenieść się do Blackwood.

– Hmm... – chrząknęła. – Już tam byłam.

– Słucham? – spytała z niedowierzaniem.

– Przepraszam, ale nie mogłam pozwolić, żeby siedziały w tym łóżku, chociaż minutę dłużej.

– Jak to siedziały? Przecież mówiłaś o jednej dziewczynie.

– Bo na początku myślałam, że jest tylko jedna, ale potem...

Hortense wróciła na łóżko, chłonąc każde, wypowiedziane przez Abigail słowo.

\*\*\*

Szedł pomiędzy straganami, z dumą prężąc pierś, na tyle, na ile mu na to pozwalał wypchany wiktuałami kosz. Po raz pierwszy traktowano go na targu jak poważnego kupca. Co prawda zakupy robiła Hortense, a on zajmował się jedynie targaniem tych pyszności od stoiska do stoiska, ale z każdym kolejnym kramem czuł, jak jego status się podnosi. Wszyscy tu znali pulchną kucharkę i ją szanowali. Traktowali jak prawdziwą damę, którą była dla Magnusa w stu procentach. Dostawała najlepsze kawałki, nikt nie próbował jej oszukać, a on Magnus ją znał. Sprzedawcy byli dla niej uprzejmi, a ona przedstawiała chłopca przy każdym powitaniu. Nadmieniając, iż jest z nią i żeby w przyszłości nie próbowali go oszukać, traktując tak, jakby to ona sama robiła wszystkie sprawunki. Pierwszy raz odnoszono się do niego z takim szacunkiem i to mu się bardzo spodobało.

– A gdzie pani śliczna pomocnica? – zagaił zażywny sprzedawca.

– Dzisiaj mamy duże zakupy i potrzebne mi są silne ramiona. Oto mój nowy pomagier – pogłaskała chłopca po głowie.

– No, no, chłop na schwał – kiwnął głową.

– Nazywam się Magnus psze pana – grzecznie się uklonił.

– I jak dobrze wychowany – cmoknął z uznaniem. – Co dla szanownej damy? To co zwykle?

– Tak, i jeszcze gomółkę sera, może być ta.  
– A jak się miewa panienka Mildreth?  
– Dobrze – podała chłopcu zakupy.  
– Proszę ją koniecznie ode mnie pozdrowić.  
Hortense spojrzała na sprzedawcę spod oka.  
– A co mam przekazać Daphne, może uściski?  
– Cóż, z miłą chęcią prześlę je uroczej panience – szeroko się uśmiechnął.  
– A jakieś przesłanie dla Berty?  
– Berty?  
– Mówię o pańskiej żonie. Czyżby umknęła z pańskiej pamięci? –  
wykrzywiła usta w złośliwym grymasie.  
– Hmm... – odchrząknął. – Berta, tak, oczywiście... yyy..., to już  
wszystko?  
– Tak, dziękuję – wyjęła kilka monet. – Miłego dnia i proszę nie  
zapomnieć pozdrowić małżonkę.  
Skinął głową z wymuszonym uśmiechem.  
– Magnus, jeśli chcesz, mogę ci pomóc – powiedziała, widząc  
przechylnego pod ciężarem wiktuałów chłopca.  
– Dziękuję psze pani, ale podołam – odparł, podciągając kosz do góry,  
aby nie zahaczyć nim o bruk.  
Opuścili targowisko, lawirując wśród gęstniejącej z każdą chwilą ciżby,  
powoli posuwając się do przodu.  
– Pójdziemy tędy, będzie szybciej – obwieściła Hortense, skręcając w  
boczną uliczkę. – Tylko nie chodź tędy sam. Wiesz, tu wszędzie kręci się  
wielu podejrzanych typów – zerknęła na chłopca i dodała. – Na pewno sam  
coś o tym wiesz. Oczywiście nie mam na myśli ciebie. Mówię o tych  
ludziach, których tu spotkałeś. Chociażby ci chłopcy, co próbowali cię  
okraść, przecież takie rzeczy dzieją się codziennie. Całe szczęście, że  
Mildreth cię wtedy zauważyła.  
– Tak – kiwnął głową. – Ale nie każdy taki jest, poznałem tu też dużo  
dobrych ludzi.  
– Nawet przez chwilę w to nie wątpię. Czasem tak się po prostu układa,  
że przez kilka nieszczęśliwych zdarzeń, można z dnia na dzień wyłądownąć  
na ulicy i nie jest to niczyja wina. Czasy są teraz ciężkie i jeśli nie urodziłeś  
się bogaczem, musisz walczyć o każdy okruszek chleba.  
Chłopiec ponownie skinął głową. Nagły podmuch wiatru uniósł z ziemi  
gazetę, która zawirowała w powietrzu, przyklejając się do Hortense.  
Odlepiła ją od ramienia, odrzucając na bok.

– Czy mogę dostać coś do jedzenia? – spytała starsza kobieta siedząca w kącie pod skrawkiem koca.

– Magnus, zaczekaj – odparła Hortense, sięgnęła do kosza i oderwała kawałek chleba.

– Chłopcze ja cię znam, to ty dałeś mi zupę – powiedziała, odbierając chleb. – To dobry dzieciak – zwróciła się do Hortense.

– Nie mogę się z panią nie zgodzić – zerknęła na podopiecznego.

– Widzę mały, że ci się poszczęściło.

– Tak, dziękuję psze pani... i dziękuję za ostrzeżenie – widząc niezrozumienie w oczach kobiety, dodał. – Chyba widziałem tego mężczyznę.

– Jesteś pewien?

– Tak mi się wydaje. Miał cylinder i laskę ze srebrną główką. Przyszedł do zaułka, w którym spałem.

– Nic ci się nie stało? Zabił kogoś?

– Nie, ale zabrał dwóch chłopców.

– O czym wy mówicie? – wtrąciła Hortense.

– To pani nie słyszała? Po mieście grasuje jakiś wariat..., widziałam, jak w nocy zabił czterech ludzi.

– Boże i pani tam była?

Kobieta jedynie skinęła głową.

– A ty... ty go spotkałeś? – zwróciła się do Magnusa

– Tak.

– Biedaku. Co ty musiałeś przeżyć? – przycisnęła głowę chłopca do swojego brzucha, prawie go nim dusząc. – Chodź, przygotuję ci kakao – odeszła dwa kroki i się zatrzymała. – Pomyślałam, że... – słowa te skierowała do siedzącej na ziemi kobiety. – Do państwa przychodzą dziś goście i będzie dużo jedzenia. Myślę, że nikt nie zauważy, jeśli odłożę parę kasków ..., więc jeśli by pani chciała, zapraszam za kilka godzin na Chapel street, numer osiem. Proszę zajść od tyłu.

– Bardzo pani dziękuję, na pewno będę – odparła z wdzięcznością w głosie.

\*\*\*

Coś się zatrzęsło i Betty wyrwała się z płytkiego snu. Otworzyła oczy i omal nie krzyknęła, widząc kilka cali od twarzy czarne buty. Już miała się poderwać, ale w ostatniej chwili uśpione w jej głowie tryby zaskoczyły, pozwalając przypomnieć sobie, gdzie się znajduje. Łóżko, od kilku godzin



leżała pod łóżkiem. Sądząc po jasnych smugach światła rozpościerających się po drewnianej podłodze, była już pełnia dnia. Wstrzymała oddech, czekając, aż stojąca obok osoba wykona jakiś ruch, ale nic takiego nie nastąpiło. Tak, jakby czekała na to, co się wydarzy lub cierpliwie czegoś nasłuchiwała. Dziewczynka zamknęła oczy, licząc w myślach do dziesięciu... siedem, osiem, dziewięć, dziesięć. Otworzyła jedno oko. Boże, on nadal tu stoi – pomyślała z przerażeniem, czując, jak zaczyna brakować jej tchu. Czekala jeszcze przez kilka sekund, w końcu ze świstem wypuściła powietrze z płuc, łapiąc kolejny oddech. Zdradziwszy swoją pozycję, szybko cofnęła się pod łóżko. Wiedząc, że zaraz zobaczy czyjeś ręce próbujące ją stamtąd wyciągnąć, ale nic takiego się nie wydarzyło. Odczekała kolejną minutę, w końcu ostrożnie podczołgała się o parę cali. Buty, to tylko buty, omal nie krzyknęła z radości. To tylko stare buty, a ja... – dotknęła ręką sukienki. – Zsikałam się ze strachu – uśmiechnęła się do siebie.

Pokój był pusty. Podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Była na pierwszym piętrze, ulicą przejechał jakiś powóz, po drugiej stronie, ktoś szedł chodnikiem, bawiąc się trzymaną w ręku laską. Złapała klamkę, próbując otworzyć okno, ale tylko przekręciła ją w ręku bez najmniejszego oporu. Tak jakby została założona jedynie dla ozdoby. Już miała uderzyć pięścią w szybę, aby zwrócić na siebie uwagę idącego chodnikiem jegomościa, ale w ostatniej chwili wstrzymała rękę. A jeśli on nic nie zauważy, za to usłyszy ją ktoś, kto znajduje się w domu? Zrezygnowana zacisnęła usta. Wyjrzała na korytarz, z dołu dobiegły ją jakieś głosy, więc ostrożnie przeszła do pokoju naprzeciwko. Wyglądał jak mały salonik z sofą i kilkoma fotelami. Podeszła do okna, chwyciła za klamkę, która obróciła się tak samo, jak ta w poprzednim pokoju. Wróciła na korytarz i wtedy usłyszała poirytowany męski głos:

– Tak, wiem, zaraz przyniosę.

Szybko cofnęła się do pokoju. W panice machała głową na wszystkie strony, starając się znaleźć jakieś schronienie. Ukucnęła za sofą, ale po paru sekundach zmieniła zdanie, skrywając się za długimi ciemnozielonymi storami. Ciężkie kroki stawały się z każdą chwilą coraz wyraźniejsze.

– Nie widzę, tu tego nie ma! – krzyknął mężczyzna, który właśnie wszedł do pokoju.

– Sprawdziłeś w beżowej?! – rozległ się kobiecy głos.

– Tak, nie ma!

– Patrzyłeś w ciemnej czy jasnej?! – drugi głos zdawał się zbliżać.

– No chyba w... w tej ciemniejszej!

- Przecież mówiłam, beżowa, a nie jasnobrązowa.
- Przecież obie są takie same, brązowe.
- Jakby były takie same, to nie mówiłabym, że w beżowej.
- Następnym razem sama idź.
- A myślisz, że co właśnie robię?
- Dobrze, już mam, nie musiałaś tu iść, dałem sobie radę.
- Świetnie, zapnij i idziemy.

Skryta za zasłoną dziewczynka dostrzegła w szybie patrzące na nią odbicie kobiety oraz stojącego za nią mężczyznę zapinającego kolie na jej szyi.

- Znowu zaczęło prószyc – powiedziała kobieta.
- W końcu mamy zimę.
- Tak, nie da się ukryć, mam już jej dość. Lepiej już chodźmy – odwróciła się i oboje wyszli z pokoju.

Betty osunęła się na ścianę, czując, że zaraz zemdleje, aby nie upaść, podtrzymała się parapetu i spojrzała na zewnątrz. Przed domem stał powóz, a stangret właśnie otwierał do niego drzwi. Dobrze jej znana para wsiadła do środka. To może być moja jedyna szansa, pomyślała, wyłaniając się zza zasłony. Ostrożnie wyjrzała na korytarz i miała wychodzić, gdy jej spojrzenie padło na otwartą szkatułkę. Podeszła do niej i zajrzała do środka. Nigdy w życiu nie widziała tylu błyskotek, ba, nigdy nie widziała ani jednego tak lśniącego kamienia. Wyjęła długi naszyjnik z pereł, przerzucając go z ręki do ręki, jakby bawiła się szklanymi paciorkami. Jimmy by tego nie pochwalił – pomyślała, czując wzbierające w oczach łzy, pociągnęła nosem, wkładając perły do kieszeni. – Ale już go nie ma, zresztą sami na to zasłużyli. Zabrała pierścionki oraz kilka wysadzanych drogimi kamieniami brosz. Otworzyła drugie pudełko i w parę sekund opróżniła je ze świecą zawartości.

\*\*\*

Wypolerowane srebrne sztucce migotały w blasku świec, umieszczonych w czteroramiennych srebrnych świecznikach, które przechodziły z dziada pradziada, służąc kolejnym pokoleniom Griffith'sów. Widelce przy wsparciu noży unosiły nieustannie pyszne kąski z porcelanowej zastawy, wprost do wygłodniałych ust biesiadników. Garnet oparł dłonie na białym obrusie, nie czując większego łaknienia. Zjadł zaledwie kilka kęsów duszonego węgorka, skupiając całą swoją uwagę na kieliszku z winem.

– ... nawet się nad tym nie zastanawiałem – powiedział Gideon, marszcząc przy tym brwi.

– Chciałabym powiedzieć, że mnie tym zaskoczyłeś, ale nie wypada mi kłamać – zaśmiała się Eusebia, wymieniając porozumiewawcze spojrzenie z Clementine. – Ty nigdy nie miałeś do tego głowy.

– Przykro mi, że takie błahostki nie zaprzatają moich myśli.

– Wspaniałomyślnie ci to wybaczę – odparła, nie wyczuwając nuty sarkazmu ze strony męża. – Garnet na pewno nie zostawiłby swojej wybranki w takich opresjach. Złe wybory potrafią odcisnąć ślad na całym życiu.

– O czym ty mówisz, jaki ślad? To tylko wybór porcelany.

– To tylko porcelana – powiedziała to głosem mającym przypominać głos męża. – O tym właśnie mówię. Miło by było, gdyby mężczyzna czasami podzielał zainteresowania kobiety, a przynajmniej udawałby, że to czyni.

– Tak, porcelana to wizytówka, każdego porządnego domu. Przecież nie będziemy jeść w drewnianych miskach jak jakiś plebs, bo co będzie następne? Patyk zamiast widelca, a może porzucimy sztucce, jedząc wszystko rękami jak śmierdzące pospólstwo. Czyż nie to odróżnia nas od stada przybłąd zalegających w każdym zaułku tego miasta, iż potrafimy zachować się jak ludzie, mimo trudności losu, jakich każde z nas doświadcza. Jak zapewne wiecie, razem ze Spencerem przez kilka lat mieszkaliśmy w Indiach – Caddy rozejrzała się po obecnych, sprawdzając, czy informacja ta dotarła do każdego ucha.

Walter posłał w stronę żony znaczący uśmiech, jednocześnie podnosząc kieliszek z winem do ust.

– Tam wszyscy jedzą rękami – kontynuowała Caddy. – I myślicie, że co, że zaczęliśmy jeść jak oni, upodabniając się do zwierząt. Nie, mimo ciężkiego położenia, w jakim się znaleźliśmy, zachowaliśmy się jak cywilizowani ludzie, broniący swoich przekonań i obyczajów. Mało tego, dzięki nam, niektórzy z nich pojęli, czym jest *savoir-vivre*. Doprawdy, nie rozumiem, dlaczego te wszystkie osobniki mieszkające na ulicach nie mogą jeść jak cywilizowani ludzie?

– Może dlatego, że są bezdomni i nie mają pieniędzy? – odezwał się Walter.

– A w czym to niby przeszkadza? Przecież łyżkę i widelec można wsadzić do kieszeni, do tego dom nie jest potrzebny. Nie byłabym zaskoczona, gdyby skończyli tam, gdzie są teraz, właśnie przez brak zasad *bon-ton*.

– Nie jestem pewien, czy jest to najistotniejszy czynnik ich obecnego położenia.

– Być może, ale na pewno jest jednym z ważniejszych. Widziałam na ulicach Indii tysiące tego motłochu, nie wspominając o naszym kraju i ani razu żaden z nich nie użył serwetki podczas posiłku. Nie wiem, czy nawet mają nóż.

– O, co jak co, ale nóż ma niemal każdy z nich. Tylko nie używają go do jedzenia, a zwykłych rozbojów – wtrącił się do rozmowy Spencer. – Jedyne co potrafią, to żebrać o jałmużnę i kraść. Choć to ostatnie chyba nie do końca im wychodzi, bo gdyby tak było, to nie znajdowałiby się w miejscu, w jakim obecnie są – zaśmiał się z przekąsem.

– Myślę, że za dużo tu uogólnień – powiedział Gideon, gestykułując widelcem z powiewającym na nim kawałkiem mięsa. – Nie każdy z bezdomnych znalazł się w takim położeniu z powodu serwetki do ust. Poza tym to, że jest się psem, nie znaczy, że od razu trzeba gryźć.

– Ja wiem jedno, każdy pies ugryzie, jeśli będzie miał tylko ku temu sposobność, a tym bardziej bezpański – odparł Spencer. – A co ty o tym sądzisz? – pytanie skierował do Garneta. – Jak wiemy, ostatnimi czasy podróżowałeś po Europie. Mniemam, iż będąc na kontynencie, spotkałeś się z podobnymi problemami.

Garnet patrzył na Spencera, jakby nie wiedział, o co chodzi.

– Garnet, wszystko w porządku? – spytała Clementine, widząc dezorientację na twarzy syna.

– Hmm... tak, zamyśliłem się – burknął.

– Przywilej młodych. Pewnie zakochany – rzekła Eusebia z jednoznacznym uśmiechem na twarzy.

– Ja... myślałem o...

– Pamiętam te czasy, jak Gideon przychodził do mnie w konkury. Nie mogłeś oderwać ode mnie wzroku – powiedziała do męża rozmarzonym głosem.

– I wciąż nie mogę, zastanawiając się całymi dniami, co mnie do ciebie ciągnęło i jedyne co mi przyszło do głowy, to to, że młodość jest synonimem głupoty.

– Pewnie jest w tym trochę racji, ale mogę cię zapewnić, że z niektórymi głupota pozostaje przez całe życie.

\*\*\*

Wyjęła z pieca pieczone przepiórki i ułożyła je na kilku półmiskach.

– Weź jakąś ścierkę i wytrzyj ten palec z talerza, bo nie dadzą nam żyć albo czekaj, sama to zrobię – powiedziała Hortense, unosząc rąbek umazanego w tłuszczu fartucha, znalazła skrawek nieco czystsze materiału i szybkim ruchem przesunęła go po krawędzi porcelany, odkrywając błękitny otok skryty pod brązowym śladem kciuka. – Zrobione – oznajmiła zadowolona z siebie.

– Gdyby panna Bennett to widziała – Mildreth wytrzeszczyła oczy, chichocząc pod nosem.

– Ale nie widziała, więc nie musimy sobie zaprzętać tym głowy. Zresztą nie będą lizać zastawy. Chociaż zważywszy, ile jedzenia dziś pochłonęli, nic nie jest pewne.

– Przecież, ja bym jadła to przez tydzień – wskazała jeden z wypełnionych jagnięciną talerzy.

– Zapewne, ale ty jesteś miłą młodą panną, a tam za ścianą mamy chlew pełen świń. Więc nie masz co się dziwić, że musimy gotować dla całego pułku. Gdyby sami musieli ugotować to, co zezrą, z dnia na dzień odechciałoby im się takiego ucztowania. Ostatnimi czasy miałyśmy trochę spokoju, ale teraz gdy wrócił panicz, czuję, że tego typu przyjęcia staną się niemiłą rutyną. Słyszałam, iż państwo szukają mu jakieś dobrej partii, ale jeśli kandydatki będą miały, choć za grosz zdrowego rozsądku, to czeka nas cała seria tego typu zabaw. No już, możesz zanieść to na stół.

Mildreth ostrożnie podniosła talerze i już miała wychodzić, kiedy Hortense zatrzymała ją ruchem ręki.

– Poczekaj chwilę, zapomniałam o tajemniczym składniku – splunęła na lśniącą złocistą skórkę, pięknie przypieczonej przepiórki.

– Aaa... – dziewczyna wybałuszyła oczy.

– Tę postaw obok Garneta, on lubi dobrze doprawione – uśmiechnęła się, wypychając ją z kuchni. Wróciła do patelni, aby przewrócić smażące się na niej mięso. Następnie chwyciła leżące na stole obrane marchewki i poczęła je szybko szatkować na małe talarki. Nagle wstrzymała nóż, słysząc przypominający pukanie odgłos, odczekała chwilę, ale dźwięk już się nie powtórzył. Skończyła siekać marchew, złapała cebulę, przekroiła ją na pół.

– Postawiłam talerze – poinformowała czerwona na twarzy Mildreth. – Chyba się czegoś domyślił, cały czas się na mnie patrzył.

– Kto, Garnet?

Dziewczyna skinęła głową.

– Nic podobnego, tylko ci się zdawało – wykonała kilka cięć na leżącej na desce cebuli. – Nigdy się nie zorientował.

– To znaczy, że pani...

– Oczywiście, przy każdej nadarzającej się okazji. Niekiedy tylko w ten sposób można wyrazić swoje uczucia względem innych.

– A czy, to...? – spojrzała na stojący na kuchence parujący garnek, z którego rozchodził się po kuchni smakowity aromat.

– Nie, nic z tych rzeczy – uśmiechnęła się szeroko. – Na moje względy trzeba sobie zasłużyć, a sama wiesz, że panicz zapracował sobie na nie jak mało kto.

– Ma pani rację, gdybym mogła, też bym tak zrobiła.

– To na co czekasz? Nie żałuj sobie, możesz zacząć choćby od zaraz – wskazała nożem na stojący obok kuchni sosjerkę. – To też trzeba zanieść.

Dziewczyna złapała ostrożnie naczynie, zaglądając do środka. Wewnątrz pływała jakaś ciemnobrązowa maziąja. Przez chwilę się wahała, wreszcie zebrała trochę śliny i...

– Już jestem – obwieścił od progu Magnus, trzymając oburącz przed sobą wypełnione drewnem wiadro.

Mildreth podskoczyła do góry, wylewając na podłogę część sosu.

– Ha, ha... widzę, że jeszcze nie jesteś na to gotowa – oznajmiła ze śmiechem Hortense. – To nie jest takie proste, jak mogłoby się wydawać – i zwróciła się do chłopca. – Postaw je tam i dorzuć trochę pod kuchenkę.

– Dobrze psze pani.

– A co tam leży na tych szczapach – zerknęła do wiadra.

– Szczur – powiedział z dumą, ukazując żółte zęby. – Złapałem go w piwnicy.

– I go tu przyniosłeś?

– Chciałem pokazać pannie Bennett.

Kucharka znieruchomiała, zawieszając nóż w powietrzu.

– Cicho. Chyba ktoś puka do tylnych drzwi – powiedziała. – Magnus idź, sprawdź, o co chodzi.

– Tak psze pani – po chwili był już z powrotem. – Przyszła ta pani.

– O czym ty mówisz?

– Przyszła ta pani, co ją rano spotkaliśmy. Pyta się, czy mamy coś do jedzenia.

– Przez to wszystko na śmierć o niej zapomniałam – z głośnym plaśnięciem uderzyła się otwartą dłonią w czoło. – Powiedz, że zaraz coś jej damy.

Odwrócił się i wybiegając, wpadł wprost na wchodzącą do kuchni Brittanice.

– Co ty wyprawiasz? Tu się nie biega, to nie ulica, na której się wychowałeś.

- Przepraszam psze pani.
  - Już ja cię nauczę dobrych manier – złapała go za ucho, ciągnąc do góry.
  - To ja kazałam mu biec po panią – wtrąciła się Hortense z uniesionym do góry nożem.
  - Tak, a cóż to za niecierpiąca zwłoki sprawa?
  - Magnus, podaj pannie Bennett, to co dla niej znalazłeś.
- Chłopiec podszedł do wiadra i łapiąc szczura, wystawił rękę w stronę Brittanicy.
- Był w pralni, niezła sztuka – rzuciła Hortense. – Był jeszcze jeden, ale gdzieś czmychnął. Pokaż go pannie Bennett.
  - Nie, nie trzeba – wytrzeszczyła oczy. – Natychmiast się go pozbądź – wysunęła przed siebie trzęsącą się rękę. Dając znak, aby się do niej nie zbliżał. – I nie przynoś ich więcej, po prostu je wyrzucaj – wzdrygnęła się, wychodząc na korytarz.
  - I po kłopotcie – podsumowała Hortense. – Wyrzuć to truchło i zaprowadź swoją znajomą do pralni, niech się trochę ogrzeje. Zaraz dam jej coś do jedzenia.
  - A panna Bennett? – spytała Mildreth, nieświadomie przechylając sosjerkę, tak, iż pojedyncze krople sosu zaczęły tworzyć kałużę u jej stóp. – Chyba jej się to nie spodoba.
  - Na pewno jej się nie spodoba, ale to nie ma znaczenia. Założę się o całe jedzenie, które dzisiaj przygotowałam, że w najbliższym czasie nie zajrzy do kuchni, a tym bardziej do pralni, a teraz zanieś sos, zanim cały wyląduje na podłodze.

\*\*\*

W pralni było zdecydowanie cieplej niż na zewnątrz, dlatego po raz pierwszy od kilku dni pozwoliła sobie na rozpięcie kapoty. Nadziała na widelec kawałek mięsa z trzymanego na kolanach talerza i wsadziła go do ust, tym razem delektując się jego smakiem. Pierwsze cząstki pieczeni po prostu połknęła, prawie ich nie gryząc, ale teraz po zaspokojeniu dojmującego głodu, mogła wreszcie poczuć jej delikatną strukturę. Poprawiła się na stołku, patrząc na to, co mogła ujrzeć we wpadającym z korytarza świetle. Sterty prania i balie. Typowa pralnia – pomyślała, przeżuując kolejny kęs. – Ciepła i pachnąca – wciągnęła nosem zapach mydlin po porannym praniu. Kiedy to miałam coś czystego na sobie? – zerknęła na tarę, starając sobie przypomnieć coś tak odległego, że zdawało się to być zamierzchną przeszłością.

– Przyniosłem jeszcze coś słodkiego – powiedział Magnus, wnosząc wciąż ciepły kawałek ciasta.

– Szarlotka – oczy kobiety zalśniły tak, jakby zobaczyła złoty puchar. – Oh... już zapomniałam, jak smakuje.

– Przepraszam psze pani za pralnię, ale gdzie indziej mogą panią zobaczyć..., chodzi mi o państwa Griffith i pannę Bennett.

– Nie szkodzi, jest cudownie, nawet przez chwilę nie sądziłam, że będę miała taką ucztę – powoli pogryzła ciepłą pieczeń. – Poszczyściło ci się.

– Tak psze pani – odparł, prężąc dumnie pierś.

– Jednak jest Bóg na tym świecie. Nie miałeś gdzie spać, oddałeś mi zupę, a los odplacił ci z nawiązką. Zawsze mówiłam, że dobro wraca z podwójną siłą.

Kiwnął głową, lekko się rumieniąc.

– Nazywam się Maggy.

– A ja Magnus psze pani.

– Magnus – przełknęła, układając sobie coś w głowie. – To bardzo miło z twojej strony, że mimo swego szczęścia nie zapomniałeś o tych, z którymi świat nie obszedł się tak łaskawie.

– Dziękuję pani za dobre słowo. Pani Hortense powiedziała, że jeśli by pani zechciała, mogłaby pani zostać tu do jutra. Dziś wszyscy będą pili i na pewno nikt nie zajrzy tu co najmniej do południa, a nad ranem pani Hortense panią obudzi.

– Nie chciałabym sprawiać kłopotu.

– Pani Hortense wiedziała, że pani tak odpowie i prosiła przekazać, że nie przyjmie odmowy.

– Skoro tak – uśmiechnęła się, ukazując pozostałości po zębach. – Chętnie skorzystam – zamieniła pusty talerz na talerzyk z szarlotką. – Mmm... pyszna, zawsze tu tak gwarno?

– Nie wiem, to pierwszy raz odkąd tu jestem. Do państwa przyszli goście.

– Goście. Hmm... nigdy nie byłam na żadnym przyjęciu, a ty?

– Nie psze pani.

– Pewnie wszyscy są ładnie ubrani i jest dużo jedzenia i picia – zapatrzyła się przed siebie, tak jakby opisywała to, co właśnie widzi. – Wielki stół, porcelana, wszystko lśni jak na balu. Panie w strojnych sukniach, eleganccy panowie. Czy tak to wygląda?

– Hmm... nie wiem, nie widziałem, panna Bennett zabroniła mi tam chodzić..., ale jest dużo jedzenia. Patrzyłem, jak pani Moore gotowała, nigdy nie widziałem tylu garnków i talerzy. Jakby jadło ze dwa tuziny osób.



– Tak – zamyśliła się, gryząc kolejny kawałek ciasta. – A nie chciałbyś zobaczyć, jak to wygląda?

– Eee... no nie wiem..., chyba tak.

– Bo ja bym chciała, nie wiem, czy jeszcze kiedyś trafi mi się taka okazja – odstawiała talerz i wstała ze stołka.

– Co pani robi?

– Muszę to zobaczyć na własne oczy.

– Ale pani Moore prosiła, żeby stąd nie wychodzić, bo mogą panią zobaczyć.

– Nie bój się, tylko zerknę i zaraz wracam. Zresztą możesz iść ze mną, będziesz miał mnie na oku.

– Ale...

– Nie wierzę, że z ciebie takie strachajło – minęła chłopca.

– No dobrze, ale tylko na chwilę i zaraz wracamy – powiedziała, doganiając oddalającą się kobietę. Zatrzymali się tuż przed załomem korytarza. – To tu.

– Co tu robicie? Jeśli panna Bennett was zobaczy, to wszystkim się oberwie – powiedziała Mildreth, stając tuż za podglądaczami.

– Przepraszam. My tylko chcieliśmy zobaczyć, jak to wszystko wygląda – jęknął Magnus.

– To moja wina – dodała Maggy i wystawiła głowę zza rogu. – Jak tu ładnie i jakie ubrania, a jedzenie, starczyłoby mi na cały rok.

– Nam wszystkim – powiedziała Mildreth, patrząc ponad ramieniem Magnusa.

– Kim jest ta dama z tymi perłami? – spytała Maggy.

– To madame Clementine, a obok niej siedzi jej syn – wskazywała palcem poszczególne osoby. – Pani Spencer z mężem, pan Griffith i państwo... Green... tak Green. Niektórzy to mają szczęście – westchnęła. – Muszę już lecieć, bo za długo mnie nie ma. Lepiej już idźcie – nie widząc żadnej reakcji, spojrzała na stojących obok gapiów. – Słyszycie?

– To on, widzisz go? – powiedziała Maggy, zaciskając dłoń na ramieniu chłopca.

Magnus z rozdziawionymi ustami skinął automatycznie głową.

– To on ich zabił, to on – cofnęła się, przywierając do ściany.

– O czym pani mówi? – spytała Mildreth, wodząc wzrokiem po biesiadnikach.

– Nigdy nie zapomnę tej twarzy, łamał im karki, jakby byli kukłami.

– Ma pani rację. To ten. Poznaje go, mnie też chciał zabić – zawtórował Magnus łamiącym się głosem, wlepiając oczy w Mildreth.

– Musicie stąd uciekać, ja nie zostanę tu ani chwili dłużej – starsza kobieta ruszyła szybkim krokiem w stronę wyjścia na podwórze.

– Proszę poczekać, na dworze jest mróz – Mildreth dogoniła Maggy, łapiąc ją za rękaw. – W pralni jest ciepło, a Hortense...

– Nie, ja nie mogę on..., on ich zabił z zimną krwią – wyrwała rękę, otworzyła drzwi i wybiegła w mrok.

\*\*\*

Tak blisko, a jednak tak daleko – przebiegło przez głowę Betty, kiedy kolejny raz tego dnia zerknęła przez okno na padający na zewnątrz śnieg. Od jakiegoś czasu przemykała z pokoju do pokoju, starając się znaleźć jakiś sposób, aby opuścić ten przeklęty dom, który od kilku dni stał się dla niej prawdziwym więzieniem. Za każdym razem, gdy opuszczała jedno z pomieszczeń miała wrażenie, że zaraz ktoś złapie ją za rękę i zaciągając z powrotem do znajdującej się w piwnicy celi. Jej lęk nie był bezpodstawny, słyszała dochodzące z dołu odgłosy i wiedziała, że nie jest tu sama. Widziała znajomą kobietę i mężczyznę odjeżdżających powozem, ale nie dryblasą, on wciąż musiał tu być, co potwierdzały rozchodzące się po domu dźwięki. Poza tym mógł tu być ktoś jeszcze, to, że wcześniej miała styczność tylko z tą trójką, nie oznaczało, że nie mieszkało tu znacznie więcej osób. Tak więc wejście i wyjście z jakiegokolwiek pomieszczenia przyprawiało ją o palpację serca. Miała wrażenie, iż za każdą zasłoną, meblem, drzwiami, czy też w ciemnym kącie czai się ktoś, kto niechybnie chwyci ją w swoje ramiona.

Najgorszy był upływający czas i świadomość, że niedługo jej oprawcy mogą wrócić do domu, a wtedy szansa na ucieczkę zmniejszyłaby się do zera. Mogli pojawić się za pięć minut, dziesięć, a może za godzinę, ale Betty z każdą sekundą czuła, że będą zaraz. Dlatego przy każdej nadarzającej się okazji zerknęła przez okno, wypatrując znajomych sylwetek. Podejrzanie wydawało się uzasadnione, ale przez to nie mogła się skupić na niczym innym jak wypatrywanie, a czas płynął nieubłaganie. Słońce zaszło, a ona nie była nawet o krok bliżej opuszczenia tej przeklętej posiadłości. Sprawdziła oba piętra, wszędzie spotykała się z tym samym problemem, klamką będącą atrapą lub okratowanym oknem. Nie pozostało nic innego jak zejście na dół i spróbowanie swojej szansy w otwarciu któryś z drzwi. Wyrzała za balustradę, lustrując, znajdujący się w dole korytarz. Sytuacja wyglądała dość obiecująco, dlatego nieśmiało postawiła stopę na pierwszym stopniu. Zamarła na chwilę nasłuchując odgłosów. Coś zatrzeszczało, może

sofa lub krzesło, ale dźwięk pochodził z drugiego końca domu. Odczekała kilka sekund i wykonała kolejne dwa kroki, a po nich następne. Stała na dole schodów. Spojrzała w lewo, w prawo i zamarła w bezruchu, czując jak lodowaty dreszcz, zamraża jej ciało, zamieniając w bryłę lodu.

– Więc tu jesteś – powiedział mężczyzna z założonymi na piersiach rękami. Stał spokojnie oparty o ścianę, sprawiając wrażenie, jakby się świetnie bawił całą tą sytuacją. – Czułem, że nie uciekłaś, musiałaś gdzieś się schować, ale nie byłem pewien gdzie. Cóż, najlepsze są proste rozwiązania. Jeśli polujesz, zazwyczaj podążasz tropem zwierzyny, ale jeśli ją spłoszysz, czasem lepszym pomysłem jest się zacziąć, niż gnać za nią. Poczekaj, aż zwierzę samo przyjdzie do wodopoju, a wtedy... – zrobił gwałtowny ruch w jej stronę, wyciągając ręce przed siebie.

Dziewczynka odskoczyła do tyłu, wbiegając z krzykiem na schody. Wpadając na piętro, poczuła szarpnięcie, jakby o coś zahaczyła i przewróciła się na wyłożoną czerwonym chodnikiem podłogę. Przerazona poderwała się na nogi, starając uwolnić skrawek odzienia, który zaplątał się w misternie rzeźbioną barierkę.

– Zaczekaj, gdzie tak biegniesz?

Betty szarpnęła rozpaczliwie kapotę, rozrywając przy tym kieszeń, uwolniła się, ale ukryte w niej perły rozsypały się beztrudnie po podłodze. Nie zwracając na nie uwagi, pobiegła przed siebie, kryjąc się za załomem korytarza.

– Stój i tak cię znajdę, ale jeśli zaraz przyjdiesz, to obiecuję, że twoje spotkanie z bratem będzie bezbolesne – spojrzał na spadającą po schodach perłę, chwycił ją i uważnie obejrzał. – Można się było tego spodziewać, ulice są pełne złodziei – powiódł wzrokiem po dywanie, wyłapując wzrokiem kolejne perły, które rozrzucone w swobodny szlak znikwały za winklem. – Wiesz, co się robi z tymi, którzy zabierają czyjąś własność – zrobił krok perłowym szlakiem. – Obcina się im ręce.

\*\*\*

Stoliki, kilka foteli oraz dwie kanapy w kolorze głębokiej zieleni, ustawione na bordowym dywanie, stanowiły wystrój głównej sali klubu gentlemana. Wszystko zostało tak rozlokowane, by stwarzało kilka enklaw, umożliwiających dyskretne rozmowy. Elvin od kilku lat był członkiem tego klubu, co zresztą lubił podkreślać przy każdej nadarzającej się okazji.

Założył nogę na nogę, złożył trzymaną przed sobą gazetę, by przełożyć stronę i ponownie ją rozpostarł. Przebiegł wzrokiem po kolejnych szpaltach,

wyławując nieistotne dla niego informacje z Indii. Jak na razie nic nie wskazywało na to, aby ktoś zainteresował się zniknięciem Briar, a to oznaczało, że w domu Priców wciąż obowiązywała wersja z ucieczką. Pyknął cygaro i strząsnął popiół do stojącej obok popielniczki. Hmm... Briar, ciekawe, jaka będzie, uległa, czy może narowista – pomyślał, patrząc w dym, unoszący się powoli w stronę stojącej w drewniane belki sufitu. – Dość domysłów – złożył gazetę i przełamał ją na pół.

– To ty? – rzekł siwy wąsaty jegomość. – Pozwolisz, że się dosiądę? – nie czekając na odpowiedź, spoczął w drugim fotelu. – Zza tej papierowej barykady nie sposób było cię dostrzec. Czyżbyś się przed kimś ukrywał?

– Mam nadzieję, że nie ma takiej potrzeby.

– Akurat tego nie byłbym taki pewien.

– Nie rozumiem?

– Cóż, słyszałem, że w końcu dopadłeś starego Fostera.

– Słucham?

– Mówię o lesie w Farfax. Nie jeden ostrzył sobie na niego zęby, ale udało się właśnie tobie. Jak tego dokonałeś?

– Ach to. Po prostu miałem szczęście.

– Nie byłbym tego taki pewien. Znam Alberta od lat i mogę śmiało powiedzieć, że świat nie widział większego uparciucha. Jeśli Albert mówi nie, to tak zostanie, a jednak tobie się udało. Jak to zrobiłeś?

– Cóż – pociągnął cygaro. – Wystarczy użyć odpowiednich argumentów.

– Jakich to, jeśli można wiedzieć?

– Hmm... przekonujących – odparł, podnosząc się z fotela. – A teraz proszę mi wybaczyć, ale mam umówione spotkanie. Sam pan rozumie. Damie nie można pozwolić czekać.

– W rzeczy samej. Życzę miłego wieczoru.

– Z pewnością taki będzie.

Latarnie rozświetlały nikłym blaskiem szybko zapadający zmierzch. Elvin postawił kołnierz płaszcza i żwawym krokiem zszedł po schodkach wprost na przechodzącą chodnikiem młodą kobietę.

– Najmocniej panią przepraszam.

– To moja wina – odrzekł odchodząc. Zrobiła trzy kroki, poślizgnęła się i upadła na trotuar.

– Nic się pani nie stało?

– Nie – odparła, próbując wstać. – Czy mógłby pan... – uniosła rękę.

– Ależ oczywiście – chwycił ją za dłoń i łokieć, ciągnąc ku górze.

– Auu..., moja noga – jęknęła, stając na prawej stopie. – Chyba skręciłam kostkę, auu... – posłała Elwinowi błagalne spojrzenie. – Czy byłoby dla pana

kłopotem, gdyby pomógł mi pan dotrzeć do domu? Nie zajmę panu dużo czasu. Mieszkam nieopodal, to dosłownie minutka.

– Z miłą chęcią pani...

– Panno Lorabelle.

– Oczywiście. Proszę się wesprzeć na moim ramieniu.

– Dziękuję, to bardzo miło z pana strony – przeszli kilkanaście jardów. – Proszę tu skręcić – wskazała wąską uliczkę pomiędzy dwiema kamienicami.

Zawahał się, widząc ciemny zaułek.

– Czy, to aby na pewno dobra droga?

– Jeśli się pan obawia szczurów, dalej pójdę sama, ale to tylko kawałek. Aaa... – wyrwało jej się z ust, gdy tylko puściła ramię Elvina.

– Ależ to nie dopuszczalne, żeby zostawić tak nadobną pannę w potrzebie – złapał ją szybko za rękę.

– Dziękuję.

Wkroczyli w obskurną uliczkę. Kilka kroków dalej Lorabelle zatrzymała, się spoglądając w czerń przed sobą.

– To tutaj – odsunęła się od swojego wybawcy.

– Tu, ale tu nic nie ma?

– Nic podobnego, jest tu wszystko, czego mi potrzeba – zrobiła krok do tyłu.

– Pani chodzi? – zdziwił się, marszcząc brew.

– To prawdziwy cud – wtrącił Orris, wynurzając się z mroku tuż za plecami dziewczyny.

– Co to wszystko ma znaczyć? – rzucił Elvin.

– A jak ci się wydaje? – zakpił Orris, rozsuwając, trzymaną w ręku laskę. Wyciągnął ostrze, przykładając jego szpic do szyi Elvina.

– Chcecie pieniądze? Macie, bierzcie wszystko – wyjął z płaszcza skórzany portfel, wysuwając przed siebie drżącą rękę.

– Weźmiemy to na dobry początek. Powiedzmy, że nazwiemy to zaliczką – odparła Lorabelle, wysuwając ze środka plik banknotów.

– Nic więcej nie mam. Przysięgam.

– Ależ masz, ty i twój wspólnik.

– Nie rozumiem.

– Z chęcią ci wyjaśnię. Była ciemna noc. Podjechałeś powozem przed prowadzącą do parku bramę – wpatrywała się nieprzerwanie w niebieskie oczy Elvina. – Widzę, że coś sobie przypominasz. Myśleliście, że nikt was nie widział, a jednak. Ty i drugi goguś wciągnęliście nieprzytomną dziewczynę do powozu.

– To..., to jakaś pomyłka.

– Czyżby? Orris.

Orris nacisnął ostrzem gardło. Popychając Elvina na ścianę, po czym pociągnął je ku górze, tworząc czerwoną kreskę na gładko ogolonej brodzie.

– Ona zemdląca, tylko jej pomogliśmy – jęknął.

– Zemdląca po tym, jak twój amant zdzielił ją w twarz – błyskawicznie wyjęła nóż, przystawiając go Elwinowi do oka. – Wiem, co widziałam, a ty wiesz, co zrobiliście i nie ma tu miejsca na dyskusję, jednak mam dla was dobrą wiadomość. Nic nas nie obchodzi, co się z nią stało. Możecie nawet ją zjeść. Prawda? – ostatnie słowo skierowała do kompana, który skinął potakująco głową. – Wszystko pozostanie w naszym skromnym gronie, jeśli zapłacicie za nasze milczenie. Co ty na to?

– Do... dobrze porozmawiam z nim.

– Z kim porozmawiasz? – przesunęła ostrze pod okiem, zupełnie jakby chciała wyłupić nim gałkę oczną.

– Z Garnetem.

– Garnetem? – nadstawiła teatralnie ucho.

– Griffith'sem – dodał Elvin w pośpiechu.

– Świetnie, zatem poinformuj tego gogusia, że interesuje nas taki plik, tego, co nam przed chwilą podarowałaś – rozwarła kciuk i palec wskazujący, obrazując w ten sposób objętość. – Prawda? – znów spojrzała na kompana.

– Wolałbym tyle – tym razem, to Orris rozwarł swoje potężne paluchy.

– Hmm, niech będzie. W końcu nie będziemy się kłócić o takie szczegóły – powiodła ostrzem po twarzy Elvina. – Tak czy inaczej, jutro się widzimy – zdjęła cylinder z jego głowy, podając go Orrisowi. – Prezent dla ciebie.

– Dzięki.

Uśmiechnęła się nieznacznie, szybkim ruchem wsunęła ostrze w nos Elvina i szarpnęła je, rozcinając skórę. Krew popłynęła strumieniem na usta, znacząc je czerwoną strugą.

– Auu... – zaskomlał.

– To żebyś nie zapomniał o naszym spotkaniu. Pamiętaj. Jutro.

Orris cofnął ostrze, które podczas rozmowy żłobiło bruzdę na szyi Elvina i zniknęli w mroku.

\*\*\*

Od paru minut Mildreth krążyła po pokoju, przez cały czas mocno gestykulując.

– Jesteś pewna, że mówił o nim? – Abigaile podążyła wzrokiem za koleżanką.

– Tak, pytałam Magnusa kilkakrotnie. Rozpoznał pana Warda, zresztą przy stole był tylko twój tata, Garnet i pan Green. Trudno się pomylić. Mówił, że to z nim wsiadł do karety, później widział go w jakimś zaułku, kiedy dawał pieniądze jakimś chłopcom, a oni z nim pojechali. No i jeszcze tamten mężczyzna miał laskę ze srebrną głową jakiegoś zwierzaka. Sprawdziłam, pan Ward ma taką samą, no i ta pani też go poznała, widziała, jak w nocy zabił cztery osoby, w dodatku trzech policjantów. Nigdy nie widziałam nikogo tak wystraszonego, ona się cała trzęsa.

– I co chcesz zrobić?

– Ja, a co ja mogę zrobić? Rozmawiałam z Hortense, ale nie jestem pewna czy nam uwierzyła. Mówi, że zna pana Warda i nie wierzy, żeby mógł coś takiego zrobić, a nikt inny nie uwierzy Magnusowi, a tamta pani... nawet nie wiem, gdzie jej szukać.

– A gdybyśmy same to sprawdziły?

– My? – gwałtownie się zatrzymała.

– Czemu nie?

– Chyba żartujesz, na samą myśl kolana mi dygoczą. Zresztą co my same możemy zrobić?

– Możemy sprawdzić, czy Magnus nie zmyśla.

– Przecież go już o to pytałam. Jest przekonany, że to major Ward.

– Wiem, ale możemy same tam pójść. Zobaczymy, czy w piwnicy naprawdę stoi kamienny stół i wtedy będziemy miały pewność.

– I co potem?

– Hmm... powiem o wszystkim Hortense. Mnie na pewno uwierzy.

– Ja... – biła się z myślami. – Ja nie mogę, panna Bennett na pewno zobaczy, że mnie nie ma. Jest teraz dużo pracy i...

– To pójdę sama – przerwała, uśmiechając się figlarnie.

– Przecież sama nie dasz rady.

– A właśnie, że dam. W nocy uwolniłam tę panią, którą Garnet przywiązał do łóżka i zrobiłam to zupełnie sama – odparła z dumą.

– Co?! Oszukujesz.

– Wcale nie. Była zamknięta w celi pod stajnią, ale jak mi nie wierzysz, spytaj Hortense.

– Jak to, on ją więził? – usiadła na łóżku obok Abigail.

– Tak była przykuta łańcuchem – Mildreth zakryła ręką usta, tłumiąc cichy jęk. – Miałam iść z Hortense, ale nie mogłam się doczekać, więc poszłam sama.

– Ale... – dotknęła ramion Abigail, jakby chciała sprawdzić, czy nic się jej nie stało. – Sama?

– Tak, to było łatwe – nonszalancki uśmiech zagościł na jej twarzy. Wołała przemilczeć fakt, iż przez cały czas dygotała ze strachu. – Chodź, będzie fajnie – zrobiła maślane oczy. – Strasznie mi się tu nudzi.

– A jeśli nas złapią?

– Kto? Przecież właśnie teraz siedzą w jadalni. Lepsza okazja może nam się już nie trafić. Znam dom Wardów, kiedyś tam byłam, więc nie zajmie nam to dużo czasu. Brittanica nawet nie zauważy, że wyszłaś.

– A jeżeli ktoś tam będzie? No wiesz, służba albo ktoś inny?

– To szybko wrócimy.

– No nie wiem.

– Skoro nie chcesz mi pomóc, trudno, ale nie sądziłam, że zostawisz mnie samą... myślałam, że jesteś moją przyjaciółką – podniosła się z łóżka, zmierzając w stronę drzwi.

– Zaczekaj – powiedziała Mildreth, zrywając się na równe nogi. – Pójdę z tobą, bo jakby ci się coś stało, to bym sobie tego nie darowała.

– Dziękuję! – zawołała, ściskając ją w pól. – Wiedziałam, że mogę na ciebie liczyć.

Mildreth zamknęła oczy i głośno westchnęła, starając się wykrzesać z siebie, chociaż krztę odwagi.

\*\*\*

Kiedy zobaczył rozsypane perły, myślał, że wszystko pójdzie szybko i sprawnie. Wystarczyło jedynie podążać ich śladem i tak było, dopóki trop się nie urwał, w drugim z połączonych ze sobą pokojów. Dom był duży, ale znowu nie taki wielki, aby nie mógł jej znaleźć. Zwłaszcza że musiała być w pobliżu. Pochylając się, rozstawił szeroko ręce, starając się w ten sposób zagrozić jak największą przestrzeń. Mocno się ściemniło, więc wyostrzył wzrok, próbując odróżnić w mroku kształty poszczególnych mebli. Komoda i dwa krzesła musiała tu gdzieś być.

– Wyjdź, nie masz już gdzie się schować – posuwał się okrakiem, wymachując na boki długimi rękami. Przesunął na bok jedno z krzesel, zbliżając się do komody. – Wyłaź.

W tym momencie z ciemnego kąta wyskoczyła dziewczynka, zanurkowała pomiędzy tyczkowymi nogami swojego prześladowcy i wybiegła z pokoju.

– Ty mała... i tak nie uciekniesz! – krzyknął w ciemność i wybiegł tuż za nią. Jednak wystarczyły dwa kroki, by nogi odmówiły mu posłuszeństwa i stracił grunt, z hukiem wylądował na plecach. – Aaa... – jęknął, pocierając



obolałą nerkę. Przesunął dłonią po podłodze, wyjmując coś spod poślądka. – No tak, cholerne perły – cisnął małą kulkę o ścianę. Wstał ociężale, rozmasowując grzbiet. Wszedł do pokoju, zapalił stojącą na stole świecę i chwyciwszy ją, wrócił na korytarz. Teraz znacznie lepiej – pomyślał, wodząc wzrokiem po oświetlonym pomieszczeniu.

Betty przebiegła na drugi koniec korytarza. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie pobiec na drugie piętro, ale minęła już schody i teraz bała się do nich wrócić. W końcu znajdowały się w połowie drogi między nią a załomem korytarza, zza którego właśnie ujrzała delikatny blask świecy. Nie pozostało nic innego jak znaleźć jakąś kryjówkę. Właśnie rozważała przewagę zasłon nad sofą, gdy wejście do pokoju wypełniło się białą, wyraźnie odcinającą się na tle ciemnego pokoju substancją. Stała jak zamurowana, patrząc, na wynurzające się z niej postacie.

Pierwsza wyszła Abigail, trzymając wciąż jedną rękę we mgle, prawie wpadając na równie jak ona odębiałą dziewczynkę. Po chwili wynurzyła się Mildreth i tego dla Betty już było za wiele. Zemdlała wydając z siebie ciche westchnienie.

– Co teraz? – spytała Mildreth, wpadając na stojącą przed nią Abigail.

– Eee...

– Kto to? – spojrzała na leżącą u ich stóp dziewczynkę.

– Nie wiem – potrząsnęła głową.

– Co jej się stało?

– Chyba zemdlą jak mnie zobaczyła – spojrzała z wytrzeszczonymi oczami na Mildreth.

– Co robimy?

Abigail wzruszyła ramionami, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

– Gdzie jesteś? – rozległ się dochodzący z mroku męski głos.

– Słyszałaś? – Mildreth szarpnęła przyjaciółkę za ramię. – Mówiłaś, że nikogo nie będzie – wpadła w panikę.

– Nie chowaj się po kątach, drugi raz już się na to nie nabiorę – kolejne słowa dobiegły z głębi domu.

Mildreth podeszła do otwartych drzwi wystawiając ostrożnie głowę na zewnątrz. Kilkanaście jardów dalej w blasku świecy szedł wysoki mężczyzna, rozglądając się uważnie na boki.

– Ktoś nadchodzi, lepiej stąd uciekajmy – szepnęła przejęta.

Abigail stanęła obok, patrząc we wskazanym kierunku.

– Nie znam go, ale nie wygląda sympatycznie.

– No wyjdź, to nie będzie bolało – zawołał słodkim tonem. Otworzył drzwi od pokoju znajdującego się zaledwie dwa pomieszczenia dalej i

wszedł do środka.

– Teraz – powiedziała Abigail. – Weź ją ze sobą.

– Co?

– Ja jej nie uniosę.

– Ale nie wiemy, kto to jest, a jeśli...

– Przecież on jej szuka, a nie wygląda na kogoś, kto ma dobre zamiary – złapała ją za ramię. – Przecież nie możemy jej tak zostawić. Poza tym i tak zemdleła, więc nic nie będzie pamiętać.

Mildreth bez wysiłku podniosła leżącą na podłodze chudzinę. Abigail przeszła przez próg i w tym momencie ujrzała wychodzącego z pokoju mężczyznę. Ich wzrok się zetknął i szybko zrobiła krok do tyłu. Złapała Mildreth za rękę i zanurzyły się we mgłę.

– Mam cię! – zawołał Ranjit, sadząc potężne susy. Zastawił wielkim ciałem wejście do pokoju, oświetlając świecą jego wnętrze. – Przykro mi, ale tu się nie schowasz – zamknął drzwi za sobą. Obszedł fotel, sofę, zajrzał za komody i stanął zdezorientowany. Musiała się skryć za zasłonami. Zrobił dwa kroki i wymierzył cios w przewiązane sznurem story, które załopotwały, opadając na swoje miejsce. Wściekły przesunął je z rozmachem po karniszu. To niemożliwe. Jeszcze raz sprawdził wszystkie kąty, choć z miejsca, w którym stał, widział, że jest sam w pokoju. Szarpnął klamką od okna, upewniając się, że jest zamknięte, mimo to wyjrzał na zewnątrz. Płatki śniegu spadały wolno na ulicę, skrywając bruk pod świeżym białym puchem.

\*\*\*

Najchętniej już dzisiaj wyjechałby do Blackwood, ale obiecał matce, że dzisiejszą noc spędzi w domu i jeśli nie chciał odciąć się od funduszy, musiał dotrzymać danego słowa. Prawie całą poprzednią noc nie zmrużył oka, a na pewno od momentu, w którym zobaczył Abigail. Wiedział, że to nie był sen, a myśl o tym sprawiała, że po plecach przebiegały mu ciarki. Teraz był pewien, że w nocy, kiedy dobierał się w kuchni do Mildreth, widział swoją siostrę. Czyżby wróciła z za grobu, aby się na nim zemścić?

Opróżnił, już nie wiadomo, którą szklaneczkę whisky, czując, jak pokój zaczyna powoli wirować. Przy stole prawie nic nie jadł, pijąc za to wszystko, co wpadło mu pod rękę. Teraz gdy wszyscy goście wyszli, skupił się na butelce szkockiej, starając się jak najbardziej odwlec moment, w którym będzie musiał udać się do swojego pokoju na spoczynek. Podniósł flaszkę, aby napełnić kieliszek, ale widząc pod cienką warstwą alkoholu

dno, rozmyślił się i wlał zawartość butelki wprost do gardła. Wsparł się na podłokietniku i z wysiłkiem dźwignął na nogi. Podpierając ściany, chwiejnym krokiem dotarł na piętro, minął pokój Waltera i widząc otwarte drzwi, zajrzał do środka, był pusty. – Kolejny wypad do palarni, tatusiu – burknął pod nosem, beknął i już miał odchodzić, kiedy do głowy wpadła mu światła myśl. – Może prześpi się tu? Ostatniej nocy Abigail złożyła mu wizytę, więc istniało spore prawdopodobieństwo, iż dzisiaj ją powtórzy. Co prawda dla ducha nie miało znaczenia gdzie spał, jeśli miał go znaleźć, to i tak znajdzie. W końcu potrafią przechodzić przez ściany. Jednak dla niego kolejna noc w tamtym pokoju stanowiła nie lada wyzwanie. Poza tym każdy sposób na zminimalizowanie możliwości spotkania z efemeryczną postacią siostry był pokusą nie do odrzucenia. Doczłapał się do łóżka, resztką sił rzucił ubranie i legł bez czucia w pachnącej pościeli.

\*\*\*

Stały patrząc na leżącą w pokoju Abigail Betty, ulokowały ją w łóżku, zastanawiając się co dalej.

– Trzeba ją obudzić – powiedziała Abigail.

– To chyba nie jest najlepszy pomysł – odparła Hortense szeptem, aby nie zbudzić dziewczynki. – Ale nie możemy też jej tak zostawić.

– Dlaczego, przecież ja tu mieszkam i nic mi nie jest? – jęknęła Abigail.

– Po pierwsze, przypomnij sobie, co się stało, gdy ciebie zobaczyła. Tylko wyszłaś z mgły, a ona od razu zemdląła. Nie jestem pewna, czy jest gotowa na poznanie prawdy. Jeśli jeszcze raz zobaczy tę sztuczkę, gotowa nam zejść na serce. Będziemy miały duży problem, aby jej to jakoś wytłumaczyć... Zresztą pewnie ktoś na nią czeka i teraz się zamartwia.

– A jeśli nikogo nie ma?

– Wiem, że chciałabyś jej pomóc, ale jest to niemożliwe. Wystarczy, że zabrałyście ją z tamtego domu. Zrozum, jeśli każdemu będziesz mówiła, jak te przejścia działają, to wtedy przestaną już być bezpieczne. W dodatku mogą zostać wykorzystane przez ludzi, którzy będą chcieli ich użyć do niecnym celów, a wierz mi, że takich osobników jest znacznie więcej, niż może ci się wydawać. Nie wspominając twojego brata, czy też majora Warda, a jego nawet ja nie podejrzewałam.

– Co zatem zrobimy?

– Najlepiej, jeśli przeniosę ją na drugą stronę teraz, póki jeszcze śpi.

– A co z majorem Wardem? Jeśli porwał Magnusa i ją – wskazała głową śpiącą dziewczynkę. – To może zrobić to samo z innymi.

- Obawiam się, że w tym temacie niewiele wskóramy.
- Jak to? Przecież tak nie można robić. Powinien zostać ukarany... trzeba komuś powiedzieć..., chodźmy na policję.
- Wątpię, żeby ktoś nam uwierzył. Spencer Ward jest szanowanym obywatelem, a jego słowo jest w tym mieście jak prawo. Nawet gdybyśmy to zgłosiły, to co im powiemy? Ja nic nie widziałam, ty oficjalnie nie żyjesz, a dziewczynce nikt nie uwierzy. Przecież ona ma najwyżej siedem lat. Zostaje Mildreth, ale nawet nie potrafimy wytłumaczyć, w jaki sposób znalazła się w tym domu.
- A Magnus i ta pani?
- Bezdomny chłopiec przeciw majorowi – pokiwała głową. – To nie może się udać, a tylko zaszkodzi Magnusowi.
- Więc co uczynimy?
- Trzeba znaleźć jakieś dowody. Tylko to może nam pomóc. Teraz muszę już pędzić, dzisiejszy dzień to kompletne wariactwo – podniosła śpiącą Betty i wypowiadając pod nosem wyliczankę, przeszła przez próg.

\*\*\*

Leżała na wznak wpatrując się w rozległy zaciek na suficie, który jeszcze wczoraj wyglądał jak zwykła plama, ale dzisiejszej nocy Brittanica widziała w nim byka. Wielkiego, muskularnego byka. Jurnego, emanującego siłą i mającego władzę nad stadem. Byka, któremu nikt nie potrafił się oprzeć, tak jak nikt nie potrafił się oprzeć... Walterowi. Przekręciła się na bok, starając się odgonić natarczywe myśli. Zawiesiła spojrzenie na stoliku. Stoliku stabilnym, mocnym. Stoliku, na którym mogła się wesprzeć, gdy poczuła słabość. Stoliku o pięknej smukłej linii i mocnych nogach jak... nogi Waltera. Westchnęła, przekręcając się na drugi bok, tym razem widziała gołą ścianę, na której majaczyła niewyraźna smuga cienia. Kształtem przypominała owal, przywodzący na myśl namalowaną z profilu twarz. Twarz delikatną, słodką, a jednocześnie męską i drapieżną. Zupełnie jak twarz... Waltera. Wpatrywała się w to złudzenie, nie mogąc oderwać od niego wzroku, wreszcie wstała, odrzucając kołdrę na bok. Zapaliła świecę, zdjęła z siebie koszulę nocną i założyła drugą, świeżą, prosto z szafy. Zapięła guziki, lecz po namyśle zmieniła zdanie, rozpinając trzy górne. Jeśli nie teraz, to kiedy? – pomyślała, odpinając kolejny guzik. Widziała jak Walter podczas obiadu, rzucał w jej kierunku ukradkowe spojrzenia, a ona nie pozostawała mu dłużna, posyłając ledwo zauważalne uśmiechy. Tak, to była z jego strony wyraźna zachęta. Kto jak kto, ale ona potrafiła odczytać,

to co zostało ukryte między wierszami. Zgasiła świecę i wyszła z pokoju. Po cichu przemknęła korytarzem, skradając się jak podłotek do sypialni pana Griffith'sa.

Nacisnęła klamkę, pchnęła drzwi, były otwarte i już wiedziała, że na nią czeka. Zasunięte story spowijały pokój w mroku, pozostawiając otwartą bramę dla wyobraźni. Widziała kontur jego ciała, podeszła do łóżka, leżał twarzą do okna. Nie tracąc czasu, zsunęła koszulę, która opadła zwiewnie na podłogę i unosząc pierzynę, wślizgnęła się do łóżka. Spał lekko pochrapując, przyłgnęła do niego ciałem jak dwie łyżeczki w komplecie sztućców. Wsunęła rękę pod jego koszulę, wplatając palce w porastające klatkę włosy. Chrząknął, przekręcając się na plecy, a z jego ust wydobył się odór alkoholu. Szybko się cofnęła, aby nie zostać przygniecioną, wpełzła na niego unosząc mu koszulę do góry. Chciała wejrzeć w jego oczy, a widziała jedynie zarys nosa. Wodząc palcami po jego szczupłym ciele, powędrowała dłonią w dół. Nie sądziła, że ciało Waltera zachowało taką jędrność i ta niespodzianka jeszcze bardziej wzmogła jej pożądanie.

– Mmm... – mruknął.

Brittanica zachęcona tą reakcją spotęgowała swe działania, wprawiając w ruch język. Po chwili została nagrodzona dłońmi, które brutalnie, a jednak zmysłowo wbiły palce w jej plecy.

– Tak – jęknęła z rozkoszy, gryząc tors swojego kochanka.

## XXI

Pulsujący ból głowy w towarzystwie nieziemskiej suchości w ustach nie pozwolił na długi sen. Garnet przesunął język, który miał strukturę wysuszonego plastra wędliny. Co za noc – przemknęło mu przez myśl. Mało co z niej pamiętał, ale jednego był pewien, w końcu do niego przyszła, a dowód jego nieodpartego uroku leżał tuż obok. Przekręcił się na bok, rozkoszując się swą zdobyczą. Zwabienie jej do łóżka było jedynie kwestią czasu. Krnąbrna dziewczyna, cały czas wiedział, że tylko się z nim drażniła. Naiwna Mildreth. W półmroku odgarnął włosy z jej czoła i odskoczył jak oparzony, prawie spadając z łóżka. To nie może być prawdą – załopotał powiekami, starając się przegnać ten koszmarny obraz sprzed oczu.

Wciąż śpiąca Brittanica, wyciągnęła rękę przez sen, szukając po omacku swojego kochanka. Garnet stoczył się na podłogę, czując wzbierające mdłości, nie zważając na to, iż jest kompletnie nagi, wybiegł do łazienki. Ledwie przekroczył jej próg, a zawartość jego żołądka wylądowała na podłodze. Doczłapał do umywalki i przemył twarz. Brittanica? To jakiś żart – patrzył w lustro na swoją twarz. – Przecież ten suchar ma ze sto lat – zrobiło mu się niedobrze i zwrócił kolację do umywalki. Wytarł usta ręcznikiem, ominął łukiem, stworzoną przez siebie lepka kałużę, udając się chwiejnym krokiem do swojego pokoju. Założył pierwsze z brzegu ubranie i po pięciu minutach był już na ulicy.

\*\*\*

Coś zagruchotało i w oddali trzasnęły drzwi. Betty ziewnęła i otworzyła oczy, leżała w jakiejś komórce na stercie siana, obok zwałów przygotowanego na opał drewna. Przez szpary w deskach widziała poranne promienie słońca i śnieg. Mimo tak lichego lokum nie czuła dojmującego zimna, spróbowała się podrapać, ale ręce zdawały się skrępowane. Przeraziła się, przypominając sobie ostatnią noc. Czyżby znowu ją złapali? Spojrzała w dół i odetchnęła z ulgą. To nie więzy, lecz gruby koc, którym została szczelnie opatulona, zupełnie jakby była oseskiem. Wygramoliła się z pieleszy i podeszła do drzwi, bez trudu je otworzyła. Nikt jej tu nie trzymał, spojrzała na swoje leże, przy kocu leżało pokaźnych rozmiarów zawiniątko. Rozwiązała supeł, chleb, kiełbasa, ser. Nie pamiętała, kiedy

ostatnio miała tyle jedzenia. Chwyciła chleb, odgryzając okazały kawałek, gryzła łapczywie, dopychając usta serem. Co się stało? – połykała śniadanie, analizując w myślach wczorajsze wydarzenia. Pamiętała ganiającego ją po domu mężczyznę, już ją miał, ale poślizgnął się na perlach. Zamarła chwytając się za kieszeń od kapoty, była pusta, wsadziła rękę do drugiej, nic, wywinęła ją na zewnątrz, ani jednego kamyka. Hmm... trudno, przynajmniej była wolna – poprawiła koc, z fałd pledu wyleciał pakunek, odłożyła jedzenie i ostrożnie go rozwinęła. Najpierw błysnęła brosza, później pierścień i oczom jej ukazała się kupka biżuterii, naszyjnik i pierścienie. Wszystkie rzeczy, które wczoraj wyjęła ze szkatulek. Szeroki uśmiech rozorał jej twarz, ugryzła kielbasę, nie mogąc oderwać wzroku od swego skarbu. Pochłaniała jedzenie, przez cały czas ukazując światu rząd lekko poźółkłych ząbków.

\*\*\*

W drodze do Blackwood dwukrotnie musiał zsiąść z konia, czując nawrót porannych perturbacji żołądkowych. Wciąż nie mógł pojąć, w jaki sposób Brittanica znalazła się w jego łóżku. Pamiętał ogólny zarys wczorajszego wieczoru, ale wszystkie szczegóły zostały skutecznie wypłukane przez przepływającą tej nocy rzekę whisky. Znał tylko jedno lekarstwo, które mogło dać mu ukojenie i właśnie zamierzał je zażyć. Zeskoczył z konia, wprowadził kasztana do stajni, po czym uniósł umieszczoną w podłodze klapę. Sięgnął do kieszeni po klucze do celi, jedna, druga, pusta. Nerwowo oklepał ubranie. Tylko nie to. Ze złością szarpnął klamkę i o dziwo drzwi ustąpiły. Podszedł do stołu, zapalił świece, zabrał leżący obok klucz do kajdan. Odpiął łańcuch i bez ceregieli poderwał do góry leżącą na sienniku Jasmin.

– Aaa... – jęknęła.

– Twój pan do ciebie przyszedł. Wypadałoby go godnie powitać.

– Eee... – wymamrotała nie w pełni świadoma tego, co się wokół niej dzieje.

– Co jest z tobą? – uderzył ją na odlew w twarz. – Chcesz przespać całą wizytę? – poczuł, jak dziewczyna się osuwa. – Hej, co ty robisz, nikt nie nauczył cię kultury? – chwycił ją za ramiona, potrząsając w przód i w tył. Wymierzył kolejne policzki, tym razem zrobił to delikatniej, starając się przywrócić jej świadomość. – Poznajesz mnie?

– Pan..., pan Garnet.

– Tak już lepiej. Jakoś nie widzę, żebyś cieszyła się na moją wizytę.

– Nie – zaprzeczyła ruchem głowy. – Bardzo się cieszę, tylko...

– Tylko nie jesteś gotowa? – zaśmiał się z własnego żartu. – Nie szkodzi, ważne jest, że ja jestem gotów – pociągnął ją do stołu, przestawił świece i pchnął Jasmine na blat. – Nakryto do stołu – rzucił rozbawiony.

Dziewczyna leżała bezwładnie na plecach, nie wykazując żadnych objawów sprzeciwu, najwyraźniej pogodzona ze swoim losem. Garnet podwinął sukienkę, rozrzucając nogi Jasmine na boki, zsuwając jednocześnie swoje spodnie.

– Co się z tobą dzieje? – szarpnął dziewczyną, widząc, jak patrzy w sufit, nie zwracając zupełnie na niego uwagi. Podniósł jej dłoń i puścił, ręka uderzyła bezwładnie w stół. – Będiesz tak teraz leżała? Co ty sobie wyobrażasz, że będę zabawiał się z zimnym trupem? – chwycił ją za uda, przyciągając do siebie. – Już ja cię ożywię ty mała kurwo! – położył dłonie na jej szyi, zaciskając uchwyt. Przez chwilę nic się nie działo, nagle dziewczyna wygięła się w łuk, łapiąc Garneta za rękę, starając się uwolnić z uścisku. – To rozumiem, nie mogłaś tak od razu – rzucił ze śmiechem.

Zabrał jedną rękę, dając jej złapać krótki oddech i ponownie zacisnął chwyt, bawiąc się widocznym na twarzy Jasmine przerażeniem. Dziewczyna poczęła się szarpać, uderzając Garneta w głowę, ale on tylko się uśmiechnął, czując narastającą falę podniecenia i w tym momencie się zachwiał. Coś ciepłego zalało mu oko. Jasmine zamachnęła się ponownie chwyconym przed chwilą świecznikiem, cofnęła ramię, starając się wymierzyć drugi cios. Jednak Garnet był szybszy, wrywając jej lichtarz z ręki.

– Ty wredna suko, żebym nie ja wciąż nadskakiwałaś tym starym capom! – uderzył ją świecznikiem w czoło. – Dzięki mnie wydostałaś się z tego cholernego burdelu! – metalowa podstawa rozorała jej polik. – To ja się tobą zaopiekowałem! – seria ciosów wylądowała na twarzy Jasmine, zamieniając ją w jedną wielką plamę czerwieni. Uderzał w szale, aż padł wycieńczony na przesiąkniętą krwią sukienkę. Leżał tak na martwej dziewczynie, aż w końcu zasnął z wyczerpania.

\*\*\*

Od rana uśmiech nie schodził z oblicza Brittanici, wręcz czuła przeszywający ból w tych nieużywanych od dawna mięśniach twarzy, ale mimo to kąciki ust wciąż nieświadomie wędrowały ku górze. Nawet dzisiejszy uniform odzwierciedlał jej pogodne usposobienie. Zamiast pełnej czarnej kreacji, pozwoliła sobie na lekkie ustępstwo, zakładając czarną suknię z wszytymi na wysokości dekoltu ciemnoszarymi wstawkami. Jak to



miała w zwyczaju, zatrzymała się przed wiszącym w korytarzu lustrem i poprawiła włosy. Tym razem swawolnie rozpięty guzik pod szyją nie stanowił dla niej żadnego problemu. Mechanicznie przesunęła palec po ramie wiszącego na ścianie obrazu, nie patrząc na to, co zebrała, wytarła go o sukienkę. Nucąc coś pod nosem, zerknęła przez otwarte drzwi do salonu.

– Co tam robisz? – spytała kręcącego się obok kominka Magnusa.

– Wybieram popiół, psze pani – stanął na baczność gotów na burę.

Podeszła do kominka, aby zajrzeć do środka.

– No proszę, dobra robota – kiwnęła głową z uznaniem. – Muszę przyznać, że jesteś tu bardzo przydatny – pogłaskała go po głowie.

– Dziękuję psze pani – skłonił się grzecznie.

– I jakie maniery, no, no.

Odwróciła się zwiewnym krokiem, udając się wprost do kuchni. Mildreth właśnie zanurzała zęby w kanapce z dżemem, kiedy Brittanica stanęła tuż za jej plecami.

– Smacznego – powiedziała.

– Dziękuję – szybko przełknęła, prawie nie gryząc. – Zaraz idę do pralni – odsunęła szybko krzesło.

– Zjedź spokojnie – położyła rękę na ramieniu dziewczyny, dając do zrozumienia, żeby nie wstawiała. – Podobno śniadanie to najważniejszy posiłek dnia. Bez niego nie będziesz miała siły pracować – spojrzała na wytrzeszczającą na nią oczy Hortense. – A gdzie jest Daphne?

– Została w łóżku. Powiedziała, że się źle czuje – odparła Mildreth.

– Pewnie się biedaczka przeziębila, zobaczę czy wszystko u niej w porządku. Hortense, byłabyś tak dobra i zrobiła dla niej herbaty? Coś ciepłego na pewno jej pomoże.

– Aha... – kiwnęła głową, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

– Jeszcze raz, smacznego – rzuciła na odchodne, wychodząc z kuchni.

– Widziałaś to? – spytała Hortense, gdy w końcu wyszła z otępienia.

– Tak, panna Bennett jest dzisiaj jakaś dziwna – odparła Mildreth znad kanapki.

– Właśnie, wydaje mi się, że to ona jest dzisiaj chora.

Bennett zapukała do drzwi pokoju Daphne. Poprawiła ubranie, czekając na odpowiedź.

– Kto tam?

– To ja Brittanica, możesz otworzyć?

– Chwileczkę – rozległ się odgłos kroków. – Proszę – odparła, otwierając drzwi.

– Wszystko w porządku?

– Tak – powiedziała Daphne, wskakując do łóżka.  
– Mildreth mówiła, że się źle czujesz.  
– Może wcześniej, ale teraz jest już dobrze.  
– A co się stało, bolała cię głowa, brzuch? – w jej głosie dało się usłyszeć szczerą troskę.  
– Nie, po prostu miałam ochotę sobie dłużej poleżeć.  
– Nie rozumiem, przecież...  
– A czego tu nie rozumieć? – przerwała, moszcząc się w łóżku. – Nie mam ochoty dzisiaj robić i tyle.  
– Słucham? – głos Brittanici przybrał znany ton.  
– Dobrze słyszałaś, dziś mam wolne.  
– Chyba się zapominasz, to ja tu ustalam, kto i kiedy pracuje, a jeśli zaraz nie ruszysz swojego tyłka, to jutro, pojutrze i w ogóle będziesz miała wolne, bo wylecisz stąd na zbity pysk.  
– Pff... – fuknęła lekceważąco. – Nie sądzę.  
– Coś ty powiedziała? Jazda do roboty – szarpnęła kołdrę, pod którą skryła się Daphne.  
– Zostaw, bo porwiesz – pociągnęła ją w swoją stronę.  
– Ty wredna znajdo – zapała się nogą o łóżko, jakby przeciągała linę. Nagle Daphne zwolniła uchwyt i Brittanica tracąc równowagę upadła na podłogę.  
– Ha, ha, ha... twarde lądowanie?  
Bennett z wysiłkiem podniosła się z ziemi, z czerwoną twarzą i miotającymi gromy oczami rzuciła się na Daphne.  
– Wyrzucę cię na zbity pysk! – ryknęła.  
– Madame Clementine tu rządzi, a nie ty.  
– Wyrwę ci te kłaki, mała ladacznico! – wczepiła palce we włosy, ściągając Daphne z łóżka. – Teraz ci, już nie jest do śmiechu? – przeciągnęła ją kilka stóp po podłodze.  
– Sama jesteś ladacznica.  
– Jak śmiesz? – zamachnęła się.  
– To nie ja, śpiam w pokoju pana Waltera.  
Brittanica wstrzymała rękę, puszcżając włosy Daphne.  
– Słucham? – złapała ją za twarz.  
– Ja nie biegam nocą po domu jak wygłodniała suka. Tylko śpię we własnym pokoju, to inni szukają wrażeń, grzejąc się w cudzym łóżku – odtrąciła rękę Brittanici. Wstała, poprawiając włosy.  
– Nie rozumiem, do czego zmierzasz.  
Daphne podniosła kołdrę i wróciła z nią do łóżka.

- Mówię tylko, że ja też zdaję sobie sprawę, co się w tym domu dzieje.
- Nie wiem, o czym mówisz. Mam już tego dość, ubieraj się i jazda do pracy. Chyba nie chcesz, abym porozmawiała o twoim zachowaniu z madame Clementine. Zapewniam cię, że nie będzie zadowolona.
- Pff... – prychnęła, moszcząc się pod kołdrą. – Ja też mogę z nią porozmawiać i myślę, że będzie bardzo zainteresowana tym, co mam do powiedzenia.
- Brittanica zmierzyła służącą wzrokiem, delikatnie przygryzając wargę.
- Zapominasz się...
- Niech pani już lepiej wyjdzie, jestem zmęczona, nie spałam prawie całą noc, zresztą z tego, co wiem nie tylko ja – uśmiechnęła się dwuznacznie. – Dużo osób kręci się po domu, w nocy i nad ranem. Miałam nawet powiedzieć madame Clementine, ale nie chciałam jej budzić. Cóż przecież zawsze mogę to zrobić później – odwróciła się do ściany, zamykając oczy.
- Brittanica zacisnęła pięści, przez chwilę zastanawiała się, co powinna zrobić.
- Tak, lepiej się wyśpij..., widać, że jesteś zmęczona – odwróciła się w progu. – Dzisiaj nie ma wiele pracy, więc nie będziesz potrzebna.
- Niech pani dobrze zamknie drzwi, bo wieje – burknęła Daphne, nie otwierając oczu.

\*\*\*

Rozłożył na podłodze rozcięty po długości stary worek i podszedł do kamiennego ołtarza. Ciało chłopca było już zimne. Mieli go złożyć w ofierze dopiero za dwa dni, ale sytuacja zmusiła ich do szybszego działania. Musieli jak najszybciej udobruchać żądną krwi boginię, a to był jedyny sposób. Bez problemu uniósł zwłoki dzieciaka. Rzucił obcesowo ciało na przygotowane płótno, założył rąbek materiału na truchło i kopnął nogą, zupełnie jakby związał dywan. Teraz mycie – pomyślał Ranjit, odznaczając w pamięci kolejny punkt z listy porządków. Polał ołtarz wodą, grubą szczotką przemył dokładnie blat, usuwając kawałki przyklejonej do kamienia tkanki. Zabarwiona na czerwono ciecz spłynęła wykutymi wokół blatu rowkami, wprost do ustawionego na ziemi wiadra. Kolejne porcje brudnej wody lądowały w wiadrze, do czasu, aż rezultat wydał się satysfakcjonujący. Następne w kolejce były noże z ostrymi, lśniącoymi w świetle pochodni klingami. Wytarł ostrza do sucha, skupiając się na inkrustowanych kamieniami rękojeściach. Przywieźli z Indii trzy rytualne noże, ale jakiś czas temu jeden z nich zaginął i od tego czasu zaczęły się kłopoty. Najpierw

chłopiec, który uciekł wprost z ołtarza, potem bunt dzieciaków, no i na koniec ta dziewczynka. Już ją miał, a ona zniknęła. Zniknęła z pokoju, z którego nie było wyjścia. Najdziwniejsze w tym wszystkim było to, że czym dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej zyskiwał pewność, iż dziewczyna, która uciekła mu między nogami oraz dziewczyna, którą ujrzał wychodzącą z pokoju raptem parę jardów od niego, była zupełnie inną osobą. Mógł się pomylić co do koloru włosów, czy rysów twarzy, w końcu było ciemno, ale na pewno nie mylił się co do wzrostu. Dziewczynka z korytarza była o głowę wyższa od swojej poprzedniczki, więc nie mogła być tą samą osobą, a jeśli nie była uciekinierką, to kim była? Poprawił leżący na stoliku obrus, układając na nim noże w towarzystwie trzech miseczek. – A jeżeli to wszystko było przestrogą, wysłaną przez Kali. Ostrzeżeniem, żeby nie próbowali jej więcej zawieść? Bądź co bądź chłopiec leżał już na ołtarzu, należał już do niej, a oni pozwolili mu uciec. To musiał być znak, tylko siła spoza tego świata mogła tłumaczyć przemianę tej małej, a następnie jej zniknięcie – ustawił wszystko na swoich miejscach. Cofnął się o dwa kroki, aby sprawdzić, czy wszystko zostało przygotowane do kolejnego rytuału. Zadowolony z efektu chwycił zrolowany worek wraz z jego zawartością i zawlókł pod prowadzące na górę schody. Musi tu poleżeć do wieczora, wtedy będzie mógł wynieść go na zewnątrz, pozbywając się ciała w rzece.

\*\*\*

Wysączył ostatnie krople laudanum, zupełnie jakby chciał wyjąć butelkę. Rozczarowany odrzucił ją na bok. Znów czuł rozchodzący się po całej głowie pulsujący ból. Zwiastujący typowy pełen udręki dzień, nastający zawsze po udanej wizycie w palarni opium, a ta skądinąd była udana. Odwiedził stary nowy lokal, usytuowany w pomieszczeniach jeszcze pachnących rzezią, dokonaną na pocziwym Fengu. Życie nie znosi próżni i ta palarnia była tego znamiennym przykładem. Wstał z fotela, kierując się do biurka, aby sprawdzić swoje zapasy. Główna szuflada nie spełniła jego oczekiwań. Co prawda odnalazł w niej mnóstwo rzeczy, ale żadna nie była mu w tej chwili potrzebna tak, jak nowa butelka najlepszego na świecie lekarstwa. Rozczarowany otworzył boczne drzwiczki, zrobił to jedynie dla formalności, gdyż z góry wiedział, co tam znajdzie. Zniechęcony machnął ręką, myśląc nad kolejnym krokiem, mającym przybliżyć go do ukochanego nektaru. O ile dobrze pamiętał, miał coś na półce z książkami, tylko której? Stanął przed regałem, starając się wyłowić wzrokiem swojego Graala.

Dzięki promieniom słonecznym dostrzegł małego zajączka puszczonego ze środkowej półki, zdradzającego miejsce ukrycia flakonu. Pełen nadziei wyjął butelkę. Pusta. Co? Jak to możliwe, po co wkładałbym tam pustą butelkę? Przecież to nie miało sensu – zawiedziony odłożył flaszkę między książki. Ból narastał, paradoksalnie potęgowany myślami o jego uśmierzeniu. – Sypialnia, oczywiście sypialnia – nagle dostał olśnienia, czując się zupełnie jak James Watt, kiedy zorientował się jak usprawnić silnik parowy. Wszedł do pokoju, nie zważając na Mildreth i prężącego się obok niej Magnusa. Otworzył nocną szafkę i już po chwili przechylał świeżo otwartą butelkę laudanum. Łyk był tak duży, że omal się nie zachłysnął. Z westchnieniem ulgi opadł na stojące w pobliżu krzesło. Przymknął oczy, czekając, aż płyn rozejdzie się po całym ciele.

– Czy wszystko w porządku? – w głosie Mildreth dało się wyczuć troskę.

– Tak, tak – uniósł powiekę.

– Może przyjdziemy później?

– Nie ma takiej potrzeby, nie przeszkadzajcie sobie.

– Dobrze... – chrząknęła, dodając sobie odwagi. – Musisz tu odpiąć i wtedy zdejmujesz poszewkę – słowa skierowała do śledzącego każdy jej ruch Magnusa. – Teraz ty.

Chłopiec powtórzył wszystkie czynności na drugiej poduszce.

– To samo robimy z pierzyną. Złap z drugiej strony. Dobrze, a teraz wyciągamy.

Wielka poszwa podążyła śladem małych poszewek, lądując na stercie brudów.

– Teraz prześcieradło – jednym ruchem odsłoniła materac. – I kładziemy nowe – rozwinęła płótno, strząsnęła je tak, by delikatnie opadło na łóżko. – Pamiętaj, aby je podwinąć w ten sposób. Zrób tak samo ze swojej strony.

Chłopiec wykonał wszystko według otrzymanych instrukcji.

– Widzę, że masz talent – rzucił Walter, obserwując rozgrywającą się przed nim scenkę. – Próbowałem to kiedyś zrobić, ale nawet w połowie nie wyszło mi to tak jak tobie.

– Dziękuję psze pana – odparł zmieszany.

– Zazwyczaj zajmowała się tym Daphne – Walter spojrzał na Mildreth.

– Tak proszę pana. Daphne się dzisiaj źle czuje i panna Bennett powiedziała, żebym ja to zrobiła i przy okazji nauczyła Magnusa, jak to się robi, bo może się to kiedyś przydać.

– No tak, słusznie – wstał, wkładając butelkę do kieszeni. – Czy nie zmieniałyście wczoraj pościeli?

– Tak proszę pana.

- Trzeba było zostawić, przecież i tak dziś tu nie spałem.
- Przepraszam, nie wiedziałam, łóżko było rozgrzebane, a pościel poplamiona, więc myślałam...
- Poplamiona?
- Tak, panna Bennett powiedziała, żebym wszystko zmieniła.
- Hmm... – mruknął, wychodząc.

\*\*\*

Stał półnagi pośrodku pokoju, mieniąc się w świetle świec kroplami potu zraszającymi mu ramiona i plecy. Krople ściekały mu leniwie w dół, wijąc tunele wśród kępek włosów porastających bladą klatkę piersiową. Lśniące jeszcze przed dwoma kwadransami włosy Garneta, teraz wyglądały jak mokre strąki, bezwładnie oblepiające mu twarz. Wypuścił głośno powietrze, czując rozkoszne drżenie mięśni. Sięgnął po stojący na stole kieliszek i wychylił resztkę, znajdującej się w nim whisky.

– Mogę? – spytała leżąca na stole Briar.

Popatrzył na nią w milczeniu.

– Chyba zasłużyłam – dodała, posyłając mu uwodzicielski uśmiech.

Spojrzał na zwisający z kostki łańcuch, którym została przykuta do nogi od stołu i bez słowa wyszedł do drugiego pokoju. Po chwili pojawił się z opróżnioną do połowy butelką. Obszedł stół, obserwując przez cały czas leżącą na nim dziewczynę. Zatrzymał się przed jej nogami, rozchylił je na boki i wylał whisky wprost na czerwone pręgi rozciągające się po wewnętrznej stronie ud.

– Aaa... – jęknęła, zaciskając zęby z bólu.

– Tyle ci wystarczy?

– Nie bądź skąpcem – wygięła nagie biodra ku górze.

Garnet nabrał alkoholu do ust i zbryzgał nim krwawiącą ranę na lewym udzie.

– Aaa!

Odstawił butelkę na bok, podszedł do łóżka i podniósł leżący na nim harap.

– Odwracaj się... suko – wysyczał.

Uniósł bat, ale w ostatniej chwili wstrzymał rękę, słysząc dochodzące z korytarza kroki. Odwrócił się i w tym momencie do pokoju wpadł Elvin.

– Miałem nadzieję, że cię tu zastanę. Musimy koniecznie pogadać.

– Jestem teraz zajęty.

– Widzę, ale będzie musiała poczekać – rzucił okiem na dziewczynę.

- Dobra, zaraz przyjdę.
  - Nie ma czasu – chwycił Garneta pod łokieć, wyprowadzając do pokoju obok, następnie szybko zamknął drzwi.
  - Chcesz się czegoś napić? – spytał Garnet, podchodząc do zastawionego kanonadą butelek stolika.
  - Nalej.
  - Co chcesz?
  - Wszystko jedno.
- Chwycił dwa kieliszki z whisky i podał jeden Elwinowi.
- Byłem u ciebie w domu, ale powiedziano mi, że wyjechałeś z samego rana. Coś się stało?
- Zbył pytanie ruchem ręki.
- Więc co może być tak pilnego, że musiałeś mi przerwać te amory? – spytał, rozsiadając się wygodnie w fotelu.
- Elwin wypił duszkiem złocisty płyn i nalał sobie dwa razy większą porcję.
- Oni wiedzą – rzucił.
  - O czym ty u licha mówisz?
  - Wiedzą, że ją porwaliśmy – spojrzał w stronę zamkniętych drzwi.
- Garnet przyjrzał się uważnie koledze i dopiero teraz zauważył, że jego ręce trzęsą się nerwowo. Powodując, że whisky wyglądała jak umieszczona w kieliszku miniaturka wzburzonego morza.
- Kto? Price'owie? Jak się dowiedzieli? – poprawił się nieświadomie w fotelu.
  - Nie mówię o nich tylko o... sam nie wiem o kim... rany, nawet nie wiem, kim oni są.
  - Siadaj i się uspokój – poczekał, aż Elvin przycupnął na skraju fotela. – A teraz powiedź, o co chodzi?
  - Wychodziłem właśnie z klubu, kiedy do mnie podeszła. Przewróciła się, myślałem, że skręciła nogę... zrobiła to specjalnie, wyrachowana dziwka, a potem wyskoczył ten wielki facet. Przystawili mi nóż do gardła – odchylił kołnierzyk, demonstrując ranę. – Powiedzieli, że widzieli nas, jak wrzucaliśmy dziewczynę do powozu.
  - Nas?
  - Tak, ciebie i mnie.
  - Jak to możliwe? Cholera, byłem pewien, że nikogo tam nie ma – przygryzł nerwowo wargę. – Jak ciebie znaleźli? Widziałeś ich wcześniej?
  - Nie, nie wiem.
  - Dobra, trzeba pomyśleć... rozmawiali z Price'ami?
  - Nie, mówili, że będą cicho, jeśli im zapłacimy.

– A niech to, ile?  
– Tyle – rozszerzył kciuk i palec wskazujący.  
– Co to ma znaczyć?  
– Tak pokazali, chcą taki plik pieniędzy – odparł nerwowo i wypił potężny łyk whisky. – Musimy coś zrobić.

– Niby co? Chcesz im zapłacić? Ja nie mam teraz takich pieniędzy.  
– Pieniądze to nie problem – sięgnął za pazuchę, wyjmując stos banknotów. – Ale skąd mam wiedzieć, że jeśli im zapłacę, to nikomu nie powiedzą – opróżnił kieliszek. – Gdyby mój ojciec się o tym dowiedział, z pewnością by mnie wydziedziczył. Nie mam pojęcia co robić.

Garnet wyjął puste naczynie z ręki Elvina, podszedł do stolika i nalał kolejną porcję.

– Widzę tylko jedno rozwiązanie, musimy się upewnić, że nikomu nic nie powiedzą.

– No tak, tylko, jak to zrobić?

Garnet pochylił się nad przyjacielem i podając mu kolejną porcję alkoholu, powiedział:

– Trzeba ich zabić.

– Co? – prawie krzyknął, wylewając część whisky na spodnie. – Chyba żartujesz?

– Ani przez chwilę.

– Nie..., nie..., nie mogę.

– Sam nie wiesz, do czego jesteś zdolny. Widziałem, jak zabawiałeś się z Jasmine i nie zaprzeczaj, sprawiło ci dużo frajdy.

– Co ty wygadujesz, zabicie człowieka, to nie to samo co chłostanie jakiejś dziwki.

– Oczywiście, że nie to samo, to jest znacznie, znacznie lepsze. To jest coś niemal boskiego.

Elvina zamurowało, przez chwilę wpatrywał się w oczy Garneta, zupełnie tak jakby widział go po raz pierwszy w życiu, w końcu wydusił drżącym głosem.

– Powiedziałeś „jest”?

– Tak jak słyszałeś – wykrzywił usta w kpiącym uśmiechu. – Nie strugaj takiego niewiniątka. Widziałem to w twoich oczach, wiem, o czym mówię, bo sam tego doświadczyłem. Zresztą ty też to czujesz. Dobrze wiesz, że wcześniej czy później podczas swoich zabaw zakatowałbyś którąś z dziewczyn na śmierć. Poza tym chyba nie sądzisz, że po tym wszystkim po prostu je wypuścimy?



– Ale... właściwie, czemu nie. To jest myśl – powiedział z nadzieją. – Jeśli teraz wypuścimy Briar, może się wszystko ułożyć. Nie będą mogli nas szantażować, bo nie będzie żadnego porwania.

– Co ty wygadujesz? Przecież ona od razu pójdzie do domu i wszystko wyśpiewa, nie minie doba, jak będziemy siedzieć w więzieniu, czekając na stryczek.

– Nie, nie. Powiemy jej, by nic nie mówiła. Na pewno się zgodzi, musi się zgodzić. Przecież jej pomożemy – wstał i w podnieceniu zaczął krążyć po pokoju.

– Bzdura, ty byś siedział cicho? To absurd. Chcesz zaryzykować i wszystko zrujnować?

– Będzie dobrze. Zapłacimy jej, tak zapłacimy. Przecież mam pieniądze – zamachał plikiem banknotów. – Tak, trzeba ją wypuścić, im szybciej, tym lepiej – powiedział, otwierając łączące oba pokoje drzwi.

– Stój – Garnet chwycił Elvina za ramię.

– Zostaw mnie! – wyrwał się do przodu.

– Nie zrobisz tego!

Elvin gwałtownie się odwrócił, odpychając Garneta.

– Ty... – Garnet potknął się o stojący z tyłu fotel i przeleciał nad nim, uderzając głową o stolik.

– Garnet, Garnet – Elvin pochylił się nad leżącym na podłodze ciałem. – Wszystko... – przerwał, widząc rosnącą plamę krwi. – Przecież mówiłem, żebyś zostawił mnie w spokoju. Czemu nie mogłeś mnie posłuchać? – wpatrywał się przez parę sekund w bledniejącą twarz, czując, jak łzy napływają mu do oczu. Myślał, intensywnie myślał. Wreszcie wstał i ruszył do pokoju obok. Stał nad leżącą na stole Briar. – Jesteś wolna, możesz iść do domu – powiedział, mocując się z żelazną klamrą obejmującą jej nogę.

– A co z nim?

– Nie bój się, już nic ci nie zrobi... zabiłem go – łańcuch z łoskotem upadł na podłogę. Chwycił dziewczynę za rękę, pomagając jej wstać.

– Na pewno nie żyje?

– Tak, nie musisz się już niczego obawiać i zapamiętaj komu, to zawdzięczasz – zmusił się do nikłego uśmiechu.

Briar złapała stojącą na stole butelkę i z rozmachem stłukła ją na głowie Elvina.

– Tak, zapamiętam – powiedziała do siebie, patrząc na osuwające się na dywan ciało.

\*\*\*

Nie pamiętała, kiedy ostatnio tyle czasu spędziła w łóżku, ale to nie miało żadnego znaczenia. Najważniejsze, że jej się to podobało i nie miała dość. Mogłaby tak mitrężyć czas bez żadnych zahamowań, wylegując się w miękkiej pościeli całymi dniami. Madame Clementine to ma dobre życie – pomyślała Daphne, rozkosznie się przeciągając. Wciąż była w koszuli nocnej i nie zamierzała jej dziś z siebie zdejmować, bo niby w jakim celu miałyby to robić. Jak sytuacja będzie wyglądać jutro, to się dopiero okaże. Nawet jeśli trochę się skomplikuje, to poranna mina Brittanici była warta każdej ceny. Właśnie miała zapaść w kolejną drzemkę, kiedy rozległo się ciche pukanie.

– Kto tam? – spytała od niechcienia.

– To ja Walter, czy mogę wejść?

Szybko poprawiła włosy, żałując, że nie ma pod ręką jakiegoś lusterka.

– Tak, proszę – odparła, szczypiąc się naprędce w usta, aby nadać im trochę koloru.

– Słyszałem, że źle się czujesz. Mam nadzieję, że to nic poważnego – powiedział od progu, zamykając za sobą drzwi.

– To nic takiego, w zasadzie to już mi lepiej.

– Bardzo mnie to cieszy – rozejrzał się po pokoju, jakby widział go pierwszy raz w życiu. – Całkiem tu przyjemnie.

– Tak – podciągnęła nogi, starając się przybrać pozycję siedzącą.

– Jak ci się mieszka razem z Mildreth.

– Dziękuję, nie mogę narzekać.

– Tak, to dobra dziewczyna. Hmm..., a co sądzisz o tym chłopcu.

– Jest całkiem miły i pracowity.

– Tak..., zdaje się takim być... Pozwolisz, że spocznę. Dzisiejsza noc dała mi się mocno we znaki – nie czekając na pozwolenie, przysiadł na skraju łóżka.

– Nie wątpię – odparła z sarkazmem. – Panna Bennett, też wyglądała na wykończoną.

– Być może, nie zauważyłem, nie mieliśmy jeszcze okazji się spotkać – położył rękę na pościeli, niby przez przypadek dotykając skrytego pod kołdrą kolana Daphne. – Jest ci wygodnie?

– Tak... Walterze – zamrugła zalotnie.

– Jak ładnie to brzmi w twoich ustach – przesunął dłoń do góry, kierując się ku skrajowi kołdry. – Nie za ciepło ci pod tą kołderką?

– Teraz, przy tobie... jest mi wręcz gorąco – spuściła wzrok, rumieniąc się na zawołanie.

– W takim razie, trzeba koniecznie coś z tym zrobić, w twoim stanie przegrzanie nie jest wskazane – powoli zsunął z niej nakrycie, odsłaniając skryte pod koszulą nocną piersi, szybko unoszące się i opadające pod wpływem krótkich, płytkich oddechów. Rozwiązał splątana pod szyją tasiemkę, uwalniając dekolt. – Czy teraz jest lepiej?

– Tak, choć wciąż czuję gorąco.

– Hmm... spróbujemy temu zaradzić – rozsunął koszulę na boki.

W tym momencie drzwi do pokoju rozwarły się na oścież.

– Nie pozwolę, aby taka... – rzuciła Brittanica na dzień dobry, ale na widok pochylającego się nad Daphne Griffith'sa słowa uwięzły jej w gardle.

Walter poderwał się na równe nogi jak oparzony.

– Sprawdzalem, czy wszystko z nią w porządku – zakomunikował spieszony. – Hhh... no tak – odchrząknął. – Widzę, że nie jestem już potrzebny, życzę rychłego powrotu do zdrowia.

Brittanica patrzyła oniemiałym wzrokiem, przenosząc co i rusz spojrzenie z Waltera na zasłaniającą piersi Daphne.

– Przepraszam – wyminął bokiem stojącą jak słup soli pannę Bennett.

Brittanica dochodziła do siebie przez dobrą chwilę, starając się pojąć, co tu właśnie zaszło. Wreszcie dwa słowa opuściły jej usta.

– Czy wy?

Szeroki szelmowski uśmiech, który wykwitł na ustach Daphne, powiedział jej więcej niż nie jeden elaborat.

\*\*\*

Ależ go bolała głowa, ostrożnie dotknął tyłu czaszki, wyczuwając pod palcami, owinięty wkoło głowy materiał. Z wysiłkiem otworzył oczy, rozglądając się po pokoju. Leżał na łóżku, do którego wcześniej z lubością przywiązywał Jasmine i Briar. Co się u licha stało? – próbował przypomnieć sobie ostatnie wydarzenia. – Przyjechał Elvin z mnóstwem pieniędzy, bredząc coś o szantażu, a potem go popchnął na... – kolejna fala bólu. Syknął, chwytając się za potylicę. – Więc to stąd, ale jak ja się... – przerwał rozważania, słysząc skrzypnięcie zawiasów. Drzwi uchyliły się i w powstałej szczelinie ujrzał wysuwającą się głowę.

– O, widzę, że już się przebudziłeś – rzekła Briar.

Nie odpowiedział, analizując sytuację.

– Myślałam, że już po tobie, wyglądało to strasznie. Ten huk i krew, była wszędzie, a on powiedział, że nie żyjesz.

– Elvin?

– Tak, ale nie martw się, już wszystko w porządku.

Widząc, jak do niego podchodzi, poderwał się z łóżka, lecz zawroty głowy zmusiły go do powrotu do poprzedniej pozycji.

– Spokojnie, musisz teraz na siebie uważać – stwierdziła, siadając na posłaniu.

– Ale...

– Nic ci nie grozi, zaopiekuję się tobą – pogłaskała go po czole, a on odruchowo wbił głowę w poduszkę, starając się jak najdalej odsunąć od potencjalnego zagrożenia.

– A co z Elvinem?

– Nim też się zajęłam, nie musisz się o nic martwić – wstała, podeszła do dzielących oba pokoje drzwi i otworzyła obie połowy. Tak jak aktor rozsuwający kurtynę przed publicznością. – Oto i on – obwieściła z dumą.

Oczom Garneta ukazał się dobrze mu znany pokój. Różnicę stanowiły fotele, a w zasadzie ich brak. W ich miejscu stał stół, a na nim rozciągnięty na plecach leżał nagi Elvin. Każda z jego kończyn została przywiązana do innej nogi. Więzień uniósł do góry głowę, rzucając w kierunku Garneta błagalne spojrzenie. Coś powiedział, ale znajdująca się w ustach szmata, skutecznie stłumiła słowa, zamieniając je w niewyraźny bełkot.

– Jak ty...

– Wiem, przepraszam, ale nie miałam wyboru. Nie chciałam ci przeszkadzać. Więc musiałam go przestawić do drugiego pokoju. Jest strasznie ciężki, jednak udało mi się go jakoś przeciągnąć. Mam nadzieję, że nie porysowałam podłogi.

– Elvin...

– Aaa mówiłeś o nim, myślałam, że pytasz o stół – zaśmiała się jak trzpiotka. – Po tym, jak cię zranił, nie mogłam tego tak zostawić. Nikt nie będzie tak traktował mojego ukochanego.

– Nie rozumiem, przecież on chciał cię uwolnić.

– Nic mnie to nie obchodzi, ja go o to nie prosiłam, poza tym, jak on to sobie wyobrażał, że wrócę do domu, do tych bezdusznych ludzi, którzy przez całe życie trzymali mnie w klatce jak jakieś zwierzę i zrezygnuję z wolności oraz miłości swojego życia – uśmiechnęła się przymilnie. – Teraz, gdy jesteśmy razem, nie oddam tego tak łatwo.

– Myślałem, że ty...

– Że co ja? – powiedziała to słodziutkim tonem, wracając do Garneta. Tym razem nie usiadła, a położyła się obok niego. Wsparła się o wezgłowie tak, aby ułożyć głowę ukochanego na swojej piersi. – Głuptas z ciebie. Mogłam już wcześniej uciec razem z Jasiwą, ale wolałam zostać tu i

czekać na ciebie. Gdybym jej nie powstrzymała, nie wiadomo co by zrobiła, a tak, nadal jesteśmy razem. Dobrze zrobiłeś, zabijając tę kurwę – mówiąc to, bawiła się jego włosami, wystającymi spod prowizorycznego opatrunku. – Działała mi na nerwy, ten jej ciągły lament, wrzaski i jęki. Nie potrafiła docenić tego, co dla niej robisz, przecież mogłeś wziąć każdą, a jednak wybrałeś ją, powinna się z tego cieszyć i być wdzięczna tak jak ja – pocałowała go w czoło.

Garnet leżał, wpatrując się w swojego przyjaciela, widząc malujący się na jego twarzy strach zmieszany z nadzieją. Przez cały czas chłonąc to, co przed chwilą usłyszał.

– Mówiłaś, że mogłaś uciec. W jaki sposób? Przecież byłaś skuta, a drzwi do celi zamknięte.

– Masz rację kochanie, to nie twoja wina. Ty wszystko zrobiłeś, jak należy. Gdyby nie ta dziewczynka nie miałabym szansy.

Podniósł głowę, aby móc dojrzeć jej oblicze.

– Jaka dziewczynka, o czym ty mówisz?

– Taka mała, miała góra dziesięć lat i długie blond włosy.

Zimny dreszcz przeszedł mu po plecach.

– A oczy, jakiego koloru miała oczy?

– Oczy? Nie wiem – zaśmiała się. – Było ciemno. Mówiła, że mieszka w pobliżu. Uwolniła nas, a potem sobie poszła. Wtedy zatrzymałam Jasmin, zakułam ją z powrotem w łańcuchy, a klucz zostawiłam na stole. Cel nie miałam jak zamknąć. Pewnie zdziwiłeś się, że były otwarte, a klucz nie leżał w skrzyni tylko na stole – mówiła to takim tonem, jakby wspominała spędzone razem wakacje.

Dopiero teraz to pojął, gdy mu o tym powiedziała. Wcześniej myślał, że po prostu zapomniał zamknąć drzwi, ale jeśli je zamknął, to jak ktoś je otworzył? Przecież tylko on miał do nich klucz. Nagle sobie przypomniał, że wcale go nie miał, rano nie mógł go znaleźć.

– Jak to mieszka w pobliżu, przecież tu nic nie ma?

– Nie wiem, tak mi powiedziała. Po co by miała kłamać? Poza tym, skąd by się tu wzięła w taką pogodę?

No właśnie, skąd? – pomyślała, patrząc bezmyślnie, na rzucającego mu błagalne spojrzenia Elvina.

Briar straciła zainteresowanie tematem i ostrożnie zdjęła głowę Garneta ze swojej piersi, układając pod nią poduszkę.

– Jeśli pozwolisz, pójde pobawić się z Elvinem, pewnie już tęskni. Zostawiłam biedaczka na tak długo. Powiem ci w sekrecie – przyłożyła usta wprost do jego ucha, czując na wargach delikatny meszek. – Zadawanie

bólu jest równie rozkoszne, jak jego przyjmowanie, a może nawet lepsze – pocałowała go w policzek. Podniosła z krzesła skórzany pas i machnęła nim w powietrzu jak batem.

– Mmm... – Elvin ni to krzyknął, ni to jęknął, widząc zbliżającą się początkującą oprawczynię.

– Zamknijmy drzwi, żeby mu nie przeszkadzać – powiedziała z uśmiechem do leżącego na stole mężczyzny. Już je domykała, kiedy w ostatniej chwili się zawahała i z powrotem je uchyliła. – Coś sobie przypomniałam – rzuciła lekkim głosem do Garneta. – Ta dziewczynka powiedziała, że nazywa się Abigail – posłała mu całusa, pociągając klamkę do siebie.

\*\*\*

Nowe meble w saloniku prezentowały się zdecydowanie lepiej niż poprzednie, z tego faktu Clementine była bardzo zadowolona i chociaż wspomnienie dziwnego incydentu, jaki miał miejsce w tym pomieszczeniu raptem parę dni temu, były wciąż żywe, to czwarta dawka ginu skutecznie zepchnęła je w głąb świadomości. Przesłaniając je chęcią nasycenia się przepięknym wystrojem. Co najważniejsze, nie tylko jej imponowało nowe umeblowanie. Eusebia nie potrafiła ukryć zachwyty na widok róż, z pietyzmem wyhaftowanych na obiciach foteli i sofy. Użyła nawet słowa „cudowne”, a to w jej ustach brzmiało jak pean. Clementine siedziała na sofie, położywszy obie nogi na siedzisku, nie była to pozycja, która przystoi damie, ale po solidnej porcji trunków, ułożenie nóg przestało mieć dla niej, aż takie duże znaczenie.

– Walterze – zawołała, widząc przechodzącego korytarzem męża.

– Tina – wszedł, sadowiąc się na fotelu. – Widzę, że nowy salonik jest oczkiem w twojej głowie.

– Ładny, nieprawdaż.

– W rzeczy samej – przesunął dłoń po obiciu. – Cóż to za kwiaty? Czy to aby nie są...

– Róże, przecież to oczywiste.

– Właśnie, to chciałem rzec. Można by powiedzieć, że nie ma tego złego – powiódł wzrokiem po meblach. – I tak chciałaś coś zmienić, a bez tego... hmm... przemeblowania, nigdy byś się za to nie zabrała.

Mruknęła, kiwając głową.

– Nie wiesz czasem, gdzie udał się Garnet? Ponoć wybiegł rano, jakby się paliło.

- Niestety nic mi o tym niewiadomo, byłem dość zajęty.
- Paleniem opium.

Tym razem to on mruknął, kiwając niejednoznacznie głową, napełnił kieliszek stojącym na stoliku ginem.

– Każdy radzi sobie inaczej ze stratą dziecka, mój ból jest w stanie uśmierzyć jedynie opium. Nawet laudanum przestaje działać.

– Tak, masz rację. Nie mnie cię osądzać – opróżniła trzymaną w ręku kieliszek. – To już ponad półtora roku. Jak ten czas szybko płynie. Czasem, gdy patrzę na Garneta, oczami wyobraźni widzę również Abigail. Gdy chowała się przed nim po Blackwood, a on ze śmiechem biegał, po całym domu próbując ją odnaleźć. Niekiedy nie mógł jej znaleźć nawet przez kilka godzin. To była ich ulubiona zabawa. Wiesz, ja też, gdy byłam mała, lubiłam bawić się w chowanego.

– Garnet tego nie pokazuje, ale bardzo przeżywa stratę siostry, byli ze sobą mocno zżyci. Kiedy była burza, zawsze przychodził do jej pokoju, aby ją uspokoić. Potrafił przesiedzieć z nią całą noc, na nic się nie skarżąc. Pamiętam, pewnego razu potwornie grzmiało, to chyba było w lipcu. Wiesz jedna z tych letnich burz z tuzinem błyskawic. Garneta nie było w domu. Poszedłem wtedy do pokoju Abigail, aby sprawdzić, czy wszystko z nią w porządku, gdy otworzyłem drzwi, podskoczyła ze strachu, jakby ujrzała ducha. Siedziała na łóżku cała mokra od potu z wytrzeszczonymi z przerażenia oczami, podszedłem do niej, aby ją przytulić. Starając się w jakiś sposób ją uspokoić, ale ona nie zwracała na mnie uwagi, tylko rozglądała się nerwowo, wciąż pytając o Garneta. Tak bardzo byli ze sobą związani, był dla niej nie tylko bratem, ale też prawdziwą opoką.

– Masz rację. Wyjazd na kontynent dobrze mu zrobił, zmienił otoczenie, a to pozwoliło mu, chociaż w niewielkim stopniu zapomnieć o tej strasznej tragedii, ale teraz, gdy wrócił do domu, wspomnienia odżyły na nowo, a on nie do końca sobie z tym radzi. Zresztą tak jak i my. Musimy pozwolić mu się z tym uporać na własną rękę, w przeciwnym razie możemy stracić i jego, a tego bym już nie przeżyła.

Walter uzupełnił kieliszek żony, nie zapominając przy tym o swoim.

– Zastanawiałem się, czy... – przerwała, widząc kątem oka wpatrującą się w niego Brittanice.

– Coś się stało? – spytała Clementine.

Panna Bennett stała w progu nie zwracając uwagi na kierowane do niej słowa. Patrzyła jak zahipnotyzowana na rozpartego w fotelu Waltera, a jej oczy z każdą sekundą zwężały się, zamieniając w wąskie szparki.

– Panno Bennett, mówię do pani, wszystko w porządku?

– Jak śmiałeś – odezwała się szorstkim głosem. – Po tym wszystkim? – zrobiła krok w kierunku Waltera.

– Słucham? – spytał zdziwiony.

– Nie udawaj, że nie rozumiesz, o czym mówię.

– Przykro mi, ale naprawdę nie rozumiem.

– Ja też – wtrąciła Clementine, zsuwając nogi z siedziska, wyraźnie zaintrygowana całą sytuacją.

– Jak mogłeś mi to zrobić? – wystawiła rękę, próbując go dotknąć, ale Walter się odchylił, odruchowo uciekając w drugi bok fotela. – Dzisiejszej nocy tak przede mną nie uciekałeś.

– O czym ona mówi? – Clementine rzuciła ostre spojrzenie w kierunku męża.

– Nie mam pojęcia – uniósł brwi.

– W nocy czule mnie obejmujesz, a potem idziesz na górę do tej ładacznicy? Myślałeś, że się nie dowiem? Jak możesz tak igrać z moimi uczuciami?

– Ladacznica? Jak pani śmie? – Clementine poczuła, jak alkohol zaczyna szybciej krążyć w jej żyłach.

– Panno Bennett, czy pani jest pijana? Pani bredzi, proszę się uspokoić – odparł Walter podniesionym głosem.

– O nie, nie zmusisz mnie do milczenia, nie...

W tym momencie rozległ się brzdęk i stojąca na stoliku kryształowa karafka spadła na podłogę, roztrzaskując się na drobny mak. Wszyscy spojrzeli w tę stronę, akurat by ujrzeć unoszący się stół, który pokonawszy w powietrzu kilka stóp, z hukiem roztrzaskał się na pobliskiej ścianie.

– Aaa... – wrzasnęła Clementine i przeczuwając, co za chwilę nastąpi, rzuciła się na podłogę.

Pusty fotel poderwał się do góry, tak jakby ktoś złapał go za oparcie i rzucił nim w kierunku Brittanici. Uderzył ją w ramię, zwalając z nóg, a sam wylądował obok stolika, łamiąc się na kilka części. Walter podążył śladem Clementine, padając tuż obok niej na podłogę. W tym momencie sofa wystrzeliła do góry jak z procy, uderzając w sufit, przez chwilę lewitowała w powietrzu. Jakaś nieludzka siła wyrwała jej solidne drewniane nogi, łamiąc je jak zapałki. Oparcie i siedzisko złożyły się w pół, przy akompaniamencie rozdzieranego płótna i resztki mebla z wściekłością wystrzeliły na wszystkie strony, wbijając się w ściany jak nóż w masło.

\*\*\*



Po raz trzeci zniecierpliwiona uderzyła kołatką w drzwi. Sekundy ciągnęły się w nieskończoność. Wreszcie usłyszała odgłos otwieranego zamka.

- W czym mogę pomóc – spytał Zachariah.
- Dzień dobry, chciałabym rozmawiać z madame de Conteville.
- Czy jest pani umówiona?
- Nie, ale to bardzo ważna sprawa.
- Przykro mi, ale madame w tej chwili prowadzi seans. Jeśli pani taka wola, może pani pozostawić wiadomość.
- Niestety, ale muszę porozmawiać z nią osobiście.
- W takim razie zapraszam jutro.
- Pan nie rozumie, muszę z nią porozmawiać dzisiaj. Gwarantuję, że madame będzie żywo zainteresowana.

Zachariah stał w progu, starając się podjąć właściwą decyzję.

- Wobec tego zapraszam do środka pani...
- Clementine Griffith.

Przesunął się na bok. Począł, aż Clementine wejdzie i zamknął drzwi.

- Proszę za mną pani Griffith – ruszył przodem, wyraźnie utykając. – Madame prowadzi teraz seans, niestety trudno przewidzieć, kiedy się on zakończy – skrzył w lewo do niewielkiego saloniku. – Proszę łaskawie tu poczekać. Powiadomię madame o pani przybyciu najszybciej, jak tylko to będzie możliwe.

Usiadła na sofie, lecz ta beczynność nie trwała zbyt długo, wstała i podeszła do okna. Widok jak widok – pomyślała, uderzając nieświadomie palcami o parapet. Stała tak przez kilka minut, patrząc na wąską ulicę, po której leniwie przechadzali się nieliczni o tej porze przechodnie. Odwróciła się i przeszła na drugą stronę pokoju. Otworzyła stojącą na komodzie szkatułkę, rozległ się cichy dźwięk zwalnianej sprężyny, po czym ze środka wysunął się mały metalowy ptaszek, otworzył dziobek, melodyjnie ćwierkając, zamknęła wieczko, tłamsząc jego śpiew. Przez kolejne pięć minut chodziła nerwowo po pokoju, nie mogąc znaleźć dla siebie miejsca. Wreszcie usiadła na sofie, wzięła leżącą na stoliku książkę i zaczęła bezmyślnie przerzucać strony. W połowie woluminu zauważyła kątem oka znaczny ruch na korytarzu, odwróciła głowę, aby sprawdzić, co się dzieje. Przez chwilę zdawało jej się, że widziała znajomą twarz, ale trwało to zbyt krótko, żeby mogła mieć pewność. Nieświadomie przewróciła kolejne stronicę, nerwowo kręcąc się na siedzisku.

- Pani Griffith, miło mi panią znów widzieć. Przepraszam, że musiała pani tak długo czekać, ale seans rządzi się własnymi prawami. Chyba pani

rozumie – powiedziała madame de Conteville, wchodząc do pokoju.

– Tak, oczywiście, nic się nie stało.

– Widzę, że pani też lubi Georga Byrona – usiadła naprzeciwko gościa.

– Hmm... – spojrzała zdezorientowana.

– Książka.

Zamknęła wolumin, zerkając na okładkę.

– Ach..., tak może być. Proszę wybaczyć, jestem troszkę rozkojarzona.

– To zrozumiałe w pani stanie.

– W moim stanie?

– Oczywiście, nie dla każdego jest to widoczne, ale ja wyczuwam u pani zdenerwowanie, zmieszane z obawą, a wręcz lękiem.

– Nie sądziłam, że jest to aż tak widoczne.

– Na pewno nie dla każdego, lecz ja widzę to bardzo wyraźnie. Może się pani czegoś napije? Herbaty? Niestety Zachariah nie dba o takie rzeczy – uśmiechnęła się przepaszająco.

– Chętnie, ale jeśli mam wybór, poprosiłabym o coś bardziej... wyrazistego.

Madame de Conteville podeszła do szafki, otworzyła ją, ukazując pełną gamę butelek. Odwróciła się z pytającym spojrzeniem.

– Może szkocką, czystą.

Nalała dwa kieliszki, podała jedną Clementine i usiadła w fotelu.

– W mojej profesji, trzeba posiadać pełen arsenał medykamentów. Często słyszę i widzę rzeczy, przy których włos jeży się na głowie. Gdyby nie to – uniosła kieliszek do ust. – Szybko bym zwariowała. Aczkolwiek zbyt duża ilość panaceum przytępia zmysły, a to nie jest zbytnio wskazane. Dlatego nie zawsze mogę pozwolić sobie na tego typu odprężenie.

– Mogę jedynie się z panią zgodzić. Co prawda moje życie nie jest tak ekscytujące, jak pani, ale ostatnie wydarzenia całkowicie zmieniły moje postrzeganie świata i... – wypła łyk whisky. – Jest pani jedyną znaną mi osobą, która ma styczność z rzeczami..., jak to się mówi..., paranormalnymi. W związku, z czym chciałabym usłyszeć pani opinię na pewien temat.

– Jeśli tylko będę mogła pomóc, chętnie posłużę radą.

– Więc... – wypła kolejny łyk. – W moim domu latają przedmioty.

– Słucham?

– Nie potrafię tego nawet dokładnie określić. Proszę mnie dobrze zrozumieć. Nie mówię tu o rzucaniu talerzami. Mówię o unoszących się samodzielnie przedmiotach: krzesłach, stołach... – spojrzała w oczy madame de Conteville, szukając w nich, chociaż nutki niedowierzania, ale widząc jedynie szczere zainteresowanie, kontynuowała. – Miało to miejsce

w salonie. Rozmawiałam z mężem o..., po prostu dyskutowaliśmy, nagle nie wiadomo czemu przedmioty znajdujące się w pokoju, zaczęły się unosić, rozbijając o ściany. Jakby ktoś nimi rzucał. Gdybym nie schowała się za sofą, nie wiem, czy uszłabym z życiem. Wyglądało to tak, jakby potężna wichura przeszła przez pokój. Trwało to zaledwie kilka minut. Kończąc się równie gwałtownie, jak się zaczęło... pierwszy raz zdarzyło się to parę dni temu.

– Powiedziała pani pierwszy raz? Czyli, że miało to miejsce ponownie?

– Tak, parę godzin temu.

– Dlaczego przyszła pani dopiero teraz?

– Myślałam, że to... tylko taki incydent..., że jakoś to przejdzie.

– Jakoś przejdzie? Przecież w pani domu meble same latają pod sufitem, roztrzaskując się po ścianach, a pani myślała, że to minie, jak nie przymierzając katar lub mżawka?

– Sama nie wiem, co myślałam, to było tak niewiarygodne, iż nie byłam pewna, czy wzrok mnie nie myli. Walter nic nie pamiętał, a ja – zamieszała alkohol w kieliszku. – Trochę wypiałam..., ale dziś zdarzyło się to samo, mam nawet wrażenie, że meble uderzały w ściany ze znacznie większą siłą. Nie wiem, jak to opisać... jakby ktoś, coś, próbowało w ten sposób wyładować swoją furię, a potem w jednej chwili nastąpiła cisza. Cóż, nie znam nikogo, do kogo mogłabym zwrócić się z takim problemem, nie będąc jednocześnie narażoną na śmieszność. Myślę, że jeśli ktokolwiek może mi w jakiś sposób pomóc, to będzie to pani i nie będę kryła, iż bardzo na to liczę. Wręcz desperacko zabiegam o pani wsparcie.

Madame de Conteville przez cały czas uważnie słuchała opowieści rozdygotanej Clementine, starając się nie uronić z niej ani słowa.

– Więc ta... nazwijmy to emanacją siły, pojawiła się dopiero teraz? Nie przypomina sobie pani podobnych incydentów wcześniej, miesiąc, dwa, a może rok temu? Proszę się zastanowić, może podobne zjawiska miały już miejsce wcześniej, lecz nie były równie zauważalne, gdyż nie objawiały się z taką mocą.

– Hmm... nie wydaje mi się... nie jestem pewna.

– To mogła być zwykła filiżanka, która bez powodu zsunęła się ze stolika, rozbijając na podłodze, spadający ze ściany obraz lub drzwi, które otwierają się same. Mimo iż w domu nie ma przeciągu.

– Cóż, być może..., takie rzeczy zdarzają się dość często, ale nigdy nie zastanawiałam się, co może być ich przyczyną, a w zasadzie nie miałam podstaw sądzić, że filiżanka spadła z innego powodu niż niezdarne odstawienie jej na stół.

– Ma pani rację, ludzie nie przywiązują wagi do takich zdarzeń, gdyż nie są świadomi, iż mogą mieć one związek z nadnaturalnymi siłami. Rzadko zdarza się, że energia wybucha z taką siłą, jaka miała miejsce w pani domu. To musi być potężna moc... – na parę sekund zapatrzyła się na coś ponad ramieniem Clementine. – Oczywiście, chętnie się z nią zapoznam i przyjdę pani z pomocą, jeśli tylko zdołam.

– Będę pani dozgonną dłużniczką – uśmiechnęła się z za trzymanego w rękę kieliszka.

\*\*\*

Dowód, najlepszy będzie dowód – tak Abigaile zapamiętała słowa Hortense i nawet jeśli brzmiały inaczej, to ich sens był jeden. Musi znaleźć coś, co przekona innych, że major Spencer Ward nie jest tak kryształowy, jak wszyscy dotąd sądzili. Powstawało tylko pytanie, gdzie go szukać? Niestety odpowiedź była oczywista. W domu Wardów. Ta odpowiedź nie podobała się Abigail z kilku powodów: po pierwsze była tam wczoraj i na samo wspomnienie widzianego na korytarzu osobnika czuła na plecach zimny dreszcz. Po drugie, zeszłej nocy dom był prawie pusty, a nie sądziła, żeby innego dnia szczęście, aż tak bardzo jej dopisało. Po trzecie, jeśli to, co mówił Magnus i ta starsza pani było prawdą, a wszystko na to wskazywało, musiała znaleźć dowód najszybciej jak tylko to możliwe, a w związku z tym nie miała ani chwili do stracenia.

\*\*\*

Szedł powoli wyludnionymi przez zapadający zmierzch i mróz ulicami, starając się odtworzyć w pamięci dziwne zdarzenie, które miało miejsce w salonie. Przypominał sobie, że razem z Clementine leżał na podłodze. Choć lepszym stwierdzeniem byłoby, iż coś majaczyło mu w głowie. Na dobrą sprawę nawet nie był do końca przekonany, czy ta cała sytuacja miała miejsce. Może to mu się po prostu śniło? Taki stan rzeczy wiele by tłumaczył. Chociażby fakt, iż nie miał najmniejszego pojęcia, dlaczego tam leżał. Przecież nie jest rzeczą normalną, by spędzać wolny czas na podłogowych deskach salonu, nawet jeśli leżało się tam z własną żoną. Chyba że leżałbym tam z kimś innym, na przykład z Daphne – uśmiechnął się do siebie na myśl o swoim lubieżnym pomysle. Spojrzał na samotną kobietę idącą szybkim krokiem po drugiej stronie ulicy. Najwyraźniej była gdzieś spóźniona, choć powodem szybkiego kroku mógł być równie dobrze

zapadający zmrok. Zatrzymał się, aby wypić swoją dawkę laudanum. Usatysfakcjonowany włożył butelkę do kieszeni. – Nad czym to ja się zastanawiałem? – próbował odkopać zagrzebaną przed kilkoma minutami myśl, bezskutecznie. Nie potrafił już sobie przypomnieć nic z zajścia, które niedawno było jego udziałem. Na dobrą sprawę nie pamiętał już nic z dzisiejszego dnia. Nagle poczuł kolejną falę bólu. Bólu tak dojmującego, iż nie zdziwiłby się, gdyby za sekundę rozsadziło mu głowę. Opium, dajcie mi to cholerne opium. Spojrzał przed siebie, znał to miejsce. Stał pod rezydencją Wardów, od razu przypomniał sobie o cudownym specyfiku przywiezionym przez Spencera z Indii. – Może to znak? – pomyślał, pokonując szybko kilka dzielących go od drzwi stopni. Chwycił kołatkę, uderzając nią z rozmachem w lite pomalowane na czarno drewno.

\*\*\*

Zeszłego wieczoru Maggy widząc go na przyjęciu, w tym wielkim domu, wybiegła z niego jak oparzona i myślała, że jakoś to będzie, że znajdzie sobie spokojny, cichy zaułek. Będzie się trzymać z dala od tej dzielnicy, zapomni, a wszystko jakoś wróci do normy. – Jednak nie wszystko układa się tak, jak byśmy tego chcieli. Niesamowite, że jeszcze się temu dziwię, przecież gdyby wszystko działo się po mojej myśli, nie byłabym w tej chwili na lodowatym bruku, tylko w jakimś ciepłym kącie z kubkiem gorącej herbaty – pomyślała z przekąsem, chuchając w dłoń.

Cóż, miała rację, niedawno znowu go widziała, szedł ulicą jakby nigdy nic. – Co on tu robił? – nie natknęła się na niego do wczorajszego wieczoru, a teraz znowu on i to w odstępnie zaledwie kilku godzin. Zbieg okoliczności, a może jednak ją wczoraj widział, rozpoznał, a teraz szuka? Zdecydowanie wolała, aby to spotkanie było jedynie dziełem przypadku – poczuła falę przejmującego zimna i była pewna, że nie jest ona skutkiem dojmującego mrozu. Musiała coś z tym zrobić. Dlatego udała się śladem jegomościa w czarnym cylindrze i teraz kiedy zyskała stuprocentową pewność, że nie zastanie go w domu podbiegła do znajdującego się z tyłu kamienicy wejścia. Zapukała. Chwilę później usłyszała zgrzyt zamka.

– Ach to pani – powiedziała Hortense, wycierając ręce w fartuch. Spojrzała za siebie, upewniając się, że nikt jej nie obserwuje. – Zaraz przyniosę pani coś do jedzenia.

– Nie trzeba, ja tylko...

– Ależ nalegam, zostało nam mnóstwo stawy po wczorajszej kolacji. Szkoda, żeby się miała zmarnować – nie czekając na odpowiedź, udała się

do kuchni, zostawiając lekko uchylone drzwi.

Maggy przestępując z nogi na nogę, walczyła z chęcią ucieczki, a obowiązkiem, który ją tu przywiódł.

– Dobry wieczór psze pani – rzekł Magnus, wyciągając rękę z trzymaną w niej wałówką. – Pani Moore prosiła, żebym to pani przekazał.

– Dziękuję – odebrała pakunek, nie zwracając sobie głowy jego zawartością. – Tak naprawdę przyszedłam do ciebie. Mam wyrzuty, że uciekłam, zostawiając ciebie na pastwę tego człowieka. Mam nadzieję, że nic się nie stało?

– Nie, kilka godzin później wyszli. Pani Moore powiedziała, że rzadko tu przychodzą.

– Przecież widziałam go, jak niedawno opuszczał ten dom.

– Musiała się pani pomylić, pana Warda dzisiaj tu nie było.

– Wiem, co widziałam, niski, szczupły, w cylindrze. To był on, nigdy nie zapomnę tego oblicza.

– Aaa – odetchnął z ulgą – To był pan Walter, tamtego od razu bym poznał, jest o głowę wyższy od pana Waltera.

– Nie rozumiesz – złapała go za ramię, pochylając się tak, aby ich oczy znalazły się na tej samej wysokości. – To o nim ci mówiłam. Stał obok mnie, mordując tych ludzi z zimną krwią. Przebił laską głowę tego policjanta, jakby nakłuwał nią zepsute jabłko, laską ze srebrną rączką, taką samą, jaką miał wychodząc stąd.

– To niemożliwe, pan Walter jest bardzo miły, to pan Ward mnie porwał.

– Wierz mi mój mały – ścisnęła go tak mocno, że aż skrzywił się z bólu. – Twój pan Walter to prawdziwy morderca i lepiej nie oddychaj tym samym powietrzem co on, a jeśli ten pan Ward ciebie porwał, to jesteś w prawdziwym niebezpieczeństwie, a dodatkowo mieszkasz w gnieździe żmij.

– Ale przecież...

– Posłuchaj chłopcze. Rób, co uważasz, ty mi pomogłeś, więc ja ciebie ostrzegłam – zerknęła bacznie ponad jego ramieniem. – Nic więcej nie mogę zrobić. Jeśli chcesz jeszcze pożyć, lepiej uciekaj stąd, póki jeszcze możesz – złapała tobołek, znikając w mroku.

\*\*\*

Musiał przespać dobrych kilka godzin. Kiedy Briar zostawiła go w pokoju na rzecz nowo poznanych przyjemności, było jeszcze jasno, a teraz gdy otworzył oczy, wszystko spowijała czerń. Najwidoczniej uderzenie w głowę, było silniejsze, niż mu się wydawało, gdyż nawet nie zauważył, kiedy zmógł

go sen, ale teraz czuł się o wiele lepiej. Spojrzał na leżącą obok niego dziewczynę. Nie była w jego typie, ale miała w sobie coś, co go pociągało. Ten charakter i zadziorność. Nie zachowywała się tak jak jego dotychczasowe ofiary, które zawsze tonęły w łzach, błagając o litość, aby wreszcie przestał. Ona też błagała, ale nie tak jak one, ona prosiła o więcej, więcej bólu, więcej upokorzenia, więcej udręki i co najważniejsze znajdowała w tym tyle samo przyjemności co on. Przesunął palcem po jej nagim ramieniu. Co powinienem z nią zrobić? – pomyślał, muskając dekolt. W normalnej sytuacji najzwyczajniej w świecie by ją zabił, tak jak czynił to już wielokrotnie. Rozwiązanie proste, kończące wiele problemów, a jednocześnie dostarczające jedynych w swoim rodzaju doznań. Zmrużył oczy, wyobrażając sobie, jakby to zrobił. Już sam fakt chłostania Briar na łóżku należącym do jego rodziców, wywoływał trudne do opanowania podniecenie, a dodanie do fantazji śmiertelnego duszenia sprawiło, że instynktownie rozszerzył palce na jej szyi, ledwo powstrzymując się przed ich zaciśnięciem. Wziął głęboki oddech, wypuszczając powoli powietrze z płuc, aby odegnać narastającą pokusę. Istniało też drugie rozwiązanie, równie interesujące, choć niosące ze sobą większe ryzyko. Mógł zabawić się z nią w parę perwersyjnych gier, a kto wie, jeśli wszystko dobrze się potoczy i dziewczyna będzie skłonna do ostrzejszej zabawy, wypłynię z nią na jeszcze głębsze wody. W końcu skrócić kark może jej w każdym momencie. Wstał z łóżka, zapalił świecę i wszedł do drugiego pokoju. Elvin wciąż leżał na stole, w tej samej pozycji, w jakiej Garnet widział go przed paroma godzinami. W blasku świecy jego ciało wyglądało jak befsztyk, trudno było znaleźć fragment skóry większy niż trzy cale, przez który nie przechodziłaby czerwona pręga.

– Aaa – jęknął Elvin ledwie słyszalnym głosem.

Garnet nachylił się nad przyjacielem, oświetlając świecą pełną bólu twarz.

– To ty?... Pomóż mi..., ona jest chora.

Instynktownie sięgnął do obwiązującego nadgarstek sznura, aby rozwiązać supeł, ale w ostatniej chwili wstrzymał rękę.

– Pospiesz się – ponaglił Elvin.

– Wiesz, tak się zastanawiam. Co zrobisz, jak cię wypuszczę? – spytał Garnet.

– O czym ty mówisz?

– Wrócisz do domu i co wtedy? Opowiesz, co tu się działo?

– Nie, nic nikomu nie powiem. Przysięgam. Rozwiąż mnie.

– A jak wytłumaczysz te wszystkie... – machnął ręką nad rozpostartym na wznak Elvinem. – Hmm... rysunki.

- Nie wiem..., coś wymyślę, nieważne.
  - Dla mnie to jest bardzo ważne – puścił sznur.
  - Co ty robisz? – przerażenie odmalowało się na jego twarzy. – Musisz mnie rozwiązać, przecież nie możesz mnie tak zostawić – powiedział drżącym głosem.
  - Ależ może i powinien to zrobić – wtrąciła melodyjnym głosem Briar, przywierając nagim ciałem do Garneta. – Pomyśl kochanie, on nie stanowi dla ciebie żadnej korzyści, to chodzący worek kłopotów.
  - Nie słuchaj jej, to wariatka, zobacz, co mi zrobiła – Elvin szarpnął ręką, starając się oswobodzić.
  - Zrób to mój panie – opłótła Garneta rękami od tyłu, wbijając palce w tors i pociągnęła w dół, tworząc nabiegłe krwią czerwone ślady.
  - Sss... – Garnet wciągnął powietrze przez zaciśnięte zęby, sycząc przy tym z rozkoszy.
  - Zrób to – zsunęła dłonie na jego uda, ponownie wbiła palce w ciało, lecz tym razem pociągnęła je do góry, tworząc kolejne pręgi. – Zabierz pieniądze, są ci potrzebne.
- Garnet spojrzał w oczy Briar i to, co w nich ujrział, niejednego przyprawiloby o zawał, ale jego wprawiło w ekstazę. Objął ustami jej usta i w namiętnym pocałunku zacisnął zęby na jej wardze, aż poczuł ściekającą po brodzie gorącą strugę krwi. Odwrócił się i pochylił nad stołem.
- Garnet, co ty robisz? – wyrzucił z siebie między przyspieszonymi oddechami i gdy poczuł na skroniach ręce przyjaciela, z oczu popłynęły mu łzy. – Garnet, błagam cię, nie rób tego.
  - To nic nie boli.
  - Skąd możesz to... – nie dokończył, rozległ się suchy trzask i głowa Elvina zwiesiła się smętnie na bok.

\*\*\*

Z bijącym jak dzwon sercem wyszła z mgły w tym samym miejscu co poprzednio i ku jej zadowoleniu pokój okazał się pusty. Na początku rozważała pojawienie się w innych częściach domu, jednak dobrze pamiętała jedynie parter rezydencji Ward'ów, a z mieszczących się na górze pomieszczeń do wyboru pozostała tylko sypialnia pani Ward oraz ten pokój. Zważywszy, że w znajdującej się na dole, najbardziej uczęszczanej części domu, mogła wpaść na niemal każdego z domowników. Wybór wydawał się oczywisty.



Ostrożnie uchylila drzwi i od razu do jej uszu dobiegły jakieś głosy. Wsłuchała się w nie, próbując zlokalizować, skąd pochodzą. Dół, z pewnością ktoś tam był i zakładając, że nie mówił do siebie, musiały tam być co najmniej dwie osoby. Jej przypuszczenia szybko się potwierdziły, gdy powietrze przeciął czyjś śmiech. Zbliżyła się do schodów. Magnus wspominał, że przetrzymywano go w piwnicy, w celi. Więc jeśli ma znaleźć jakieś dowody zbrodni, które pomogłyby jej unieszkodliwić Warda, to najszybciej tam. Bezszelestnie jak jej się zdawało zeszła po schodach. Wystawiła głowę nad poręcz, starając się odnaleźć prowadzącą do piwnicy drogę. Wejście mogło znajdować się wszędzie. Tak czy inaczej musiała pokonać oświetlony hol i parę pokoi. Pozostało tylko niepostrzeżenie przez nie przemknąć. Co wydawało się równie proste, jak przejście w słoneczny dzień przez polanę, nie rzucając przy tym cienia.

\*\*\*

Myśl, aby odwiedzić dom Wardów, okazała się jedną z lepszych rzeczy, na jakie ostatnio wpadł i dlatego Walter był z siebie dumny jak nigdy dotąd. Najwyraźniej nie jest z nim jeszcze tak najgorzej, skoro genialne pomysły przychodzą mu do głowy, ot tak – pomyślał, wysuwając z ust inkrustowany cybuch i zaciągnął się kolejną dawką aromatycznego dymu. Ból głowy ustąpił już jakiś czas temu, zamieniając się w lekki błogostan. Walter siedział teraz w fotelu, w tym samym, w którym ostatnio będąc z wizytą u Spencera, raczył się haszyszem. Tym razem gospodarz podał mu inny specyfik, ponoć jakąś mieszankę, jednak szczegóły zostawił dla siebie. Co w żaden sposób mu nie przeszkadzało. Nieważne co, istotne, aby osiągnąć żądany efekt, a ten zbliżał się wielkimi krokami. Wysunął rękę z fajką przed siebie.

– Na pewno nie chcesz? – spytał.

– Nie, muszę jeszcze dopilnować kilku rzeczy. Wiesz, jak to jest ze służbą, jeśli nie czują na karku twego baczego wzroku, od razu usiedliby w kącie – odparł Spencer, poprawiając mankiet koszuli.

– Masz słuszność – podciągnął się w fotelu, czując, że zaczyna się z niego zsuwać. – Ale jak dajecie sobie radę tylko z jednym służącym, w dodatku z hindusem? Słyszałem, że są leniwi i nie można im ufać – ostatnie zdanie rzucił lekko konspiracyjnym tonem.

– Ranjit jest bardzo pomocny, a w niektórych kwestiach wręcz nie do zastąpienia. Zastanawialiśmy się nad najęciem paru osób, lecz ciężko

znaleźć kogoś należytego i godnego zaufania. Całe szczęście, że niedługo przybędzie nasza służba z Indii, ale póki co musi nam wystarczyć tylko on.

– Tak – powiódł zamglonym spojrzeniem po pokoju, zatrzymując wzrok na powieszonym na ścianie obrazie. – Niesamowite, zaczyna działać – machnął fajką w geście uznania. – Ile ona ma rąk, widzę z dziesięć i te noże. Chyba dwoi mi się w oczach, a może troi. Czy ona jest niebieska? Co to za dziewczyna?

– To Bogini Kali żona Siwy. Pamiętasz, pokazywałem ci ostatnim razem jej posążek – Walter niepewnie kiwnął głową. – W Kalkucie, w której przebywałem, notabene jej nazwa pochodzi od imienia bogini, jej kult jest bardzo żywy i nie ma się czemu dziwić, w końcu to bogini śmierci i reinkarnacji.

– Czego, rekrutacji? To chyba bogini stworzona w sam raz dla wojska.

– Reinkarnacji – powiedział z pobłażliwym uśmiechem, zakładając nogę na nogę.

– A cóż to takiego?

– W hinduizmie ludzie wierzą, iż po śmierci narodzą się ponownie jako inny człowiek lub pod postacią zwierzęcia, a nawet rośliny. Dzięki temu ich cykl życia rozpocznie się na nowo.

– Rośliny? Czyli w tym momencie mogę palić kogoś, kto kiedyś był królem? – zdziwił się, oglądając fajkę. – Brzmi to trochę absurdalnie.

– W teorii, tak. Choć wydaje mi się to mało prawdopodobne, abyś palił kogoś z rodziny królewskiej.

– Mnie chyba jeszcze bardziej.

– Mam na myśli co innego. Postać, pod którą się odrodzisz, zależy od twojej karmy, czyli od tego, kim byliśmy za życia, a dokładniej jaką byliśmy osobą, dobrą czy złą. Jeśli twoja karma jest dobra, istnieje duże prawdopodobieństwo, że w kolejnym życiu będziesz człowiekiem. Zła karma to możliwość zostania robakiem, a nawet jakimś chwastem. Oczywiście, gdy życie nie układa się tak, jak byśmy sobie tego życzyli i nie jesteśmy przykładem cnót, możemy próbować przebłagać boginię Kali, aby po reinkarnacji otrzymać lepsze wcielenie. W tym celu składa się ofiary z jedzenia lub zwierząt. Im większa ofiara, tym większe szanse na poprawę karmy. Tak więc myślę, że każdy król bez problemu znajdzie środki na odmianę swego losu, a najlepszym remedium na złą karmę jest młoda dziewczyna, która świadomie i z chęcią oddaje się w ofierze.

– Z tym się mogę zgodzić, chętna dziewczyna każdemu jest miła. Zwłaszcza gdy sama chce się oddać – uśmiechnął się dwuznacznie i zaciągnął fajkę,

przytrzymując na kilka sekund dym w płucach. – Ale myślę, że u nas o taką ofiarę byłoby niezmiernie trudno.

– Hmm... – Spencer zaśmiał się pod wąsem. – Sam nie wiesz, jak bardzo, ale zawsze można ratować się środkami zastępczymi. W wojsku trzeba sobie radzić na różne sposoby, chociażby zamiast wołowiny jeść koninę, smak jest zgoła inny, ale efekt nasycenia ten sam. Tak samo jest z ofiarami.

– Być może, ale jedno mnie w tym wszystkim zastanawia. Jeśli trochę nabroiłem i zdegradowano mnie do roli psa. To będąc psem, aby mieć dobrą karmę, wystarczy, że nie będę gryzł sąsiadów i sikał w domu, lecz jeśli odrodziłem się jako rzodkiewka, to co mam u licha zrobić? Uważać, żeby nikt po zjedzeniu mnie nie dostał zgagi? Czy wystarczy... – przerwał, widząc przemykającą korytarzem postać. – A co to za młoda dama?

– O kim mówisz?

– Widziałem przed chwilą jakąś dziewczynkę, wyglądała, jakby się skradała. – wskazał głową wejście do pokoju. – Przypominała...

– Ach, te dzieciaki, to siostrzenica Caddy. Przyjechała w odwiedzinach – mówiąc to, wstał z fotela. – Przepraszam cię na chwilę – ledwie wyszedł z pokoju, zawołał tubalnym głosem. – Ranjit!

Walter siedział, patrząc na otwarte drzwi, starając się dopasować obraz do wspomnień.

– Przypominała... przypominała... – starał się skupić myśli, aby odnaleźć w pamięci przed chwilą widzianą twarz. – Abigail, wyglądała jak Abigail – ruszył chwiejnym krokiem za Spencerem. Podążając za odgłosami kroków, wszedł do piwnicy. Jednak czując zawroty głowy, stanął u podnóża schodów, opierając się ręką o ścianę.

– Nie ma jej – rozległ się głos Ranjita. Dochodzący gdzieś z głębi oświetlonego pochodniami korytarza.

– Przecież widziałem, jak tu schodziła – rzucił Spencer, wybiegając z jednego z pomieszczeń. – Tu jest tylko jedno wejście, musi tu gdzieś być.

– Ona wyglądała jak Abigail – wymamrotał Walter do siebie.

– Nigdzie jej nie ma, jakby się rozpułyła, zupełnie jak wczorajszej nocy – powiedział nadchodzący z pochodnią Ranjit.

– Człowiek tak po prostu nie znika – odparł Spencer.

– A jeśli to sprawka Kali.

– Trzeba ją znaleźć, na pewno siedzi w jakimś ciemnym kącie.

– Abigail, to była Abigail! – zawołał Walter do stojących kilka jardów dalej mężczyzn.

Spencer odwrócił się na pięcie.

– Co ty tu robisz, idź na górę, zaraz do ciebie przyjdę – zachęcił go przyjacielskim gestem.

– Widziałem ją, to była Abigail – zrobił krok do przodu, nagle jego noga zaplątała się w jakąś szmatę, zachwiał się i upadł na ziemię. Oszołomiony spojrzął na leżący pod schodami pakunek, z którego wysunęła się jakaś dłoń. Odgarnął płótno i krzyknął, widząc wpatrzoną w niego bladą twarz. – On... on nie żyje! – dotknął sztywnego ciała. – Co to ma znaczyć?

– A jak ci się wydaje? – Spencer stanął tuż nad jego głową.

– Czy wy go... – powiedział drżącym głosem. – To, to jest...

– To jest właśnie konina – dokończył i widząc malujące się na twarzy przyjaciela oszołomienie, dodał. – Głupcze, po co schodziłeś na dół – zakończył wypowiedź kopniakiem lądującym na szczęce Waltera.

## XXII

Świtało, kiedy Garnet trzymając w ręku widły, ostrożnie wszedł na tafle lodu, którym pokryte było jezioro w Blackwood. Skryty pod śniegiem lód nie stanowił takiej przeszkody, jak mu się wydawało, ale mimo to, co pewien czas dla pewności wspierał się na widłach. Z początku myślał o zakopaniu zwłok tuż obok stajni, ale pierwsze wbicie łopaty w ziemię, szybko wyleczyło go z tego pomysłu. Dlatego teraz stał jakieś trzydzieści jardów od brzegu, uderzając obcasem w lód. Po drugim tupnięciu rozległ się cichy trzask i Garnet wstrzymał oddech, czekając na to, co się wydarzy. Usłyszał ponownie niepokojący odgłos i nie tracąc czasu, wycofał się, spojrzął za siebie, machając ręką do stojącej z tyłu Briar. Ta na znak podążyła jego śladem, ciągnąc za sobą prowizoryczne sanki, na których leżały dwa sztywne ciała. Zachęcił ją ruchem ręki, aby się pospieszyła, a ona posłała mu uśmiech zarezerwowany tylko dla niego.

– Stój – odwrócił widły trzonkiem do dołu i wychyliwszy się do przodu, uderzył nimi kilkakrotnie w tafle lodu. Za czwartym razem drewno zanurzyło się w lodowatej wodzie. Kilka kolejnych razy i powstał pokaźnych rozmiarów przerębel. Podszedł do sanek. Bezceremonialnie rzucił z nich leżącą na wierzchu Jasmine. Ukucnął za nią, chwycił za buty i pchnął do przodu, po paru sekundach głowa zanurzyła się pod wodą. Podniósł widły i wepchnął nimi resztę ciała pod tafle lodu.

– Teraz ja – klasnęła, ekscytując się, jak mała dziewczynka.

Garnet odsunął się na bok, obserwując jak nagie ciało Elvina, zbliża się do lodowatej wody.

– A co będzie, jeśli wypłyną? – spytała, popychając blade sztywne stopy.

– To bez znaczenia, za parę miesięcy będą wyglądać jak pierwszy lepszy topielec. Nikt ich nie rozpozna. Zwłaszcza że nikt ich tu nie zna.

– Nie lepiej byłoby przywiązać do nich kawałek łańcucha? – sapnęła z wysiłku.

– Lepiej nie. Nie jestem pewien, jak tu jest głęboko, jeśli ktoś zahaczyłby o niego wiosłem, od razu zauważyliby, że to morderstwo, a tak, jeśli ich znajdą mamy do czynienia jedynie z wypadkiem, szli po lodzie, ten się załamał, a oni utonęli. Spróbuj tym – podał widły.

– No nie wiem. W zimie chodził po lodzie na golasa? – wepchnęła widłami ciało Elvina pod lód.

- Czemu nie, mało jest różnych zbrodzców?
- Hi, hi – obejrzała Garneta pożądlivym wzrokiem. – Masz rację.

\*\*\*

Ból głowy sprawił, iż otworzył oczy. Widział rozpościerające się nad nim łukowate sklepienie i parę palących się pochodni. Leżał na czymś zimnym i twardym, spróbował się przekręcić, ale coś mu to uniemożliwiało. Rozejrzał się na boki. Grube sznury oplatały jego ręce i nogi, przyciskając ciało do kamiennego blatu.

– Już – rozległ się niski głos.

Walter spojrzał w tym kierunku i ujrzał stojącego z boku Ranjita.

– Co się dzieje? – szarpnął ręką. – To jakiś żart?

Hindus stał niewzruszony, nie zwracając na niego uwagi.

– Nic z tych rzeczy drogi Walterze – odparła zakapturzona postać, która nagle wyłoniła się z cienia.

– Spencer, to ty? Co to za jakieś kiepskie przedstawienie?

– Nie kpij z tego, czego nie rozumiesz – obszedł ołtarz, aby stanąć przy głowie Waltera. – Oddaj się z własnej woli, a Kali cię za to wynagrodzi.

Walter otworzył usta, aby odpowiedzieć, ale nagły potworny ból przeszył jego ciało, promieniując od głowy, aż do stóp. Walter wygiął się w łuk, napinając liny do granic możliwości.

– Opór jest daremny, poddaj się, a twoja marna egzystencja przyniesie jeszcze jakąś korzyść. Nawróć się, póki możesz, szlachetna Kali pomoże ci... – nie dokończył, gdyż Walter przy akompaniamencie pękających sznurów, najzwyczajniej w świecie wstał z ołtarza, tak jakby podnosił się z łóżka po krótkiej drzemce.

Ranjit zareagował w okamgnieniu, obejmując od tyłu muskularnym ramieniem wątłą szyję Griffith'sa siedzącego mężczyzny i zacisnął uchwyt. Walter wstał, nie przejmując się zawieszonym na szyi ogromnym mężczyzną, traktując go, jak powiewający na wietrze lekki jedwabny szalik. Pchnął Spencera, który zachwiał się, przewracając na stolik z przygotowanymi do rytuału nożami i ruszył w jego stronę, przeciągając przez ołtarz uwieszonego z tyłu Ranjita.

– Zabij go! – zawołał Spencer, próbując wstać.

Ranjit odzyskał grunt pod nogami. Teraz przewyższał swoją ofiarę o ponad głowę. Czując się ponownie panem sytuacji, z całych sił ścisnął gardło Waltera, wykręcając jednocześnie jego ramiona w bok, aby skrócić mu kark, lecz równie dobrze mógł ścisnąć marmurową kolumnę. Efekt

byłby ten sam. Walter zdawał się w ogóle nie zwracać na niego uwagi, krocząc w kierunku Spencera, który wyczuwszy pod palcami nóż, poderwał się na równe nogi, zadając, jak mu się zdawało śmiertelne pchnięcie. Jednak Walter był szybszy, złapał atakującą go dłoń, wyginając ją pod nienaturalnym kątem. Wraz z trzaskiem łamanych kości, pomieszczenie wypełnił wrzask ryczącego z bólu majora. Wciąż zaciskając palce na trzymającej nóż dłoni, Griffith uniósł ją na wysokość twarzy i wbił ostrze po samą rękoność w oko Spencera. Ten zamarł na chwilę, zupełnie jakby zastanawiał się, co ma począć z kawałkiem metalu umieszczonym w jego głowie, po czym padł do tyłu, uderzając potylicą w kamienną ścianę.

Widząc śmierć swojego pracodawcy, Ranjit naparł ze zdwojoną siłą na cherlawego przeciwnika. Na nic się to zdało, Walter chwycił go za oplatające szyję przedramię, łamiąc je jakby miał do czynienia z dobrze wypieczonym obwarzankiem. Ranjit ryknął jak wściekły, wypuszczając powietrze z płuc, padając przy tym na kolana. Walter spokojnie się odwrócił, złapał hindusa za głowę, oplatając długie włosy wokół dłoni i z lekkim zamachem, acz potężną siłą nadział jego twarz na narożnik ołtarza. Kamień wbił się bez najmniejszego oporu tak głęboko, iż z tyłu czaszki pojawił się fragment pokrytego mózgiem ołtarza. Walter przeszedł nad targanym drgawkami ciałem i ruszył na górę.

Caddy siedziała przy kominku, wystawiając przed siebie nogi, aby wygrzać stopy w ciepłe ognia. Uniosła filiżankę z trzymanego na kolanach spodka i wypła mały łyżeczek, przywiezionej z Indii mieszanki, rozkoszując się jej precudnym aromatem.

– Nie mogliście zrobić tego trochę ciszej – rzuciła z pretensją znad filiżanki parującej herbaty, słysząc zbliżające się kroki. – Przy okazji podaj mi koc, potwornie tu zimno i niech Ranjit dorzuci drwa, ogień zaczyna przygasać – usłyszała zza pleców jakieś mruknięcie i wzięła je za potwierdzenie. – Kiedy ten mróz przenika do kości, naprawdę tęsknię za Indiami. Było gorąco i duszno, ale przynajmniej nigdy nie szczękałam zębami z zimna. A ty? – przekręciła głowę w bok, aby spojrzeć na męża i w tym momencie filiżanka wypadła jej z rąk, odbiła się od spodka, po czym rozpadła na kawałki uderzając w podłogę. Obok stał Walter, jego pusty wzrok nie wyrażał kompletnie nic. Oniemiała patrzyła na niego jak na ducha, wreszcie odezwała się drżącym głosem.

– Co tu robisz? Gdzie jest Spencer?

Walter bez słowa chwycił ją za kołnierz sukni, bez wysiłku wyrywając z fotela, który z hukiem wywrócił się do tyłu. Caddy machała rękami w rozpacz, chcąc się oswobodzić.

– Spencer, Ranjit, pomocy?! – wrzasnęła z całych sił, ale przez zaciśnięty wokół szyi kołnierzyk, krzyk przypominał raczej cichy pisk.

Oprawca kopniakiem potraktował oddzielający palenisko od pokoju metalowy płotek i zbliżył się do kominka.

– Zostaw mnie, ja ci nic nie zrobiłam – jęknęła przerażona, wierzgając nogami w powietrzu. – Spencer!!

Jednak on nie przestawał, lekko się schylił, chwytając Caddy drugą ręką pod kolana i przycisnął je do jej biustu.

– Aaa – ponownie jęknęła, czując napinające się zastałe ścięgna.

Przysunął ręce do siebie, tak jakby chciał klasnąć i kręgosłup Caddy przestał stanowić całość. Następną czynnością było wrzucenie jej do paleniska, wprost na rozgrzane do czerwoności szczapy.

– Aaaa!! – jej krzyk popłynął wprost do komina. Nadludzkim wysiłkiem starała się wydostać na zewnątrz, ale dolna część ciała była głucha na dochodzące z mózgu polecenia, jej wypielegnowane ręce uderzały bez składu w osmolone sadzą ceglane ściany. Oprawca schylił się po pogrzebacz, wymierzył nim w kobietę i ostrym końcem przebił jej klatkę piersiową, wbijając go między cegły. Suknia i włosy Caddy zajęły się ogniem, tworząc imponującą watrę. Walter odwrócił się na pięcie i wyszedł z domu. Wielkie białe płatki śniegu powoli spadały z nieba, tworząc cudowny bajkowy krajobraz.

\*\*\*

Łóżko, krzesło i stół. Obejrzenie pokoju nie stanowiło większego wyzwania. Dlatego Briar od razu usiadła na łóżku. Podskoczyła kilkakrotnie, sprawdzając jego twardość.

– Więc co robimy? – spytała Garneta, patrzącego przez okno na małe brudne podwórko, na którym do rozpadającej szopy przywiązano wychudzonego, czarnego kundla.

– Ja idę do domu, muszę zorganizować jakieś pieniądze, a ty zostaniesz tutaj.

– Kiedy wrócisz?

– Jak wszystko załatwię.

– Przecież mamy pieniądze Elvina.

– To nie wystarczy na długo. Podróż po kontynencie kosztowała fortunę, a teraz jest nas dwoje. Chyba że chcesz spać w takich spelunach jak ta.

– Z tobą mogę spać nawet w lesie – zamrugała kokieteryjnie rzęsami.



– Ale ja nie będę bratał się z plebsem – rzucił ostro. – Dopóki ten stary cap żyje, nie mam żadnego dochodu. Więc chcąc nie chcąc, muszę wycalować rączki mamuśce.

– Nie chcę tu siedzieć, każda chwila bez ciebie ciągnie się w nieskończoność. Może czekając na twój powrót, wyjdę, coś sobie kupię, ta sukienka wygląda jak szmata – uniosła fragment rozdartego materiału. – Chyba chcesz, żebym ładnie dla ciebie wyglądała?

– Nie ma mowy. Nie możesz nigdzie wychodzić, jeszcze by cię ktoś rozpoznał. Myślę, że twoi rodzice nadal się szukają, pewnie nie tylko oni, a jeśli cię znajdą...

– Wiem, wiem, nie chcę znowu siedzieć uwieczona w klatce... – spojrzała na Garneta i gdy tylko wychwyciła jego wzrok, dodała. – Bez mojego rycerza – przygryzła dolną wargę.

– Może powinienem zostawić cię w Blackwood.

– Samą? To już wolę siedzieć tutaj.

– Więc nie narzekaj ty mała zdziro – podszedł do łóżka i uderzył ją na odlew w twarz. – Nigdy nie kwestionuj tego, co mówię – wymierzył kolejny cios, podciągnął sukienkę do góry, drugą ręką rozpinając spodnie. – Kto jest twoim panem?

– Ty – odparła, leżąc na wznak, z rozpostartymi na boki rękami.

– Kto? – zacisnął palce na jej gardle.

– Ty, mój panie – wysapała w podnieceniu, a uśmiech rozjaśnił jej oblicze.

\*\*\*

Czemu człowiek musi mieć w życiu takiego pecha, robi wszystko, jak powinien, a jednak zawsze coś wyjdzie, nie tak jak trzeba – myślała, patrząc w popękane lustro i rozczesując włosy mocno sfatygowaną szczotką. – To nie moja wina, to ten cymbał – spojrzała na odbicie leżącego na łóżku Orrisa.

– Czy, aby dobrze go szukałeś? – spytała po raz wtóry Lorabelle.

– Taak – westchnął wyraźnie znużony. – Pytałem służbę, nie wrócił do domu i nikt nie wie gdzie się podział.

– Wiesz, ile przez ciebie straciliśmy?

– Jak to przeze mnie?

– Niepotrzebnie wyciągałeś tę swoją wykałaczkę. Wystraszyłeś chłopaka i zwał, gdzie pieprz rośnie.

– Sama mówiłaś, żeby go porządnie nastraszyć, więc...

– Nie zwalaj teraz wszystkiego na mnie, mam wiele na głowie i bez twojej pomocy. Wziąłbyś się lepiej do roboty i znalazł tego pajaca.

– Ale gdzie? Nie mam już pomysłu, przetrząsałem całe miasto, zajrzałem do każdej speluny i burdelu.

– O tak, w to akurat nie wątpię – odwróciła się na krześle, aby lepiej widzieć kompana. – Myślisz, że taki elegancik będzie przesiadywał w jakiejś zatechłej knajpie? Wiedząc, iż istnieje duże prawdopodobieństwo na spotkanie twojej kaprawej gęby właśnie w takim miejscu.

– Więc co?

– Musimy czekać, wcześniej czy później pojawi się w domu, a wtedy go dorwiemy.

– Właśnie – splótł ręce pod głową, poprawiając się na łóżku.

– Co właśnie? Jeszcze tu leżysz? Ruszaj leniwe dupsko – powiedziała ostrym tonem, ciskając szczotką w Orrisa. Trafiała go prosto w głowę.

– Auu... za co? – jęknął, rozmasowując czoło. – Przecież mówiłaś, że wystarczy tylko poczekać.

– Tak, ale pod jego domem, baranie. Skąd będziesz wiedział, że wrócił, jeśli nie wystawisz nosa z tego cholernego pokoju?

– Myślałem, że...

– O tym właśnie mówię, ty nie myślisz – podeszła do łóżka i jednym ruchem zrzuciła nogi Orrisa na podłogę. – Zbieraj manele.

– Ale jest potwornie zimno, a ja całą noc szukałem tego gogusia po mieście. Chciałem się tylko trochę zdrzemnąć.

– Jakbyś nie marnował czasu, łażąc po burdelach, to już byś dawno go znalazł i teraz spałbyś pod kołderką z funtów, a tak musisz przewietrzyć mózgowicę. Jestem pewna, że będzie to z korzyścią dla ciebie. Poza tym wcale nie jest tak zimno – wyjrzała przez okno na sznur opatulonych przechodniów. – Powiedziałabym nawet, że... – wstrzymała głos, dostrzegając w tłumie znajomą twarz. Mężczyzna właśnie pojawił się w polu widzenia, prawdopodobnie wyszedł ze „Starego Dorsza”. Powiodła za nim wzrokiem, starając się skojarzyć twarz z miejscem, w którym ją wcześniej widziała. – Orris chodź tu! Szybko! Patrz, widzisz tego jegomościa w czarnym cylindrze? Tam, tam obok tej baby z gówniarzem – stuknęła nerwowo palcem w szybę.

– No, ten wysoki.

– Nie, tumanie! Ten niższy z laską.

– Ta, no i?

– To ten drugi gość spod parku. Ruszaj dupę, tylko go nie zgub – wyrzuciła z siebie jednym tchem.

– Jesteś pewna? – złapał leżące na krześle palto i w biegu zarzucił je na plecy.

– Tak, szybko! – w napięciu patrzyła na ulicę. Po paru sekundach Orris był już na dole, rozglądając się nerwowo. Lorabelle otworzyła okno. – Tam! – zawołała, wskazując ręką kierunek, w którym oddalił się Garnet. Wyczerpana opadła na krzesło uśmiechając się do swojego odbicia w lustrze. Jednak ktoś nad nimi czuwa – westchnęła, z niedowierzaniem kręcąc głową.

\*\*\*

Ogłędziny zaczęli od samej góry, przemieszczając się sukcesywnie w dół domu Griffith'sów, dokładnie przy tym badając wszystkie pomieszczenia. Podczas całej inspekcji Zachariah poruszał się, jak cień nie spuszczać nawet na sekundę z oka madame de Conteville, która właśnie próbowała otworzyć kolejne drzwi.

– A ten pokój, dlaczego jest zamknięty? – spytała.

– To pokój pani Abigail, od czasu jej śmierci madame Clementine zabroniła tam wchodzić – odparła Britannica.

– Chciałabym go obejrzeć.

– Ale madame nie pozwala go otwierać.

– Pani Griffith prosiła, abym pomogła w wyjaśnieniu wczorajszego zajścia. Istnieją uzasadnione podejrzenia, że ta emanacja energii ma nadnaturalne podłoże. Więc jeśli jest to pokój jej tragicznie zmarłej córki, może on mieć kolosalne znaczenie dla odnalezienia źródła tejże energii. Tak więc będzie pani łaskawa.

Britannica z oporem wygrzebała klucz z kieszeni i otworzyła zamek.

– Tylko proszę nic nie ruszać – powiedziała, schodząc z drogi.

– Oczywiście.

Madame de Conteville stanęła w progu, rozglądając się po pokoju i ostrożnie weszła do pokoju.

– Czujesz to? – zapytała, przymykając oczy.

– Tak, wyraźnie, ale... tym razem jest to coś innego jakby... – Zachariah próbował znaleźć odpowiednie słowo.

– Jakby nie do końca pochodziło stamtąd – wciąż z zamkniętymi oczami odchyliła głowę do tyłu, rozkładając ręce na boki, rozczapierzyła palce. Wyglądała jak ktoś, kto próbuje wykapać się w letnim deszczu. Trwała w tej pozycji przez dłuższy czas, oddychając głęboko i miarowo. Wreszcie opuściła ręce, otwierając oczy, które zalśniły niespotykanym blaskiem. – Ta

energia jest... czysta, jest znacznie czystsza od energii pochodzącej z zaświatów.

Zachariah w milczeniu pokiwał twierdząco głową.

– Więc nikt tutaj nie wchodził – powiedziała do siebie madame de Conteville, patrząc na pokrytego kurzem konia na biegunach.

– Tak, tak, jak powiedziałam – odparła Brittanica. Myśląc, iż słowa skierowane były do jej osoby. – Mogę już zamknąć?

– Tak, proszę.

Przechodzili kolejno z pomieszczenia do pomieszczenia. Nie znajdując w nich nic godnego uwagi, do czasu, aż znaleźli się w sypialni Waltera. Madame de Conteville spojrzała porozumiewawczo na Zachariah'a. Wystawiła wyprostowaną rękę przed siebie, kierując dłoń ku podłodze i rozłożyła szeroko palce. Przesunęła ją nad łóżkiem, przez parę sekund przytrzymując nad wezglowiem. Cofnęła się i opuszczając ją, strząsnęła dłoń, tak jakby próbowała pozbyć się z niej czegoś obślizgłego.

– Kto tutaj śpi? – spytała.

– Pan Griffith – odparła suchym głosem Brittanica.

– Mąż pani Clementine?

– Tak.

Wędrówka po reszcie domu zajęła nie więcej niż dziesięć minut. Wreszcie wycieczka dotarła do jadalni. Clementine stała obok stołu, wspierając się na bogato rzeźbionym oparciu krzesła.

– To wszystko panno Bennett – poczekała, aż Brittanica się oddali i dopiero wtedy spytała. – Znalazła pani coś interesującego?

– Można tak to ująć, lecz zanim powiem coś więcej, chciałabym jeszcze zobaczyć salon, w którym miały miejsce te lewitacje.

Clementine podeszła do podwójnych drzwi łączących oba pomieszczenia i otworzyła je na oścież.

– Więc to jest ten pokój – powiedziała madame de Conteville, przyglądając się pobojuwisku, jakie pozostało w salonie po pokazie latających mebli. – Z tego, co pani mówiła, kiedy rozpoczęło się to przedstawienie, rozmawiała pani z mężem, siedząc na... – zawiesiła głos, starając się zorientować po stercie desek, z jakimi meblami ma do czynienia.

– Sofie – wyręczyła ją Clementine. – Stała w tym miejscu, a Walter siedział na fotelu, o tam – objaśniła wszystko ruchem ręki. – I nagle nie wiadomo z jakiego powodu wszystko, zaczęło się unosić. Ot tak.

– Czyli kiedy to się zaczęło, w pokoju była tylko pani z mężem?

– Tak, yyy.... znaczy nie, chwilę wcześniej weszła Brittanica. Panna Bennett zaczęła mówić do męża coś niezrozumiałego o jakimś... takie tam

sprawy dotyczące domu, a potem się wszystko zaczęło.

– A pani mąż, jak się zachowywał? Był spokojny?

– Z początku tak, lecz później... przepraszam, ale jakie to ma znaczenie?

– Tak jak już pani wspomniałam, wyczułam na górze coś niezwykłego.

Dwa miejsca emanujące dużą energią, jedno z nich znajduje się w pokoju pani córki i można by przypuszczać, że siła, która objawiła się, w tym pomieszczeniu pochodzi właśnie stamtąd. Byłoby to jak najbardziej normalne, jeśli w przypadku takich zjawisk możemy użyć takiego słowa. Zmarli ludzie często pozostawiają po sobie energię lub jak kto woli swego ducha, w miejscach, w których zmarli. Energia ta potrafi objawić się w różny sposób, chociażby poprzez przesuwanie rozmaitych przedmiotów. Jednak w przypadku pokoju pani córki, mam co do tego pewne wątpliwości.

– Ale ten nieszczęśliwy wypadek zdarzył się w Blackwood, więc nie rozumiem, w jaki sposób mogłoby to mieć wpływ na nasz dom?

– Dlatego wydaje mi się to mało prawdopodobne. Zwłaszcza, iż to, co czułam, będąc w pokoju Abigaile, było czyste, nieskażone kroplą złej energii i co dziwniejsze zdawało się, że po części pochodzi od osoby... żywej. Wiem, jak dziwnie to brzmi, ale właśnie to czułam.

– Abigail była dobrym dzieckiem, nie pamiętam, aby kiedykolwiek uczyniła komuś coś złego, nie sądzę, aby nawet przeszło jej to przez myśl...

– powiedziała Clementine łamiącym się głosem, czując napływające do oczu łzy. – A tu nagle taka tragedia... ja... państwo wybaczą, muszę na chwilę spocząć – usiadła na stojącym nieopodal krześle.

Madame de Conteville weszła do salonu i tak jak wcześniej na górze, tak i tu wystawiła dłoń przed siebie, rozpościerając palce. Ostrożnie stawiając stopy wśród kawałków drewna, obeszła cały pokój, zatrzymując się jedynie nad znajdującą się pod ścianą stertą połamanych mebli. Przymknęła oczy, mruczając coś do siebie. Wróciła do jadalni i strząsnęła dłoń tak, jak uczyniła to w sypialni Waltera.

– Jestem pewna, że to, co się tu wydarzyło, ma wiele wspólnego z tym, co wyczułam, będąc w sypialni pani męża.

– Nie bardzo rozumiem?

– Po takim wybuchu energii, jaka miała miejsce w tym salonie, zawsze pozostaje ślad. W zasadzie w każdym miejscu, w którym siły nadprzyrodzone kiedykolwiek dały znać o swojej obecności, pozostaje jakiś ślad, większy lub mniejszy. Czasem, to pojedynczy punkt, a niekiedy wyraźna ścieżka.

– I pani je znalazła?

– Tak, ślady tej samej siły. Ten w salonie jest bardzo wyraźny. Nie sposób go nie dostrzec, ale to, co wyczułam w sypialni, to nie ślad, to niemalże brukowana ulica.

– U Waltera? Jak to możliwe? Przecież, to stało się tutaj – spojrzała na zdemolowany pokój.

– Właśnie, to jest w tym wszystkim najdziwniejsze. Czy mąż mówił o jakichś dziwnych incydentach, które miały miejsce w sypialni lub w innych miejscach?

– Nie, ale ostatnio ma duże problemy z pamięcią, nie mógł nawet przypomnieć sobie o latających meblach w salonie.

– Którego zajścia nie pamiętał, pierwszego czy drugiego?

– Obydwu, no i jeszcze te bóle głowy, nawet laudanum nie pomaga. Jedynie opium daje znikomy rezultat.

– A bóle, czy pojawiły się w tym samym czasie co zaniki pamięci?

– Nie jestem pewna. Walter konsultował się z Samuelem, to znaczy z doktorem Grayem, ale po jego tragicznej śmierci... Zapewne słyszała pani o tych morderstwach, chociaż ludzie mówili, że jego służący wyskoczył przez okno. Sama nie wiem, co o tym sądzić. Tak czy inaczej, po śmierci Abigail nie mamy z Walterem już tak dobrego kontaktu. Najlepiej będzie, jeśli... – przerwała, słysząc dochodzące z korytarza głosy. – Państwo pozwolą – wyszła z pokoju, by po minucie wrócić w towarzystwie męża. – Zapewne pamiętasz madame de Conteville oraz pana Zachariaha.

– Oczywiście, jakże mógłbym zapomnieć, to jedyne w swoim rodzaju przedstawienie – przywitał gości delikatnym skinieniem głowy – Cóż państwa tu sprowadza? Czyżby kolejny seans? – podszedł do ustawionych na małym stoliku kryształowych karafek. – Państwo sobie życzą... – zawiesił głos, czekając na odpowiedź.

– Nie, dziękuję, powinnam mieć świeży umysł. Alkohol przytępia zmysły – wyczuła tę energię od razu, gdy tylko wszedł do pokoju. Emanował tą samą niepokojąco mroczną siłą, jaką spotkała w sypialni na górze.

Zachariah zerknął na madame de Conteville, niezauważalnie kiwając głową.

– Ja sobie nie odmówię – Walter napełnił kieliszek ginem. – A dla ciebie? – spojrzał na żonę.

– Może być to samo – odparła Clementine.

– Więc co panią do nas sprowadza?

– Pani Clementine prosiła, żebym się tu trochę rozejrzała w związku z ostatnimi dziwnymi wydarzeniami jakie miały tu miejsce.

– A cóż, że się tu mogło stać? Nie przypominam sobie nic, co mogłoby zainteresować medium.

– Chociażby lewitujące meble – odparła madame de Conteville.

– Ha, chyba pani w to nie wierzy. Clementine mnie również próbowała to wmówić, lecz ja jestem niemal pewny, że nic takiego nie miało tu miejsca.

– Powiedział pan „niemal”.

– Tak, tylko dlatego, że nie do końca pamiętam, co się wtedy wydarzyło, ale bądźmy szczerzy, takie rzeczy się nie zdarzają. Latające meble? Przecież to kompletna bzdura – uśmiechnął się szeroko.

– Więc jak pan wytłumaczy te wszystkie zniszczenia? – cały czas nie mogła oderwać od niego wzroku. Miał w oczach coś dziwnego, coś, co sprawiało, że jego spojrzenie mimo serdecznego uśmiechu na twarzy, wiało zimnem i grozą. Zupełnie jakby wpatrywała się w oczy kamiennego gargulca.

– Nie wiem, może Brittanica dostała szału, podobno nie była w najlepszym humorze – zerknął na Clementine, tym razem jego uśmiech był wąską złośliwą kreską. – Nie bardzo mogę pani pomóc, w zasadzie nic nie pamiętam.

– No właśnie, o co właściwie chodziło panie Bennett? – spytała Clementine.

– A skąd mam u licha to wiedzieć? Już ci mówiłem, że dla mnie tego dnia praktycznie nie było. Wszystko, co wiem, dowiedziałem się od ciebie, a ile w tym jest prawdy, wiesz tylko ty. Więc jeśli oczekujesz ode mnie jakichś szczegółów, to nie jestem w stanie ci w żaden sposób pomóc. Może Brittanica powie ci coś więcej.

– Już z nią rozmawiałam, mówi, że nic nie pamięta.

Walter wzruszył ramionami.

– Jeśli pan pozwoli, jednak napiłabym się troszeczkę ginu – wtrąciła madame de Conteville.

– Oczywiście – odparł Walter, nalewając trunek.

– Dziękuję – odebrała kieliszek, celowo dotykając jego dłoni i wtedy to poczuła. Gniew, wściekłość i mrok. Zupełnie jakby nagle wpadła do studni. Siłą woli zmusiła się do spokojnego cofnięcia ręki i ledwo opanowując drżenie, uniosła kieliszek do ust.

– Cóż, państwo wybaczą – kiwnął nieznacznie głową i wyszedł z pokoju.

Madame de Conteville usiadła na krześle i nie próbując alkoholu, odstawiła kieliszek na stół.

– Miała pani rację, musimy działać bardzo szybko, najlepiej dziś.

– Więc co robimy? – Clementine spoczęła na krześle obok.

- My? Tak, my też, ale naprawdę może pomóc jedynie Zachariah.
- Zachariah?
- Tak, ja jestem medium, natomiast Zachariah potrafi wygnać ducha, który zawładnął człowiekiem, kierując jego umysłem i ciałem.
- Myślałam, że wystarczy jakieś... bo ja wiem... zaklęcie, czy zapalenie jakiegoś zioła i okopcenie domu kadzidłem lub czymś podobnym.
- Niestety, sprawa jest poważniejsza. Zazwyczaj duchy nie są groźne, czasem przesuną filizankę lub zdmuchną świecę. W większości przypadków nawet nie zdajemy sobie sprawy z ich obecności, po prostu żyją wśród nas, robiąc swoje, że tak powiem „duchowe rzeczy”. Nie mogą, a nawet nie chcą nas skrzywdzić. Gdyż nie są w stanie fizycznie nas dotknąć. Jednak to, co się stało w pani salonie, pokazuje, że duch jest naprawdę silny, ale mimo wszystko nie byłby w stanie tego zrobić, gdyby nie zawładnął czyimś ciałem. W tym przypadku ciałem pani męża.
- Ale jak to możliwe, kiedy to mogło się stać?
- Przypuszczam, że podczas naszego pierwszego spotkania. W trakcie seansu w lustrze pojawiła się mroczna postać, kogoś, kto nie został przez nas wezwany. Duchy często próbują wrócić do naszego świata, ale nie jest to dla nich takie proste. Dlatego mają się różnych sposobów. Jednym z nich są seanse spirytystyczne. Kiedy wzywam zmarłą osobę sygnał, który jest przeze mnie wysyłany, odbiera nie tylko jeden zmarły, lecz wielu. Można to porównać z krzyżeniem przez okno do przechodzących ulicą ludzi. Czasem zawołanie usłyszy bezpośrednio adresat, a czasem trzeba długo czekać, aż wezwanie dotrze do niego poprzez innych zmarłych, a wtedy korzystając z sytuacji, ktoś może zająć jego miejsce. Zmarli niekiedy tęsknią za minionym życiem i mają się wszelkich sposobów, aby do niego wrócić. Na pewno pamięta pani postać, która podczas seansu pojawiła się w lustrze – Clementine skinęła głową. – To był właśnie jeden z takich duchów i gdyby w tym momencie krąg stworzony z naszych rąk nie został przerwany, nic by się nie stało, a tak duch wtargnął w ciało pana Waltera. Przypuszczam, że od tego czasu pani mąż zaczął miewać silne bóle głowy oraz zaniki pamięci.
- Clementine wędrowała wzrokiem po czarnej koroncy, starannie oplatającej szyję madame de Conteville, starając się uporządkować otrzymane przed chwilą informacje.
- Jak teraz się nad tym zastanawiam, to ma pani rację. Problemy z pamięcią pojawiły się dopiero po seansie... więc według pani Walter jest opętany?
- Użyłabym raczej słowa nawiedzony i tak, jestem o tym przekonana. Wyczułam od pani męża tę samą moc, którą jest skalana sypialnia na górze.



Siła była wyczuwalna, już w momencie, kiedy wszedł do pokoju, ale kiedy go dotknęłam, omal nie zważyło mnie z nóg. Zawładnął nim mrok i prawdziwe zło. Obawiam się, że to, czego była pani świadkiem w salonie, jest niczym przy tym, co może uczynić lub co już czyni. Musimy jak najszybciej przegnać to coś i odesłać do tamtego świata.

– Czy... – sięgnęła po odstawiony przez madame de Conteville kieliszek.  
– Pije pani?

– Nie, proszę.

Jednym haustem wypłała całość.

– Ale dlaczego on? Przecież w pokoju było wiele innych osób. Czemu wybrał akurat jego?

– Nie ma na to jednoznacznej odpowiedzi, ale duchy wnikają zazwyczaj w osoby, którymi będą mogły w łatwy sposób manipulować. Jak pani wspomniała, pan Walter często pije laudanum oraz nie stroni od palarni opium. Przez co mógł być bardziej podatny na nawiedzenie. Z drugiej jednak strony, poprzez częste otępienie spowodowane przez używki, może nie być idealnym obiektem do sterowania. Dlatego często mimo wszystko pozostaje sobą, nieświadomie nie dając przebić się duchowi do swojego umysłu. Przypuszczam, że chwile, kiedy duch przejmuje nad nim tymczasową kontrolę, pani mąż odczuwa później jako zaniki pamięci. Gdyż w tym czasie nie wie, co robi i gdzie się znajduje. Gdyby nie jego uzależnienie od opium, prawdopodobnie już dawno straciłby władzę nad swoim umysłem, a tak, istnieje jeszcze szansa. Wszystko w rękach Zachariaha – obie kobiety jednocześnie spojrzały na stojącego obok okna, przysłuchującego się ich rozmowie mężczyznę, który na nie zadane pytanie uspokajająco przytknął powieki.

– Zatem nie mamy na co czekać – powiedziała Clementine.

– W rzeczy samej – odparła madame de Conteville.

\*\*\*

Tym razem Mildreth skorzystała ze znajdującej się na piętrze łazienki i Wykorzystując panującą w domu zamieszanie, jak najszybciej znalazła się po drugiej stronie.

– Abigail, Abigail! – zawołała tuż po opuszczeniu mgły i natychmiast pobiegła do jej pokoju.

Dziewczynka bujała się na koniku, trzymając przed sobą lalkę, której ręce zostały sprytnie oplecione końską grzywą.

– Co się dzieje? – spytała, widząc, wbiegającą do pokoju Mildreth.

- Dobrze, że jesteś, już myślałam, że gdzieś poszłaś – wydyszała.
- Właśnie jesteśmy na przejeździe. Wiedziałaś, że w Ameryce konie biegają same po łąkach w takich wielkich stadach, że nie można ich ogarnąć wzrokiem.
- Nie – kiwnęła zdziwiona głową.
- Tata mi to powiedział – odparła zadowolona. – Dlaczego krzyczałaś?
- A no tak, byli u ciebie w pokoju i chyba cię znaleźli.
- Jak to?
- Twoja mama ich zawołała. Przyszła jakaś kobieta z mężczyzną, chodzili po całym domu, sprawdzając każdą izbę. Gdy znaleźli się w twoim pokoju, powiedzieli, że wyczuwają jakąś energię, pytali, kto tam mieszka, a teraz chyba wywołują duchy.
- Duchy? – oczy Abigail wyszły z orbit.
- Tak, myślę, że powinnaś uważać. Chyba wydaje im się, że twój duch chodzi po domu i straszy.
- Przecież nie ma żadnego ducha, ja żyję.
- Ale oni o tym nie wiedzą, a jeśli zrobią coś, co na zawsze cię tutaj uwięzi. Hortense nie wie, jak to działa i prosiła, żebyś na wszelki wypadek gdzieś się ukryła. Pospiesz się, musimy jak najszybciej się stąd wydostać.
- Abigail zeskoczyła z konika, przeszła ponad progiem w przód i w tył, złapała Mildreth za rękę i wkroczyły w mleczną mgłę.

\*\*\*

– Po co to całe przedstawienie? – powiedział Garnet wyraźnie niezadowolony z obrotu spraw. Jeszcze godzinę temu wszystko wydawało się proste. Miał porozmawiać z matką, a w zasadzie nakłonić ją, aby zgodziła się na kolejną kosztowną podróż. Wiedział, że mu się uda i że wcześniej czy później dopnie swego, ale zdecydowanie bardziej odpowiadał mu wariant wcześniejszy. Przecież był jej ukochanym synkiem i potrafił to wykorzystać, i wszystko byłoby dobrze, gdyby nie ta szurnięta baba z kuternogą. To przez nią siedział teraz w wysprzątanym naprędce salonie, zamiast uczyć posłuszeństwa małą Briar.

Po poboju nie zostało żadnego śladu. Resztki mebli zniknęły, pozostawiając po sobie puste pomieszczenie, pośrodku, którego ustawiono cztery krzesła.

– Już ci tłumaczyłam, madame de Conteville powiedziała, że im nas więcej, tym krąg stanie się mocniejszy.

– Wiem, ale co my właściwie robimy? Chcecie wywołać jakiegoś ducha?  
– obserwował Zachariaha, który zapalał świece w czterech trójramiennych lichtarzach ustawionych na podłodze, każdy w innym kącie pokoju.

– Nie wywołać, tylko przepędzić.

– Przepędzić? To znaczy, że... – w jednej chwili przypomniały mu się nocne odwiedziny siostry. – To ty też ją widziałaś?

– Kogo?

– Abigail.

– O czym ty mówisz?

– To było w nocy, w sypialni. Obudziłem się i wtedy ją zobaczyłem, wyglądała jak żywa.

– Widziałeś ją, może to ci się tylko śniło?

– Nie mam, jestem pewien, że to była ona. Czy... czy to ją chcesz wypędzić?

Clementine pokręciła przecząco głową i szybko wyszła z pokoju, wpadając w korytarzu na madame de Conteville.

– Abigail tu jest, Garnet widział ją w swoim pokoju – powiedziała podekscytowana. – Muszę z nią koniecznie porozmawiać. Teraz może się udać. Jeśli jej duch jest w domu, może chce coś nam powiedzieć.

– Dobrze, ale w tym momencie mamy ważniejsze rzeczy do zrobienia.

– Nie, chcę porozmawiać z córką teraz, jeśli tego nie zrobimy, później znowu może się nie udać.

– Proszę mi zaufać, to nie jest dobry pomysł. Przywołując Abigail, nie wiemy, co robi pani mąż, a w zasadzie duch, który go nawiedził. Może zabić pani męża lub nas, a nawet zrobić krzywdę pani zmarłej córce. Brzmi to niewiarygodnie, ale duchy zmarłych mogą cierpieć tak samo, jak my. Po drugiej stronie, tak, jak i w życiu są dobrzy i źli, a ci źli żywią się energią innych, niewinnych takich jak Abigail. Dlatego niech pani jak najszybciej przyprowadzi męża. Możemy zaczynać.

Zachariah zapalił ostatnią stojącą na podłodze świecę, umieszczoną pomiędzy czterema krzesłami. Po czym stanął obok przykrytego czarnym materiałem trema, ułożonego za jednym z wolnych krzesel.

– A to po co? – spytał Garnet, kiwając głową w stronę lustra.

– Zwierciadło jest niezbędne, zaraz sam się o tym przekonasz – odparła madame de Conteville i widząc wchodzących do pokoju Clementine i Waltera dodała. – To miejsce jest dla pana – wskazała ręką krzesło naprzeciwko, znajdujące się pomiędzy nią a lustrem. Poczekała, aż Griffith'sowie zajmą swoje miejsca. Zachariah zamknął drzwi i ponownie stanął obok lustra. – Zanim zaczniemy, muszę zaznaczyć, że niezależnie od

tego, co się zaraz wydarzy, proszę, aby nikt pod żadnym pozorem nie opuszczał swojego miejsca i najważniejsze. Nieważne czego będziecie świadkami, w żadnym razie nie możecie przerwać kręgu – powiodła wymownym wzrokiem po zebranych. – Jeśli wszyscy są gotowi, możemy zawiązać krąg – wystawiła ręce na boki, chwytając dłonie Garneta i Clementine. Odchyliła głowę do tyłu, zamknęła oczy i zaczęła coś mamrotać.

– Co ona... – rzucił Garnet.

– Cicho! – warknęła Clementine, piorunując go spojrzeniem.

Po chwili madame de Conteville poczęła ruszać głową, jakby czegoś szukała, lecz jej oczy pozostawały wciąż zamknięte. Jedyne ruch gałek ocznych pod powiekami świadczył o tym, że nerwowo rozgląda się na boki.

– Jest tu z nami ktoś, kto nie został tu zaproszony. Kim jesteś? – zamarła czekając na odpowiedź. Nagle temperatura w pokoju spadła, zamieniając oddechy zebranych w parę. – Wiem, że mnie słyszysz. Rozkazuję ci, byś się objawił – otworzyła oczy, spojrzała na stojącą na ziemi świecę, a jej płomień zachwiał się gwałtownie, prawie gasnąc.

– Ha, ha – zaśmiał się głośno Walter.

Garnet spojrzał na ojca, chcąc coś powiedzieć, ale zamarł, widząc tylko białka oczu. Odruchowo rozluźnił uchwyt na trzymanej dłoni Waltera.

– Nie wąż się – syknęła Clementine. – To twój ojciec – aby podkreślić wagę swych słów, ścisnęła mocniej rękę męża.

Garnet przygryzł wargę, walcząc z chęcią ucieczki.

– Kimże jesteś, aby mi rozkazywać? – odezwał się Walter nienależącym do niego niskim gardłowym głosem.

– Jestem tą, która może sprawić, iż twe ostatnie chwile na tym świecie, będą bardzo bolesne. Wyjaw swoje imię! – rozkazała, twarz nabiegła jej krwią, a żyły na skroni napięły się, zamieniając w gruby pulsujący rzemień.

Walter zacisnął zęby, a ich przejmujący do szpiku kości zgrzyt rozszedł się po całym pomieszczeniu i poprzez charkot wyrzucił z siebie.

– Ja jestem bólem, ja jestem Caleb Rzeźnik z Johnstone – mrozący kości wiatr zawirował między krzesłami, unosząc pozostałe po meblach drzazgi.

– Żądam, byś opuścił to ciało, wróć tam, skąd przybyłeś.

– Po co miałbym to robić? Nie po to tak się trudziłem, żeby teraz po prostu odejść – zaśmiał się rubasznie.

– To nie jest twoje miejsce, to nie jest twój świat.

– Tu jest mi dobrze, znów czuję, że żyję, ha, ha. Czemu miałbym z tego rezygnować?

– Bo ja ci tak każę.

– Nie możesz mi nic zrobić, a tym bardziej nakazać, jesteś żalosna i słaba  
– potężny podmuch powietrza, przetoczył się przez pokój, przewracając z hukiem, stojące pod ścianą świeczniki.

W tym momencie Zachariah zarzucił od tyłu na Waltera splecioną z kolorowych paciorków pętlę, przywiązując jego ciało do oparcia krzesła.

– Co to? – zdziwił się Walter, patrząc w dół. – Koraliki? Ha, ha, myślicie, że to mnie powstrzyma?

– Ręce, trzymajcie go! – zaordynowała madame de Conteville.

Clementine zacisnęła chwyt, lecz ku swemu zdziwieniu zauważyła, że dłoń męża zdawała się wiotka, jakby miała do czynienia ze słabą schorowaną istotą.

Zachariah rzucił na ziemię płótno, odkrywając ustawione za krzesłem lustro. Stał za Walterem i kładąc dłonie na jego skroniach, wyrzucił z siebie potok niezrozumiałych słów.

– Orrre yerre horrte...

– Zostaw mnie ty... aaaa! – ryk Waltera wypełnił pokój.

– ...haynna eyyna eyya... – monotony rytmiczny głos wypływał gładkim strumieniem z ust Zachariaha.

– Aaaaa... ty...! – krzyczał jak obdzierany żywcem ze skóry. Wił się miotając na wszystkie strony, lecz jego ruchy pozbawione były siły.

Zachariah trwał w swej pozycji przez dłuższy czas, nawet na sekundę nie przerywając potoku słów. Wzmógł nacisk na skronie Waltera i nagle dynamicznie poderwał ręce, ciągnąc do góry coś, co wyglądało jak wyciągane z wody mokre prześcieradło, ale w przeciwieństwie do niego było przezroczyste i lejące jak nie do końca zsiadła galareta. Zrobił krok do tyłu, ciągnąc ze sobą wciąż wydostającą się z głowy substancję. Wtem gwałtownie się zamachnął i cisnął nią wprost na odsłonięte lustro, które momentalnie pokryło się mleczną mgłą. Głowa Walter opadła bezwładnie na klatkę piersiową.

– Walter, Walter, słyszysz mnie? – odezwała się Clementine.

– Nic mu nie będzie, to tylko...

Na potwierdzenie słów madame de Conteville, Walter się ocknął.

– Co się dzieje? – zamrugął powiekami, jakby właśnie obudził się z głębokiego snu. – Co ja tu robię? – spojrzał na swoje rozłożone ręce, wciąż ściskane przez Garneta i Clementine.

– Byłeś... – Clementine nie dokończyła, gdyż przeraźliwy skowyt rozdarł powietrze.

Wszyscy spojrzeli na stojące z boku lustro, które zaczęło trzeszczeć, wyrzuszając się pośrodku. Z wypełniającej tafle szkła mgły, wynurzyła się

wykrzywioną w potworny grymasie wściekłości twarz.

– Ty! – ryknęła, wysuwając się do przodu. Zwierciadło wypaczyło się, jakby było z ciasta, przybierając postać wynurzającego się z wody oblicza.

Dla Garneta to było zbyt wiele. Wrzasnął, puszczając rękę Waltera, odepchnął się do tyłu i wraz z krzesłem upadł na plecy.

– Nie! – zawołała madame de Conteville, widząc rozrywający się krąg i w tym momencie tremo pękło, rozbijając się na dziesiątki kawałków. Zachariah upadł na kolana, a powietrze zawirowało wokół krzesła, tworząc coś na kształt cyklonu. Drzwi do pokoju otworzyły się z hukiem i w jednej chwili wszystko ucichło.

Brittanica wbiegła do salonu, potykając się, o leżący w przejściu lichtarz.

– Co się stało? – spytała, patrząc na pobożowisko.

– Nikomu nic nie jest? – zawtórowała madame de Conteville, wstając z krzesła. – Zachariah! – zawołała, pochylając się, nad zgietym w pół mężczyzną.

– Przepraszam – jęknął, trzymając się za bok.

– To nie twoja wina, to krąg... boże! – zawołała, widząc rosnącą plamę krwi na kamizelce służącego.

– Szybko, przynieś jakieś czyste szmaty – rozkazała Clementine Brittanice, która właśnie podeszła do otumanionego Waltera.

– Ale pan jest ranny – dotknęła krwawiącego policzka.

Clementine zerknęła na męża.

– Zajmę się tym, a teraz biegnij po szmaty.

Garnet powoli wstał, trzymając się futryny, rzucił zamglonym spojrzeniem na resztki salonu i zataczając się, wyszedł na korytarz.

– Czujesz? – Zachariah przymknął powieki. – Oddała się.

– Czyli się udało – westchnęła z ulgą madame de Conteville.

– Nie, skup się, to się oddała.

Teraz to ona przymknęła oczy, powoli oddychając.

– Tak, masz rację.

– Gdzie on jest... gdzie jest ten chłopak – rozejrzał się po pokoju.

– Myślisz, że on...

– Jestem tego pewien – przerwał Zachariah.

\*\*\*

Już nie mogła się doczekać powrotu Orrisa. Krążąc po pokoju, analizowała całą sytuację. Pieniądze, które omal się jej nie wymknęły, znów były na wyciągnięcie ręki, to nie mógł być przypadek, one po prostu jej się

należały. Po raz enty wyjrzała przez okno, wypatrując w ludzkiej rzece znajomej sylwetki. Gdzie ten bałwan zniknął..., a jeśli ją przechytrzył, dorwał chłopaka, dogadał się i sam zabrał całą nagrodę? – pomyślała z przerażeniem, ale po chwili odrzuciła tę myśl. Byłby do tego zdolny, ale jednocześnie za głupi, żeby na to wpaść. Wznowiła spacer, przecierając utartą ścieżkę, łączącą okno, stolik i skrzynię z ubraniami, a wijącą się wkoło rozklekotanego łóżka. Miała wrażenie, że coś przeoczyła i to coś bardzo oczywistego. Tylko co? Wypatrzenie na ulicy Garneta było tak szczęśliwym zbiegiem okoliczności, że aż nieprawdopodobnym, ale czy aby na pewno? Czy to był przypadek? Nagle coś sobie przypomniała. Miejsce, w którym go dostrzegła, świadczyło o tym, iż przed chwilą musiał wyjść ze „Starego dorsza”. Oczywiście, przecież już go tu widziałam, jak wychodził z jakąś latawicą. Czyżby... Natychmiast wyszła z pokoju, by po chwili znaleźć się przy barowym kontuarze.

– Dick! – zawołała do krzątającego się za barem mężczyzny.

– Czego? – burknął.

– Wychodził niedawno stąd taki młody mężczyzna, mniej więcej tego wzrostu – uniosła dłoń tuż nad swoją głowę. – W cylindrze, ciemny płaszcz.

– A bo ja wiem. Cały czas ktoś tu się kręci.

– Na tego na pewno zwróciłeś uwagę, elegancki. Widać, że ma pieniądze, prawdziwy gentleman. Nie tak jak ta hołota, która tu przesiaduje.

– Może i wiem, o kim mówisz – oparł ręce na brudnym blacie.

– Świetnie, a teraz mów co tu robił.

Dick chwycił stojącą obok butelkę ginu i nalał solidną porcję do dwóch kieliszków. Przesunął jeden w stronę Lorabelle.

– Nie chcę – machnęła głową.

– Twoja wola – jednym haustem opróżnił kieliszek. – Ale ty zapłacisz.

– Co?

– Chyba że już nie interesuje cię to, co mam do powiedzenia – wykrzywił usta w złośliwym grymasie.

– Masz – rzuciła z rozmachem parę pensów.

– Ha, dwa szylingi.

– Ile?

– Słyszałaś, chyba że chcesz, abym nalał trzeci?

– Nie, dwa wystarczą – wyjęła monety.

Gdy tylko karczmarz, położył na nich pulchne palce, Lorabelle złapała go za dłoń, przyciskając ją do blatu ostrzem noża.

– Lepiej, żebyś mnie nie próbował oszukać, bo twoje tłuste paluchy posłużą ci za zagryzkę do drugiego kieliszka – docisnęła nóż.

– Spokojnie, po co te nerwy – uśmiechnął się nonszalancko, ale jego drżący głos wyrażał zupełnie co innego. – Przyjechał rano, zapłacił za tydzień, wziął pokój naprzeciwko twojego i poszli na górę.

– Jak to poszli?

– Był z jakąś dziewczyną. Posiedział jakiś czas w pokoju i wyszedł.

– A co z dziewczyną, poszła z nim?

– Nie, nadal tam jest.

Patrzyła mu w oczy, cały czas bawiąc się nożem wbijanym w bladą dłoń Dicka.

– Oczywiście nie powiesz, że się o niego pytałam.

– Oczywiście – odpowiedział błyskawicą.

– Dzięki – zabrała nóż. – Wiesz, im dłużej cię znam, tym bardziej zyskuję pewność, że twoja matka dobrze wiedziała, co robi, nazywając cię Dick – posłała mu buziaka, odwracając się na pięcie.

– Wredna suka – wysyczał.

– Tak, i radzę ci o tym nie zapominać – rzuciła przez ramię. Wróciła do pokoju, usiadła na rozklekotanym, krześle wpatrując się w lustro. Wciąż mając w głowie to, co przed chwilą usłyszała od Dicka. Ten gnój wynajął pokój tuż obok niej i to nie sam, czyżby... – wstrzymała oddech, słysząc skrzypienie desek na korytarzu i drzwi do pokoju otworzyły się z rozmachem.

– No i? – spytała, zanim Orris zdążył otworzyć usta.

– Wiem gdzie mieszka – wszedł zadowolony z siebie.

– Dobra nasza, ale mam coś lepszego.

Zmarszczył brew w oczekiwaniu.

– Ten goguś przyjechał tu rano z jakąś dziewczyną i wynajął pokój po drugiej stronie korytarza.

– Co, w Dorszu?

– Dokładnie, a najlepsze jest to, że dziewczyna nadal jest w pokoju, więc wcześniej czy później na pewno tu wróci.

– To po co za nim latałem po tym mrozie?

– Przewietrzyłeś się i tyle, to dla twojego zdrowia – mrugnęła figlarnie okiem.

– Pierwsze słyszę, aby zapalenie płuc wyszło komuś na zdrowie.

– Nie zachowuj się jak baba, a jego adres może nam się jeszcze przydać – nie wiedzieć czemu zrobiło jej się go żal, więc dodała. – Dobra robota, bez ciebie nie dałabym sobie rady.

– No, nie było łatwo – poczuł wiatr w żagle. – Kiedy zniknął za rogiem, ledwie go dogoniłem, a potem nadszedł jakiś powóz, przebiegłem na drugą



stronę...

– Myślę, że powinniśmy tam pójść – zniecierpliwiona przerwała wywód Orrisa.

– Eee... co?

– Musimy pójść do tej dziewczyny, jeśli to ją porwano, możemy ją uwolnić i...

– Po co? Przecież jak to zrobimy ten hmm... Garnet nic nam nie zapłaci.

– Może tak, a może nie, ale na pewno zapłaci nam jej tatuś. Każdy ojciec odda wszystko za uratowanie ukochanej córeczki, a my byśmy to uczynili. Tacy bohaterzy z pewnością zostaliby sowicie wynagrodzeni. Co o tym sądzisz, chcesz okryć się chwałą?

– Chwała nie jest mi potrzebna, ale wypchanymi kieszeniami nie pogardzę.

Chwilę później stali już pod drzwiami wynajmowanego przez Garneta pokoju. Spojrzeli po sobie i Lorabelle nacisnęła klamkę, uchylając drzwi. Briar leżała na łóżku tyłem do wejścia.

– Kochany, wreszcie jesteś – powiedziała, przekręcając się na plecy. – Strasznie tu nudno, może... – przerwała, widząc, stojącą w progu parę.

Lorabelle od razu rozpoznała w niej dziewczynę spod parku, ale to, co przed chwilą usłyszała, kompletnie zbiło ją z tropu. Weszła do pokoju, intensywnie myśląc nad zaistniałą sytuacją.

– Czy wszystko w porządku? – spytała, rozglądając się po pokoju.

– Tak... ale... co właściwie pani tu robi? Nie zamawiałam służby – podniosła się z łóżka.

– Słyszałam hałas i pomyślałam... możemy pani pomóc.

– Słucham? Nie rozumiem, o czym pani mówi.

– Z nami będziesz bezpieczna – wtrącił Orris. – Zabierzemy cię stąd. No dalej, pospiesz się, zanim on wróci.

– Bezpieczna? Myślę, że wręcz przeciwnie, nawet nie wiem, kim jesteście – wycofała się za łóżko. – Proszę natychmiast opuścić ten pokój.

– Chodź, z nami nic ci nie będzie – Lorabelle zrobiła krok do przodu.

– Pomocy! – ryknęła Briar na całe gardło.

Lorabelle zatrzymała się, unosząc rękę w uspokajającym geście.

– Spokojnie, chcemy ci tylko pomóc. Prawda – zerknęła na kompana. – Wiemy, że on cię porwał. Już nie musisz się go obawiać, teraz będziesz pod naszą ochroną.

– Właśnie malutka, chcemy pomóc – Orris zamykając drzwi, ukazał żółte połamane zęby, w jak mu się wydawało przyjaznym uśmiechu.

– Nikt mnie nie porwał! Ratunku, Garnet! – wydała z siebie piskliwy dźwięk.

– Spokojnie jesteście przyjaciółmi – Lorabelle podeszła do łóżka.

– Tak, przyjaciółmi – zawtórował jej Orris.

– Garnet!! – dziewczyna wrzasnęła ile sił w płucach.

Nagle Orris wykonał dwa potężne kroki, pokonując w mgnieniu oka dzielącą go od Briar odległość. Zamachnął się i uderzył ją pięścią w twarz. Padła jak kłoda na łóżko.

Lorabelle podbiegła do nieprzytomnej dziewczyny.

– Kurwa coś ty zrobił? – pochyliła się, aby sprawdzić, czy oddycha.

– Trochę spanikowałem. No co? – widząc wściekłe spojrzenie Lorabelle, szybko dopowiedział. – Przecież widziałas, jak się darła, musiałem ją delikatnie uciszyć.

– Delikatnie? Mało co, a głowa by jej spadła z karku. Na pewno nie omieszka o tym wspomnieć tatusiowi.

– To może zawieźmy ją do domu i zgarnijmy pieniądze, zanim odzyska przytomność.

– Idioto, nawet nie wiemy gdzie mieszka, a w tym stanie raczej nam nie powie.

– To, co zrobimy?

Przycupnęła na łóżku, zacisnęła zęby, aby opanować złość i zebrać myśli.

– Zabieraj ją do naszego pokoju, a jak dojdzie do siebie, uważaj, żeby się nie darła i nigdzie nie wychodziła, a ja idę porozmawiać z panem Garnetem.

– Po co, przecież mamy dziewczynę?

– Ale on o tym nie wie i nie dowie się, póki tu nie wróci. Dlatego trzeba się pospieszyć. Wyciągnę od niego pieniądze, a potem zakasujemy okrągłą sumkę od jej rodziny.

\*\*\*

– Natychmiast wezwij powóz! – krzyknęła Clementine do Britannici. Widząc przesączającą się przez jeszcze przed chwilą suche szmaty krew. – Musimy zabrać Zacharaiha do lekarza i to jak najszybciej – spojrzała na siedzącego na krześle męża, który wydawał się wciąż oszołomiony.

– Tak, tak jedźcie – powiedział Walter, wyczuwając spojrzenie żony.

– Powinieneś jechać z nami.

– Nie, nie... nic mi nie jest, to tylko zadrapanie – wciąż oszołomiony dotknął ręką zdrowego policzka. – Tak... będzie szybciej.

Clementine wraz z madame de Conteville ostrożnie postawiły Zachariaha na nogi. Przy wtórze rozdeptywanego szkła ruszyły w stronę wyjścia. Nie zważając na panujący mróz, tak jak stały wyszły na zewnątrz. Brittanica właśnie zatrzymała przejeżdżający ulicą powóz, po czym pomogła całej trójce wejść do środka.

– Elm street i to szybko! – zawołała przez okno Clementine. – Cud, że poza Zacharaihem i Walterem, nikomu nic się nie stało, to lustro po prostu wybuchło, a ta twarz wynurzająca się ze szkła. Jak to możliwe?

– Zachariah wypędził ducha z pani męża i więząc go w lustrze, uniemożliwił mu powrót do tego świata. Gdyby nie to, że krąg został rozerwany, wszystko przebiegłoby zgodnie z planem, a tymczasem duch wyswobodził się z pęt. Jedynie święty pas Indian Tuclu, którym Zachariah przywiązał Waltera do krzesła, ocalił mu życie. W przeciwnym razie pani mąż już by nie żył. Dlatego duch wyładował całą swoją wściekłość na Zachariahu, na szczęście ochronił go amulet – dotknęła ręką skrytego pod kołnierzykiem łańcuszka.

– Czyli duch nie został wypędzony?

– Tak i nie. Walterowi już nic nie grozi, ale duch znajdzie kogoś innego, kogoś podatnego. Osobę, której użyje jak naczynia, osobę, którą łatwo zawładnie, i którą będzie mógł łatwo sterować.

– Sądzi pani, że coś mi grozi?

– Nie, pani nie. On już wybrał.

– Jak to? O kim pani mówi?

Madame de Conteville nie odpowiedziała od razu, wpatrując się w bladą twarz Clementine. Kobiety, która niedawno straciła córkę, a teraz mogła stracić syna.

– Garnet, on wniknął w Garneta – odparła.

– Jak, jak to możliwe... skąd ta pewność? – powiedziała drżącym głosem.

– Zachariah to wyczuł, a on się nigdy nie myli..., podczas jednego z naszych spotkań wspominałam o aurze pani syna, była ciemnoszara, niemal czarna. Mroczna aura dla ducha to jak żyzna gleba pod uprawę. Nie może sobie wymarzyć lepszej ofiary. Taka osoba jest bardzo podatna na jego wpływ, znacznie podatniejsza niż pani mąż.

– On... eehh... – zarzęził Zachariach, wypuszczając z ust bańkę śliny.

Madame de Conteville przystawiła ucho do jego ust. Słuchała, co jakiś czas, kiwając potakująco głową.

– Mówi, że musimy się pospieszyć i jak najszybciej wygnać ducha z Garneta, gdyż ta istota dzięki uwolnieniu się z nałożonych na niego pęt

zyskał na sile, a pani syn jest bardzo słaby i nie będzie w stanie długo mu się opierać.

– Boże zatem musimy jak najszybciej wracać – uchyliła okno, aby krzyknąć na stangreta, ale madame de Conteville powstrzymała ją ruchem ręki.

– Nie możemy, Zachariah jest zbyt słaby, aby stanąć do walki, a ja sama nie jestem w stanie pomóc. Musimy jak najprędzej go opatrzyć, a potem zajmujemy się duchem... Zdażymy.

Clementine otworzyła szerzej okno.

– Szybciej! Na litość boską, niech pan się pospieszy! – zawołała i bat trzasnął w zapadającym mroku.

\*\*\*

Cały czas trzymając go pod rękę, Brittanica wprowadziła Waltera do sypialni. Zdawał się taki kruchy, ledwo powłóczył nogami, choć poza dwucalową czerwoną pręgą, przecinającą mu prawy policzek, nie było widać po nim żadnych ran.

– Powinieneś się położyć, odpoczynek dobrze ci robi – powiedziała, sadowiąc go na skraju łóżka. – Jesteś taki słaby.

– Co się właściwie stało? Pamiętam, jak byliśmy w pokoju..., świece, madame de Conteville coś powiedziała, a potem... potem ten człowiek leżał na podłodze, chyba krwawił. Muszę... – sięgnął do kieszeni, ale Brittanica była szybsza. Wyjęła buteleczkę laudanum, wyciągając z niej korek.

– Proszę.

Walter wypił łyk.

– A reszta, co z Clementine i Garnetem?

– Nic im nie jest. Madame Clementine pojechała z madame de Conteville i jej służącym do lekarza – uniosła nogi Waltera, kładąc je na pościeli. Następnie ułożyła poduszkę pod jego karkiem. – Tak się o ciebie bałam, gdy usłyszałam ten hałas i krzyki dochodzące z salonu, myślałam tylko o jednym, aby nic się tobie nie stało, a potem to szkło. Wszędzie leżało szkło i krew ciekąca z twojego policzka, twoja głowa zwisała bezwładnie, dotykałeś brodą piersi. Zdawało się, że nie żyjesz. Podbiegłam do ciebie i kiedy ujrzałam światło w twoich błękitnych oczach, poczułam, że serce wyskoczy mi z piersi. Bez ciebie życie nie ma sensu – pogłaskała go po czole. – Wtedy, gdy zobaczyłam cię w pokoju Daphne, to... ja wiem, że to nie twoja wina. To ta mała ladacznica wodzi cię na pokuszenie. Ty nigdy nie

zrobiłbyś nic, co mogłoby sprawić mi jakąkolwiek przykrość – położyła dłoń na jego dłoni, delikatnie głaszcząc jej grzbiet.

\*\*\*

Kiedy wynurzyły się z mgły, Mildreth omal nie dostała zawału. Stały w jej pokoju, na wprost wciąż rozgrzebanego łóżka. Gdy tylko zorientowała się w sytuacji, szybko rozejrzała się na boki, szukając wzrokiem Daphne. Na szczęście pokój był pusty.

– Coś ty zrobiła, przecież Hortense mówiła, żebyś ukryła się w jakimś bezpiecznym miejscu, a to... przecież to jest mój pokój.

– No właśnie, poza tobą nikt tu nie przyjdzie – odparła Abigail.

– Ale przed chwilą była tu Daphne, źle się czuła i została w łóżku, gdyby nas zobaczyła...

– Skąd miałam wiedzieć, nic mi nie powiedziałaś – rzuciła z pretensją w głosie.

– Myślałam, że przeniesiemy się gdzie indziej... do Blackwood albo gdzieś, gdzie nikogo nie ma.

– Przecież tu nikogo nie ma – zaśmiała się rezolutnie, ale widząc pochmurne oblicze Mildreth, dodała. – Chciałam tylko zobaczyć, jak to wygląda – spuściła wzrok na czubki butów.

– Co, wywoływanie duchów? Na samą myśl chciałabym stąd jak najdalej uciec.

– Dobrze wiesz, że się potwornie nudzę, tam nic się nie dzieje – odwróciła się, chwytając za klamkę.

– Co ty robisz? Jeszcze ktoś cię zobaczy.

– Nic się nie stanie, cały czas chodzę po domu i jeszcze nikt mnie nie zauważył. Zresztą na pewno wszyscy są na dole, kto by chciał przegapić coś takiego.

– Ja – powiedziała Mildreth do siebie.

– Chodź, będzie fajnie – kiwnęła na koleżankę, uchylając drzwi.

\*\*\*

Po tym, jak jakaś kobieta w towarzystwie kulawego mężczyzny odwiedziła jej pokój, Daphne szybko zmieniła plany dotyczącej dzisiejszego dnia. Leniuchowanie w ciepłym łóżku było bardzo kuszące, ale żadną miarą nie mogło się równać z odbywającym się na dole seansem spirytystycznym.

– Co tu się stało? – spytała, wytrzeszczając oczy na znajdujące się w salonie pobojuwisko.

– Nie wiem, ale wrzeszczeli, jakby kogoś rozrywali – odparła Hortense.

– Też bym krzyczała, gdyby ktoś stłukł mi takie piękne lustro... widzieliście coś dziwnego? No wiecie, duchy czy coś? – powiedziała z wielkimi od podniecenia oczami.

Hortense negująco machnęła głową.

– Nie psze pani. Drzwi były zamknięte, nic nie widziałem – odparł Magnus.

– Szkoda, ale jedno jest pewne, madame Clementine znów będzie zmieniać wystrój – rzuciła z przekąsem, kopiąc nogą, leżące na podłodze szkło. – Może przy okazji kupi mi nowe łóżko, przecież... – przerwała, słysząc głucho uderzenie kołatki. Przeszła przez pokój i otworzyła drzwi wejściowe. – Słucham?

– Dzień dobry, szukam Garneta Griffith'sa.

– Czy była pani umówiona?

– Nie, ale chcę mu przekazać informacje, na które czeka, i którymi będzie żywo zainteresowany.

– Kogo mam zaanonsować?

– Panna Lorabelle.

– Proszę chwileczkę poczekać – przesunęła się na bok, wpuszczając gościa do środka.

\*\*\*

Odkąd wybiegł z salonu, Garnet miotał się po swoim pokoju jak lew w klatce. Nie mogąc usiedzieć w miejscu dłużej niż parę sekund. Wciąż miał przed oczami tę straszna wynurzającą się z tremo twarz. Widział ojca mówiącego obcym głosem i zachowującego się tak, jakby był niespełna rozumu, a potem ten dziwny mężczyzna wyjmujący z głowy Waltera coś długiego i białego jak mokry welon panny młodej. Co to do licha było? A potem jeszcze, to wybuchające zwierciadło, o mały włos, a jakiś kawał szkła mógł pozbawić go życia. Żeby wiedział, jak to wszystko będzie wyglądać, za żadne skarby nie wzięłby w tym udziału. Przecież miał tylko porozmawiać z matką o pieniądzach, a tu taka historia. Zatrzymał się, patrząc na swoje odbicie, w zawieszonym na ścianie lustrze. A jeśli to coś wyszło ze zwierciadła i teraz krąży po domu, tak jak duch Abigail? – pomyślał i odruchowo spojrzął za siebie, mając wrażenie, że ktoś go obserwuje. Jednak w pokoju nie znajdował się nikt, poza nim. Na chwilę

usiadł na krześle, czując w głowie narastający pulsujący ból. Przyłożył dłonie do skroni, wykonując palcami koliste ruchy, aby złagodzić nieprzyjemne doznanie. Ból stawał się coraz silniejszy i powzięte zabiegi nie przyniosły oczekiwanego rezultatu. Jak to możliwe? Przecież wcześniej czuł się bardzo dobrze. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek miał takie bóle. – To przez tę wiedźmę – rzucił pod nosem przez zaciśnięte zęby. – To na pewno ona, jakieś cholerne czary. Po co ona w ogóle tu przyszła... to wina matki, przecież to ona ją tu sprowadziła, a teraz gdzieś z nią pojechała, nie zważając na to, że on jej pierworodny omal nie zginął. Nie będzie mnie tak traktować, nie zasłużyłem na to – wstał i ruszył do pokoju Clementine, z każdym krokiem jego ruchy stawały się pewniejsze. Pchnął uchylone drzwi i przemierzywszy sypialnię matki, zatrzymał się przy szkatułce z biżuterią. Otworzył ją, zanurzył dłoń w świecidełkach, aby zebrać garścią wszystko, co popadło. Wrzucił zdobycz do kieszeni, odrzucił na bok pokrytą aksamitem wkładkę, zaglądając na niższy poziom szkatułki. Dwa naszyjniki, zważył je w ręku, wkładając do drugiej kieszeni. Kątem oka zobaczył sylwetkę kogoś stojącego w progu. Odwrócił się gwałtownie.

– Czego? – warknął.

– Ja tylko... przyszła do pana jakaś kobieta – odparła Daphne.

– I? – włożył do kieszeni kilka pierścionków, następnie otworzył stojące obok inkrustowane pudełko.

– Czeka na dole, nazywa się Lorabelle.

– Co się tak gapisz? – z drewnianego pudełka wyjął sznur pereł, który po sekundzie zniknął w jego kieszeni.

– Nie ja... ta pani powiedziała, że to coś bardzo ważnego.

Garnet opróżnił drugą szkatułkę. Z wściekłością rozbił puste pudełko o podłogę.

– Zejdź mi z drogi! – odepchnął skamieniałą Daphne na ścianę.

Dziewczyna osunęła się na stojące obok krzesło, wciąż mając przed oczami twarz panicza, a w zasadzie jego oczy. Czarne źrenice, tak wielkie, że nie widziała nawet strzępka otaczającego tęczę białka.

\*\*\*

Stała przy oknie w jadalni zastanawiając się jak to rozegrać. Powinna być ostrożniejsza niż w przypadku tego gogusia z klubu. Chłopak się spłoszył, a teraz nie mogli go odnaleźć, jeśli ten też czmychnie, może na dobre pożegnać się z pieniędzmi. Zwłaszcza że układ pomiędzy tym chłopakiem a dziewczyną z oberży wydawał się dość dziwny. A jeśli to nie porwanie,

tylko ucieczka kochanków? – rozważała w oczekiwaniu na Garneta. – Nie, nie możliwe, po co ona miałaby się tak szarpać. Hmm... tak czy siak muszę z tego coś mieć – spojrzała przez otwarte drzwi na korytarz. Nie, to niemożliwe.

– Magnus! – zawołała, dostrzegając znajomą postać.

Chłopiec zatrzymał się i widząc Lorabelle, uśmiechnął się szeroko.

– Madame Lorabelle – wszedł do pokoju.

– Dobrze cię widzieć, co tu robisz?

– Pracuję – wyprężył dumnie pierś. – Dostałem pokój na górze.

– No proszę, widzę, iż nieźle się urządziłeś – pogłaskała go po głowie. – Wiedziałam, że taki zuch jak ty zawsze da sobie radę – ukucnęła, aby móc spojrzeć mu prosto w oczy i dodała smutnym tonem. – Ale czemu uciekłeś bez żadnego pożegnania? Myślałam, że dobrze się dogadujemy – delikatnie chwyciła jego drobne dłonie.

– Tak psze pani. Pani była dla mnie bardzo dobra, ja chciałem zostać, ale...

– Ale co? Mów śmiało.

– Ale pan Orris, kazał mi się wynosić. Powiedział, że pani kazała mnie... wyrzucić.

– Łgarz syknęła wściekła. – Myślałam, że odszedłeś. Wysłałam go, aby cię znalazł..., żebyśmy tylko wiedziała.

– Powiedział, że mnie zabije, rozłożył laskę i wyjął to ostrze, ale zraniłem go w rękę i uciekłem. Przepraszam, ja nie chciałem... – łzy napłynęły mu do oczu.

– Więc to tak, już ja mu odplacę, będzie miał się z pyszna – objęła chłopca, przyciskając do siebie. – Obiecuję ci, że nikt cię więcej nie skrzywdzi – wstała, widząc ponad ramieniem Magnusa, wchodzącego do pokoju Garneta.

– Kim pani jest? – burknął bez żadnego wstępu.

– Lorabelle, chciałabym porozmawiać o pewnej delikatnej sprawie... – zawiesiła głos, patrząc, na stojącego obok Magnusa.

– Wynoś się – rzucił Garnet, popychając chłopca z całej siły w stronę drzwi.

Ten potknął się i upadając na podłogę, cicho jęknął. Szybko wstał, wycierając rękawem krew z rozciętej wargi.

– Tak psze pana – powiedział, wychodząc z pokoju.

– Więc czego? – syknął Garnet, czując kolejną falę bólu, rozdzierającą mu głowę.



Cholerny gnój, jeszcze tego pożałujesz – pomyślała Lorabelle, zaciskając ze złością pięści, ale głos, który popłynął z jej ust, był lodowaty.

– Rozmawiałam już o tym z twoim gogusiowatym koleżką. Sądzę, że naświetlił ci już całą sprawę... widziałam was, jak nocą porwaliście dziewczynę – obserwowała twarz Garneta, szukając jakichś oznak strachu, ale nie dostrzegła kompletnie nic. – Oczywiście nikt nic nie musi o tym wiedzieć. Możemy...

– Wynoś się! – wrzasnął, chwytając dziewczynę za płaszcz.

– Żebyś tego nie żałował. Wystarczy... – nie dokończyła, czując zaciskające się na jej gardle ręce.

– Nie będziesz mi mówiła co mam robić – przyparł ją do komody, wbijając palce w krtań.

Garnet widział wszystko jak przez mgłę, swoje dłonie zaciskające się na szyi jakiejś kobiety. Słyszał głos dobywający się z jego ust, ale to nie był jego głos, to nie były jego słowa, to nie był on. Miał wrażenie, że jest jedynie zamkniętym w klatce obserwatorem.

– Zdychaj – obcy głos wydobył się z jego ust.

Lorabelle wierzgała, zrzucając na podłogę, stojące na komodzie porcelanowe figurki. Sięgnęła po nóż, ale nie była go w stanie odnaleźć w fałdach splątanej sukni. Kopnęła napastnika, lecz nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia. Powoli zaczęła odpływać w niebyt.

\*\*\*

– Co tam się dzieje? Czy to znowu jakiś seans? – spytała Hortense przestępującego z nogi na nogę Magnusa.

– Pan Garnet rozmawia z madame Lorabelle – odparł, wystawiając głowę z kuchni.

– Rozmawiają? To mi nie wygląda na rozmowę – kolejny łomot rozszedł się echem po domu.

Hortense szybkim krokiem skierowała się w stronę jadalni. Magnus tylko na to czekał, drobiąc kroczyki za przysadzistą kucharką.

– Boże – krzyknęła Hortense, zakrywając usta dłonią.

Garnet z kamienną twarzą dusił wiotczącą w jego rękach Lorabelle.

– Zostaw ją! – wrzasnął Magnus, kopiąc z całej siły napastnika w kostkę. Nic to nie dało, odniósł wrażenie, jakby kopał ścianę.

Lorabelle spojrzała na chłopca i zamknęła oczy.

– Nie!! – krzyknął Magnus, zamachnął się i w jednej chwili Garnet zwolnił uścisk, zginając się w pół. Dziewczyna zsunęła się po komodzie na

ziemię. – Madame Lorabelle, madame Lorabelle – pochylił się nad nią, nie wiedząc, co czynić.

– Przesuń się – powiedziała Hortense, dotykając twarzy dziewczyny, przyłożyła ucho do jej ust. – Żyje – oznajmiła z wyrazem ulgi na twarzy. – Musimy ją stąd zabrać – bez problemu wzięła Lorabelle na ręce, a Magnus pobiegł jej śladem.

Garnet spojrział na swój prawy bok i ze zdziwieniem zobaczył wystającą z niego bogato zdobioną rękojeść noża, który chwilę wcześniej Magnus umieścił w jego ciele. Złapał ją, wyciągając jednym szybkim ruchem. Krew trysnęła szerokim strumieniem, tworząc na kamizelce szkarłatną plamę. Wstał, jakby nic się nie stało i wyszedł z pokoju.

– Psze pani on tu idzie – rzucił drżącym głosem Magnus, szarpiąc Hortense za fartuch.

– Nie bój się, wszystko będzie dobrze. Zamknij oczy, złap mnie za rękę i nie puszczaj – przekroczyła próg kuchni, wycofała się i weszła przez mleczną mgłę do dobrze jej znanego azylu.

\*\*\*

Widział, jak wchodzi do kuchni, obraz był oddalony, jakby patrzył na wszystko z głębi czaszki. Chciał przystanąć, ale ciało bez jego wiedzy odwróciło się i skierowało w stronę schodów, Garnet nie był w stanie się zatrzymać. Chciał obrócić głowę, aby sprawdzić, co się dzieje, móc coś powiedzieć, ale jego władza nad własnym ciałem właśnie się zakończyła. Mógł jedynie biernie obserwować to, co sam robi. To było takie nierealne, prawie jak sen. Wszedł na schody.

\*\*\*

Słyszając dobiegające z dołu wrzaski, wybiegła z pokoju, by wpaść wprost na stojącą w korytarzu Daphne.

– Co to za krzyki? – spytała Brittanica.

– Ja... ja nie wiem, to...

– Na co czekasz? Rusz, że się dziewczyno – popchnęła Daphne w stronę schodów.

– Nie – odparła zdecydowanym głosem, łapiąc się kurczowo barierki.

– Co to ma znaczyć? – szarpnęła ją za rękę.

– On tu idzie... te oczy – obwieściła, patrząc ponad drewnianą poręczą. Odepchnęła Brittanice, gotując się do ucieczki.

– Co z tobą nie tak? Przecież to panicz Garnet.

Daphne nie czekała ani sekundy dłużej, wbiegła do pokoju Waltera, zamykając za sobą drzwi. Rozległ się zgrzyt przekręcanego w zamku klucza, a następnie coś ciężkiego zostało przesunięte po podłodze.

Brittanica obrzuciła uciekinierkę gniewnym spojrzeniem i już miała dołożyć do niego jakąś kąśliwą uwagę, ale widząc zbliżającego się Garneta, powstrzymała swój język.

– Mogę w czymś paniczowi pomóc? – spytała, przybrawszy sztuczny uśmiech.

W odpowiedzi Garnet chwycił ją za ramię i rzucił nią o ścianę. Uderzyła głową w lustro, w którym tak często lubiła się przeglądać. Jak pijana próbowała powstać, chwytając się, stojącego obok stolika.

– Ja... nie rozum... – z wysiłkiem wyrzuciła z siebie kilka sylab, opluwając krwią brodę.

Garnet wolnym krokiem podszedł do Brittanicy, złapał ją jednorącz za szyję, bez wysiłku uniósł ponad ziemię, szorując jej plecami po kwiecistej tapecie. Przez chwilę patrzył w jej oczy, sycąc się tym, co w nich zobaczył. Brittanica rozdziawiła ręce, próbując złapać coś, co znalazłoby się w jej zasięgu. Wreszcie wyczuła pod palcami fragment odlepionej tapety, nie wiedząc czemu, złapała się jej jak ostatniej deski ratunku. Garnet wzmocnił chwyt, przebijając palcami bladą skórę i wbił je w krtań, po czym cisnął pannę Bennett za siebie. Biedaczka przeleciała nad barierką, ciągnąc za sobą zerwaną ze ściany płachtę tapety. Uderzyła czołem w oprawiony w pozłacaną ramę wiejski krajobraz. Rozległ się trzask łamanych kości i wraz z obrazem potoczyła się schodami w dół. Garnet rezygnując, z podziwiania swego dzieła, skierował się wprost do sypialni Waltera. Złapał za klamkę, lecz drzwi stawily wyraźny opór. Niezrażony uderzył w nie pięścią, rozległ się delikatny trzask drewna. Ponowił uderzenie, tym razem trzask był znacznie głośniejszy.

– Aaaa...!! – paniczny krzyk Daphne rozszedł się po domu.

\*\*\*

Stali na drugim piętrze walcząc z przemożną chęcią rzucenia się do ucieczki.

– Widziałaś to? Boże on ją zabił, biedna panna Bennett – szepnęła Mildreth, co pewien czas zerkając w dół schodów. Złapała Abigail za ramię, odciągając do tyłu.

– Co robisz?

- Musimy stąd uciekać. On zwariował.
- Ale tata – powiedziała Abigail ze łzami w oczach.
- Jest w pokoju nic mu się nie stanie – pociągnęła przyjaciółkę do siebie.
- Zostaw mnie, muszę mu pomóc – wyrwała się.
- Wracaj – Mildreth stłumiła głos, bojąc się krzyknąć.

Abigail stała już u szczytu schodów, patrząc w dół na forsującego drzwi Garneta.

– Błagam cię, uciekajmy – jęknęła wystraszona Mildreth, ponownie łapiąc przyjaciółkę za rękę. – Nie damy rady, przecież widziałaś, co zrobił pannie Bennett... sprowadzimy kogoś – dodała, licząc, że to ją przekona.

– A jeśli nie zdążymy? – odparła, widząc jak pięść Garneta, przebija się przez drzwi. – Tatusi – wyszeptała.

– Proszę, chodź – szarpnęła dziewczynkę do tyłu.

– Nie, nigdzie nie pójdę! – krzyknęła wściekła i w tym momencie ręka Garneta zawisała w powietrzu.

Dla Mildreth czas niemal zatrzymał się w miejscu, w zwolnionym tempie ujrzała, jak Garnet opuszcza rękę, przekręca głowę, odwraca się w ich stronę i po krótkiej chwili robi krok w ich kierunku.

– Boże – jęknęła.

Garnet miał wrażenie, że się wybudza, choć ciężko, było nazwać to snem. Skręcenie karku tej chudej kobiecie było jak impuls, który pozwolił mu na stopniowe odzyskiwanie świadomości. Teraz szedł po schodach, czując mijającą żądzę mordy, wyciągnął ręce do stojącej u ich szczytu dziewczynki. Jej rozmazana sylwetka z każdym krokiem zdawała się nabierać kształtu. Czuł stopnie pod nogami i ruch pracujących mięśni, tak jakby na nowo pozwolono mu być panem własnego ciała. Chęć zabijania stopniowo malała, zamieniając się w rozkosz z dokonanych czynów.

– Abigail tutaj! – zawołała Mildreth, stojąc w prowadzących do pokoju drzwiach.

– Zostaw tatusia – powiedziała drżącym głosem, widząc zbliżającego się brata i odruchowo się cofnęła.

Spojrzenie Garneta nabierało ostrości, a dziwna zasłona przesłaniająca mu wzrok opadła.

– Abigail? – wydukał, próbując odzyskać władzę nad twarzą. Wystawił rękę, ale dziewczynka szybko odskoczyła do tyłu. Dziwne, teraz nie czuł strachu jak wtedy kiedy ujrzał ją nocą w sypialni. Lęk zamienił się w ciekawość.

– Błagam, pospiesz się! – Mildreth przeszła przez próg, powołując do życia ukryte przejście. Zrobiła krok w wypełniające futrynę mleko,

wystawiając rękę za siebie. – Szybko, szybko! – zawołała i odetchnęła z ulgą, widząc biegnącą w jej stronę dziewczynkę.

Abigail złapała Mildreth za dłoń. Wbiegły do środka i wtedy poczuła, że ktoś ją chwyta, ciągnąc z powrotem.

– Złapał mnie – jęknęła przerażona. – Nie dam rady.

Mildreth stanęła, czując opór.

– Nie zostawię cię – złapała oburącz rękę Abigail, zapierając się nogą o futrynę i szarpnęła z całej siły. – Puszczaj ją! – wrzasnęła, dodając sobie animuszu.

Nagle opór gwałtownie zelżał i Abigail poleciała do przodu, lądując na podłodze w ramionach Mildreth.

– Uff udało się – uśmiechnęła się, lecz widząc twarz patrzącej się gdzieś nad jej ramieniem Mildreth spoważniała i powoli odwróciła głowę.

Tuż nad nimi stał Garnet, patrząc na nie zdezorientowanym wzrokiem. Nagle złapał się za głowę i kolana się pod nim ugięły.

\*\*\*

Krażył po pokoju, co rusz zerkając na leżącą na łóżku Briar, która gdy tylko odzyskała świadomość, zaczęła wyrzucać z siebie cały wachlarz przeplatanych impertynencjami gróźb, okraszając to porcją krzyków. Orrisowi nie pozostało nic innego jak przywiązać ręce dziewczyny do wezgłowia i założyć solidny knebel. Minął kwadrans, odkąd brudna szmata wylądowała w jej ustach i ku swej uldze Orris zauważył pierwsze objawy uległości. Leżała spokojnie wodząc za nim lekko rozmarzonym wzrokiem. Wyrzał przez okno, łudząc się, że ujrzy powracającą Lorabelle, ale nic takiego się nie stało. Zobaczył za to odbicie Briar, nie mogła oderwać od niego wzroku. Odwrócił się, o tak, znał ten wzrok, to kuszące spojrzenie. Widział je wielokrotnie, głównie u dam lekkich obyczajów, choć czasami raczyła go nim Lorabelle, lecz tylko wtedy gdy łup był nad wyraz okazały. Ta mała ewidentnie czegoś chce – przemknęło mu przez głowę. Briar przymknęła delikatnie oczy, wyginając nieznacznie biodra. Coś zamruczała, jednak knebel zamienił słowa w bełkot.

– Wyjmę go, ale jeśli spróbujesz krzyknąć, wepchnę ci go do gardła – ostrzegł, podchodząc do łóżka.

Skinęła głową na znak, że zrozumiała. Wyciągnął szmatę i czekał.

– Dasz mi trochę wody?

Wziął stojący na stole kubek i wlał jej do ust kilka kropli. Przełknęła łapczywie.

– Jeszcze – posłała mu wyczekujące spojrzenie.

Włał kolejną porcję.

– Przepraszam, nie potrzebnie tak zareagowałam. Przecież chcecie mi tylko pomóc.

– Właśnie – odparł, bacznie obserwując jej twarz.

– Mógłbyś mnie rozwiązać?

Nie odpowiedział. Wciąż widział to spojrzenie i jeśli się nie mylił, stało się ono jeszcze bardziej wyuzdane.

– Nic nie zrobię... przecież ustaliliśmy już, że jesteś moim oswobodzicielem. Nieprawdaż?

Bezwiednie przesunął językiem po dolnej wardze, kalkulując wszystkie za i przeciw. Odczuwał przy tym narastające podniecenie i zapewne to sprawiło, że nie znalazł żadnych "przeciw", natomiast odnalazł całe mnóstwo "za". Odwiązał rękę Briar od wezglowia i pochylając się nad nią, uwolnił drugą dłoń. Gdy tylko została oswobodzona, zarzuciła ręce na szyję Orrisa, obsypując go gradem pocałunków. W pierwszej chwili chciał zrzucić ją z siebie, ale chwila ta była tak krótka, że wnet o niej zapomniał, rzucając się na, leżącą pod nim dziewczynę.

– Ale ty jesteś silny, nie to, co Garnet – jęknęła, wbijając mu paznokcie w plecy i ugryzła namiętnie ucho.

## XXIII

Wyskoczyła jak oszalała z powozu, co okazało się nie do końca przemyślanym posunięciem. Clementine poślizgnęła się, lądując na ośnieżonym chodniku.

– Wszystko w porządku? – spytała madame de Conteville, pomagając jej wstać.

– Tak, tak, nic mi nie jest. Pospieszmy się – poderwała się szybko, nie zważając na ryzyko powtórnej wywrotki i w okamgnieniu dopadła do drzwi. Napała na nie i weszła do środka. – Garnet! – zawołała od progu. Odpowiedzią była przejmująca cisza. – Panno Bennett! – głos rozniósł się po całym domu. – Dziwne – rzuciła pod nosem.

– Powinnyśmy poczekać na Zachariaha – odezwała się madame de Conteville, zaglądając do zdemolowanego salonu.

– Nie zamierzam czekać, gdy mój syn jest w niebezpieczeństwie. Zresztą Zachariah sam stwierdził, że czasu jest niewiele.

– Tak, ale... proszę być ostrożną – odparła, ściskając otrzymany od Zachariaha paciorkowy amulet.

– Garnet, Walter! Gdzie oni się wszyscy podziali? – przeszła przez salon do jadalni. – A to co? – spojrzała na leżące na podłodze szczątki porcelanowych figurek. – Panno Bennett! – wróciła na korytarz. – Hortense!

– Czy to... – madame de Conteville stała przy schodach patrząc na wplątany w balustradę kawał czarnego materiału.

– Ohh... to, to... – Clementine wytrzeszczyła oczy.

– Panna Bennett? – pochyliła się nad ciałem.

– Czy ona...

– Nie żyje – medium obeszło barierkę, by spojrzeć w górę.

– Biedaczka musiała spaść ze schodów.

Madame de Conteville uniosła suknię, aby przejść nad nieszczęsną Brittanicą. Zerknęła na leżący obok obraz, pokonała kilka dzielących ją od piętra stopni, jej wzrok powędrował na przeciwległą ścianę.

– Sądzę, że została zrzuciona – obwieściła.

– To niemożliwe – Clementine nie mogła oderwać wzroku od nienaturalnie wygiętego ciała. – A co z Garnetem? Oby nic mu się nie stało.

– Bardziej bym bała się o los reszty domowników – wysunęła przed siebie ściskającą amulet dłoń.

– Garnet skarbie, nic ci nie jest?! – podążyła śladami madame de Conteville.

– Drzwi, proszę na nie spojrzeć, czyj to pokój? – wskazała ręką na wybitą w drewnianych drzwiach dziurę.

– To, to... – podbiegła do sypialni i szarpnęła za klamkę.

– Aaa!! – przeraźliwy krzyk wydobył się z pokoju.

– Niech pani uważa – ostrzegła madame de Conteville, odciągając Clementine od drzwi. Nakreśliła w powietrzu jakiś znak i przez wyłamaną deskę zajrzała do środka. – To my proszę otworzyć.

– A on? – odezwała się Daphne.

– Poza nami nikogo tu nie ma.

Daphne podeszła do dziury, wyjrzała na zewnątrz, niepewnym wzrokiem omiatając korytarz.

– To tylko my – zapewniła madame de Conteville. – Nie masz się czego obawiać – po chwili dał się słyszeć odgłos przesuwanych mebli i zgrzyt klucza. Drzwi stanęły otworem. – Nic ci nie jest?

– Nie, zdążyłam się zamknąć, to było straszne, słyszałam hałas i krzyki, a potem panna Bennett... co z nią? – zawiesiła głos w oczekiwaniu na odpowiedź.

– Nie żyje.

Daphne jęknęła, ukrywając twarz w dłoniach. Clementine minęła służącą, aby przysiąść na łóżku obok Waltera.

– Wszystko w porządku?

– Ze mną tak, ale... – odparł.

– Co się stało, kto to zrobi?

Walter chwycił Clementine za dłoń i mocno ją ściskając, powiedział jedno słowo.

– Garnet.

Spojrzała na męża i przenosząc wzrok z madame de Conteville na Daphne, powiedziała:

– To nieprawda, nie on... tylko nie on.

\*\*\*

Od paru minut chodziła po kuchni, zastanawiając się, co robić. Musiała jej pomóc, a przeniesienie jej na drugą stronę było jedynym sposobem na ocalenie życia. Spojrzała na stojącego obok stołu Magnusa, który głaskał włosy leżącej na blacie kobiety. Gdyby nie on już by nie żyła – pomyślała Hortense, wykonując kolejną rundę po kuchni.



– Znasz ją? – przystanęła.

Skinął głową.

– To madame Lorabelle. Mieszkałem u niej, zanim pani się mną zajęła... – podniósł wzrok na kucharkę. – Ja nie chciałem tego zrobić, ale... on ją dusił i... musiałem.

– Wiem chłopcze, słusznie postąpiłeś. Gdybyś ty tego nie zrobił, ja uczyniłabym to samo i źle się stało, że tego nie zrobiłam. Masz więcej odwagi niż niejeden mężczyzna.

– Ale czy ja go zab... widziałem, jak za nami szedł...

– Nie sądzę, żebyśmy mieli tyle szczęścia, takie szuje mają wielką wolę życia..., a niestety to oznacza, że będziesz musiał stąd odejść. Rozumiesz, to dla twojego dobra, jeśli Garnet cię zobaczy, skręci ci kark, widziałeś, do czego jest zdolny.

Magnus ponownie skinął głową.

– Mój drogi, gdyby to ode mnie zależało, chętnie na ulicę wyrzuciłabym jego – głośno westchnęła. – Że też bóg pozwala, aby takie ścierwa chodziły po świecie, w dodatku wysługiwały się porządnymi ludźmi – spojrzała na Lorabelle, która powoli zaczynała odzyskiwać świadomość. – Lepiej się pospieszmy – bez problemu postawiła ją na nogi, chwyciła pod ramię i prawie ją niosąc, wyszła z kuchni. Zatrzymała się dopiero przy tylnych drzwiach. – Obserwuj czy nikt nie nadchodzi.

Magnus spojrzął za siebie, w tym momencie Hortense szybko przeszła w tę i z powrotem przez próg.

– Nikogo nie...

Zanim dokończył, Hortense złapała go za kołnierz i pociągnęła za sobą. Wyszli na skryte w mroku podwórze. Mroźny wiatr wślizgnął się pod ubranie, co zmotywowało ich do jeszcze szybszego kroku.

– Zaczekajcie tutaj – otworzyła postawioną pod murem szopę, w której nie tak dawno zostawiła opatuloną w koc Betty. – Przyniosę twój kubrak – pięć minut później była z powrotem. Lorabelle siedziała na stercie szmat, najwyraźniej doszła już do siebie.

– Dziękuję – powiedziała z wysiłkiem.

– Ja nie zrobiłam nic wielkiego. To on panią uratował – przycisnęła Magnusa do siebie. – Mam nadzieję, że się pani nim zajmie, choć odnoszę wrażenie, że on potrafi zatroszczyć się o siebie jak mało kto. Pamiętaj, zawsze będziesz tu mile widziany – rozczochrała chłopcu włosy i szybko wyszła z szopy.

\*\*\*

Od jakiegoś czasu dziewczynki uważnie obserwowały Garneta, wciąż klęczącego spokojnie na podłodze. Odkąd przeszedł na drugą stronę, jego zachowanie diametralnie się zmieniło. Nie był już tym szaleńcem, który jeszcze przed chwilą opętany żądzą mordu demolował dom. Skulony obejmował rękami głowę, potulny jak baranek zdawał się nie być świadom, tego, co uczynił. Tuż po jego wtargnięciu wycofały się na drugi koniec pokoju, co oznaczało, że stały nie dalej niż sześć stóp od klęczącego przy drzwiach Garneta.

– I co teraz? – spytała Mildreth, ściskając Abigail za rękę.

– Nie wiem.

– Może jeśli będziemy szły przy ścianie, to nas nie zauważy – zrobiła kroczek w bok, przyciągając dziewczynkę do siebie.

– Co robisz? Przecież on nas widzi – odparła Abigail, nie odrywając wzroku od brata.

– Ale... boję się – szepnęła zrozpaczona.

– Co... co się dzieje? – wstał, patrząc otępiąłym wzrokiem.

– Zabiłeś pannę Bennett – rzuciła Mildreth oskarżycielskim głosem.

– I chciałeś zabić tatę – dodała Abigail.

– To niemożliwe, ty... ty przecież nie żyjesz..., jesteś duchem – powiedział drżącym głosem.

Abigail rozumiała, że jeszcze nie wszystko stracone. Znała ten wyraz twarzy Garneta, chociaż widziała go tylko dwa razy w życiu. To był autentyczny strach. Pierwszy raz była świadkiem tego dziwnego, jak jej się wtedy zdawało grymasu, gdy przez nieuwagę zamknęła go w piwniczce na wino. Bawili się wtedy w Blackwood w chowanego. On się schował, a ona miała go odnaleźć, przez ponad godzinę szukała go intensywnie, zaglądając we wszystkie zakamarki domu, w końcu zrezygnowała i zapomniała o tym, co miała zrobić. Dopiero podczas kolacji matka zauważyła puste krzesło przy stole. Postawiono na nogi całą służbę i po kwadransie znaleziono go w składziku, który to Abigail sama nieopatrznie zamknęła, kiedy zaglądała za drzwi, aby sprawdzić, czy przypadkiem tam się nie schował. Skąd mogła wiedzieć, że drzwi otwierają się tylko od zewnątrz. Garnet siedział skulony za beczką wina. Kiedy Hortense w towarzystwie Abigail oświetliła świecą mu twarz, wielkie wytrzeszczone oczy patrzyły na nie ponad wąską drżącą wargą, tworząc karykaturę młodego panicza.

Drugi raz zamknęła go tam kolejnego lata, lecz tym razem zrobiła to celowo. W odwecie za to, iż przez niego rozdarła nową sukienkę, otrzymaną przed tygodniem od matki na urodziny. Siedział w zamknięciu przez pół

dnia i było to dla niej najlepsze pół dnia z tamtego lata. Kiedy wieczorem ojciec wraz z Abigail wypuścili go z tej celi. Garnet miał ten sam wyraz twarzy co teraz. Oczywiście musiała za to odpokutować, ale nigdy nie żałowała, tego, co zrobiła. Wręcz przeciwnie, uczyniłaby to ponownie, gdyby znowu nadarzyła się ku temu sposobność i właśnie teraz wyczuła tę możliwość. Puściła rękę Mildreth, robiąc krok do przodu.

– Tak, jestem duchem i teraz odpowiesz za to, co przed chwilą uczyniłeś – powiedziała nieco teatralnym głosem.

– Ale ja nic nie zrobiłem... przysięgam, to... to matka mnie zmusiła i ta kobieta, to przez nią – zamilkł, jakby nagle coś sobie uświadomił. – ... to ona cię przywołała – cofnął się, wpadając na ścianę.

W tym momencie Abigail poczuła się panią sytuacji.

– Panna Bennett, Mildreth – spojrzała na przyjaciółkę. – Ją też zabiłeś – wysunęła oskarżycielsko rękę.

– To niemożliwe, nic nie pamiętam, byłem na ja... czy ja śnię? – spytał sam siebie.

– Chciałbyś, chodź do mnie, odpłacę ci teraz za wszystko, co mi zrobiłeś.

Garnet nie czekał, na to, co się wydarzy, w panice wybiegł z pokoju, jak oparzony uderzając barkiem w futrynę.

\*\*\*

Słyszała dobiegające z dołu nawoływania Clementine, ale Hortense to teraz niewiele obchodziło. Kilka minut temu widziała na schodach Brittanicę, jej wykręcona pod nienaturalnym kątem głowa zwisała ze stopnia schodów jak złamana gałąź drzewa. Minęła ją obojętnie, wchodząc na piętro. Nigdy za nią nie przepadała, tym razem też nie zamierzała jej żałować. Waltera wraz z Daphne znalazła zabarykadowanych w sypialni. Powiedziała im, żeby się stąd nie ruszali, co dziewczyna przyjęła z wyraźną ulgą. Zostawiła ich i poszła na górę. Zajrzała do każdego pokoju, lecz nigdzie go nie było. Nie mogła znaleźć Garneta i to ją mocno zaniepokoiło. Przecież poszedł na górę, tego była pewna, zresztą potwierdziła to Daphne, ale lęk wzbudziło w niej dopiero to, co dodała później. Powiedziała, że ktoś krzyknął z góry do Garneta, który zrezygnował z forsowania drzwi i wszedł na piętro. Nie wiedział, kto to zrobił, ale zdawało jej się, że to Mildreth. Przecież to niemożliwe – myślała, przetrząsając kolejne pomieszczenia. – Wyraźnie mówiłam jej, żeby przeszła na drugą stronę i zabrała Abigail w bezpieczne miejsce, a w tamtej chwili ciężko było tak nazwać służbówki. Miała na myśli, chociażby Blackwood, ale na pewno nie drugie piętro w

domu, w którym właśnie odbywał się seans spirytystyczny, przed którym Mildreth miała ją chronić. Zatrzymała się pośrodku pokoju, słysząc kolejne nawoływania Clementine. – Nadal nikogo nie znalazły, w takim razie Mildreth musiała skorzystać z przejścia, tylko gdzie podział się Garnet. Nagle zrozumiała była tylko jedna możliwość. Podbiegła do najbliższej futryny i mówiąc w myślach wierszyk, przeszła przez próg.

Wyszła z mgły na korytarz, usłyszała dudnienie, jakby ktoś biegł, odwróciła głowę, ale było już za późno. Garnet wpadł na nią w pełnym biegu, odbił się jak od piłki i wylądował na okalającej schody barierce, łamiąc ją, spadł.

– Boże – jęknęła osłupiała Hortense, nie wiedząc do końca, co się przed chwilą stało. Ostrożnie podeszła do wyłamanej balustrady i zerknęła w dół. Garnet leżał bez ruchu z wygiętą pod nienaturalnym kątem ręką.

– Hortense to ty? – spytała Abigail, wystawiając głowę z pokoju na końcu korytarza.

– Nic ci nie jest? – kucharka ruszyła w stronę dziewczynki.

– Nie, ale musimy uważać na Garneta, przed chwilą wybiegł z pokoju i...

– Wiem, spokojnie, nie trzeba się już nim przejmować, spadł ze schodów – przeniosła groźny wzrok na wynurzającą się zza Abigail Mildreth. – Przecież prosiłam cię, żebyś zabrała ją w bezpieczne miejsce.

– Przepraszam pani Moore – spuściła wzrok.

– To nie jej wina, to ja... chciałam zobaczyć, jak wygląda wywoływanie duchów. Skąd mogłam wiedzieć, że...

– Nawet nie chcę tego słuchać. Mogło wam się coś stać i o mały włos by tak było – zerknęła za siebie. – Na szczęście jest już po wszystkim – położyła ręce na ramiona dziewczynki. – Daphne powiedziała, że uratowałaś ją przed Garnetem – słowa te skierowała do Mildreth.

– To Abigail, ja... ja się za bardzo bałam.

– To prawda? – spytała Hortense.

– Tak, Garnet się na mnie rzucił, ale Millie otworzyła przejście i przeciągnęła mnie na tę stronę... Tak się bałam – wtuliła się w pulchny brzuch kucharki.

Trwały w tej pozycji przez dłuższą chwilę, czując, jak ciężące na nich napięcie zaczyna powoli opadać.

– Przykro mi z powodu Garneta, był podłym człowiekiem, ale też twoim bratem – powiedziała Hortense, odgarniając włosy z czoła Abigail.

– Dziękuję..., ale nie potrafię go żałować, zawsze był... – spojrzała na Hortense i wstrzymała głos, widząc, wypływającą z kącika jej ust strużkę krwi. Uniosła rękę, aby wytrzeć jej brodę.

– Pani Moore, pani krwawi – zauważyła z przerażeniem Mildreth.  
– Hrrr... – wycharczała kucharka, wyrzucając z ust obwitą porcję wymieszanej z krwią śliny.  
– Hortense – jęknęła przerażona Abigail, widząc, jak kucharka osuwa się na podłogę, jednocześnie odsłaniając, stojącego za nią Garneta.  
– Chyba już ci nie odpowie – spojrzał na drgające u jego stóp ciało z pleców, którego wystawał drewniany szczebel od balustrady.  
– Boże, pani Moore – Mildreth uklękła na podłodze, bezradna rozłożyła ręce. Delikatnie dotknęła jej twarzy. – Co mam robić? – obrzuciła ją wzrokiem.  
Abigail padła na kolana i przytrzymując głowę Hortense, zalała się łzami. Patrząc w jej zamglone spojrzenie, ledwie wydukała.  
– Proszę, nie umieraj.  
– Moja... maa... hrrr... mała... – słowa Hortense brzmiały tak, jakby wydobywały się z mrocznej otchłani.  
– Pani Moore – zaskomlała Mildreth.  
– Zdychaj suko – warknął Garnet i kopnął w wystający z pleców kawał drewna.  
Z ust Hortense wypłynął przerażający jęk i jej głowa wysunęła się z rąk Abigail, uderzając głucho o podłogę. Przez chwilę słychać było jedynie donośny szloch, nagle Mildreth poderwała się na nogi i rzuciła na Garneta.  
– Ty podła świnió! – wrzasnęła, zasypując go bez opamiętania gradem ciosów. Zaskoczony cofnął się pod nawałnicą uderzeń. – Żebyś zdechł.  
Garnet chwycił Mildreth za rękę, wykręcając ją na bok i uderzył dziewczynę pięścią w szczękę. Zachwiała się i upadła tracąc świadomość.  
Abigail wciąż klęczała nad zwłokami, oplakując śmierć swojej opiekunki.

\*\*\*

– Więc ty żyjesz... to naprawdę ty – zbliżył się do siostry, bacznie obserwując jej twarz. Wystawił palec i dźgnął ją. – Ale w jaki sposób? – wcisnął palec w jej ramię. Abigail przechyliła się na martwą Hortense. Pozostając w tej pozycji, objęła ją rękami, a łzy popłynęły strumieniem na wciąż ciepłe ciało. – Jak ci się to udało? No powiedz bratu, no powiedz, powiedz, powiedz – dźgnął ją znowu i znowu nakłuwając ją w różnych miejscach, tak jak sprawdza się mięso, czy zostało dobrze upieczone.  
– Zostaw mnie! – odepchnęła ze złością dźgającą ją rękę. – Czemu taki jesteś, czemu to zrobiłeś? – posłała mu wściekłe spojrzenie.

– Sama zaczęła, to ona zepchnęła mnie ze schodów. Dostała tylko to na co zasłużyła. Nic ponadto.

– Jak możesz tak mówić, to była najlepsza osoba, jaką znałam, zawsze się o mnie troszczyła, była miła i dobra. Nigdy nie zrobiła nikomu krzywdy, tylko na nią mogłam liczyć. Kiedy mówiłam innym, że na mnie nastawiałeś, nikt nie chciał mi wierzyć, jedynie ona potraktowała mnie poważnie.

– Nikt ci nie wierzył, bo jesteś jedynie małą kłamczuchą.

– Kłamczuchą? Kto codziennie mnie obłapiał? Kto wkładał swoje brudne łapy pod moją sukienkę? Kto zakradał się do mnie nocą, nie chcąc wyjść, mimo że o to błagałam?

– Nie bądź śmieszna siostrzyczko, robiłem to wszystko z myślą o tobie. Powinnaś mi być za to wdzięczna, a nie obrzucać błotem.

– Wdzięczna? – nie mogła uwierzyć w to, co właśnie usłyszała.

– W rzeczy samej. Wszyscy wiedzą, że zbliżenie cielesne, to najwyższy akt miłości i winien mieć miejsce jedynie z osobą, którą darzy się naprawdę głębokim uczuciem, a któż kocha cię bardziej niż twój jedyny brat? – uśmiechnął się obleśnie. – A teraz chodź do braciszka – złapał ją za rękę, odciągając od Hortense.

– Zostaw mnie!

– Ani mi się śni, nawet nie wiesz, jak się za tobą stęskniłem. Muszę ci wyznać, że wciąż o tobie myślałem i popatrz taka niespodzianka. Jak ci się to udało? Musiał ktoś ci pomóc – pchnął ją do tyłu.

– Nic ci nie powiem – podkuliła nogi pod siebie, starając się wcisnąć w ścianę.

– Ależ powiesz i to szybko. Zaczniemy od tego, gdzie do diabła jestem?

– W domu, nie poznajesz własnego domu? – wykrzywiła usta w złośliwym uśmiechu.

– Myślisz, że jestem taki głupi?

Kiwnęła potakująco głową. Garnet nagroził ten gest uderzeniem w twarz, które rozeszło się echem po korytarzu.

– Dobrze wiem, że coś tu jest nie tak. Jest jaśniej, a powinien być już mrok i ta cholerna cisza, doprowadza mnie do szału. Co tu się dzieje? To pewnie przez to białe coś, co wypełniało drzwi. Chyba mnie w to wciągnęłyście, no i ona też z tego wylazła, omal mnie nie zabijając – machnęła na Hortense.

– Szkoda, że tego nie zrobiła.

– Jeśli chcesz, zaraz możesz do niej dołączyć – zamachnęła się ręką.

– Zrób to, a wtedy nigdy się stąd nie wydostaniesz – rzuciła przez zaciśnięte zęby.

Chwycił ją za włosy, ciągnąc w dół do samej podłogi.

– Zostanę tu i będę się z tobą zabawiał, a ty każdej minuty będziesz żałowała, że nie powiedziałaś mi jak stąd wyjść, ale wtedy będzie już za późno – przycisnął ją do podłogi. – Lecz najpierw zabawię się z twoją przyjaciółką – spojrzała na nieprzytomną Mildreth. – Wiedz, że ona bardzo docenia moją męskość.

– Widziałam to w kuchni. Docenia cię tak samo, jak i ja – nie mogła się powstrzymać, aby tego nie powiedzieć.

– Więc to byłaś ty – posłał jej nasączone jadem spojrzenie. – To ty mnie walnęłaś patelnią, ty mała suko – wymierzył jej kolejny soczysty policzek. – Nawet sobie nie zdajesz sprawy, ile dla ciebie zrobiłem. Gdybym nie ja, siedziałabyś w tym domu sama jak palec. Nikt nie chciał się tobą zajmować, matka nawet nie uroniła łzy, po tym, jak zniknęłaś, a ojciec wreszcie odetchnął z ulgą.

– Kłamiesz!

– Tylko ja się tobą opiekowałem, nikt nie uczyniłby tego lepiej ode mnie.

– Każdy kundel byłby sto razy lepszy niż ty – przewidując uderzenie, zasłoniła ręką twarz, lecz tym razem Garnet kopnął ją w brzuch. Abigail zgięła się w pół, zwiłając z bólu.

– Dość tego – podszedł do otwartych drzwi, przez które przenieśli się na tę stronę. Przeszedł przez próg, ale nic się nie wydarzyło. Oklepał futrynę. – Jak to się otwiera? Kto ci... – nagle doznał olśnienia. – To ta tłusta kuchta. Oczywiście, dlatego tu przylazła. Stara wiedźma – podbiegł do pokoju, z którego wyszła Hortense, zaczął do niego wchodzić i wychodzić. Jednak rezultat był taki sam jak przy wcześniejszych drzwiach. – Kurwa co trzeba zrobić. Gadaj!

Abigail jedynie jęknęła, masując obolały brzuch.

– Może to cię przekona – uklęknął obok Mildreth. – Przynajmniej z nią nie ma problemów – podciągnął nieprzytomnej dziewczynie sukienkę.

– Co robisz! – zawołała Abigail.

– Nie chcesz ze mną rozmawiać, więc ja porozmawiam z twoją koleżanką – począł rozpinać spodnie.

– Błagam, zostaw ją!

– Po co miałbym to robić, ty nie chcesz się ze mną zabawić, a skoro mam tu siedzieć muszę się czymś zająć – klepnął Mildreth w twarz. – No nie leż jak kłoda – otworzyła oczy. Przez chwilę dochodziła do siebie, nagle zobaczyła pochylającego się nad nią Garneta i gwałtownie się szarpnęła. – Spokojnie, zrobię tylko to na co i tak zawsze miałaś ochotę.

– Nieee! – wrzasnęła Mildreth.

Garnet położył się na dziewczynie, zaciskając dłonie na jej gardle. Mildreth zacharczała, walcząc o oddech.

– Powiem wszystko! – krzyknęła przerażona Abigail. – Zostaw ją! Słyszysz! Powiem ci jak stąd wyjść!!

Garnet zwolnił uchwyt, obracając głowę w stronę siostry.

– Powiem ci, wszystko ci pokażę – wydyszała z wysiłkiem, wstając z podłogi.

Garnet podniósł się, zapinając rozporek. W tym czasie Abigail doczłapała do najbliższych drzwi.

– Tylko proszę, obiecaj, że zostawisz nas w spokoju – spojrzała błagalnym wzrokiem na brata.

– Lepiej rób, co masz robić – odparł z uśmiechem. – Tylko nie próbuj mnie oszukać, bo obie tego gorzko pożałujecie.

– Nie... mów... mu – wykrztusiła Mildreth, charcząc między słowami.

Abigail spojrzała za siebie smutnym wzrokiem, który mówił, że nie ma wyboru i zwróciła się do Garneta.

– O przejściu powiedziała mi Hortense, kiedy byliśmy w Blackwood. W dniu, w którym zniknęłam, było jej mnie żal, chciała mi pomóc i...

– Po co mi mówisz te sentymentalne bzdury. Myślisz, że to mnie interesuje? – warknął.

– Powiedziała, że tu będę bezpieczna – łzy ściekły jej po brodzie.

Garnet głośno westchnął, siłąc się na cierpliwość.

– Jeśli otworzysz przejście – pociągnęła nosem. – Możesz się przenieść do dowolnego miejsca, w którym znajdują się jakiekolwiek drzwi – kontynuowała.

– Powiedziałaś do dowolnego?

Skinęła głową.

– To znaczy, że mogę przenieść się do innego miasta?

– Tak, ale musi to być miejsce, w którym już kiedyś byłeś. Wystarczy, że odtworzysz je w swojej pamięci.

– No już, pokaż – pchnął ją do przodu.

Abigail przeszła przez próg, cofnęła się i pojawiła się mleczna gęsta mgła.

– Niewiarygodne – wytrzeszczył oczy, podszedł do falującej bieli, ostrożnie dotykając jej palcem. – Nic nie czuć – stwierdził, zanurzając dłoń.

– Jak to możliwe, przecież robiłem tak samo i nic się nie wydarzyło? – spojrzała podejrzliwie na Abigail. – Czego mi nie powiedziałaś? – złapał ją brutalnie za włosy.

– Trzeba powiedzieć wierszyk.



– Aaa..., jakieś cholerne zaklęcie. Pieprzona mała wiedźma. No dalej mów je – szarpnął ją za włosy w dół.

– Ale na ucho – syknęła z bólu.

– Niby czemu? – spytał, wietrząc podstęp.

– Nie chcę, aby Mildreth je poznała.

Spojrzał na leżącą na podłodze dziewczynę, układając sobie coś w głowie.

– Słusznie, im mniej osób o tym wie tym lepiej – nadstawił uszu. Po paru sekundach się wyprostował. – Dobra zrozumiałem. Co teraz?

– Po prostu przechodzimy na drugą stronę – zrobiła zapraszający ruch ręką, nie ruszając się z miejsca nawet o cal.

Garent zrobił krok, ale nagle się zatrzymał.

– O nie wiedźmo, ty pójdziesz pierwsza – przyciągnął ją do siebie, po czym trzymając za kołnierz, pchnął do przodu prosto w białą zawieszinę.

Najpierw wynurzyła się Abigail, a tuż za nią popychający ją Garnet.

– Gdzie my jesteśmy? – warknął z wyrazem obrzydzenia na twarzy, patrząc na spróchniałe drewniane ściany, które znajdował się raptem dwie stopy od jego twarzy. Między deskami przezierał się blask księżyca, nieśmiało oświetlając klaustrofobiczne wnętrza. Wciągnął powietrze i od razu zakrył ręką nos. – To... to przecież jest jakiś sracz. Gdzieś ty mnie zabrałaś? – otworzył kopniakiem drzwi, wyskakując na zewnątrz. Stał na skraju pogrążonego w mroku obskurnego podwórka, usytuowanego za rozpadającą się kamienicą. Tkwił przed wychodkiem, w którym Abigail wraz Mildreth i Magnusem skryła się przed goniącym ich Orrisem. – To jakiś cholerny żart? – z całej siły ścisnął Abigail za ramiona, potrząsając nią jak kukłą. – Co to ma znaczyć? Nie pozwolę robić z siebie idioty!

– Przepraszam, nie chciałam, to... to było pierwsze, co mi przyszło do głowy.

– Jesteś skończoną idiotką! Może powinienem utopić cię w tym kiblu, nikt by nawet po tobie nie zapłakał. Zwłaszcza że i tak wszyscy myślą, iż nie żyjesz.

– Nie błagam, przecież widzisz, że to działa. Sam spróbuj, pomyśl o jakimś miejscu i powiedz słowa, możesz je mówić w myślach tak jak ja.

– Hmm... – wypuścił powietrze nosem jak gotujący się do szarży byk. – Dobrze, ale jeśli coś pójdzie nie tak, przypomnę ci nasze wspólne zabawy, a po wszystkim skręcę kark.

– Wszystko się uda – zapewniła solennie Abigail.

Garnet krzywiąc się z niesmakiem, otworzył drzwi. Zrobił krok.

– Nie tak, to musi być prawa noga – wstrzymała brata.

- Nic mi o tym nie mówiłaś.
- Przepraszam, zapomniałam, naprawdę. Zróbmy to równocześnie, rób to samo co ja – weszli do środka, cofnęli się i wejście zamieniło się w białą płynną ścianę.
- Działa – uśmiechnął się szeroko, wyciągnął rękę i w tym momencie Abigail z całej siły popchnęła go do przodu. Garnet wpadł do wychodka i przejście momentalnie zniknęło. Abigail upadła na kolana, nie zważając na leżący na ziemi śnieg. Zakryła twarz rękoma i trzęsąc się z nerwów, zaszlochała. Klęczała tak dobry kwadrans, zanim poczuła, że napięcie zaczyna odpuszczać, ustępując miejsca spowodowanym przez zimno dreszczom.

\*\*\*

Nie tak dawno opuścili szopę, czekając, aż Lorabelle dojdzie do siebie, a teraz lawirując wśród wąskich uliczek z każdym krokiem, zbliżali się do „Starego Dorsza”.

– Na pewno nie będę madame przeszkadzał? – spytał Magnus drugi raz na przestrzeni ostatnich kilku minut.

– Już ci mówiłam, że będę bardzo szczęśliwa, jeśli ze mną zostaniesz. Uratowałeś mi życie, a goszczenie takiego bohatera jest dla mnie sprawą honoru.

Spojrzał do góry, uśmiechając się z wdzięcznością i w tym momencie poślizgnął się na oblodzonym bruku. Poleciał do tyłu, wymachując w powietrzu nogami. Lorabelle błyskawicznie chwyciła go za kołnierz, ustawiając do pionu.

– Dziękuję.

– Powoli zacznym spłacać dług – poprawiła mu podciągniętą na uszy kaptę.

– A pan Orris?

– Właśnie, pan Orris... – zawiesiła głos, ewidentnie się nad czymś zastanawiając. – Będę musiała poważnie z nim porozmawiać, lecz ty nie musisz zaprzętać sobie nim główki. To sprawa pomiędzy mną a tą gnidą – uniosła głowę, patrząc na okno swojego pokoju. W szybie widać było półmrok, rozświetlony przez umieszczoną gdzieś w głębi pokoju świecę.

Przekroczyli próg zajazdu.

– Poczekaj tutaj, rozmawiam z Orrisem i zaraz po ciebie przyjdę – podeszła do baru.

– Wrócił? – powiedziała do nalewającego piwo Dicka.

- Czego? – rzucił, patrząc spode łba.
- Pytam, czy wrócił ten goguś?
- Nie.
- Powiedz mi, gdy się pojawi.
- Co z tego będę miał?
- Święty spokój, to chyba wystarczająco dużo? – próbowała chwycić go za rękę, ale Dick to przewidział, odchylając się do tyłu.
- Widzę, że znalazłaś chłopaka. Wiesz, że to kosztuje – wskazał głową na Magnusa. – Niańczenie Orrisa ci nie wystarczy?
- Rób to, za co ci płacę – wyjęła szylinga i rzuciła nim w karczmarza. – Daj dzieciakowi coś do jedzenia, a jak tylko elegancik się pojawi, leć do mnie jak na skrzydłach... Dick.
- Po chwili była na górze. Nie pukając, weszła do pokoju i stanęła jak wryta. Orris leżał na łóżku rozpostarty jak litera X. Jego ręce i nogi przywiązane zostały do narożników metalowej ramy. W usta miał wetkniętą brudną szmatę, ale nie to było najdziwniejsze. Leżał nagi z ustawioną na podbrzuszu świecą, której wysoki na trzy cale płomień, skutecznie topił воск, powoli ściekający w dół niczym niktąca w ciemnych włosach łonowych lawa. Lorabelle zamknęła drzwi. Rozejrzała się po pokoju, szukając Briar, choć z góry wiedziała, że jej tu nie znajdzie.
- Jak to się stało? – podeszła do łóżka, aby lepiej przyjrzeć się temu dziełu.
- Mmm... – wybełkotał Orris, patrząc na, chybotzącą się z każdym jego oddechem świecę.
- Czyżbyś sam sobie to zrobił? Wiedziałaś, że jesteś zboczony, ale żeby aż tak? – pstryknęła w świecę, która niebezpiecznie się zachwiała. – A co z dziewczyną?
- Mmm...
- Nie bardzo rozumiem, co mówisz, jeśli pozwolisz, wyjmę tę szmatę – złapała knebel, wyszarpując go obcesowo z ust Orrisa.
- Pff... pff... – próbował pozbyć się czegoś, co zalegało mu na języku. – Rozwiąż mnie.
- No nie wiem, zadałeś chyba sobie dość trudu, aby znaleźć się w tej pozycji.
- No dalej – kiwnął głową, wskazując opleciony wokół nadgarstka sznur.
- Najpierw powiesz mi, co się stało.
- To ta mała zdzira, wszystko przez nią. Darła się, więc musiałem ją związać i zakneblować.

– Jesteś pewien, że nie mówisz o sobie? – przysiadła na skraju łóżka wprawiając świecę w niebezpieczne drgania.

– Na litość boską, uważaj – wystraszył się nie na żarty, patrząc w dół.

– Mów dalej.

– Potem zrobiło mi się jej żal.

Lorabelle zaśmiała się pod nosem, lecz powstrzymała od komentarza.

– Rozwiązałem ją, a ona zaczęła mnie całować i całować. Mówiła, jak jest mi wdzięczna za to, że ją uratowałem i takie tam. Starąłem się ją odepchnąć, ale była taka namolna, nie dałem rady. Zanim się zorientowałem już na mnie leżała, próbowałem ją zrzucić...

– Ale była zbyt silna – dokończyła.

– No... no tak, a potem, sam nie wiem, jak to się stało.

– A ja wiem. Dałeś się omamić dzierlatce i teraz wyglądasz jak skończony półgłówek. Dziewczyna uciekła i pewnie jest już w domu. Przez ciebie tumanie możemy pożegnać się z pieniędzmi. Powinam cię zostawić do czasu, aż z twoich jaj zostanie pogorzeliśko – podniosła się raptownie z łóżka, pozwalając świecy na niebezpieczny taniec.

– Proszę, nie zostawiaj mnie tak – Orris dał wyraz autentycznemu przerażeniu. – Jakoś to odkręcę. Zobaczysz.

– Masz szczęście, że jestem strasznie zmęczona i chcę się położyć, a jak widzę, ty już się należałeś. Niestety mamy tylko jedno łóżko, więc muszę coś z tobą zrobić – podniosła rozchybotaną świecę. – A i jeszcze jedno, spotkałam Magnusa. Mówił, że go wyrzuciłeś, a potem chciałeś zabić.

– To kłamstwo.

– Ja mu wierzę, a o tym, że mówi prawdę, świadczy to – wskazała świeżą ranę przecinającą przedramię Orrisa.

– Bello ja...

– Zamknij się! – przechyliła świecę, rozlewając na genitaliach Orrisa gorący воск.

– Aaa! – wrzasnął, wijąc się jak oszalały.

Złapała opartą o ścianę laskę, wysuwając z niej błyszczące ostrze.

– Magnus będzie mieszkał z nami, a jeśli ci się to nie podoba... – dotknęła ostrą stalą świeżo rozlanego wosku, stygnącego powoli na jego przyrodzeniu.

– Podoba, podoba – wyrzucił z siebie z szybkością błyskawicy.

– Hmm... podoba ci się to, co robię? – zaintrygowana przesunęła zimne ostrze w dół.

– Nie, nie, Magnus, chciałbym, żeby tu został.

– Zatem, skoro tego tak bardzo pragniesz, niech tak będzie. Tylko pamiętaj, włos nie może spaść mu z głowy, bo inaczej to coś... – dźgnęła poparzone przyrodzenie.

– Nie spadnie, przysięgam, że nie spadnie.

– Jeśli mały się potknie, zadrapie, zachoruje lub kichnie, ty za to odpowiesz – wykonała kolejnych kilka dźgnięć. Po czym przystawiła mu do twarzy metalowy szpic, muskając nim krótkie rzęsy, jakby zastanawiała się co dalej, w końcu szybkim machnięciem, przecięła pętającą Orrisa sznury.

– Dobrze, że się rozumiemy, a teraz zmiataj stąd i zawołaj Magnusa. Tylko grzecznie.

\*\*\*

Odkąd Mildreth została sama, nie wiedziała, co ze sobą zrobić. Siedziała na podłodze, patrząc bezmyślnie na ciało Hortense. – Biedna pani Moore, nie zasłużyła na to, co się jej przydarzyło. Powinien tu leżeć Garnet, a nie ona – myślała, obgryzając nerwowo paznokcie. Chciała jak najszybciej opuścić to miejsce, które jeszcze do niedawna było azylem, a teraz kojarzyło się jedynie z kaźnią. Tylko jak miałyby to zrobić. Odejść zostawiając ciało Hortense? Nie mogła tego uczynić, ze względu na nią, jak i na własne sumienie. Hortense nie powinna leżeć gdzieś poza ludzką pamięcią, w miejscu nikomu nieznanym. Clementine musi wiedzieć, co zrobił jej kochany synalek, a on ma za to odpowiedzieć. Zrobiła kilka głębszych wdechów, zupełnie jakby gotowała się do walki i poniekąd tak było. – Ale najpierw trzeba pomóc Abigail, ona ci pomogła, więc teraz ty pomóż jej. No dalej – ponagliła się w myślach. Wstała, zmuszając się do działania, tylko co miała robić? Abigail pokazała Garnetowi, jak działa przejście, więc teraz mogą być wszędzie. Nie sądziła, aby przenieśli się do domu, po tym, co zrobił, raczej wybierze spokojniejsze miejsce, może Blackwood? – stanęła przed otwartymi drzwiami i już miała wejść do pokoju, gdy nagle futryna wypełniła się znajomą bielą. Mildreth odruchowo zrobiła krok w tył, szykując się na najgorsze. Po chwili z mgły wynurzyła się obuta w czarny pantofelek nóżka, a po sekundzie jej właścicielka.

– Ale się bałam – Mildreth rzuciła się do przodu, chwytając w objęcia przemarzniętą Abigail. – Nic ci nie jest?

– Nie, tylko trochę zmarzłam.

– A Garnet? Co z nim?

– On już nikomu nie wyrządzi krzywdy.

\*\*\*

– Ty sukooo!! – wydarł się na cały głos, lecz drewniane ściany wychodka skutecznie stłumiły jego wrzask. Z pełną mocą uderzył pięścią w deskę, wprawiając ją w dziki rezonans i usiadł obok wyciętego w siedzisku otworu. Spojrzał na przybite gwoździem do drewnianej ściany kawałki brudnej gazety i ponownie wydarł się wniebogłosy, wtórując sobie kolejnymi ciosami, wymierzonymi w będące tuż przed jego nosem drzwi. – Przecież robię wszystko, tak jak mi mówiła – warknął pod nosem. – Najpierw prawą nogę przez próg, wymawiam to pieprzone zakłęcie, potem krok do tyłu, pojawia się mleko i wchodzę. Tylko gdzie jest to cholerne mleko? Co robię nie tak? – przymknął oczy, aby się uspokoić. I wtedy przyszła mu do głowy myśl. A jeśli ona mnie oszukała? Tylko jak? Przecież parę minut temu robiłem to samo i zadziało. Wprawdzie po drugiej stronie miała być Wenecja, ale przejście pojawiło się tak, jak powinno. Wstał, by podjąć nastą już z kolei próbę wydostania się z wychodka. – Tym razem spróbuję wyjść, a nie wejść tak jak ostatnio. Tak, na pewno w tym tkwi problem – pocieszył się w duchu. Prawa noga krok do przodu, w międzyczasie wierszyk, krok do tyłu i... i nic, znowu nic. Przymknął oczy, starając się nad sobą zapanować. Nabrał powietrza w płuca – Przynajmniej smród zdaje się trochę mniejszy niż ten po drugiej stronie. Chyba że zaczynam się do niego przyzwyczajać – zaśmiał się nerwowo, czując, że zaraz podda się narastającej z każdą chwilą panice. – Teraz musi się udać – podjął ostateczną próbę, lecz tym razem wierszyk został wypowiedziany na głos.

Zrób krok do przodu  
Zrób krok w tył  
On twoją wizję zmieni w pył

Nagle wszystko zrozumiał. Nie znalazł się w Wenecji tylko w cholernym sraczu, dlatego, iż to ona tego chciała. On myślał o Wenecji, ona o tym śmierdzącym przybytku. On ją naśladował, starając się powtórzyć wszystko co do joty, a ona w tym czasie wymawiała w myślach wierszyk.

– Sukaaa!! – wrzasnął, wymierzając drzwicom solidnego kopniaka. – Zakpiłaś ze mnie, najzwyczajniej w świecie zakpiłaś!! Zapłacisz mi za to, oj zapłacisz!! – poinformował o swoich zamiarach wszechobecną pustkę. – Wyjdę stąd, wyjdę, a wtedy mnie popamiętasz!! – odwrócił się plecami do wychodka i ruszył dziarskim krokiem przed siebie, znikając w bezbrzeżnej, tak gęstej, że niemal namacalnej mgle.

\*\*\*

– Tak się o ciebie martwiłam, ale widzę, że zupełnie niepotrzebnie – odetchnęła z ulgą Mildreth, wciąż ściskając Abigail. – Jesteś pewna, że on nie wróci?

– Nie może, nie wie, co ma powiedzieć, kiedy przekracza próg.

– Przecież widziałam, jak powiedziałaś mu wszystko na ucho.

– Tak, powiedziałam, ale zupełnie co innego, dlatego nie chciałam mówić na głos. Nie wiedziałaś, co chcę zrobić, a gdybyś mnie poprawiła, Garnet zorientowałby się, że chcę go okłamać, a wtedy nic by z tego nie wyszło i nie wiadomo co mógłby nam zrobić.

– Nigdy bym na to nie wpadła. Myślałam tylko o tym, jak stąd uciec..., ale gdzie on teraz właściwie jest, w Blackwood?

– Nie. Pamiętasz dzień, gdy spotkałyśmy Magnusa? Gonił go jakiś człowiek.

– No...

– Schowałyśmy się wtedy do jakiegoś wychodka i teraz to Garnet tam siedzi.

– Ale jak to zrobiłaś? Skoro on nie wie, co powiedzieć, musiałaś tam z nim wejść. Niemożliwe, żeby pozwolił ci tak po prostu odejść.

– Bo nie pozwolił. Przechodziliśmy przez próg równocześnie, on mówił wierszyk, który mu powiedziałam, a ja w myślach ten prawdziwy. Pojawiło się przejście, ale nie za jego sprawą. Choć myślał, że sam to uczynił. Potem wystarczyło popchnąć go prosto we mgłę i zamiast w wymarzonej przez siebie miejscy, znalazł się w śmierdzącym kiblu.

Mildreth wytrzeszczyła oczy i nagle wybuchła śmiechem.

– Ha, ha, ma to, na co sobie zasłużył – gdy jej wzrok padł na leżącą na podłodze Hortense. – Musimy coś z nią zrobić, nie możemy przecież tak jej zostawić.

– Nie zostawimy, zabierzemy ją do domu – Abigail przeszła przez próg, otwierając kolejny raz dzisiejszego dnia przejście łączące dwa światy. – Pomóż mi – powiedziała, chwytając Hortense za rękę. Wspólnymi siłami przeciągnęły kucharkę przez próg.

– Tu będzie dobrze – powiedziała Mildreth, gdy ułożyły ciało w pralni obok sterty bielizny.

– Tak, chyba tak... – powiedziała Abigail, całując Hortense w czoło. – Dobranoc, będzie mi ciebie brakowało – szepnęła, czując, że jest bliska łoża.

– Lepiej pójdę kogoś poszukać, a ty no wiesz, lepiej, żebyś... – złapała Abigail za rękę.

– Tak, wiem – odparła smutnym głosem. – Przyjdź do mnie, jak tylko będziesz mogła – spojrzała za siebie, unosząc rękę w pożegnalnym geście. Zrobiła krok, aby przekroczyć próg i w tym momencie wpadła na wchodzącą do pralni madame de Conteville.

– Przepraszam – bąknęła zdezorientowana Abigail.

– Tu są! – zawołała madame de Conteville. – Nic wam nie jest? – spytała, chwytając dziewczynkę za ramiona.

– Ja... – wydukała kompletnie zaskoczona.

Medium widząc, leżące na podłodze ciało kucharki, przestawiła Abigail na bok.

– Czy ona żyje? – spytała, podchodząc i jęknęła, wlepiając wzrok w wystający z pleców Hortense kawał drewna. – Kto jej to zrobił?

– Garnet – odparła Mildreth.

– Boże! – nagle krzyk wypełnił całe pomieszczenie. – To, to... przecież... to naprawdę ty? – Clementine stała w progu wpatrując się jak oniemiała w Abigail. – Czy... – wystawiła rękę, dotykając ostrożnie dziewczynki, zupełnie jakby bała się, że to tylko miraż, który zaraz rozplynie się w powietrzu. – Moja kochana.

– Mamusia – powiedziała Abigail drżącym głosem i łzy popłynęły jej strugami po policzkach.

Clementine padła na kolana, przytulając córkę do siebie. Ścisła ją tak mocno, że omal nie zmiażdżyła kruchego ciała, ale Abigail nawet nie jęknęła. Mogłaby tak trwać przez całą wieczność, tonąc w objęciach matki. Tak bardzo tego potrzebowała.



## Epilog

Słońce wznosiło się wysoko ponad rezydencją Griffith'sów, kiedy Magnus zapukał w tylne drzwi kamienicy. Wszystko wyglądało tak jak ponad dwa tygodnie temu, gdy był tu po raz ostatni, uciekając przed Garnetem. Stał, przestępując z nogi na nogę, aby rozgrzać zmarznięte stopy, drzwi uchyliły się nieznacznie, tworząc kilku calową szparę.

– Słucham? – powiedział dziewczęcy głos.

– Dzień dobry, chciałem...

– Magnus, to ty? – drzwi otworzyły się szerzej, ukazując odzianą w fartuszek Mildreth. – Ty żyjesz. Jak dobrze cię znowu widzieć. Nie mieliśmy pojęcia co się z tobą stało – złapała go za rękę, wciągając do środka i serdecznie uścisnęła. – Chodź, na pewno jesteś głodny – popchnęła go w stronę kuchni, z której rozchodził się przepyszny zapach pieczonego ciasta.

– Ja tylko...

– Estello, czy mogłabyś ukroić naszemu gościowi trochę ciasta? – spytała Mildreth, sadzając Magnusa siłą na krzesło. Po chwili duży kawałek sernika stanął na stole obok chłopca.

– Dziękuję psze pani – odparł.

– Mów co się z tobą działo – usiadła obok i oparła łokcie na stole, wspierając głowę na rękach. – Myślałam, że się przestraszyłeś i uciekłeś.

– Nie, pani Moore powiedziała, żebym lepiej stąd odszedł po tym, jak dźgnąłem nożem panicza Garneta.

– Co? – Mildreth wytrzeszczyła oczy, a kucharka odwróciła się w stronę Magnusa z chochlą w ręku, rozchlapując zupę na podłogę. – Zaatakowałeś Garneta?

– Znaczący, to nie tak. Ja tylko chciałem pomóc madame Lorabelle, on ją dusił, prawie ją zabił. Przybiegliśmy razem z panią Moore do jadalni, bo usłyszeliśmy jakiś hałas i krzyki, a panicz ją bił i myślałem, że madame już nie żyje. Chciałem jej pomóc i... pani Moore mówiła, że dobrze zrobiłem, że inaczej by ją zabił, a potem powiedziała, żebym lepiej się gdzieś ukrył, bo panicz mi tego nie daruje. Rozejrzał się nerwowo, czy on tu jest?

– Nie, nie on... gdzieś uciekł, od tamtego dnia nikt go nie widział.

– Uff... to dobrze – pogrzebał w kieszeni, wyjmując z niej jakieś zawiniątko. – Madame Lorabelle prosiła, żebym przy okazji przekazał to

Hortense. Chciała podziękować za pomoc.

– Hortense... ona... – Mildreth zalała się łzami.

– Przepraszam, ja nie chciałem...

– Nie przejmuj się, to nie twoja wina. Poprzednia kucharka została zabita – wtrąciła Estelle, wycierając ręce w fartuch. – Podobno panicz wsadził jej kołek w plecy, a potem zabił też pannę Be... Bre...

– Pannę Bennett? – dokończył za nią Magnus.

– Tak, właśnie, urwał jej głowę, a potem gdzieś zabrał. Jak żyję, nie słyszałam, o czymś takim. Ludzie powiadają, że...

– Pani Copper, czy mogłaby pani przestać wygadywać te głupoty – ostry głos przeciął powietrze niczym nóż. – Nie długo państwo wracają ze spaceru. Trzeba będzie podać obiad, a jak widzę, jest pani głęboko w lesie. Przynajmniej sernik jest upieczony, panienka Abigail byłaby bardzo niepokieszona, gdyby go zabrakło – kucharka karnie wróciła do parującego garnka. – A kogo my tu mamy, Magnus?

Chłopiec poderwał się z krzesła.

– Dzień dobry – spojrzała na stojącą za nim ubraną w czarną suknię kobietę, która w upiętych do góry włosach wyglądała jak młodsza siostra Brittanici. – Psze pani – skłonił się grzecznie.

– Ha, ha, nie poznajesz mnie – wyprężyła pierś przed siebie, demonstrując swój lewy, a potem prawy profil.

– Madame... Daphne?

– We własnej osobie. Jak widzisz, ciężka praca popłaca. W końcu zostałam doceniona i teraz ja tu rządę.

Magnus skinął głową z uznaniem.

– Tak, wiem, też tak uważam – uśmiechnęła się Daphne. – Odpowiedni człowiek na odpowiednim miejscu, a co u ciebie?

– Mieszkam teraz z madame Lorabelle i panem Orrisem.

– Z tym Orrisem, który chciał cię zabić? – spytała Mildreth, w niedowierzaniu wycierając ręką załzawione oczy.

– Tak, nie jest taki zły. Odkąd madame Lorabelle z nim porozmawiała, stał się całkiem miły... Zupełnie zapomniałem – wyjrzał przez okno i widząc chuchającego w dłonie stojącego obok szopy Orrisa, dodał. – Muszę już iść. Czy mogę wziąć, trochę ciasta na drogę?

– Oczywiście. Ukrój chłopcu duży kawałek – rzuciła Daphne do kucharki.

– Więcej, nie żałuj – patrzyła, jak Estelle przesuwając nóż po jeszcze ciepłym wypieku, czekając na znak, gdzie ma zacząć ciąć. – O, tak będzie dobrze – puściła oko do Magnusa.

– Dziękuję psze pani – powiedział, odbierając od kucharki zawinięty w szmatkę wielki kawał sernika. Złapał wałówkę pod pachę i wybiegł z kuchni.

\*\*\*

Ta noc dała się Briar mocno we znaki, spała nie dłużej niż godzinę, ale było warto. W końcu udało jej się wymknąć i chociaż częściowo zaspokoić narastającą od wielu dni rządę. Odkąd wróciła do domu czuła, iż cały czas jest pod obserwacją. Ojciec miał baczenie na każdy jej krok, a matka zamieniła się w jej cień. Pierwsze dni były nie do wytrzymania. Ciągłe pytania i ukradkowe spojrzenia posyłane w jej stronę, pełne troski, ale też oskarżeń. Próbowwała ich zbywać, wymyślając jakieś historyjki o przemożnej chęci podróżowania pchającej ją do samotnej ucieczki. O rybaku, który za drobną opłatą przewiózł ją na drugi brzeg rzeki i noclegu w podrzędnym zajeździe gdzieś pod Bristolem. Wreszcie jej uwierzyli bądź po prostu dali spokój, słysząc wciąż te same lakoniczne odpowiedzi. Nie obchodziło ją to, ważne było, że poczuła trochę swobody i dzięki tej swobodzie zarwała ostatnią noc.

Wybór padł na młodego chłopaka niewiele starszego od niej, prawdopodobnie był stajennym, choć nie była tego pewna. Dość, że zrobili to w stajni, w której go spotkała, znajdującej się zaledwie dwie ulice od jej domu. Dzieciak był młody, bo tak teraz o nim myślała. Nie miał prawie żadnego doświadczenia, nie to, co ona, o nie. Stała się dla niego nauczycielką, chłosczącą jego gładkie plecy, znalezionym w boksie powrozem. Całowała jego świeże rany i robiła kolejne, podniecając się płynącą po plecach krwią. Niestety nie potrafił docenić rozkoszy, jaką mu ofiarowała. Zaczął krzyczeć, a na to nie mogła sobie pozwolić, choć jego wrzask był balsamem dla jej uszu, musiała go ukrócić i uczyniła to leżącymi w sianie widłami. Na wspomnienie tej chwili niemal zadrżała z rozkoszy.

– ... uważam, że nie było to zbyt eleganckie – powiedziała Margaret.

W jadalni zapanowała cisza.

– Yy... słucham mamó? – odparła wyrwana z zamyślenia Briar. Czując, że ostatnie słowa zostały skierowane do jej osoby.

– Mówię o Garnecie. Nie powiem, żeby jego zachowanie było na miejscu, przed wyjazdem powinien, chociaż przyjść i się z tobą pożegnać. W końcu skądinąd przychodził tu w konkury.

– Być może chciał, ale nie zdążył. Garnet jest prawdziwym gentlemanem i jestem przekonana, że gdyby mógł, na pewno by się ze mną pożegnał –

odparła Briar.

– Pewnie tak. Ponoć pojechał na kontynent i nie wiadomo kiedy wróci – wtrącił Daniel pomiędzy łyżkami zupy. – Ale nie przejmuj się mój pulpeciku, znajdziesz innego kawalera, któż nie chciałby uszczęśliwić takiej słodkiej buźki – chwycił córkę za policzek, delikatnie go szczypiąc.

\*\*\*

Szedł i szedł, lecz nie widział nic oprócz mgły. Gęstej czy rzadkiej, nie potrafił nawet tego określić. Ponieważ wszędzie widział jedynie mgłę, nie było żadnego punktu odniesienia, domu, krzaka, drzewa, nawet ziemia sprawiała wrażenie pustki, jakby nie było na niej nic oprócz mgły. Zatrzymywał się już kilkakrotnie, aby sprawdzić, czy znajdzie pod butami coś poza gładką powierzchnią, po której stąpał. Macał ją rękoma, siadając, a nawet kładąc się na niej, żeby dojrzeć, czym jest. Jednak mgła przy ziemi była tak biała, iż zdawało się, że leży w mleku. – Co to do diabła jest? – pomyślał Garnet, rozglądając się na wszystkie strony. Na dobrą sprawę nie wiedział, gdzie się znajduje. Czy był już w tym miejscu, czy dopiero tu przyszedł? Już jakiś czas temu stracił orientację. Jakiś czas temu – to określenie było jak najbardziej na miejscu. Chociaż długo się nad tym zastanawiał, nie wiedział, ile czasu już tu przebywa. Może trwało to godzinę, dwa dni, a być może tygodnie. Nie wiedział, a ta dezorientacja doprowadzała go do szaleństwa. Nie czuł zmęczenia, nie czuł głodu, ani pragnienia. Nie czuł nic, co mogłoby świadczyć o tym, że wciąż żyje. Bo chyba żył? Chyba? Szedł wciąż przed siebie, a może nie? Wciąż poruszał nogami, a skoro nimi poruszał, to jednak musiał się przemieszczać. Spojrzał w dół. Mgła, wszędzie mgła. Krok za krokiem, dzień, dwa, tydzień. Szaleństwo. Kolejne dwa kroki, trzy i nagle na coś wpadł. Po prostu wszedł na ścianę, uderzając w nią twarzą. Macał ją jak ślepiec deski, to musiał być jakiś parkan, a jeśli jest parkan, to coś musi być za nim. Teraz wystarczy podążać wzdłuż niego. Pełen niewysłowionej radości przywarł do desek, zupełnie jakby wtulał się w ramiona kochanki i zapłakał ze szczęścia. Nagle pod rękami wyczuł załom, to musiał być narożnik. Zaintrygowany zajrzał za róg. Nie, to nie może być prawda. Obszedł narożnik. Drzwi. Wszystko stało się jasne, ale do końca nie pozwalał, aby ta myśl wgryzła się w jego umysł. Chwytając się resztek nadziei, otworzył drzwi. Wychodek, to ten cholerny wychodek. Wszystko wyglądało tak samo, jak wtedy. Te same kawałki gazety, te same brudne deski i ten sam zapach. Ponownie zaszlochał, lecz

ły szczęścia zmieniły się, w ły rozpaczy. Wszedł do środka i usiadł na desce.

– Abigail! Abigail!! – wrzasnął, wkładając w krzyk cały ładunek wściekłości i strachu. W tym momencie poczuł przemożny ból głowy, jakby ktoś rozsadzał mu czaszkę od środka, próbując się wydostać na zewnątrz. – Aaa!!! – rozdarł gardło, padając na kolana. Po chwili wstał, czując się tak, jakby śnił, znów poruszał się nie w pełni świadomy własnych ruchów. Miał wrażenie, że staje się bezwolną marionetką. Jeszcze przez sekundę widział, co robi, a potem odpłynął. Coś ponownie przejmowało władzę nad jego ciałem.